



NIEZAGOJONE RANY

Czy Bóg gra w kości?

VICTOR
DEL ÁRBOL



WYDAWNICTWO
SONIA DĄBKA

VICTOR
DEL ÁRBOL
NIEZAGOJONE
RANY

Z języka hiszpańskiego przełożyła
Karolina Jaszecka



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Dla Aurelii

Gdziekolwiek jesteś, czuwaj nad nami tak samo, jak robiłaś to w czasie trwania
tego krótkiego cudu, jakim jest Życie.

Ból matek, które idąc przez pola, gubią kłosa złudzeń, cierpienie dzieci zawsze opuszczonych.

Federico García Lorca,
Pieśń żałobna dla Rosalii de Castro (1919)

Śmierć jest jedynym skrajnym doświadczeniem, które jesteśmy w stanie przewidzieć.

Josep Forment, Arthur Rimbaud
Diabelskie piękno

Spis treści

[*Dedykacja*](#)

[*Cytaty*](#)

[Przedmowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Epilog](#)

[Przypisy](#)

Przedmowa

Krajobraz nie kłamie; to wzrok go zmienia w taki sposób, że za każdym razem to samo miejsce wydaje się inne. Jakby to, co widzimy, odzwierciedlało nasz nastrój.

Wyblakły znak przy drodze do Toledo wskazywał zjazd do miasteczka. Nie było ładne, nie miało nawet romańskiego kościoła; właśnie tak jak wszystkie inne brzydkie miejscowości. Niemniej jednak stanowiło punkt na mapie, istniało. Jego obecności można było się domyślić po widocznej z oddali samotnej szarej plamie, otoczonej wielkimi połaciami mieniących się złotem pól. Eduardo pogłośnił radio i zanurzył się w muzykę Milesa Davisa, jakby *Blue in Green* zostało skomponowane tylko po to, by mógł się nacieszyć tą ulotną chwilą. Przenikliwy dźwięk trąbki i syk palącego się papierosa sprawiły, że poczuł się dobrze, co zdarzało mu się bardzo rzadko. Whisky z turlającej się pod fotelem na wpół opróżnionej butelki też zrobiła swoje. Nie da się jednak żyć w piosence, podobnie jak nie da się żyć w cuchnącym tytoniem samochodzie ze schowkiem pełnym starych kwitów parkingowych, które ciągle zapomina się wyrzucić.

Opuścił szybę o kilka centymetrów i wyrzucił przez szparę niedopałek papierosa. Zwolnił, czując jednocześnie, że serce zaczęło mu mocniej bić. Po przeciwnej stronie szosy biegła droga, która wydawała się prowadzić donikąd. Stopniowo asfalt chował się pod grubą warstwą pyłu, żeby kilka metrów dalej zniknąć na dobre i przejść w polne wertepy. W końcu nawet i one się urywały. Dalej rozciągał się już tylko pas wysokich chaszczy. Sądząc po wyschniętych bruzdach i wszechobecnych chwastach, nikt od dawna nie obsiewał okolicznych pól. Obrazu zaniedbania dopełniał zaryty w ziemi stary ciągnik z wyblakłą karoserią i grubymi oponami. Na skraju pola stał płot, a za nim duże gospodarstwo. Dom i ugór, spoglądając na siebie obojętnie z daleka, tworzyły nierozzerwalną całość, niczym obraz i rama.

Eduardo zamknął oczy. Pachniało wsią. „Jak aromaty i krajobrazy potrafią zwodzić” – pomyślał, przetykając ślinę. Podniósł z fotela pasażera bukiet dalii i zdjął z niego papier. Kwiaty nie miały zapachu, a ich kolor robił wrażenie wyblakłego, jakby ze zbliżaniem się do celu podróży wszystko stawało się dla Eduarda coraz mniej realne. Z trudem wysiadł z samochodu i pomasaował kolano.

Zmierzchało, a ptaki polujące na owady zniżały lot nad strumieniem, który

płynął równolegle do bocznej drogi. W świetle zachodzącego słońca sitowie skrzyło się kroplami wody jak mokre płótno kołysane delikatnie na tle wysokich gór. Eduardo zszedł po łagodnym nasypie, który oddzielał drogę od strumienia. Wokół było pusto i cicho. Kilka metrów dalej woda opływała ostrym łukiem dużą skałę, z której można było dostrzec majaczące w oddali zarysy przedmieść Madrytu.

To wydarzyło się tutaj.

Zdjął buty i zostawił je na brzegu. Podwinął nogawki do połowy łydki i zanurzył stopy w spokojnym lodowatym strumieniu. Zimny dotyk wody pobudził w jego ciele krążenie, pompując krew w kierunku głowy. Eduardo wszedł głębiej, aż woda niemal dosięgła mu kolan. Czuł na skórze ukłucia setek maleńkich, ostrych igiełek, mimo to wytrzymał przez kilka minut, wpatrując się w trzciny porastające przeciwległy brzeg. Próbował odnaleźć wzrokiem jakiś ślad po wypadku. Na próżno. Nie było tam niczego: ani jednego kawałka rozbitej szyby, śladu opon czy plamy, jakby ziemia i strumień tak po prostu pochłonęły dowody tego, co się stało, po czym odzyskały swój odwieczny spokój. Eduardo nabrał w dłoń wody i wypuścił ją przez palce. Nie miała szkarłatnego koloru, jak przed czternastoma laty.

– Śmierć jest jedynym skrajnym doświadczeniem, które jesteśmy w stanie przewidzieć – wyszeptał, przypomniawszy sobie słowa pocieszenia jednego z przyjaciół podczas pogrzebu.

Słowa pocieszenia, które nie pocieszają. Przyjaciele, którzy przestają nimi być. Krajobrazy, które zamazują ślady tragedii. Dale bez zapachu i koloru.

To był zwykły dzień, kolejny podobny do poprzedniego, i nic nie wskazywało na to, że stanie się on ostatnim szczęśliwym w życiu Eduarda. Zdawał sobie sprawę z absurdalności takiego myślenia, ale gdyby wiedział o tym wcześniej, gdyby choć podejrzewał, że tak się stanie, nawet jeśli nie zdołałby temu zapobiec, mógłby przynajmniej mocniej je przytulić, powiedzieć coś mniej głupiego i banalnego, zamiast się z nimi kłócić. Zawsze jakieś słowa pozostają niewypowiedziane, kiedy zabraknie czasu, żeby je powiedzieć.

Powietrzem wstrząsnął grzmot, a z nieba zaczęły spadać duże krople deszczu i tworzyć szerokie kręgi na powierzchni wody wokół Eduarda. Niektóre rozbijały się jak gumowe pociski na jego płaszczu, inne spływały mu po czole i policzkach. Zrobiło się późno, a on pojechał za daleko. Musiał wracać. Wprawdzie nie miał dokąd wracać, ale nie mógł też stać tam dłużej. „Muszę wrócić” – powtórzył w myślach, ocierając łzy spływające z zaczerwienionych oczu.

Czasami łzy bólu można wypłakać tylko w sobie.

Wypuścił z ręki bukiet dalii, ulubionych kwiatów Eleny, i przez chwilę stał bez ruchu, patrząc, jak porywa je strumień. Potem wrócił do samochodu i odjechał, nie oglądając się za siebie.

Rozdział 1

Sześć miesięcy wcześniej, styczeń 2005 roku.

Eduardo podszedł do okna. Plac zabaw po drugiej stronie ulicy był pusty i wyglądał dziwnie: kołyszące się puste huśtawki, mokre drewniane ławki, na których nie siedzieli dziadkowie, kałuże w piasku, w których nikt się nie taplał... W deszczowe dni z większą siłą uzmysławiał sobie, jak ogromna przepaść dzieliła go od spraw najwyraźniej ważnych dla innych ludzi. Nic nie było w stanie złagodzić tego uczucia.

Odwrócił wzrok od okna i rozejrzał się po gabinecie: regały ze sklejki, grube segregatory i książki z zakresu medycyny sądowej. W kącie stała gliniana donica z usychającym geranium.

Zamknął oczy. Kiedy je otworzył, Martina nadal siedziała za biurkiem z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Mogła się wydawać delikatna lub krucha. Jej uśmiech wywoływał natychmiastową sympatię, ale Martina rzadko się uśmiechała. Miała zaciśnięte usta, ale światło lampy stojącej na biurku łagodziło teraz surowy wyraz jej twarzy.

– Będzie pani zapisywała to, co powiem?

Skinęła głową, krzyżując ręce.

– Po to mam długopis i notatnik.

– A może podpisze pani sprawozdanie z dzisiejszej wizyty, wypisze mi pani receptę i pożegnamy się po przyjacielsku? Oboje wiemy, pani doktor, że te pogawędki to strata czasu.

Martina dotknęła mostka okularów. Długopis drżał jej w palcach niemal niedostrzegalnie. Jakich perfum używała? Na pewno jakichś z nutą cytrusową, bardzo subtelną. Naturalnie był to zapach, który nie mówił o niej za dużo.

– Absolutnie się z panem nie zgadzam. To, co robimy, jest dla mnie ważne, i to bardzo.

Eduardo wiedział, że kłamie; żeby zrobić to przekonująco, trzeba się najpierw nauczyć panować nad swoją twarzą, a nie każdy to potrafi. Spojrzenie lekarki zdradzało zbyt dużą nieufność. Nie lubił jej. Kwestia empatii. Od początku czuli w swojej obecności skrępowanie, jak źle dobrana para, która musi przebywać ze sobą przez kilka godzin w miesiącu, nie kłócąc się i odgrywając z góry wyznaczone role.

Pogłaskał gładką powierzchnię blatu, rysując kręte koryto wyimaginowanej rzeki na cienkiej warstwie kurzu.

– Dobrze, w takim razie o czym tym razem mam pani opowiedzieć?

Martina utkwiała na chwilę wzrok w bliznach na jego nadgarstkach. Widząc to, Eduardo ukrył je pod mankietami koszuli.

– Jak panu idzie dostosowywanie się do codziennego życia? – zapytała lekarka, trzymając się ustalonego scenariusza.

„Codzienne życie, głupie określenie” – pomyślał Eduardo. Dla niego śmierć oznaczała powolną utratę nawyku życia.

– Mieszkam w bloku przy ulicy San Bernardo, niski czynsz, spokojne miejsce, a dozorczyńni jest porządną kobietą. Nie zadaje pytań. Maluję kilka portretów na zlecenia, które załatwia mi Olga, i jakoś wiązę koniec z końcem. Wydaje mi się, że nie jest źle.

– A pańskie uczucia?

– Proszę się nie martwić, moje uczucia są na swoim miejscu.

– Co to za miejsce?

– Bezpieczne.

Martina zanotowała coś w notatniku, a potem położyła na nim ręce i zaczęła przyglądać się Eduardowi z zaciekawieniem. Może udawanym, może szczerym.

– A nocne koszmary?

Eduardo docisnął powieki kciukami.

– Czy naprawdę musimy drążyć ten temat?

– Proszę mi opowiedzieć swoje sny – nalegała.

Eduardo się zawahał.

– Ale które? Za każdym razem śni mi się coś innego.

– Proszę mi opowiedzieć pański ostatni sen.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Od początku.

„Koszmary nie mają początku ani końca” – pomyślał.

W jego koszmarze pojawiał się moknący na deszczu chłopiec. Ma rozmazaną twarz jak na obrazie, którego kolory i kontury rozmyto wilgotną gąbką. Siedmio-, ośmiolatek. Stoi na niewyraźnej drodze, bosy i z nagim tułowiem, tylko w poszarpanych spodniach. Pod ubrudzoną skórą widać mu żebra i siatkę żył rozchodzących się jak gałęzie drzewa od nóg aż po szyję. Wszystkie pulsują jednocześnie, jak podziemna rzeka magmy. Patrzy na szczyt wzgórza, jakby wiedział, że za chwilę coś tam się wydarzy.

Z mgły wybiega przerażony mężczyzna, którego gonią dwa ogromne psy o żółtych ślepiach, z kapiącą z pysków śliną i w obrozach nabitych ćwiekami. Mężczyzna ucieka, oglądając się za siebie, i chociaż biegnie długimi susami, psy są coraz bliżej. W każdej chwili mogą go dogonić.

W końcu, po desperackiej ucieczce w dół stoku, mężczyzna zatrzymuje się z otwartymi ramionami, jakby nie wiedział, co dalej robić albo miał dość uciekania. W ten sposób chce dać do zrozumienia, że to już koniec, nigdzie się nie ruszy. Psy, z pewnością zaskoczone, zwalniają bieg i zbliżają się do niego jak bandyci. Warczą, pokazując kły. Człowiek i zwierzęta mierzą się wzrokiem z odległości kilku metrów, aż w końcu psy, pchane instynktem, rzucają się jednocześnie na mężczyznę, a ten bezskutecznie próbuje zasłonić się rękami przed ich ugryzieniami. Psy z impetem powalają go na ziemię i rozpoczynają się bezładna jatka, trzask kości, uderzenia łap i krzyk.

Rozszarpują go w kilka sekund, jednak nadal oddycha. Z ust spływa mu wymieszana z deszczem strużka krwi. Patrzy w niebo i mimo że kona, uśmiecha się życzliwie. Potem wyciąga rękę, rozkłada palce, by po chwili zacisnąć je w pięść, nie w geście groźby, ale raczej jakby chciał pochwycić powietrze i dalej nim oddychać.

– Zadowolona? Czy może mi już pani wypisać receptę?

– Jaki sens ma dla pana ten sen?

Eduardo wzruszył ramionami.

– To pani jest specjalistką, tak przynajmniej napisane jest na dyplomie w ramce. Ja jestem tylko królikiem doświadczalnym.

Martina spojrzała ukradkiem na zegarek. Do zakończenia sesji brakowało pięciu minut, a na korytarzu czekała już następna osoba. Z ulgą pozbywała się Eduarda. Był kłopotliwym pacjentem.

Wypisując receptę z miną urzędniczki, ostrzegła go obojętnym tonem, żeby biorąc risperdal, nie nadużywał alkoholu. Eduardo nic nie odpowiedział, ale lekarka zauważyła na jego twarzy niepokojący cień. Czasami spojrzenia Eduarda były jak ciosy prosto w brzuch.

– To wszystko. Do zobaczenia za miesiąc.

Eduardo złożył na pół receptę i schował ją do kieszeni.

– Być może. Do widzenia, pani doktor.

Martina zobaczyła przez okno, jak przeszedł przez ulicę, kulejąc na prawą nogę.

– Po cholerę wybrałam ten zawód? – powiedziała sama do siebie.

Usiadła z powrotem przy biurku i przejrzała notatki, przygryzając lekko dolną wargę i zbierając myśli. W końcu pewnym ruchem napisała:

Eduardo Quintana, siódma wizyta kontrolna. Po ośmiu miesiącach wciąż ma te same objawy: lęk, zaprzeczenie i zachowania autodestrukcyjne. Wnioski: stan niestabilny.

„Dzień dobry, Madrycie. Jest siódma, dzisiejszy niedzielny poranek jest zimny i mglisty. Pada ulewny deszcz, a wy słuchacie stacji Onda Ciudad. Specjalnie dla was w sam raz na dzisiaj utwór Petera White’a *Another Rainy Day*, czyli kolejny deszczowy dzień”.

Eduardo zapalił lampkę nocną i obserwował upiorne cienie, jakie abażur rzucał na sufit. Usiadł na łóżku, oparł łokcie o uda i zaspanym wzrokiem rozejrzał się po pokoju.

Mieszkanie było skromne, ale niczego w nim nie brakowało: telewizor, wygodne łóżko, kilka opartych o ścianę obrazów, podwójna szafa z dużym lustrem, mała lodówka obok jednopalnikowej kuchenki oraz łazienka z prysznicem i umywalką, w której przeciekał kran. Problem w tym, że mimo tego wszystkiego nie czuł się w nim komfortowo. Przeszkadzała mu atmosfera smutku panująca w bezosobowych miejscach, które nie mają nic do opowiedzenia o zamieszkujących je ludziach. Eduardo mógłby umrzeć w tym pokoju, a następnego dnia wystarczyłoby tylko zmienić pościel, żeby całkowicie wymazać jego obecność.

Większość swoich rzeczy osobistych nadal trzymał w kartonowych pudłach, które Olga pomogła mu przywieźć z wynajmowanej przez ostatnie czternaście lat komórki. W jednym rogu piętrzył się stos książek o malarstwie, których nie czytał, a przy starym adapterze stała ułożona w porządku alfabetycznym jego ukochana kolekcja płyt winylowych. Były jedyną rzeczą, do której wciąż czuł pewne przywiązanie. Jazz, blues, soul. Tworzyły ścieżkę dźwiękową jego dzieciństwa, chociaż nauczył się ją doceniać dopiero po śmierci ojca, który pozostawił mu tę kolekcję w spadku. Mimo że Eduardo już dawno przestał być dzieckiem, ta muzyka nadal była „jego” muzyką.

Sięgnął do nocnej szafki po papierosa. Zapalił. Przy pierwszym zaciągnięciu poczuł gorąco w oskrzelach. Wyciągnął rękę trochę dalej, aż palce natknęły się na nierówny kształt niemal opróżnionej butelki wódki. Jednym haustem wypił resztkę alkoholu, czując, jak ból rozsadza mu głowę. Jego mózg wyłączył się na kilka sekund. Eduardo zamknął oczy i skupił się na solówce Petera White’a dochodzącej z radia. Czuł namiastkę spokoju, chociaż ojciec powiedziałaby, że nic

nie mogło się równać z saksofonem Dextera Gordona w *It's You or No One*. Ojca tam jednak nie było.

Mdliło go, kac ściszał mu żołądek, a ból wątroby wykańczał go, ale niedostatecznie szybko. Marzył tylko o jednym: leżeć w łóżku i słuchać starych płyt, aż minie cały dzień, który – podobnie jak wszystkie poprzednie dni – nie pozostawi po sobie śladu. To jednak było niemożliwe. Musiał wstać, dowlec się do sedesu i stoczyć bitwę z zaparciem, umyć się, zrobić sobie coś na śniadanie albo zjeść chociaż jabłko, które zaczynało gnić w wiklinowym koszyku na owoce, być może poświęcić trochę czasu na ogarnięcie i przewietrzenie mieszkania, umycie naczyń, a przy odrobinie szczęścia także znaleźć w sobie odrobinę chęci, żeby popracować nad jednym ze zleceń od Olgi.

Zdjął piżamę, złożył ją starannie i odkręcił kurek prysznica. Rury zajęczały głucho, lecz po chwili pojawił się strumień w miarę ciepłej wody, która nie wystarczała zazwyczaj na długo. Budynek był stary i potrzebował generalnego remontu, jednak najwyraźniej nikt nie chciał się go podjąć. Woda grzała się w zbiorczym bojlerze, więc gdyby jeden z sąsiadów wpadł na pomysł, żeby odkręcić kran w tym samym czasie, namydlony Eduardo nie miałby jak się opłukać.

Oparł czoło o spękane płytki, stanął pod rachitycznym strumieniem wody i patrzył, jak mydło spływa mu po nogach i znika w ujściu rury. Podrapał się po prawym kolanie, spuchniętym jak balon. Przecinała je ogromna blizna. I chociaż po latach skóra wokół rany zarosła, wciąż pozostawał ślad przypominający zapadlinę po trzęsieniu ziemi.

Kiedy głaskał ten fragment martwego ciała, miał wrażenie, jakby dotykał czasu, który pragnął wymazać z pamięci.

Stał pod prysznicem, dopóki rury dziwnie nie zarzęziły i przestała z nich lecieć woda. Odsunął zasłonę oddzielającą łazienkę od sypialni i zobaczył wiadomość, którą Graciela wsunęła przez szparę pod drzwiami.

Usłyszałam muzykę, więc domyślałam się, że już nie śpisz. Jeśli masz ochotę na niewyspane towarzystwo, właśnie zaparzyłam kawę.

Graciela była dozorczynią w budynku. Eduardo podejrzewał, że nie tak miała naprawdę na imię. Wymyślając sobie nowe imię, łatwo można wymyślić sobie nowe życie. W jego przypadku to by się jednak nie sprawdziło.

Powoli włożył spodnie z tergalu i pogniecioną koszulę. Zmarszczył brwi na widok swojego odbicia w lustrze. Nie chciało mu się golić, przed wyjściem przeczesał tylko włosy ręką. Nie musiał robić na nikim wrażenia. Już nie.

Mieszkanie Gracieli znajdowało się na końcu korytarza. Większość lokatorów nie miała do niego wstępu, chyba że Graciela uznała inaczej, co się raczej nie zdarzało. Dozorczyńni potrzebowała prywatnej przestrzeni, w której mogła być sobą, a przynajmniej pokazywać tę część siebie, której nie ujawniała publicznie.

Drzwi do mieszkania były uchylone. W przedpokoju stał fotel z obiciem w prążki, na którym leżała otwarta książka. Nieco dalej znajdował się stolik, a na nim w połowie pełny kieliszek wina, w którym pływały dwa niedopałki papierosów, w tym jeden ze śladami szminki. Przed drzwiami sypialni stały buty na obcasie, a na podłodze leżała sukienka. Poprzedniej nocy Eduardo słyszał głos Gracieli i jakiegoś mężczyzny. Robili wrażenie zadowolonych, donośny śmiech mężczyzny przypominał dziwną czkawkę – Graciela starała się go uciszyć, chociaż jej głos brzmiał równie wesoło. Po pewnym czasie umilkli. Zapewne spędzili razem noc, która o świcie skończyła się podobnie jak wszystkie randki dozorczyńni: beznadziejnie.

– Jesteś tam? – zapytał głośno.

Graciela nie usłyszała go. Stała przed lustrem w łazience, owinięta ręcznikiem. Była już dobrze po czterdziestce, Eduardo nigdy nie zapytał jej o wiek, a ona nigdy go nie zdradziła. Nie należała do pięknych kobiet i prawdopodobnie już w młodości nie grzeszyła urodą, tyle że teraz wydawała się z tym pogodzona. Pewnie kiedyś chętnie się malowała i bywała u fryzjera; w czasach, gdy ktoś budził w niej ten rodzaj zdenerwowania, jaki odczuwa się przed randką: wybór stroju, butów, dodatków, ćwiczenie uśmiechów, tematów rozmów na wypadek milczenia podczas kolacji. Czasy te jednak, jeśli w ogóle istniały, przeminęły.

Graciela oddychała teraz powietrzem niechcianej samotności, znajdowała się w tym krytycznym momencie, w którym jej życie zbliżało się nieuchronnie do ślepego zaułka. W zmarszczkach na jej czole kryły się blizny błędnych decyzji, nieporozumień czy kłamstw, rozczarowań i przykrości, które stopniowo odsuwały od niej kolejnych mężczyzn. Najwyraźniej pogodziła się ze swoją rolą dozorczyńni starego budynku, wysiadującej godzinami w dyżurce przy wejściu, odpływającej myślami w marzenia, zazwyczaj lądujące w popielniczce pełnej niedopałków i zmiętych chusteczek.

Przez uchylone drzwi Eduardo zobaczył, że zdejmuje ręcznik ostrożnie, jakby przykleił się do jej ciała i odklejanie go sprawiało jej ból. Kiedy Graciela nakreśliła palcem kółko na zaparowanej powierzchni lustra, popatrzył na głęboką różową bliznę bez żadnych oznak podrażnienia czy opuchlizny. W miejscu, w którym się znajdowała, brakowało piersi. Przez kilka minut Graciela przyglądała się sobie, a w zasadzie badała się wzrokiem, jakby nie mogła przyzwycząić się do tego

braku. Pogładziła bliźnię, chcąc przypomnieć sobie dotyk, uczucie jędrności straconej piersi. Potem ukryła w dłoniach twarz i opierając się łokciami o umywalkę, wybuchła płaczem.

W pierwszym odruchu Eduardo chciał wejść do łazienki, szloch Gracieli jednak go przed tym powstrzymał. Co mógłby jej powiedzieć? Czy miał prawo naruszać jej prywatność? Niewiele o niej wiedział, oprócz tego, że oboje byli samotni, chociaż każde na swój sposób.

Wycofał się i po cichu dotarł do drzwi wejściowych. Zatrzymał się jednak w progu, kiedy poczuł na karku czyjeś spojrzenie. W korytarzu stała Sara, córka Gracieli. Eduardo uniósł rękę na powitanie, a dziewczynka powtórzyła ten gest. Oboje w milczeniu przyjęli, że nic się nie wydarzyło.

– To nie jest dobry dzień – odezwał się Eduardo.

Dziewczynka skinęła głową.

– Nie, nie jest.

Spacerując po opustoszałych ulicach Madrytu o tej nieokreślonej porze, kiedy wszystko może się za chwilę wydarzyć, ale nic się nie dzieje, można było zobaczyć zupełnie inne oblicze miasta, pozbawione bezładu i pozwalające uwierzyć w jego poczciwość. Eduardo szedł powoli, pewnym krokiem, nie czując oszołomienia zgiełkiem, do którego trudno byłoby mu się przyzwyczaić po czternastu latach nieobecności. Rozpoznawał ulice, chociaż w gruncie rzeczy czuł się tam obcy.

„Może wyruszymy na poszukiwania skarbu?” – pytał go ojciec głosem zachrypniętym od wieloletniego palenia tytoniu, które w końcu wpędziło go do grobu. Poszukiwanie skarbów oznaczało niedzielne myszkowanie między straganami targu staroci El Rastro, wśród tłumów wychodzących ze stacji metra i rozchodzących się ulicami Roda i Fray Ceferino w kierunku placu Cascorro i ulicy Ribera de Curtidores. Dawne potoki wpadające do rzeki Manzanares były teraz ulicami, na których panował zgiełk i urzekający chaos, gdzie ludzie spacerowali od straganów do barów, od małych skarbów z drugiej ręki do kieliszków wina i tapas.

Kiedy Eduardo był małym chłopcem, to zatłoczone miejsce go fascynowało. Szeroko otwierał oczy ze zdziwienia, gdy ojciec opowiadał mu o pochodzącym z przytułku dla podrzutków żołnierzu Eloyu Gonzalu, który został bohaterem narodowym podczas wojny o niepodległość Kuby, albo o tym, jak w dawnych rzeźniach zabijano bydło, a jego krew spływała ulicami, którymi spacerowali. Eduardo słuchał tego wszystkiego z wypiekami na twarzy i z łatwością wyobrażał sobie stanowiska wędrownych golibrodów, sprzedawców mebli i starzyzny oraz

miejską rzeźnię – miejsca, które już nie istniały, ale w pewien sposób na pchlim targu nadal wyczuwało się panującą w nich atmosferę. „To nasze średniowieczne stare miasto” – mówił ojciec z dumą, trzymając syna mocno za rękę, żeby nie porwała go ze sobą ludzka fala.

Wszystko się zmieniło. Przedmioty. Widoki. Spojrzenie.

Eduardo wszedł do baru w pobliżu El Retiro. Było jeszcze wcześniej i lokal świecił pustką. Przy barze siedziało dwóch klientów, którzy sądząc po wyglądzie, mieli za sobą noc ciężką i nieudaną. Znużony barman gapił się w wiszący na ścianie telewizor. Eduardo zamówił whisky bez lodu. Chociaż dochodziła dopiero ósma i nie jadł jeszcze śniadania, barman nie wydał się tym zaskoczony, najwyraźniej niejedno w życiu widział.

– Trzeba o czymś zapomnieć, co?

Eduardo nerwowo przygładził włosy. Szorstki, miejscami siwy zarost ciągnął się wzdłuż jego zapadłych policzków i wokół małych ust. Na jasnej karnacji od razu było widać, kiedy się rumieni w krępujących dla niego sytuacjach, czyli za każdym razem, gdy musiał podtrzymywać niechcianą lub zbyt długą rozmowę. Jego spojrzenie, płochliwe i niewyspane, przypominało spojrzenie myszy, która próbuje stać się niewidzialna. Czasami, kiedy coś przyciągało jego uwagę, oczy rozbłyskiwały mu delikatnym światłem, pozwalającym przez chwilę zobaczyć w nim człowieka, którym był w przeszłości. Szybko jednak ponownie pograżał się we wszechobecnym mroku.

– Cokolwiek leży ci na sercu, szkoda w taki sposób niszczyć sobie wątrobę, przyjacielu.

Eduardo skrzywił się, próbując splawić nachalnego barmana. Dopił whisky i ruszył powolnym krokiem ulicą Moyano, aż dotarł do fontanny Upadłego Anioła. Usiadł na granitowym murku otaczającym cokół z rzeźbą.

– Przez swoją dumę został na zawsze wyrzucony z nieba wraz z zastępami buntowniczych aniołów. Rzuca wokół zdenerwowane spojrzenia, w których odbija się ogromny ból i przerażenie, najgłębsza pycha i nienawiść – wyszeptał, wspominając słowa dawnego profesora z Akademii Sztuk Pięknych, który zachęcał studentów do uważnego przestudiowania odlanego z brązu ciała anioła atakowanego przez morskie węże, a zwłaszcza jego twarzy, na której maluje się potworna siła i emocje takie jak w *Raju* utraconym Miliona.

Wszystko w tej rzeźbie jakby zastygło w bezruchu: przestrzeń, czas, sam bohater.

Eduardo znał to uczucie: irytujące i wieczne odrętwienie, przekonanie, że nic się nie zmieni. Nawet jeśli rozkazałby swoim nogom przejść w prawo jeden, dwa,

trzy metry i dotrzeć do ściany, a potem wrócić po swoich krokach i ponownie natrafić na tę samą ścianę, był przekonany, że nie poruszyłby się – jak ta rzeźba. Brak banalnych, pojedynczych myśli, scalanie ich w jedną przesadną, groteskową i przeważającą myśl, jego lekarka nazywała szaleństwem.

Nie był jednak szalony. Był tylko martwy.

Szedł bez pośpiechu w stronę Palacio de Cristal z przewieszoną przez ramię torbą z przyborami do rysowania. Jakimś dziwnym trafem zawsze w końcu tam docierał. Lubił godzinami wysiadywać na brzegu stawu i z fascynacją przypatrywać się cypryśnikom błotnym o gładkich i wysmukłych pniach, które potrafiły zakorzenić się w mulistym dnie.

Przypomniawszy sobie ostatni raz, kiedy był tu z Eleną i Tanią.

Elena wyglądała przepięknie, miała na sobie obcisłe dzinsy z podwiniętymi nad kostkę nogawkami i koszulkę na ramiączkach w abstrakcyjny biało-czarny wzór.

– Dlaczego się we mnie zakochałaś? – wyszeptał, pieszcząc w myślach to wspomnienie.

Często zadawał Elenie to pytanie, a ona w odpowiedzi zawsze wybuchła radosnym, szczerym śmiechem i całowała go w usta. Nigdy nie podała mu żadnego powodu, po prostu sprawiała, że był najszczęśliwszym mężczyzną na świecie.

Podniósł mały otoczek i rzucił go w nieruchomą powierzchnię stawu, próbując puścić kaczkę. Kamyk podskoczył dwa razy i zatonął, robiąc na wodzie szeroki krąg, który po chwili również zniknął. Eduardo uśmiechnął się na wspomnienie zawodów, które urządzał z Tanią. Zawsze wygrywała, jej kamyki przeskakiwały staw od jednego brzegu do drugiego. Tani nie podobały się zmiany, które zachodziły w jej ciele, żeby mogła stać się kimś, kto ją jednocześnie przerażał i wprawiał w zdumienie. Miała czternaście lat, ale w jej dużych oczach można już było dostrzec bunt i nieposłuszeństwo, które zaczynała dopiero nieśmiało okazywać, prowokując, pyskując i stając okoniem, co Eduarda przerastało. Gdyby żyła, przebiłaby matkę pod względem urody i charakteru.

Inny gatunek drzew – kasztanowce, solidne i mocno zakorzenione w ziemi – rósł wzdłuż prawego brzegu stawu. Eduardo popatrzył w ich kierunku i za zasłoną gałęzi i liści dostrzegł kobietę. Stała zamyślona wśród bujnej roślinności, paląc papierosa i spoglądając na staw. Widziana z profilu wydawała się głęboko pochłonięta myślami. Na jej ustach malował się lekko dostrzegalny grymas rozczarowania czy smutku, niczym wierzchołek góry lodowej jej myśli. Twarz miała szczupłą, jakby przeszła długotrwałą chorobę, po której wciąż dochodziła

do zdrowia. Położyła na kolanach brązowy płaszcz pasujący do spódnicy i swetra w tym samym kolorze co buty na obcasach. Bujne kruczoczarne włosy opadały swobodnie na ramiona, nadając jej młodzieńczy wygląd.

Eduardo przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Po pierwszym rzucie oka potrafił rozpoznawać wyjątkową twarz. Wyjął z torby blok rysunkowy i węgiel, po czym szybkimi ruchami nakreślił profil kobiety, spiesząc się, by uchwycić jej autentyczność. Nieświadoma, że ktoś ją obserwuje, nieznajoma ofiarowała mu mały skrawek szczerości, ujawniała prawdziwą siebie o wiele lepiej, niż gdyby mu pozowała, leżąc nago na kanapie w jego pokoju. Kiedy wiemy, że ktoś na nas patrzy, nawet w pragnieniu pokazania prawdy chowamy zarodek kłamstwa.

Gdy tylko zda sobie sprawę, że jest obserwowana, szczerzy wyraz zniknie bezpowrotnie z jej twarzy, a wraz z nim rozplynie się również obraz Eleny, który Eduardo przywołał w myślach. Elena nie żyła. Mimo to, im dłużej przyglądał się tej kobiecie, tym bardziej był zaskoczony i zaniepokojony jej obecnością. Ponieważ w pewien sposób *była* dokładnym ucieleśnieniem jego żony, jej odbiciem w niewidzialnym krzywym zwierciadle. Jakby zdarto z niej skórę i powleczono nią inne ciało, aby mogła żyć dalej.

To złudzenie trwało jeszcze kilka cennych minut. W końcu kobieta łagodnym ruchem odsunęła z twarzy grzywkę i napotkała wzrok Eduarda. Przez ułamek sekundy wydawała się nadal nieobecna, jakby w jej pełnym ciepłej łagodności spojrzeniu wciąż tkwił obraz dna stawu. Chwilę później w jej wzroku pojawiła się gmatwanina wyrzutów.

Kobieta gwałtownie złapała płaszcz i zniknęła za drzewami.

Eduardo podszedł do miejsca, w którym siedziała. Objął wzrokiem wszystko, na co wcześniej patrzyła, i wciągnął w płuca powietrze, na wypadek gdyby pozostał w nim ślad jej zapachu. Nie było niczego.

Po powrocie do domu wziął czyste krosno malarskie i ustawił je na sztaludze. Wiedział, że z każdą kolejną sekundą obraz, który miał w pamięci, rozwiewa się jak dym, a od dawna nie odczuwał tak palącej potrzeby, by uchwycić go, zanim zniknie.

Następnego ranka wrócił do Palacio de Cristal z nadzieją, że kobieta znów tam przyjdzie. Czekał wiele godzin, aż w końcu zrozumiał, że się nie pojawi, że zniknęła, kpiąc sobie z jego samotności, w której poszukiwał ciepła osoby istniejącej tylko w jego wyobraźni.

Poszedł do najbliższej stacji metra, postanawiając zapomnieć o zdarzeniu. W tle rozbrzmiewała muzyka Schuberta. Błyszczące szyny torów długim zakrętem

znikały w ciemnym tunelu. Na peronie oprócz Eduarda czekał tylko chłopak o azjatyckich rysach – siedział na drugim krańcu ławki. Miał przewieszony przez ramię mały plecak, a między nogami trzymał jednego z tych jaskrawych plastikowych „kotów szczęścia”, jakie można kupić na chińskich bazarach. Chłopak ubrany był w długi czarny płaszcz, który bardzo podkreślał bladość jego owalnej, orientalnej, niemal dziecięcej twarzy. Pomalowane na czarno paznokcie i dolne powieki podkreślone wąskimi kreskami pasowały do jego potarganych włosów, równie ciemnych jak ubranie. Co najdziwniejsze, nie spuszczał oka z Eduarda.

Eduardo odpowiedział mu spojrzeniem, żałując w myślach, że usiadł akurat na tej ławce, chociaż miał do dyspozycji cały peron. I nagle wydało mu się, jakby chłopak zwrócił się do niego z wyrzutem: „Blizny na twoich nadgarstkach są stare. Odeszła ci już ochota na samobójstwo? Słyszałem, że prawdziwy samobójca musi mieć naprawdę silną wolę”.

Eduardo zarumienił się. Wstał, chcąc odejść jak najdalej od tego dziwnego typu.

„Lepiej zajmij się swoimi sprawami” – pomyślał, wbijając w niego wzrok.

Chłopaka najwyraźniej nie speszyła jego reakcja. Dziwne wydaje się milczenie, w którym dwaj nieznajomi mówią sobie tak wiele, nie wypowiadając ani słowa.

– Czy my się czasem nie znamy? – w końcu zapytał Eduardo.

Chłopak nie przytaknął, a na jego orientalnej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, mimo to Eduardo domyślił się odpowiedzi.

Na stację wjechał pociąg. Chłopak odwrócił wzrok w kierunku wagonów i wstał z ławki. Uśmiechnął się, jakby rozbawiony zakłopotaniem mężczyzny, który mimo że miał swoje lata, wydawał się nie rozumieć tego, co oczywiste.

Eduardo odprowadził go wzrokiem do otwartych drzwi wagonu. Dopiero kiedy pociąg ruszył, zauważył, że chłopak zapomniał wziąć z ławki chińskiego kota.

Graciela siedziała na portierni. Przeglądała czasopismo modowe w świetle lampki, a refleksy odbijające się na jej twarzy nadawały jej wygląd ćmy. Ubrana była w wytarte džinsy i pognieciony T-shirt z zaschniętą plamką po kawie na dekolcie. Z nogą założoną na nogę bujała butem na stopie. Na widok Eduarda uniosła spiczasty podbródek i odłożyła gazetę.

– Czekałam na ciebie z kawą.

Eduardo niepotrzebnie poprawił kołnierzyk koszuli. Na wspomnienie amputowanej piersi Gracieli poczuł zakłopotanie.

– Przepraszam. Olga prosiła, żebym wpadł do galerii. Chce mi zlecić serię szkiców anonimowych mieszkańców Madrytu. – W fikcyjnym, zmyślonym dla innych świecie Eduardo nadal był w miarę sławnym malarzem przygotowującym autorską wystawę w jednej z galerii prowadzonych przez Olę. Kłamstwo było skonstruowane na tyle wiarygodnie, żeby nikt nie zadawał mu zbyt wielu pytań.

– Jadłeś kolację? Mogę coś przygotować. Nie mam ochoty jeść sama, a ty nie powinieneś kłaść się spać z pustym żołądkiem – przypuściła atak, nie dając mu czasu do namysłu.

Eduardo starał się być miły. Graciela w ogóle go nie interesowała, nie miał zamiaru stać się jednym z jej życiowych niepowodzeń. Nie musiał być jednak szczery do bólu. Czasami prawda jest tylko prowokacją brutalności.

– Jestem bardzo zmęczony i marzę, żeby położyć się do łóżka. – W rzeczywistości myślał o pełnej do połowy butelce, która stała na komodzie w jego sypialni. – Może innym razem.

Graciela zmęczonym gestem podrapała się po czole. Miała krótkie farbowane włosy z odrostami zdradzającymi siwiznę, którą z pewnością chciała ukryć. Westchnęła, rozszerzając skrzydełka nosa pokrytego drobnymi czerwonymi żyłkami.

– Znów piłeś, prawda? W ten sposób nie rozwiązesz tego, co masz do rozwiązania – stwierdziła krótko.

Eduardo nie miał ochoty z nią dyskutować, więc postanowił zmienić temat.

– Jak się czuje Sara?

– Miała ciężką noc i teraz śpi. To dziwne, kiedy obudziła się rano, najpierw zapytała o ciebie. Nie wiem dlaczego, ale ona naprawdę cię polubiła. Powinieneś częściej do nas wpadać.

Eduardo pokiwał głową. On też odczuwał coś w rodzaju czułości do córki Gracieli. Miała trzynaście lat, rok mniej od Tani, kiedy ta zginęła.

– Daj jej to, kiedy się obudzi.

– Chiński kot szczęścia? – zdziwiła się Graciela.

Eduardo wzruszył ramionami.

– Jakiś bardzo dziwny facet zapomniał go w metrze. Pomyślałem, że spodoba się Sarze.

Graciela spojrzała na figurkę bez większego zainteresowania.

– Chyba tak, oboje gustujecie w dziwnych rzeczach... Jeśli zmienisz zdanie, przyjdź do nas.

Eduardo nie miał zamiaru zmieniać zdania. Oboje o tym wiedzieli.

Rozdział 2

Sala wystawowa znajdowała się na parterze starego budynku. W powietrzu unosił się zapach mokrego popiołu i starych mebli. Wśród prezentowanych prac kręciło się zaledwie kilka osób. Olga przechadzała się powoli, ignorując obrazy. Co najwyżej zaciskała mocniej usta, kiedy któryś z nich bardziej przykuł jej uwagę, ale poza tym wydawała się mocno rozkojarzona.

„Gdzie jesteś, do cholery, Eduardo?” – zastanawiała się.

Przecież to jego wystawa i powinien na niej być. Kiedy wreszcie zjawił się w drzwiach z półgodzinnym opóźnieniem, spojrzała na niego z mieszaniną irytacji i zdziwienia. Eduardo nie miał na sobie marynarki i nie ogolił się. Obrazu dopełniały potargane włosy i ciemne worki pod oczami.

– Wyglądasz okropnie. Poza tym spóźniłeś się...

– Czy nie tak właśnie zachowują się pijacy? – odpowiedział z kpiną. Pozwalał sobie na ironię jedynie w stosunku do swojej marszandki.

– Na mnie twoja poza cierpiętника nie działa – zbeształa go Olga, wydmuchując kącikiem ust powietrze, jakby paliła papierosa.

Niektórzy mężczyźni czuli niepewność, a nawet dyskomfort w obecności zbyt inteligentnej, pięknej i świadomej swojej urody kobiety. Olga wyzwała wszystkie męskie lęki. Miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, obcisłe spodnie podkreślały jej kształty, wąskie biodra i zgrabne nogi. Reprezentowała typ sportowy, była pewna siebie i lekko męska. Ludzie, którzy jej nie znali, podejrzewali, że jest lesbijką. Wyglądała jak ciemnowłosa bohaterka filmów science fiction, trochę jak cyborg. Podkreślała to dodatkowo bardzo krótka fryzura – wygolona z tyłu, z opadającą na oczy długą grzywą, której kolor mienił się od szarości po niebieski, w zależności od światła. Charakteryzowała ją ta wyniosła i trochę irytująca postawa, jaką przejawiają ludzie mało odporni na niepowodzenia. Zasadniczo sprawiała wrażenie kogoś trzymającego dystans.

Eduardo popatrzył na ludzi oglądających obrazy. Kilku obiboków, którzy ukryli się przed deszczem i zabijali czas, czekając, aż ulewa ustanie.

– Może angażowanie mnie do tego nie było dobrym pomysłem. Najwyraźniej moje obrazy nie wzbudzają zbyt dużego entuzjazmu.

Olga zmarszczyła brwi.

– Minęło dużo czasu i trzeba ludziom o tobie przypomnieć.

Eduardo spojrział na dłonie, jakby ktoś przyszył mu je do nadgarstków. W którymś momencie w przeszłości jego palce i umysł utraciły ze sobą kontakt, jakby w jego ciele doszło do zwarcia.

– Teraz zajmuję się hurtową produkcją portretów, Olgo. Płacisz mi od sztuki i sprzedajesz w centrach handlowych. Tym właśnie jestem, producentem masowym.

Z jakiegoś powodu Olga wciąż próbowała przywrócić Eduarda do punktu w jego życiu, do którego nie było już powrotu.

– Nadal odczuwasz potrzebę stworzenia czegoś ważnego.

To nie była prawda. Jego czas przeminął, a wystawa prac zebranych przez Olge stanowiła łabędzi śpiew, jego ostatni moment inspiracji.

Najwięksi krytycy zachwycali się tymi portretami. Wszyscy wydawali się zafascynowani odkryciem młodego talentu, który mając zaledwie dwadzieścia lat, był w stanie stworzyć coś tak przełomowego. Zapewniali, że do tej pory nie widzieli niczego podobnego. Obrazy Eduarda były nowoczesne, świeże i oryginalne. Dodatkowo swoją twórczością autor pisał własną, pełną niedopowiedzeń legendę, obnażając się bezwstydnie poprzez najbardziej sugestywne tytuły: *Demiurg* przedstawiający Boga podcinającego sobie żyły maszynką Gillette w mieszkaniu z widokiem na zatokę Rosas; *Konik morski* prezentujący mózg przeszyty szpilkami leżący w misce przed telewizorem; *Zefir* ukazujący nagą kobietę skaczącą z urwiska... Te obrazy w równej mierze niepokoiły, co przykuwały uwagę, zaskakując widza jaskrawością ludzkiego cierpienia, głębokim bólem odtworzonym grubymi pociągnięciami węgla, ciemnym jak spojrzenia modeli, ich wykrzywione ciała i deprymujące przygnębienie. Wszyscy zastanawiali się, skąd wziął się ten malarz.

Olga wskazała na niewielki olejny obraz, który wisiał w mało widocznym miejscu, pod słabo oświetlonym łukiem. Przedstawiał wiszącą na stryczku kobietę ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Obok stało krzesło, na które weszła, żeby się powiesić. Można było odnieść wrażenie, że kobieta rozpaczliwie próbowała oprzeć o nie stopy, żałując tego, co przed chwilą zrobiła. Była przerażona, ale było już za późno. Malarz nie miał zamiaru jej uratować.

– Moim zdaniem ten obraz ma duży potencjał. Postaram się sprzedać go pewnej angielskiej galerii. Uważają, że jest sugestywny. Co ty na to?

Eduardo wbił wzrok w płótno. Dramaturgię sceny uzyskał głównie dzięki zastosowaniu odcieni ochry, ukazaniu głębi spojrzenia kobiety i wykręceniu jej ciała. Były od niej emocje, które rozpacz i smutek zmieniają w nieodwracalny czyn. To obraz, którego nikt nie kupi.

– Ludzie zastanawiają się, dlaczego tak nagle porzuciłeś malarstwo. Nadal masz świetny, wyjątkowy warsztat, malujesz sugestywnie i precyzyjnie. Te obrazy, zamknięte w nich sceny, są tak piękne, że wydają się...

– Odrażające? – Eduardo dokończył zdanie z rezygnacją.

– Czasami potrafisz być prawdziwym dupkiem, wiesz?

– Tak, wiem.

Olga wyjęła z torebki wizytówkę i wręczyła ją Eduardowi. Na drogim papierze czerpanym nadrukowane były litery ozdobione arabeskami.

– Chyba tym razem mam dla ciebie coś naprawdę ciekawego. Poważna klientka skłonna jest zapłacić cenę na miarę twojego talentu. Zainteresowany?

Eduardo skinął nieznacznie głową. W rzeczywistości wystarczyły mu zamówienia, dzięki którym mógł się utrzymać, i nie miał większych ambicji. Sumiennie, chociaż bez zaangażowania, wywiązywał się ze zleceń Olgi, oddawał obrazy na czas, nie miał dużych oczekiwań finansowych i w ten sposób wiązał koniec z końcem.

„Gloria A. Tagger” – przeczytał na wizytówce.

– Kto to?

– Naprawdę nie wiesz? Nie kojarzysz tego nazwiska?

Eduardo zrobił minę zbitego psa.

– To jedna z najślawniejszych skrzypaczek na świecie. Poza tym jest żoną reżysera Iana Mackenziego. Wiesz, tego, który nakręcił *Co kryje twoje imię*, film dokumentalny o losach żydowskiej diaspory po drugiej wojnie światowej. Podobno pisząc scenariusz, inspirował się rodzinną historią swojej żony.

– Z przykrością przyznaję, że nie należę do miłośników muzyki klasycznej. Wystarczy mi moja kolekcja płyt. A jeśli chodzi o kino, już dawno przestałem być na bieżąco.

Olga spojrzała na niego jak na kosmitę.

– Gloria A. Tagger przyszła do galerii kilka tygodni temu. Właśnie zamykałam, ale postanowiłam ją przyjąć. Natychmiast poczułam bijącą od niej magnetyczną siłę. Kiedy tylko weszła, wypełniła sobą całą przestrzeń. Wiesz, co mam na myśli? To jedna z tych osób, która nic nie musi mówić ani robić, żeby zwrócić na siebie uwagę i mieć klasę. Od razu widać, że już dawno się przyzwyczaiła do podziwu, który wzbudza. Kiedy zapytałam, w czym mogłabym jej pomóc, z lekkim rozczarowaniem rozejrzała się dookoła, ale nie chciała nawet usiąść ani zdjąć płaszcza.

– Kupiła coś chociaż?

– Właściwie przyszła do ciebie, to znaczy, obejrzeć twoje obrazy. Chciała

szczególnie zobaczyć najnowsze portrety, więc pokazałam jej kilka, których jeszcze nie sprzedalam. Obejrzała je doświadczonego okiem, chociaż nie wyglądała na specjalistkę. Zadała konkretne pytania o technikę, oprawę, a potem poprosiła, żebym pokazała jej zdjęcia sportretowanych modeli. Po półgodzinie stwierdziła, że chce cię zatrudnić.

– Ostrzegłaś ją, że wyleciałem z rynku? – przypomniał Eduardo z delikatnym sarkazmem, za którym nie udało mu się ukryć zaniepokojenia.

Na twarzy Olgi pojawiło się napięcie, spojrzała na niego wyczekująco.

– Ona może dać ci drugą szansę, Eduardo. Odkąd wyjechałeś z Hueski, tylko pijesz i marnujesz talent, chałturząc dla ludzi, którzy nie są w stanie odróżnić obrazu Velázquezego od etykiety na butelce anyżówki. Nie możesz tak dalej żyć. Minęło zbyt dużo czasu. Czternaście lat pokuty wystarczy.

Eduardo nie odpowiedział, oderwał oczy od wizytówki i spojrzał przed siebie. Olga nie miała pojęcia, co mógł oznaczać ten zagubiony wzrok.

– Co to za propozycja? – zapytał w końcu ostrożnie.

– Zdradziła mi tylko, że chodzi o portret. Uparła się, że o szczegółach będzie rozmawiać tylko z tobą. Zostawiła mi swoją wizytówkę i obiecałam jej, że spotkasz się z nią jutro rano.

– Dlaczego, skoro nie wiesz, czy to zrobię?

Olga uśmiechnęła się pobłaźliwie i podniosła ręce na wysokość klatki piersiowej, jakby broniąc się przed ewentualnymi protestami Eduarda.

– Ponieważ dała mi dla ciebie bardzo przekonującą zaliczkę – odparła, wyjęła z kieszeni spodni kopertę, otworzyła ją i dwoma palcami podała mu czek. – Wiesz, ile to pieniędzy? Kupa kasy, a to tylko pierwsza zaliczka.

– Przyjęłaś od niej pieniądze? Dlaczego?

– Bo powiedziałam, że jesteś świetnym zawodowcem i będziesz w stanie zrobić wszystko, o cokolwiek cię poprosi.

– W takim razie ją okłamałaś.

Olga podeszła do Eduarda i musnęła zimnymi ustami jego miękki policzek, pozostawiając na nim grubą warstwę czerwonej szminki.

– Nie, nie okłamałam jej. Jesteś bardzo dobrym malarzem i udowodnisz to tej bogatej i wyrafinowanej dziwce. A teraz muszę wracać do pracy – powiedziała i odeszła w kierunku pary japońskich turystów, którzy chcieli się czegoś dowiedzieć o jego obrazach.

Eduardo pochwalił ich gust. Zwrócili uwagę na *Spacer po brzegu twoich oczu*. To bez wątplenia był piękny obraz. Przedstawiał spacerującą po plaży Elenę w rozwianej przez morską bryzę sukience.

Eduardo w myślach wyciągnął rękę i pogłaskał wspomnienie pewnego sierpniowego popołudnia w Cadaqués. Wiał wtedy silny północny wiatr i spacer po plaży nie należał do przyjemności, a odpłynięcie daleko od brzegu było wręcz niebezpieczne. Wiklinowy kosz na owoce przesiąknięty był zapachem cytryny, sznurkowe podeszwy espadryli – solą morską, a szum fal mieszał się ze śmiechem dzieci grających w piłkę przy brzegu. Elena leżała kilka metrów dalej w osłoniętej skałami zatoczce. Wpatrując się w morski horyzont, który próbowała ogarnąć wzrokiem, zapadała czasami w uporczywe milczenie. Mogłoby trwać tak do końca życia – pomyślał Eduardo, obserwując ją – pogrążeni w spokoju pozbawionym tarć, otuleni promieniami słońca, ukryci w sosnowych lasach, zatoce, każde w swoim świecie, czując milczące porozumienie, wzajemną bliskość i ochronę. Pragnienie samo w sobie niemożliwe do spełnienia, ale wspaniale było sobie chociaż pomarzyć.

– Dobrze się czujesz, Eduardo? – głos Olgi oblał go niczym żrący kwas.

Eduardo stał przy drzwiach z ręką na klamce, wpatrzony w litografię, która nadal stała na kontuarze, tyle że obraz ponownie zastygł w bezruchu, a Japończycy zniknęli.

Nie. Nie czuł się dobrze, ale na odchodne zmusił się do uśmiechu.

– Spotkam się z tą klientką, ale niczego ci nie obiecuję.

Chwilę przed dotarciem do zjazdu z głównej drogi zwolnił. Na poboczu po prawej stronie widać było podwozie wywróconej ciężarówki. Koła nadal się kręciły, a w powietrzu unosił się kurz. Wypadek musiał wydarzyć się kilka minut wcześniej. Gdyby Eduardo jechał szybciej, z całą pewnością byłby jednym z poszkodowanych. Jego życiem zawsze rządziły zbiegi okoliczności.

– Co się stało? – zapytał policjanta z drogówki.

– Nie widzi pan? – odpowiedział niechętnie funkcjonariusz.

Ciężarówka transportowała świnie do lokalnej rzeźni. Kiedy się przewróciła, zwierzęta zostały uwięzione w zgniecionej masie metalowych klatek, inne wyleciały z impetem i leżały teraz z rozprutymi brzuchami porozrzucane w promieniu kilku metrów od pojazdu. Najgorsze w tej makabrycznej scenie były okropne piski konających stworzeń, które ćwiartowały mózg Eduarda jak noże.

– Na miłość boską, czy nie możecie zastrzelić tych zwierząt i zakończyć ich cierpienia?

Policjant spojrzał na niego bezradnie.

– Musimy czekać na weterynarza z firmy, do której należą. Jeśli je zabijemy, najprawdopodobniej pozwie nas o zniszczenie towaru.

– To przecież absurd.

Policjant wzruszył ramionami ze smutkiem.

– Żyjemy w kraju absurdów.

– Jak długo ruch będzie wstrzymany?

Funkcjonariusz spojrział na zegarek.

– Godzinę, może dwie. – Równie dobrze mógłby powiedzieć miesiąc albo rok.

Eduardo otworzył schowek, wyjął z niego kartkę i pokazał policjantowi.

– Szukam osiedla Mayoral, ulica Doctor Ochoa.

Mężczyzna spojrział na niego ze zdziwieniem trwającym zaledwie przez ułamek sekundy, zaczął mówić z większą uwagą, przybrał poważniejszy wyraz twarzy, nagle wyprostował ramiona i wysunął do przodu podbródek. Ludzie zamożni zawsze wywołują w biedakach nerwowość i chociaż Eduardo nie wyglądał na bankiera, nigdy nic nie wiadomo.

– To niedaleko stąd. Ta polna droga prowadzi przez stok, na którym znajduje się pole golfowe. Na miejscu ochroniarz dokładnie wskaże panu ulicę. Kłopot w tym, że musi pan tam pójść piechotą, bo na drodze jest pełno dziur i tym samochodem pan nie dojedzie. Może pan też poczekać, aż przywrócimy ruch i dojechać do osiedla drogą asfaltową biegnącą mniej więcej dwa kilometry dalej.

Eduardo ocenił sytuację. Nie był w stanie dłużej wytrzymać smrodu spalonego mięsa ani pisków konających zwierząt.

– Zaparkuję samochód na początku drogi i dalej pójdę piechotą, dziękuję.

Policjant skinął głową, po czym spojrział na niebo.

– Jeśli się pan nie pośpieszy, po drodze złapie pana deszcz.

– Zaryzykuję.

Zostawił auto przy dość stromej drodze i ruszył pod górę, wydając z siebie krótkie sapnięcia. Zatrzymując się co kilka metrów, żeby odzyskać oddech, przeszedł zaledwie jedną trzecią drogi, kiedy zaczęło padać. Początkowo deszcz wydawał się słaby i przelotny, co nie zniechęciło Eduarda do dalszej drogi, lecz po kilku minutach z nieba popłynęły tak gęste strugi, że chwilami szlak rozmazywał się mu przed oczami albo zupełnie znikał. Mokry i ubłocony po uszy Eduardo doszedł do wniosku, że szukanie schronienia nie ma sensu, więc szedł dalej wolnym krokiem, zrezygnowany i wściekły. Brudny i przemoczony do suchej nitki nie zrobi bynajmniej na Glorii A. Tagger dobrego wrażenia, pomyślał.

Z trudem dotarł do bardzo wysokiego, porośniętego czerwonym bluszczem ogrodzenia otaczającego osiedle. Przeszedł kilka metrów dalej, szukając dzwonka do furtki, na której widniało ostrzeżenie o złych psach pilnujących terenu. Wśród bluszczu dostrzegł obiektyw małej kamery monitoringu, który zamykał się

i otwierał niczym skanujące go bioniczne oko.

– Słucham pana? – zaszczekał metaliczny głos z głośnika.

– Przyszedłem do pani Tagger, z ulicy Doctor Ochoa.

Wciąż moknąc na deszczu, Eduardo został poddany dokładnemu i bezlitosnemu przesłuchaniu. Musiał podać swoje imię, nazwisko, numer dowodu osobistego, dokładnie wyjaśnić, jak tam dotarł w tak opłakany stan i dlaczego piechotą. Kiedy niewidzialny ochroniarz najwyraźniej otrzymał wystarczająco dużo danych, kazał mu poczekać. Nie powiedział, jak długo ani na co. A ulewa nie słabła.

Po kwadransie pojawiła się kobieta o szerokich biodrach i atletycznych ramionach. Niosła ogromny czarny parasol. Miała na sobie koszulę z podwiniętymi rękawami i fartuch, który sięgał jej niemal do cholew kaloszy.

– Czy to pan jest tym malarzem z Madrytu? – zapytała, starając się przekrzyczeć szum deszczu.

Eduardo skinął głową i kobieta otworzyła pilotem furtkę, po czym gestem dała mu do zrozumienia, żeby szedł za nią.

Osiedle składało się z ogromnego pola golfowego z tarasami, sztucznymi oczkami wodnymi i pofalowanymi zielonymi pagórkami, na których wznosiły się luksusowe, nowoczesne wille otoczone kamiennymi murami. Na szczycie jednego ze wzgórz stał stary wiejski dom. Nietrudno było sobie wyobrazić, że w przeszłości było to gospodarstwo rolne, a tereny aktualnego pola golfowego najprawdopodobniej stanowiły należące do niego pola uprawne. Być może dawni właściciele sprzedali swoje ziemie za ciężkie pieniądze w czasach spekulacji na rynku nieruchomości.

Kobieta zaprowadziła Eduarda na placyk z równo zagrabionym żwirem. Był tam basen, z którego wylewała się woda, dudniąc głucho, jakby ktoś grał na bębnie. Dalej widoczna była część elewacji budynku i zasypane suchymi liśćmi schody, które prowadziły do głównego wejścia ukrytego pod portykiem z kolumnadą. W strugach deszczu wszystko rozmywało się jak urojenie. Dźwięk spadających kropli tkał ciszę, nadając scenie rzeczywistą spoistość.

Weszli do domu przez przybudówkę, która wyglądała na dawną spiżarnię lub stajnię. Wnętrze było przytulne: w dużym kominku z poczerniałymi ścianami płonął leniwie ogień, słychać było pisk pękającej kory na palących się klockach dębiny, od których biło miłe uczucie ciepła. Wielkie lustro wiszące nad okapem odbijało pomieszczenie i opłakany wygląd Eduarda.

– Wyglądam okropnie – szepnął.

Kobieta bez skrępowania potwierdziła jego obawy energicznym skinieniem.

– Lepiej niech pan zdejmie ubranie, inaczej dorobi się pan zapalenia płuc. Przyniosę panu jakieś suche rzeczy.

Pomimo zachęty, gdy Eduardo został sam, nie odważył się rozebrać. Rozwiesił tylko marynarkę na ławce z kutego żelaza i uważnie zaczął się rozglądać po pomieszczeniu. Po pięciu minutach kobieta wróciła z ręcznikiem, wełnianymi skarpetkami i górskimi butami z grubą podeszwą. Przyniosła też szorstki golf z niebieskiej wełny i spodnie ze znoszonego sztruksu.

– Na co pan czeka w tym mokrym ubraniu? Chce pan umrzeć z zimna? – zganiała cierpko Eduarda. – Przyniosłam kilka rzeczy pana Iana. Pani nalega, żeby je pan włożył. Pan Ian nie miałby nic przeciwko temu. Wydaje mi się, że będą na pana za duże, ale mamy tylko to. Niech pan się doprowadzi do przyzwoitego stanu i trochę rozgrzeje. Tam po prawej jest umywalka, jeśli chce się pan umyć. I proszę się nie martwić o swoje ubranie, niech je pan tu zostawi, a ja się nim zajmę.

Eduardo zdążył tylko wymamrotać nieśmiałe podziękowanie. Wciągnął przez nos zapach czystego ubrania – używanego, ale dobrej jakości – umył twarz nad kamienną umywalką, rozebrał się i pozostał w bieliźnie. Pożyczone rzeczy były na niego za duże, szczególnie zbyt długie spodnie (ten Ian musiał być od niego o dwie głowy wyższy), ale sweter okazał się miękki i wygodny. Kiedy włożył suche skarpetki i buty, odetchnął z ulgą. Spokojnie ubrał się do końca i usiadł w oczekiwaniu na to, co będzie dalej.

Po kilku minutach kobieta wróciła i zmierzyła go wzrokiem. Sądząc po jej minie, Eduardo w ubraniu Iana musiał wyglądać co najmniej komicznie.

– Tak jest lepiej – skwitowała. – Pani czeka na górze. Zaprowadzę pana.

Przeszli przez duży hol umeblowany w stylu tolekańskim. W kątach stały rzeźby z brązu, jakby wciąż nie znaleziono dla nich odpowiedniego miejsca. Na ścianach wisały portrety ludzi o wyniosłej postawie i mglistym, tajemniczym spojrzeniu. Achromatyczne, bardzo blade barwy nadawały im wygląd zjaw, których dusze po śmierci zostały uwieszone w pozłacanych ramach.

Kobieta szła przodem szybkim krokiem, otwierając po kolei drzwi prowadzące do równie chaotycznie wyglądających pomieszczeń. W miarę jak mijali kolejne pokoje, czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie, jakby tutaj obecność zegarów oznaczała świętokradztwo. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i smutku. Wnętrze przypominało stare zaniedbane muzeum.

– Czy pani Tagger tutaj mieszka?

– Państwo kupili ten dom i otaczający go teren kilka lat temu od dewelopera, który zbankrutował. Jednak praktycznie przez cały rok mieszkają gdzie indziej,

więc dom stoi zamknięty.

Eduardo nie pytał dalej, ale pomyślał, że zakup domu nie zmienia człowieka w jego właściciela. Dom musi być zamieszkiwany, żeby stać się ogniskiem domowym, a ten nim nie był. Po co kupować nieruchomość i wypełniać ją dziełami sztuki, jeśli nie po to, żeby w niej zamieszkać? Przypuszczał, że takie osoby jak Gloria A. Tagger potrzebowały miejsca, w którym odnalazłyby sens, mogłyby odkrywać siebie.

Weszli do dużego pokoju. Kobieta dała mu znak, żeby zaczekał, i poszła sobie, zostawiwszy uchylone drzwi.

Pomieszczenie było przytulne, niczym nieprzeładowane. Na biurku leżały pobazgrane partytury i pojemnik z kredkami. Przylegające do ścian przepierzenia sprawiały, że pokój był dźwiękoszczelny. W środku przez oszklone drzwi było widać muzyczny mikser i stołek, sprzęt audio, głośniki i wyłączony monitor komputera. Z popielniczki unosił się dym, jakby ktoś chwilę wcześniej tam był i pracował.

Uwagę Eduarda szczególnie przykuł duży obraz wiszący na przeciwległej ścianie. Nie był to zwykły portret namalowany farbami olejnymi, ale raczej scena emanująca niejednoznaczną siłą. Przedstawiał kobietę patrzącą w stronę ogrodu, w którym rozróżnić można tylko kilka gałązek mirtu i drzewa pomarańczowego. W jej zmrużonych, załzawionych oczach malowało się głębokie zmęczenie, być może spowodowane odmiennym stanem, dostrzegalnym pod ręką, którą położyła na brzuchu. Po jej prawej stronie mąż rzucał na nią wyniosłe spojrzenie, jakby cięża kobiety była grzechem, który powinna odpokutować, a on jej niechętnie darował.

– Zna pan ten obraz? – Rozległ się głos.

Eduardo odwrócił się.

Zamrugał, jakby oślepiło go słońce. Dopiero po kilku sekundach zdał sobie sprawę, że mówiła do niego ta sama kobieta, którą widział w parku Retiro. Co najdziwniejsze, miał wrażenie, że tkwiła w innym wymiarze, jakby była klonem tamtej.

Jeśli nawet go rozpoznała, nie okazała tego po sobie.

– Jestem Gloria A. Tagger – przedstawiła się. – Czy źle się pan poczuł? Zbladł pan.

– Nie, nie, wszystko w porządku.

– Podoba się panu? – zapytała, wskazując obojętnie obraz, i powoli podeszła do niego, aż jej ramię musnęło ramię Eduarda.

Ubrana była w obcisły golf w kolorze marengo, który podkreślał jej kształtny

biust. Pachniała delikatnymi, zmysłowymi perfumami, których nie potrafił rozpoznać. Była niezwykle szczupła i drżały jej palce, w których trzymała niedopałek papierosa.

– *Portret małżonków Arnolfinich* Jana van Eycka. Malarstwo flamandzkie jest naprawdę piękne, chociaż na mnie jakoś nie robi wrażenia – przyznał Eduardo.

– Ja nie znoszę szczególnie tego obrazu – odparła, wbijając wzrok w nieco zaskoczoną twarz Eduarda, jakby chciała przejrzeć go na wylot.

Gloria mówiła spojrzeniem, a krótkie mrugnięcia powiek były jak przecinki i kropki.

– Być może nie podoba się pani, ponieważ nie przekazuje niczego dobrego. Proszę spojrzeć na kobietę: jej życie jest tragedią, apatia ogranicza jej umysł, chce być tak wolna, jak prawdopodobnie była, zanim zaszła w ciążę. Proszę się przyjrzeć, jak patrzy na ogród ledwie dostrzegalny za plecami jej męża. Żyje jak mniszka zamknięta w czterech ścianach, słyszy dochodzące z zewnątrz dźwięki codziennego życia, w którym nie może uczestniczyć. Niezmienna rutyna jedzenia śniadań, mycia się, spania musi być chwilami trudna do wytrzymania. A teraz przypatrzmy się mężowi: patrzy błędnym wzrokiem, może podejrzewa, że to nie jego dziecko. Że żona go zdradziła. Albo się zastanawia, jak ją ukarać za ten dyshonor. Każdy szczegół niepokoi swoją lapidarnością: podwójna koronka na chustce okrywającej głowę żony, pierścienie tkwiące na palcu serdecznym i małym powyżej zgięcia stawów, fałdy czarnej koszuli męża, wrażenie niewygody obszytych futrem szat, które oboje mają na sobie, ziemista, matowa skóra, jak u mistyków, trupi stoicyzm i jednocześnie sugestywność bijąca z ich twarzy.

Gloria spojrzała na Eduarda ze źle ukrywanym podziwem.

– Pan maluje czy pisze obrazy?

Eduardo się uśmiechnął.

– Może pędzel i pióro nie są tak sobie dalekie, jak się powszechnie uważa.

Pod oknem znajdowały się dwa fotele i stolik, na którym stał dzbanek z kawą, dwie filiżanki i dzbanuszek z dymiącym mlekiem. Gloria poprosiła, żeby usiedli.

Na dworze wciąż padało, a w pokoju panował chłód, mimo że gdzieś musiał być włączony grzejnik. Gloria nalała kawę do filiżanek i oboje popijali ją w milczeniu. Chociaż skrzypaczka uśmiechała się uprzejmie, sprawiała wrażenie, jakby w rzeczywistości myślami była zupełnie gdzie indziej. Jak gdyby jej uśmiech i spojrzenie stanowiły nieruchomą pozostałość istoty, z której uleciała dusza, tak samo jak w chwili, kiedy Eduardo ujrzał ją po raz pierwszy siedzącą nad stawem przy Palacio de Cristal.

– Nie chciałabym być niedyskretna, ale co się panu stało w nogę?

Eduardo zawahał się przez chwilę, szukając odpowiednich słów.

– Miałem wypadek samochodowy.

Gloria spojrzała na niego wzrokiem niezdradzającym żadnych emocji. Przez kilka sekund wydawało się, że czeka, aż Eduardo powie coś więcej, on jednak milczał, więc napięcie na jej twarzy okrył cień rozczarowania.

– Boli pana teraz?

– Prawdę mówiąc, tak. Chociaż lekarze zapewniają, że to tylko ból somatyczny.

Nie był tego do końca pewien. Teoretycznie zakończenia nerwowe obumarły i nie powinien nic czuć, ale to nie była prawda. Dotykając blizny, wyczuwał ten sam straszny ból, którego doznał w chwili, kiedy zmiażdżyło mu nogę.

Gloria w milczeniu wpatrywała się w dłonie Eduarda, które położył na kolanach. Odstawiła ostrożnie filiżankę na stolik, odwróciła się na chwilę w kierunku małego sekretarzyka, na którym stał adapter, pokazując swój piękny profil, po czym ponownie spojrzała na Eduarda.

– Czy będzie miał pan coś przeciwko temu, że włączę muzykę? Pomaga mi zebrać myśli i się odprężyć.

Delikatnie wyciągnęła za krawędź płytę winylową z okładki, uważając, żeby palcami nie dotknąć wytłoczonych rowków. Stała tyłem do swojego gościa, opuściła igłę na kręcącą się płytę i czekała, aż adapter zadziała. Kiedy wydał z siebie pierwsze dźwięki, skinęła z zadowoleniem głową i ściszyła dźwięk, żeby muzyka stała się przyjemnym i niezbyt głośnym tłem.

– Podoba się panu? To *1. koncert skrzypcowy 1 g-moll opus 26* Brucha.

Eduardo wsłuchał się w kilka taktów, przymykając oczy. Muzyka wydała mu się głęboko romantyczna, a jednocześnie radosna.

Gloria podała mu okładkę płyty. Widniała na niej fotografia młodej dziewczyny siedzącej na stołku bokiem ze skrzyżowanymi nogami. W opartej na udzie dłoni trzymała skrzypce, a drugą jakby od niechcenia bawiła się ciekim złotym łańcuszkiem z medalikiem.

– To pani.

– Nie wydaje się panu, że w jednym życiu jesteśmy kilkoma różnymi osobami? Na okładce to nie jestem ja, tylko moje ciało, które należało do innej Glorii, dwadzieścia lat młodszej. To było specjalne nagranie dla orkiestry budapeszteńskiej. Miałam wtedy dwadzieścia lat i nie powinnam była przyjąć tego wyzwania, nie byłam na nie gotowa. Oczywiście wtedy nie chciałam się do tego przyznać i postąpić odpowiednio.

– Nie znam się za bardzo na muzyce klasycznej, ale wydaje mi się, że ten utwór wykonała pani znakomicie.

Gloria uśmiechnęła się z pobłażaniem.

– Proszę uważnie się w niego wsłuchać. W każdym utworze artysta pozostawia kawałek swojej duszy. Tutaj nie znajdzie pan mojej.

Eduardo z trudem wczuwał się w konsystencję utworu, który chwilami stawał się twardy jak kamień, a w innych partiach miękki jak rozptywające się na okiennej szybie krople deszczu. Koncert rozpoczynał się w tempie *allegro vivace*, potem następowało długie interludium, by przejść w niespieszne i łagodne zakończenie. Rzeczywiście można było usłyszeć lekką nerwowość solistki, jakby nie czuła się komfortowo lub – wystawiana przez cały czas na próbę – obawiała się, że tempo zapisane w partyturze za chwilę przerośnie jej możliwości. Mimo to, w miarę trwania utworu, to wrażenie zanikało, skrzypaczka rozluźniała rękę i pozwalała wciągnąć się do innego świata, zatracając się w nim aż do zakończenia utworu.

Gloria zdjęła ostrożnie płytę z adaptera, jakby brała w ręce noworodka, przetarła ją szmatką i włożyła w okładkę.

– No i co?

– Chyba panią rozumiem – powiedział Eduardo, patrząc jak Gloria obraca w palcach papierosa. Jej gesty całkowicie różniły się od ruchów kobiet, które znał. Jakby tańczyła subtelny, uspokajający taniec.

– Naprawdę? – Gloria rozłożyła swoje piękne palce i zaczęła się im przyglądać pod światło, niczym wylaniającym się z nicości mackom, którymi mogła w powietrzu dotknąć muzyki. – Zarabiam na życie grając, ale zawsze czuję się jak oszustka, która przywłaszcza sobie to, co do niej nie należy, i swoimi pragnieniami ingeruje w twórczość innych ludzi.

– Moja marszandka powiedziała mi, że chce mi pani zlecić coś szczególnego.

– Rzeczywiście, można by to tak nazwać.

– Widziałem czek z zaliczką. To duża kwota. Przypuszczam, że wypisując go, wiedziała pani, że nie zajmuję się już malowaniem zawodowo.

– Wiem o tym.

– W takim razie, skoro jakiś czas temu przestałem być znanym malarzem, czego pani ode mnie chce?

Gloria nie odpowiedziała, przynajmniej słowami. W milczeniu popatrzyła tylko na niego opanowanym wzrokiem. Potem wstała, otworzyła szufladę w komodzie i wyjęła z niej zdjęcie. Spojrzała na nie przelotnie i oczy się jej zaszklily.

– To mój syn. Jak się panu podoba?

Eduardo spojrział na fotografię, którą mu podała.

Większość ludzi jest skępowana przed obiektywem, ich twarze zamierają

i twardnieją jak skorupa, od której odbija się światło, albo wykrzywają się w absurdalnym, niemal dzieciennym uśmiechu i zastygają w wymuszonych, sztucznych pozach. W przypadku tego chłopca było inaczej. Chociaż nie odziedziczył urody po matce, była od niego pewność siebie, jaką uwielbia obiektyw. Na zdjęciu wyraźnie było widać napięcie, pojedynek między fotografem a fotografowanym, walkę o to, kto nad kim zdobędzie przewagę. Chłopak był szczupłym szatynem, o wiele za chudym, żeby wyglądać zdrowo. Jego kości policzkowe wystawały jak spiczaste wzgórki pokryte trądzikiem. Trzy włoski na krzyż nigdy nie będą przypominać porządnego zarostu, bez względu na to, jak rzadko by się golił. Długie ręce i chude nogi nadawały mu trochę niezgrabny, jakby nieproporcjonalny wygląd. Miał na sobie budrysówkę w kolorze khaki z postrzępionym kapturem i naszywką *Walk of Life* Dire Straits na prawym ramieniu oraz wytarte dżinsy.

– Bez wątplenia to bardzo przystojny chłopak.

Gloria wzięła z jego rąk zdjęcie, a jej oczy zapłonęły jak odbijający się w szybie ogień.

– Miał siedemnaście lat i był bardzo zdolny, czekała go wspaniała przyszłość. Zmarł cztery lata temu.

Przed czterema laty w radiowych serwisach informacyjnych uprzedzono kierowców przejeżdżających obok Palacio de Oriente, że kilka ulic zostało wyłączonych z ruchu z powodu poważnego wypadku: mercedes wjechał w okno wystawowe salonu sukien ślubnych. Policja zablokowała przejazd, czekając na karetki i straż pożarną. Sprawca wypadku śmierdział alkoholem, robił wrażenie oszołomionego i obficie krwawił z rany na czole, chociaż nie doznał większych urazów. Lekarz pogotowia ostrożnie zakładał mu usztywnienie na szyję, podtrzymując mu głowę, jakby obchodził się z drogocenną porcelanową wazą z epoki Ming albo laską dynamitu. Tymczasem jeden ze strażaków ciął blachę na dachu samochodu ciężkimi hydraulicznymi kleszczami. Z potłuczonego okna wystawowego sterczała połowa manekina ubranego w strój pana młodego, z urwaną łysą głową zwisającą na ramieniu. Z oddali wyglądał bardzo realistycznie. Wokół, na masce samochodu, w kałużach na chodniku, leżały porozrzucane ubrania: suknie ślubne, błyszczące kamizelki z guzikami obciążniętymi materiałem, spodnie z kantem, fastrygowane marynarki.

Spod auta wystawały czyjeś stopy. Z jednej spadł but i bosa mokła na deszczu. Samochód przejechał człowieka – zmiażdżył go między podwoziem a asfaltem. Chłopak próbował coś powiedzieć, śledząc wzrokiem kierowcę, którego właśnie

przenoszono na noszach do karetki, ale z ust płynęły mu tylko strużki krwi.

Kilka metrów dalej, na środku przejścia dla pieszych, policjant klęczał przed małym leżącym na ziemi kształtem. Ciało policjanta zasłaniało gapiom widok. Z daleka kształt przypominał średniej wielkości psa, policjant nie robiłby sztucznego oddychania psu ani nie próbowałby rozpaczliwie reanimować jego serca rytmicznym masażem. Kilku świadków zdarzenia zasłoniło usta rękami w geście przerażenia, kiedy funkcjonariusz, z grymasem na twarzy, poddał się i poprosił o koc termiczny, żeby przykryć nim martwe ciało. Podmuch wiatru uniósł przykrycie, ukazując bladą twarz mniej więcej sześćioletniej dziewczynki, wyglądającej jakby spokojnie spała.

Ratownicy przenieśli ciało zmiażdżonego chłopaka do karetki. Na ziemi pozostała ciemna plama krwi i pęknięty but.

Ktoś zapytał, czy chłopak był w ciężkim stanie. Odpowiedzieli, że nie żył, podobnie jak dziewczynka.

Oboje martwi.

Kiedy Gloria dowiedziała się o tym przez telefon, podziękowała uprzejmie za wiadomość głosem zupełnie nie pasującym do sytuacji, jakby dokładnie nie zrozumiała, co jej powiedziano, ale nie miała odwagi zapytać o szczegóły. Siedziała nieruchomo na brzegu łóżka, patrząc i nie widząc telefonu, który stał na nocnym stoliku, i trzymając w ręku słuchawkę, w której słychać już było tylko nieprzerwane brzęczenie. Wbiła oszołomiony i zdezorientowany wzrok w koszyk z owocami stojący na blacie kuchennego stołu, który było widać przez uchylone drzwi sypialni. Potem wstała i podeszła do okna. Z zaskoczeniem poczuła nagłe drżenie w całym ciele i z trudem zdołała utrzymać się na nogach, jakby wszystkie jej kości jednocześnie rozpadły się na drobne kawałki. Patrzyła na ludzi przechodzących ulicą, zachmurzone niebo, błyszczące dachówki, po których spływał deszcz, słyszała odległy pomruk ulicznego ruchu. Dzień jak co dzień, zwyczajny. I nagle poczuła potworny ból. Bolało ją absolutnie wszystko.

– Utratę dziecka można porównać do amputacji części ciała. Ważnej części, która nie przestaje boleć, chociaż już jej nie ma. Jest jak ból somatyczny, który odczuwa pan w zakończeniach czuciowych nerwów w pańskim kolanie. Na pewno rozumie pan, co mam na myśli.

Gloria obserwowała, jakie wrażenie zrobiły na Eduardzie jej słowa, pozwalając, żeby opadły na dno jego umysłu, by wynurzyć się ponownie pod postacią wahania.

Eduardo czuł, że znalazł się daleko, bardzo daleko i cokolwiek się wydarzy, nigdy nie zbliży się do tej kobiety bardziej niż w tej chwili. Dwie zderzające się samotności, które za moment oddalą się od siebie. To przeczucie, chociaż absurdałne, zasmuciło go.

– Bardzo mi przykro.

Gloria zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, coś w jej wnętrzu eksplodowało. Właśnie wtedy.

– Przykro panu? To wszystko, co ma pan do powiedzenia, Eduardo?

– Cóż więcej można powiedzieć?

Nagle jej spojrzenie stało się ostre jak krawędź krzemienia.

– Szczerze mówiąc, spodziewałam się, że zrozumiemy się bez słów.

– Nie rozumiem.

– Zebrałam o panu trochę informacji. Czternaście lat temu stracił pan żonę i córkę w wypadku samochodowym... Oboje jesteśmy żywymi trupami. Dlatego chciałam się z panem spotkać i zlecić panu stworzenie portretu, który tylko pan jest w stanie namalować.

Eduardo zbladł i pogłaskał się po szyi.

– Sportretowanie w przyzwoity sposób nieżyjącej osoby przypomina namalowanie krajobrazu z pamięci. To nie będzie pejzaż, tylko jego zniekształcone odbicie w umyśle malarza.

Gloria wyjęła z komody wycinek z gazety ekonomicznej sprzed czterech lat. Widniało na nim zdjęcie przystojnego biznesmena o szerokich ramionach i gęstych rudych włosach.

– Nie chcę, żeby pan namalował mojego syna, ale jego zabójcę.

Rozdział 3

Nad metalową ramą więziennej pryczy Arthura wisiała przyczepiona taśmą klejącą fotografia z podróży poślubnej. Para zakochanych przytulających się do siebie i uśmiechających tak głupio i typowo jak ktoś, kto gotów jest wierzyć w romantyczne szaleństwa, kiedy z radością i nadzieją patrzy w przyszłość.

Przyszłość: coś, co zostało przerwane, zanim jeszcze nastąpiło.

Arthur: dwadzieścia pięć lat, wysoki, dobrze zbudowany, z rozwianą grzywą rudych włosów, spod której widać błyszczące jak kawałki kwarcu oczy. Andrea: prawie dziesięć lat od niego starsza, ale nadal wyglądająca tak młodo, że różnica wieku jest niewidoczna, z głową odchyloną do tyłu śmieje się z czegoś, czego Arthur nie był już w stanie sobie przypomnieć. W tamtych czasach był zabawny, umiał ją rozśmieszyć, wprawić w dobry nastrój. Mocno uczepliła się jego ramienia, żeby nie upaść z powodu oszołomienia tym, co wtedy wydawało się snem.

Przyszłość: uczucia, które rozkwitają, słabną, są chwiejne.

Arthur zastanawiał się, czy wciąż czuje coś do swojej żony. To emanujące szczęściem zdjęcie nie zdradzało tajemnic, które ukochana osoba skrywa przed drugą, spraw, którymi nigdy nie chce się dzielić z partnerem. Nie wszystko można powiedzieć, muszą istnieć ciemne obszary, do których nikt inny nie ma dostępu. Zresztą związek trwał nadal tylko dzięki czasowemu oddaleniu się jednego od drugiego i dzięki milczeniu. Bez Arohy, dla której wciąż byli razem, już dawno by się rozstali.

W tle można było dostrzec Algier, zwany też białym miastem, z błyszczącymi budynkami kasby od strony morza, które dla kontrastu przybrało odcień indygo. Arthur tęsknił za hibiskusami, różanymi krzewami i magnoliami rosnącymi w jego domu z bieloną wapnem elewacją oraz drewnianymi okiennicami pomalowanymi na niebiesko w dzielnicy Bab el Oued. Dom był mały i niewygodny, ale rozpościerał się z niego przepiękny widok na część portu. Na tyłach domu miał swój ulubiony kąt obok eukaliptusa, gdzie zwykł był godzinami czytać i pisać wiersze. Czasami nie robił nic, tylko siedział oparty o pień i patrzył w dal, a kiedy ktoś mu w tym przeszkodził, spoglądał na niego lekko nieprzytomnym wzrokiem, z przerażającym zawstydzeniem i samotnością malującymi się na twarzy.

Arthura trudno było zrozumieć. Zawsze sprawiał wrażenie bezbronnego, jakby

bycie najmłodszym z czwórki rodzeństwa pociągało za sobą pewne skutki. Był dzieckiem, o które nikt się nie troszczył ani z którym nikt się nie bawił i które samo musiało się nauczyć dawać sobie radę w życiu. Swoje gęste, mocne włosy, podobnie jak rude brwi i zarost odziedziczył po ojcu, którego ledwie pamiętał. Nie tylko byli do siebie podobni jak dwie krople wody, ale mieli też takie same charaktery.

Arthur był tak zwanym *pied-noir*^[1], Europejczykiem urodzonym w Algierii kilka miesięcy przed podpisaniem porozumień w Evian, na mocy których de Gaulle przywrócił niepodległość Algierczykom i oddał władzę Frontowi Wyzwolenia Narodowego. To było dla jego ojca, Francuza o hiszpańskich korzeniach, niewybaczalną zdradą. Dziadkowie Arthura zamieszkali we Francji w drugiej połowie 1938 roku, po upadku drugiej republiki hiszpańskiej, uciekwszy przed frankistowskimi wojskami. Jeszcze w Algierze urodził się Luis Fernández, ojciec Arthura, i z francuską flagą w jednej ręce i hiszpańską w drugiej wiwatował na cześć swojego ojca, który po wyzwoleniu Paryża miał zaszczyt wjechać na Pola Elizejskie czołgiem Guadalajara z hiszpańskimi załogantami.

Wiele lat później, na przełomie 1956 i 1957 roku, jako porucznik oddziału spadochroniarzy, dowodzonego przez generała Massu, ojciec Arthura walczył na pierwszej linii frontu podczas bitwy o Algier. To był brudny i podstępny konflikt zbrojny, w którym na ataki terrorystyczne Frontu Odrodzenia Narodowego na cywili i żołnierzy odpowiadano torturami i przyspieszonymi egzekucjami z rozkazu generała Massu oraz jego ludzi. Po tym konflikcie ojciec Arthura stał się zupełnie innym człowiekiem. Kiedy de Gaulle oddał *provincję* (dla ojca Arthura, podobnie jak dla wielu innych Francuzów, Algieria nie była protektoratem jak Maroko, ale jedną z prowincji Czwartej Republiki), porucznik Fernández dołączył do członków Organizacji Tajnej Armii, którzy przygotowywali zamach stanu, i zaczął działać w podziemiu pod dowództwem generała Salana.

Arthur pamiętał, jak w dzieciństwie biegał bosy po labiryncie wąskich uliczek starego miasta, po placu Trois-Horloges, między straganami z owocami, warsztatami na targu Triolet i w okolicach bramy pałacu Dey. Wspominał swoje wyprawy do starego portu, gdzie oglądał statki handlowe pod francuską banderą, które codziennie dostarczały miastu towary. Mimo że urodził się już w niepodległej Algierii, wszędzie widać było namalowane litery OAS, a jeszcze przez wiele lat dość często zdarzało się, że w centrum miasta w powietrze wylatywał osioł obładowany ładunkami wybuchowymi czy też przypadkowy przechodzień ginął od strzału w plecy na placu Martyrs, zamordowany przez dysydentów (wielu byłych wojskowych, jak jego ojciec) albo korsykańskich

najemników czy mafiosów opłacanych przez władze, wywołujących strach *barbouzes*. Arthur przypomniał sobie, jak na jego oczach z jadącego samochodu zastrzelono z karabinu maszynowego urzędnika, który wychodził z budynku poczty głównej, i jak padł martwy na wysokości meczetu Dżami el-Dżabib. Przed śmiercią mężczyzna zdążył napisać własną krwią na nieskazitelnie białej fasadzie meczetu: „Francja nigdy nie opuściła swoich synów”. Być może Francja nie, ale Luis Fernández zostawił swoją rodzinę w stanie całkowitej bezradności. W 1964 roku, kiedy Arthur miał zaledwie dwa lata, jego ojciec został aresztowany i wywieziony do Francji, gdzie odsiadywał karę więzienia za działania terrorystyczne.

Arthur nie zobaczył go nigdy więcej.

Wiele lat później w czasie podróży poślubnej z Andreą, przy okazji odwiedzin w starym domu w Bab el Oued, Arthur poszedł do meczetu. Algier się zmienił, port został rozbudowany, a wciąż rozrastająca się stolica wchłonęła stare miasteczko Kouba. Wszędzie było widać osiedla bloków, domów i willi. Dzielnica, w której kiedyś mieszkał, rozciągała się od kasby po port Flauve i chociaż zachowała w sobie elementy stylu kolonialnego, utraciła panującą dawniej atmosferę i stała się najbardziej *chouchonté*, snobistyczną częścią stolicy. Plac przed odremontowanym meczetem ozdabiała teraz bujna roślinność, wysokie palmy i fontanny. Nowe napisy na ścianie, które robotnicy starali się gorliwie zamaskować grubą warstwą wapna, kryły pod sobą krew tamtego urzędnika. Organizacja Tajnej Armii nie była już wrogiem, teraz stała się nim Al-Kaida lub każda inna grupa terrorystyczna. Algier krwawił, zmieniały się tylko nazwy i krew, która plamiła ściany meczetu.

Jednocześnie Algieria była krajem ogromnych możliwości dla tych, którzy potrafili je wykorzystać. Dla takich jak on.

Arthur wzbogacił się na produkcji gazu i ropy. Algier stał się miastem biznesmenów, luksusowych hoteli, francuskiego liceum i znajomych, którzy posyłali swoje dzieci do szkół tureckich, egipskich i saudyjskich. Nocne życie toczyło się w kabaretach i prywatnych dyskotekach obstawianych przez policjantów, którzy po pracy dorabiali sobie dodatkową pensję jako ochroniarze czy kierowcy. Prywatne plaże klubów Pins czy Moretti, huczne przyjęcia, wpływowi ludzie, którzy prosili go o przysługi, kobiety próbujące go uwieść, przejażdżki kabrioletem. Miejsca, w których można było się zgubić, żeby poczuć się lepiej.

Tymczasem towarzysz z celi Arthura zapamiętał ten kraj zupełnie inaczej. Słuchał z wyrazem niedowierzania na twarzy, jak Arthur opowiada o cudach

Algieru. Ibrahim też był Algierczykiem i wspólne pochodzenie w pewnym stopniu zbliżyło ich do siebie, ale on urodził się w Annabie, niemającej nic wspólnego z algierskimi biznesmenami. Miasto, jakie znał, było swego rodzaju przemysłową plamą, która pochłaniała kolejne dzielnice i wsie, jednocześnie przyczyniając się do tego, że stopniowo wyburzano wiekowe kazby, a tereny oddawano w szpony spekulantów. Bogacze tymczasem przenieśli się do osiedli w El-Sahel. Miasto smutne, chaotyczne, a zarazem przepięknie nostalgiczne. Annaba była jednocześnie mekką recytatorów *bouqalates*, muzyków *chaabi* i miejscem pojedynków na przysłowia, urządzanych przez starszyznę w Dar el Djiren. Ojciec Ibrahima był jednym z najlepszych współczesnych sufickich muzyków grających na tureckim trzcinowym flecie zwanym *ney*. W przeszłości cieszył się sławą w świecie arabskim tak ogromną jak największe gwiazdy pop na Zachodzie.

Czasami wieczorem w celi rozbrzmiewały utwory grane na najważniejszym instrumencie świętej muzyki derwiszów. Wypełniały ciche więzienne korytarze swoim dźwiękiem i chwytaly za serce nawet największego twardziela.

Z tej sumy sprzeczności między mężczyznami zrodziło się coś na kształt przyjaźni. Arthur nie pasował do więzienia. Znalazł się w nim tylko chwilowo, co dawał do zrozumienia każdym swoim gestem i słowem. Znał zasady i zawsze ich przestrzegał, choć nie starał się zdobyć przychylności strażników ani współwięźniów. Diana, jego zaufana osoba na zewnątrz, wszystkim się zajęła i musiał tylko jeszcze jakiś czas wytrzymać i unikać kłopotów. Orzeczenie o umorzeniu kary powinno zostać wydane w ciągu kilku tygodni, powiedział adwokat, który w jego imieniu złożył wniosek. To niezbyt długo, chociaż po trzech dłużeń się latach każda minuta oczekiwania wydawała się Arthurowi wiecznością.

Jego jedyną podporą był Ibrahim. Stara blizna przecinająca jego twarz i lewe oko nadawała mu straszny wygląd, który zupełnie nie pasował do jego zawsze doskonałych manier. Ibrahim był jedną z niewielu osób, które – poza strachem – wzbudzały szacunek współwięźniów. Arthur go podziwiał, a Ibrahim dawał mu ochronę, pod warunkiem że nie rozmawiali o polityce. Nie chciał nic w zamian, robił to z jakiegoś tylko sobie znanego powodu.

– Musisz wrócić do żony – odpowiadał krótko, kiedy Arthur pytał go, dlaczego mu pomaga.

Mimo to jego cień nie był na tyle duży, żeby chronić Arthura przed całym złem.

Tego wieczoru na stołówce Ibrahim nie unosił wzroku znad talerza. Posiłek składał się z kremu z cukinii i mięsa drobiowego w gęstym i smacznym sosie.

Arthur jadł z apetytem, ale Ibrahim pił tylko wodę, patrząc z niesmakiem, jak inni więźniowie siedzący przy ich stole maczali chleb w swoich miskach.

– Nie odezwałeś się przez całą kolację ani nie tknąłeś jedzenia. Co ci chodzi po głowie? – zapytał Arthur.

Ibrahim zaśmiał się ze smutkiem, pokazując szparę między pożółkłymi zębami, które wkrótce mu wypadną. Miał zęby jak u pirata, więc zazwyczaj się nie uśmiechał. Kiedy jednak to robił, jego wzbudzający postrach wygląd stawał się jeszcze bardziej przerażający.

– Im człowiek starszy, tym mniej je, śpi, krótko mówiąc, mniej żyje. Jediną przyjemnością, jaka pozostaje nam, starcom, jest muzyka. Chociaż ona też powoli blaknie w naszych umysłach.

To były tylko słowa, ponieważ Ibrahimowi daleko było do słabego i bezbronnego człowieka, którego udawał. Z prawie sześćdziesiątką na karku miał ciało wciąż umięśnione, zwinne i twarde jak łodyga bambusa. Niewiele jednak o nim wiedzano. Krążyły o nim plotki i legendy, których ani nie potwierdzał, ani im nie zaprzeczał, co tylko pogłębiało otaczającą go aurę tajemniczości. Uchodził za człowieka spokojnego, bez nałogów, niemal ascetę; na spacerunku nie kumplował się z innymi więźniami i nie szukał kłopotów. Arthur jednak był świadkiem, jak młodszy więzień próbował dźgnąć Ibrahima domowej roboty szpikulcem pod prysznicami w czasie niejasnej utarczki związanej z więziennym kodem.

Może chłopak poczuł się urażony spojrzeniem albo okazanym mu lekceważeniem – na ulicy nie zwróciłby na nie uwagi, ale w więzieniu wszystko zyskiwało inne proporcje. Prawdopodobnie chciał zdobyć szacunek innych więźniów, idąc na konfrontację z Ibrahimem, poważanym, ale starym, a przez to – zdawałoby się – łatwiejszym przeciwnikiem. Napastnik szybko jednak zdał sobie sprawę z popełnionego błędu: Ibrahim rozbroił go gołymi rękami z zadziwiającą łatwością, powalił silnym uderzeniem kolana w krocze i uderzył jego twarzą o cementową podłogę, aż nieszczęśnik na oczach świadków wypluł kilka zębów. Ibrahim mógłby go zabić z zimną krwią. Nie zrobił tego nie dlatego, że ktoś wreszcie odważył się zainterweniować, ale po prostu nie miał na to ochoty.

Wieczorem na stołówce Ibrahim tylko częściowo skupiony był na rozmowie z Arthurem. Resztę uwagi poświęcał na obserwację otoczenia wzrokiem bandziora z niejasnymi zamiarami. Nagle podniósł się z trudem, opierając ręce o kolana. Zachwiał się lekko i Arthur pomyślał, że straci równowagę, ale udało mu się ją odzyskać. Lubił udawać nieporadnego.

– Lepiej się przygotuj. Przyszedł Ormianin – szepnął, zbliżając usta do ucha

Arthura. Jego oddech śmierdział chorymi dziąsłami.

Arthur rzucił szybkie spojrzenie na drugi koniec jadalni.

– Jest ich sporo.

Ibrahim skinął głową. Szybko policzył ludzi, których miał przed sobą. Ocenił, że on i Arthur mają raczej niewielkie szanse wyjść bez szwanku z małej stołówki, jeśli opryszki Ormianina zdecydowałyby się ich zaatakować. Niepostrzeżenie wymacał w spodniach kształt własnoręcznie zrobionego szpikulca, który zawsze nosił przy sobie. Nie było to nic nadzwyczajnego, ale jeśli udałoby mu się mocno dźgnąć pierwszych napastników, spłoszyłby pozostałych, umożliwiając sobie w ten sposób ucieczkę. Umiał posługiwać się białą bronią. Wiedział, jak wbić nóż okrężnym ruchem, żeby zadać bolesną ranę, nie wrywając ciała ani nie pozostawiając dużych śladów. Doświadczył tego na własnej skórze. Przywołał w pamięci krzyki, którymi wypełnione było jego dzieciństwo i młodość. Na ich wspomnienie napiął wszystkie mięśnie i przygotował się do walki.

Ormianin siedział w otoczeniu swoich ludzi, niczym cesarz o złym spojrzeniu, chroniony przez kohortę pretorian. Z bliska wydawał się niegroźny. Niezwykle szczupły – widoczne na ciele ścięgna przypominały sznurki przywiązujące mięśnie do kości – o ciemnej karnacji i z zawsze bardzo krótko przystrzyżonymi włosami odsłaniającymi kark. Do czytania używał okularów bez oprawek, które nosił w kieszonce koszuli. Nie wyróżniał się wzrostem. Ale był niebezpiecznym człowiekiem. Uznawany za więziennego papieża, miał na sumieniu ponad piętnaście morderstw, niemal wszystkie popełnione w więzieniach, niektóre osobiście, chociaż większość zlecił swoim adeptom. Cieszył się sławą spokojnego człowieka, miłośnika drobnych przyjemności. Niektórzy usprawiedliwiali jego zachcianki podeszłym wiekiem, inni zapewniali, że zawsze lubił być obsługiwany. Wielu czuło odrazę do jego zwyczaju – stanowiącego tajemnicę poliszynela – *ochrania* każdego nowo przybyłego młodego przystojnego więźnia. Za tę ochronę zamieniał ich w swoje osobiste kurewki. Szeptano po kątach, że stał się starym satyrem, który brzydził się samym sobą, chociaż zabawiał się z coraz młodszymi kochankami. Kontrolował więzienie według własnego widzimisie i głęboko nienawidził Arthura.

Mieli ze sobą do załatwienia porachunki i Ormianin poprzysiągł sobie, że tylko śmierć Arthura je wyrówna.

Jednak obecność Ibrahima zmuszała go do zachowania czujności. Tego wieczoru ani przez kolejne dni nic się nie wydarzyło.

Arthur chciał wierzyć, że niebezpieczeństwo minęło.

– Może puścił sprawę w niepamięć.

– Już prędzej wyschnie Morze Arabskie – rozwiął jego nadzieje Ibrahim. – Zabiłeś jego sześcioletnią córkę. Gdyby to było moje dziecko, nie wybaczyłbym mordercy, nawet jeśli zapadłby się pod ziemię i choćby minęło tysiąc lat.

Arthur ubolewał nad tą śmiercią bardziej niż nad czymkolwiek innym. Wciąż wracał do niej pamięcią, ale nie mógł cofnąć czasu ani tego, co się stało.

– To był wypadek i pokutuję za niego.

Ibrahim rzucił mu ponure spojrzenie, przed którym nic się nie ukryje. Przesunął powoli rękę po bliźnie na policzku, jakby dotykał jej po raz pierwszy. Nigdy nie powiedział, skąd ją ma.

– Nieszczęśliwy splot okoliczności nie jest wytłumaczeniem, Arthurze. Musimy płacić za nasze błędy, bo to my i tylko my je popełniliśmy. W każdym razie Ormianinowi nie wystarczy, że nie chciałeś zrobić tego, co zrobiłeś. Prędzej czy później cię dopadnie.

– Byłem pijany, padał deszcz, straciłem kontrolę nad samochodem.

Ibrahim skrzywił się jakby z pogardą, chociaż w rzeczywistości była to zwykła niechęć. Odruchowo spojrzął na zdjęcie wiszące nad pryczą Arthura i uważnie przyjrzał się Andrei. Zmrużył oczy. Los ma szczególne poczucie humoru, pomyślał, nie odpowiadając Arthurowi.

Na przekór dręczącym go wspomnieniom jedyne pocieszenie w murach więzienia Arthur odnalazł w gwiazdach. Wspaniale było patrzeć w niebo, kiedy nogi ciążyły jak ołów. Obaj lubili siadać i palić na spółkę papierosa, obserwując przez zakratowane okienko celi fragment nieba i brutalne piękno tańczących nad ich głowami gwiazd. Wobec tej sceny jak ze stworzenia świata wszelkie drobne ludzkie sprzeczki, wyrzuty sumienia, a nawet najpotworniejsze grzechy przestawały mieć znaczenie. Cóż z tego, że wszystko sprowadza się do reakcji łańcuchowych, plam na słońcu, wybuchów supernowej czy zamrożonej w meteorytach wody, minerałów, atomów materii i antymaterii. Jesteśmy częścią wszechświata. W naszym istnieniu brak miłości i nienawiści, emocji, uczuć czy przeznaczenia. Jesteśmy przypadkiem, który mógł się nie wydarzyć, niewiarygodnym matematycznym równaniem.

Arthurowi czas w więzieniu upływał na dyskusjach i rozmowach z Ibrahimem, czytaniu poezji i czujnej obserwacji każdego ruchu ludzi Ormianina. Ukrywał się we wspomnieniach, w oczekiwaniu na wiadomości od adwokatów wynajętych przez Dianę, którzy mieli go stąd wyciągnąć. Pisał też w swoich zeszytach.

Podczas tych trzech lat odsiadki wrócił do pisania. Z początku było mu trudno,

jakby próbował odkręcić zamknięty od dawna kran i czekał niecierpliwie, aż poleci z niego woda. Tymczasem z kranu skapnęło tylko kilka kropli, parę nieporadnie skleconych wersów, jakieś rozmyte obrazy. Stopniowo jednak Arthur odzyskiwał dawny kunszt i w jego umyśle znów ruszyły koła zębate wierszy, z początku nieśmiało, ale w miarę upływu czasu z coraz większą odwagą. Po kilku tygodniach młody poeta, którego Arthur uśmiercił zbyt wcześnie, powstał z popiołów. Trudno mu było podsycać swój zapal czytaniem książek z więziennej biblioteki, więc poprosił o sprowadzenie części swoich prywatnych książek, zwłaszcza wierszy Rimbauda.

Ibrahim przyglądał się tej stopniowej i milczącej inwazji dokonywanej przez armię książek i zapisanych zeszytów z uśmiechem wyrażającym lekkie zaniepokojenie.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że skrywasz w sobie poetę – przyznał.

Arthur skinął głową.

– Każdy z nas kryje w swoim wnętrzu wszelkie możliwe twarze. Na pytanie, dlaczego jednym pozwalamy żyć, a innych dusimy w sobie, nie ma odpowiedzi.

Pod koniec stycznia nadeszła wiadomość: wniosek o umorzenie kary złożony przez adwokatów do Ministerstwa Sprawiedliwości został dopuszczony do rozpatrzenia przez radę ministrów, ale do wydania orzeczenia zażądano oceny sądu.

Opuszczając celę, Arthur odruchowo poprawił węzeł krawata i przelotnie spojrzął na swoje odbicie w oknie. Czuł się dziwnie w eleganckim ubraniu, którego od tak dawna nie nosił. Sztywny kołnierzyk koszuli pił go w pokrytą szorstkim zarostem szyję na wysokości jabłka Adama i opinająca ramiona marynarka ciążyła mu. Ubrał się w drogi garnitur, wbrew radom swojego adwokata, który nalegał, żeby chociaż nie zakładał krawata. „Bije od pana zbyt duża arogancja, a sędziowie i prokuratorzy tego nie lubią”. Poradził mu też, żeby tego ranka się nie golił. Cienie pod oczami i początki siwizny na trzydniowym zaroście nadałyby mu wygląd człowieka słabego i bezradnego, który nie spał całą noc, zastanawiając się, co się z nim stanie. Arthur zignorował wszelkie jego sugestie. Strzepał grzbietem prawej ręki niewidoczny pyłek z kłapy marynarki i przez sekundę skupił wzrok na obrączce z białego złota, która błyszczała na jego palcu serdecznym.

Wydawał się kimś innym. Wszyscy przypominali kogoś innego, ale nadal pozostawali sobą. To powinno dodać mu odwagi, której mu brakowało, kiedy położył rękę na metalowym zatrzasku na drzwiach, nie mogąc się zdecydować,

co zrobić.

– Będzie dobrze – uspokoił go Ibrahim, który wcześniej pomógł mu się ubrać.

– Tak sądzisz?

Muzułmanin uśmiechnął się, odsłaniając ropiejące dziąsła.

– Jasne. Bogatym ludziom zawsze się udaje, a ty przecież jesteś bogaty, prawda? Nie masz się więc czym martwić.

Arthur go uściskał.

– Jesteś prawdziwym przyjacielem.

Ibrahim nie odpowiedział, ale jego myśli zdradzał ciemny cień w oczach. Odwrócił wzrok w stronę uchylonych drzwi celi.

– Lepiej zrób tam, na zewnątrz, dobre wrażenie.

Przesłuchanie wyznaczono na jedenastą, ale transport do sądu zaplanowano na godzinę wcześniej, żeby uniknąć ataku dziennikarzy.

– Nie będzie łatwo – ostrzegł go adwokat ubrany w togę. Wystające kości policzkowe, napinające skórę na jego bladej twarzy, nadawały mu wygląd nerwowego anorektyka. Co chwilę energicznym ruchem odgarniał do tyłu grzywkę, potrząsając bardzo drogim zegarkiem, jakby miał na nadgarstku bransoletkę z dzwoneczkami. Był leworęczny i pisał piórem ze złotą stalówką. Pachniał lekkimi cytrusowymi perfumami, których aromat maskował subtelną woń kawy i jasnego tytoniu. Mówił spokojnie, jakby prowadził naradę w biurze. Po kolei wymieniał zagadnienia, o których będzie mowa w sądzie, śledząc końcówką stalówki punkty zapisane w notatniku.

– Płacę panu za to, żeby pan to załatwił – odpowiedział Arthur. Denerwowało go sztuczne zachowanie prawnika, jego zbyt teatralne gesty.

– Na pana niekorzyść działa fakt, że obie ofiary były małoletnie, zwłaszcza dziewczynka, panie Fernández. Poza tym dzisiaj otrzymałem informację, że adwokaci matki chłopaka złożyli w ministerstwie pisemny protest w sprawie rozpatrzenia naszego wniosku. Matka pragnie, aby odsiedział pan cały wyrok. – Od czasu do czasu rzucał na Arthura spojrzenia przez swoje designerskie okulary, by się upewnić, że ten zrozumiał, co do niego mówi. W rzeczywistości jednak go nie widział. Arthur był dla niego tylko przedmiotem, problemem, który należało rozwiązać w najlepszy możliwy sposób.

Arthur zacisnął szczęki.

– A co działa na moją korzyść?

Adwokat odchrząknął.

– Po pierwsze, fakt, że jestem pańskim obrońcą. Przy odrobinie szczęścia uda mi się przekonać sędziego do nałożenia na pana dodatkowych obowiązków, żeby

mógł pan wyjść z więzienia przed wydaniem ostatecznego orzeczenia. Chociaż doszło do dramatycznego zdarzenia, to jednak ofiary poniosły przypadkową śmierć; to było nieumyślne spowodowanie śmierci, a pan odsiedział już trzy czwarte kary.

Adwokat po raz enty odsunął do tyłu zbuntowaną grzywkę i wzruszył ramionami, jakby zapomniał o małym szczególe.

– Byłoby dobrze również wspomnieć o Arosze. Oczywiście tylko w razie absolutnej konieczności.

– Nie ma mowy – mruknął Arthur, przesywając adwokata wzrokiem. – Sądziłem, że jasno się wyraziłem na ten temat. Proszę nie mówić o mojej córce.

Prawnik popatrzył na niego z zaskoczeniem, jakby nie rozumiał, dlaczego Arthur tak bardzo się przed tym wzbraniał.

– Proszę posłuchać. Chce pan wyjść z tego bez szkody, prawda? Płaci mi pan za to honorarium, które nie należy do niskich, i dlatego chciał pan, żebym reprezentował pana dzisiaj w sądzie. Muszę wykorzystać na pańską korzyść każdą legalnie dostępną broń. Może będzie trzeba przypomnieć sędziemu o wcześniejszych okolicznościach, które doprowadziły pana do tego nieszczęsnego wypadku.

– Powiedziałem, że nie, i kropka – powtórzył niewzruszony Arthur.

Adwokat pokiwał głową z rezygnacją, jakby chciał powiedzieć „sam się o to prosiłeś”.

W niewielkiej sali rozpraw, na skrzypiącym przy każdym kroku podeście, znajdował się stół ze sklejki, a za nim krzesła dla sędziego, prokuratora i protokolanta. Po lewej stronie sali siedziała dość młoda kobieta, która coś notowała i przeglądała książkę w czerwonej okładce, prawdopodobnie kodeks karny. Była to adwokatka Glorii A. Tagger, matki zabitego chłopaka. Nikt nie reprezentował rodziny sześciolatniej Rebeki. Jej ojciec, Ormianin, wysłał do sędziego list, w którym oświadczył, że nie wierzy w sprawiedliwość państwa, tylko w swoją własną i prędzej czy później zamierza ją wymierzyć.

Przy drugim identycznym stole siedział obrońca Arthura i aplikant, który szeptał mu coś do ucha, rozglądając się nerwowo, jakby knuł jakiś spisek. Wszyscy ubrani byli w ciężkie czarne togi, mające wzbudzić strach lub autorytet, a może jedno i drugie. Na ścianie w głębi sali wisiało zdjęcie króla inaugurującego rok wymiaru sprawiedliwości oraz dwie flagi. Wszystko aseptyczne, milczące i oficjalne. Na miejscach przeznaczonych dla publiczności nie siedziało zbyt wiele osób: dwóch studentów prawa z otwartymi zeszytami, gotowych, by zapamiętać każdy szczegół przedstawienia.

Rozpoczęło się posiedzenie sądu i kiedy nadeszła kolej na adwokata Arthura, ten spojrzął na sędziego z triumfalnym uśmiechem. Zdjął powoli, teatralnym i przesadnym gestem okulary, po czym cmoknął z irytacją.

– Mój klient został skazany osiemnastego stycznia dwa tysiące pierwszego roku na cztery i pół roku pozbawienia wolności za nieumyślne spowodowanie śmierci Iana Mackenziego Taggera i Rebeki Luján Montes. Przebywał w więzieniu trzy lata i uzyskał pozytywną opinię rady więzień oraz wypłacił rodzinom obu ofiar tego tragicznego wypadku orzeczone przez sąd wysokie odszkodowania. Mój klient jest szanowanym członkiem społeczeństwa, znanym przedsiębiorcą, który dotychczas nie wchodził w żaden konflikt z prawem, ma stałe miejsce zamieszkania i wystarczające środki do życia. Może wypełnić wszelkie obowiązki nałożone przez Wysoki Sąd – od oddania paszportu po wniesienie odpowiedniej kaucji; zaakceptuje także każdy inny środek kontroli, jaki Wysoki Sąd zechce na niego nałożyć. Reasumując, mój klient wyraził publicznie wystarczająco dużą skruchę, by – biorąc również pod uwagę jego sytuację rodzinną – rozpatrzyć pozytywnie wniosek o umorzenie kary, złożony w Ministerstwie Sprawiedliwości. Bardzo dziękuję.

Po tej pierwszej rundzie nastąpiły kolejne za i przeciw. Przedstawiono ekspertyzy biegłych psychiatrów i psychologów oraz dowody zapłaty odszkodowań rodzinom ofiar. Sędzia wysłuchał argumentów pełnomocników przeciwnych umorzeniu kary, po czym ogłosił przerwę, po której miały nastąpić mowy końcowe. Adwokaci obu stron używali prawniczego żargonu, nie akcentując w żaden sposób swoich nużących wypowiedzi, przez co po pewnym czasie brzmiały one jak monotonne brzęczenie. Każdemu chodziło jedynie o skrupulatne wypełnienie procedury.

Arthur zamknął oczy, próbował się od tego odciąć. Nie czuł zdenerwowania ani przygnębienia. Siedział na drewnianej ławce między dwoma pilnującymi go policjantami i czuł, że wszystko, co się wokół niego dzieje, nie dotyczy jego. Jakby głównemu bohaterowi sztuki postaci drugoplanowe odebrały znaczenie, usuwając go w cień, a końcowy wynik nie mógł absolutnie zależeć od niego. Patrzył na zdjęcia z dnia wypadku, które biegli rozwieszali po kolei w widocznym dla wszystkich miejscu: na ruchomej korkowej tablicy umieszczonej przez jednego z policjantów. Przedstawiano równania matematyczne, obliczenia trajektorii i długości drogi hamowania, hipotezy i liczby, które jedni obalali, a drudzy potwierdzali, w zależności od tego, czy chcieli udowodnić winę czy jej brak.

Nic z tego, o czym mówili, nie miało związku z Arthurem. Żaden z tych ludzi

nie miał tak naprawdę pojęcia, co się stało tamtego deszczowego poranka.

Dwie godziny później posiedzenie sądu dobiegło końca i decyzja została podjęta.

Adwokat Arthura uśmiechnął się do niego, jakby po wyjściu z sądu planowali razem urządzić sobie piknik na plaży.

– Poszło dobrze. Na pana miejscu zacząłbym się pakować.

Próbował być zabawny, ale gdy zobaczył błysk w oczach Arthura, uśmiech zamarł mu na twarzy.

– Z czego pan się tak cieszy, mecenasie? Zabiłem dwie osoby, a teraz wyjdę na wolność. Czy adwokatem nie zostaje się teoretycznie dlatego, że wierzy się w sprawiedliwość systemu?

– Ma pan rację, ja wierzę w system. To był wypadek. Był pan pijany, lało jak z cebra, nawierzchnia drogi była w złym stanie. Weszli na przejście dla pieszych, zanim zapaliło się zielone światło. Kumulacja absurdalnych okoliczności, która doprowadziła do tragicznego końca.

– Sam pan na to wpadł? – zapytał Arthur z ironią, wskazując na notatnik adwokata. – Przeczytałem raport z apelacji, nie musi mi pan go powtarzać jak papuga. Nie jestem sędzią, więc proszę nie wygłaszać przede mną wyuczonych tyrad. Na pewno stać pana na więcej. Wydaje się panu, że jest pan ponad dobrem i złem i może mnie pan rozliczać z popełnionych przeze mnie grzechów tylko dlatego, że dwa razy ze sobą rozmawialiśmy?

Zauważył, że adwokat zaczyna tracić spokój.

– Nie osądzam pana. Sędzia to robi. Ja mam tylko dopilnować, żeby był bezstronny.

– Nie masz o niczym pieprzonego pojęcia.

– Nie musi być pan wulgarny.

– Ale oczywiście, że muszę. To ostatnia cywilizowana rzecz, na jaką mnie jeszcze stać.

Przez ostatnie noce spędzone w więzieniu Arthur nie mógł zmrużyć oka. Każda mijająca godzina, każda minuta była miniaturową powtórką wcześniejszych strasznych nocy, które wydawały się nigdy nie skończyć. Rozmawiał i palił papierosy z Ibrahimem, obdarzając go nasyoną poczuciem winy serdecznością. Nie dało się ukryć oczywistości, że dzięki pieniądзом i wpływowi Arthur mógł wyjść na wolność o wiele szybciej niż jego towarzysz z celi, który podlegał zwykłemu mechanizmowi wymiaru sprawiedliwości. Żaden z nich nie próbował usprawiedliwiać swojej winy ani nie twierdził, że jest niewinny. W więzieniu nie

rozmawiało się na tematy, które po wyjściu na wolność traciły znaczenie, więc nie miało sensu ubierać je w słowa.

Często gdy nastawał świt, Arthur jeszcze nie spał. Tego ranka w oddali widać było czerwone chmury zapowiadające burzowy dzień. Reflektory oświetlały pusty spacerniak i przytwierdzone do ścian ławki. Po gzymsie niespiesznie przechadzał się kot, wiedząc, że o tej porze to było jego królestwo. Z prawej strony nadeszła kołysząca się postać strażnika, który robił obchód z latarką. Za godzinę, kiedy zawyje syrena, cały ten świat pozornego spokoju zniknie. Stopniowo do Arthura docierały codzienne dźwięki, nadając więzieniu normalność: otwieranie bramek w galerii, kroki strażnika, kaszlący więźniowie w celach obok... nawet muzyka z radia, która wślizgiwała się szparą pod metalowymi drzwiami niczym odległy szept.

Arthur usiadł na brzegu pryczy i postawił bose stopy na pomalowanej na zielono betonowej podłodze. Może ktoś pomyślał, że dzięki temu będzie przypominała łąkę. Posadzka była zimna. Postać Ibrahima wtulonego w poduszkę ledwo majaczyła w mroku. Arthur słyszał, jak oddycha i przewraca się na drugi bok. Wykorzystał chwilę prywatności, kiedy jego towarzysz jeszcze spał, żeby napisać list.

Zabierał się do tego od kilku dni, a od kiedy się dowiedział, że wyjdzie na wolność, pragnienie pisania nasiliło się jeszcze bardziej. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że te kilka linijek nie było mu potrzebne, a wręcz mogłoby wywołać skutek przeciwny od zamierzonego. Nie ma sensu machać ręką, kiedy kurz już osiadł na podłodze, chyba że chcemy ponownie wzbić go w powietrze. A on nie potrzebował otwierać ran, bo jeszcze się nie zabił. Co chciał więc tym osiągnąć? Sam nie był pewien swoich intencji, kiedy oparł się o parapet i zaczął pisać w słabym świetle reflektorów wpadającym przez okienko. Mógłby zrobić to już po wyjściu z więzienia, chociaż wtedy traciłoby to sens. Musiał napisać list tam, w czterech ścianach z okratowanym oknem, czując zapach więzienia, którym nasiąkły koce, ubrania i skóra. Zanim wszystko zniknie, jakby w ogóle nigdy nie istniało.

Pisał przez dwadzieścia minut, pozwalając, żeby słowa spływały na papier beładnym strumieniem jak krwotok.

Kiedy skończył, nie poczuł się lepiej. Włożył kartkę do koperty i wyciągnął się na pryczy z szeroko otwartymi oczami. Może udałoby mu się jeszcze zasnąć na godzinę.

Coś jednak sprawiło, że znów się podniósł: usłyszał metaliczny szcęk zasuw w drzwiach celi.

Popatrzył na mały kwadrat światła na podłodze i natychmiast zrozumiał, że coś jest nie tak. O tej porze strażnicy jeszcze nie liczyli więźniów, a jeśli nawet, to żaden nie wchodził do celi bez uprzedzenia. Arthur po cichu obudził Ibrahima i wskazał w kierunku drzwi. W szczelinie pod drzwiami pojawił się cień.

Powoli ktoś przesunął zasuwę i uchylił metalowe drzwi, jakby chciał wejść z zaskoczenia. Ogromny cień, który padł na pryczę, nie należał do strażnika. Strażnicy nie mieli ogolonych głów ani wytatuowanej na twarzy pajęczyny. Nieznajomy trzymał coś w prawej ręce, szpikulec albo ostry kawałek szkła. Najwyraźniej widok ofiary stojącej naprzeciw niego zaskoczył go, co dało Arthurowi przewagę, żeby uchylić się przed pierwszym dźgnięciem. Celując w powietrze, intruz zamarł w bezruchu na ułamek sekundy. To pozwoliło Arthurowi zaatakować go z boku i zanim mężczyzna zdążył zareagować, uderzył go z siłą na wysokości nerek. Niczym w surrealistycznym niemy filmie napastnik złapał się za bok i zacisnął szczęki w milczącym krzyku. Uderzenie to powaliłoby każdego zwykłego człowieka, ale nie tego olbrzyma. Zacisnął zęby, ruszył z impetem na Arthura i przyparł go do ściany. Arthur był lepiej zbudowany od większości więźniów z jego bloku, a mimo to przypominał chuchro w rękach tego potwora. Z całej siły uderzył napastnika w uszy i próbował włożyć mu palce do oczu, co jednak nie zmniejszyło siły i naporu brutala, który warknął wściekle jak ranny dzik, próbując dźgnąć Arthura w twarz.

Nagle źrenice olbrzyma rozszerzyły się, jakby w jego oczach doszło do wybuchu. Wydał z siebie krótkie charczenie i wypluł na twarz Arthura skrzep krwi. Potem martwy upadł na bok. Z głębi celi Ibrahim przyglądał się, jak mężczyzną wstrząsnął lekki dreszcz śmierci. Z jego karku sterczał wbity szpikulec. Ibrahim również drżał, chociaż mięśnie jego szyi wciąż były napięte po ataku. Przesunął pobrudzonymi krwią palcami po twarzy i przez chwilę wyschnięty wąwóz jego blizny zmienił się w purpurową rzekę. Kucnął obok ciała olbrzyma, żeby się upewnić, że jest martwy.

– Nie żyje? – zapytał Arthur, łapiąc oddech.

Ibrahim skinął głową i skupił myśli.

– Wkrótce zjawią się strażnicy, musimy się go za wszelką cenę pozbyć. Jeśli powiążą cię z jego śmiercią, możesz zapomnieć o wyjściu z więzienia.

Szybko obmyślili plan i wykonali go w całkowitym milczeniu. Położyli zwłoki na prześcieradle i wyciągnęli z celi. Blok składał się z trzech galerii, a ich cela znajdowała się na najwyższej. Wszystkie galerie wychodziły na wspólną przestrzeń tworzącą wewnętrzny dziedziniec, na który więźniowie wyrzucali puszki, niedopałki i wszelkiego rodzaju świństwa. Ibrahim przetoczył ciało

i zepchnął je. Zwłoki uderzyły o betonową podłogę z głuchym łoskotem, jak worek ziemniaków wrzucany na furę. Potem wraz z Arthurem wrócili do celi i zamknęli drzwi, starając się nie narobić hałasu.

– Na pewno wszystko zarejestrowały kamery – odezwał się smętnie Arthur. Nie obchodziło go życie faceta, którego przed chwilą pozbyli się jak śmiecia. W tym momencie myślał tylko o swojej wolności.

– Wątpię – uspokoił go Ibrahim. – To był zakapior Ormianina, a ten na pewno przekupił dyżurnego strażnika, żeby aktywował otwarcie celi. Facet nie mieszkał w naszym bloku, więc strażnik będzie czekał na jego wyjście, żeby znów uruchomić monitoring.

– Co się stanie, kiedy znajdą trupa?

Ibrahim wzruszył ramionami. Denerwowało go dyletanctwo Arthura, jego zbyt delikatna i niezahartowana psychika, która nie pozwoliłaby mu przeżyć samemu w więziennym świecie.

– Nic. Nigdy nic się nie dzieje. Zatuszują sprawę. Będą udawać, że prowadzą śledztwo, może znajdą sobie jakiegoś kozła ofiarnego, ale cokolwiek się wydarzy, ty będziesz już daleko stąd. Nie martw się, nikt cię nie powiąże z trupem. – Ibrahim zmył nad umywalką resztki krwi z rąk, potem zwinął prześcieradło, na którym wyciągnęli z celi olbrzyma i schował je pod materac. Nagle zaczął działać z zaskakującą energią. Wydawało się, że dokładnie wie, co i jak robić.

– Uratowałeś mi życie. Kiedy stąd wyjdę, zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby ci się odwdzięczyć.

Ibrahim skrzywił się, a jego blizna sprawiła wrażenie głębszej.

– Tak, jestem tego pewien.

Rano wszyscy już wiedzieli o zdarzeniu. Wszyscy bez wyjątku. Od przekupionego strażnika, który otworzył celę, aż po najkrócej odsiadującego wyrok więźnia, który widział przez szpary w drzwiach, jak Ibrahim i Arthur wyciągnęli trupa i zepchnęli go na wewnętrzny dziedziniec. Powszechnie wiadomo było, że ten martwy niedźwiedz był człowiekiem Ormianina. Nikt jednak nie pisnął ani słowa, nie słyhać było komentarzy czy szeptów. Pod powierzchnią istnieją prądy, które płyną w tym samym kierunku co rzeczywistość, ale o których nigdy się nie mówi. Powstałe z insynuacji, spojrzeń i dyskretnych gestów.

Strażnicy dokładnie przeszukali cele. Zabrali na przesłuchanie do dyrektora więzienia najpierw Ibrahima, potem Arthura i pozostałych więźniów. Nikt nic nie powiedział. Wszyscy udawali Greka. Stopniowo życie w bloku wróciło do normy, chociaż można było wyczuć napiętą atmosferę i robiono zakłady o datę śmierci

Arthura i jego ochroniarza, Ibrahima. Tylko ktoś bardzo naiwny mógłby uwierzyć, że to, co się stało, nie pociągnie za sobą konsekwencji, i że w więzieniu nie ma nienawiści.

Trzeciego lutego na polecenie dyrektora strażniczka zaprowadziła Arthura do bloku administracyjnego. Ordóñez był w tym czasie jednym z najmłodszych dyrektorów hiszpańskich więzień. Uchodził za człowieka małomównego i bezkompromisowego. Dyskretnie i skutecznie wykonywał swoją pracę, realizując wyraźnie sprecyzowane cele, dzięki podejmowaniu właściwych decyzji, wbrew wszystkim i wszystkiemu. Poza tym był niezwykle elegancki. Kiedy Arthur wszedł do gabinetu, dyrektor stał oparty o szafkę i przeglądał jakieś dokumenty. Obrzucił więźnia szybkim spojrzeniem – przenikliwym i bystrym – gestem pokazał mu krzesło, po czym odprawił strażniczkę.

– Proszę usiąść.

Arthur przez chwilę stał nieruchomo, chowając ręce w kieszeniach spodni. Zastanawiał się, jakiego rodzaju relacje mogłyby go łączyć z Ordóñezem poza więziennymi murami. Prawdopodobnie nigdy nie zostaliby przyjaciółmi, ale może udałoby im się okazać sobie minimum wzajemnego szacunku.

– Proszę usiąść – powtórzył dyrektor, tym razem mniej stanowczym tonem.

Arthur niechętnie przysiadł na brzegu krzesła.

– Domyślam się, że nie ma sensu znów pytać pana o martwego więźnia znalezionego w pańskim bloku.

Arthur spojrzął w niedawno odmalowany sufit, który wciąż pachniał świeżą farbą, po czym rozejrzał się obojętnie po gabinecie: metalowe szafki, akta w różnokolorowych segregatorach, na biurku telefon stojący pomiędzy portretem króla a zdjęciem dyrektora z dwiema jasnowłosymi dziewczynkami, niemal albinoskami. „Normalny facet. Ojciec bliźniaczek, który je cukierki o smaku pomarańczowym” – pomyślał, dostrzegłszy w popielniczce papierki po cukierkach.

– Ze smutku nie mogę spać.

Mięśnie na szyi dyrektora napięły się. Nie lubił sarkazmu. Arthur mu się nie podobał.

– Niech pan nie mówi bzdur, nie jest pan teraz w celi, nie musi pan udawać kogucika.

– Powiedziałem już panu i śledczemu, że nic nie wiem. Słyszałem tylko, że ten goryl był jednym ze zbirów Ormianina. Dlaczego tak bardzo obchodzi pana ten śmieć? Skurwysyn gwałcił dziewczynki i wkładał im tłuczone szkło do wagin. Każdy dzień bez niego jest lepszy.

Dyrektor przerwał mu niecierpliwie.

– Obchodzi mnie, bo ktoś zrzucił tego śmiecia na moje podwórko. Poza tym wiem, za co siedzą ludzie w moim więzieniu, więc nie musi mi pan przypominać ich wyroków, a tym bardziej mnie pouczać. Tak się składa, że ten człowiek został oddany pod moją kuratelę i byłem za niego odpowiedzialny, czy mi się to podoba czy nie. Nie pozwolę, żeby to więzienie zmieniło się w saloon na Dzikim Zachodzie, gdzie każdy wymierza sprawiedliwość według własnego widzimisię. Wiem, co powinienem wiedzieć, ale nie mam na to dowodów i muszę pogodzić się z tą sytuacją. Niech pan mnie jednak nie uważa za idiotę. – Dyrektor nie rozumiał ani nie starał się zrozumieć pewnego rodzaju subtelności. – W czasie, kiedy odbywał pan karę, staraliśmy się pana jak najlepiej chronić, zwłaszcza przed Ormianinem. Nie ma jednak czegoś takiego jak pełne bezpieczeństwo, a ja mam na głowie tysiąc innych osadzonych, więc szczerze mówiąc, cieszę się, że pan wychodzi. To dla mnie oznacza o jeden problem mniej.

– Wychodzę?

– Zgadza się. Właśnie dostałem decyzję z ministerstwa o umorzeniu pańskiej kary. Ma pan wpływowych przyjaciół. – Ordóñez poluzował nieznacznie węzeł jedwabnego niebieskiego krawata, dobranego pod kolor nieskazitelnie czystej koszuli. Zapalił papierosa i oparłszy łokcie o blat biurka, przyciągnął do siebie kryształową popielniczkę. Powoli wypuścił przez usta gęsty dym, nie patrząc na Arthura. Widać było, że nie znosi takich ludzi jak on, a mimo to stara się zachować godną pochwałą uprzejmość.

– Chyba nie muszę pana ostrzegać przed Ormianinem. Byłby pan naiwny, gdyby pan sądził, że kiedy wyjdzie pan z za kratki, przestanie pan być w zasięgu wpływów tego człowieka. Wręcz przeciwnie, na wolności będzie pan wystawiony na niebezpieczeństwo bardziej niż tutaj. Macki tego faceta są bardzo długie. Niech pan będzie ostrożny, wynajmie prywatną ochronę albo coś w tym rodzaju i ogląda się za siebie.

– Dziękuję za troskę. Wezmę to pod uwagę.

Dyrektor skinął głową bez większego przekonania. Spojrzał na zegarek, jakby był bardzo zapracowanym menadżerem.

– Dobrze, niech pan podpisze te formularze i może pan odebrać swoje rzeczy z depozytu. Przenocuje pan w bloku przyjęć, a jutro zostanie pan przewieziony do sądu... I jeszcze jedno: każde najmniejsze potknięcie i wraca pan tutaj.

Arthur podpisał dokumenty i ruszył w kierunku drzwi. Miał wrażenie, że dyrektor przygląda mu się w milczeniu. Odwrócił się nagle do niego.

– Pan też uważa mnie za skurwysyna i myśli, że gdybym nie miał pieniędzy,

zgniłbym tutaj za to, co zrobiłem. Mam rację?

Ordóñez spojrział na niego z ciekawością i uśmiechnął się lekko, jakby rozbawiony tym pytaniem. Gorzko rozbawiony.

Ta sama strażniczka co wcześniej odprowadziła Arthura do części wspólnej dla więźniów. Przechodząc obok uchylonych drzwi jednej z cel, zobaczył profil opartego o okno Ormianina. Czując na sobie wzrok Arthura, mężczyzna odwrócił się i popatrzył na niego chłodno. Uśmiechnął się. Oczywiście już wiedział o umorzeniu kary, ale najwyraźniej było mu to obojętne.

– Do zobaczenia – syknął.

Rozdział 4

– Chce, żebyś namalował człowieka, który zabił jej syna?

Eduardo skinął głową, wpatrując się w filiżankę z kawą. Olga siedziała na marmurowej posadzce, z nogą założoną na nogę i machała bosą stopą. Kręcone kosmyki potarganych włosów opadały jej na twarz, a błękitna jedwabna koszula ześlizgnęła się z jej prawego ramienia, odsłaniając rowek biustu. Najwyraźniej jednak Oldze to nie przeszkadzało. Palila papierosa i wydmuchiwała dym w stronę zlewu, w którym piętrzyły się brudne naczynia z poprzedniego wieczoru.

– Tak powiedziała.

– To jakieś szaleństwo – stwierdziła z ironicznym śmiechem, który o tak wczesnej porze był o wiele mniej napastliwy niż kilka godzin później, kiedy miała na twarzy makijaż i pomalowane usta.

Eduardo odstawił filiżankę na podłogę.

– Nie wydaje mi się – odpowiedział, próbując wyciągnąć wystające włókno z obitego tapicerką oparcia krzesła.

Olga zagwizdała z podziwem.

– Po śmierci powinieneś oddać swój mózg do celów naukowych. Na pewno przypomina labirynt, podobnie jak mózg pani Tagger.

– Bardzo śmieszne. – Eduardo poczuł lekki niepokój. Zawsze go odczuwał w obecności Olgi.

– Mówię poważnie. To graniczy z perwersją.

Eduardo wytrzymał ze stoickim spokojem wyrzut w spojrzeniu tej trzydziestoletniej kobiety o farbowanych na mahoń włosach i depilowanych brwiach. (Po co je sobie depilowała, skoro później i tak nadawała im kształt kredką?). Nagle doszedł do wniosku, że niepotrzebnie jej powiedział, iż przyjął zlecenie Glorii. Powinna się cieszyć, przecież dostanie za to wysoką prowizję. Zamiast tego siedziała na wpół naga na ziemi, palila papierosa i patrzyła na niego jak na idiotę, nie mogąc się zdecydować, czy się na niego wściec, czy go wyśmiać.

– Nie wydaje mi się to takie dziwne.

Olga obciągnęła na kolana dół koszuli, spod której widać było jej zgrabne nogi.

– W takim razie wytłumacz mi to, bo ja tego nie rozumiem. Gdyby ktoś zabił moje dziecko, ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnęła, byłby portret jego zabójcy. Pewnie chciałabym go zabić, obdrzeć ze skóry, może tylko wymazać z pamięci, ale na pewno nie chciałabym patrzeć na jego portret.

Eduardo wbił wzrok w szarą posadzkę. Rzucone w kąt błyszczące czerwone szpilki Olgi nie pasowały do brudnych fug.

– Nie masz dzieci, więc nie możesz ich stracić. Dlatego tego nie zrozumiesz.

Olga wykrzywiła usta w nieprzyjemnym uśmiechu, który miał odwrócić uwagę od bólu, który pojawił się w jej spojrzeniu.

– Nie musisz być dla mnie takim draniem. Wiem, że nie mam dzieci i że nigdy nie będę ich miała. Poza tym jestem twoją marszandką i mam zamiar też na tym zarobić.

– Jej nie chodzi o zwyczajny portret. To nie miałoby sensu. Gloria oczekuje, że odtworzę dla niej duszę tego człowieka, mapę jego wnętrza, która pomoże jej pogodzić się ze śmiercią syna.

– Powiedz jej, żeby lepiej kupiła sobie jakiś poradnik, zaczęła ćwiczyć jogę albo coś w tym rodzaju...

– Ona potrzebuje wiedzieć o nim absolutnie wszystko. Nie rozumiesz? Żeby namalować jego portret, będę musiał go poznać, zbliżyć się do niego, jak nigdy nie mogłaby tego zrobić sama Gloria.

Olga zamyśliła się. Na tyle dobrze znała się na malarstwie, żeby wiedzieć, jakich Eduardo używał sposobów, by sprzedawać złudzenia swoim klientom, zaspokajając ich pragnienia, zamiast pokazywać rzeczywistość, którą widziały ich oczy. Eduardo pomagał im uwierzyć w to, w co pragnęli uwierzyć. Jeśli kochająca matka widzi piękność w swojej córce o banalnej urodzie, on osiągał ten efekt, pozornie nie zmieniając niczego w modelce. Dodawał błysku do martwego spojrzenia kochanka, żeby sprawiał wrażenie uszczęśliwionego, tworzył fizyczne piękno w bezdusznym ciele, podnosząc do poziomu sztuki grę cieni i zawsze osiągając w ten sposób oczekiwany efekt. Jednak portret, który zamówiła Gloria, miał być inny. Chciała, żeby Eduardo zamknął w klatce pociągnięciami pędzla żywego człowieka, który będzie walczyć i buntować się przeciwko twórcy, nie dając się zatrzymać w ramach obrazu.

Olga odwróciła wzrok. Wydawało się jej, że oczy Eduarda osądzały ją, kpiąc z jej udawanej bezradności. Chciała coś powiedzieć, ale nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Zawahała się jak ktoś, kto zamierza rzucić się do rzeki, nie mając pewności, czy później uda mu się dopłynąć do brzegu, więc poddaje się losowi.

– Ona ci się podoba, prawda? Gloria A. Tagger? – mruknęła, jakby pytała sama siebie, po czym wstała, podpierając się ręką na kolanie.

Eduardo, najwyraźniej speszony, zaczerwienił się.

– To nie twoja sprawa.

– Moja. Byłeś świetnym artystą, kiedy malarstwo stawiałeś na pierwszym miejscu. Chociaż tak naprawdę stałeś się genialny, kiedy poznałeś Elenę. Ale Gloria jest kobietą, którą stworzyłeś w swoim umyśle, i cokolwiek chciałbyś, żeby was połączyło, jest nierealne. Elena nie żyje i żadna ułuda nie przywróci jej życia.

Eduardo spojrział na nią z wściekłością.

– Ty też chcesz poddawać mnie psychoanalizie? Jeśli masz ochotę, możesz pójść ze mną w przyszły piątek na sesję do doktor Martiny i przedstawić jej swoje teorie.

Olga zamachała rękami, jakby chciała odwołać swoje wcześniejsze słowa.

– Uspokój się. Uważam tylko, że w tej kobiecie jest coś fałszywego, coś mi się w niej nie podoba. Za dużo zbiegów okoliczności. Najpierw spotykasz ją w parku, a po kilku dniach zjawia się w galerii. – Od pierwszej chwili, kiedy ujrzała w drzwiach galerii Glorię A. Tagger, miała to dziwne przeczucie, mrowienie niepokoju, którego nie czuła już od dawna. Nie istniał żaden obiektywny powód, żeby ścisła ją w gardle i żołądka, ale coś jej mówiło, że powinna mieć się na baczności.

Poczuła się nieswojo, a może głupio, jakby żałowała, że poruszyła z Eduardem pewne tematy.

– Czy ona wie, że straciłeś w wypadku Elenę i Tanię?

– Tak, wie. I przypuszczam, że właśnie dlatego chce, abym namalował ten portret. Przeszedłem wcześniej przez takie samo doświadczenie, więc ma nadzieję, że przeprowadzę ją do wyjścia z tunelu.

– Zrobisz to? Sam już wyszedłeś z tego tunelu?

– Nie mam ochoty z tobą o tym rozmawiać – stwierdził krótko.

– Z kimś będziesz musiał. One umarły czternaście lat temu. Ostatnie trzynaście lat spędziłeś w zamknięciu nie tylko w sensie dosłownym, ale zafiksowałeś się na tym momencie, kiedy wracaliście z Cadaqués. Sam nie dałeś rady przerobić tego gówna, a teraz mi mówisz, że masz się stać latarnią dla tej kobiety. To absurd.

Eduardo zaczął grzebać w kieszeniach, aż znalazł pogniecionego papierosa. Wyprostował go i zapalił, żeby się uspokoić. Rozejrzał się wokół, jakby czegoś szukał. Olga podążyła za jego wzrokiem i od razu się domyśliła.

– Jest ósma rano, Eduardo.

– Życie jest krótkie – odpowiedział.

– Jak sobie chcesz.

Gdzieś były kieliszki, ale nie pamiętała gdzie. W końcu znalazła niską, nieco brudną szklankę. Opłukała ją pod kranem i nalała do niej wódki z cytryną bez

lodu. Eduardo wypił drinka jednym haustem, wylewając kilka kropli na podłogę. Ręka mu drżała. Nagle przybrał ten wylęknięty wygląd, który powodował, że ludzie się od niego odsuwali.

Olga podeszła do okna. Na jej twarzy malował się smutek. Po czternastu latach wciąż czuła, że jest coś Eduardowi winna. Troszczyła się o niego, dbała, żeby miał czyste ubranie, i zazwyczaj wychodząc z jego mieszkania, zostawiała na stole kilka banknotów. Godziła się nawet wyjść z nim na kilka drinków do obrzydliwych i głośnych spelunek, w których śmierdziało tytoniem, tylko po to, żeby od czasu do czasu miał towarzystwo. W zamian oczekiwała odrobiny uwagi i docenienia. Ale on systematycznie jej ich odmawiał.

– Martwię się o ciebie.

Eduardo nalał sobie kolejnego drinka i pił go bez wcześniejszego pośpiechu. Przyglądał się Oldze zza wyszczerbionej krawędzi szklanki. Nadal zastanawiał się, kim naprawdę jest i dlaczego nagle zjawiała się w jego życiu. Bez zleceń, które mu załatwiała, skończyłby jako nocny stróż na podziemnym parkingu, czytający tanie powieści i pijący kawę z automatu, zagryzaną ciastkami z supermarketu, i palący papierosy z nudów przez resztę swoich dni. Kiedy przebywał w psychiatryku w Huesce, Olga jako jedyna interesowała się nim. Przyjeżdżała w dni odwiedzin i przez dwadzieścia regulaminowych minut siedzieli naprzeciwko siebie w milczeniu, odgradzeni brudną grubą szybą, na której powierzchni widać było parę oddechów i ślady palców, nie mieli sobie nic do powiedzenia i niemal na siebie nie patrzyli. Powtarzali ten rytuał raz w miesiącu, zawsze w ten sam dzień, o tej samej godzinie. Żadne z nich niczego nie oczekiwało i o nic nie pytało. Niekiedy Olga przysyłała mu papierosy, czasopisma, książki o malarstwie i trochę czystych ubrań. Aż pewnego dnia przestała go odwiedzać, stopniowo również przestały przychodzić paczki. Olga nie podała powodu, a on o niego nie zapytał. Po prostu tak się stało.

Jednak kiedy trzynaście lat później został wypisany ze szpitala, Olga czekała na niego na parkingu. Eduardo nigdy nie zapytał dlaczego.

– Nie musisz się o mnie martwić, litować się nade mną czy mnie chronić. Wystarczy, że dasz mi spokój.

Olga popatrzyła na niego z udawanym lekceważeniem, skrywaną pogardą, którą w rzeczywistości czuła do siebie.

– Masz rację. Kiedy następnym razem wpadniesz na pomysł, żeby podciąć sobie żyły, może powinieneś poprosić o pomoc kogoś innego. Jeśli postanowiłeś spieprzyć sobie resztę życia albo zakochać się w urojeniach, to nie moja sprawa. Teraz, jeśli pozwolisz, chciałabym przez chwilę zostać sama.

Odprowadziła Eduarda do wyjścia, położyła rękę na klamce i otworzyła drzwi, a kiedy stanął w progu, odwróciła od niego wzrok.

– Nigdy mnie nie zapytałeś, dlaczego to zrobiłam – powiedziała z błyszczącym wzrokiem pod rzęsami krótkimi jak u dziewczynki, która jeszcze nie używa maskary.

– Co masz na myśli?

– Mogłam pójść na policję, ale zamiast tego tobie o wszystkim opowiedziałam. Nigdy mnie nie zapytałeś, dlaczego tak postąpiłam ani dlaczego odwiedzałam cię w szpitalu, a potem nagle przestałam. Nie zdziwił cię nawet mój widok na parkingu w dniu, kiedy wyszedłeś... Nigdy nie zadawałeś mi żadnych pytań.

Eduardo zamyślił się i wśród płataniny myśli i przypuszczeń, które rozsadzały mu czaszkę, próbował znaleźć właściwe słowa.

– Być może nigdy nie chciałem usłyszeć odpowiedzi.

Tej nocy Eduardowi udało się zasnąć jak zwykle bardzo późno. Miał bardzo płytki sen, przypominający ciężką bitwę, z której obudził się potwornie zmęczony. Tym razem nie ocknął się przez koszmary, ale krzyki dochodzące z drugiego końca korytarza. Straszne, jakby zwierzęce piski, od których człowieka przechodziły dreszcze. Nie wydawało ich jednak żadne zwierzę. Eduardo przyzwyczał się, że co jakiś czas było je słyszeć. Włączył światło i wymacał stopami kapcie. Ruszył do drzwi, wiedząc, że nikt inny nie pojawi się na korytarzu. Mimo zamieszania żaden lokator budynku nie wyjdzie, by pomóc czy sprawdzić, co się stało. Najwyżej ci, którzy podglądali przez wizjery w drzwiach, następnego ranka będą mieli temat do plotek.

Graciela stała przed uchylonymi drzwiami swojego mieszkania. Popatrzyli z Eduardem na siebie w milczeniu. Zaczesała ręką włosy do tyłu, na jej twarzy malowała się rozpacz i drżały jej usta.

– Obudziła się. – Wzrokiem błagała o pomoc.

Eduardo słyszał histeryczny krzyk Sary. Graciela próbowała uspokoić córkę przez szparę w drzwiach czułymi i przekonującymi słowami, ale dziewczynka krzyczała coraz głośniejszymi, aż w końcu wybuchła mieszaniną płaczu, śmiechu, niezrozumiałych gróźb i obelg. Słyszeć było uderzenia, jej wrzask, dźwięk tłukących się przedmiotów. Wreszcie przerażony Eduardo odsunął Gracielę i otworzył drzwi. Sara była w amoku, z jej wzburzonego spojrzenia bił niezwykle blask – jak u ślepego, który patrzy prosto w słońce. Na widok otwartych drzwi rzuciła się w ich stronę, żeby wybiec z mieszkania. Obsesyjnie chciała znaleźć się na ulicy, uciec z domu.

Graciela złapała ją pod pachy, ale Sara, kopiąc i gryząc w powietrzu, wyrwała się z jej uścisku. Była silna jak dorosły człowiek, zwłaszcza podczas ataków szału. Eduardowi udało się dwukrotnie obronić przed jej ugryzieniami, ale nie zdążył cofnąć się przed kopniakiem prosto w chore kolano. Stłumił okrzyk bólu i złapał dziewczynkę od tyłu, tak żeby nie była w stanie mu się wyślizgnąć, chociaż wiła się jak piskorz.

– Wezwij pogotowie! – krzyknął do Gracieli, nagle niezwykle spokojnej, jakby uszło z niej powietrze. – Na Boga, Gracielo, zadzwoń po pogotowie! – powtórzył, z trudem łapiąc oddech.

Czterdzieści minut później Sara zapadła w twardey sen na szpitalnym łóżku. Jej szczupłe i sprężyste ciało – tak podobne do ciała jej matki – oddychało pod kołdrą. Nie było śladu po zmii, która kilka minut wcześniej wstrząsnęła nią tak brutalnie. Jakby nic się nie wydarzyło. Wyglądała jak zwykle, może trochę zbyt blada dziewczynka, z widoczną siatką żyłek na powiekach i wykrzywionymi w grymasie ustami. Wytężając słuch, można było usłyszeć, jak zgrzyta przez sen zębami, ale nic więcej. Światło lampki rzucało na białą ścianę kontury jej pokonanego ciała.

– Pod wpływem środków uspokajających będzie spała przez kilka godzin, ale nie da się nimi zatrzymać kotłujących się w jej głowie myśli. Jej umysł się gotuje, czuję pod skórą strumień lawy, który pali jej mózg – powiedziała Graciela, kładąc rękę na czole córki i odgarniając spocone kosmyki jej grzywki.

Rankiem Sara obudzi się z wrażeniem, jakby część jej ciała pozostawała nadal we śnie. Będzie wracała do siebie przez kilka następnych dni.

– Pielęgniarki dobrze się nią zaopiekują. Słyszałaś, co powiedział lekarz. Lepiej, żeby została w szpitalu na noc na obserwacji – powiedział Eduardo.

Kobieta skinęła lekko głową. Eduardo patrzył, jak podchodzi do szafy i zachowuje się jak automat: otworzyć szafę, wyjąć neseser, wyjąć z niego ubranie na zmianę, powiesić na wieszaku... Wszystkie ruchy wykonywała nadludzkim wysiłkiem czynionym po to, żeby się nie rozsypać. Jej kruchość była wręcz namacalna. Eduardo wyjął jej z rąk małą walizkę – zawsze przygotowaną na wypadek kryzysów Sary – zanim spadła na podłogę.

– Daj, ja to dokończę.

Wtedy Graciela wybuchła płaczem. Ale zamiast gwałtownego, wyzwającego szlochu – którego pragnęła – z jej oczu poleciały powściągliwie skąpe łzy.

– Dlaczego?

Nie odpowiadając na pytanie, Eduardo dotknął jej ust opuszką palca, jakby tym gestem chciał wymazać jej ból i zastąpić pocałunek, którego nie mógł jej dać. Odchrząknął i potrząsnął głową w sposób, w jaki robią to Hindusi: potakująco,

a jednocześnie z odmową.

Graciela odsunęła się od niego i otarła łzy grzbietem ręki.

– To trwa od wielu lat i nie dam rady dłużej, jestem wykończona. Czasami myślę, że stałam się do końca życia jej zakładniczką, ale potem zdaję sobie sprawę, że to nieprawda, że nie powinnam jej obwiniać. W rzeczywistości poddałam się dużo wcześniej, przed jej urodzinami. – Mówiła niemal szeptem, ze zniechęceniem, nie zastanawiając się i nie powstrzymując słów płynących z jej ust.

– A co z jej ojcem?

Graciela machnęła ręką w powietrzu.

– Jej ojciec był bardzo przystojny – zaśmiała się, przygnębiona tym stwierdzeniem. – Czy to nie żalosne, że tylko tyle mogę powiedzieć o mężczyźnie, który zrobił mi dziecko? Zawsze miałam słabość do dupków z ładnymi zielonymi oczami, którzy nigdy nie chcieli dorosnąć. Wytrzymał z nami miesiąc, może dwa. Obiecał, że zajmie się Sarą, i wiem, że wiele go kosztowało zaakceptowanie sytuacji, kiedy lekarze nam powiedzieli, że ona nigdy nie będzie normalnym dzieckiem. Przez pewien czas starał się być jej ojcem, ale ostatecznie mu to nie wyszło i tej wersji się trzyma do dzisiaj. Zaczął zdradzać mnie z innymi kobietami. Może początkowo czuł się winny, miał jakieś wyrzuty sumienia, kiedy któraś robiła mu laskę w bramie naszej kamienicy, podczas gdy ja ślaniałam się ze zmęczenia, bo Sara nie chciała spać i płakała, czym doprowadzała mnie do rozpacz, bo nie wiedziałam, co jej dolega. Jednak to poczucie winy szybko mu minęło. Pewnego dnia po prostu odszedł. Nie pożegnał się. Wymazał nas ze swojego życia. Wiesz, tacy ludzie się zdarzają.

– Spotkasz kogoś. – Eduardo doszedł do wniosku, że powinien coś powiedzieć. Graciela zasługiwała na lepszy los, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że los nie miał nic wspólnego z podejmowanymi przez ludzi decyzjami.

Graciela zaakceptowała ten jego brak szczerości z wymuszonym uśmiechem.

– Oczywiście zdarzali się też inni mężczyźni. Zawsze się jacyś znajdują, jeśli kobieta nie będzie zbyt wymagająca... Wiesz, że pół roku temu amputowano mi pierś? – zapytała, patrząc pustym wzrokiem na Eduarda, jakby wspominała o jakimś mało ważnym szczególe. Eduardo lekko się zaczerwienił i nie odpowiedział. – Większość facetów jest przerażona, kiedy zdejmuję biustonosz z epitezą, chociaż zazwyczaj ich o tym uprzedzam. Nie są w stanie na widok blizny powstrzymać grymasu wykastrowanego koguta. Niektórym udaje się przemóc, ale niewielu nie zwraca na nią uwagi. Ale kiedy dowiadują się o istnieniu Sary i związanych z nią perspektywach, nawet ci najbardziej wytrzymali

kapitulują, zapominają o pięknych słówkach i biorą nogi za pas. Szczerze mówiąc, przestałam mieć nadzieję.

„Wszyscy żyjemy nadzieją, dopóki jej nie stracimy” – pomyślał Eduardo, nie zdając sobie sprawy z rozmiarów pretensji i oczekiwań kryjących się w słowach Gracieli.

– Ale ciebie to nie przeraża – powiedziała, patrząc na niego zaintrygowana. – Wiem, że widziałeś mnie w łazience. Chciałam, żebyś mnie zobaczył. Ataki Sary też nie budzą w tobie lęku i wiesz, jak się z nią obchodzić. Ona cię lubi i nie da się ukryć, że ty ją też.

Eduardo poprosił, żeby zamilkła, ale Graciela go nie posłuchała. Złapała go za łokieć, żeby go zatrzymać swoim wzrokiem rozbitka i rękami pełnymi rozpacz.

– Wiem, że straciłeś żonę i córkę i że przez te wszystkie lata nie chciałeś z nikim się wiązać. Ale wszyscy mamy prawo dostać drugą szansę, Eduardo. Jesteś dobrym człowiekiem, a ja nie chcę jeszcze czuć się martwa.

Eduardo delikatnie, choć stanowczo uwolnił się z jej uścisku. Na jego szyi pojawiły się duże czerwone plamy ze zdenerwowania.

– Nie jestem dobrym człowiekiem, Gracielo. Właściwie nic o mnie nie wiesz.

– Wiem wystarczająco dużo.

– Nie, nie wiesz. Proszę, skończmy tę rozmowę. Pójdę już. Rano muszę wczesnie wstać.

Graciela ze smutkiem pokiwała głową. Było jej smutno za siebie, za Sarę i za niego. Próbowała ukryć emocje, przesuwając wazon na półce.

– Nie sądzisz, że bukiet uschniętych kwiatów jest najlepszym przykładem ulotności?

Eduardo spojrział na kwiaty. To były świeżo ścięte róże. Ktoś wsadził je do wazonu, by przyglądać się ich agonii.

– Ucałuj ode mnie Sarę, kiedy się obudzi – powiedział.

– Ucałuję – Graciela podeszła i musnęła ustami jego policzek w przelotnym pocałunku. Gruba warstwa makijażu nadawała jej skórze aksamitny dotyk.

Pozwoliła mu wyjść z pokoju, nie zatrzymywała go, nie poprosiła, żeby jeszcze został, żeby objął ją chociaż na chwilę. Mogłaby potem zebrać się w sobie i żyć dalej – jak zawsze – z Sarą, tylko z nią. Czasami jednak potrzebowała odrobiny miłości... kilku kropel czułości, towarzystwa.

„Czym jest miłość? Niczym. Ulotnym uczuciem. Sądzimy, że je mamy, ale ono nigdy do nas nie należało”.

Pan Who wpatrywał się w monitor komputera, w zdanie, które przed chwilą

napisał. Była piąta nad ranem i nie mógł spać. Próbował zasnąć, ale materac był cienki jak bibuła, a on czuł się jak nieboszczyk gapiący się w ciemność otwartymi oczami. Zmęczony, rozbity i skonany, wyrzwał przez szpary w okiennej żaluzji. Ulica była pusta, oświetlona samotną latarnią stojącą na wybetonowanym placyku otoczonym starymi oliwnymi drzewami, które ktoś z urzędu miasta postanowił tam kiedyś posadzić. Szyby zaparkowanych w pobliżu samochodów pokrywał szron, było zimno. Usiadł w samej bieliźnie przy biurku i zaczął przetrząsać szuflady w poszukiwaniu zbyt mocnych chińskich papierosów o niemożliwej do wypowiedzenia nazwie. Palił je, odkąd Chang opowiedział mu, że papierosy tej marki palą *prawdziwi* Chińczycy. A pan Who postanowił stać się *autentycznym* Chińczykiem za wszelką cenę. Szybko się uczył.

– Przecież to siedzi w tobie, musisz tylko to obudzić po długim czasie letargu – pouczał go Chang, sprawdzający jego postępy w nauce.

Palenie chińskich papierosów zamiast amerykańskich lightów nie było najgorszą rzeczą, jaka Who mogła się przytrafić.

Chłopak pomasaował opuszkami palców czoło, wykręcając szyję w prawo i w lewo, jak zawodnik przed walką. Wrócił przed monitor komputera i na chwilę zawiesił dłonie nad klawiaturą jak pianista, który za moment rozpocznie swój recital. Skasował zdanie. To miał być wiersz dla Mei, ale ostatecznie wydał mu się naiwny i dziecinny. Westchnął głęboko i wpisał adres swojego tajnego konta e-mailowego, którego nie znała i nie mogłaby namierzyć jego matka (przysięgała, że nie naruszała jego prywatności, nie śmiałaby tego zrobić, ale pan Who zastawiał niewidzialne pułapki i wiedział, że ogląda strony internetowe, na które wchodzi, przegląda jego e-maile i SMS-y). Na pomysł tajnego konta wpadł Chang i tam właśnie przysyłał Who adresy nowych klientów.

Dziesięć minut wcześniej przyszedł e-mail: hotel w pobliżu ulicy Montera. Najwyraźniej nie tylko pan Who cierpiał na bezsenność. Zanotował adres i skasował wiadomość.

Zszedł do kuchni, szurając kapciami, usiadł z puszką coca-coli w ręku i utkwiał spojrzenie w stalowym zegarze na ścianie. Wypił colę i poczuł w pustym żołądku mdłości od ciężaru bąbelków. Strzepnął popiół z kolejnego papierosa do otworu w puszcze, słyszał, jak syczy, opadając na dno. Wrzucił niedopałek do puszki, a ją do kosza na śmieci i zamknął szczelnie pokrywę. Potem otworzył drzwi i okno, żeby przewietrzyć kuchnię. Maribel nie zносиła zapachu tytoniu w domu i chociaż na pewno wiedziała, że popadł w nałóg, pan Who starał się zachować pozory, a przynajmniej, z szacunku do matki, unikał palenia przy niej. Jednak mimo wszystkich środków ostrożności wkrótce usłyszał skrzypienie parkietu w salonie

i mechaniczny dźwięk wózka inwalidzkiego zbliżającego się do kuchni.

– Przepraszam, nie chciałem cię obudzić, przyszedłem tylko się czegoś napić.

– I wypalić jeden z tych śmierdzących petów... – dokończyła Maribel, pojawiając się w progu i machając ręką. Miała na sobie podobny do kimona szlafrok ze sztucznego jedwabiu w bardzo jaskrawy kwiatowy wzór, który nosiła tylko dlatego, że dostała go od pana Who na sześćdziesiąte urodziny. Nacisnęła dźwignię wózka i podjechała do kuchennego blatu. Pan Who wyprzedził ją i nalał wodę do czajnika.

– Ile spałeś? Dwie godziny? Słyszałam, że wróciłeś bardzo późno – zapytała, kładąc ręce na kolanach.

Pod czerwonym materiałem kimona widać było pomarszczone i atroficzne uda. Jej zgrabny tułów i kształtny biust nie harmonizowały z bezużytecznymi nogami. Po jednej stronie wózka wystawał fragment cewnika i worek z odrobiną moczu. Maribel zauważyła to i ze wstydem zakryła go kimonem.

– Mniej więcej – odpowiedział Who, patrząc na rozgrzany czajnik. – W restauracji pana Changa jest bardzo dużo pracy i dopóki nie zamknie i nie wysprzątamy kuchni, nie może się nami zająć i udzielać nam lekcji.

W rzeczywistości zasiedział się u pewnej *specjalnej* klientki, a potem nie zdążył na autobus do Madrytu. Musiał złapać stopa i przejść piechotą kilka kilometrów, ale opłacało się. Bogaci zawsze się opłacają.

– To godne pochwały, że twój szef wkłada tyle wysiłku w nauczanie cię pisania po chińsku – stwierdziła z nieskrywaną ironią Maribel.

– Chang jest patriotą, nie zapomina o swoich korzeniach – odpowiedział pan Who. – Chce, żebym ja też o nich pamiętał.

Who nalał dymiącą herbatę do porcelanowych filiżanek, wsypał łyżeczkę cukru do filiżanki matki, a sam dmuchając, napił się niesłodzonej. Maribel odruchowo odgarnęła z czoła grzywkę.

– Ludzie gadają, że Chang nie jest tylko patriotą. Nawiasem mówiąc, to słowo nieszczególnie mi się podoba. Podobno zajmuje się też innymi rzeczami. Większość poszukiwaczy przygód i awanturników zazwyczaj ukrywa coś za swoją fasadą.

Pan Who uśmiechnął się czule, a jego błyszczące spojrzenie przywróciło mu wygląd niewinnego dziecka, którym już od dawna nie był, zwłaszcza odkąd postanowił stać się panem Who, palić chińskie papierosy i ubierać się na czarno.

– Ty też nie zapominasz o twoich rodzicach i dziadkach... a nie powiedziałbym, żebyś wyglądała na poszukiwaczkę przygód czy awanturniczkę.

– Pochodzę z Murcji i od tak dawna mieszkam w Getafe, że stałam się częścią

jego krajobrazu, więc nie próbuj mną manipulować – odpowiedziała z niesmakiem. – Znam Changa dużo lepiej niż ty. Twój ojciec miał w tym budynku swój sklepik numizmatyczny, a ja prowadziłam warsztaty tańca klasycznego. W tym samym czasie Chang kupił lokal na parterze i otworzył swoją restaurację. Powiedzmy, że zawsze odznaczał się dużym pragmatyzmem, szczególnie w robieniu interesów, więc dorobił się na tyle, żeby przejąć szkołę tańca i sklep. Przez ostatnie trzydzieści lat szło mu tylko coraz lepiej, ale nigdy nie zgodził się oddać nam naszego lokalu.

– Pan Chang bardzo cię szanuje, zawsze to powtarza. Nie powinnaś okazywać mu tyle niechęci.

Maribel przesunęła palcem po krawędzi filiżanki. Rozmowa o przeszłości i jej konfrontacja z teraźniejszością były tak samo męczące jak krążenie po labiryncie, kiedy tylko częściowo zna się drogę. Tym bardziej próby przekonania syna, żeby uważał na Changą, nie miały żadnego sensu. Niepokoiła ją ta nagła zmiana w jego sposobie ubierania się i zachowania. Czarne ubrania, podkreślone czarną kredką oczy i pomalowane paznokcie, ozdabianie ciała kolczykami i innym żelastwem, a nawet tatuażami. Miał dwadzieścia dwa lata i Maribel była skłonna pogodzić się z tym, że eksperymentował ze stylem i ciałem, by zdecydować, kim chce być. Mimo to najbardziej niepokoił ją ten jego nagły upór w kwestii, którą nazywał „odkrywaniem korzeni”.

Nigdy ani ona, ani Teo nie robili tajemnicy z faktu, że został adoptowany. Zresztą to było przecież oczywiste. Postanowili, że pewnego dnia powinien się dowiedzieć – jeśli zechce – kim byli jego biologiczni rodzice i skąd pochodził. Maribel zawsze wiedziała, że prędzej czy później to nastąpi, i była przygotowana na jego spokojną przemianę, ale jej syn zdecydował przejść przez most swojej tożsamości zbyt szybko. Odkąd spotykał się z tym starcem, stał się małomówny i skryty. Rzadko z nią rozmawiał, a jeśli już, Maribel miała wrażenie, że myślami uciekał gdzieś indziej. Często nie wracał na noc do domu albo wpadał do niego jak po ogień. Patrzył z przygnębioną pustką w oczach i przez dłuższy czas nie potrafił odzyskać swojego zwykłego uśmiechu. Teo wiedziałby, jak sobie poradzić z tą sytuacją. Ale go nie było, a Maribel czuła się przytłoczona.

Pan Who wbił wzrok w zielone dno swojej filiżanki i zmrużył oczy.

– Byłem dzisiaj na cmentarzu, na grobie taty – zmienił temat.

Maribel spojrzała na syna z lekkim zaskoczeniem. Who nie zwykł wspominać o Teo, a tym bardziej nie odwiedzał jego grobu.

– Myślę, że to dobrze.

Pan Who odchylił głowę do tyłu i splótł na karku palce z pomalowanymi

na czarno paznokciami.

– Czasami słyszę przez drzwi sypialni, jak płaczesz.

Maribel westchnęła z niechęcią i zawinęła siwy kosmyk za ucho.

– Kochałam go, był mężczyzną mojego życia i przez dwadzieścia lat byliśmy szczęśliwi. Tego się nie da zapomnieć.

– Ja go natomiast ledwie pamiętam. Dla mnie jest jak zamknięty pokój, za drzwiami, których nie pozwalasz mi otworzyć. – To nie była metafora, ale stwierdzenie faktu: Who miał zakaz wchodzenia do sypialni Maribel.

– To mój ból i nie mogę ani nie chcę go z nikim dzielić. To jedyna rzecz, jaka pozostała mi po twoim ojcu.

– Powinienem go pamiętać. Staram się, ale nie potrafię. Z upływem lat staje się rozmazanym obrazem. Oddała się, jakby nigdy nie istniał.

Maribel potrząsnęła głową ze smutkiem i dopiła herbatę. Wstawiła filiżankę do zlewu i przysunęła krzesło blisko syna.

– Wiem, że musisz przez to wszystko przejść: zmieniasz się, zadajesz pytania, masz wątpliwości. Ale przyznam szczerze, że wolałam, żeby nas to ominęło.

Pan Who wstał i założył ręce.

– Co byś zrobiła, gdybyś mogła cofnąć czas? Zaadoptowałaabyś mnie po raz drugi? Pojechałabyś po mnie?

Maribel patrzyła na syna z niedowierzaniem.

– Dlaczego mnie o to pytasz? Jaki to ma sens? Oczywiście, że tak. Jesteś moim synem, kocham cię i jestem dumna z człowieka, którym się stajesz. Przeraza mnie tylko, że to się dzieje tak szybko.

Pan Who lekko się zaczerwienił, najwyraźniej zakłopotany. Kątem oka sprawdził godzinę na ściennym zegarze.

– Przepraszam, wybacz mi, ale muszę coś załatwić – powiedział, wychodząc z kuchni.

Chociaż uliczne latarnie wciąż jeszcze były zapalone, ulice stopniowo rozświetlała naturalna jasność dnia. Śmieciarze opróżniali właśnie kontenery, a kilka metrów dalej kobieta wyprowadzała na spacer swojego yorka, a raczej ciągnęła go za sobą na krótkiej smyczy. Na postoju taksówek dwóch mężczyzn paliło na spółkę papierosa i rozmawiało przyciszonym głosem. Sprzedawca w kiosku po prawej stronie placu Puerta del Sol przecinał nylonowe opaski na paczkach z gazetami. Pan Who nie musiał długo iść, żeby znaleźć się przed budynkiem numer sto dwadzieścia trzy, gdzie mieścił się tani hotel. Nacisnął guzik domofonu i po kilku sekundach zgrzytliwy głos kazał mu wejść prosto na taras. W holu znajdowała się

zamknięta stróżówka i starodawna winda, która jeździła w szybie z metalowej siatki. Podczas gdy winda z grzechotem mijała kolejne piętra, pan Who próbował wyobrazić sobie klienta, z którym miał się spotkać. Z doświadczenia wiedział, że takie spekulacje były zwykłą stratą czasu, ale kilka minut przed spotkaniem zawsze odczuwał lekki niepokój. Zazwyczaj klienci poszukujący mocniejszych i bardziej dziwacznych wrażeń zjawiali się w ukrytym pomieszczeniu w restauracji Changa – tak było dyskretniej. Nikt nie chciał, żeby krzyki zaniepokoiły jakiegoś życzliwego sąsiada, który zadzwoni na policję. Fakt, że ten klient wolał spotkać się w hotelu w centrum miasta, uspokoił pana Who, przynajmniej częściowo. Może był to jakiś drobnomieszczanin albo ktoś wykonujący wolny zawód: lekarz, adwokat, pisarz, a może muzyk. Obsługa tego typu ludzi nie była trudna, a na swój sposób nawet okazywała się przyjemna. Byli zazwyczaj o wiele bardziej konwencjonalni pod względem upodobań seksualnych, niż można było się po nich spodziewać, biorąc pod uwagę wykonywane przez nich zawody.

Pamiętał pewnego znanego piosenkarza, za którym ciągnęła się zła opinia człowieka nieobliczalnego i wielbiciela wszelkich możliwych perwersji. Dzięki temu płyty i bilety na jego koncerty sprzedawały się jak świeże bułeczki. Tymczasem prywatnie okazał się potulny jak kotek łaszący się i proszący o pieszczoty, których – ze względu na swoją reputację – mógł kosztować tylko w ukryciu. Who szczerze lubił tego klienta, wolał bowiem grać dla niego delikatne ballady na gitarze klasycznej zamiast ekscentrycznych i męczących przebojów, ale na odchodne zawsze żądał, żeby Who rozpuszczał plotki o tym, iż jest najbardziej zdegenerowanym dziwkarzem i największym imprezowiczem w Madrycie.

Z nadzieją, że tym razem spotka podobnego klienta, pan Who wyszedł z windy, kiedy zatrzymała się na ostatnim piętrze. Drzwi pokoju były uchylone, mimo to Who zapukał.

– Jestem tutaj, na tarasie – z głębi odezwał się damski głos.

„Więc to kobieta” – pomyślał Who. „Dobrze”. Nie było nic niezwykłego w tym, że zamówiła jego usługi. Zasadniczo mógł się spodziewać tego samego, co w przypadku mężczyzny.

W jednej chwili przeszedł z jasnej klatki schodowej do zaciemnionego pokoju. W powietrzu unosił się zapach świeżo zaparzonej kawy i płynu do kąpieli. Wbrew temu, czego można było oczekiwać po zniszczonej elewacji hotelu, pokój był ładny: urządzone może trochę zbyt minimalistycznie, sprawiał wrażenie chłodnego. Białe, nagie ściany, tanie meble. Z telewizora, włączonego na kanał muzyczny, rozbrzmiewał utwór grany przez skrzypaczkę Vanessę Mae

w aranżacji Vangelisa.

Kobieta stała oparta o barierkę małego tarasu i wpatrywała się w szary horyzont Madrytu, najeżony chaotycznym lasem anten.

– Piękna panorama miasta – powiedział na powitanie pan Who.

Kobieta nie odwróciła się od razu, choć przytaknęła głową, głaszcząc się po nagich ramionach. Powoli przekręciła szyję, ukazując profil lekko zapuchniętej od snu twarzy i potargane włosy na czole. Jej czerwona nocna koszula na ramiączkach okrywała ciało, które zaczęło powoli tracić swoją jędrność. Stała boso, z prawą stopą opartą o lewą. Pan Who zauważył, że miała paznokcie u nóg pomalowane każdy na inny kolor. Jakaś ekscentryczka, pomyślał z zadowoleniem.

– Na zdjęciach wyglądasz na starszego – stwierdziła stanowczym tonem. Zmierzyła go wzrokiem z mieszaniną smutku i determinacji. – Ile masz lat?

– Dwadzieścia cztery – skłamał bez mrugnięcia. Wiedział, że ten pośredni wiek oddalał wszelkie uprzedzenia, a bez problemu na tyle wyglądał. – Jeśli chcesz, pójdę sobie – dodał z nutką złośliwości w głosie.

Spojrzała na niego dwuznacznie i w końcu uśmiechnęła się łagodnie. Wyciągnęła rękę i przyciągnęła chłopaka do siebie. W rzeczywistości był o wiele ładniejszy niż na zdjęciach na stronie internetowej. Głaszcząc jego androgeniczną twarz, poczuła ukłucie wyrzutu sumienia, odrazy, ale zapomniała o nich w chwili, kiedy pan Who objął ją w talii i powoli zaczął całować w szyję.

– Pocałuj mnie w usta. Czy to wchodzi w zakres twojej usługi? – zapytała z powściągliwym okrucieństwem, które przypominało zawziętość psa chcącego ugryźć własny ogon.

Pan Who popatrzył na jej podkrążone oczy i wzruszył ramionami.

– Pocałunki w usta są bardzo intymne. To tak, jakbyś miała zdradzić swoje imię nieznanemu.

– Mam na imię Rocío, czy to ci wystarczy?

Pan Who w odpowiedzi dotknął opuszkami palców jej brzucha, a potem pocałował ją w usta i poczuł jej zniecierpliwioną reakcję.

Niektórzy kochankowie uprawiają seks ze złością ukrytą w ruchach, po cichu obwiniając się za chwilę przyjemności, na którą sobie pozwalają; dręczeni wątpliwościami i wyrzutami sumienia. W taki właśnie sposób zachowywała się ta kobieta. Nie pozwoliła nawet młodemu zigołakowi zdjąć z siebie nocnej koszuli. Nie chciała dopuścić do swojej intymności obcego człowieka, ale on szybko rozbroił ją swoimi zuchwałymi ruchami i spojrzeniami i oboje wylądowali na łóżku w pokoju.

Who przyjrzał jej się uważnie: nie była już pierwszej młodości.

Prawdopodobnie przyzwyczała się do komfortu, jaki dawał rynek prostytucji – niedbałego rozleniwienia uczuć i możliwości żądania wszystkiego bez konieczności dawania czegokolwiek w zamian. Podniecały ją niektóre aspekty wiążące się z seksem za pieniądze: uprzedmiotowienie i świadomość, że stanowiła dla kochanka przeszkodę na drodze do osiągnięcia celu, którym były pieniądze leżące na stole. Dlatego pożądanie miało jedynie charakter cielesny, seks był praktyczny, pobudzał ciało. Tymczasem uczucia pozostawały w ukryciu, bezpieczne przed nowymi i dawnymi ranami.

– Wszystko w porządku? – zapytał pan Who.

Znał to wrażenie nieobecności, sztywność bioder, pocałunki zbyt przypominające ugryzienia i obojętność w odpowiedzi na jego pieszczoty. Rozczarowało go, że mimo dużego zaangażowania nie potrafił przebić bryły lodu, w którą ktoś kiedyś zmienił serce tej kobiety. Mógł się tylko wykazać skrupulatnością i umiejętnościami technicznymi. Jeden, może dwa orgazmy i koniec. Tylko tego oczekiwano po nim tego ranka.

– Jak najbardziej – odpowiedziała kobieta, zdejmując majtki. – Czy moglibyśmy zakończyć tę rozmowę i przejść do pieprzenia?

Who zamknął się w skorupie niewrażliwości. Nie zdążył się rozebrać. Kobieta nagłym ruchem odsłoniła jego nagi, pokryty tatuażami tors, wrywając z koszuli kilka guzików, i wyjęła jego członek, nie pozwalając chłopakowi zdjąć spodni ani butów.

Kiedy było po wszystkim, odsunęła się od niego z grymasem na twarzy. Nawet jeśli seks ją zaspokoił, absolutnie nie dała tego po sobie poznać.

– Mogę skorzystać z łazienki? – zapytał Who.

Kobieta wskazała obojętnie drzwi na końcu korytarza.

Pan Who zamknął się w łazience i spojrzał ponuro na swoje odbicie w lustrze. Przez chwilę poczuł się potwornie zagubiony i pusty, jakby przestała w nim płynąć krew. Potem stopniowo krążenie wróciło i skóra odzyskała swój kolor. „Prędzej czy później – pomyślał – powinienem przestać pracować dla Changa”. Wciąż jednak brakowało mu kilku tysięcy euro do sumy, którą postanowił zaoszczędzić. Poza tym Mei go potrzebowała.

Wrócił do pokoju. Kobieta siedziała na łóżku z wyciągniętymi nogami i paliła papierosa. Opadające ramiączko koszuli odsłaniało fragment biustu. Przy materacu leżały złożone banknoty. Pan Who podszedł i schował je, nie przeliczając.

– Zostawię ci wizytówkę, gdybyś mnie kiedyś jeszcze potrzebowała.

Kobieta skinęła bardzo powoli głową, nie patrząc na niego. Wtedy Who

zauważył, że płacze.

– Dobrze się czujesz?

Przechyliła głowę i rzuciła mu głębokie spojrzenie. Kiedy bardzo powolnym ruchem zsunęła drugie ramiączko nocnej koszuli, ta osunęła się do talii, ukazując jedną obwisłą pierś z różowym sutkiem i bliznę w miejscu, w którym powinna znajdować się druga.

– Naprawdę nie mam na imię Rocío, tylko Graciela.

Who wyszedł na ulicę, czując ulgę. Na niedawno umyтым chodniku stały w lakierowanych tanich kozakach na niebotycznych obcasach dwie dziwki i proponowały swoje wdzięki ukryte pod bardzo obcisłymi, pełnymi płam czerwonymi sukienkami.

„Wszyscy jesteśmy samotni. Absolutnie wszyscy” – pomyślał.

Rozdział 5

Gospodyni uśmiechnęła się do Eduarda i poprowadziła go prosto do pokoju, którego nie widział poprzednim razem. Chociaż nikt nie grał na stojącym na środku fortepianie, słychać było *Światło księżycy* Debussy'ego, co nadawało temu miejscu zaskakująco magiczną atmosferę. Na cieniutkiej warstwie kurzu zalegającego na pokrywie instrumentu widoczne były ślady czterech rąk. Eduardo wyobraził sobie, że utwór grał duet duchów, a kurz zdradzał ich niewidzialną obecność. Gloria stała oparta o biblioteczkę i coś czytała. Na jego widok zmusiła się do uśmiechu i schowała kartkę do sekretarzyka.

– Sądziłam, że pan nie wróci, że wyszedł pan z przekonaniem, iż jestem kompletnie szalona.

– Postanowiłem podjąć się pani zlecenia – odpowiedział.

– Cieszy mnie to. Zapali pan? – Gloria podała mu paczkę węgierskich papierosów, które sprowadzała prosto z Budapesztu, po czym usiadła bokiem na brzegu krzesła, na pierwszy rzut oka dość niewygodnego. W tej pozycji nie wyglądała na skłoną do zwierzeń. Miała podrapaną szyję i siniak pod uchem. Eduardo na jej przedramionach zauważył ślady, jakby ktoś silnie ją chwycił.

– Miała pani wypadek? A może przyszedłem nie w porę?

– Nigdy nie ma odpowiedniej pory na otrzymanie tego, czego się człowiek spodziewa – odparła tajemniczo.

Eduardo odchrząknął i przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę. Gloria nie poprosiła go, żeby usiadł. Przeciwnie, przyglądała mu się z lekką rezerwą. Nie znał przyczyny tej nagłej zmiany zachowania, tak odmiennego od tego, kiedy spotkali się pierwszy raz, ale starał się ją usprawiedliwić; człowiek ma skłonność do ignorowania zniewag, jeśli czuje słabość do znieważającego. A ta kobieta niezwykle go pociągała i nie wiedział dokładnie dlaczego.

– Niczego nie mogę pani obiecać. Może nie powinna pani oczekiwać ode mnie nic ponad to, co mogę zaoferować. Chociaż będę się starał.

Gloria spojrzała na niego, jakby była myśliwym, a on nic nieznaczącym, oszołomionym i wystraszoną ujadaniem psów i hałasem polowania zwierzęciem łownym.

– Skoro ma pan dla mnie pracować, lepiej mówmy sobie po imieniu.

Przez następne trzy tygodnie Eduardo stał się niemal stałym gościem w jej domu. Gloria przyjmowała go zazwyczaj w dobrym humorze, w jednym z pokoi lub w swoim gabinecie. Kiedy zmienna pogoda lutego na to pozwalała, siadali w otaczającym dom opustoszałym ogrodzie. Stamtąd wąską ścieżką można było dojść do pobliskiego zagajnika, przez który przepływał strumień z niszczącym kamiennym mostkiem. Czasami rozmawiali o sztuce, malarstwie, muzyce czy filmach, innym razem opowiadali sobie codzienne anegdoty, komentowali z udawanym zainteresowaniem aktualne wydarzenia. W każdym razie omijali temat swojego cierpienia, owrzodzeń rozlewających się na ich skórze jak wody strumienia.

Gloria z trudem mówiła o tym, co ją powoli zabijało: cierpieniu po stracie syna. Ale jeszcze trudniej było jej znaleźć słowa, żeby opisać inny rodzaj bólu – głębszy i nabrzmiewający – którego pokłady Eduardo dostrzegał z powodu jej częstego milczenia. Niektórzy ludzie cierpią przez całe życie, nie zdając sobie z tego sprawy. Są w stanie umrzeć, nie poznawszy brzemienia, pod którym codziennie się uginają, niejasnego uczucia dyskomfortu zmieniającego ich w istoty ponure, czasem małoduszne, a w każdym razie nieszczęśliwe. To ludzie nieświadomi źródeł własnego, intymnego cierpienia, które tak powszednie, że traktują je jak coś normalnego, jak ból głowy czy pleców. Coś jednak może się wydarzyć – prawdopodobnie zbyt późno, żeby przynieść ulgę – co nagle ten ból obnaży.

Pewnego dnia wczesnym rankiem wyszli do ogrodu i ruszyli w kierunku altanki z podestem dla orkiestry, z której z pewnością nikt od bardzo dawna nie korzystał. Drewniane schody popękały, a w stożkowatym dachu było widać pełno dziur. Gloria mocno chwyciła ramię Eduarda, nie opierając się jednak o niego. Był to raczej gest przyjacielski niż oznaka jej słabości i bezbronności. Można było ją określić jako osobę melancholijną, może smutną, ale na pewno nie sprawiała wrażenia kogoś, kto potrzebuje pomocy. Kobiety po prostu czasami udają słabość, żeby mężczyźni nie czuli się zagrożeni.

Eduardo potulnie pozwolił doprowadzić się do ławki stojącej przy zeschniętym i powyginanym pniu dębu. Kusiło go, żeby pogłaskać piękny profil Glorii – tak podobny, a jednocześnie tak inny od profilu Eleny – ale strach unieruchomił jego ręce w kieszeniach kurtki. Przez kilka sekund oboje patrzyli w dal, siedząc w milczeniu ramię w ramię. Eduardo wsłuchiwał się w nierówne bicie ich serc i oddechy.

– Czasem przychodzę tutaj i mówię na głos imię mojego syna – odezwała się nagle Gloria. – Jakbym mogła go w ten sposób przywołać. Wiem, że brzmi to jak szaleństwo. Ale jeśli nie będę powtarzała jego imienia, wydaje mi się, że nie

pozostanie po nim żaden ślad. Kiedy go wołam, ukazuje mi się wśród drzew, w pokoju, niekiedy w pierwszym rzędzie podczas koncertu. Widzę jego dziecienną twarz, niesforne loki, gładzącę aksamit jego spojrzenia, pozwalam ukołysać się jego głosowi i wydaje mi się, że nadal jest tutaj ze mną, gotów mierzyć się ze światem, podążać za swoimi marzeniami.

Wciąż pamiętała, jak poruszał się w jej brzuchu, jak przeciskał się przez jej macicę, żeby przyjść na świat pewnego upalnego i niezwykle suchego dnia w 1984 roku w górach Cáceres. Gloria i jej mąż Ian przyjechali tam na obchody święta patrona miasteczka Aldea del Cano, w którym mieszkała jego babcia. Dąb, który tego roku młodzi mężczyźni wybrali do ścięcia na święto, był imponujących rozmiarów. Największe polano, jakie kiedykolwiek widziała. Przywieźli je dwoma wozami połączonymi ze sobą sznurem i ciągniętymi przez osły na plac przed ratuszem, gdzie miał zapłonąć w dzień Bożego Narodzenia. Na jednym z wozów – siedząc na szczycie stosu suchych gałęzi i machając do gapiów – jechał podekscytowany i rozgorączkowany Ian, który nagrywał wszystko kamerą. Promieniał szczęściem. Gloria uśmiechnęła się do niego z ogromnym wysiłkiem, trzymając się za obrzmiaty brzuch, bo dziecko bez przerwy kopało. Była w zaawansowanej ciąży i w miarę zbliżania się terminu porodu odczuwała coraz częstsze bóle, duszności i zawroty głowy, choć starała się tego nie okazywać, żeby nie psuć mężowi zabawy.

Przebijając się wzrokiem przez tłumy zalewające plac, szukała tablicy poradni lekarskiej, którą zauważyła wcześniej, w razie gdyby dziecko postanowiło przyjść na świat w suchym i czerwonym kurzu małej górskiej miejscowości. Wiedziała, że jest co najmniej sto kilometrów od jakiegokolwiek miasta z przyzwoitym szpitalem, do którego mogłaby pojechać w nagłym wypadku. Początkowo sądziła, że wytrzyma do wieczora, kiedy wróci do miasta, gdzie były szpitale z prawdziwego zdarzenia. Teraz jednak nie była już tego taka pewna. Lekkoomyślnie nie przyznała się rano w hotelu, że zaczęła odczuwać trochę silniejsze niż zazwyczaj bóle. Jeśli to nie były skurcze, to bardzo je przypominały.

– Wiedziałam, że to będzie chłopiec, chociaż nikt mi tego nie powiedział. Nie chciałam, żeby ginekolog zdradził mi płeć dziecka, kierowana swego rodzaju rodzinnym przesądem. Mój dziadek powtarzał, że trzeba czekać na to, co się dostanie. Ja jednak wiedziałam, że noszę w brzuchu zdrowego i ślicznego chłopca, który zostanie muzykiem, jak wszyscy mężczyźni w mojej rodzinie. I jak ja. Nie powiedziałam o tym Ianowi, bo on marzył o córce, i nie chciałam przedwcześnie go rozczarować. Nie ukrywałam tego świadomie, przynajmniej nie na początku, ale to była jedna z tych rzeczy, o których się nie mówi, ponieważ nigdy nie ma na

nie odpowiedniej chwili.

Eduardo pokiwał głową nie do końca pewien, czy rozumie, co Gloria ma na myśli. Z Eleną nigdy nie mieli przed sobą tajemnic.

– Ważne, żeby dziecko się urodziło i żyło wiele lat. O to właśnie modliłam się do Najświętszej Marii Panny z Los Remedios, patronki miasteczka, kiedy podszedł do mnie Ian ze zmierzwionymi włosami, spocony i w rozpiętej koszuli. Trzymał w ręku plastikowy kubek z cierpkim i niesmacznym winem. Niewiele razy widziałam go tak szczęśliwego. Powiedział mi z ożywieniem, że przyjazd do tego miasteczka leżącego na końcu świata był świetnym pomysłem, że zebrał wspaniały materiał i był przekonany, że kupi go BBC. Nagle spojrzał na mnie i zrozumiał, że coś jest nie tak. „Dobrze się czujesz? Wyglądasz na zmęczoną”. Odpowiedziałam, że nic mi nie jest. Nie chciałam zepsuć mu humoru, ale zamiast się uśmiechnąć, wykrzywiłam się z bólu.

Ledwie zdążyła złapać rękę, którą wyciągnął do niej wystraszony mąż. Nie było czasu na wzywanie karetki ani na jazdę do szpitala. Rodziła długo i w bólach. Myślała, że umrze. Ian przez cały czas czekał pod drzwiami gabinetu w przychodni. Kiedy pielęgniarka wychodziła, Gloria widziała go przez szczelinę w parawanie. Nerwowo zdrapywał paznokciem lakier z krzesła, starał się nie słuchać krzyków dochodzących zza ściany.

Po ponad godzinie z gabinetu wyszła położna – wciąż w stroju, który założyła na święto patronki – z podwiniętymi nad łokcie rękawami i w plastikowym fartuchu z ciemnymi plamami. Ian cofnął się, próbując zachować spokój. Widział podejrzliwy i oskarżycielski wzrok kobiety. „Jak idzie?” – zapytał neutralnym tonem, jakby pytał o prognozę pogody na następny dzień. Położna odsunęła go gwałtownie, podeszła do oszklonej szafki i wyjęła z niej paczkę sterylnej gazy. „Źle, idzie źle” – odpowiedziała rozdrażnionym tonem, a potem zamilkła na chwilę, zapatrzyła się w głąb pokoju, szukając słów, które wyraziłyby dokładnie to, co chciała powiedzieć. „Co pan sobie myślał? Jak można było przywieźć kobietę w tym stanie tą cholerną, pełną zakrętów i zniszczoną szosą? Nie wiedział pan, że zbliża się termin porodu, a tutaj jest zabita dechami wieś?” Ian poczerwieniał. Położna potrząsnęła głową jak baran szykujący się do ataku. Chętnie palnęłaby tego pozbawionego rozsądku palanta w łeb. Skierowała się z powrotem do gabinetu. Zanim jednak weszła, odwróciła się do niego w progu i powiedziała: „Karetką jest w drodze, ale dotrze tu za pół godziny. Nie wiem, co się stanie, kiedy pojawią się poważniejsze komplikacje. Jeśli wierzy pan w cuda, niech się pan zacznie modlić”.

Glorii wymknął się ironiczny śmiech.

– Modlący się Ian? Niemożliwe. Niewierzący w Boga anglikanin, poddany Jej Wysokości Królowej, ze swoim Krzyżem Świętego Jerzego, niepokorny, nieprzewidywalny i klęczący przed Chrystusem w małym zgubionym wśród gór miasteczku? To się nie mogło wydarzyć. Mimo to żadne z nas tamtego dnia nie umarło. Przypuszczam, że mieliśmy zbyt dużą chęć życia i poznania świata.

W chwili urodzin Ian junior ważył niewiele więcej niż wróbel, miał kruche, blade ciało i ledwie zapłakał. Widząc go z bliska, Gloria poczuła otwierającą się w jej gardle czeluść.

– Domyśliłam się, że coś było nie tak. Bardzo zaniepokojony lekarz natychmiast zabrał mi go z objęć. Ian był siny jak popiół i dziwnie wiotki w okolicy szyi i karku. Później, kiedy zrobiono mu badania w Madrycie, powiedziano mi, że podczas porodu trzymałam go w kanale rodym zbyt długo, co spowodowało kilkuminutowe niedotlenienie.

Gloria przerwała i spojrzała Eduardowi w oczy pustym wzrokiem.

– Odciełam dopływ krwi własnemu dziecku. Przeraziła mnie perspektywa, że mogłabym umrzeć razem z nim. W tamtym momencie byłam tak spanikowana, że poświęciłabym jego życie za swoje, chciałam przeżyć za wszelką cenę. A teraz oddałabym życie za to, żeby tu był, chociaż jeszcze przez jakiś czas. Powiedziano mi, że ten traumatyczny poród będzie miał dla Iana trudne do przewidzenia następstwa. Możesz w to uwierzyć? *Trudne do przewidzenia następstwa.*

Jej głos drżał.

– Kochałam moje dziecko bez względu na wszystko. Przeraza mnie tylko jedno: zaczynam zapominać jego zapach, dotyk, głos. Na tym właśnie polega zapomnienie, prawda? To prawdziwa śmierć.

Dopiero po chwili uniosła głowę. Spojrzała na Eduarda zza okularów w rogowych oprawkach, w których wyglądała jak odrobinę wyniosła intelektualistka. Eduardo pomyślał, że przypomina piękną Madonnę Michała Anioła. Wtedy po raz pierwszy poczuł niepoohamowane pragnienie, żeby ją pocałować; pierwsze erotyczne pożądanie od czternastu lat do kobiety, która nie była Eleną. Nigdy nie zdradził swojej żony, nawet nie miał na to ochoty, chociaż czasami grała mu na nerwach i karała go za jakąś głupotę nakazem: „Nie dotykaj mnie”. A Elena? Czy go kiedyś zdradziła? Czy poczuła chociaż pokusę, pragnienie, żeby to zrobić? Czy fantazjowała o innych mężczyznach, kiedy byli razem?

Nieświadoma kłębiących się myśli, które rozpętała w głowie Eduarda – a może tylko udając zamyślenie – Gloria wyjęła z sekretarzyka kartkę, którą czytała, kiedy przyszedł, i pokazała mu ją.

– To list od człowieka, który zabił mojego syna. Przysłał go pocztą.

Glorio (co za głupia wątpliwość, ale nie wiem, jak się do Pani zwracać, czy przed Pani imieniem napisać Pani, oczywiście nie Droga Pani, lepiej zachować dystans; czy może zaproponować poufałość i mówienie sobie po imieniu).

Prawdopodobnie już Pani wie, że Rada Ministrów przychyliła się do mojego wniosku o umorzenie kary. Piszę do Pani ten list, zanim nastanie dzień, korzystając z ostatnich godzin, minut w więzieniu. Mój towarzysz z celi chrapie na górnej pryczy i przelewam słowa na papier jedynie przy świetle reflektorów ze spacerniaka. W oddali słyszę szczekanie psa – coś go rozwścieczyło, może ogromny księżyc, którego fragment dostrzegam zza więziennych murów. Słyszę też kasłanie, pomruki rozmów cierpiących na bezsenność więźniów. Faktycznie ściany cel nie są aż tak grube, jakby się wydawało. Chcę napisać do Pani z tego miejsca i teraz, w tych samych warunkach i otoczeniu, w jakich spędziłem kilka ostatnich lat, ponieważ jestem przekonany, że kiedy tylko przekroczę bramę więzienia i znajdę się jedną nogą na wolności, wszystko zacznie popadać w zapomnienie. Wkrótce to doświadczenie stanie się ulotną chwilą, czarną dziurą w mojej pamięci. Będę próbował odtwarzać je w myślach na nowo, aż całkowicie je zniekształcę, zamienię w historię, anegdotę, którą będę opowiadał osobom niemającym pojęcia o tym, co się tutaj dzieje.

Wiem, że mnie Pani nienawidzi. Nie może być inaczej. Rozumiem, dlaczego walczyła Pani do końca, najpierw, żebym otrzymał najcięższą karę, a potem przeciw jej umorzeniu. Przynajmniej tyle może Pani zrobić. Przynajmniej tyle ja bym zrobił, gdybym był na Pani miejscu. Dlatego zakładam możliwość, że w chwili, kiedy otrzyma Pani ten list i zobaczy nadawcę, podrze go Pani, nie czytając. Ufam jednak, że ciekawość, niechęć i wzgarda, jakie czuje Pani w stosunku do mnie, nakłonią Panią do przeczytania tych naprędce skreślonych zdań. Chciałbym porozmawiać z Panią osobiście, twarzą w twarz, ale już dawno porzuciłem nadzieję, że odwiedzi mnie Pani w więzieniu, o co prosiłem wielokrotnie podczas pierwszego roku odsiadki. A ponieważ moi prawnicy uprzedzili mnie, że mam całkowity zakaz zbliżania się do Pani i kontaktowania z nią od chwili, kiedy wyjdę na wolność, więc to jest moja ostatnia próba.

Chciałbym powiedzieć Pani wiele rzeczy, ale słowa stają się okrutne, kiedy kieruje nimi wściekłość. A Pani już wystarczająco wiele wycierpiała i będzie cierpieć do końca życia. Podobnie jak ja. Ubolewam nad tym, co spotkało Panią, mnie, nas. Chciałbym, by Pani wiedziała, że wolność

będzie moją pokutą. Kraty, za którymi będę żył, nie będą z żelaza, ale żaden strażnik nie jest w stanie mnie od nich uwolnić. Może będzie to dla Pani pocieszeniem.

Rimbaud napisał:

*O serce, cóż to dla nas morze krwi, pożogi
Nieprzeliczone mordy, przeciągła i wściekła
Kotłowanina wrzasków – wycie – lament piekła
Burzący cały ład – Akwilon złowrogi^[2]*

Proszę mnie wymazać ze swojego serca, Glorio. Najlepiej natychmiast, dzisiaj, prędzej niż później, zanim mój śmiertelny jad w końcu Panią zabije.

Z poważaniem,
Arthur Fernández

Gloria delikatnie wyjęła kartkę z rąk Eduarda i długo się w nią wpatrywała. Nie czytała jej, patrzyła tylko, jakby próbując sobie wyobrazić Arthura, który opiera się o parapet okna i pisze do niej w świetle więziennego reflektora.

– Wypuścili go... i to wszystko, co ma mi do powiedzenia.

Eduardo przyglądał się jej przygaszonemu spojrzeniu, w którym jakby jakaś ogromna skała zasłaniała ujście światła. Spokojnie, bez gwałtownych ruchów, Gloria podarła list, zmieniając go w małe skrawki, które mieściły się w jej ręce. Wstała i otworzyła zaciśniętą pięść, a kawałeczki papieru rozsypały się bezładnie po podłodze.

Czym są słowa, kiedy człowiek nie może ich usłyszeć? Uderzeniami młotka, które nie pozwalają mu zapomnieć o cierpieniu.

Gloria się myliła. Prawdziwe umieranie nie jest zapomnieniem, ale polega na ciągłym wspominaniu, na niemożności ucieczki od jednego bolesnego momentu, stającego się po pewnym czasie iluzją, zupełnie jak film, którego koniec już się zna, bo się go widziało setki razy, iluzją, do której dodaje się za każdym razem coś nowego, jakąś szpilkę, żeby ożywić cierpienie. Eduardo wołałby nie myśleć o ustach Eleny, o jej idealnych zębach... Nie mógł nawet zapomnieć jej zębów. Przez bardzo długi czas trzymał w łazience jej szczoteczkę. Widział każdego ranka jej białe włosie i kształt obok płynu do płukania ust i nitki dentystycznej. Doszedł do wniosku, że zostanie tam na zawsze – jej szczoteczka

do zębów z lekko pochyloną jak u łabędzia szyją, w szklance razem z jego szczoteczką.

Prawdziwe umieranie polegało na zakreśleniu czerwonym kółkiem dnia, w którym zginęły jego żona i córka; bolesnym odliczaniu minut, które zbliżały go do kolejnej rocznicy; wsłuchiwaniu się w tykanie zegara, jakby nie było się w stanie robić niczego innego. Przez czternaście lat.

Było lato, koniec sierpnia 1991 roku. Kochali się bez pośpiechu pod wymiętą pościelą. Eduardo spuścił się na brzuch Eleny i z przyspieszonym oddechem położył się obok niej. Dała mu czas na odzyskanie sił, wypalili po papierosie, a potem znów zaczęli się kochać, tym razem w sposób, jaki Elena lubiła najbardziej, dziko, niemal brutalnie, jak podczas walki, w której pocałunki przeplatają się z ugryzieniami, pieszczoty z gwałtownymi gestami. W tej namiętnej grze przez jęki i świństwa szeptane do ucha widoczne były szwy łączące ich dusze o wiele mocniej niż jakiegokolwiek inne więzi.

– Moglibyśmy zostać tak do końca życia – odezwał się później Eduardo.

Mimo że powinni się ubrać, ponieważ Tania miała wkrótce wrócić z wycieczki, wciąż leżeli w łóżku, pozwalając, by ich ciała uwalniały się od siebie bez pośpiechu. Eduardo wyciągnął rękę i położył ją na okrągłym biodrze żony. Jego palce ześlizgnęły się w dolinę jej brzucha i dotarły do łona. Zatrzymały się tam w bezruchu, zaledwie muskały wejście do pochwy i czuły bijące stamtąd ciepło.

– Jasne, dlaczego nie? – odpowiedziała Elena, chichocząc, i ugryzła go w różowy sutek.

Roześmiali się porozumiewawczo, a potem zamilkli, wsłuchując się w swoje oddechy – ona z głową na jego brzuchu, on zamyślony głaszcząc ją po piegowatym ramieniu. Eduardo przypatrywał się nagiemu ciału swojej żony. Potrafił tylko wzrokiem wyrazić, co do niej czuł; słowa zakłócały, psuły chwile największej bliskości. Dlatego patrzył na nią, nawet kiedy się kochali – czasem niespiesznie, w powściągliwym rytmie drżących ciał, a innym razem drapieźnie – i zawsze czuł podniecający dotyk jej paznokci wbijających się w jego biodra. Pragnął na nią patrzeć, przenikać ją wzrokiem i by ona przeszywała go spojrzeniem, jakby oboje byli częścią tej samej halucynacji, zanim osiągną rozkosz; zredukować się do zera, nie myśleć o niczym, tylko czuć.

To nie był tylko pociąg fizyczny, prymitywne i instynktowne pożądanie, które Elena w nim budziła. Chodziło o coś o wiele głębszego. Po tylu latach małżeństwa nic się w zasadzie nie zmieniło. Jeśli już, to złągodniała początkowa szalona pasja, wygładziły się ostre krawędzie lubieżności i oboje stali się bardziej pewni siebie.

Gwałtowne eksperymentowanie z pierwszych lat, chęć podboju nieznanych terenów, zastąpili starannym i metodycznym odkrywaniem map swoich ciał, dolin i rzek, i zapamiętywali je niczym geodeci. Nie było w ich życiu już nagłych i zdumiewających niespodzianek. Nowe rzeczy przypominały podziemne żyły wodne, które od czasu do czasu, kiedy trochę pogrzebało się w ziemi, wypływały na powierzchnię. Eduardo nie musiał na siłę szukać drogi; szedł po prostu przed siebie, a droga prowadziła go sama, bez wstydu. Jego drogą była Elena.

– Moglibyśmy zostać tak do końca życia – powtórzyła jego słowa, wstając.

Jej liliowa sukienka wisiała w otwartym oknie, przypięta żabkami do sznurka na bieliznę. Powiewała na wietrze – unosząc się i opadając – i ukazywała skrawki skalistego krajobrazu: kamienie, plażę, łodzie zacumowane do wbitych na brzegu pali. Czas i przestrzeń były cudownie nieuchwytnie, a dźwięki z zewnątrz docierały do nich owinięte w subtelne i piękne światło zmierzchu.

Eduardo wstał i podniósł z nocnej szafki szklankę z wodą. Upił duży łyk, westchnął i popatrzył na sufit, na którym kręcił się leniwie wentylator o długich skrzydłach, mieszając ciepłe powietrze w pokoju.

– Powinniśmy wziąć prysznic i się ubrać. Tania pewnie niedługo wróci. Nie widziałem jej od rana.

– Pewnie pojechała z koleżankami do miasteczka. Dzisiaj organizują pożegnalną imprezę. Pozwól jej się nacieszyć ostatnimi godzinami wakacji.

Eduardo zmarszczył czoło. Dla niego Tania nadal była tą małą istotką, do której musiał się schylać, żeby coś jej powiedzieć. Wolał trwać w niewiedzy, nie drażnić za bardzo tematu, kiedy jakaś reakcja jego córki ostrzegła go, że wyślizgiwała mu się z rąk, a on nie był w stanie temu zapobiec. Dla Eleny natomiast Tania stała się skupiskiem mniejszych lub większych problemów, które należało rozwiązywać na bieżąco. Mimo że czasami było to męczące i drażniące zadanie, relacje z córką dawały jej dużo satysfakcji: zwierzały się sobie, dzieliły obawami, dzięki czemu Elena przypominała sobie czasy, kiedy sama była nastolatką.

– Ma prawie czternaście lat. Wierz mi, że ona wie więcej, niż sądzisz, patrząc na jej dziecinną buzię.

Tania wróciła do domu późnym wieczorem, ale nie to zirytowało Eduarda najbardziej. Właśnie kończył pakować swoje książki do torby podróżnej, a Elena kładła do góry nogami krzesła na kuchennym stole.

– Cuchniesz papierosami i alkoholem. Co to za imprezy organizują twoi znajomi?

Dziewczynka miała charakter silniejszy od ojca, któremu szybko mijał gniew. Odpowiadała ostro i bezczelnie, nie unikała starć, ale wręcz podświadomie szukała pretekstu, żeby się zmierzyć. Wydawało jej się, że świat stanowi tylko dekorację, na której tle może wyrażać swoje pragnienia. Jednak tej nocy się przeliczyła. Przeskok z radosnej atmosfery wśród przyjaciół – z muzyką, jakimś skrętem i odrobiną dzinu – w rodzinne nastroje okazał się zbyt gwałtowny. Jakby zabrakło jej czasu, żeby zmienić muzyczny rejestr, włożyć odpowiedni strój.

– Zostaw mnie w spokoju, nie jestem już małą dziewczynką, która musi wysłuchiwać kazań zrzędy.

– Nie odzywaj się do mnie w ten sposób! Zadałem ci tylko pytanie.

– A jak mam do ciebie mówić? Językiem migowym? Bo zachowujesz się jak głuchoniemy.

Ręka pojawiła się nagle i ze świstem wylądowała na twarzy niczego niespodziewającej się dziewczyny. Tania zrobiła dwa kroki do tyłu, bardziej z zaskoczenia niż pod wpływem siły uderzenia. Zapadła bolesna cisza, jakby nikt – a najmniej Eduardo – nie spodziewał się tego, co się stało. Eduardo wpatrywał się w swoją dłoń jak w obce ciało, które przez ułamek sekundy posiadało własną wolę. Elena stała nieruchomo z grymasem wściekłości na twarzy, a Tania wyjąkała w końcu coś, czego jej ojciec wolałby nie usłyszeć: „Ty skurwielu”. Potem pobiegła do swojego pokoju i trzasnęła drzwiami z taką siłą, że zatrzęśły się ściany domu.

– Nie wiem, co we mnie wstąpiło – wyszeptał Eduardo, patrząc na Elenę.

Po raz pierwszy podniósł rękę na córkę. Najgorszy nie był sam czyn czy fakt, że natychmiast go pożałował – bez względu na to, czy Tania sobie zasłużyła, wolałby cofnąć czas o minutę i nie uderzyć jej – ale to, że wymierzając córce policzek, poczuł kompletną ulgę i nie był gotów się do tego przyznać nawet przed sobą.

Elena patrzyła na niego, próbując z całych sił powstrzymać słowa czy komentarze, które cisnęły się jej na usta.

– Nie waż się nigdy więcej dotknąć mojej córki – odezwała się w końcu zimnym, ostrym tonem, bez cienia zrozumienia.

Eduardo poczuł, że idealny krąg lojalności, który ich łączył, zaczyna się wyginać i przestaje być tak ścisły, jak do tej pory sądził.

Wyjechali z Cadaqués przed świtem. Przez pierwszą godzinę panowało między nimi wyczuwalne napięcie. Eduardo starał się skupić na prowadzeniu, chociaż w rzeczywistości targła nim niejasna mieszanka uczuć, o których wolałby porozmawiać. Elena patrzyła przez okno z czołem opartym o szybę; trudno było zgadnąć, o czym myślała. Na tylnym siedzeniu Tania pogrążona była w swego

rodzaju niespokojnej drzemce, z której budziła się co jakiś czas, żeby zabić ojca wzrokiem odbitym w lusterku.

W połowie drogi zjechali na parking przy stacji benzynowej z budynkiem w kształcie drewnianej chaty, w której mieściła się kawiarnia połączona z restauracją. Znajdowali się niedaleko jakiegoś miasteczka przy trasie do Toledo. Mogli jechać dalej, ale Eduardo chciał odpocząć. W powietrzu unosił się zapach świeżo ściętej trawy. W oddali majaczyła topolowa aleja z ziemią pokrytą liśćmi. To było naprawdę ładne miejsce. Zaskakujące.

– Może zrobimy sobie zdjęcie? – zapytała Elena przesadnie wesołym głosem.

Tania siedziała naprzeciw niej przy stole przed kawiarnią. Z nudów podważała paznokciami zeschniętą warstwę farby na drewnianym blacie. Eduardo poszedł po kanapki do restauracji samoobsługowej.

– A co świętujemy? – zapytała matkę z ironią. – Że mam ojca idiotę?

– Może to, że mam nieodpowiedzialną córkę, która nie potrafi docenić ani zrozumieć wolności, jaką jej dajemy, ani tego, że ojciec bardzo ją kocha. Możemy też uczcić głupotę matki, która sądziła, że jesteś wystarczająco dojrzała, by zrozumieć, że każdy ma prawo popełnić błąd. Okazuje się jednak, że jesteś jeszcze dzieckiem.

– Uderzył mnie w twarz! – zaprotestowała Tania.

– To prawda i nie powinien tego robić. Ale powiedz mi, ile razy dziennie ty nam dajesz w twarz swoimi odpowiedziami, milczeniem, pogardą? Przyjmujemy te policzki, bo jesteś naszą córką, i na tym polega życie. Poza tym rozumiemy, że chcesz poczuć się silna...

Tania skrzywiła się.

– Przestań już głądzić, mamo.

Tym razem to Elena podniosła głos.

– Będę głądzić tyle, ile trzeba, a ty siedź cicho i słuchaj. Uważasz, że masz prawo osądzać ojca, ale nic o nim nie wiesz. Nie obchodzi cię. Ja go poznałam, zanim jeszcze zaistniałaś w moich myślach, i boli mnie, kiedy patrzę, jak cierpi przez ciebie i przez twój egoizm. Wiem, że to trudne, bo musisz powalczyć, zanim znajdziesz swoje miejsce na świecie. Proszę cię tylko o to, żebyś mu trochę odpuściła. Nie chcę, żebyś bez przerwy stawiała mnie między młotem a kowadłem, Taniu. Nie zmuszaj mnie, żebym ciągle wybierała między nim a tobą. To niesprawiedliwe. Masz przed sobą całe życie, po co się tak ciągle buntujesz?

W tym momencie pojawił się Eduardo, niosąc tacę z kanapkami i napojami. Na jego widok matka i córka zamilkły. Eduardo zawahał się przez chwilę, co zrobić z tacą i gdzie usiąść. Elena zrobiła mu miejsce obok siebie i pogłaskała

go pod stołem po udzie. Ten gest był dla niego najlepszym lekarstwem.

– Twoja córka chyba chce ci coś powiedzieć.

Tania popatrzyła z obrażoną miną na matkę, ale z oczu Eleny biła nieustępliwość.

– Przepraszam, tato. Nie powinnam odpowiedzieć ci w ten sposób, ale czasami tak bardzo mnie wkurzasz...

Eduardo uśmiechnął się i poprawił na nosie okulary. Najgorsze minęło.

– Słyszałem to z ust twojej matki jakieś kilka milionów razy.

Po kłótni nigdy nie ma całkowitego rozejmu, milczenie nie jest takie samo i wciąż pozostają niedomówienia – pod pozornie gładką powierzchnią ostre krawędzie, które kłują jak kolce. Jeśli się ich unika, wszystko wraca do jako takiej normy. To milczące porozumienie pozwoliło im zjeść spokojnie śniadanie, wspominać zdarzenia z wakacji, które jeszcze nie dobiegły końca, ale o których już rozmawiali z przedwczesnym smutkiem. Elena nalegała, żeby zrobili sobie zdjęcie przy topolowej alei. Byłby to idealny finał wakacji – za jakiś czas będą go miło wspominać, nie zwracając uwagi na ostatni incydent.

– Zróbmy je. – Eduardo rozejrzał się za kamieniem, na którym mógłby postawić aparat z samowyzwalaczem, i we trójkę próbowali zmieścić się w kadrze.

Śmiali się i stawali w różnych pozach, popychając się i wygłupiając jak zawsze. Mimo to Eduardo zapamiętał na zawsze to dziwne uczucie, którego doświadczył, uderzając córkę w twarz. Pierwszy akt przemocy w jego życiu, zaskakujące odkrycie, że można skrzywdzić kogoś, kogo najbardziej się kocha.

Ruszyli w dalszą drogę. Eduardo jechał powoli, z lekko opuszczoną szybą, żeby orzeźwiało go powietrze, tymczasem w myślach próbował poukładać sobie nieunikniony proces powrotu do codziennej rutyny. Trzeba było załatwić drobne, ale konieczne sprawy związane z powrotem do domu: włączyć liczniki prądu i gazu, otworzyć zawór wody, zrobić pranie, schować walizki i umyć samochód. Elena i Tania spały na tylnym siedzeniu, okryte kocem i przytulone do siebie. Przyglądał się im w lusterku. Kiedy nie wiedziały, że są obserwowane, nie mogły założyć żadnej maski i pokazywały swoje prawdziwe emocje, były do siebie tak bardzo podobne, a jednocześnie tak od siebie różne.

Nagle coś z potwornym impetem uderzyło w tył samochodu i Eduardo poczuł, że odrywa się od ziemi, a na niego działa niesamowita siła odśrodkowa, która uniemożliwia mu trzymanie rąk na kierownicy i stóp na pedałach. Jednocześnie, a może chwilę później – wszystko zlało mu się w jedno doświadczenie – straszne wstrząsy z prawa na lewo i z góry na dół zaczęły rzucać nim o wnętrze samochodu, o walizki, hydrauliczny lewarek i coś miękkiego, co mogło być tylko

wyrzuconymi do przodu ciałami jego żony i córki.

Eduardo w przeblysku świadomości palącym jak ognisty język zrozumiał, że to był wypadek. A on brał w nim udział jak bezwolna kukła rzucona tam i z powrotem. To się naprawdę działo.

Poczuł okropny ból w kolanie. Ból tak intensywny, że nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że taki może istnieć. Nastąpiło kilka kolejnych wstrząsów i w pewnej chwili przednia szyba roztrzaskała się na kawałeczki. Potem samochód dachował i zsunął się po nasypie, trając wszystko, co napotkał na swojej drodze. W końcu zatrzymał się i znieruchomiał.

Nierealny bezruch i cisza.

Eduardo poczuł na twarzy wilgoć. Woda strumienia wlewała się przez rozbitą szybę. Po omacku udało mu się odpiąć pas, ale nie mógł się ruszyć. Samochód leżał na dachu, nic nie było na swoim miejscu, Eduardowi w głowie kręciło się jak w robocie kuchennym, jego oczy nic nie widziały, ręce nie mogły niczego wyczuć. Próbował się podnieść, ale zawył z bólu. Kawałek metalu – ostry jak końcówka włóczni – wbijał mu się w kolano, dosłownie przygważdżając go do powyginanej karoserii samochodu. Niewiele widział wśród dymu i krwi, które przesłaniały mu wzrok. Zaczął macać rękami wokół siebie i w końcu jego palce czegoś dotknęły. To były włosy. Mokre włosy, nieruchoma głowa i przetrącona szyja Eleny. Zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy. Patrzyła na niego martwym wzrokiem z dziwnym zawstydzeniem.

Eduardo próbował bezskutecznie poruszyć się i ją przesunąć. Odchylił głowę do tyłu i nagle przypomniał sobie o Tani. Nie zauważył jej wśród gmatwaniny metalu, plastiku, szkła, ubrań i dymu. Chciał ją zawołać, ale z ust popłynęła mu tylko strużka krwi. Jego córki nie było w samochodzie.

I wtedy ją zobaczył. Czołgała się jak zraniona dżdżownica, zostawiając za sobą smugę krwi. Poruszała się bardzo powoli w podartej sukience. W końcu znieruchomiła z głową i tułowiem na brzegu strumienia i nogami unoszącymi się w wodzie. Eduardo chciał pójść do niej, ale miał nogę unieruchomioną metalem i połamane niemal wszystkie kości. Patrzył, jak Tania przesunęła się jeszcze kawałek, a potem znów zastygła w miejscu. Miała otwarte oczy. Wstrząsnęły nią konwulsje, zwymiotowała krwią i już więcej się nie poruszyła.

Eduardo siedział i przypatrywał się jej agonii z beznamiętnym wyrazem twarzy.

Przez trzy tygodnie po wypadku Eduardo znajdował się w śpiączce farmakologicznej. Lekarze stwierdzili, że był to jedyny sposób, w jaki mógł znieść

ból ciała, które zostało podarte niemal na strzępy. Lista złamanych kości i uszkodzonych organów była przerażająca. Po kilku operacjach lekarzom udało się przywrócić mobilność większości stawów. Z wyjątkiem zmiażdżonego prawego kolana, które zastąpiono protezą. W ciągu kilku dni śledziona i nerki Eduarda odzyskały stabilność, i chociaż nadal był podłączony do cewników i oddawał mocz i kał z krwią, przynajmniej mógł zacząć w miarę szybko przyjmować płyny. Miał zniekształconą od opuchlizny twarz i uszkodzoną siatkówkę w prawym oku, stracił kilka zębów i założono mu szwy na płatku lewego ucha, ale jakimś cudem nie miały mu pozostać żadne widoczne blizny, oprócz kilku głębokich szram z tyłu głowy, które z czasem zakryły włosy. Nie będzie mógł już nigdy swobodnie się poruszać i do końca życia będzie cierpieć z powodu bólu wywołanego przez płytki i śruby, za pomocą których zrekonstruowano mu nogę. Nie to jednak było dla niego najgorsze.

Najgorzej było żyć dalej. Powoli przestał słuchać głosów pielęgniarek i lekarzy. Patrzył tylko na ich poruszające się usta, brudne zęby z resztkami jedzenia, bąbelkami śliny i tego rodzaju rzeczy. Coraz częściej i chętniej wyłączał się z rzeczywistości, żeby pogрузić się w innej, o wiele głębszej warstwie tego, co go otaczało, i coraz trudniej było mu to kontrolować. Powoli zapadał się w czarną otchłań, z której nic i nikt nie był w stanie go wyciągnąć.

Z oddziału intensywnej terapii Eduarda przeniesiono do jednoosobowego pokoju z całodobowym monitoringiem połączonym z recepcją oddziału. Co jakiś czas odwiedzał go szpitalny psycholog, czasami w towarzystwie jednego z członków Stowarzyszenia Ofiar Wypadków Drogowych. Personel szpitala obawiał się, że Eduardo mógłby próbować popełnić samobójstwo. Codziennie dostawał więc dużą dawkę środków uspokajających i leków przeciwdepresyjnych; pograżały go one w letargu, z którego nie miał ochoty się ocknąć. Prawie w ogóle nie wstawał z łóżka i okazywał niechęć do ćwiczeń rehabilitacyjnych, które mu zadawano. Nie jadł i starał się spać przez większość czasu. Nie chciało mu się nawet dzwonić po pielęgniarkę, kiedy czuł ucisk w pęcherzu, miał pełny worek na mocz czy poplamiał pościel. Tylko spał, a kiedy się budził, pozwalał przesuwać się z boku na bok, słuchał pytań lekarzy – „Czy boli pana tutaj? A tutaj?” – i odpowiadał im ledwo zauważalnymi ruchami głowy, które nie oznaczały ani tak, ani nie. Obojętnie znosił poklepywania mające dodać mu otuchy; wolałby raczej, żeby znajomi, którzy go odwiedzali, już sobie poszli i dali mu spokój.

Pamiętał ostatnią wizytę policjanta, który prowadził śledztwo w sprawie wypadku. Było niedzielne popołudnie i na oddziale panował spokój. Funkcjonariusz stał przy łóżku Eduarda, ubrany w wygnieciony garnitur

z kamizelką i pasujący do nich krawat. Przeszł z nogi na nogę, jakby za chwilę miał stracić cierpliwość. Jego woda kolońska i zapachy z pokoju tworzyły męczącą i nieprzyjemną mieszankę. Powiedział Eduardowi, że wypadek spowodował pojazd, który wjechał w nich od tyłu. Dowody zebrane przez patrol drogówki świadczyły, że prawdopodobnie był to samochód terenowy. Według policjanta kierowca zignorował znak stopu i uderzył z zawrotną prędkością w samochód Eduarda. Może w pierwszej chwili zatrzymał się, żeby udzielić ofiarom pomocy, ale zobaczywszy, jak poważny wypadek spowodował, przestraszył się i zbiegł. Zbadano otarcia na karoserii samochodu Eduarda, aby zidentyfikować model tamtego auta, ale woda zmyła świeże ślady lakieru. Nie znaleziono nic poza fragmentem osłony reflektora i śladami opon. Przyznał, że to mało. Prawdopodobnie nigdy nie znajdą winnego, chyba że ktoś zapamiętał numery rejestracyjne albo widział wypadek, to było jednak mało prawdopodobne na tak mało uczęszczanej drodze. W każdym razie, pocieszył go policjant, do pobliskich komisariatów i lokalnej prasy rozesłano zawiadomienia.

– Może pojawi się jakiś dowód, który pozwoli nam odnaleźć winnego. Musi pan jednak mieć świadomość, że nawet jeśli go znajdziemy, a on zdąży naprawić samochód, nie da się udowodnić jego winy i uniknie kary. Zgodnie z zasadą *in dubio pro reo*. Ale proszę się nie martwić, ja się nie lubię poddawać. A szczególnie wkurza mnie bezkarność.

Eduardo prawie nie słuchał, co mówił do niego policjant.

Innego dnia przyszli pracownicy sądu. Przynieśli w kopercie kilka przedmiotów należących do jego żony i córki i mnóstwo dokumentów do podpisania. Eduardo rzucił im krótkie krwawe spojrzenie – w tym czasie czerwony wylew znów szpecił mu jedno oko. Odwrócił od nich głowę z obrzydzeniem i objął poduszkę. Nawet wypowiedzenie prostego zdania, prośba o wodę, wstanie z łóżka i pójście do łazienki wykańczały go.

Należało zorganizować pogrzeb. Elena nie miała rodziny, nie posiadali żadnego ubezpieczenia na takie wypadki, była zbyt młoda i tryskająca życiem, żeby myśleć nawet o możliwości śmierci. Wydatki na pogrzeb pochłonęły skromne oszczędności Eduarda, ale nic go to nie obchodziło. Przygotowaniami musiał zająć się jego ojciec, powiadomić przyjaciół, przyjąć kondolencje od krewnych, zamówić kwiaty i załatwić formalności w urzędzie stanu cywilnego. Ceremonia była dyskretna i laicka. Ciało skremowano, a prochy pozostawiono w urnach. W tym czasie zdruzgotany Eduardo spoglądał niewidzącym wzrokiem na świat przez okno szpitala.

Wyszedł ze szpitala cztery miesiące później. W jednej ręce niósł kopertę z przedmiotami należącymi do najbliższych mu istot, w drugiej – urnę z ich prochami. Dźwięki codzienności nie dotykały go, ale ześlizgiwały się po jego skórze jak promienie słońca. Głosy przechodniów, klaksony autobusów, rozmowy w barowych ogródkach docierały do niego stłumione, jakby zanurzył się w basenie i słyszał zaledwie ich głuche, nierealne echo. Ojciec czekał na niego w otwartych drzwiach taksówki zaparkowanej przy chodniku. Eduardo zignorował go i szedł dalej, opierając się na jednej kuli. Czuł się człowiekiem martwym krocącym po świecie żywych.

Przestał malować, zarabiać na swoje utrzymanie, wychodzić z mieszkania, myć się i ubierać. Czasami słyszał coś, co później okazywało się omamami – nie był w stanie odróżnić tych halucynacji od prawdziwych odgłosów. Te dźwięki i poddźwięki były tak realne, że musiał zwracać uwagę na jedno i drugie. Na przykład mógł słuchać muzycznych wibracji skomplikowanego utworu Gordona, a jednocześnie część jego umysłu wychwytywała odgłos skrzydełek ważki krążącej w pobliżu jego ucha. Tyle że ważki nie było, chociaż Eduardo doskonale ją słyszał. W ten sposób zaczął tracić to, co nie pomagało mu zrozumieć: rozsądek. Jego umysł stał się ciemnym, zamkniętym pokojem, w którym przebywał z bezimiennymi cieniami; zjawami, które dotykały go, napadały z nienacka i sprawiały, że w nocy obłany potem zrywał się z łóżka z krzykiem.

Otoczające go przedmioty, ludzie spotykani w windzie, supermarkecie, na ulicy, usłyszane rozmowy lub dialogi, które próbował podtrzymać – wszystko straciło dla niego sens. Stało się elementami niepasującymi do układanki, odcieniami kolorów, klockami w różnych kształtach, których nie da się włożyć do odpowiednich otworów, żeby stworzyć z nich wystarczająco wiarygodną rzeczywistość. Tygodniami wpatrywał się w portrety namalowane przez Luciana Freuda, którego kiedyś bardzo podziwiał. Jego obrazy przyciągały go z tym samym magnetyzmem co zawsze, chociaż teraz emanował od nich swego rodzaju zły urok. Eduardo starał się odnaleźć w tych portretach część siebie, ale obrazy, które kiedyś inspirowały go, żeby stał się malarzem dusz, odtwarzały mrok kryjący się w modelach, teraz spychały go swoimi zimnymi i bezlitosnymi spojrzeniami do świata głębokiej rozpacz. Ludzie z portretów przeszywali go wzrokiem z sardonycznym uśmiechem na twarzy. Freud spoglądający na niego z autoportretu, który wisiał w jego pracowni, przestał być dla niego natchnieniem i bratnią duszą, a stał się katem. Zapewne w tym czasie Eduardo zaczął się zastanawiać, jak skończyć z piekącym bólem, który czuł we krwi płynącej

w żyłach. Życie, życie w swoim ciele, pod skórą, męczyło go, stało się nieznośne.

Rozdział 6

Arthur przeszedł dużym holem biurowca z plakietką „Gość” wpiętą w klape marynarki. Na jego widok wszyscy pracownicy nagle wydawali się czymś zajęci. Niektórzy pozdrawiali go z obowiązku, inni udawali, że go nie widzą, chociaż większość po prostu ignorowała jego obecność. Mimo że wciąż był w firmie większościowym udziałowcem, niewiele osób wierzyło, że zdobędzie się na odwagę, by pojawić się w biurze po wyjściu z więzienia. Dla pracowników jego własnej firmy Arthur był jak zadzumiony.

Stał skrzępowany między biurkami, nie chcąc zawadzać i nie za bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić, kiedy dostrzegł Nadie Ruedę. Jego dawna dyrektorka produkcji pokiwała mu uniesioną do góry ręką. Ucieszyła się na jego widok? Trudno było stwierdzić, ale Arthur uśmiechnął się z ulgą, jak rozbitek, który zobaczył boję pośrodku oceanu.

– Ładny garnitur – powiedziała Nadia, w ogóle na niego nie patrząc.

Uścisnęła mu mocno dłoń i dała głośnego buziaka w policzek. Rueda była pod każdym względem bardzo energiczną kobietą.

Wjechali windą na ostatnie piętro. Nadia przepuściła Arthura, kiedy wchodzili do jego dawnego gabinetu, jakby był tam gościem, i stopą zamknęła za sobą drzwi. Arthur patrzył na swoje dawne biurko, na którym piętrzył się teraz stos dokumentów.

– Odkąd odszedłeś, nie pojawił się nikt lepszy od ciebie. To brzmi jak tekst jakiejś pieprzonej piosenki o miłości, ale taka jest prawda. Myślałam, że zrobisz sobie kilka miesięcy wakacji, wszyscy tutaj tak myśleliśmy.

– Przecież to jest nadal w osiemdziesięciu procentach moja firma, prawda? – retorycznie zapytał Arthur. – Chciałem zobaczyć, co się tutaj działo podczas mojej nieobecności.

Rueda wskazała mu ręką nowy fotel w szwedzkim stylu, który poza tym, że był drogi, wyglądał na bardzo niewygodny. Arthur wolałby usiąść w swoim starym skórzanym fotelu na kółkach z drewnianym oparciem – skrzypiącym i delikatnym, ale przyzwyczajonym do jego ciężaru. Nie było go jednak w gabinecie, pewnie wylądował w jakiejś graciarni.

Rueda wprowadziła Arthura w bieżące sprawy.

– Zorganizowałam na dzisiejsze popołudnie spotkanie z pozostałymi

wspólnikami mniejszościowymi i przygotowałam zestawienie księgowo, żebyś mógł przejrzeć je z doradcą podatkowym. Przekonasz się, że sprawy mają się dość dobrze. – Rueda otworzyła szufladę, wyjęła z niej kartkę i położywszy na biurku, zaczęła pukać w nią palcem. Suche szuranie o papier wbijało się w bębunki Arthura jak odgłos pszczoły trącej odnóżami.

– Zrobiłaś kawał dobrej roboty, Nadiu.

Rueda usiadła za biurkiem, położyła ręce na kolanach z miną wyroczni, która za chwilę ma przekazać złe wieści. Spojrzała na zegar na ścianie, a potem wbiła wzrok w Arthura.

– W rzeczywistości zrobiłam niewiele. Kiedy cię zamknęli, pełnomocnictwa przekazałeś Dianie. Teraz to amerykańska filia zarządza twoimi interesami. Ja mam związane ręce i ograniczam się tylko do połykania tego, co ona dla nas przeżuje.

– Uznałem, że tak będzie najlepiej, co nie oznacza, że cię odsunąłem. Nadal jesteś dla mnie ważna – odpowiedział Arthur niezbyt stanowczym ani przekonującym tonem.

Kobieta wybuchła raniącym śmiechem.

– Nie musisz być uprzejmy. Takie grube stare baby jak ja stają się zawadą pod każdym względem. Starzenie się jest kurewstwem, wiesz? Myślisz, że nigdy nie będzie dotyczyło ciebie i nagle: ciach! Pojawia się taka czarna pantera: piękna, wypełniona silikonem, mówiąca po angielsku z hiszpańskim akcentem, a ty wylatujesz z kolejki. Ale jeszcze nie umarłam, do cholery...

– Nikt tak nie twierdzi – powiedział Arthur.

Rueda przełknęła ślinę.

– Domyślam się, że czujesz się zdradzony, i nie mogę cię za to winić. Chciałam odwiedzić cię w więzieniu wiele razy, ale ostatecznie nie miałam jaj, żeby to zrobić. Widziałam zdjęcia tej sześciolatki, chłopca zmiażdżonego przez samochód i ciebie pijanego i zakutego w kajdanki. Cholera, Arthurze, to co zrobiłeś, to co się stało... Wszyscy uznaliśmy, że jesteś sukinsynem.

Arthur słuchał jej bez mrugnięcia okiem. Nie okazywał żadnych emocji. Wiedział, co myśli Nadia i pozostali. Nawet najlepsi, najbardziej wierni i prostolinijni jak ona ludzie zastanawiali się, jak mógł upaść tak nisko. Może zrobili rachunek sumienia i z przerażeniem odkryli, że im też mogłoby się przytrafić coś takiego. Gorszy dzień, rozpacz i wszystko stracone: praca, przyjaciele, znajomi.

– ...ale to był wypadek i nie powinnam cię osądzać. Przynajmniej ja nie powinnam dać się na to złapać, znam cię przecież od początków istnienia tej

firmy.

– To już stara historia. – Arthur próbował uśmiechnąć się po przyjacielsku.

Rueda pokiwała głową bez przekonania. Był zraniony, czuł się zdradzony. Widziała to w jego mętym spojrzeniu.

– Naprawdę? Chodzą plotki, że zamierzasz zrobić czystki i odkąd wyszedłeś z więzienia, wiele osób zaczęło się pakować. Ja mam już połowę rzeczy w pudłach.

Arthur odwrócił wzrok do okna. Dienne światło przypomniało mu czasy na studiach, kiedy wpatrywał się znudzony w rozmazany deszczem zimowy krajobraz i nie był w stanie słuchać wykładowcy greki, który ochryplym głosem próbował tłumaczyć znaczenie dyskursu Platona dla rozwoju współczesnej dialektyki. „Czy nie interesuje pana mój wykład, panie Fernández?” – z zamyślenia wyrwał go głos nauczyciela, który trząśł się z bezsilnej złości na roztargnionego, choć niezaprzeczalnie zdolnego studenta. Głos Nadii też słyszał jak przez deszcz, do którego uciekał myślami, czekając, aż jego dyrektorka umilknie.

– Chcę powoli wrócić do firmy. Potem zobaczymy. W tej chwili pilnie muszę cię prosić o coś, co nie ma ścisłego związku z twoimi codziennymi obowiązkami.

– Jeśli chcesz mnie przelecieć, ostrzegam cię: nie jestem wydepilowana – rzuciła bezceremonialnie.

Wybuchli śmiechem, który najwyraźniej poustawiał wszystko na swoim miejscu.

– W więzieniu dzieliłem celę z więźniem, który miał na imię Ibrahim. Uratował mi życie. Obiecałem mu, że zajmę się jego sytuacją prawną. Muszę się dowiedzieć, jakie są szanse, żeby wyciągnąć go z za kratki. Chciałbym mieć go przy sobie.

– Jakie przestępstwo popełnił twój kolega?

Arthur wzruszył ramionami.

– Nieważne, co zrobił, Nadiu.

– Nie jesteś mu nic winien. Ty nie jesteś kryminalistą. Kierujesz firmą, która prowadzi wielomilionowe inwestycje. Poślij mu bombonierkę z podziękowaniem, ale nie otaczaj się tego rodzaju ludźmi.

Arthur przypomniał sobie, co w dzieciństwie mówiła mu matka. Był *pied-noir*, i chociaż jego ojciec, porucznik, siedział we francuskim więzieniu za działalność terrorystyczną, tak czy inaczej Arthur był synem wojskowego. Dzieci Europejczyków nie mogły chodzić do kazby ani biegać wzdłuż murów meczetu Dżemi El Kebir z dziećmi rdzennych Algierczyków. Matka utrzymywała siebie i dzieci z tego, co udało im się sprzedać na targu Triade: szpulki, baterie, meble, a nawet ubrania. Wystarczało im ledwie na jedzenie. W domu nie mieli prądu ani telefonu, ale to im nie przeszkadzało.

W ich biednym mieszkaniu wisiało przybrane kwiatami zdjęcie generała Sagana, na którym własnoręcznie napisał: *Semper fidelis*. Matka trzymała w szafie galowe i polowe mundury ojca, wypastowane buty z cholewą, błyszczące skórzane pasy oraz liczne medale, które otrzymał za udział w wojnie algierskiej... Nie mieli co jeść, ale matka powtarzała, że „Francja kocha swoje dzieci, nawet jeśli zblądzą”, za każdym razem kiedy dostawała stamtąd nędzny czek we frankach. Nie wiadomo było, jak długo państwo francuskie miało zamiar je przysyłać, więc powinni pozostawać wierni ideałom porucznika Fernándeza. Nie byli hołotą! Byli inni, lepsi i nie powinni mieszać się z tymi portowymi wszarzami, którzy wdrapywali się na ciężarówkę z zaopatrzeniem, żeby ukraść jabłko czy kawałek mydła, a jednocześnie machając flagami Frontu Odrodzenia Narodowego, śpiewali ten śmieszny hymn pariasów nowej Algierii.

Od tamtej pory upłynęło dużo czasu. Bardzo dużo. Najwyraźniej jednak niewystarczająco.

Arthur spojrzał oskarżycielsko na Nadię, chociaż jedyną jej winą było to, że znalazła się w tym miejscu w nieodpowiednim momencie. Nie był już dzieckiem, które chętnie słucha niepotrzebnych, choć życzliwych rad. Ta stara kobieta nie miała o niczym pojęcia, podobnie jak ci wszyscy ludzie, którzy patrzyli na niego z pogardą, kiedy przechodził przez hol. Nie rozumieli więzów, jakie powstawały między współwięźniami.

– Zajmij się tym i niech to będzie dla ciebie priorytet, jeśli nadal chcesz tu pracować. Ach, i odwołaj dzisiejsze zebranie z udziałowcami. Prześlij mi wszystkie informacje do hotelu. Spotkamy się, kiedy przejrzę księgi rachunkowe. Nie lubię wchodzić do gry, nie znając wszystkich kart. I jeszcze jedno: kiedy tu wrócę, chcę zobaczyć mój stary fotel. Pozbądź się tego skandynawskiego paskudztwa.

Rueda wstała i nerwowym ruchem założyła na nos okulary, które zwisały jej do tej pory z szyi na sznurku w kolorze fuksji. Chciała coś powiedzieć, ale Arthur powstrzymał ją gestem.

– Teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym zostać sam.

Podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer.

W Chicago musiało być już późno, ale Diana z pewnością jeszcze siedziała w swoim biurze i wyciskała soki z biednych stażystów swoją bezkompromisową porywczością, jednocześnie śledząc świecące i zmieniające się wykresy międzynarodowych rynków, najnowsze notowania giełdy w Tokio, Sydney, Hongkongu czy Londynie.

Po dwóch minutach usłyszał jej łagodny głos. Mówiła po hiszpańsku z amerykańskim akcentem. Nigdy nie udało jej się go pozbyć, mimo że przez wiele lat mieszkała w Madrycie.

– Arthurze, jesteś już wolny.

Arthur poczuł w gardle łaskotanie, wspomnienie ciepła, które przychodzi na myśl, gdy patrzy się na zgaszony kominek. Przypomniał sobie jeden z wielu letnich wieczorów spędzonych z Dianą w świetle księżyca na Riwierze Francuskiej. Wyobraził ją sobie, jak stoi na brzegu morza, pali papierosa i patrzy w dal swoimi migdałowymi oczami otoczonymi długimi rzęsami. On stoi za nią, obejmuje jej wąską talię, pieści jej czarną i błyszczącą skórę – delikatną i gładką – patrzy na nią i myśli o tym, jakie ma szczęście, że jest pożądany (nie oczekiwał, żeby go kochała) przez taką kobietę jak Diana. Przez wiele lat ich związek opierał się tylko na spojrzeniach, uśmiechach, krótkich rozmowach i pieszczotach. Spotykali się ukradkiem, kiedy Diana przylatywała do Hiszpanii pod pretekstem załatwiania jakichś spraw albo on leciał do Stanów z tych samych niejasnych powodów.

– Tak, już wyszedłem. Dziękuję, że się wszystkim zajęłaś.

– Miałaś jakieś problemy z papierkową robotą? – Głos Diany, bardziej niż jej ton, brzmiał trochę ponaglająco. Przecież była pragmatyczną Amerykanką, więc musiała sprawiać wrażenie zajętej. Może w jej gabinecie siedział klient, nie aż tak ważny, żeby zignorowała telefon od Arthura, ale na tyle cenny, żeby nie pozwolić mu czekać, podczas gdy ona ucina sobie pogawędkę. Czasy, kiedy jej głos drżał jak u zdenerwowanej uczennicy, już minęły.

– Adwokat, którego mi przysłałaś, okazał się bardzo skuteczny. Gratuluję.

– Nie gratuluj mi, to ty za niego zapłacisz. Uprzedzam, że nie był tani.

Poczuł zdziwienie i smutek, że po wyjściu na wolność pierwszą rozmowę z dawną kochanką marnuje na gadanie o bzdurach.

– Ani jednych odwiedzin przez trzy lata. Nie uważasz, że to zbyt dotkliwa kara?

Cisza. Przenikliwe milczenie. W słuchawce słychać tylko przyspieszony, niemiary oddech Diany, jaki mógł być wywołany zarówno orgazmem, jak i ostrą kłótnią.

– Nie byłam gotowa na to, co się stało, Arthurze. Wciąż nie jestem.

Usłyszał trzask. Diana zapalała papierosa. To oznaczało, że wróciła do palenia. Pomyślał z przygnębieniem, że jego była kochanka odzyskała życiową równowagę podczas jego nieobecności. Dla niego to nie było takie proste. Wrócić do życia, znów przywyknąć do dawnej rutyny... Nie wydawało się to łatwym zadaniem.

Popatrzył na swoje odbicie w lustrze w drzwiach. Wyglądał fatalnie. Do tej pory

nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo się postarzał.

– Zmieniłem się, Diano. Wszyscy się zmieniliśmy.

– Jestem zajęta, nie mogę teraz rozmawiać – odpowiedziała sztywnym i odległym tonem.

Arthur poczuł się zraniony. Zamilkł na chwilę, po czym odezwał się, tym razem silnym i pewnym głosem. Władczym tonem szefa oczekującego rzetelnych odpowiedzi.

– Jak sobie chcesz... Co ze sprawą, którą ci zleciłem? Jak wygląda sytuacja?

– Zajęłam się nią. Ale ostrzegałam cię, kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, że Guzmán nie jest drzwiami, które można łatwo zamknąć, kiedy już raz postanowiło się je otworzyć.

– Zostaw to mnie. Każ temu Guzmánowi jak najszybciej zjawić się w Madrycie.

Do omówienia pozostała im jeszcze jedna sprawa. Coś, co Diana koniecznie musiała wiedzieć.

– Zobaczysz się z Andreą?

Arthur zawahał się nad odpowiedzią. Spodziewał się tego oczywistego pytania, chociaż nie wiedział, jak się z nim zmierzyć.

– Jeszcze nie wiem – skłamał. Oczywiście, że wiedział.

Odłożył słuchawkę i poczuł niezmiernie zmęczenie. Gdyby ktoś w tej chwili wszedł do gabinetu, ujrzałby mężczyznę – ani starego, ani młodego – który rozsiadł się w niewygodnym designerskim fotelu jak król na glinianym tronie. Gdyby ten mimowolny widz spotkał jego wzrok, prawdopodobnie cofnąłby się zakłopotany i ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Smutek Arthura nie przypominał rezygnacji ani melancholii. Był jak uniesiona w powietrzu zaciśnięta pięść, która nie miała w co ani w kogo uderzyć.

Arthur zamówił taksówkę i pokazał kierowcy adres na ulotce wydrukowanej na kredowym papierze, którą wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– To ponad sześćdziesiąt kilometrów stąd – zaprotestował taksówkarz.

Arthur poluzował węzeł krawata i spojrzał na okna swojej firmy. Za szybami mógł dostrzec śledzące go spojrzenia pracowników. Litery nazwy przedsiębiorstwa zajmowały całą powierzchnię fasady na wysokości pierwszego piętra: „Incsa” – jedna z najważniejszych spółek zarządzających funduszami inwestycyjnymi w strefie euro. Posiadał w niej większościowy pakiet akcji, ale nigdy nie czuł, że to jego firma.

– Może być nawet siedemset kilometrów. Niech pan jedzie i pogłośni radio. Lubię tę piosenkę.

Nikt już nie słuchał Charles’a Aznavoura. „Mourir d’aimer”. Pamiętał, jak

matka siedziała przed adapterem w pokoju z zasłoniętymi oknami i słuchała go, ściskając w rękę mokrą chusteczkę.

Les parois de ma vie sont lisses.

Dziwne. Aznavour był Ormianinem.

*Je m'y accroche mais je glisse lentement
vers ma destinée, mourir d'aimer.*

Jego matka tęskniła za porucznikiem Fernándezem, płakała po nim jak pensjonarka. Nie miało już dla niej znaczenia, że często ją i dzieci bił pasem albo że najstarszy syn stracił oko, kiedy ojciec źle wycelował i trafił go kłamrą w twarz. Dla niej mąż był tą kręcącą się w ciemnościach płytą, tą muzyką, tym głosem.

*Tandis que le monde me juge,
je ne vois pour moi qu'un refuge.
Toute issue m'étant condamnée.
Mourir d'aimer.*

Zapomniała już, że siadał do stołu z naładowanym pistoletem w rękę i kładł go po prawej stronie talerza z lufą wycelowaną w dzieci i zerkał przez okno jak osaczony pies.

*Mourir d'aimer.
De plein gré s'enfoncer dans la nuit.
Payer l'amour au prix de sa vie.
Pécher contre le corps mais non contre l'esprit.*

Matka Arthura płakała, a płyta falowała, obracając się pod igłą. Kobieta wiedziała, że Luisa kiedyś wypuszcza, i chciała na niego czekać w swojej czerwono-białej sukience na ramiączkach i z włosami spiętymi tak, jak lubił. Będzie na niego czekała z wyprasowanym mundurem, galonami na mankietach, orderami i medalami.

*Laissons le monde à ses problèmes.
Les gens haineux face à eux-mêmes,
avec leurs petites idées.*

Tymczasem nadszedł telegram. Dwa krótkie zdania. Nieodwołalne. Był rok 1969. Śpiewał Aznavour, a z portu docierał smród egipskiego transportowca. Przez okno dolatywały śmiechy dzieci, które dzieciństwo spędzały na ulicy, biegając za obręczą, piłką, bijąc się czy bawiąc w spadochroniarzy i patriotów z Frontu Odrodzenia Narodowego. Nie było wśród nich Arthura. Siedział naprzeciw matki i patrzył, jak przytrzymała się klamki, żeby nie upaść zemdlona. Chłopiec podniósł telegram z podłogi. Porucznik nie przebywał w więzieniu, został wypuszczony na wolność kilka miesięcy wcześniej, ale zamiast wrócić do dzieci, wolał ruszyć z wielbionym przez siebie niczym ojciec generałem Salanem na zesłanie do Málagi, gdzie ukrywali się ocalańcy z Organizacji Tajnej Armii. Tam dopadli go ormiańscy najemnicy pracujący dla służb bezpieczeństwa. Nawet nie zużyli na niego jednej kuli. Związane go zaciągnęli na plażę i roztrzaskali mu czaszkę łopatą, a potem wrzucili jego ciało do morza. Być może prądy zniosą go z powrotem do Algieru.

Dwa tygodnie po telegramie nadeszło zawiadomienie z wydziału wojskowego. Wdowa powinna ponieść koszty symbolicznego pogrzebu. Poza tym oficjalnie od tej chwili nie należała się jej żadna pomoc od państwa. Matka jednak nie była już wtedy sobą, nic jej nie obchodziło, niczego nie słyszała. Tylko tę płytę, tę piosenkę, ten głos:

*Puisque notre amour ne peut vivre,
mieux vaut en refermer le livre,
et plutôt que de le brûler.
Mourir d'aimer^[3].*

Patrzył na opustoszały parking odgradzony żywopłotem, który wyznaczał dyskretnie linię pomiędzy dwoma wymiarami: wewnątrz i na zewnątrz, tutaj i tam. A zielona bariera wprost zachęcała do przejścia z jednej strony na drugą. Lekki wietrzyk kołysał zwiędnięte liście bananowców. Po drugiej stronie ogrodzenia otaczającego teren osiedla biegła ulica, a po jej obu stronach stały szeregowe domy – wszystkie identyczne – z czerwonymi dachówkami, kamiennymi murkami i idealnie przyciętymi żywopłotami. Dokładnie ten sam widok został przedstawiony na ulotce reklamowej prywatnego centrum zdrowia, jakby zdjęcie zrobiono z tego samego miejsca, o tej samej porze. Rezydencja Paraíso – idylliczne miejsce, równie dobre jak każde inne, żeby umrzeć, nie sprawiając nikomu zbyt wielu kłopotów.

Popołudniowe blade światło oblewało przytulny pokój kolorem, nadając znajdującym się w nim przedmiotom nierealny wygląd: ubranie Andrei na łóżku,

szczotka do włosów na toalecie z włosami uwięzionymi między szczecina, plastikowe buty skromnie ustawione przed schodkiem prowadzącym na taras. Arthura najbardziej zaskoczył jednak widok krzyża wiszącego nad wezgłowiem łóżka i mała Biblia na nocnym stoliku, obok szklanki z wodą i opakowania niebieskich pastylek. Na jego twarzy pojawił się cień wątpliwości. To prawda, wszyscy się zmienili, jak powiedział kilka godzin wcześniej Dianie. Andrea na pewno też. Poczł zapach koszuli leżącej na oparciu krzesła. Po trzech latach przynajmniej jego żona pachniała tak samo.

Andrea krzątała się przy krzakach pomidorów w warzywniku. Sprawiała wrażenie szczęśliwej na tym kawałku ziemi, gdzie mogła włożyć ręce w mokry grunt, obciąć pożółkłe końcówki wyschniętych liści, podlewać i nawozić, badać korzenie, przyglądać się pełzającemu po łodydze małemu robaczki. Doświadczać przepływu czegoś żywego. Do tego zredukowało się jej życie. Miała szczęście.

Pojawiła się dziewczyna w niebieskim uniformie i z fałszywym uśmiechem zapytała ją, czy niczego nie potrzebuje.

– Wszystko w porządku, dziękuję – odpowiedziała Andrea smutnym głosem. Wszystkie więzienia są do siebie podobne, bez względu na to, na jaki kolor pomalowane zostaną ściany cel.

Dziewczyna powiedziała pokrzepiającym tonem:

– Pańska żona jest bardzo zadowolona z pobytu w naszym centrum, proszę się nie martwić. Polubiła ogrodnictwo i prawdę mówiąc, ma dobrą rękę do roślin.

– Dobrze to wiedzieć – odpowiedział, przypatrując się pochylonej sylwetce Andrei, która przywiązywała właśnie łodygi do tyczki.

– Naprawdę jej stan z dnia na dzień ulega poprawie. Coraz rzadziej ze snu wyrrywają ją koszmary; nie budzi się w nocy z krzykiem tak często jak kiedyś. Dużo rozmawiamy – dodała ze skrywaną dumą, jakby duża część tej poprawy była jej zasługą.

Arthur spojrzł na nią z wyrzutem. Za kogo ona się ma, żeby zajmować jego miejsce w życiu Andrei?

– Czy mógłbym zostać sam?

Odsunął firankę i oparł się o parapet. Chłodne powietrze napływające od strony gór uderzyło go w twarz. Zapalił papierosa, ignorując całkowity zakaz palenia na terenie całego budynku. Nic się nie stanie, jak raz złamie zasady. Świat był pełen absurdalnych zasad.

– Andreo...

Spojrzała na niego, jakby widziała go po raz pierwszy.

– Wyglądasz tak ładnie jak zawsze – powiedział, patrząc na nią z mieszaniną miłości i smutku.

To było kłamstwo, choć na tyle przekonujące, żeby nie czuć wyrzutów sumienia pod warunkiem, że nie zwraca się uwagi na przybrudzoną pizamę Andrei, jej dłuższe niż zwykle i nierówno ścięte włosy; że odwraca się wzrok od jej popękanych i obgryzionych paznokci i unika jej pustego spojrzenia. Stojąca przed nim zjawa była jedynie wspomnieniem o kobiecie, która już nie istniała, chociaż zachowała kilka rysów jej cienia. To już nie była jego młoda żona z pocztówki, z podróży do Algieru, po którego ulicach wałęsali się, dzieląc się ckliwymi wspomnieniami z dzieciństwa. Noce spędzone na pustyni przy płonących do świtu ogniskach, gdy palili trawkę i kochali się na kobiercach z drobnuteńkiego piasku wydm, wydawały się teraz tak bardzo odległe.

– Tęskniłem za tobą.

Nie pozwoliła mu się dotknąć. Widać było, że stara się patrzeć na niego z pogardą, chociaż nie do końca jej się to udawało; może dlatego, że zaskoczyła ją zmiana w jego wyglądzie. Arthur był szczuplejszy, smutniejszy i starszy. Milczała.

– Naprawdę, myślałem o tobie każdego dnia.

Andrea najchętniej zadałaby mu ból słowami, naubliżałaby mu. „A ja o tobie nie, draniu”. Ale milczała. Czasami zdarzało jej się, że chciała coś powiedzieć, ale nie mogła znaleźć słów, tonu głosu ani odpowiedniego momentu. Może dochodziła do wniosku, że w milczeniu zawierało się wszystko. Przyzwyczyła się brać udział w swoim życiu jako niemy widz. Rozmawianie było stratą czasu. Oddychanie było jej niezbędne do życia, ale słowa – nie.

W rzeczywistości pragnęła, żeby ktoś ją stamtąd zabrał. Nie z pokoju, ogrodu czy rezydencji Paraíso. Z jej głowy. Żeby ktoś wyrwał ją z jej głowy, z jej ciała, jej wnętrza i żeby zabrał ją gdzieś, gdzie nie istniała żadna Andrea. Nie miała już ochoty ani siły, żeby nadal być sobą, ani na to, żeby przestać nią być.

Jadła, wstawiała, kładła się, ziewała... Przestała się nawet przejmować higieną. Jeśli pielęgniarka zbyt długo rozmawiała przez telefon ze swoim portorykańskim narzeczonym albo siedziała jak zahipnotyzowana, oglądając serial w telewizji, Andrea robiła pod siebie. Było jej wszystko jedno, czy utonie we własnym gównie. Nie skarżyła się. Aż smród niepokoił pielęgniarkę i z wściekłością musiała zmienić jej pieluchę, przy okazji wyzywając ją od świń i dziwek i bijąc w twarz, kiedy nikt nie widział. Andrei nawet powieka nie drgnęła.

Poddała się całkiem dobrowolnie, nakładając na siebie swego rodzaju pokutę. Czasami we wspólnej sali wybuchała płaczem bez wyraźnego powodu, podczas gdy inni pacjenci grali w gry planszowe, czytali gazety lub oglądali telewizję.

Siedziała nieruchomo na krześle, wpatrywała się w okno i w pewnej chwili z jej zaczerwienionych oczu zaczęły spływać po cichu łzy, po twarzy, nosie i szyi, kapały na założone jedna na drugą ręce. Lekarze potrafili nawet w jej mutyzmie wyczuć chwile, w których najbardziej traciła ochotę do życia: drżała, chociaż temperatura w pomieszczeniu była przyjemna, albo mocno zaciskała usta i odmawiała połknięcia zupy, którą ją karmiono. Wtedy konieczne było podanie jej silniejszego środka uspokajającego, zamknięcie w pokoju i usunięcie z zasięgu jej rąk wszystkiego, czym mogłaby zrobić sobie krzywdę.

Widząc, jak cierpienie zniszczyło Andree, z wielkim trudem można było wyobrazić sobie, że kiedyś siedziała wyprostowana za biurkiem w swoim gabinecie paryskiego uniwersytetu i sprawdzała prace egzaminacyjne swoich studentów grubymi czerwonymi kółkami, z wyrazem bezkompromisowości na twarzy zakreślając błędy. „Te dzieciaki nie rozumieją, że wierszy Rimbauda nie można czytać tylko rozumem. By je zinterpretować, trzeba się pozbyć wszelkich uprzedzeń... Na miłość boską, co się stało z dzisiejszą młodzieżą? Czy nie mają odwagi swobodnie myśleć?” Oburzała się nawet podczas ich długich spacerów ulicą Saint Suplice aż do Notre Dame, które zawsze kończyli w ogródku jakiejś kawiarni na nabrzeżu Sekwany. Siedzieli tam godzinami, jakby byli panami czasu, rozkoszując się smakiem papierosów, otuleni w ciepłe kurtki, czapki i szaliki. Andrea opowiadała mu o swojej prawdziwej miłości: twórczości i życiu Rimbauda.

Rola Arthura podczas tych spotkań sprowadzała się do odgadywania każdego jej gestu, którym dawała mu do zrozumienia, że chciałaby następny kufel piwa czy paczkę papierosów, a on biegł dla niej do najbliższego kiosku. „Czasami myślę, że wyszłaś za mnie tylko ze względu na moje imię” – zwykł żartować, a Andrea głąskała go z pobłażliwością po policzku i patrzyła na niego w swego rodzaju mistycznej ekstazie. „Poza tym jesteś Francuzem i poetą” – dodawała ze śmiechem, który otwierał drogę do wszelkich marzeń i rajów, jakie mężczyzna mógł sobie wyobrazić.

Kiedy się poznali, Arthur miał dwadzieścia lat i właśnie został wolnym słuchaczem na wydziale literatury, a ona była adiunktem profesora Cochara na Sorbonie. Była od niego o dziesięć lat starsza, jednak nie przeszkadzało to, żeby stracił dla niej głowę. Wystarczyło mu pierwsze spojrzenie, zanim ją poznał, by wiedzieć, że ona również jest córką Algieru. Tylko kobieta urodzona wśród białych zabudowań jego ukochanego miasta mogła być tak piękna: ciemna karnacja, długie czarne włosy przyprószone płatkami śniegu i szerokie usta zawsze gotowe do śmiechu.

Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, w Paryżu, z nieba z elegancją padał śnieg. Dla Arthura był on zawsze tajemniczym tańcem kryształków lodu – pojawiały się i znikwały, poruszały w rytm tajemniczej muzyki, przygotowując ulice do kręcenia filmów o ponownych spotkaniach i nostalgii, których główni bohaterowie starali się zasłonić od zimna nausznikami i wełnianymi czapkami, nieczuli na piękno otaczającego ich krajobrazu, ponieważ im spowszedniał i ich irytował. Puste statki wycieczkowe przycumowane do nabrzeża kołysały się na wodach Sekwany, tymczasem kelnerzy z pobliskich knajpek odganiaли płatki śniegu jak muchy. Ujrzał Andreę w jej długim płaszczu i przekrzywionej czapce. Z rozbawieniem przyglądała się podskakującemu psu, który próbował ugryźć płatki śniegu opadające na jego pysk. Siedziała samotnie, niemal nieruchomo na schodkach, jakby wkrótce miała się zmienić w zasypaną białym puchem kamienną rzeźbę. Arthur przyglądał się jej przez dobrą chwilę, dopóki go nie zauważyła.

Gdyby mógł wymazać teraźniejszość, napawałby się wspomnieniami wspólnych wieczornych wyjść do najlepszych zamkniętych klubów muzycznych, zapachu ich spoconych i młodych ciał, tańca wśród szczęśliwych i smutnych jednocześnie dziwek, ich spacerów o świcie po Trocadero przy akompaniamencie ulicznego trębacza, który grał utwory Milesa Davisa, wybijając takt czubkiem znoszonego buta o chodnik pokryty dymiącymi niedopałkami papierosów. Na każdym rogu czaiło się inne wspomnienie; całowali się i kochali na schodach przeciwpożarowych starych budynków.

Gdzie się podziała tamta Andrea? Kim była ta zwiędła kobieta? Bezdusznym zlepkiem mięśni i skóry.

– Chcę cię zabrać do domu, do *naszego* domu. Wrócimy razem do Algieru.

Odwróciła nerwowo głowę, jakby złapał ją skurcz w szyi. Jej oczy – dawniej błyszczące – błędziły teraz mętym i pustym wzrokiem. Zrobiło się chłodniej, więc naciągnęła na dłonie rękawy sweterka, który miała założony na piżamę, i wcisnęła ręce między uda. Widziane z profilu jej rzęsy opadały pod własnym ciężarem, jak gałęzie drzewa obciążone owocami. Piękne rzęsy i oczy o martwym spojrzeniu.

Arthur podszedł krok w jej stronę i chciał pogłaskać ją po ramieniu, ale Andrea odsunęła się, przestraszona. Jego drżąca ręka zawisała w powietrzu. Po chwili wahania ujął dłoń żony i mocno ją ścisnął.

– Wiem, że to była moja wina. Gdybym był tutaj, z wami, gdybym zdał sobie sprawę z tego, co się działo pod moim nosem, mógłbym temu zapobiec. Ale nie straciłem nadziei. Zmieniłem się i odnajdę Arohę.

Andrea spojrzała na jego palce, które trzymały ją jak szpony. Czuła nieodparte pragnienie, żeby uderzyć go w twarz, ugryźć i pobić.

Prawdy nie da się zmierzyć ani oszacować, podobnie jak wybadać, ile jest w niej kłamstwa. W takiej chwili trudno jest patrzeć na mówiącego, ponieważ konfrontując jego spojrzenie z wypowiedzianymi słowami, niełatwo dopasować do siebie elementy układanki. Andrea wiedziała, że Arthur ją okłamuje. Kolejny raz. Zakrywał pustkę, jaką zostawiła po sobie Aroha, czymś innym – czymkolwiek – domem, jachtem, samochodem, biżuterią, głupią książką – i udawał, że nic się nie stało.

– Zostaw mnie.

Arthur nie posłuchał. Przeciwnie, mocniej zacisnął dłoń, jakby chciał wydrukować jej na skórze ślady swojej utraconej obecności.

– Nie mogę zmienić przeszłości, ale walczę, żeby odzyskać naszą rodzinę, zacząć od początku, nowego początku.

Andrea patrzyła na niego, nie widząc go. Sylwetka Arthura odbijająca się w jej źrenicach nie różniła się niczym od zarysu pomidorowych krzaków w ogrodzie. Powoli, palec po palcu, uwalniał ją ze swojego uścisku, jakby jej ręka należała do nieboszczyka zastygłego w pośmiertnym stężeniu. Bez słowa utkwiała wzrok w przewróconej donicy, ignorując Arthura, jakby już sobie poszedł. Z wielkim trudem powstrzymywała się przy nim od płaczu.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, było to, żeby pocieszał ją mężczyzna, którego kiedyś kochała tak bardzo, jak teraz nim gardzi.

Telefon w pokoju hotelowym zadzwonił kilka razy, zanim Arthur odebrał.

– Dlaczego tak długo nie odbierasz? – zaatakował go bez żadnych wstępów nieznany męski głos.

– Kto mówi?

– Czy rozmawiam z Arthurem Fernándezem?

Arthur potwierdził. Głos w słuchawce brzmiał władczo. Hiszpan z lekkim akcentem, którego nie potrafił zidentyfikować.

– Przyjdź do Casa de la Panadería. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak, oczywiście, że wiem, ale jeśli mi się pan nie przedstawi, rozłączę się.

– Dzwonię z polecenia Diany. Nazywam się Guzmán. Czekał na ciebie za dwadzieścia minut. Postaraj się przyjść punktualnie albo się nie spotkamy.

– Skąd ten pośpiech?

– Powinieneś wiedzieć. Czekałeś na mnie.

– Dlaczego nie przyjedziesz do mojego hotelu?

W odpowiedzi usłyszał jedynie trzaski w słuchawce.

Arthur stał przez chwilę z telefonem w ręku, patrząc na niego z zaskoczeniem.

Musiał pojechać okrężną drogą, żeby dotrzeć do Plaza Mayor. Wiele ulic remontowano, w Madrycie – jakby to był wieczny plac budowy – zawsze coś jest przebudowywane. Na dodatek natknął się na tłum ludzi idących z transparentami w stronę urzędu miasta i wykrzykujących trudne do zrozumienia hasła. Zaczął padać deszcz. Nie przstraszyło to jednak protestujących, którzy zasłaniaли się torebkami foliowymi i kolorowymi parasolami. Wzdłuż chodnika stali funkcjonariusze służb porządkowych i obserwowali zbiorowisko z nieprzyjaznym grymasem twarzy.

Spóźnił się nie więcej niż pięć, dziesięć minut. Plac był praktycznie pusty. Krzesła w ogródkach leżały poskładane jedno na drugie w podcieniach. Kilka osób paliło papierosa, patrząc na deszcz z melancholią. Miejsce to zazwyczaj tętniło życiem: od tłumów gości w szwach pękały okoliczne kawiarnie, a w soboty i niedziele odbywał się pchli targ, na którym wymieniano się znaczkami pocztowymi, książkami czy monetami. Czuło się nostalgiczną atmosferę zamkniętą między otaczającymi plac kamienicami z resztkami włoskiego stylu. Arthur szukał wzrokiem budynku powszechnie zwanego Casa de la Panadería. Wznosił się on między dwiema wieżami po północnej stronie Plaza Mayor. W dawnych czasach z jego balkonów królowie z dynastii Burbonów oglądali sztuki teatralne lub egzekucje, zazwyczaj wykonywane na placu.

Przez chwilę spacerował tam i z powrotem, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Obok niego przeszła kobieta z ogromną parasolką, bezczelnie zabierając przestrzeń jej rozłożonymi prętami, oraz Japończyk patrzący w zachmurzone niebo z rozczarowaniem. Potem przez plac przebiegł brudny, mokry pies i kilkoro dzieci, które skakały po kałużach. W podcieniach budynku znajdowały się niewielkie lokale handlowe, niektóre zamurowane cegłami, inne jeszcze działające. Dawniej w tych pomieszczeniach o łukowatych sklepieniach były warsztaty złotników i rzemieślników, podejrzane nory, burdele, a nawet więzienne cele inkwizycji.

Arthur wszedł do małego sklepiku z drobiazgami, a potem do niewielkiej boliwijskiej jadłodajni. W żadnym z lokali nikt nie zwrócił na niego uwagi. Z podcieni wyszedł więc wściekły.

Właśnie wtedy podszedł do niego mężczyzna średniego wzrostu: zwyczajna twarz, wydawać by się mogło, że nikt wyjątkowy, gdyby nie pewien szczegół – rękę, w której trzymał swój wielki czarny parasol, pokrywała spalona skóra i brakowało mu części małego palca.

– Miałem już sobie pójść. Spóźniłeś się.

Arthur niemal natychmiast poczuł niechęć do nieznanego. Jego głos – gruby,

jakby się wydobywał z wnętrza krypty – nie pasował do nieszkodliwego wyglądu. Właśnie to było niepokojące i krępujące. To, a może jego oddech.

Guzmán żuł miętową gumę i palił czarny tytoń.

– Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Weszli do baru, oddalonego o kilka skrzyżowań od placu. Lokal był w miarę pusty i ogólnie sprawiał wrażenie miejsca, do którego rano wpadali urzędnicy i studenci, jeśli nie chciało im się uczyć. Jednak ściany i musztardowe obicie wysokich barowych stołków przesiąknięte były zapachem tętniących życiem nocy. Guzmán oparł łokcie o blat baru z obrzydzeniem i potrząsnął głową jak pies. Wsparł na udach kapiący wodą parasol i potarł dłonie.

– Co za gówniana pogoda. Człowiek wyobraża sobie, że tutaj zawsze świeci słońce – mruknął.

Kelner uśmiechnął się na ich widok. Guzmán przywołał go gestem. Był przyzwyczajony wydawać polecenia, które natychmiast wypełniano.

Arthur zamówił czarną kawę. Guzmán spojrzał na niego z ukosa z drwiącym uśmiechem i poprosił o podwójny dzin z dwiema kostkami lodu.

Kelner po chwili powrócił z zamówieniem.

– Trochę za wcześnie, żeby pić.

Guzmán skinął głową, obracając wysoką, wąską szklankę i obserwując odbijające się w kostkach lodu światło.

– Trochę za późno na kawę, poza tym mam problemy z zaśnięciem, kiedy przesadzę z kofeiną. Źle znoszę zmianę stref czasowych – odpowiedział z ironicznym uśmiechem.

Guzmán – jeśli to było jego prawdziwe nazwisko – sprawiał wrażenie jednego z takich facetów, którzy potrafią zasnąć w każdym ciemnym kącie. Jedzą pistacje i piją drinki, nie odrywając wzroku od szklanki, aż nagle głowa opada im na blat baru. Wyjął paczkę chilijskich papierosów i poczęstował nimi Arthura.

– Są paskudne, ale tylko takie udało mi się kupić w mieście, w którym ostatnio byłem.

Arthur odrzucił propozycję i ostrzegł, że w lokalu obowiązuje zakaz palenia. Guzmán rozejrzał się wokół z udawanym niezadowoleniem. Zapalił papierosa i wypuścił w powietrze dym, wysuwając dolną wargę. Miał na zębach osad i językiem miętolił gumę do żucia.

– Co za gówniany kraj. Człowiekowi wydaje się, że tutaj trwa wieczna impreza, strumieniami leje się sangria i wszystko jest dozwolone – stwierdził ze znużeniem. – Robi się coraz gorzej, jak w najtrudniejszych latach prohibicji – dodał jak mafioso z Chicago w latach dwudziestych zeszłego wieku.

Korzystając z tego, że Guzmán nie krył się już pod parasolem, Arthur przyglądał mu się uważnie. Czy jego oczy miały teraz kolor miodu, a może to tylko światło baru, które odbijało się w jego źrenicach, sprawiało, że wyglądał zupełnie inaczej? Arthur postanowił w myślach zapytać Dianę, skąd wytrzasnęła tego gościa. Pewnie nie przeczytał w życiu więcej niż kilkanaście książek, ale był inteligentny. Posiadał spryt człowieka, który potrafi przeżyć. Był jednym z tak zwanych „przystojnych brzydali”, facetów o pozornie niedbałej powierzchowności i z luźno zawiązanym krawatem. Guzmán prawą rękę trzymał w kieszeni, docierał z niej szorstki dźwięk pocieranego w palcach papieru. Arthur domyślił się, że czeka na odpowiednią chwilę, żeby mu coś pokazać, jednocześnie złośliwie odwołując decyzję z minuty na minutę. Nie wydawał się przejmować upływem czasu. Dla niego rzeczywistość sprowadzała się do obserwacji przezroczystego płynu w wysokiej szklance.

Patrząc na jego okaleczoną rękę, którą przytrzymał szklankę, Arthur przypomniał sobie słowa swojej byłej kochanki.

– Diana uprzedzała mnie o metodach, które zazwyczaj stosujesz.

Guzmán uśmiechnął się nieznacznie.

– Zła sława opiera się na kłamstwach. Wszystkie legendy są wysane z palca, a moja nie stanowi wyjątku. Wymyślamy prawdę pasującą do naszych potrzeb. Nie jestem potworem, jak zapewne ci powiedziano, ale jest mi na rękę, że inni w to wierzą. W mojej branży jesteś kimś, jeśli masz odpowiednią reputację i ludzie myślą, że wypatroszyłeś swojego najlepszego przyjaciela. Chociaż ja faktycznie to zrobiłem. Poza tym co cię obchodzą moje metody? Kazano mi przyjechać, więc jestem.

– Czy Diana powiedziała ci, czego od ciebie chcę?

Guzmán wypuścił duży kłęb dymu w sufit, a potem zaczął bawić się zapalniczką i krzesać iskry.

– Mam odnaleźć twoją córkę.

– Zrobisz to?

Guzmán popatrzył na niego protekcjonalnie. Tacy dziani faceci jak Arthur mogli go kupić, ale nie oszukać. Sprawdził go, zanim przyjął propozycję Diany. „Ludzie są nieprzewidywalni” – pomyślał. – „Łapiemy się czegokolwiek, nadziei, wspomnienia, przedmiotu, i trzymamy się tego z całych sił, jeśli udaje nam się w ten sposób zachować odrobinę rozsądku w szaleństwie”. Wyjął z kieszeni kopertę i puścił ją po blacie, aż zatrzymała się na filizance z kawą.

– Raport policji o zaginięciu twojej córki. Spartolona robota, co było do przewidzenia. Według tego, co tam jest napisane, zaginęła około czterech lat

temu. Wtedy była małoletnia, ale teraz powinna skończyć dwadzieścia jeden lat, więc gdyby się odnalazła, mogłaby dobrowolnie zdecydować, że nie chce mieć do czynienia ze swoimi bogatymi starymi. Niewątpliwie policja nie zadała sobie zbyt wiele trudu podczas poszukiwań. Kiedy chce się kogoś odnaleźć, to się go znajduje. Twoja córka już wcześniej uciekała, prawda? Z londyńskim studentem, którego poznała na lotnisku Heathrow, związała do Walii na trzy tygodnie. W wieku szesnastu lat uciekała z internatu w Szwajcarii, w którym ją zamknęłaś na odwyku. Zniknęła na cztery miesiące, dopóki nie skończyły jej się pieniądze na koncie. Rok później złamała nos nauczycielce jeździectwa i ukrywała się przez dwa miesiące gdzieś w Portugalii... i tak dalej. Po zapoznaniu się z jej ciekawym życiorysem i innymi informacjami, które wyczytałem o niej w brukowcach, nie dziwię się, że policja nie uznała jej poszukiwań za priorytet.

Arthur poprawił się na barowym stołku i spojrzał twardo na Guzmána. Odstawił filiżankę na spodek z wyschniętym kółkiem po ulanej kawie.

– Dlatego właśnie tu jesteś: żeby ją znaleźć i sprowadzić do domu.

Guzmán rozejrzał się za popielniczką. Nie znajdując jej, wrzucił niedopałek do swojego drinka i uniósł palec w kierunku kelnera, zamawiając następnego.

– Jestem dobry, przyjacielu, ale nie jestem Czarnoksiężnikiem z Krainy Oz. Minęły cztery lata.

– W takim razie co tutaj robisz?

Guzmán zaśmiał się, jakby rozbawił go własny żart.

– Gonię białego króliczka?

Kelner podał nowego drinka. Wyglądał na niezadowolonego, odchrząknął i zwrócił uwagę Guzmánowi, że w lokalu nie wolno palić. Guzmán powoli skinął głową i wbił swoje małe oczka w kelnera, aż ten zamrugał, wyjąkał przeprosiny i wycofał się.

– Mogę ją znaleźć, ale to będzie słono kosztowało, bardzo słono. Muszę też wiedzieć, jak daleko jesteś gotów się posunąć. Nie lubię zostawiać niewyjaśnionych spraw.

– Jak daleko będzie trzeba. Nie obchodzi mnie to, nawet jeśli miałbyś szukać jej w piekle – odpowiedział z determinacją Arthur, patrząc na zmasakrowaną rękę Guzmána.

Guzmán skrzywił się z ironią. Wyobraził sobie facetów, na których ten zrozpaczony ojciec wydał majątek: manipulatorów, przebiegłych i bez skrupułów, sprzedawców dymu pchanych chciwością. Ale on był inny. Nikt i nic nie było w stanie go powstrzymać, dopóki nie osiągnął swojego celu.

– To może być bardzo daleko, przyjacielu. Zdziwiłbyś się, jak wiele osób

domaga się odpowiedzi, i kiedy im ją dajesz, nie są w stanie dalej z nią żyć. Nie, krew szybko tężeje i muszę mieć pewność, że w tym przypadku tak się nie stanie. Inaczej odejdę tam, skąd przyszedłem. Dobrze jest, jeśli wszyscy wiosłujemy w tym samym kierunku, a jeszcze lepiej, kiedy robimy to z identycznym przekonaniem.

– Chcę moją córkę mieć z powrotem w domu. Koniec tematu.

Guzmán zamilkł na chwilę, żeby się napić. Cmoknął i ze zdecydowaniem skinął głową. To oznaczało, że się dogadali.

– Zaczniemy od ciebie. Słyszałem, że miałeś brzydki wypadek, w którym zginęli chłopak i dziewczynka.

Słowa Diany znów odbiły się echem w głowie Arthura. Guzmán był drzwiami, których nie dało się tak po prostu zamknąć, kiedy już raz się je otworzyło. Oddalił od siebie tę myśl.

– To nie ma żadnego związku, poza tym to nie twoja sprawa.

Guzmán powoli pokręcił głową.

– Wszystko ma związek, jesteśmy ze sobą połączeni, efekt motyla i całe te bzdury. Nie słyszałeś o nich? Poza tym od tej chwili aż do momentu, kiedy znajdę twoją dziewczynkę, wszystko, co ma związek z tobą, jest też moją sprawą. Więc śmiało, opowiedz mi swoją wersję wydarzeń.

Arthur zamyślił się. Uniósł rękę i zamówił piwo.

– Chyba zapalę jednego z twoich papierosów.

Guzmán podał mu paczkę.

– A tak przy okazji, czy Tagger nie jest czasem żydowskim nazwiskiem?

Rozdział 7

El Español był majstersztykiem stworzonym przez Stradivariusa w latach 1682–1687. Skrzypce te należały do rodziny Taggerów z przerwami przez ponad sto lat. Pod koniec drugiej wojny światowej zaginęły i dopiero Glorii A. Tagger przez przypadek udało się je odzyskać dla rodzinnej spuścizny.

I nagle sprzedała je za kwotę, której nie ujawniono, do kolekcji *Stradivarius Palatinos*, znajdującej się w madryckim Pałacu Królewskim. Gloria nie potrzebowała pieniędzy, więc nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego postanowiła nigdy więcej nie zagrać na tym wyjątkowym i wspaniałym instrumencie, którego poszukiwał przez część swojego życia jej dziadek, ojciec i ona sama.

Rzeczoznawcy z instytucji zajmującej się dziedzictwem narodowym w białych rękawiczkach ostrożnie otworzyli szklaną gablotę. Mimo że posiadali certyfikaty autentyczności i dokumenty przeanalizowane przez specjalistów, musieli przeprowadzić dodatkowe badania poświadczające prawdziwość instrumentu. Skrzypce Stradivarius były obiektem niemal religijnej czci, wręcz alchemicznego rytuału i tak właśnie je traktowano. Dźwięki, które można z nich wydobyć, uważano za unikalne, chociaż badania rentgenowskie i analiza widmowa lakieru pokrywającego powierzchnię ujawniły, że z instrumentem nie zawsze obchodzono się z taką nabożnością. Od samego początku skrzypce poddawano poważnym zmianom i modyfikacjom. W późniejszym okresie wymieniony został trzonek, kołek i struna, nie wspominając o tym, że raz na jakiś czas były lakierowane.

W stanie nienaruszonym pozostał tylko korpus z drewna klonowego, chociaż i on nie był wolny od rys, które wykryto podczas badań. Te genialne skrzypce, które wkrótce miały zostać przetransportowane pancernym furgonem do Pałacu Królewskiego, stanowiły swego rodzaju kronikę najbardziej burzliwych epok w życiu zawsze tajemniczego i dyskretnego rodu Taggerów, który wydał na świat co najmniej troje sławnych wirtuozów.

Podczas gdy rzeczoznawcy wykonywali swoją pracę pod uważnym okiem notariusza i adwokata, przysłanego przez ubezpieczyciela dóbr narodowych, Gloria przyglądała się starej fotografii z okresu międzywojennego, przedstawiającej młodego mężczyznę ubranego w mundur armii niemieckiej. Najpewniej był typowym pozbawionym poczucia humoru Prusakim, który

śmierdział tytoniem z fajki. W poważnym grymasie ukazywał piękne zęby mieszczanina – wszystkie na swoim miejscu – co w tamtych czasach było ewenementem. Gyula A. Tagger był jej pradziadkiem.

– Niewiele osób wie, ale w moich żyłach płynie między innymi krew bałkańska i żydowska. A najciekawsze jest to, że węgierscy Żydzi są w większości potomkami Sefardyjczyków, których w piętnastym wieku wyrzuciła z Hiszpanii królowa Izabele.

– Dziwne, że twój pradziadek służył w niemieckiej armii – stwierdził Eduardo, który towarzyszył jej tego ranka. Gloria chciała, żeby był świadkiem tych przenosin. Chociaż nie za bardzo widział sens swojej obecności, zrozumiał, że było to dla niej ważne, więc przyszedł, nie zadając jej zbędnych pytań.

Gloria zawahała się.

– Ale to fakt. Wyparł się swojego pochodzenia, jak średniowieczni marranowie za czasów panowania królów katolickich, i jak każdy konwertyta stał się najgorszym katem swoich dawnych współwyznawców. Zmienił imię i nazwisko, wymyślił na nowo swój życiorys i sądzę, że gdyby mógł, to nawet przetoczyłby sobie krew. To były jego skrzypce i przypuszczam, że rwałby sobie teraz swoje pruskie wąsy, widząc, co z nimi robią ci eksperci. Taggerowie pochodzą z nad Balatonu, jeziora leżącego w węgierskim Kraju Zadunajskim. Kiedy przyszedłem na świat w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku, historia mojego pradziadka i El Español była już odległą legendą. Podobnie jak mój ojciec, urodziłam się w Madrycie. Kiedy miałam dwadzieścia lat, rząd węgierski zaprosił nas na obchody setnej rocznicy powstania orkiestry budapeszteńskiej i dopiero wtedy odkryłam szczegóły węgierskiej, nazistowskiej i żydowskiej przeszłości mojej rodziny.

Wydawała się rozbawiona tym połączeniem, chociaż w rzeczywistości tak nie było. Oddaliła się od stołu, przy którym rzeczoznawcy badali niczym lekarze sądowi zwłoki poszczególne elementy skrzypiec.

– Kiedy wylądowaliśmy w Budapeszcie, pierwszą rzeczą, którą zrobił mój ojciec, było zawiezenie mnie na grób mojego dziadka. Pamiętam, jak dotarliśmy o zmierzchu w okolice jeziora. Kąpielisko uzdrowiskowe było zamknięte, a molo opustoszałe. Rodziny, które przyjechały z Budapesztu na wypoczynek, wracały do pensjonatów rozsianych wśród winnic rozciągających się w cieniu milczących gór zwanych Lasem Bakońskim. Lekki wietrzyk kołysał na wodzie zacumowane turystyczne statki. Mój ojciec miał wtedy czterdzieści pięć lat. Pamiętam, jak siedział na wilgotnych deskach przystani i machał bosymi stopami, obserwując odbicie czerwonych chmur w jeziorze i tracąc poczucie czasu. Widać było stamtąd

północne wybrzeże. Mokradła porastały gęste sitowie i trzciny, w oddali majaczyły dachy jakiejś wsi, w większości pokryte słomą. „To tutaj wszystko się zaczęło” – odezwał się, patrząc na mnie dziwnym wzrokiem. Tego dnia nad Balatonem po raz pierwszy opowiedział mi historię pradziadka Gyuli, jego syna, czyli mojego dziadka, i *naszych* skrzypiec.

Gloria podeszła do szklanej gabloty, w której została tylko ozdobna podstawka do stradivariususa. Uśmiechnęła się na wspomnienie tamtego popołudnia, kiedy siedziała obok ojca na pustej przystani i jak zahipnotyzowana słuchała historii swoich przodków. Ta podróż z wielu powodów była niezapomniana.

– Na początku lat czterdziestych dwudziestego wieku walcząca po stronie Hitlera armia węgierska poniosła dotkliwe straty na froncie rosyjskim i powoli szala zwycięstwa przechylała się na korzyść aliantów, więc węgierski rząd rozpoczął negocjacje pokojowe. Mimo tajnego charakteru rozmów wszyscy o nich wiedzieli i Niemcy stawali się coraz bardziej agresywni. Zajęcie Węgier przez nazistów było już tylko kwestią czasu, więc nastroje antyniemieckie stawały się coraz silniejsze. Tymczasem na polecenie mojego pradziadka Gyuli jego syn i córki opiekowali się rannymi niemieckimi żołnierzami. W domu wszyscy przywykli do obecności grup niemieckich oficerów, przebywających na przepustce lub wracających do zdrowia. Niektórzy mieli potwornie zniekształcone twarze, straszne poparzenia lub amputowane kończyny. Mój dziadek, przesiąknięty ideami swojego ojca, czuł do tych wesołych chłopców o blond włosach współczucie. Przecież jeszcze nie tak dawno żyli sobie szczęśliwie w swoich niemieckich miastach ze swoimi żonami, dziewczynami i dziećmi.

Eduardo pokiwał głową, zainteresowany opowieścią Glorii.

– Wojna była nieszczęściem dla wszystkich – stwierdził, przypominając sobie, że podczas hiszpańskiej wojny domowej jego dziadek walczył w obronie Alcázar, podczas gdy jego rodzony brat atakował to samo wzgórze.

Gloria uśmiechnęła się.

– Nawet w czasie wojny młodzi ludzie czują ogromną chęć życia. W czterdziestym trzecim roku mój dziadek był młodym obiecującym skrzypkiem o wielkim talencie, który grał w pierwszym składzie Orkiestry Budapeszteńskiej. Jego ojciec, a mój pradziadek, był wcześniej muzykiem operowym za czasów kanclerza Bismarcka, a nawet grał przed wojną na El Españolu przed takimi wysokimi urzędnikami nazistowskimi, jak Goering i Himmler w Berlinie. Nikt się nie spodziewał, że za nieposzlakowaną reputacją pradziadka jako żołnierza i muzyka kryło się jego żydowskie pochodzenie. Dopilnował, żeby dokładnie usunąć wszelkie ślady. Wyszły na jaw dopiero wiele lat później. Dzięki temu jego

syn został zwolniony ze służby wojskowej i cieszył się specjalnymi względami jako muzyk.

Gloria podeszła do okna i odsunęła firankę. Przed domem stali dziennikarze ze swoimi statywami, kamerami i mikrofonami, czekając na przyjazd sekretarza generalnego Ministerstwa Kultury, z którym miała wydać wspólne oświadczenie dla mediów. Przejście skrzypiec w posiadanie instytucji państwowych było na tyle ważnym wydarzeniem, żeby politycy chętnie zjawili się u niej w domu i razem pozowali do zdjęć.

– Powiedz mi, czy kiedykolwiek wyobrażałeś sobie, że masz innych rodziców? Że urodziłeś się nie w Madrycie, ale na przykład w Trypolisie? Że twoje obecne i wcześniejsze życie mogło potoczyć się inaczej, gdyby twój ojciec albo babcia wybrali innego życiowego partnera. Nie sądzisz, że taka decyzja przesądza o losie następnych pokoleń?

Eduardowi nigdy nie przyszło nic takiego do głowy. Poza tym to nagle zadane pytanie było zbyt skomplikowane, żeby odpowiedzieć na nie tak po prostu. Ale Gloria nie oczekiwała od niego odpowiedzi. Zastanawiała się na głos.

– Jak już wspomniałam, ojciec zabrał mnie na grób swojego ojca. Ale na miejscu pokazał mi jeszcze coś: obok mojego dziadka nie leżała – jak należało zakładać – moja babcia. Dziadek owdowiał wiele lat przed śmiercią, a ja nie poznałam babci, chociaż wiem, jak miała na imię: Carmen de los Desmayos. Urodziła się w Aldea del Cano, w prowincji Cáceres w dwudziestym roku i została pochowana na tamtejszym cmentarzu parafialnym. Tymczasem na grobowej płycie obok grobu mojego dziadka wyrzyte było imię Álenka W.T., urodzona w Budapeszcie w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku i zmarła gdzieś na granicy węgiersko-rumuńskiej w roku czterdziestym czwartym. Ojciec ukucnął i pogładził mech, który wyrósł w szczelinie między grobami znajdującymi się tak blisko siebie, że zmarli pod ziemią mogli trzymać się za ręce.

Do pokoju, wycierając ręce w fartuch, weszła gospoia. Przez chwilę przypatrywała się pracy rzeczoznawców, nie rozumiejąc, po co zakryli zamszą szmatką kawałek drewna, jakby był dzieckiem, a oni nie chcieli, żeby się przeiębiło. Potem podeszła do Glorii i szepnęła jej coś do ucha. Eduardo mimochodem usłyszał: dzwonił niejaki Guzmán, chilijski dziennikarz, i chciał przed swoim powrotem do Santiago przeprowadzić z Glorią wywiad. Gloria zamyśliła się na chwilę, po czym powiedziała gospoisi, żeby poprosiła go o numer telefonu i umówiła na następny dzień.

– O czym rozmawialiśmy?

– O twoim dziadku i jego tajemniczej towarzysze w grobie.

Gloria podjęła przerwany wątek:

– Alejandra, Álek, była wielką miłością mojego dziadka, zanim poznał babcię. Sądząc po jego decyzji dotyczącej pochówku, powiedziała bym, że kochał ją przez całe życie. Ojciec o tym wiedział. Dziadek mu się kiedyś, prawdopodobnie po śmierci babci, z tego zwierzył. Może dlatego, że jako jedyny syn tylko on mógł spełnić wolę dziadka i pochować go przy Álek. Podobno była śliczna, wesółka i beztroska, czas dla niej jakby się zatrzymał; żyła w swoim świecie, w którym nie było wojen, planów dnia, obowiązków ani zasad. Może dlatego tak bardzo kochała mojego dziadka, który również był wolnym ptakiem, istotą ulotną.

„Istotą ulotną”, powtórzyła w myślach, potrząsając głową. To samo powiedział o niej jej mąż Ian, kiedy po raz pierwszy się kochali. Użył dokładnie tych samych słów: „Kocham cię, bo jesteś istotą ulotną, wolnym ptakiem”. I wierzyła mu, kiedy jej mówił, że gdyby próbował ją zmienić, oznaczałoby to pozbawienie jej tego, za co najbardziej ją kochał. Jednak to chciał właśnie zrobić. Zmienić ją. Dlaczego mężczyźni, którzy sprawiają wrażenie tak pewnych siebie, często okazują się najsłabsi i najbardziej tchórzliwi?

– Alejandrze dodatkowo groziło wielkie niebezpieczeństwo, ponieważ też była Żydówką. W odróżnieniu jednak od rodziny pradziadka jej rodzina nie wyparła się swojej religii, chociaż była ostrożna w zdradzaniu swojej tożsamości. Álek była muzykiem jak mój dziadek; grała na klawirze. Zakochali się w sobie podczas prób jednego z allegro Jana Sebastiana Bacha. W tamtym czasie zlikwidowano orkiestrę, w której grała Álek, a wielu jej członków zginęło; inni uciekli przed wcieleniem do wojska wysyłanego na front rosyjski, a ci muzycy, którzy przeżyli, zebrali na budapeszteńskich ulicach i w kawiarniach, grając utwory Bacha, Mozarta, Beethovena czy Wagnera, którego Niemcy lubili najbardziej. Álek nienawidziła Niemców i równie mocno gardziła zdrajcą Gyulą A. Taggerem, który oczywiście kategorycznie zakazał synowi spotkań z nią. Przez swoją wrogość stała się nieostrożna, harda, a wręcz prowokacyjna, szczególnie kiedy mówiła o ojcu mojego dziadka, albo kiedy jechała do Budapesztu grać w kawiarniach. Wiedziała, gdzie chętnie zbierały się grupki niemieckich żołnierzy, i grała stare madziarskie ballady, których obcokrajowcy nie rozumieli. Niezrażona wplatała w ich teksty obelgi na nazistów, na ich Führera czy prezydenta Horthy'ego i jego paru faszystowskich zwolenników. Widywano też, jak na ulicach stolicy otwarcie zadaje się z Cyganami i Żydami oznakowanymi gwiazdą Dawida, ustępuje im drogi, daje jedzenie. Sama jednak nie zgodziła się nosić symbolu piętnującego Żydów, za co groziła jej surowa kara. Dziadek często kłócił się o to z Álek, a nawet zagroził, że zerwie sekretne zaręczyny i nie dojdzie do ślubu, którego datę i tak

przesuwano z roku na rok z powodu wojny. Oczywiście to były puste groźby; kochał Álek ponad wszystko, mimo jej wad, i ożeniłby się z nią w każdych okolicznościach. W ten sposób próbował jedynie odrobinę naruszyć niezachwianą determinację swojej narzeczonej, aby nie ukrywać swojego pochodzenia przed nazistami. Dopiero kiedy dziadek groził, że ją zostawi i nigdy nie wróci nad Balaton, dostrzegł w jej szarych oczach cień wahania. Jednak już po chwili na jej twarzy znów pojawiał się figlarny uśmiech i obejmowała go swoimi kruchymi ramionami i całowała. „Nie zrobisz tego, nie możesz żyć beze mnie”. To była prawda, dziadek nie mógł bez niej żyć i strach przed jej utratą doprowadzał go do szaleństwa.

Gloria zamilkła. Jeden z rzeczoznawców, który oglądał powierzchnię skrzypiec pod specjalnym światłem, przywołał ją nieśmiałym gestem. Podeszła do niego. Na szyjce instrumentu znalazł dość świeżą rysę – co równie dobrze mogło oznaczać, że powstała przed sześćdziesięcioma dwoma laty. Na pierwszy rzut oka uszkodzenie było niewidoczne i w żaden sposób nie wpływało na jakość dźwięku ani grę, ale on musiał opisać je w swoim raporcie. Uniósł powoli skrzypce na wysokość oczu i bladoczerwony blask lakierowanego drewna odbił się w jego źrenicach. Przez chwilę wzrok Glorii również wydawał się złowiony w to światło. Eduardo wstrzymał oddech. Bał się je rozproszyć najmniejszym poruszeniem.

– Wkrótce naziści dowiedzieli się, o czym na *ich* cześć śpiewała Álek w budapeszteńskich kawiarniach, w których stała się mimowolnie swego rodzaju legendą. Pod koniec czterdziestego trzeciego roku jeden z jej żydowskich przyjaciół został zatrzymany przez węgierską służbę bezpieczeństwa. Było kwestią czasu, żeby ją wydał. Nie musieli nawet za mocno go torturować; wystarczyło kilka złamanych palców i wybity ząb, żeby wyznał, gdzie mogą ją znaleźć. Poza tym złożył pisemny donos w obecności agentów, że Álek jest zdeklarowaną Żydówką i systematycznie narusza wszystkie rozporządzenia dotyczące segregacji rasowej. Zdrada ta nie uratowała zdrajcy, który natychmiast został wyeliminowany. Wyrzucono go przez okno z piątego piętra, a jego ciało roztrzaskało się na twardym bruku pustej ulicy, zanim zdążył wydać z siebie choćby jęk. Pluton węgierskich gwardzistów dotarł do wsi o świcie. Nie było czasu na stawianie oporu czy próbę ucieczki. Chociaż nikt nie protestował, najstarszy stryj Álek, nauczyciel muzyki w węgierskim konserwatorium, został zatłuczony kijami na śmierć przez żołnierzy będących w widocznym stanie upojenia. Jediną winą wujka było to, że poprosił o zabranie – zanim zostanie aresztowany – ze sobą walizeczki z książkami. Cała rodzina patrzyła, jak go mordowano, i nie mogła nic zrobić, sparaliżowana tym spektaklem okrucieństwa. Ojciec Álek – już wtedy

w podeszłym wieku – zasłonił oczy pomarszczonymi rękami, nie był w stanie patrzeć, jak biją jego brata, ale strażnicy zmusili go do tego. Biedny starzec patrzył, aż wyschły mu oczy. Dowódcą plutonu był niemiecki esesman, który przyglądał się wszystkiemu, siedząc w kabriolecie i paląc papierosa z lekkim znudzeniem na twarzy. Wydał kilka rozkazów po niemiecku swojemu podwładnemu, który tłumaczył je na węgierski żołnierzom, a ci wykonywali je natychmiast. Był bardzo młody. Blond chłopak o kwadratowej twarzy i błękitnych, zimnych jak wody jeziora oczach. Żołnierze przeszukali wszystkie chaty we wsi w poszukiwaniu Álek. Kiedy mój dziadek usłyszał krzyki, przybiegł zobaczyć, co się stało. Miał nadzieję, że Álek zdążyła ukryć się w lesie. Stanowczo zaprotestował przed niemieckim oficerem, powołując się na stopień wojskowy swojego ojca – mojego pradziadka – i jego dobre stosunki z władzami Rzeszy. Twierdził, że w wiosce żyją spokojni ludzie, którzy współpracują z Niemcami, a w jego domu dziesiątki niemieckich żołnierzy dochodziły do zdrowia. Ale oficer nie przyjmował jego argumentów. Miał zamiar zabić całą rodzinę Álek i był przekonany, że torturowanie najsłabszych jej członków zmusi do mówienia mężczyzn. Przez godzinę, która wydawała się wiecznością, nad brzegiem jeziora rozlegały się krzyki.

Gloria zamilkła, unosząc się myślami w odmętach nostalgii i smutku. Bez wątpienia dokładnie i ze szczegółami zbadała historię opowiedzianą jej przez ojca. Poznała ją tak dobrze, że stała się jej częścią.

– Mój dziadek patrzył na to wszystko z zaciśniętymi zębami i żeby nie zwariować, próbował zająć czymś innym myśli. Przypominał sobie, jak spacerowali z Álek nad Dunajem, trzymając się za ręce, snuli razem, jeszcze przed wojną, plany o domu, który zamierzali wybudować w pobliżu uzdrowiska. Ale krzyki nie milkły. Nikt nie wydałby Álek, wszyscy jednak patrzyli na niego: syna przechrzty, syna nazisty, błagając go wzrokiem, żeby położył temu kres. I zrobił to. „Wiem, gdzie ona się ukrywa”, zawołał. A potem upadł na ziemię, płacząc jak dziecko. Wtedy niemiecki oficer wysiadł z samochodu i głośno wydał rozkaz. Żołnierze cofnęli się, wściekli jak psy, którym nie pozwolono rozszarpać zdobyczy. Dziadek zaprowadził żołnierzy do starej opuszczonej kopalni, w której zwykł spotykać się potajemnie z Álek. Poprosił, żeby nie robili jej krzywdy. Oficer uśmiechnął się, popatrzył na niego ze złem w swoich niebieskich oczach, i zarządził obławę. Żołnierze szybko ją znaleźli i chociaż nie stawiała oporu, rzucili się na nią i powalili ją na ziemię.

Gloria podeszła powoli do kanapy stojącej po prawej stronie okna. Przeciągnęła ręką po rzeźbionej posrebrzanej ramce z fotografią w sepia jej pradziadka.

Eduardo odniósł wrażenie, że ten gest przypominał raczej draśnięcie.

– Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył mój dziadek, było kruche ciało Álek ciągnięte po ziemi w stronę samochodu niemieckiego oficera. Miała opuchniętą twarz i obficie krwawiła. Próbowwała się jednak uśmiechać, co bardziej rozwścieczało żołnierzy, więc bili ją jeszcze mocniej. Próbowwała unieść z ziemi głowę i pokazać dziadkowi swój uśmiech figlarniej dziewczynki. Już się więcej nie zobaczyli. Dziadkowi udało się uciec do Hiszpanii, gdzie poznał moją babcię. Nigdy jej nie powiedział o Álek. Pobrali się i w czterdziestym ósmym roku urodził im się syn, mój ojciec. Ja przyszedłam na świat, kiedy ojciec miał dwadzieścia lat, a moja matka – studentka madryckiego konserwatorium – osiemnaście.

– Co się stało z twoim pradziadkiem?

Gloria cmoknęła i palcem w powietrzu napisała znak zapytania.

– Nie zapytałeś mnie, jak Gestapo dotarło do człowieka, który wydał Álek, i w jaki sposób wyszło na jaw, że to ona była autorką obraźliwych dla Rzeszy piosenek, których teksty krążyły po ulicach w postaci ulotek. To była jego wina. – Gloria wskazała na posrebrzaną ramkę. – Złożył na nią donos. Może obawiał się, że mój ojciec i jego siostry zostaną wmieszani w wydarzenia, które zniweczyłyby jego plany na przetrwanie. A może popchnęła go do tego głęboka nienawiść do Álek i jej rodziny. Dziadek wkrótce odkrył prawdę i doszło do strasznej sceny. Pradziadek był sam w domu. Grał na El Españolu jeden z utworów Schuberta, na którym zazwyczaj ćwiczył palce, żeby skrzypce nie zapomniały jego dotyku. Wściekły dziadek wpadł do pokoju i zaczął krzyczeć na swojego ojca. Obaj zaczęli obrzucać się obelgami; doszło nawet do rękoczynów. W porywie gniewu dziadek wyrwał pradziadkowi stradivarius z rąk i rzuciwszy na ziemię, złamał gryf. Potem wyszedł z domu i nigdy nie wrócił. Pradziadek zmarł kilka miesięcy później; dostał zawału serca podczas spaceru nad jeziorem. Podobno ktoś zauważył, jak umiera i woła o pomoc, ale nikt nie chciał mu jej udzielić. Został pochowany na miejscowym cmentarzu, z dala od mojego dziadka i Álek.

Przez okno dochodziły rozmowy dziennikarzy i warkot zbliżającego się samochodu. Przyjechał sekretarz generalny Ministerstwa Kultury, a rzeczoznawcy kończyli badania. Gloria powinna zejść na dół, na wspólną konferencję prasową.

Po historii, którą opowiedziała Eduardowi, musiała wziąć się w garść i promiennie się uśmiechać.

– A skrzypce? – zapytał Eduardo, kiedy ruszyła w stronę drzwi.

Gloria pogłaskała gablotę, do której włożono z powrotem instrument na czas sesji fotograficznej.

– Mój ojciec na pewno ucieszyłby się, gdyby mógł na nich zagrać, ale kiedy

je odzyskałam, jego palce przypominały już zeszywniałe szpony, w których nie był w stanie utrzymać łyżki.

– Dlaczego teraz się ich pozbywasz? To twoje dziedzictwo. – Instrument był swoistym ucieleśnieniem duszy Taggerów.

Gloria pomasaowała skroń. Jak to się stało, że zaczęła o tym rozmawiać?

– Tego typu skrzypce koncertowe są długie. Uczniowi niełatwo na nich grać. Do nauki używane są zazwyczaj mniejsze instrumenty, na przykład tak zwane trzy czwarte. Istnieją nawet skrzypce dla dzieci. Mimo to mój syn doskonale dawał sobie radę ze stradivariusem. Zagraliśmy nawet razem w tym pokoju uwerturę z *Zemsty nietoperza* Straussa. Zawsze sprawiała nam trudności, kiedy próbowaliśmy zagrać ją w duecie, ale tym razem było wyjątkowo, jakby Ian, zamiast walczyć z nutami, pozwolił im ześlizgiwać się po skrzypcach. To było wspaniałe. Musisz zrozumieć, że skrzypce są jak wierzchowiec, istota żywa, niepokorne i dumne, nie dają się poskromić komuś obcemu. Tylko kiedy rozpoznają dotyk swojego właściciela, wydają z siebie to, co najlepsze. Tak właśnie się stało, kiedy mój syn wziął do rąk stradivarius mojego pradziadka. Struny, drewno, pudło rezonansowe rozpoznały dotyk jednego z nas, Taggerów. Jakby przerwany na dziesięciolecia łańcuch znów został scalony. Dwie godziny po tym cudownym zdarzeniu Arthur Fernández potracił Iana na jednej z ulic Madrytu... Nie mogę już na nich grać, nawet na nie patrzeć, ponieważ za każdym razem, kiedy wibrują ich struny, zdaje mi się, że krzyczą z bólu, i to doprowadza mnie do szaleństwa... Nikt jeszcze o tym nie wie, ale jutro zagram mój pożegnalny koncert. Nie chcę już nigdy więcej dotykać skrzypiec.

Sala Filharmonii Narodowej pękała w szwach. Na parterze i balkonie panowało zamieszanie; ludzie szukali swoich miejsc. Na scenie nie pojawili się jeszcze muzycy, chociaż partytury i instrumenty stały już gotowe. W końcu światło z ogromnych kryształowych żyrandoli stopniowo zaczęło gasnąć, a sala – pogrążyć się w ciemnościach. Tego wieczoru repertuar stanowiły *Pieśni na śmierć dzieci* Mahlera w wykonaniu Hiszpańskiej Orkiestry Narodowej. Guzmán zajął swoje miejsce. Nad sceną widniał spektakularny prospekt organów z wielkimi piszczałkami. Po prawej stronie, w pewnej odległości od miejsc dla orkiestry, stało samotnie krzesło zarezerwowane dla Glorii, która miała usiąść naprzeciwko solisty. Na podstawie przy pulpicie do partytury promieniował swoim własnym blaskiem jej piękny stradivarius.

„Jak możesz stwierdzić, że coś ci się nie podoba, skoro nie widziałeś tego nigdy na własne oczy?” Przed piętnastoma laty pewna kobieta zadała mu to pytanie,

kiedy pomagał jej delikatnie zapiąć biustonosz, uważając, by nie urazić zadrapań, które zostawił jej na plecach. W tamtych czasach muzyka klasyczna wydawała mu się nudna. Uśmiechnął się na myśl, co ta kobieta powiedziałaby, gdyby go teraz zobaczyła...

Zgasły światła i widownia pogrążyła się w ciemności. Gloria pojawiła się na scenie, w towarzystwie solisty i dyrygenta. Ukłonili się, trzymając się za ręce. Potem na scenę wyszli członkowie orkiestry. Gloria ubrana była w elegancką czarną suknię – uszytą na podstawie wykroju z „Burdy” – bez rękawów, co podkreślało bladość jej skóry. Miała usta muśnięte pomadką w ziemistym kolorze i delikatne cienie na powiekach. Zebrane w wysoki kok włosy odsłaniały szyję pozbawioną ozdób i małe perłowe kolczyki w uszach. Rzuciła szybkie spojrzenie na widownię.

Tamta kobieta, w zasadzie dziewczyna, miała na imię Candela. Była połowa lat osiemdziesiątych, przypomniał sobie Guzmán, dotykając spalonej ręki. Candela była Baskijką, nauczycielką muzyki w jednej z baskijskich szkół zwanych *ikastola*. Poza tym czynnie działała w ETA. Wysłano ją do Chile po zakup karabinów maszynowych na czarnym rynku. Potrafiła ze szczegółami opowiadać o Chopinie, Mozarcie czy Czajkowskim z taką samą łatwością, z jaką rozkładała i z powrotem składała argentyński karabin FARA.

Solista – wysoki tenor w ciemnym smokingu i dobranej pod kolor muszce – zaśpiewał wraz z pierwszymi dźwiękami orkiestry:

*Nun will die Sonn' so hell aufgehn,
Als sei kein Unglück die Nacht geschehn!
Das Unglück geschah nur mir allein!
Die Sonne, sie scheint allgemein!*^[4]

Guzmán skupił całą swoją uwagę na Glorii. Nie obchodziło go, co się działo wokół; ani muzyka, ani głos solisty. Tylko jej skoncentrowana, niemal kamienna twarz i delikatnie kołyszące się w rytm wygranych nut ciało, jakby wypuszczała je w powietrze ze skrzypiec, a potem je wylapywała.

Z twarzy tamtej baskijskiej dziewczyny też biła melancholia. Może właśnie dlatego się w niej zakochał. Nie czuła strachu ani nie robiła sobie nadziei. Miała w sobie tylko muzykę i determinację. Wspaniale było obserwować takie marnotrawstwo energii skierowane tylko na jeden cel, jedyne pragnienie. Jakby nic innego nie było w danej chwili ważniejsze; i w rzeczywistości nie było. Wyznała mu, że przed złymi wspomnieniami potrafiła uciekać tylko wtedy, kiedy grała. Muzyka tworzyła niewidzialną tarczę, przez którą nic oprócz dźwięków nie

było w stanie się przebić. Ani szczypcy zaciskane na sutkach, ani uderzenia mokrym ręcznikiem w żołądek, ani groźby. Absolutna koncentracja zamykała drzwi jakimkolwiek innym emocjom.

Podczas antraktu Guzmán wyszedł na papierosa. Ulica Príncipe de Vergara lśniła w blasku latarni i świateł na elewacji budynku filharmonii. Po drugiej stronie długi rząd taksówek czekał cierpliwie na zakończenie koncertu. Guzmán wolałby sobie pójść, Mahler go przerastał i chociaż potrafił docenić mistrzostwo Glorii i głos solisty, brzmienie orkiestry i zręczność dyrygenta, ta muzyka nie potrafiła wzbudzić w nim głębokich uczuć. „To dlatego, że nie jesteś osłuchany. Prawdziwych przyjemności nie połyka się jak hamburgera” – powiedziałaaby Candela, bawiąc się kręconym kosmykiem swoich włosów.

Na niebie Madrytu nie było żadnych gwiazd. Gdzie podział się gwiazdozbiór Koziorożca?

„Który to jest gwiazdozbiór Koziorożca?” – zapytała Candela tego popołudnia, kiedy policja zastawiła na nią sidła i planowała aresztować ją w planetarium. Guzmán, który był przynętą, podrapał się po nieogolonym policzku i po chwili wahania wskazał grupę gwiazd w jednej części nieba odtworzonego na sferycznym ekranie. „Tam” – powiedział, jakby to on był odkrywcą konstelacji i teraz wspaniałomyślnie podzielił się z nią swoim odkryciem. Candela pachniała tak, jak pachnie dwudziestokilkulatka gotowa, by podbić świat. Guzmán poczuł, że przytula się do jego ramienia. Jej bliskość w ciemnościach planetarium sprawiała mu trudny do wyrażenia ból i ona to wyczuła. Intuicyjnie zdawała sobie sprawę z jego wyrzutów sumienia z powodu tego, co za chwilę miało nastąpić – potwornego i nikczemnego. I przyjmowała to z wyrozumiałością, nie wiedząc, co ją czeka. Był jej wdzięczny, że mimo wszystko nie odsunęła się od niego. W przeciwnym razie pograżyliby się w otchłani pogardy dla samego siebie. Czasami przesadną reakcją zmieniamy coś naturalnego we wrogość. Candela wydawała się tego świadoma, więc podała mu tylko popcorn.

Uwielbiał sobie wyobrazać, że zanim się urodził, żył w odległej masie gwiazd, czekając być może całą wieczność. Świadomość, że istniał w jakimś punkcie tej ogromnej przestrzeni, zanim spłodzili go rodzice, stanowiła dla niego prawdziwą tajemnicę, graniczyła z magią. Guzmán najchętniej siedziałby już zawsze w fotelu planetarium i muskał łokciem pierś Candeli pod mitologicznym światłem Jowisza. Wtedy jednak takie przekroczenie granic spowszedniałoby mu i straciło na wartości. Faceci tacy jak on woleli pragnąć niż mieć. Nie ma oczekiwań, nie ma rozczarowania. Z żalem odsunął łokieć i przystawił jej do boku lufę pistoletu Star. „Jestem agentem DINA^[5], jest pani aresztowana”.

Dźwięk dzwonka zapowiedział, że wkrótce rozpocznie się druga część koncertu. Guzmán wrócił na swoje miejsce. Wciąż czuł otumanienie nadmiarem muzyki. Gloria wyglądała na zmęczoną, pewnie była, ponieważ wkładała w grę całą siebie. Patrzyła na podrażnione opuszki palców, które nadal poruszały się niezależnie od jej woli, jakby trudno im było się zatrzymać.

Po zakończeniu koncertu bez problemu dotarł do jej garderoby. Kwiaty otwierają drzwi lepiej niż wytrych. Wiedział, że Gloria lubi kalie. Niosła je do ołtarza dwadzieścia lat wcześniej oraz w dniu, w którym podpisywała dokumenty rozwodowe, kilka miesięcy po śmierci syna. Fałszywa akredytacja redaktora czasopisma „Allegro” była atutem Guzmána. Stanie się jednak niewiarygodny, kiedy tylko skrzypaczka zda sobie sprawę, że on nie ma pojęcia o muzyce. Ponieważ nie wiedział dokładnie, czego szuka, to spotkanie przypominało mu przejście przez pole minowe z nadzieją, że będzie miał na tyle dużo szczęścia, że nie nadeptnie na żaden ładunek. A Guzmán, wbrew temu, co można było sądzić po bliznach na jego ciele, miał fart.

Gloria poprawiła fryzurę i przywitała go bez większego entuzjazmu.

Guzmán przedstawił się i przez chwilę rozmawiali o błahostkach. Po nieuniknionych tendencyjnych pytaniach i komentarzach stopniowo – zataczając coraz mniejsze koła – nakierował rozmowę na prywatne życie Glorii. Dlaczego właśnie teraz kończy karierę? Czy po trzech i pół roku nadal powodem mogła być śmierć jej syna? I tym podobne. „Ta kobieta potrafi zręcznie omijać niewygodne dla niej pytania”, pomyślał, „żadnego niemiłego grymasu, ani jednego zbędnego słowa, ale też żadnej konkretnej odpowiedzi”. Kilka lat wcześniej z przyjemnością przesłuchałby ją w piwnicach pałacu La Moneda.

– Co pani sądzi o Arthurze Fernándezie?

Gloria spojrzała na niego chłodno.

– Co by pan sądził o człowieku, który zabił pańskiego syna?

– Z tego, co słyszałem, to był wypadek. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

– Zbieg okoliczności, w którym śmierć poniósł mój syn.

Guzmán przeprosił. Zamierzał zakończyć tę pierwszą słowną potyczkę, zanim jego wścibstwo stanie się podejrzane, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

W progu stanął mężczyzna – bardziej tłusty niż otyły – z miną zgorzkniałego urzędnika. Guzmán zauważył, że kulał na prawą nogę, chociaż facet starał się to ukryć wyprostowaną postawą. Przyniósł kwiaty: storczyki. „Błąd, przyjacielu”, pomyślał Guzmán. Wiedział, że Gloria ich nie znosi. Tymczasem, ku jego zdziwieniu, kobieta podziękowała za nie z zachwytem i pocałowała mężczyznę czule w policzek.

– Przedstawiam panu mojego bliskiego przyjaciela, Eduarda. To wspaniały portrecista. W przeszłości cieszył się dużą sławą, która – mam nadzieję – już niedługo do niego powróci.

Guzmán uściśnął miękką dłoń faceta, którego nazwisko nic mu nie mówiło. Interesował się malarstwem równie słabo jak muzyką. Mimo to rozmowa natychmiast weszła na interesujące tory. Eduardo powiedział, że widział, jak dwóch urzędników zabrało skrzypce, na których Gloria zagrała koncert. Mówił o tym z żalem.

– Skoro się ich pani pozbyła, musiała pani dostać za nie dużą kwotę – zaryzykował stwierdzenie Guzmán.

Gloria rzuciła mu ironiczne spojrzenie.

– Zapewniam pana, że nie mniejszą niż tę, jaką zapłaciłam, żeby je odzyskać.

– A jak się pani udało je znaleźć?

– Dzięki wielu zbiegom okoliczności. Co ciekawe, to kolega mojego męża znalazł je na aukcji w Wiedniu pięć lat temu. Były w bardzo złym stanie, jakby z dala od naszej rodziny stały się zwykłym przedmiotem. Chociaż zreperowano połamany przez mojego dziadka gryf, to nie były już te same skrzypce; stały się pospolitym instrumentem pozbawionym duszy. Za pośrednictwem znajomego mojego męża skontaktowałam się z jednym z najlepszych madryckich lutników i zleciłam mu dokładną renowację.

– To dużo wysiłku, żeby cieszyć się nimi tylko przez pięć lat.

Gloria i Eduardo wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– W każdym razie teraz stały się dziedzictwem narodowym. Tak jest najlepiej... Zrobiło się późno i jestem zmęczona, panie Guzmán. Dziękuję za pana zainteresowanie, ale sądzę, że czas już zakończyć naszą rozmowę.

– Ta interesująca historia nadaje się na artykuł. Losy El Española: z węgierskich łąk do witryn Pałacu Królewskiego w Madrycie.

Tym razem Eduardo stwierdził zmęczonym głosem, że tytuł wydaje mu się zbyt górnołotny. Guzmán spojrzał na niego, jakby właśnie ptak narobił mu na ramię. Zdecydowanie nie spodobał mu się ten pieprzony grubas.

– Być może, ale temat jest wart tego, by go opisać – odpowiedział, po czym zwrócił się do Glorii, wstając. – Dłużej nie będę pani przeszkadzał. Jeszcze tylko jedno: czy mógłbym porozmawiać z pani mężem oraz z tym przyjacielem, który odnalazł skrzypce w Wiedniu? – Celowo nie przyznał się, że wie o rozwodzie Glorii.

– Mój mąż kręci film w Australii i sądzę, że wróci dopiero za pół roku.

– Zdziwiło mnie, że nie był obecny na pani pożegnalnym koncercie – zauważył

z udawaną naiwnością Guzmán.

Gloria dotknęła kolana.

– Nie zna pan Walijczyków.

– A co z jego znajomym? Czy może mi pani podać jego nazwisko?

Gloria skinęła głową.

– Mogę, chociaż nie sądzę, żeby na coś się panu przydało. Magnus Olsen. Z tego, co wiem, kilka lat temu popełnił samobójstwo.

Guzmán spojrział na nią zaskoczony.

– Dyrektor grupy inwestycyjnej GRETR? Czytałem w prasie o jego oszustwach i procesie. Prawdę mówiąc, wywołane przez niego tsunami, które doprowadziło do bankructwa jego grupy, dało się odczuć również w Chile. Chociaż trudno mi uwierzyć, że ktoś mógłby odebrać sobie życie z powodu straty kilku milionów euro, które nawet nie należały do niego.

– Dlaczego nie? – zapytał Eduardo. – Może nie był w stanie poradzić sobie z wyrzutami sumienia. Doprowadził do ruiny tysiące rodzin.

Eduardo zauważył ciemny odcień i szklistą strukturę ust Guzmána, kiedy ten wydał z siebie warknięcie, które miało być śmiechem.

– Mamy dwudziesty pierwszy wiek i nie mieszkamy w Japonii, przyjacielu – stwierdził Guzmán, obrzucając go wrogim spojrzeniem, jakby chciał wbić mu się zębami w szyję. – Tutaj menadżerowie, którzy doprowadzają do katastrofy swoje firmy, nie popełniają samobójstw. Przenoszą się z pieniędzmi do jakiegoś raju podatkowego, a resztę mają w dupie. W interesach nie liczy się godność, tylko rachunek wyników. W każdym razie zabrał swoje tajemnice do czyścica albo piekła, bo wyobrażam sobie, że tam właśnie lądują spekulanci.

Odwrócił się do Glorii.

– Pani mąż, Ian Mackenzie, jest reżyserem filmowym. Jakiego rodzaju przyjaźń łączyła go z takim kombinatorem jak Olsen?

– Proszę go o to spytać, kiedy wróci z Australii – odparła Gloria bez wahania.

– Tak zrobię. Dziękuję jeszcze raz za poświęcony mi czas.

Guzmán szedł ulicą w milczeniu. Jakaś biedaczka mazała coś na ścianie. SIT TIBI TERRA LEVIS, co za straszne zdanie, rodzaj potępienia nieszczęścia. Wcześniej Guzmán wierzył, że świat czegoś od niego oczekiwał. Może przebłysku genialności, która zbliżyłaby go do tego rodzaju nieśmiertelności, do której aspirowali malarze, muzycy i reżyserzy kręcący filmy w Australii. Teraz wiedział, że się mylił. Nikt niczego od niego nie oczekiwał. Był zwykłym człowiekiem, niczym niewyróżniającym się w tłumie; kłamcą ukrywającym się za nazwiskiem

i twarzą, za którymi przeżyje niezauważony całe życie. Świat oczekiwał tylko jego ostatecznego upadku.

Dlatego przypomniał sobie Candelę. Była dla niego ostatnim pociągiem odjeżdżającym w kierunku godności.

– Daj spokój Paco, nie wygłupiaj się i zacznij gadać. To może potrwać całą noc.

Bosch tracił cierpliwość. W DINA dorobił się takiego przydomku, ponieważ jego piekielna wizja świata przypominała tę przedstawioną na obrazach holenderskiego malarza, którego szef Guzmána szczególnie sobie upodobał. Bosch doceniał Guzmána, przepracowali razem wiele lat. Nocny chłód panujący na pustyni Atacama wprawiał go jednak w ponury nastrój, więc Bosch i jego dwaj ludzie chcieli jak najszybciej skończyć sprawę i wrócić do domu.

– Gdzie jest dziewczyna? – zapytał i znów wymierzył mu w żebra wyważonego, ale mocnego kopniaka.

Guzmán, przywiązany za ręce i nogi do kołków wbitych w ziemię, nie był w stanie się poruszyć; wiedział, że Bosch umie bić o wiele mocniej. Mimo wszystko był porządnym facetem. Musiał pokazać swoim ludziom, co czeka zdrajcę, ale nie chciał zadawać mu większego bólu, niż to było konieczne.

Nie puści pary z ust. On to wiedział i wiedzieli Bosch i jego ludzie. Musieli jednak postępować zgodnie z procedurą. Okrucieństwo i przemoc muszą być skanalizowane dla osiągnięcia rezultatów. W szkole oficerskiej uczono ich, jak ważne jest nie dać się ponieść instynktowi. „Nie jesteśmy dzikimi zwierzętami, jesteśmy profesjonalistami” – zwykł powtarzać oficer specjalizujący się w przesłuchaniach, zanim wyjaśnił im, jakie napięcie elektryczne może wytrzymać mężczyzna na genitaliach albo kobieta z elektrodą wprowadzoną do odbytu. Dla Boscha liczyła się forma. Nie uważał się za rzeźnika; do przesłuchań nie zdejmował zamszowej kurtki, którą zwykł nosić, ani nie poluzowywał węzła krawata, jak pospolici siepacze. Nawet nie potargał sobie włosów, wyrywając flaki, komu było trzeba. Jego spokojny, łagodny głos dodawał ofiarom wręcz otuchy i pozwalał im uwierzyć, że istnieje litość. Czasami ta złudna nadzieja prowadziła je ku ostatecznemu przerażeniu i ułatwiała funkcjonariuszowi wyciągnięcie z nich zeznań. Bosch wyciągnął z ludzi najwięcej zeznań. Guzmán był jego prawą ręką. A teraz jego prawą rękę dawni kumple przywiązywali paskiem do palika, podczas gdy ich szef zbliżał się z palnikiem, który wozili w bagażniku starego niebieskiego chevroleta z rejestracją Santiago. Guzmán wiedział, co go czeka; dwa dni wcześniej inny nieszczęśnik, który z pewnością leżał teraz zakopany pod czerwoną ziemią, poczuł na własnej skórze płomień tego palnika. Guzmán osobiście opalał mu nim powoli twarz.

Nie ma sensu krzyczeć na pustyni. Brak echa. Głos nie napotyka przeszkód, które by go odbiły, więc po prostu ginie w ciemności. Wokół nie ma nikogo, kto mógłby udzielić pomocy, a nawet jeśli by był, nie odważyłby się podejść do kręgu światła zarysowanego przez reflektory chevroleta.

– Hiszpanka, szczupła i bez cycków? Chcesz cierpieć przez taką dziwkę? – Głos Boscha docierał do jego mózgu ruchem wijącej się zmi. Był jak maść łągodząca paloną rękę z włosami śmierdzącymi jak skwarki i odchodzącymi od palców paznokciami.

Dobry jest, skurwiel, w swoim fachu, przyznał w myślach Guzmán, czując dla swojego szefa niemal litość. Bosch dawał swoim ofiarom do zrozumienia, że nie lubi tego, co musi zrobić; zasłaniał usta chusteczką i udawał wyćwiczone przerażenie. Już lepiej wyciągnąłby swoją berettę i go zastrzelił. Ale ucieczka od tortur nie była taka prosta. Bosch odkładał opcję zastrzelenia go na później, na koniec, chociaż może nie będzie to już konieczne. Może wcześniej usmażą i zatłuką Guzmána na śmierć. W służbach DINA anarchię tłamszono w zarodku. Nikogo nie dziwiło, że Guzmán co noc schodził do piwnicy, żeby przesłuchiwać Baskijkę aresztowaną trzy miesiące wcześniej w planetarium. Krzyki ofiary i pomruki gwałcącego ją kata były na porządku dziennym, chociaż strażnicy krzywili się, bo dziewczyna była chuda i płaska. I to, właśnie to ich zaalarmowało. Cisza. Kiedy Guzmán schodził do podziemia i nie było słychać charakterystycznej „muzyki”.

– Jak mogłeś być takim frajerem i zakochać się w kryminalistce? Tak się dzieje w pieprzonych serialach, ale nie w prawdziwym życiu. I na pewno nie powinno się to przydarzyć jednemu z moich najlepszych ludzi, do cholery!

Candela powinna już być daleko – na szlakach przecinających tę samą pustynię, którą uważano za nie do przebycia. Kiedy człowiek ma silną wolę życia, nic nie stanowi dla niego przeszkody nie do pokonania. Była bezpieczna w rękach przemytników, którzy tylko sobie znanymi kanałami przerzucali przez granicę ludzi, broń i narkotyki. O tej porze, pod tym samym niebem, zbliżała się do swojego wybawienia, metr po metrze, minuta po minucie. Wszystko pod tym samym rozgwieżdżonym niebem. „Kieruj się gwiazdozbiorem Koziorożca” – poradził jej Guzmán. Popatrzyła na niego swoimi niezwykłymi oczami, drobna, wystraszona, zredukowana do tego spojrzenia. „Gdzie jest gwiazdozbiór Koziorożca?” – zapytała. „Tam, w górze, na wschód od Strzelca”. Na początku sierpnia łatwo było go zobaczyć, wystarczyło nakreślić linię od Węgi przez Drogę Mleczną aż do Algedi i Dabih, rogów koziorożca.

On też tam był przez to, że patrzył na południe od równika. Nie ma na Ziemi

piękniejszego miejsca, żeby poczuć się jednocześnie na niej i poza nią, niż nocne niebo nad Atacamą. Tutaj nawet przerażający ból, kiedy koniec noża odrywa napletek, może wydawać się tymczasowy. Ale żeby go wytrzymać, nie może zemdleć, nie można pozwolić, by łzy rozmyły setki tysięcy gwiazd migoczących nad jego wykrzywioną grymasem cierpienia twarzą. Nie ma znaczenia, czy będzie krzyczał; nikt i tak go nie usłyszy, tam na górze też nie. Jednak w przeciwieństwie do udręki milczenia tu, na dole, obojętność nieba jest obietnicą spokoju. Wkrótce nadejdzie koniec i wszystko stanie się niczym.

– Trzeba to kauteryzować. Nie chcemy, żebyś się wykrwawił jak prosiak. Daj spokój, stary, nie bądź skurwysynem. Jeśli nie odnajdę tej suki, zdegradują mnie za to, że ci zaufałem. Nie mogę do tego dopuścić, przyjacielu. Moja rodzina musi coś jeść, a dzieciaki chodzą do tej pieprzonej angielskiej szkoły, drogiej jak cholera.

Guzmán słuchał pozornie łagodnego głosu Boscha, który stał nad nim z zakrwawionym nożem w ręku. Wcześniej założył jednorazowe rękawiczki i podwinął rękawy koszuli. Mógł rozkazać innym, żeby się tym zajęli, ale nie chciał stracić Guzmána przez czyjeś niezdarne cięcie. Nacinanie kutasa jest jak obieranie jabłka, należy robić to pewnym ruchem; tak, żeby się nie rozpadł. Guzmán wiedział o tym, sam pomagał powiększać armię sekretnych eunuchów, od których roilo się na uniwersytetach i w seminariach połowy Ameryki Łacińskiej i Hiszpanii. Był niemal wdzięczny Boschowi za to, że zajął się nim osobiście.

„Patrz w niebo – powtarzał sobie. – Nie słuchaj swoich krzyków. Nieważne, że wyrwą ci palec, że krocze cuchnie ci żywym ciałem, a krew paruje od płomienia palnika. Nie umieraj, patrz w niebo. Czy tam jest Orion? A to jest...?”

Szkoda, że nie mógł dostrzec gwiazdozbioru Koziorożca.

Szkoda, że ostatecznie wydał Candelę, żeby uratować życie. Stracił przy tym penisa, palec i spalili mu rękę.

Guzmán cmoknął z pogardą. Robił się coraz starszy, zbyt często wspominał przeszłość. To wróżyło krótką przyszłość.

Czas wziąć się do roboty.

Bez trudu odnalazł Mię Börjn, chociaż zmieniła nazwisko na mniej rozpoznawalne: Irena Wlörking. W tym na wpół wyludnionym miasteczku na Costa Dorada nie było wielu kobiet mierzących metr osiemdziesiąt i wyglądających jak skandynawskie modelki. „Blondynka” – tak mówili o niej klienci baru, w którym Guzmán o nią zapytał. Mieszkała w części miasteczka zwanej osiedlem widmem. Nikt nie wiedział, że była wdową po Magnusie Olsenie,

i najprawdopodobniej nikt o nim nie słyszał. Ludzka niewiedza w znacznym stopniu ułatwiała pracę takim facetom jak Guzmán.

Nawet mniej wnikliwy obserwator zrozumiałby, skąd się wzięła zwyczajowa nazwa osiedla domów jednorodzinnych; był to zespół niedokończonych budynków, usytuowany na wzgórzu, z dala od historycznego centrum miejscowości. Porzucone dźwigi budowlane kołysały leniwie obciążnikami jak olbrzymimi spławikami, na całym terenie walały się materiały budowlane, gruz, metalowe pręty i zardzewiałe banery reklamowe, na których widniały wizualizacje tego, co miało stać się rajem na ziemi: ulice pokryte dźwiękochłonnym asfaltem, parki z egzotycznymi drzewami i wysokimi palmami, fontanny i strumienie, baseny w śródziemnomorskich ogrodach, rumiane dzieci, uśmiechnięte kobiety, wytresowane psy i zadowoleni mężowie w luksusowych samochodach terenowych. Po tej obietnicy pozostał tylko widok jak po wybuchu atomowym: ponura pustka, którą wkrótce wchłoną chaszcze i śmieci. Kilkanaście domów zostało jednak wybudowanych do końca; z pewnością zanim pękła spekulacyjna bańka na rynku nieruchomości.

Mía albo Irena, jak teraz się nazywała, mieszkała w budynku stojącym najbliżej zbocza schodzącego w stronę morza. Chociaż z daleka dom sprawiał wrażenie luksusowego, w ogóle taki nie był. Do ogrodu prowadziła zardzewiała i niedomykająca się furtka. Guzmán szukając wzrokiem domofonu, zauważył w murze dziurę, w którą nigdy nie wstawiono urządzenia, pchnął więc furtkę, a ta ustąpiła z rzewnym skrzypnięciem. Niewykończony ogród zdążył zarosnąć chwastami: kilka nieprzyciętych drzew i krzewów, i źle przystrzyżony trawnik. W jednym kącie stał rower, a wokół niego – porozrzucone zabawki. Zza budynku dochodziły dziecięce głosy. Kierując się nimi, Guzmán dotarł na tyły domu, gdzie kobieta o posągowych kształtach zbierała siatką liście z połyskującego dna basenu.

– Pani Olsen?

Kobieta uniosła głowę. Dlaczego w miasteczku przezywano ją „blondynką”? Była opalona, a raczej spalona jak Tuareg, a krótko ostrzyżone włosy z dłuższą grzywką miała kruczoczarne, może farbowane.

– Kim pan jest? – zapytała szorstko.

Patrzyła na niego nieprzyjaznym wzrokiem. Jej idealną twarz opinała jędrna skóra – wynik medycyny estetycznej. Na pewno była o wiele starsza, niż wydawała się na pierwszy rzut oka. W młodości prawdopodobnie uważano ją za piękność. I wciąż mogłaby być piękna, gdyby w miarę upływu czasu starzała się w sposób naturalny, bez ingerencji skalpela. Ale bogaci biznesmeni nie doceniali naturalnego piękna. Woleli otaczać się kobietami w jej typie: wysokie kości

policzkowe, gładki dekolt, nabrzmiące i stojące na baczność piersi, biodra i uda pozbawione cellulitu. Krótko mówiąc: jednorodność i podobieństwo, a dzięki temu wyższy status od innych śmiertelników. Guzmán mógł sobie wyobrazić, że ta kobieta stanowiła tylko ozdobę w kolekcji drogich i egzotycznych przedmiotów Olsena. Dwóch biegających obok niej blond chłopców – niemal albinosów – którzy spoglądali na niego z kielkującą pogardą wyuczoną w elitarnych szkołach, było jej zabezpieczeniem, gwarancją, że mąż nie wyrzuci jej z rajy, kiedy się nią znudzi i postanowi zamienić ją na bardziej podniecający model, podobnie jak to robił z luksusowymi samochodami.

– Chciałbym porozmawiać z panią o pani świętej pamięci mężu.

Mía albo Irena, kimkolwiek była w tym momencie, kątem oka spojrzała na dzieci i odłożyła siatkę.

– Nie tutaj. Wejdzmy do środka.

Guzmán skinął głową i ruszył za nią. Na ścianie ujrzał oprawiony w ramy portret Olsena w melancholijnej pozie. Pozował z synami, którzy mieli kilka lat mniej niż w tej chwili. Co ciekawe, żony nie było na tym rodzinnym obrazie. W prążkowanym garniturze o prostym kroju, nieskazitelnym krawacie, pasującej do nich zapiętej kamizelce i z wystającą z butonierki chusteczką w paski, Olsen sprawiał wrażenie człowieka uporządkowanego, skrupulatnego i prawego. Patrzył surowo swoimi małymi oczkami z tak wąskimi powiekami, że wydawały się pozbawione rzęs.

Wdowa spojrzała kątem oka na Guzmána, który stał z rękami w kieszeniach.

– Czy jest pan policjantem, wierzycielem czy inwestorem, który czuje się oszukany? – zapytała zmęczonym, naładowanym sarkazmem tonem. Miała na sobie dzinsy obcięte niedbale nad kolanem, odsłaniające twarde łydki, na pewno wyćwiczone na orbitreku, który stał w kącie przy oknie. Za nim rozpościerał się widok na część ogrodu, basen, a dalej, za źle przyciętym żywopłotem, na odległy i spokojny horyzont Morza Śródziemnego.

– Dlaczego nie przyjacielem? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Niech pan mnie nie rozśmiesza. Mój mąż nie miał przyjaciół. Nikt, kto pracuje na giełdzie, ich nie ma. W ostatnich latach wszystkie osoby, które się tutaj pojawiły, miały jakieś niepozałatwiane sprawy z moim mężem.

Guzmán postanowił przejść do konkretów.

– Prawda jest taka, że pracuję dla Arthura Fernándeza. – Z premedytacją wymówił nazwisko powoli, obserwując reakcję kobiety. Ale ona tylko z irytacją przewróciła oczami.

– Nie mam pojęcia, kim on jest. Zdziwiłby się pan, gdybym panu powiedziała,

kto tu przyjeżdża i twierdzi, że robił z Magnusem interesy. Ale ja nic nie wiem o jego interesach; nigdy mnie nie obchodziły, a on nigdy nie zadał sobie trudu, żeby mnie w nie wprowadzić. Cokolwiek więc pana tu sprowadza, radzę nie tracić na mnie czasu. Jedną z barcelońskich kancelarii adwokackich zajmuje się inwentaryzacją jego majątku, bankructwem i długami. To do nich proszę się zgłosić.

Guzmán rzucił wokół siebie szybkie spojrzenie. Nie dostrzegł żadnych wartościowych przedmiotów. Kilka antyków, dwie chińskie wazy, kiczowata rzeźba i stare meble, ale bez szczególnej wartości. Pomieszczenie było w połowie puste. Trudno było stwierdzić, czy właśnie ktoś się tam wprowadzał, czy pakował do wyjazdu. Guzmán zaczął się kręcić po salonie bez konkretnego celu. Czasami trzeba przestać szukać, żeby coś znaleźć. Doświadczenie nauczyło go, że rzeczy leżą na widoku i czekają, aż ktoś je zauważy, trzeba jednak zadać sobie trud, by je zobaczyć. Zaciekawilo go, że w małej biblioteczce stały tylko książki o tematyce filmowej. O *Odysei filmowej* Marka Cousinsa, *Camera obscura* Étienne-Julesa Mareya, Teatrze Optycznym Émile'a Reynauda oraz dzieła wyglądające na bardzo stare.

W ogrodzie dwóch małych albinosów tłukło się z zapamiętaniem. Między nimi skakał podniecony pies, chyba jamnik. Szczekał i machał ogonem, nie rozumiejąc, że to nie była zabawa. Walki między ludźmi nigdy nie są zabawą.

– Nie przyszedłem w sprawie pieniędzy.

– W takim razie jest pan policjantem? Detektywem, dziennikarzem?

Guzmán z uśmiechem pokręcił głową.

– Powiedziałem już pani, że dla kogoś pracuję. Zapewniam panią, że nie chcę sprowadzić na panią kłopotów.

Wdowa spojrzała na niego podejrzliwie.

– Czego pan chce?

– Dowiedziałem się, że pani mąż pomógł odzyskać drogocenne skrzypce, które należały do rodziny Taggerów. Interesuje mnie relacja pana Olsena z tamtą rodziną.

Irena wzięła z półki książkę o rozkwicie kinematografii europejskiej w okresie powojennym. Otworzyła ją na rozdziale dotyczącym *Złodziei rowerów* Vittoria de Siki i wyjęła średniej wielkości zdjęcie. Widniał na nim niemłody już Olsen, który opierał rękę na ramieniu bardzo wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyzny z wymuszonym uśmiechem na twarzy. Na dole zdjęcia widniała napisana flamastrem dedykacja:

To my friend Magnus. Ian Mackenzie. 03/01/1999, Berlin.

– Uwielbiał filmy – mruknęła z rozdrażnieniem. – Wydawał majątek na swoje zabawki, stare filmy, książki, autografy czy przedmioty należące wcześniej do jakiegoś sławnego aktora. Płacił horrendalne sumy każdemu, kto zdobył dla niego oryginały. W ten sposób poznał reżysera Iana Mackenziego.

Guzmán uważnie przyjrzał się zdjęciu. Faktycznie mąż Glorii Tagger był równie przystojny jak jej syn.

– Magnus poznał go na festiwalu filmowym w Berlinie podczas premiery jego najślawniejszego filmu. – Zamilkła, żeby Guzmán mógł przypomnieć sobie tytuł, ale on nie miał pojęcia, o czym mówi, więc dokończyła niechętnie tonem kogoś, kto obwieszcza oczywistość: – *Wszyscy kłamią.* To był prawdziwy hit kinowy, mimo początkowej negatywnej opinii krytyków.

– To znaczy, że znajomość rodziny Taggerów i Magnusa nie miała bezpośredniego związku z muzyką, ale zamiłowaniem pani męża do filmów.

– Zgadza się. Sądzę, że Magnus początkowo nie wiedział, że żoną Iana jest skrzypaczką. Dowiedział się o tym później, kiedy się zaprzyjaźnili. Pamiętam Glorię A. Tagger, poznałyśmy się na kolacji w ich domu pod Madrytem. Wtedy opowiedziała nam historię skrzypiec od dziesięcioleci należących do jej rodziny i o swoich bezskutecznych próbach ich odzyskania. W tamtym czasie Magnus miał świetne kontakty we wszystkich kręgach, w których w grę wchodziły duże pieniądze, a jak się pan domyśla, największymi pieniędzmi obraca się na rynku aukcji i antyków. Chyba nie zdradzę żadnej tajemnicy, jeśli powiem panu, że galerie i domy aukcyjne działają często jako olbrzymie pralnie pieniędzy. Mój mąż był zafascynowany Ianem i jego żoną, więc poruszył niebo i ziemię, żeby się im przypodobać. Kilka miesięcy później udało mu się odnaleźć skrzypce w jednym z wiedeńskich domów aukcyjnych i Taggerowie odzyskali swój drogocenny instrument za haniebnie wysoką sumę. Dzięki temu Magnus zyskał szacunek uwielbianego przez siebie reżysera oraz Glorii.

– Jakiego rodzaju przyjaźń ich łączyła?

– Magnus należał do bardzo elitarnego klubu miłośników kina. Tak elitarnego, że czasami wydawało mi się, że to była jakaś tajna organizacja masońska albo sekta. Z tego co wiem, spotykali się w jednym z antykwariatów niedaleko naszego mieszkania w Madrycie kilka razy w miesiącu, wymieniali rzadkimi oryginałami filmów, książkami, znaleziskami i zdjęciami. Mój mąż chwalił się przed swoimi kolegami kinomanami zdjęciem z dedykacją od Iana, a raz nawet przyprowadził go na ich spotkanie. Chętnie się nim, jakby upolował grubego zwierza.

– Ciekaw jestem, jakie wrażenie zrobiła na pani Gloria A. Tagger?

Sądząc po grymasie niezadowolenia na twarzy kobiety, nie było to wrażenie pozytywne.

– Powiedziałabym, że w tamtych czasach ona i jej mąż przechodzili głęboki kryzys małżeński. Podczas kolacji często się kłócili, co dla nas jako gości było mocno krępujące. Potem zrozumiałam, że te kłótnie wciąż się powtarzały, a oni nie przejmowali się, że sprzeczą się w miejscu publicznym, że zwracają na siebie uwagę. Gloria dużo piła i miała ostry język. Prawdę mówiąc, szkoda mi było Iana. Przez cały czas starał się jej ustępować, ale ona nie dawała za wygraną.

– O co się kłócili?

– Dużo mówili o swoim synu Ianie. Widziałam go tylko kilka razy i wydał mi się wspaniałym chłopcem. Milczący, lekko wycofany, ale przystojny i odznaczający się elegancją, której nie da się nauczyć, ale z którą trzeba się urodzić. Był wrażliwy i dobrze wychowany. Rodzice nie mogli się chyba dogadać co do jego wykształcenia. Wspominali niejasno o problemach zdrowotnych syna, chociaż prawdę mówiąc, nigdy nie odniosłam wrażenia, żeby na coś chorował. Ojciec chciał wysłać go w tym samym roku do szkoły z internatem, gdzieś w austriackich Alpach. To był taki dom pobytowy, dyskretne i bardzo elitarne sanatorium. Gloria kategorycznie odmawiała rozłąki z synem. Oskarżała męża o to, że wymyślił sobie jego chorobę, żeby go od niej odsunąć. Twierdziła, że jest zdrowy, a w każdym razie mógłby być leczony w Madrycie czy Barcelonie, bez konieczności zamykania go w tym internacie... Z gazet dowiedziałam się, że kilka lat temu zginął w tym nieszczęśliwym wypadku, a oni rozwiedli się kilka miesięcy po jego śmierci.

Guzmán pokiwał głową. Według jego obliczeń zdarzyło się to mniej więcej rok po tym, jak Gloria odzyskała skrzypce dzięki pomocy Magnusa i Olsenowie zaprzyjaźnili się z Taggerami. Żadna z tych informacji nie przybliżała go jednak do córki Arthura, nie wyjaśniała okoliczności jej zniknięcia ani też nie wskazywała jej aktualnego miejsca pobytu.

– Była pani bardzo uprzejma, nie będę już dłużej pani przeszkadzał. Chciałbym tylko, żeby zapisała mi pani adres tego antykwariatu, w którym pani mąż spotykał się z innymi miłośnikami filmów.

Mía *alias* Irena odwróciła wzrok do okna. Synowie wciąż bili się w najlepsze, ale ona nie reagowała, jakby ich nie widziała, jakby jej tam nie było. W końcu zmierzyła Guzmána wzrokiem, jakby zobaczyła go i nie rozpoznała. Zawahała się. Po raz pierwszy podczas ich rozmowy sprawiała wrażenie niepewnej, co powinna była zrobić albo powiedzieć.

– Przypuszczam, iż pan wie, że Magnus popełnił samobójstwo.

Guzmán wiedział o tym, podobnie jak wszyscy, którzy mieli jakiś związek ze światem wielkich finansów.

– Wróciłam z chłopcami z zakupów i znaleźliśmy go martwego. Drań się powiesił, wiedząc, że zobaczą go jego dzieci. Że ja go zobaczę.

Tym razem to Guzmán nie wiedział, co powiedzieć. Irena wydawała się naprawdę poruszona, jakby ciało jej męża wciąż bujało się przed skamieniałymi z przerażenia twarzami synów.

– To musiało być potworne, przykro mi.

Cmoknęła, jakby podsumowując całą swoją złość o to, co się wydarzyło.

– Magnus zawsze był tchórzem i pozostał nim do końca. Usunął się z drogi, kiedy ściany jego zamku z kart zaczęły się trząść, zostawiając mnie z dziećmi, wszystkimi długami i problemami. Gdyby pan słyszał, co ludzie nagrywają mi na automatyczną sekretarkę: rzucają obelgi, grożą mi śmiercią, szykanują mnie i synów... Nikt mi nie współczuje ani nikogo nie wzrusza moja sytuacja... Przez ostatnie lata wciąż przenoszę się z miejsca na miejsce, ciągle uciekam. Boję się o siebie i dzieci z powodu czegoś, za co nie ponoszę odpowiedzialności. To jest moja ostatnia kryjówka, nie mam już innych opcji. Jeśli któryś z wrogów mojego męża dowie się, że tu jestem, zamieni moje życie w piekło.

Guzmán zapewnił ją, że z jego strony nie musi się niczego obawiać, on nic nikomu nie powie. Z jakiegoś powodu Szwedka przypadła mu do gustu. Może dlatego, że lubił ludzi, którzy potrafili przetrwać. Chociaż jeśli on znalazł ją bez trudu, inni też nie będą mieli z tym problemu. Ukrywanie się na osiedlu widmie, którego deweloperem był Magnus Olsen, nie było najlepszym pomysłem. Ale to już nie była jego sprawa. Wziął kartkę, na której wdowa Olsen zapisała adres, i pożegnał się serdecznym uśmiechem, obiecując ponownie jej nie nachodzić.

Rozdział 8

Przyjacielskie relacje między Eduardem a Olgą miały swoje wzloty i upadki. Mogli więc klócić się, nie widywać tygodniami i nagle któregoś dnia jedno z nich, zazwyczaj Olga, brało do ręki telefon i dzwoniło do drugiego jakby nigdy nic. Tym razem to miejsce, w którym Olga chciała się spotkać, zdziwiło Eduarda: miał to być kościół Świętego Sebastiana.

Eduardo opadł ciężko na ławkę w ostatnim rzędzie. Mógł z niej, poprzez płomienie świec wotywnych spalających się w świecznikach w różnym tempie, obserwować ołtarz. Ministrant położył na pulpicie egzemplarz Nowego Testamentu, wyjął niezbędne utensylia liturgiczne. Eduardo się niecierpliwił; za chwilę miała się rozpocząć msza. Okropnie bolało go kolano, ale antyklerykalne geny jeszcze bardziej dawały mu się we znaki.

Na szczęście po chwili dojrzał w mroku Olgę. Szła w jego kierunku, stukając szpilkami o kościelną posadzkę. Kiedy podeszła, płomienie świec oświetliły jej twarz.

– Co my tu robimy? – zapytał.

Olga miała na głowie ładną chustę z naturalnego jedwabiu. Kobiety już dawno przestały zakrywać głowę, wchodząc do kościoła. Eduardo stwierdził, że chusta podkreśla piękną symetrię twarzy jego marszandki.

– Przychodzę tu czasami, żeby spokojnie pomyśleć i osiągnąć na chwilę wewnętrzny spokój. Niektórzy ludzie odczuwają coś takiego na szczycie góry, na brzegu morza albo na cmentarzu. Ja zbieram myśli tutaj – odpowiedziała, siadając obok niego w ławce.

Eduardo patrzył z lekkim zaskoczeniem, jak ze skromnością złączyła kolana i wygładziła dół spódnicy.

– Nie przypuszczałem, że bywasz w takich miejscach.

Olga uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– Czy nie wydaje ci się, że Madryt jest pełen rozbitków? Fale jego niewidzialnego morza codziennie wyrzucają na brzeg setki desperatów. Oni są wszędzie. Dla mnie ten kościół jest jak arka Noego. Poza tym każdy pragnie przebaczenia, a tutaj wydaje się ono możliwe.

Eduardo spojrział na rzędy ławek, w większości pustych, tu i ówdzie kilka osób, niemal wszyscy grubo po sześćdziesiątce. Może na zewnątrz istniały tysiące

rozbitków stojących na krawędzi katastrofy, ale większość z nich raczej szukała desek, które utrzymałyby ich nadal na powierzchni wody. Tymczasem przed ołtarzem rozgrywał się mały dramat: ministrant szedł, niosąc karafkę z niepoświęconym winem, i najwyraźniej starał się nie potrącić księdza, który wygładzał lniany obrus na ołtarzu, ale niechcący się potknął. Eduardo patrzył – jak w zwolnionym tempie – na przerażoną twarz chłopca, gdy naczynie spadło na posadzkę i roztrzaskało się na drobne kawałki, a krople wina rozprysły się po całym ołtarzu. Scena trwała zaledwie kilka sekund, ale Eduardo zdążył odczytać słowa z ust kapłana i wydało mu się, że zaklął... Po ormiańsku? Zrobiło się mu żal ministranta, który niezdarnie próbował pozbierać odłamki karafki.

Spojrzał na Olgę z mieszaniną strachu i rezygnacji.

– Myślę, że winny ci jestem przeprosiny.

– Za co?

– Za mój absurdalny i obcesowy komentarz o tym, że nie możesz mieć dzieci... Zachowałem się jak palant. Wiem, że to dla ciebie delikatny temat.

Olga skinęła głową z pozornym spokojem. Wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się szeroko.

– Jak tam portret?

Rozejm pociągał za sobą przemilczenie i Eduardo to zaakceptował.

– Namierzyłem hotel, w którym zamieszka Arthur, i zrobiłem z daleka kilka szkiców. Dzisiaj spróbuję do niego podejść. Będę cię na bieżąco informował.

Olga słuchała w milczeniu. Miała niejasne wrażenie, że z powodu tego przekłętego portretu ich relacje nie będą już nigdy takie jak dawniej.

– Szczerze mówiąc, żałuję, że cię w to wciągnęłam. Domyślam się, że nie postuchasz mnie, jeśli poproszę, żebyś dał sobie z tym spokój, prawda?

Eduardo spojrzał zaskoczony. Co się z nią dzieje? Wydała mu się jakaś inna i na swój sposób podobała mu się ta zmiana. Od Olgi biła czystość, autentyczność, chociaż nie był do końca pewien, czy taka nieskazitelność była w swojej istocie czymś dobrym. Już nieraz widział takie opanowanie i pozorny spokój u ludzi, których wewnątrz toczyły robaki urojeń.

– Dlaczego wciąż upierasz się przy tym samym?

Olga otworzyła torebkę i położyła między sobą a Eduardem bąbelkową kopertę.

– Mam w policji znajomego, który opowiedział mi kilka rzeczy o Arthurze.

– Odkąd masz znajomych w policji? Myślałem, że się nimi brzydzisz.

– Kalafior też jest dla mnie obrzydliwy, a muszę go jeść od czasu do czasu. Facet, którego masz namalować, to nie jest taki sobie zwykły człowiek. Arthur Fernández to raczej mętna postać. Posiada jedną z największych fortun w Europie

i wszyscy wiedzą , że zajmuje się spekulacjami i interesami związanymi z bankami i giełdą. Wciąż pozostaje jednak tajemnicą, w jaki sposób stworzył swoje imperium. Mówi się, że zaczynał od handlu narkotykami, przerzucania ludzi przez granice i wszystkiego, co pachnie nielegalnością. Przeciwno niemu toczyło się wiele procesów, ale nigdy nie zdołano udowodnić jego związków z popełnionymi przestępstwami.

Eduardo otworzył kopertę; w środku znajdowały się kserokopie dokumentów z przedsiębiorstw Arthura, jego zdjęcia w towarzystwie wpływowych ludzi ze świata przestępczego, których twarze Eduardowi absolutnie nic nie mówiły.

– Jeśli nie znaleziono przeciw niemu dowodów, to oznacza, że według prawa jest niewinny.

– Niewinność często zależy od honorariów adwokatów, a on wynajmął najlepszych. Czy wiesz, że w młodości musiał uciekać z Francji? Podobno przepowiadano mu wielką karierę poety; wydał nawet tomik wierszy, który został entuzjastycznie przyjęty przez krytyków. Ale pewnego dnia – tak po prostu – pobił swojego opiekuna na uniwersytecie, niemal na śmierć, i zniknął, żeby pojawić się ponownie jako przedsiębiorca, którym jest obecnie... Dziwna ścieżka kariery, nie uważasz? Ale nie to mnie najbardziej niepokoi.

Olga wskazała ostatnią stronę raportu.

– Nie wiedziałem, że ma córkę.

– Zaginęła kilka miesięcy przed wypadkiem, w którym Arthur śmiertelnie potrafił syna naszej klientki. Testy alkometrem i późniejszy – na obecność narkotyków we krwi, dały wynik pozytywny. Nie po raz pierwszy miał tego rodzaju problemy: kilka razy stracił prawo jazdy za przekroczenie prędkości, brawurę na drodze i inne wykroczenia. Domyślałam się jednak, że adwokaci użyli tego jako okoliczność łagodzącą, próbowali powołać się na stan Arthura, który pogrążony był w rozpacz i depresji, odkąd zniknęła jego córka.

Olga nie litowała się nad słabością Arthura. Mówiła o nim z irytacją, niemal z pogardą.

– Nie chcę, żebyś wiązał się z tego rodzaju ludźmi, Eduardo. Powinieneś pozwolić, żeby Gloria i on sam poradzili sobie ze swoim nieszczęściem.

Rozbrzmiały dzwonki. Msza się rozpoczęła. Eduardo spojrzął na ministranta. Był blady i stał nieruchomo jak rzeźba w Watykanie. Żał mu się zrobiło skruszonego chłopaka. Ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę i Eduardo uśmiechnął się do niego. Nie zawsze wszystko się udaje, nie martw się, chciał mu powiedzieć.

– Wydaje mi się, że sam sobie z tym poradzę.

Wyszli z kościoła. Gdy stali pod tablicą pamiątkową Lopego de Vegi, Olga zapaliła papierosa i nerwowo ściągnęła z głowy chustę. Wraz z tym gestem zniknął spokój, który otaczał ją w kościele. Znowu wróciła ta sama spięta kobieta, za mocno ściskająca w palcach papierosa i wykrzywająca usta, jakby była wiecznie obrażona na cały świat i za chwilę miała zakląć.

– W kościele powiedziałaś, że przychodzisz tam, bo każdy pragnie przebaczenia. Co ty musisz sobie przebaczyć?

Olga z wściekłością wypuściła dym z ust.

– Tak powiedziałam? Chyba nawąchałam się kadzidła.

Eduardo przypomniał sobie dzień, kiedy spotkał ją po raz pierwszy.

Kilka tygodni wcześniej opuścił szpital, ale w domu nadal dochodził do siebie po wypadku. W tym czasie zaczął się zaniedbywać i dużo pić. Od czasu do czasu odwiedzał go ojciec i przynosił czyste ubrania, które kupował na bazarku; prawie nigdy nie trafiał w rozmiar, ponieważ Eduardo chudł w zatrważającym tempie, nie jadł i prawie nie spał. Tylko pił i palił, palił i pił. Jeśli dobrze pamięta, to właśnie wtedy ojciec powiedział mu, że wykryto u niego raka przełyku. Eduardo nie był sobie teraz w stanie przypomnieć, czy ojciec się bał, czy powiedział mu o tym ze spokojem, a może tylko wspomniął mimochodem. Nie chciał synowi dokładać smutku po stracie Eleny i Tani. Eduardo nie pamiętał też, czy lekarz, który miał operować ojca, uprzedzał, że operacja nie ma sensu, że wykryto przerzuty i nowotwór rozprzestrzenił się bardzo szybko na wątrobę i płuca. Być może powiedział szeptem, że zostały mu tylko trzy miesiące życia i najlepszym rozwiązaniem było leczenie paliatywne morfiną. Żadnej chemioterapii. Eduardo chodził z ojcem na badania i biopsje jak automat: czekał, aż wywoła ich pielęgniarka, wchodził z nim do gabinetu i słuchał, co mówił lekarz, w rzeczywistości niczego nie słysząc. Potem wracał do domu. Nie dzwonił do ojca, nie pytał go, jak się czuje. Nie wiedział, czy go to obchodzi. Teraz zrozumiał, że najprawdopodobniej nie był w stanie pomieścić w sobie więcej bólu. Zablokował się.

W dniu, w którym Olga zadzwoniła do jego drzwi, Eduardo płakał. W rzeczywistości dokładnie w chwili, w której rozległ się dzwonek, już tylko wciągał nosem smarki jak umęczone płaczem dziecko. Oglądał po kolei okładki płyt z kolekcji, którą ojciec przyniósł mu dwadzieścia minut wcześniej. „Chcę ci je dać” – powiedział. Wszystkie: Mildreda Bailey, Barbary Lei, George’a Bensona, Armstronga, Gordona Davisa. Wszystkie jego skarby. Ojciec postawił je w tekturowym pudle na kuchennym stole. Pocałował syna w czoło i wyszedł. Wtedy w Eduardzie coś pękło, nie mógł już dłużej udawać, że nie wie tego,

co wiedział. Z adaptera leciało *All the Things You Are* Charliego Parkera. Wtedy usłyszał dzwonek. Najpierw pomyślał, że dziewczyna stojąca za drzwiami jest halucynacją, kolejnym z wielu złudzeń. Pragnął, żeby sobie poszła, chciał wymazać ją z pamięci i dalej tonąć w dźwiękach saksofonu i fortepianu, chciał pograżać się w tym ciemnym, spienionym morzu, od którego nie można niczego oczekiwać. Ale dziewczyna nie ruszyła się z miejsca, dopóki nie otworzył drzwi.

Olga była wtedy bardzo młoda, miała osiemnaście lat. Stała przed nim w zabłoconych traperach i przemoczonym trenczu w kolorze khaki. Miała włosy zafarbowane na kolor marchewkowy i rzęsy oblepione grubą warstwą tuszu, który spływał jej po policzkach głębokimi, czarnymi strużkami. Miała małe piersi. Denerwowała się i pocierała ręką o rękę jak heroinistka na głodzie. Nie była jednak kolejną ćpunką zebrzącą o pieniądze ani nie zbierała podpisów na rzecz jakiegoś fałszywego prospołecznego celu, dzięki któremu mogłaby sfinansować jakąś własną zachciankę. Szybko się przedstawiła i powiedziała, że usłyszała w radiu jego historię, tę o śmierci Eleny i Tani cztery miesiące wcześniej. Powiedziała, że mieszka bardzo blisko miejsca, w którym doszło do wypadku, i że widziała coś, o czym chciała mu opowiedzieć.

Eduardo wpuścił ją do mieszkania. Olga rozejrzała się lękliwie dookoła i zobaczyła rozrzucone na stole płyty. Podziękowała za kawę, którą ją poczęstował, ale jej nie tknęła. Przez cały czas paliła papierosa, strzepując popiół na brzeg spodka od filiżanki. Trudno jej było przejść od razu do sedna, więc najpierw wspomniała, że widziała kilka jego obrazów w jakiejś galerii sztuki. Niepokojące, ale głębokie, tak je scharakteryzowała. Być może powinna była powiedzieć głębokie przez to, że niepokojące. Zapytała też, dlaczego nie nadawał swoim obrazom tytułów. Właśnie dlatego, żeby pozostały anonimowe, odpowiedział. Nikt nie zna ich tytułów. Tytuły są wymówkami, wymysłami, za którymi możemy się ukrywać. Powiedziała, że rozumie, ale Eduardo jej nie uwierzył. Była na to zbyt młoda, a poza tym nie przyszła, żeby rozmawiać o jego obrazach. Wspomniała, że studiuje historię sztuki i zamierza w ten czy inny sposób zająć się biznesem związanym z malarstwem. W to również nie uwierzył.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadać: czasami lubiła schodzić nad potok, żeby w nim popływać. Latem było to przyjemne miejsce oddalone od niedyskretnych spojrzeń. „Na wsi – zaznaczyła – źle jest widziane, kiedy kobiety kąpią się nago”. Ten komentarz wprowadził Eduarda w zakłopotanie i wydał mu się zbędny. Chciał jej o tym powiedzieć, ale dziewczyna nie dała mu dojść do słowa. Muzyka Parkera tymczasem dalej ślizgała się po mieszkaniu, chociaż żadne z nich nie zwracało na nią uwagi.

Olga powiedziała, że kilka minut przed wypadkiem widziała przejeżdżający drogą samochód terenowy w ciemnym kolorze. Zwróciła na niego uwagę, bo jechał zbyt szybko, jakby kierowca albo dokładnie znał drogę prowadzącą do potoku, albo był szaleńcem. Zignorowała ten fakt do momentu, kiedy dwie minuty później usłyszała straszny huk. Na drodze był ostry zakręt i jeśli ktoś o tym nie wiedział, mógł łatwo wylecieć z trasy.

Kiedy dotarła na brzeg potoku, ujrzała leżący na dachu samochód Eduarda z kręcącymi się wciąż kołami, a kilka metrów dalej – ciało dziewczyny. Wtedy zwróciła uwagę na terenówkę stojącą na nasypie z otwartymi drzwiami od strony kierowcy. Mężczyzna zbiegł po zboczach do rannej dziewczyny i pochylił się nad nią. Krzyknął coś, obszedł kilkakrotnie jej ciało, jakby nie wiedząc, co robić. I wtedy Olga domyśliła się, co się stanie. Wiedziała, bo nagle mężczyzna przestał łapać się za głowę i rozpaczać. Stał nieruchomo, patrząc w stronę przewróconego samochodu, a potem rozejrzał się dookoła, jakby chciał się upewnić, że nikt go nie widzi. Wspiął się z powrotem na nasyp i podniósł coś, czego – ze swojego miejsca – Olga nie widziała, chociaż domyślała się, że mogły to być kawałki rozbitej karoserii albo reflektora samochodu terenowego; i prędko odjechał.

– To ja wezwałam karetkę.

Powiedziała mu, że zrobiła coś jeszcze, i wyjęła zmiętą kartkę wyrwaną ze szkolnego zeszytu z metalową spiralą, na której zapisała numery rejestracyjne samochodu terenowego.

Eduardo zbladł. Nie wiedział, która jest godzina, ale zrobiło mu się bardzo zimno. Spojrzał na kartkę, jakby napisana tam była formuła alchemiczna, i zapytał Olgę, dlaczego przyszła dopiero po czterech miesiącach, żeby mu powiedzieć o czymś tak ważnym. Dziewczyna odpowiedziała, że na początku nie chciała ściągać na siebie kłopotów, nie przepada za policją, nie miała zamiaru włóczyć się po sądach ani robić niczego, co – jak sądziła – musi robić świadek.

– Zeznałam na policji, że nic nie widziałam, ale nie mogę dłużej ukrywać tego, co wiem. Co z tym zrobisz, to twoja sprawa. Ja oczyściłam sumienie, ale jeśli powiesz policji, że wiesz to ode mnie, zaprzeczę. Nie chcę problemów.

W taki właśnie sposób w życiu następuje radykalna zmiana. Nagle pojawia się ktoś, kto przecina je na pół. I nic już nie będzie takie jak przed chwilą. Kiedy zjawiała się Olga, Eduardo był jak rodzaj meteorytu, który leci w nieznanym kierunku. Po zderzeniu z nią obrał nowy kurs: ku innej otchłani. Nie spowodowało to, że niezrozumiałe stało się bardziej zrozumiałe. Jedynie pchnęło Eduarda w większy mrok, w stronę głębszego i jeszcze bardziej czarnego stadium.

Może powinien był pójść na policję, kiedy Olga sobie poszła. Dać im numery rejestracyjne i opis samochodu. Może to by coś zmieniło, może zmieniłoby wszystko. Ale nie zrobił tego.

– Czasami żałuję, że ci o tym powiedziałam – odezwała się Olga, wpatrując się w chodnik po przeciwnej stronie ulicy.

Szli niespiesznie ulicą Atocha i właśnie mijali Rosyjskie Centrum Kulturalne. Przy metalowej bramie stał mężczyzna z rękami w kieszeniach szarego płaszcza i z wrogą miną obserwował przechodniów. Nie wyglądał bynajmniej na przewodnika.

– Chciałaś mi pomóc – uspokoił ją Eduardo. Od tamtej pory minęło trzynaście długich lat. Po takim czasie szukanie argumentów czy pocieszenia nie miało najmniejszego sensu. Mimo to Olga nadal próbowała się usprawiedliwiać.

– Piekło jest wybrukowane dobrymi intencjami... Czy mógłbyś chociaż zastanowić się nad rezygnacją z tego przekłętą zlecenia? Na pewno załatwiłabym ci coś lepszego.

Na pożegnanie Eduardo podsunął jej swój policzek, Olga jednak pocałowała go w usta. Nie wiedziała, dlaczego to zrobiła – poddała się impulsowi. To nie był prawdziwy pocałunek. Czując jej muśnięcie, Eduardo zacisnął wargi.

Tej nocy, leżąc po ciemku w łóżku, Olga czuła się jak idiotka. Na wspomnienie przelotnego pocałunku ogarniało ją poczucie wstydu, wręcz śmieszności, a kiedy przypominała sobie, co powiedziała Eduardowi, zalewała ją fala złości. Za bardzo się przed nim otworzyła. Na szczęście Eduardo nawet nie podejrzewał, jak wiele żywotów Olga nagromadziła w swoim ciele. Był zbyt ślepy, za bardzo skoncentrowany na sobie, żeby zauważać to, co się wokół niego działo. Może i lepiej, pomyślała, gładząc przez tkaninę nocnej koszuli bliznę w pachwinie – pamiątkę po tatuażu, który z wielkim trudem udało jej się usunąć.

Blizna pokierowała jej myśli ku wybrukowanej uliczce w środku nocy. Adres zapisany na kartce wskazywał na piwnicę. Miejsce było brudne i ciemne. Olga była wtedy zmizerowaną dziewczyną, przyzwyczajoną do znoszenia ciężarów życia bez uskarżania się, ale miała tylko szesnaście lat i była przerażona.

Kobieta, która wzięła od niej płaszcz, wyglądała na naćpaną; uśmiechała się ustami, których kąciki opadały, jakby groteskowo rozmazała sobie szminkę.

– Radosne noce, smutne poranki, co?

Zaprowadziła ją do małego pokoju. Na środku stało łóżko na kółkach, a z sufitu

zwisała lampa, dając bardzo blade, intensywne światło. Na szafce z półkami z laminatu stały równo poukładane różne materiały chirurgiczne. Kobieta próbowała uspokoić Olgę, głaszcząc ją po ramieniu, ale dotyk jej ręki spowodował, że dziewczyna zaczęła trząść się jeszcze bardziej. Kobieta kazała jej zdjąć sukienkę i majtki. Wszystko odbędzie się szybko i bezboleśnie, obiecała.

– No dobrze, moja panno, wyciągniemy to z ciebie i będziesz żyć dalej jakby nigdy nic.

Ale to było straszne, długie i bolesne, bardzo bolesne. Sprawa od początku się skomplikowała, kobieta powiedziała, że przeprowadzi tylko aspirację, ponieważ ciąża miała poniżej trzech miesięcy. Ale wyrwała jej wnętrzności. Olga mogła umrzeć i czasami żałowała, że tak się nie stało. Nie chciała zobaczyć tego, co jej kobieta pokazała, zanim wrzuciła do kosza na śmieci.

– Wyzdrowiejesz, ale powinnaś pójść do szpitala. Do takiego prawdziwego.

Nie posłuchała jej. Wyszła stamtąd, czując, jak z każdym krokiem ucieka z niej życie. Z trudem zachowywała równowagę, szła, opierając się o ściany budynków.

Nie mogła o niczym powiedzieć w domu. Matka nie uwierzyłaby, że jeden z jej kochanków uwiódł jej córkę i zaszła z nim w ciążę. Jej coś takiego nie mogło się przydarzyć.

Ojciec Olgi zmarł, kiedy miała trzynaście lat. Pracował w więzieniu i czekał na nadejście każdego weekendu, żeby zawrzeć zakład w totalizatorze sportowym. Być może martwiło go, że w domu nigdy nie było wystarczająco dużo pieniędzy albo dawały mu się we znaki nagłe migreny, na które cierpiał. Lekarz z przychodni nie potrafił stwierdzić, dlaczego je miał, a one wpływały na zmiany jego humoru i powodowały, że stawał się coraz bardziej zgorzkniały. Matce nie było z nim ani źle, ani dobrze. Był dla niej jak nienamacalny cień. Olga od dziecka musiała zadowolić się pozorami normalności, na zewnątrz jej rodzina nie różniła się niczym od innych sobie podobnych. Ale za zamkniętymi drzwiami ojciec się izolował, żył w swoim kącie, nie przeszkadzając nikomu. Od czasu do czasu wychodził z niego – szurając kapciami, w piżamie i szlafroku, ze szklanką wody w ręku – siadał przed telewizorem, oglądał wiadomości i zasypiał po dziesięciu minutach. Matka patrzyła na niego z wyrazem obrzydzenia. Olga prawie nie pamiętała ojca, nie przypominała sobie czasu spędzonego razem, nie wiedziała nawet, jak jej rodzice się poznali, a matka nigdy nie wypowiedziała ani jednego zdania, po którym można byłoby poznać, co do niego czuła.

Matka Olgi nigdy nie mówiła publicznie o swoich uczuciach. Jedyne szczeliny, przez które można było zajrzeć do jej wnętrza, pojawiały się, kiedy się upijała albo

– po śmierci ojca – przyprowadzała do domu nowego kochanka. Była bardzo ładna, o wiele ładniejsza od kobiet, które sypiały z tego typu facetami. Ale zbyt łatwo poddała się odrętwieniu, uległa przekonaniu, że w jej życiu już nigdy nie zdarzy się nic dobrego, jakby wysiłek związany z przeżywaniem kolejnych lat nie miał żadnego sensu. Jej życie było czystym przypadkiem, któremu poddała się z rezygnacją. Istnieją ludzie, którzy – tak jak ona – nie wiedzą, że życie może być celem samo w sobie, którzy niczego nie oczekują ani o nic nie proszą, byleby mogli tkwić w swojej małości.

Ostatni kochanek matki Olgi był mężczyzną, któremu w życiu się nie powiodło. Miał około pięćdziesiątki – może mniej – chociaż na tyle wyglądał. Zwykł je odwiedzać w pogniecionym garniturze z serży, czasami miał oderwany guzik przy koszuli na wysokości pępka, jakby materiał nie wytrzymał naporu brzucha. Nosił długie kręcone bokobrody i wąsik *à la* Hitler, który przykrywał mu górną wargę, lekko opadającą po lewej stronie, jakby była sparaliżowana. W ręku trzymał zwykle paczkę papierosów marki Lola i zapalonego papierosa. Miał pożółkłe palce, brudne – podobnie jak całe jego ubranie – paznokcie i ubłocone czarne buty. Początkowo patrzył na Olgę obojętnie, jak na coś nie do uniknięcia, ale niewartego uwagi. Rzadko się uśmiechał, a kiedy już to robił, jego uśmiech był sztuczny i wymuszony.

Jego spojrzenie jednak zmieniło się, a matka tego nie zauważyła.

Chociaż Olga nie mogła sobie przypomnieć, jaki to był miesiąc, wiedziała, że to była środa. W środy z supermarketu przywożono im zakupy. Olga pamięta błyszczącą kierownicę, zniszczone brązowe siodełko roweru opartego o drzwi i chłopaka, który zdejmował z jednoślada wypełnione po brzegi wiklinowe kosze. Kochanek matki siedział naprzeciwko Olgi i uważnie się jej przyglądał. W pokoju panował półmrok i uczucie chłodu kontrastowało z dusznym, jasnym, niemal skwierczącym upałem panującym na zewnątrz. Mężczyzna powoli wstał i podszedł do Olgi, złapał ją za szyję – delikatnie, choć stanowczo – i przyciągnął jej twarz do swoich ust.

To był pierwszy raz, ale było ich więcej, dużo więcej. Teoretycznie do niczego jej nie zmuszał, a przynajmniej nie używał do tego siły. W rzeczywistości Olga poddała mu się jak w narkotycznym transie, kiedy nic się nie liczy, ponieważ nie ma się woli, żeby coś zmienić czy czemuś przeszkodzić; jakby z każdym pocałunkiem ten mężczyzna wtlaczał jej językiem do ust paraliżujący jad.

I mimowolnie zakochała się w nim. W żonatym mężczyźnie, starszym o trzydzieści lat, który był jednocześnie kochankiem jej matki. Była nawet na tyle głupia, żeby wytatuować sobie jego imię w pachwinie, chociaż zrobiłaby dla niego

dużo więcej niż pozostawienie na zawsze na swojej skórze kilku bezużytecznych liter. Przez wiele miesięcy dzieliła się nim ze swoją niczego nie podejrzewającą matką. Szukała pretekstów, żeby do niego zadzwonić, chociaż czasami telefon odbierała jego żona albo synek. Znosiła upokorzenia, przybiegała jak posłuszna suczka z cieczką do każdej nory, w której się z nią umawiał, żeby pospiesznie ją zerznąć; i wbijała paznokcie w swoje ciało, żeby nie krzyczeć, kiedy słyszała, jak za ścianą jej matka szczytowała z nim w sobie.

Ta halucynacyjna podróż jednak nagle dobiegła końca. Pewnego ranka umówił się z nią w nędznym hoteliku przy drodze do Villaverde.

Olga postanowiła, że powie mu o ciąży, kiedy skończą się kochać i będą leżeć w łóżku, paląc papierosy. Ale do pokoju wpadła *Ona*, żona, i Olga poczuła, jak jej magiczny świat rozpada się na tysiąc kawałków, jakby w komfortowej kabine samolotu doszło do dekompresji. Zaczęli na siebie krzyczeć, choć nie da się rozmawiać i krzyczeć jednocześnie, bo wszystko staje się wtedy niezrozumiałe i chaotyczne.

Przez chwilę Olga sądziła, że jej młodość wygra tę bitwę, męczyzna przeciwstawi się żonie i powie jej głośno to, co szeptał w pościeli Oldze dziesiątki razy. Ale on skapitulował, w rzeczywistości nawet nie walczył. Poddał się po prostu, jakby nic się nie wydarzyło, jakby Olga była odrażającym robakiem pełznącym po jego małżeńskim szczęściu.

– Będziemy mieli dziecko! – krzyknęła.

Nie chciała, żeby dowiedział się o tym w ten sposób. Miała nadzieję, że w namiętym rytmie, który odmierzał muzykę ich nocy – biodro przy biodrze – powie mu: „Zostaw żonę i moją matkę. Teraz my jesteśmy rodziną”. Jakby to dziecko stało się spajającym ich ogniwem. Ale ten okrzyk – zwierzęcy i pełen rozpacz – był jedyną rzeczą, jaka jej pozostała; jej ostatnią nadzieją, by go przy sobie zatrzymać.

Popatrzył na nią z przerażeniem starego piernika. I w tym spojrzeniu, w tym ułamku sekundy, Olga ujrzała swój potworny błąd. Zrozumiała, że miłość nie istnieje, że mężczyźni są egoistyczni i słabi. Uświadomiła sobie, że znienawidzi na zawsze człowieka, którego imię wytatuowała sobie na skórze, z tą samą zapalczywością, z jaką chwilę wcześniej go kochała.

Zostawił je: ją i jej matkę. Tak po prostu wygonił je ze swojego życia, jak odgania się namolnego owada podczas drzemki – machnięciem ręki. Skończyły się romantyczne weekendy, niewygodne i podniecające szybkie numerki na tylnej kanapie samochodu, obietnice, wiersze, drobne prezenty, rozmowy telefoniczne w środku nocy; skończyły się tatuaże i porozumiewawcze spojrzenia.

A kiedy jej matka – pijana i zagubiona – wołała go w nocy, szlochając i nie rozumiejąc powodów tak nagłego porzucenia, Olga patrzyła na nią i nienawidziła świata.

Nie, Eduardo nawet nie mógł podejrzewać podobnej historii. Zawsze patrzył na Olę z niecierpliwością charakterystyczną dla kogoś, kto musi tłumaczyć oczywistości. A teraz stało się oczywiste, że Olga była przerażona.

Zmrużyła oczy i wyobraziła sobie nagie, bezbronne, martwe ciało na brudnej podłodze pokoju. Jej zamordowana młodość.

Jak absurdalny i niewiele znaczący może wydawać się nagi i martwy człowiek. Jak bezużyteczne i bezwartościowe jest takie wyzwolenie.

Rozdział 9

Zgodnie ze zwyczajem modlitwy *salat* należy odmawiać pięć razy dziennie, każdego dnia. Najważniejsza jest modlitwa po południu i właśnie ją Ibrahim odmawiał z największą pobożnością.

Był czas, kiedy sam prowadził modlitwy w kongregacji, na co u sunnitów pozwala się wiernym, którzy dobrze znają Koran, tak jak on i jego ojciec: człowiek o nieposzlakowanej reputacji. Mimo to Ibrahimowi wystarczył tylko kawałek na tyle czystej podłogi, żeby mógł pochylić się przed ścianą skierowaną na wschód – przed wyimaginowanym *mihrabem* wskazującym kierunek Mekki. W więzieniu nie było imama ani religijnego przewodnika, który narzuciłby mu powód do modlitwy. Allah nie pozwala żadnemu człowiekowi rozmawiać ze sobą bezpośrednio, dlatego istnieją prorocy i anioły. Ale tam nie było ani jednych, ani drugich. To, co miał do powiedzenia, pozostawało między nim a Bogiem. Chociaż Bóg najwyraźniej nie chciał go wysłuchać.

Ibrahim nie mógł mieć mu tego za złe. Nie wystarczy umyć twarzy, rąk, pach i stóp, żeby poczuć się oczyszczonym, ani klaniać się na dywaniku, żeby znaleźć się w raju. Nie wystarczy nawet błagać o przebaczenie, żeby na nie zasłużyć, a on nawet nie wiedział, czy tego chciał.

Od dziecka uczono go, by oddzielał duchowość od przyjemności i że jedynym celem jego życia ma być unicestwienie swojego ja w Allahu. Uczono go, że wszyscy ludzie rodzą się z dwiema duszami: ludzką i boską, a życie stanowi wieczną walkę, drogę rozwoju, na której to, co ludzkie, powinno zostać sprowadzone do boskiego pierwiastka. Ibrahim wiedział jednak – po życiu pełnym wewnętrznych konfliktów – że nie ma silnej wiary ani zachowania bez skazy. Nie, Bóg już mu nie ufał. A on przestał wierzyć w Jego dobroć. Mimo to z powagą odmawiał modlitwę *qiyam*, stał z pochyloną głową i rękami złożonymi na piersi, potem pochyłał się do przodu, a następnie klękał i bił głową pokłony.

Jedną z ulubionych sur Ibrahima była osiemnasta, mówiąca o Iblisie, upadłym aniele, który jako jedyny sprzeciwił się Allahowi. Recytując ją szeptem, Ibrahim nie mógł powstrzymać się od wspomnienia swojego dzieciństwa i tego, czego od niego oczekiwano. „Kiedy powiedzieliśmy aniołom: Oddajcie pokłon Adamowi! Oni pokłonili się, z wyjątkiem Iblisa, który był spośród dzinów i który zbuntował się przeciwko rozkazowi swojego Pana”^[6]. Przeciwno ilu panom on się zbuntował?

Jak wiele zakazów złamał? Przynosił ujmę rodzinie i łzy matce. Nie poszedł za przykładem swojego starszego brata, algierskiego męczennika. Był mordercą, handlarzem bronią, najemnikiem. Obłudnikiem.

Spojrzał na pustą pryczę Arthura i sięgnął po zdjęcie z jego podróży poślubnej, które ten zostawił nad wezgłowiem. Ibrahim nie miał dzieci, żony ani rodziny, która zapłakałaby nad jego grobem; nikogo, kto by się za nim wstawił, kiedy Allah postanowi, że jego czas się skończył, i przyśle po niego anioła śmierci. Żył złudzeniami. Nagle zdał sobie sprawę, że się starzeje, chociaż nie miał pojęcia, kiedy minęły te wszystkie lata. Nie ogarniał go wewnętrzny spokój – nigdy go nie czuł – ani nie targała nim wewnętrzna walka. Było tylko poczucie klęski po bezsensownie rozlanej krwi i wyrzuty sumienia, a także głosy i twarze zagubione w pamięci. Jego dziecięce marzenia ostatecznie stały się koszmarami.

Spojrzał na drzwi celi i zobaczył opartego o kraty Ordóñeza.

– Nie wiem, co zrobiłeś ani jak ci się to udało, ale wychodzisz stąd – odezwał się dyrektor, wymachując sądowym nakazem zwolnienia.

Ibrahim spojrzał na pustą ścianę i przypomniał sobie w myślach obraz z pocztówki Arthura. Algier, Andreę...

Może jednak Allah nie był tak srogim i milczącym ojcem jak jego własny ojciec. Najwyraźniej Miłosierny miał poczucie humoru, gorzkie poczucie humoru.

Arthur siedział przy oknie, przy stoliku ustawionym w głębi hotelowej restauracji. Przez zawieszony w niej firanki widać było pnie drzew rosnących wzdłuż alei Prado. Światło docierające z zewnątrz zmiękczało kontury jego potężnego ciała, ukazując jednocześnie dwie wersje tego samego człowieka: jego masywną sylwetkę i bijący od niego blask. Arthur zamówił u kelnera śniadanie, po czym natychmiast skupił uwagę na małym notesie. Był tak skoncentrowany, że kiedy kelner wrócił po chwili z zamówieniem, musiał chrząknąć kilka razy, zanim Arthur zauważył jego obecność i zrobił na stoliku miejsce na tacę. Kawa, jajko na miękko, kawałek owocu i dwa tosty z masłem.

„Dość skromnie jak na tak rosnącego faceta” – pomyślał Eduardo. Gdy siedział na szeszlunku w holu hotelowym, miał doskonały widok na restaurację. Dzięki czemu bez problemu mógł przyjrzeć się Arthurowi, obserwować jego ruchy, analizować symetrię jego rysów i ciała.

Pierwszą rzeczą, która mu przysłała do głowy, było to, że do Arthura nie pasowało jego imię. Znał niewiele osób, do których pasowało – jedni na nie zasługiwali, a innych przerastało. Dokonując dziwnych analiz, Eduardo utworzył jeden wzorzec Arthurow: wyobrażał ich sobie jako mężczyzn o miłej aparycji,

może cierpiących na jakąś chorobę, na przykład infekcję dróg oddechowych, częste migreny albo szmery w sercu. Łatwo mu było sobie wyobrazić Arthura jako mężczyznę o jasnych, przerzedzających się włosach i oszczędnych ruchach. Zwłaszcza jeśli Arthur był poetą albo chciał nim zostać – o czym Eduardo wiedział. Spodziewał się spotkać mężczyznę o płochliwym spojrzeniu – nie tchórzliwym, ale raczej umykającym i badawczym – przewrażliwionego na punkcie najdrobniejszych szczegółów, z pewnością ocierającego się o szaleństwo.

Tymczasem ten mężczyzna taki nie był, a przynajmniej nie świadczył o tym ani jego wygląd fizyczny, ani zachowanie. Miał na sobie drogie ubranie; szyty na miarę włoski garnitur w ziemistym kolorze, dobrany do niego jedwabny krawat, spinki w mankietach i tytanowy zegarek z trudem łagodziły brutalność zbyt silnego ciała; gotowe do walki i wysiłku mięśnie skrywał uwięzione pod koszulą. W mało wysublimowany sposób ujął w palce jajko, żeby je obrać, po czym pewnym ruchem bezceremonialnie podniósł do ust filiżankę kawy. Najbardziej jednak dysonans między Arthurem a jego imieniem uwidocznił się w jego spojrzeniu – czytał coś w notatniku, a potem w zamyśleniu odwrócił wzrok w stronę wpadającego przez okno światła. Nie sprawiał wrażenia, że rozmyśla nad czymś pięknym – może strofami wiersza czy pomysłem, który zanotował w przyływie inspiracji – w oczach nie błyszczała mu też melancholia czy nostalgia. Nie, jego spojrzenie i skupiony wyraz twarzy bardziej przywołały na myśl zimną kalkulację, rozważanie plusów i minusów, opcji i możliwości dotyczących czegoś, co chodziło mu po masywnej i nieprzeniknionej głowie.

Nagle wyraz twarzy Arthura uległ zmianie w fascynujący sposób. Uśmiechnął się szeroko na widok mężczyzny, który natychmiast przykuł powszechną uwagę.

Nowo przybyły miał na sobie bawełnianą dżelabę – podobną do tych noszonych przez muzułmanów od święta – ze złotymi lamówkami w roślinne motywy wokół dekoltu i u dołu długich rękawów. Szata sięgała mu do kostek, ale spod spodu było widać zachodnie spodnie i skórzane buty. Twarz mężczyzny była zorana strasznymi zygzakowatymi bliznami, które nadawały mu groźny wygląd. Mimo to sposób, w jaki zamachnął w powietrzu rękawem dżelaby i skłonił się lekko, kładąc prawą dłoń na sercu, stanowił sekwencję tak eleganckich i delikatnych ruchów – niemal finezyjnych – jakby ich wykonawca był raczej tancerzem niż Arabem, który chce podłożyć bombę w restauracji, czego z pewnością obawiali się goście siedzący przy pobliskich stolikach. Bił od niego niezaprzeczalny magnetyzm nie tylko z powodu blizn i śladów na twarzy, ale również powściągliwości, z jaką dotykał przedmiotów, czy szczerego zainteresowania, jakim darzył wszystko, co działo się wokół niego. Wydawało się, że istniała

równowaga między odrazą, którą wzbudzała zmasakrowana twarz mężczyzny, a podziwem dla jego wrodzonej elegancji.

Na kilka sekund spojrzenia Eduarda i mężczyzny się skrzyżowały. Eduardo poczuł, jak nieznajomy bezceremonialnie taksuje go wzrokiem, by po chwili – jakby odrzucił potencjalne zagrożenie – wrócić do ożywionej rozmowy z Arthurem. Obaj wstali i wyszli z hotelu.

Eduardo ruszył za nimi, aby śledzić ich z daleka.

Przez większość przedpołudnia spacerowali ulicami Madrytu, wstąpili do dwóch księgarni, kupili jakieś ubrania i późnym rankiem usiedli w kawiarnianym ogródku w dzielnicy Letras, żeby czegoś się napić. Był piątek i na ulicach panował tłok. Na placu Santa Ana było jak w ulu, z pobliskich restauracji dochodził gwar rozmów, pokrzykiwali uliczni sprzedawcy napojów, a wielu ludzi wałęsało się bez wyraźnego celu. Pod markizami teatru Español kilku Latynosów grało swoje piosenki; obok nich młody przewodnik pokazywał grupie rosyjskich turystów nazwiska napisane na frontonie budynku. W pewnej odległości krążył samochód policji municypalnej – poruszał się wolno jak w rytmie bolero. Czarnoskóry chłopak rozdawał ulotki reklamujące bar z tapas, a dwie Cyganki ubrane na czarno chodziły wśród stolików w barowych ogródkach, oferując gałązki rozmarynu i wróżby. Wszystko współistniało pozornie bez żadnych zgrzytów. Zwyczajne miejsce – pod warunkiem, że nie spoglądało się głębiej – umożliwiało Eduardowi niepostrzeżenie trzymać się dość blisko Arthura i jego przyjaciela. Na szczęście wydawało się, że nigdzie się nie spieszą, za co był im wdzięczny, ponieważ po długim porannym spacerze ból w kolanie doprowadzał go do szaleństwa.

Arthur zatrzymał się przy rzeźbie Federica Garcíi Lorki i nagle odwrócił głowę w stronę Eduarda i przypadkiem na niego spojrział. Eduardo w ostatniej chwili wbił wzrok w okno wystawowe sklepiku z winami. Było mało prawdopodobne, żeby Arthur go rozpoznał albo podejrzewał, że ich śledzi. Jednak kiedy Eduardo ponownie popatrzył w stronę pomnika, Arthur długimi krokami oddalał się z placu, jakby nagle gdzieś mu się zaczęło spieszyć. Jego przyjaciel znikł.

Eduardo przyspieszył kroku, żeby wśród tłumu nie stracić Arthura z oczu, zapominając o ostrym kluciu w kolanie.

Po krótkim męczącym biegu dotarł do ulicy, w której zniknął Arthur. Była wąska, z barami tapas, zbyt zatłoczona, żeby przejść przez nią, nie przepychając się łokciami.

– Cholera, ty pieprzony kaleko! – W przypiływie wściekłości warknął sam

do siebie i uderzył się w chorą nogę, kiedy zrozumiał, że zgubił Arthura.

Nadia Rueda uprzedziła Arthura, że Ibrahim wyszedł na wolność. I rzeczywiście, jego towarzysz z celi stał teraz przed nim.

Arthur chciał go mieć przy sobie, czuł się przy nim bezpieczniej. Mógł z nim dzielić coś namacalnego i rzeczywistego w świecie, do którego nagle powrócił i który nadal go oszałamiał. Ibrahim też wyglądał inaczej poza szarym więziennym otoczeniem. Bił z niego jakby bardziej intensywny blask, a haftowana dżelaba dodawała jego wyglądowi ekstrawagancji i czaru. Nie stracił jednak nic z wrodzonej czujności.

– Nie oglądaj się. W holu siedzi jakiś blady facet, który nie spuszcza z ciebie wzroku.

Arthur się nie odwrócił.

– Ktoś od Ormianina?

Ibrahim rzucił mężczyźnie ukradkowe spojrzenie i wykluczył tę możliwość. To był tylko dziwny gość, żadne realne zagrożenie. Podejrzliwość stała się nawykiem, który zapewniał Ibrahimowi przeżycie, to wszystko. Zawsze spodziewał się po ludziach najgorszego i dzięki temu był przygotowany do odparcia każdego ataku. Utrzymywanie takiego stanu ciągłej czujności bez popadania w cynizm było kwestią równowagi. Jego zdaniem nie istnieli ludzie dobrzy albo źli, rzeczy dobre albo złe; niech o dualizmie piszą sobie w książkach. On widział jedynie szarości i starał się twardo stąpać po ziemi.

Arthur podziwiał jego hart ducha i na swój sposób bał się go. Nawet kiedy Ibrahim był uprzejmy, przeszywał spojrzeniem tak, że ludzie czuli się bezbronni. Nie ma nikogo bardziej niebezpiecznego od człowieka, który wie, kim jest i czego chce. A Ibrahim to wiedział. Z natury małomówny, kiedy się odzywał, zdawał się ważyć każde słowo i upewniać się, że z jego ust nie wyszedł żaden banał, a wszystkie sylaby są na swoim miejscu.

Rozmawiali przez chwilę o więzieniu, o trudnej konieczności dostosowania się do świata zewnętrznego, ale to zawsze Arthur zaczynał i kończył zdania; Ibrahim zdradzał swoje prawdziwe myśli zdawkowo. Był tam, słuchał z uwagą, czasem uśmiechał się, odstawiając zepsute zęby, jednak pozostawał, jako cierpliwy obserwator, wycofany.

Potem spacerowali po Madrycie, wspominając Algier: dzielnicę Haï El Badr, najciemniejsze zakamarki portu Agha, okolice alei Didouche-Mourad oraz ogród botaniczny Hamma, kolejki linowe dojeżdżające do Palais de Culture i bazyliki Notre Dame d’Afrique. Kiedy wyczerpali te tematy, Ibrahim pokierował rozmowę

na aktualne sprawy Arthura.

– Jak się czuje twoja żona? Odwiedziłeś ją?

Pytanie to poza murami więzienia zabrzmiało dziwnie.

– Dlaczego o to pytasz?

Ibrahim szybko zrozumiał swój błąd i próbował go naprawić.

– Cóż, w więzieniu powtarzałeś, że kiedy tylko wyjdiesz na wolność, pojedziesz do niej i przywieziesz ją do Madrytu.

– Andrea nie chce mnie widzieć. Obwinia mnie o zaginięcie Arohy i w pewnym sensie ma rację.

Ibrahim znał tę historię. Arthur opowiadał mu ją do znudzenia. Wiedział też, że zniknięcie córki miało destrukcyjny wpływ na ich małżeństwo.

– Nie można powiedzieć, że byłem idealnym ojcem. Człowiek sądzi, że zna swoje dzieci, wie, że ma obowiązek je chronić i dopilnować, żeby im niczego nie brakowało... Ja niewątpliwie zawiodłem pod tym względem.

– Czasami ludzie dostają od życia drugą szansę. Może jesteś jednym z tych szczęśliwców. Odzyskasz córkę i żonę i następnym razem zrobisz wszystko lepiej.

Arthur spojrział na niego z zaciekawieniem.

– Jak możesz być tego taki pewien?

Ibrahim odwrócił wzrok.

– Nie ja powinienem mieć tę pewność, ale ty.

– Gdybym mógł przekonać Andreę... Poprosić ją o jeszcze jedną szansę.

– Zrób to.

Arthur pokręcił głową.

– Powiedziałem ci już: ona nie chce mnie widzieć. Nie znasz mojej żony. Obawiam się, że stopniowo zapada się coraz głębiej w studnię ciszy i nawet jeśli odnajdę naszą córkę, nie uda mi się już odzyskać Andrei... Gdybyś znał ją, kiedy była młodsza, tak radosna, tak silna!

Ibrahim uśmiechnął się i skinął głową. Poczul wewnętrzne światło, którego blask odbił się w jego ciemnych oczach, niczym płomień ogniska widocznego z oddali w środku nocy w górskiej jaskini. On też miał swoje wspomnienia.

– Dlaczego tak dziwnie się uśmiechasz? – zapytał Arthur.

Życie wystawiało ludzi na dziwne próby, pomyślał Ibrahim, poważniejąc, żeby się nie zdradzić. Allah – decydując o ludzkim losie – rzucał kośćmi albo mieszał kawałki układanki, ale te prędzej czy później łączyły się w całość. Niektórzy nazywali to przypadkiem, inni – przeznaczeniem. Zastanawiał się, czy tęsknota za wolnością i decydowaniem o własnym życiu były tylko chimerycznymi pragnieniami, ludzkim szaleństwem.

Czasami drzwi niemożliwe do otwarcia nagle się otwierają, dzięki czemu można przez nie przejść.

– Mógłbym z nią porozmawiać, jeśli chcesz – powiedział bez zastanowienia.

Propozycja zaskoczyła Arthura. Spojrzał badawczo na przyjaciela. Dlaczego nie? Ibrahim był wyjątkowym człowiekiem, który w więzieniu okazał mu bezwarunkową lojalność, chociaż Arthur nie do końca rozumiał jego intencje. Kilka razy nakrył go wpatrującego się w jego zdjęcie z Andreą zrobione w Algierii, zamyślnego Bóg wie nad czym, może nad swoim życiem; a pewnej nocy spostrzegł, że przyglądał się jemu samemu leżącemu na pryczy. Poczł wtedy irracjonalny strach. To był jedyny raz, kiedy naprawdę bał się Ibrahima. Udał wtedy, że śpi, czując na twarzy jego oddech i domyślając się, że mierzy go swoim głębokim i ostrym wzrokiem. Jednak mimo wszystko Arthur żył właśnie dzięki niemu i uważał go za swojego przyjaciela. Poza tym Ibrahim miał u niego dług wdzięczności za wyciągnięcie go z więzienia. Był Algierczykiem jak Andrea. Zresztą wychowywali się w sąsiednich dzielnicach i oboje kochali Algier. W odróżnieniu od Arthura Andrea nigdy nie czuła się Francuzką. Tylko Ibrahim był w stanie zapobiec temu, by jego żona utraciła kontakt z rzeczywistością. Tylko on.

– Czemu nie? Pojeźdź do niej i porozmawiaj z nią.

Ibrahim skinął z powagą głową, nie okazując żadnych emocji. Odwrócił wzrok, żeby uciec od spojrzenia Arthura, i w tym momencie coś pilniejszego przykuło jego uwagę.

– Facet z hotelu znów tu jest, stoi po drugiej stronie placu. To nie może być przypadek.

Eduardo był zmęczony. Zabawa w szpiega biegającego po całym Madrycie skończyła się dla niego obfitymi potami i bólem kolana. Szedł ulicą, kulejąc, i zastanawiał się nad własną głupotą. Co mu strzeliło do głowy, żeby śledzić bez powodu tego obcego człowieka.

Nagle otworzyły się drzwi bramy, obok której właśnie przechodził. Zdażył tylko kątem oka zauważyć pięć lecącą w stronę jego twarzy. Instynktownie odwrócił głowę, co tylko częściowo złagodziło cios. Pięć wylądowała między szczęką a szyją, uderzenie go zamroczyło. Okulary upadły na ziemię. Zanim się otrząsnął, drugi cios – tym razem w żołądek – zaparł mu dech w piersiach. Był celny – robota profesjonalisty. Dwie silne ręce złapały go za ramiona i wciągnęły do bramy jak worek ziemniaków. Całe zdarzenie trwało niecałe pięć sekund i nikt niczego nie zauważył.

Na klatce schodowej panował mrok, chociaż nie na tyle nieprzenikniony, żeby Eduardo nie mógł dojrzeć twarzy napastnika. Był nim mężczyzna w dżelabie. Eduardo chciał zaprotestować, ale jego słowa zdusił kolejny cios – suchy i mocny – tym razem w usta. Ibrahim uderzył go jakimś metalowym przedmiotem, może kastetem albo kluczami. Eduardo poczuł ból zębów i smak krwi. Napastnik powalił go w końcu na ziemię kopnięciem kolana w splot słoneczny. Jedną ręką przyciskając mu głowę do ziemi, drugą przeszukiwał jego ubranie. Wreszcie wymacał portfel i wyjął go gwałtownym ruchem.

Ibrahim wyprostował się. Miał potargane włosy i lekko dyszał, chociaż mógłby jeszcze długo kopać Eduarda, zanim zmęczyłby się naprawdę.

– Pracujesz dla Ormianina? – zapytał, wyjmując z portfela jego dowód osobisty.

Eduardo uniósł rękę, prosząc o rozejm. Albo szybko wyjaśni sprawę, albo ten facet zabije go na miejscu.

– Nie wiem, o kim mówisz. Nazywam się Eduardo Quintana i jestem portrecistą, malarzem.

Odpowiedź zaskoczyła Ibrahima. Ukucnął i z bliska popatrzył na twarz Eduarda, która zaczynała szybko puchnąć. Faktycznie nie wyglądał na zbira Ormianina. Spojrzał na pogrążone w ciemnościach schody. Przestraszony Eduardo odwrócił wzrok w tym samym kierunku. Z cienia wyłoniła się postać Arthura Fernándeza.

– Kim ty, kurwa, jesteś? – Ton jego głosu był władczy, ale w powietrzu nie unosiła się już groźba nieuchronnego niebezpieczeństwa.

Eduardo musiał na poczekaniu wymyślić jakieś usprawiedliwienie, przecież nie mógł powiedzieć prawdy. To by wszystko popsuło. Myśli wirowały mu w głowie jak w pralce.

– Jestem portrecistą i zarabiam na życie malowaniem obrazów. Chciałem z ukrycia przyjrzeć się pańskim ruchom i pana naszkicować. – Eduardo zdołał oprzeć się plecami o ścianę i wstał z trudem.

Arthur zmierzył go nieufnym wzrokiem, jakby nie wierzył w jego słowa. Potrząsnął głową i się zamyślił.

– Jaja sobie ze mnie robisz?

W tym momencie na klatce zapaliło się światło, a po chwili na schodach – szurając kapciami – pojawiła się starsza kobieta ubrana w szlafrok. Na widok krwi na twarzy Eduarda wydała z siebie pisk myszy i uciekła.

– Zmywamy się stąd. Stara zaraz wezwie policję. Lepiej, żeby nas tu nie nakryli – powiedział do Arthura spokojnym tonem Ibrahim, rozmasowując rękę, którą uderzył Eduarda.

Arthur zawahał się, chociaż wiedział, że przyjaciel ma rację.

– Nie powinieneś śledzić ludzi jak psychopata – dał Eduardowi spóźnioną radę. Malarz skinął z trudem głową; bolało go całe ciało i czuł mdłości.

Ibrahim oddał mu portfel.

– Teraz już wiemy, kim jesteś – stwierdził z ironicznym uśmiechem i schował do kieszeni jego dowód osobisty. – Dobrze jest dowiedzieć się czegoś o innych. Nigdy nie wiadomo, kiedy to się przyda. Na twoim miejscu zaczekałbym tutaj na policję. Niech wezwą karetkę, możesz mieć złamaną jakąś kość, a ta pęknięta warga też nie wygląda najlepiej.

Zatrzymał się w bramie, wyjrzał ostrożnie na ulicę, a kiedy upewnił się, że nie ma żadnego zagrożenia, obaj z Arthurem zniknęli.

Policjanci zjawili się chwilę później. Eduardo też wolałby uniknąć spotkania z nimi, ale po nieudanych próbach dotarcia na ulicę doszedł do wniosku, że sam daleko nie zajdzie. Miał spuchnięte kolano i przy każdym oddechu czuł ostry ból w prawym boku. Domyślał się, że Ibrahim złamał mu żebro, więc nie pozostawało mu nic innego, jak usiąść na schodach i poczekać na przyjazd policji, a potem karetki. Nie opowiedział funkcjonariuszom całej historii: relacjonował im dokładnie zdarzenie, podając bardzo ogólne rysopisy Ibrahima i Arthura, aby uniemożliwić ich zidentyfikowanie.

Nie powiedział też prawdy Gracieli, kiedy zadzwonił do niej i poprosił, żeby przyjechała po niego na izbę przyjęć. Prześwietlenie wykazało, że ma pęknięte żebro. Dowiedział się, że poza siniakami nie doznał żadnych innych poważniejszych obrażeń, więc po kilku dniach odpoczynku powinien wrócić do zdrowia. Z receptą na leki przeciwbólowe i trzema szwami w wardze usiadł w poczekalni – sąsiadka powinna niedługo przyjechać.

– Facet niczym się nie wyróżniał. Zaskoczył mnie i wciągnął do bramy. Domyślałam się, że chciał ukraść mi portfel i zegarek.

Graciela popatrzyła na niego sceptycznie.

– Zegarek masz na nadgarstku, a portfel w ręku.

Eduardo pogłaskał się po spuchniętym policzku. Ibrahim miał mocne uderzenie.

– Jakaś kobieta, słysząc hałas, wyjrzała na klatkę schodową. Pewnie to ich spłoszyło i dlatego uciekli.

– I złali cię tak mocno tylko po to, żeby ukraść ci zegarek i portfel?

Eduardo przypomniał sobie ironiczny wyraz twarzy Ibrahima i groźbę ukrytą w jego słowach.

– Świat pełen jest złych ludzi... Możesz zabrać mnie do domu? Potrzebuję drugiej pary okularów.

– Potrzebujesz porządnej kolacji i odrobiny towarzystwa. Ostatnio jesteś zbyt często sam i najwyraźniej ta samotność cię zżera – stwierdziła bez ogródek Graciela.

Eduardo nie miał sił, żeby zaprotestować.

Sara siedziała oparta o okrągły blat stołu. Jak większość osób leworęcznych, dziwnie wykręciła zeszyt, żeby móc w nim malować i nie zamazywać rysunku przedramieniem, które zdążyła już ubrudzić kredkami świecowymi. Miała na sobie piżamę w zielone słonie, które trzymały w trąbach różnokolorowe balony. Żadna dziewczynka w jej wieku nie zgodziłaby się już włożyć takiej dziecinnej piżamy. Ale Sara nie była jak inne dziewczynki. Na półce, na wyciągnięcie ręki, stał kot szczęścia.

– Dobry wieczór, Saro.

Dziewczynka uniosła wzrok i na widok Eduarda jej twarz rozjaśnił uśmiech. Wstała i objęła go w talii swoimi silnymi ramionami. Jej włosy musnęły go po brodzie. Pachniały szamponem cytrynowym.

– Jak się dzisiaj czujesz?

– Prowadząca ją lekarka mówi, że jest coraz lepiej. Jesteśmy przekonane, że jeśli będziemy grzecznie brać lekarstwa, szybko wyzdrowieje, prawda, córeczko? – wtrąciła się Graciela przesadnie optymistycznym tonem.

Sara energicznie przytaknęła, jakby ruchy jej małej głowy miały pomóc rozwiązać widoczną w jej oczach wątpliwość. Jej rówieśnicy zrozumieją dopiero za kilka lat, że nie zawsze rzeczywistość jest taka, jak im się wmawia, i poznając siłę kłamstw, tracą swoją niewinność i dzieciństwo. Ale Sara już dawno nauczyła się okłamywać samą siebie.

– Pani doktor mówi, że dużo myślę i niektórych myśli nie potrafię odpowiednio przetworzyć, bo jestem jeszcze za mała. Staram się nie myśleć, ale głowa robi to za mnie i nie potrafię tego zatrzymać.

Eduardo pogłaskał ją po czole. Sara pochodziła z innego świata, żyła gdzie indziej, i tylko kiedy leki dostatecznie ją otumaniały, jej umysł zwalniał, a wtedy opuszczała swoją wyspę i przenosiła się do innej rzeczywistości. Jak zjawa dopuszczała innych tylko do części siebie.

– Lekarze są bardzo mądrzy, prawda?

Dziewczynka zaśmiała się porozumiewawczo.

– Tak. Ale nikt nie wie tego, o czym opowiadam Manekiemu. Chociaż tobie też

mogę powiedzieć, pod warunkiem, że zostaniesz na kolacji.

Maneki był jej kotem szczęścia.

– Propozycja jest kusząca, więc nie potrafiłbym odmówić – przyznał Eduardo.

To był miły wieczór. Dzięki winu, towarzystwu rozbawionej i szczęśliwej Sary, która siedziała między nim a Gracielą, Eduardo przestał na kilka godzin myśleć o uderzeniach Ibrahima. Opowiadał anegdoty ze swojego dzieciństwa: o swoim ojcu, jego płytach i podróżach na Północ, z której pochodził. Nie chciał imponować Gracieli – przynajmniej nie świadomie – ale sądząc po błysku w jej oczach i zachwycie, z jakim go słuchała, opierając policzek na otwartej dłoni, wywołał odwrotny efekt.

Nagle Sara wstała i podeszła do komody.

– Gdzie schowałeś stare zdjęcia, mamó? – Zaczęła grzebać w szufladzie w poszukiwaniu rodzinnego albumu.

Graciela wolałaby, żeby go nie znalazła, nie wróciła do stołu z triumfalną miną i nie otworzyła go przed zaciekawionym Eduardem. Nie było jednak sposobu, żeby ją od tego odwieść.

– Zobacz, to mama, kiedy była mała. Na wsi.

Zdjęcie przedstawiało dziewczynkę ubraną w czarną znoszoną koszulkę i szeroką poplamioną spódnicę, która właśnie stawiała się kobietą, omijając ten nowoczesny wymysł zwany wiekiem młodzięcym, skokiem w pustkę widoczną w jej oczach pod niewydepilowanymi brwiami. W jej niepewnym uśmiechu, który nie ma odwagi wyrażać szczęścia, wypisany był stracony czas. Była wyraźnie zaskoczona nagłym błyskiem, zdenerwowana i skrępowana poleceniami wydawanymi przez fotografa, który kazał jej stanąć przy starej wiejskiej chacie z pokrytym blachą dachem, w otwartych drzwiach zagrody. Dziewczynka, z której spojrzenia nie znikł jeszcze blask i która nie straciła jeszcze prawa do okazywania słabości.

– Miałam wtedy zaledwie dziesięć lat. Mój Boże, to było tak dawno – przyznała Graciela, ujmując delikatnie zdjęcie, jakby bała się, że je zniszczy.

Mówiła do Eduarda. Pokazując mu zdjęcia, przekładając kartki albumu, muskała jego rękę, upajając się przypadkowym ciepłym dotykiem ich ciał.

Eduardo siedział sztywno, z coraz bardziej wymuszonym uśmiechem. Czasami słyszał ze swojego mieszkania, jak Graciela nuci bolera Luisa Miguela. Brzmiały dobrze, miała przyjemny głos. Piosenki opowiadały o romantycznych spotkaniach, nieszczęśliwych miłościach i namiętności. Ale życie to nie bolero. Nie chciał poznawać szczegółów z życia Gracieli ani zbliżyć się do niej. Nie chciał przejść przez drzwi intymności, które ta kobieta i jej córka przed nim otworzyły

i przez które próbowały go przepchnąć, delikatnie, grzecznie, chociaż na siłę.

– Jesteś do siebie niepodobna.

Graciela wzruszyła ramionami.

– Zdjęcia odzwierciedlają tylko obrazy, które z czasem stają się martwe – wyszeptała.

Eduardo spojrział na nią, jak pies patrzy na Księżyc: daleką błyszczącą tarczę, o której nic nie wie i o której nic nie chce wiedzieć.

Blask w oczach Gracieli zapowiadał łzy, ale dalej oglądali fotografie. Sara, która miała za zadanie przewracać strony albumu, nie dawała im czasu, żeby przyjrzeć się szczegółom. Życie mijało tak szybko od ujęcia do ujęcia, jak szybko pracował jej pulsujący i rozgorączkowany umysł. Graciela i Eduardo pozwalali jej na to, uśmiechając się ze znużoną akceptacją. Sara była jak trąba powietrzna, która jest w stanie wyssać energię z każdego. Rwała się do przodu, opowiadała, co zobaczą na następnym zdjęciu, zanim przewróciła stronę. Czasami wymyślała historie, powstawały w jej wyobraźni na podstawie informacji, które kiedyś gdzieś usłyszała. W ten sposób Eduardo dowiedział się, że podczas podróży po Afryce Sara ze swoją matką dotarły nad brzeg Dolnego Nilu, gdzie nikt inny tylko potomkini Kleopatry podarowała Sarze bransoletkę ze szczerego złota, tę samą, która lśniła na zdjęciu z sylwestra w dwutysięcznym roku. I żeby upewnić się, że Eduardo jej wierzy, Sara pobiegła do pokoju i wróciła z bransoletką, żeby mógł ją obejrzeć.

– Faktycznie, ze szczerego złota – przyznał z udawanym zdziwieniem.

Sara kontynuowała swoją szaloną podróż po stronach albumu, dopóki Eduardo nie zatrzymał się z zaciekawieniem na jednej z fotografii.

– Kim jest ta dziewczyna?

Graciela pogłaskała profil młodej kobiety w zaawansowanej ciąży, ubranej w niebieską falbankową sukienkę na ramiączkach. Napiła się wina, zostawiając na brzegu kieliszka ślad szminki. Odstawiła kieliszek i przyglądała się zdjęciu z miłością, obracając je w palcach.

– To moja matka. Miała na imię Esperanza. Pamiętam, że kiedy była w dobrym humorze, śpiewała mi dziecięce piosenki. Wieczorami siadałyśmy razem – zmęczone, ale szczęśliwe – na ławce na placyku przed budynkiem, w którym mieszkaliśmy w Leganés. Opowiadała mi o rzeczach, które widziała w dzieciństwie na ekranie letniego kina w swojej wiosce: o drapaczach chmur, fordach kabrioletach, których kierowcy wciskali klaksony, zgiełku tramwajów. Opisywała mi z błyskiem w oku stroje aktorek, ich fryzury, makijaż, długie nogi i wąskie talie, wytworność, z jaką się poruszały, mówiły czy paliły papierosy.

Kiedyś wyznała mi ze smutkiem, który próbowała ukryć pod uśmiechem, że pewien sławny fotograf chciał zrobić jej zdjęcia, jak jakiejś międzynarodowej gwiazdzie, ale jej ojciec, a mój dziadek, nie wyraził na to zgody.

Wypili całą butelkę wina i skończyły im się papierosy. Sara, przykryta kocem i przytulona do swojego nierozłącznego kota szczęścia, drzemała na fotelu. Graciela zamknęła powoli album ze zdjęciami i włożyła go z powrotem do szuflady. Podeszła do Sary i odgarnęła jej z czoła grzywkę. Dziewczynka poruszyła się niespokojnie przez sen.

– Jest zachwycona tą zabawką. Czasami patrzy, czy w okolicy nie ma jakiegoś żywego kota, który by go przypominał. Jest przekonana, że Maneki rozumie, co do niego mówi.

– Twoja córka ma niesamowitą wyobraźnię – powiedział cicho Eduardo.

Graciela skinęła głową. Wiedziała, że choroba zdiagnozowana u jej córki była nieuleczalna, ale kiedy objawy łagodniały, nie umiała pozbyć się nadziei, że mogą prowadzić normalne życie. Jednak po pewnym czasie było jeszcze gorzej.

– Wciąż się zastanawiam, dlaczego niektórzy ludzie, osiągnąwszy chociaż chwilę szczęścia, marnują ją, a inni nigdy nie są szczęśliwi.

Eduardo wbił wzrok w resztki kolacji. Nie był odpowiednią osobą, żeby odpowiedzieć na to pytanie.

– Pozbieram naczynia – zaproponował.

Graciela przyglądała mu się, kiedy to robił. Wiedziała, o czym myśli Eduardo; zawsze wiedziała, o czym myślą mężczyźni, w których się zakochiwała, ale z niektórymi porażkami nie umiała się pogodzić. Podeszła do niego i pogłaskała po włosach, jak małego chłopca. Pochyliła się i pocałowała go. Jej wargi były spękane i zimne. Usta Eduarda cofnęły się przed jej pożądaniem. Graciela odsunęła się, lekko zawstydzona.

– Nie chciałam cię krępować.

– Nic się nie stało, nie martw się – odpowiedział uspokajającym szeptem.

Graciela spojrzała na niego zmęczonym wzrokiem.

– Prawie nic o tobie nie wiem. Tylko tyle, ile sam mi powiedziałeś, i nie wiem, czy to dużo czy mało. Ale mnie to wystarczy, Eduardo. Możesz z nami dać sobie szansę, jeśli chcesz. Zacząć wszystko od początku. Nie jestem na tyle naiwna, by myśleć, że mnie kochasz. Jeszcze nie. Ale to mi nie przeszkadza, mogę poczekać.

Eduardo podwinął rękawy koszuli i splukał wodą kieliszek. Zatrzymał się na ułamek sekundy i piana z płynu do mycia naczyń spłynęła po szklanej

powierzchni, kapiąc na blat. Instynktownie odwrócił głowę w prawo, spoglądając na Sarę, która nadal spała.

– Nie sądzę, żebyście zasługiwały na to, żeby brać na siebie ciężar życia z trupem.

– Nie mów tak. Nie jesteś martwy. Nawet jeśli tego nie chcesz, wciąż żyjesz. Musisz mieć jakąś nadzieję. Poza tym ani moja córka, ani ja nie zastąpimy ci rodziny, nie zakryjemy pustej dziury, Eduardo. Daję ci tylko szansę, dla nas trojga.

Eduardo wziął czystą ścierkę i spokojnie wytarł płaski talerz, kręcąc nim jak kierownicą.

Czy Graciela wiedziała, co oznaczało mieć *wdzięk*? Elena go miała. Nie można go kupić ani nauczyć się nim emanować. To jest dar, urok, z którym niektórzy ludzie się rodzą. To ich wyróżnia w każdej okoliczności, cokolwiek robią: chodzą, patrzą, oddychają, wyciągają rękę czy śpiewają piosenkę. To istoty nieśmiertelne, małe wędrujące anioły, które wałęsają się wśród zwykłych ludzi, szukając drogi powrotnej do domu, ponieważ straciły skrzydła podczas upadku. Gdyby kiedykolwiek jedna z takich istot spotkała Gracielę, raczyła zatrzymać na niej wzrok, przesłać jej uśmiech, wtedy ona by zrozumiała, w przeciwnym razie nie było sensu, żeby opowiadał jej cokolwiek o Elenie.

– Zrobiło się bardzo późno. Dziękuję za kolację i towarzystwo, ale jutro muszę wstać wcześniej rano. Pójdę już.

– Tak, tak będzie najlepiej – przyznała Graciela ze sztywnością manekina zdjętego z wystawy sklepowej. Nieświadomie rozmazała sobie szminkę, ocierając usta wierzchem dłoni.

Eduardo podszedł do drzwi. Graciela została na swoim miejscu, patrząc nieruchomym wzrokiem, z papierosem w jednej dłoni i kieliszkiem w drugiej. Eduardo nacisnął klamkę i trzymając na niej rękę, spojrział przez ramię.

– Zabiłem człowieka, Gracielo. I jego żonę. Strzeliłem mu w głowę. Zabiłbym też ich syna, gdybym mógł. Takiego właśnie człowieka prosisz, żeby co noc spał przytulony do ciebie.

Wyszedł, nie czekając na jej reakcję.

Wieczór pachniał mimozą. Krajobraz – zbyt piękny, żeby był prawdziwy – łagodził zapowiedź smutku. Ten idealny moment w każdej chwili coś mogło zakłócić.

– Masz gościa.

Andrea lekko zmarszczyła brwi, niezadowolona z pojawienia się pielęgniarki.

– Nikogo nie chcę widzieć – mruknęła.

– To nie twój mąż – powiedziała pielęgniarka, odgadując jej myśli.

Rozstawione nad brzegiem stawu drewniane ławki zachęcały, by na nich przysiąść i obserwować czerwone i niebieskie ryby, które od czasu do czasu wylaniały się z mroku mulistego dna i pływały wkoło, czekając na okruchy chleba. Wokół stawu rozpościerała się zielona łąka, która teraz zamieniła się w wyschnięte i pożółkłe pole.

Ibrahim stał oparty o drzewo i patrzył w wodę. Arthur przygotował go na najgorsze i ostrzegał przed stanem całkowitej apatii Andrei. „Rozmowy z nią są frustrujące, a wręcz śmieszne. Sprawia wrażenie, jakby nic nie widziała ani nie słuchała”.

Szmer liści wyrwał Ibrahima z zamyślenia.

Andrea zbliżała się do niego niepewnym krokiem. Miała brzydką i mało kobiecą fryzurę, potarganą po bokach, patrzyła błędnym spojrzeniem, a jej wiotkie ramiona opadające wzdłuż ciała nadawały jej ociężały wygląd.

Mimo to Ibrahim poczuł, jak serce zaczyna mu bić mocniej.

Chociaż zmizerniała, Andrea nie była martwa, przynajmniej nie całkiem. Gdzieś pod tymi rzęsami i lekko opadłym podbródkiem, ustami i zapadniętymi policzkami kryła się dziewczynka, którą znał. Jej skórę pokryły zmarszczki i kilka plam, mięśnie straciły dawną jędrność i sprężystość, tricepsy stały się wiotkie. Ale to była ona, miał co do tego całkowitą pewność, tak jak wtedy, gdy rozpoznał ją na zdjęciu z podróży poślubnej wiszącym nad pryczą Arthura.

Prawie czterdzieści lat później, prawie już starzy, prawie zwyciężeni, a jednak stali tam, naprzeciwko siebie.

– Dzień dobry, Andreo.

Zaskoczył ją jego nieoczekiwanie łagodny głos. Ta miękkość przywiodła jej na myśl wspomnienie czegoś bardzo odległego. Wydało się jej, że jakaś część jej umysłu go rozpoznała.

– Czy my się znamy?

„To znaczy, że mnie pamiętasz. Nie wiesz, kiedy ani gdzie się widzieliśmy, do których wspomnień pasuję, ale w głębi duszy mnie rozpoznałaś” – pomyślał Ibrahim z dziwnym uczuciem radości. Mimo to nie mógł odpowiedzieć twierdząco.

– Obawiam się, że nie, chociaż podobnie jak pani urodziłem się i wychowałem w Algierze.

Wspomnienie tej wspólnej przestrzeni z przeszłości rozświetliło na chwilę twarz Andrei.

– Mam na imię Ibrahim i jestem przyjacielem pani męża.

Czar przysł natychmiast. Ibrahim spodziewał się nieufności, goryczy, być może jakiejś niemilej sceny. Był gotów – wręcz chciał – zmierzyć się z tym wszystkim. Cokolwiek by się wydarzyło. Nie był jednak przygotowany na takie kamienne spojrzenie.

– Arthur wie, że nie chce go pani widzieć, dlatego przysłał mnie. Chciałby, żeby pani wiedziała, że robi wszystko, co w jego mocy, by odnaleźć waszą córkę. Moim zadaniem jest upewnienie się, że u pani wszystko w porządku. I proszę nie tracić nadziei.

Andrea lekko obróciła głowę w stronę stawu. Podmuch powietrza, który pojawił się jakby znikąd, poruszył niespokojnie opadłe z drzew liście. „Zanosi się na deszcz” – pomyślała. I ta myśl oładnęła nią całą: deszcz, okrągłe, grube, ciężkie jak błyszcząca rtęć krople, deszcz zalewający wszystko, dźwięk pukania o opadłe liście i dachy, rozplywające się na stawie fale, ptaki szukające w popłochu schronienia, fałdy chmur napływające od strony gór.

– Będzie padało – powiedziała. – Tutaj deszcze nie są zbyt intensywne, raczej drobne.

– Czy rozumie pani, co powiedziałem?

– Tutaj deszcze nie są lepkie – dodała, patrząc na niego z błaganiem na końcu ciemnego tunelu swoich źrenic.

Ibrahim zrozumiał. Nie mógł ani nie chciał powstrzymać swojej ręki, którą zadał wielokrotnie śmierć. Pogłaskał Andreeę po twarzy tak samo zniszczonej jak jego twarz.

– To prawda – szepnął. – Będzie padało. Ale to nie jest taki sam deszcz jak w Algierze, prawda? Tutaj nad wilgotną ziemią unosi się para, która zapiera dech w piersi.

Mówiąc to, przypomniał sobie pewne letnie popołudnie, kiedy musieli biec, żeby nie spóźnić się na autobus po całym dniu spędzonym na plaży: ona z sandałkami w ręku, on z mokrą koszulką przewiazaną w pasie. Po ich ciemnych, przyklejonych do twarzy włosach spływała woda, kiedy trzymając się mocno stalowego drążka autobusu i patrząc sobie w oczy, wracali do domu. Tymczasem ulewa smagała metalowy dach autobusu, a sól morska na ich skórze mieszała się z zapachem benzyny.

Andrea powąchała dotykające jej twarzy palce, delikatnie marszcząc nos. Ten lekko kwaśnawy zapach coś jej przypominał. Gdzie? Kiedy? Bardzo stare autobusy, złom. Pomyślała o szosach wijących się wzdłuż opłotków w głębi lądu i o wielkich belach słomy okrytych ogromnymi plandekami chroniącymi siano przed mrozem. Na polach zboża widać było wtedy konie i głowy berberyjskich rolników przykryte

kapeluszami. Raz na jakiś czas przed rozpędzonym psem unosiło się stado przestraszonych przepiórek. Żniwiarze nucili piosenki Ouajda Karkara, jadąc na szczycie wozów ciągniętych przez leniwe osły. Przejeżdżając obok nich, Andrea uśmiechała się do nich, a oni – zwłaszcza ci najmłodszy – prostowali się dumnie i śpiewali głośnie, kiwając do niej swoimi wielkimi słomianymi kapeluszami. Słońce zawsze nieśpiesznie wędrowało po nieboskłonie nad algierskimi polami. Miło wspominała żniwa. Tak, to były dobre czasy. Każda przeszłość, nawet zmyślona, jest lepsza od teraźniejszości.

Ibrahim cofnął opuszki palców, czując prąd przechodzący od swojego zaniepokojonego serca aż do jej skamieniałej twarzy. Dzięki wszystkim tym wspomnieniom – częściowo zmyślonym czy skradzionym – znalazł w sobie odwagę, żeby zgodzić się na zadanie, które zlecił mu Arthur, przezwyciężyć urazę i odwiedzić Andreę. Ale teraz nie był już niczego pewien. Może łudził się, że go rozpozna, rzuci mu się w ramiona jak w dzieciństwie. Wtedy wszystko byłoby w porządku, miałyby sens, a to nieprzyjemne klucie, to bolesne pulsowanie w sercu, nie miałyby racji bytu. Wiedział jednak, że nic takiego się nie wydarzy.

Andrea objęła się w bezradnym geście, odwróciła i odeszła tą samą obrośniętą niskim żywopłotem ścieżką, którą przyszła. Zatrzymała się i lekko wyprostowała – prawie niezauważalnie – ramiona. Niepotrzebnie przygładziła rękami włosy i odwróciła się w jego stronę.

Gdzie wcześniej widziała tę twarz, ale pozbawioną szpecącej blizny? Gdzie słyszała ten głos, który poruszył jej wnętrze?

Tego wieczoru Andrea otworzyła górną szufladę biurka i postawiła na blacie dość toporną glinianą popielniczkę. Na spodzie wyryta była dedykacja: „Dla najlepszej na świecie mamy w Dniu Matki”. Ostatni i naiwny prezent, który dostała od córki zaledwie kilka miesięcy przed tym, nim ta zaczęła zrywać łączące je więzi, straciła zaufanie i niewinność i wkroczyła w ten bolesny okres, w którym dzieci odkrywają siłę kłamstwa i uczą się manipulować rodzicielskim strachem. Kiedy rodzice z bohaterów zmieniają się – w oczach swoich latorośli – w potwory żyjące na świecie tylko po to, żeby unieszczęśliwić swoje dzieci zakazami: żadnych kolczyków, żadnych dyskotek, malowania się i oczywiście żadnych rozmów o seksie w domu. Ta poczerniała gliniana popielniczka, którą Aroha zrobiła w szkole na zajęciach technicznych, była ostatnią rzeczą, która pozostała Andrei po niewinności córki.

Andrea podeszła do okna i uchyliła jego jedno skrzydło na kilka centymetrów, zostawiając na tyle szeroką szczelinę, żeby pałac, wydmuchiwać dym na zewnątrz.

Zapaliła papierosa, którego udało jej się kupić od jednej z ochroniarek za bardzo wysoką cenę, i popatrzyła na powiększający się sierp księżyca. Myślała o tym obcym mężczyźnie i jego szorstkiej ręce, dotykającej jej skóry. Ten gest nie zaskoczył jej ani nie przestraszył, ale wręcz odwrotnie, wywołał w niej swego rodzaju spokój, jakby ich skóry już się znały. Dlaczego, patrząc na niego, miała wrażenie, że w jego ciemnych oczach odnajdowała swój dom, miejsce, w którym nie wiedziała jeszcze, co znaczy zło?

Dłonią przekładała w powietrzu kartki swojego życia z taką samą zadziwiającą łatwością, z jaką przeminęły lata, przyjaźnie, pogrzeby i narodziny, przyjęcia, podróże i coraz bardziej płytkie głębokie myśli. Coraz mniej w tym wszystkim było niej, a coraz więcej – rutyny. Kochanki Arthura, jego kłamstwa, niejasne interesy, brak umiaru w dążeniu do władzy, gromadzeniu pieniędzy, zdobywaniu wpływów. A ona coraz bardziej słabła i oddalała się od tego, o czym kiedyś marzyła. Była zmęczona upływem czasu tak samo jak lękami i stanami depresyjnymi męża, wciąż zdręczającego się swoją przeszłością, w której niewidzialny cień ojca ubranego w bojowy mundur unosił się jak złośliwa zjawa.

Dwa, trzy razy Andrea próbowała od niego odejść, rozwieść się, zacząć gdzieś indziej od nowa. I nie musieć usprawiedliwiać swojego życia obecnością żadnego mężczyzny. Miała kochankę, inżyniera z Madrytu w wieku Arthura, dwanaście lat młodszego od niej. Już wtedy wiek zaczął jej ciążyć, był jednym z wielu przejawów życia, który ich od siebie nieuchronnie oddalał. Z kochankiem nie wyszło. Andrea nie potrafiła pokochać innego mężczyzny, a seks czy udawana namiętność stanowiły placebo, które jej nie zadowalały. Zdradziła Arthura z zemsty – co za głupota – a on nawet się o tym nie dowiedział albo udawał, że nie wie.

Z przerażeniem po czterdziestce odkryła, że jest w ciąży. W obcym mieście, którym był dla niej Madryt, z dala od rodziny, bez mężczyzny, który kochałby ją ponad własne ambicje. Zaczęły się nieprzespane noce, podczas których obserwowała, jak rośnie jej brzuch, kłótnie, rozmowy, wyjazdy Arthura, pierwsza próba usunięcia ciąży za pomocą przedawkowania tabletek. Nigdy nie powiedziała o tym Arosze; jej córka upatrywałaby w tym przyczynę wszystkich swoich nieszczęść.

– Można wiedzieć, co pani robi? Przecież wie pani, że w pokojach obowiązuje absolutny zakaz palenia.

Podskoczyła ze strachu na dźwięk głosu ochroniarki, która pojawiła się pod oknem. Kobieta przez cały czas stała niemal przed jej nosem, a ona jej nie zauważyła. Andrea zgasiła papierosa w popielniczce i zamknęła okno. „Absolutny zakaz” – rozbawiły ją słowa ochroniarki. Zakaz sam w sobie jest absolutny, więc

takie wyrażenie było zbędnym i bezsensownym powtórzeniem tego samego.

Tak właśnie wyglądało teraz jej życie: polegało na bezsensownym powtarzaniu tych samych rzeczy.

Aroha była dla Andrei jej początkiem i końcem, rajem i piekłem. Jej narodziny były cudem albo przekleństwem, dały Andrei sens życia, który straciła, będąc od wielu lat z Arthurem. Bez Arohy, bez bólu, który córka potrafiła zadawać jej codziennie – ale też bez nadziei, którą tylko ona potrafiła ją natchnąć – żywot Andrei stałby się nieskończoną ciemnością.

Andrea złożyła ręce, jakby chciała przytulić do piersi i ukołysać Arohę. Jej córka była taka maleńka, że bała się, by jej nie zgnieść, wydawała się ze szkła, taka słaba, z rzadkimi włoskami i ciągle we śnie. Kiedy był głodna, budziła się tylko jej buzia. Nie jadła dużo, a Andrea musiała klepać ją po pupie, żeby nie zasnęła, ssąc jej sutek.

W jaki sposób zmieniała się w tę zbuntowaną, złą na siebie i wszystkich dookoła – a w szczególności na nią i Arthura – dziewczynę? To nie mogło się stać tak po prostu z dnia na dzień. Musiało dziać się stopniowo w procesie metamorfozy, której Andrea nie zdołała wychwycić. Tak bardzo zaślepiała ją bezwarunkowa miłość. Aż w końcu było za późno.

Właśnie o to miała do siebie największe pretensje: że nie zauważyła, jak jej córka pogrąża się w dumie i gniewie, z tymi kapryсами rozpieszczonej i bogatej dziewczynki, których Arthur nigdy nie chciał ograniczyć. Aroha szybko stała się zaborcza, okrutna i wymagająca; zapełniała swoje życie przedmiotami, które można było kupić, a później tak po prostu się ich pozbyć i chwilę później o nich zapomnieć.

„Co to za ślady?” – zapytała ją Andrea, kiedy po wejściu do łazienki zobaczyła siniaki na jej kostkach i za uszami. Nie były zbyt niepokojące – zwykłe ślady palców i uklucia jak ugryzienia pchły. Aroha zareagowała histerycznie, zakrywając się ręcznikiem i krzycząc, że matka nie ma prawa wchodzić bez pukania, że to jest jej łazienka, a to, co robi albo czego nie robi ze swoim życiem, nie powinno jej obchodzić. Andrea wybuchła niekontrolowaną złością, też zaczęła krzyczeć, rzucać zdania i przekleństwa po francusku i arabsku, jakby chcąc wyznaczyć dystans pomiędzy swoją przeszłością i przeszłością swojej córki, *pieprzonej snobki z bogatej dzielnicy Serrano*, która nie potrafi docenić swojego szczęścia narodzin i życia w złotej klatce.

Krzyczały na siebie aż do zachrypnięcia. I nagle Andrea zobaczyła w zaparowanym lustrze odbicie swojej wykrzywionej twarzy i poczuła wstyd. Wyładowywała na córce wściekłość, którą faktycznie czuła do Arthura, od tygodni

przebywającego w Stanach i pieprzącego tę czarną dziwkę, która dla niego pracowała. Krzyczała na swoją córkę, bo czuła się stara, opuszczona, wyczerpana; ponieważ potrzebowała się na kimś wyżyć, żeby nie wybuchła jej głowa.

– Przepraszam – szepnęła w samotności swojego pokoju, z glinianą popielniczką na kolanach, siedząc na łóżku i patrząc na pustą ścianę, jak przez okno do przeszłości, do tej łazienki. Aroha stoi w wannie, kurczowo trzymając ręcznik, jakby chciała go udusić; mokra grzywka opada jej na oczy wpatrujące się w Andreę z mieszaniną nienawiści i smutku. Ma krzyczące i błagające o pomoc spojrzenie. Ale Andrea była ślepa, tak bardzo pochłonięta własną frustracją, że nie chciała zauważyć tego spojrzenia, krzyku, błagania. Nie chciała zrozumieć, że agresja córki nie brała się z nienawiści, ale ze strachu; że Aroha była przerażona, zagubiona, że wyciągała do niej rękę, a ona jej nie złapała.

Nie powinna się zgodzić, by Arthur zamknął ją w szwajcarskiej klinice. Aroha wróciła stamtąd zupełnie inna. Wtedy Andrea zrozumiała, że ją straciła. Dziewczyna zaczęła spotykać się z nowymi znajomymi, trochę od niej starszymi. Nigdy nie przyprowadzała ich do domu, mówiła, że nie chciała zarazić ich rozgoryczeniem, jakie go przepełniało.

Ostatni raz Andrea widziała ją wsiadającą do samochodu jednego z tych znajomych. Potem auto odjechało z piskiem opon, wzbijając za sobą chmurę kurzu. Kiedy pył opadł, po samochodzie nie było śladu. Ani po Arosze.

Od tamtej pory minęły cztery lata i pięć miesięcy, Andrea wciąż miała przed oczami tę chmurę kurzu i łudziła się, że ujrzy w niej swoją ukochaną dziewczynkę.

Dopiero po kilku minutach zdała sobie sprawę, że z jej oczu płyną łzy. Wybuchła wściekłym i niepohamowanym szlochem, jej usta otwierały się i zamykały w niemym krzyku, z nosa ciekł śluz, a kącikami ust leciała ślina.

Na dworze zaczął padać deszcz.

Rozdział 10

Niełatwo było znaleźć sklep z antykami. Jakby jego właściciele nie chcieli, żeby trafiali do niego klienci z przypadku, ale tylko tacy, którzy zadali sobie trud, by go odszukać. Sklep mieścił się w małym lokalu przy ulicy León, żadnego szyldu na fasadzie budynku ani napisu na drzwiach. Nie było też dzwonka, a przez matową szybę przy wejściu nie dało się zajrzeć do środka. Drewniane dwuskrzydłowe drzwi z łukiem miały żelazne okucia ozdobione grubymi nitami i skrzynkę na listy z kutego żelaza bez tabliczki z nazwiskiem; wystawały z niej ulotki reklamowe i listy z banku. Miejsce sprawiało wrażenie opuszczonego.

Guzmán zapukał do drzwi, po kilku minutach powtórzył pukanie, ale nikt mu nie otworzył. Szykował się do odejścia, kiedy usłyszał dźwięk automatycznie otwieranego zamka, który ktoś aktywował od wewnątrz.

W środku powietrze przepelnione było zapachem drewna i wilgotnej stęchlizny. Panowała klasztorna cisza, a podłużne pomieszczenie o łukowatym sklepieniu słabo oświetlała jedna lampa ze szklanym kloszem. Wzdłuż ścian stały obrazy, meble, rzeźby, piętrzyły się książki, a nawet ubrania. Drzwi wejściowe zamknęły się za Guzmánem z hałasem, ale nikt nie wyszedł mu na powitanie. W głębi sklepu, między stołami w różnych stylach, barokowymi krzesłami i replikami zbrój siedzący za wysoką drewnianą ladą starszy mężczyzna oglądał przez lupę monety. W zasięgu jego ręki znajdowała się pełna niedopalków popielniczka i kilka poplamionych farbą szmatek. Jego głowę otaczała gęsta chmura dymu.

– Dzień dobry – odezwał się Guzmán.

Mężczyzna ledwo dostrzegalnie skinął głową, by następnie go zignorować. Wyglądał równie starodawnie jak jego sklep. Nosił okrągłe okulary bez oprawek, które trzymały się na spiczastych uszach wystających zza niewielkich bokobrodów. Ubrany był w obszerny fartuch z kołnierzykiem, podobny do tych, które dawniej nosili pracownicy warsztatów tkackich. Guzmán przekartkował kilka grubych książek, była to kolekcja opowiadań Kiplinga wydana w latach trzydziestych dwudziestego wieku. Szorstki poźółkły papier oraz mała nieregularna czcionka przywiodły mu na myśl dzieciństwo. To nie były miłe wspomnienia. Odłożył opowiadania i podszedł do ciężkiego srebrnego cyborium z marmurowymi inkrustacjami oraz wygrawerowanymi słowami *Sanctus Christi*

i wypukłym krzyżem.

– Czy mógłby pan odstawić to na miejsce? – odezwał się starzec z głębi pomieszczenia. – Ten kielich nie jest dla pana.

Guzmán poczuł się nieco zakłopotany, jakby był złodziejem albo dzieckiem złapanym na gorącym uczynku.

– Przepraszam, tylko się rozglądałem. Takie przedmioty przyciągają uwagę. Zawsze zastanawiam się, kto był ich właścicielem i co się z nim stało.

Starzec wreszcie popatrzył na niego z większym zainteresowaniem. Zdjął okulary i odruchowo przetarł szkła połą fartucha. Wyszedł zza lady z większą ociężałością, niż można się było spodziewać, patrząc na jego wysuszoną postać, i podszedł do Guzmána. Dotknął krawędzi kielicha i delikatnie przetarł go szmatką.

– Tego rodzaju ciekawość jest pozytywna. Przedmioty są ważne. Nawet najmniej istotny bibelot w tym sklepie zasługuje na szacunek i na to, żeby dostać się w ręce kogoś, kto potrafi docenić jego wartość. Oferujemy wszystko, od srebrnych naporstków używanych przez krawcowe królowej Marii Eugonii aż po dowód rejestracyjny hispano-suizy, którą król Alfons XIII jeździł po mieście w szalone madryckie noce. Są tu mundury huzarskie, osiemnastowieczne pistolety, rzeźby ołtarzowe w idealnym stanie, a nawet przepiękny komplet czeskich kryształowych kieliszków, które należały do cesarza Franciszka Józefa I. Ale mam też skromne dłuto, które odziedziczyłem po dziadku stolarzu i nie sprzedam go, dopóki nie znajdę kogoś, kto zadba o nie z pasją, na którą zasługuje.

– Ma pan imponującą różnorodność towarów.

Starzec uśmiechnął się kpiąco.

– Tym właśnie charakteryzuje się sklep z antykami. Tutaj czas zatrzymał się dawno temu i nic tego nie zmieni, dopóki właścicielem pozostanie Dámaso Berenguer. Dámaso to ja – wyjaśnił antykwariusz, rzucając szybkie spojrzenie wokół siebie, jakby chciał się upewnić, że wszystko stoi na swoim miejscu.

– Prawdę mówiąc, nie przyszedłem, żeby coś kupić – przyznał Guzmán.

Starzec zmrużył oczy.

– Nie wygląda pan na policjanta ani detektywa – stwierdził podejrzliwie i nie bez obrzydzenia, chociaż z nieukrywanym zaintrygowaniem popatrzył na spaloną rękę Guzmána. – Nie przypomina pan też inspektora Urzędu Skarbowego, ale nigdy nic nie wiadomo. Czy przyszedł pan przejrzeć moje księgi rachunkowe i sprawdzić, co jeszcze możecie ze mnie wyskrobać? Wszystko mam w porządku. Ukradliście mi już wszystko, co mogliście.

– Nic z tych rzeczy – uspokoił go Guzmán.

– W takim razie kim pan właściwie jest? Nie wydaje się panu, że to, co robimy, w pewien sposób definiuje to, kim jesteśmy?

Guzmána rozbawił ten komentarz. Zgodnie z teorią starca powinien odpowiedzieć, że jest upadłym aniołem, demonem, swego rodzaju potworem o ludzkim wyglądzie.

– Jestem biznesmenem i powiedziano mi, że może mi pan pomóc. Szukam Magnusa Olsena. Posiadam film nakręcony praksinoskopem przez Émile'a Reynauda z tysiąc osiemset siedemdziesiątego siódmego roku. Z tego co wiem, pan Olsen dobrze płaci za takie oryginały.

Antykwariusz z trudem stłumił okrzyk. Zaskoczenie na jego twarzy natychmiast ustąpiło miejsca nieufności. Przyglądał się Guzmánowi z mieszanką ciekawości i niepokoju.

– Skoro ten Magnus Olsen jest prywatnym kolekcjonerem, dlaczego przyszedł pan tutaj?

– Rozpytywałem w różnych madryckich sklepach z antykami i wszędzie odsyłano mnie tutaj. Podobno sprzedał mu pan kilka prawdziwych perełek i prowadzi pan elitarny klub miłośników kina, do którego należy Olsen.

Mężczyzna ułożył usta, jakby chciał zagwizdać, ale zamiast tego machnął w powietrzu ręką od niechcenia.

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam zbyt dobrze Magnusa Olsena. Może kiedyś tu był, ale nie widziałem go od bardzo dawna. – Wykrzywił w grymasie twarz i przyglądał zmierzwione włosy. Ten temat był dla niego niewygodny. Zaczął kręcić się po sklepie, poprawił dwa szkaplerze i przesunął kałamarz z piórami ze złotymi stalówkami. – Jeśli chodzi o klub miłośników kina, naprawdę nie wiem, kto mógł panu o czymś takim powiedzieć. Nigdy nie istniało nic podobnego, a przynajmniej nie tutaj. Interesują mnie tylko filmy, w których zagrał Juanito Valderrama, a sam pan wie, że to było wieki temu. Obawiam się, że nie mogę panu pomóc.

Guzmán wrzucił ramionami i zmusił się do naiwnego uśmiechu.

– Cóż, szkoda.

Starzec skinął powoli głową, oblizując bladym językiem górną wargę.

– Jeśli pan chce, może ja mógłbym rzucić okiem na ten film. Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, ale umiem ocenić wartość porządnego antyku.

Guzmán rozważał propozycję. Każde błędnie wypowiedziane słowo, każdy nieodpowiedni gest spowoduje zatrzymanie subtelnego mechanizmu kłamstwa, który puścił w ruch.

– Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że pokażę go panu Olsenowi. I chciałem

go zapytać o ten klub. Z tego co zrozumiałem, należą do niego prawdziwi eksperci. Przypuszczam, że bardziej doceniłby produkt, który zamierzam sprzedać.

– Tak, oczywiście... Widzi pan to? – Guzmán spojrział na stertę pudełek opisanych mazakiem i czekających na rozpakowanie, którą wskazał kościsty palec starca. – To źle sprzedany spadek. Dzieci pewnego zmarłego małżeństwa nie chciały nic wiedzieć o rzeczach, które przez lata gromadzili ich rodzice. Tak się bardzo często zdarza. Pazernych potomków nie obchodzą pamiątki ani historia przedmiotów, chcą tylko opróżnić nieruchomości z „gratów”. Tak właśnie wygląda życie starych ludzi w oczach młodych: niepotrzebne i irytujące gromadzenie bezużytecznych przedmiotów, doświadczeń i wspomnień. To wielka niesprawiedliwość. Za dzieła sztuki, najstarsze książki w księgozbiorze, niektóre meble w stylu napoleońskim mogę zapłacić całkiem nieźle. Pozostałe rzeczy odkładam na bok i sprzedaję po okazyjnych cenach. Niektórzy ludzie myślą, że sklep z antykami jest jak złomowisko i antyki stawiają na równi ze starociami. A to jest jak mylić wartość czegoś z jego ceną. Żeby przedmiot stał się antykiem, nie wystarczy upływ czasu, wartość przedmiotów nie zależy od ich wieku, to nie wino. Gównno zawsze pozostanie gównem, chociaż będzie bardzo wysuszone i przestanie śmierdzieć. – Antykwariusz zaśmiał się ze swojego dowcipu, pokazując królicze zęby. Guzmán jednak nie przyłączył się do niego.

– Co to ma wspólnego z Olsenem?

Mężczyzna wydał się zaskoczony szorstkością pytania. Poczul ukłucie rozczarowania, jak trzęsienie ziemi o bardzo niskiej intensywności; przeżył już ich tak wiele, że prawie ich nie zauważał. Irytowało go, kiedy ktoś okazywał większe zainteresowanie finansową stroną transakcji niż rzeczywistą wartością sprzedawanego przedmiotu.

– Wśród tych pogardzanych przez spadkobierców rzeczy jest piękny kinematograf braci Lumière, który po raz pierwszy został pokazany w Paryżu w tysiąc osiemset sześćdziesiątym siódmym roku. Jest bezcenny, ale jego właściciele nie potrafili tego dostrzec. Żeby go zdobyć, musiałem kupić te wszystkie śmieci. Przyznam szczerze, że nie wierzę, by Olsen lub ktokolwiek inny, kto nie zajmuje się rynkiem antyków, potrafił wycenić pański towar.

– Mimo to spróbuję się z nim skontaktować. Tak czy inaczej dziękuję.

Guzmán uścisnął mu dłoń. Starzec podrapał się po uchu, wyraźnie zdenerwowany.

– Mało prawdopodobne, żeby odnalazł pan tego Szweda, chyba że jest pan medium. Słyszałem, że miał kłopoty z Urzędem Skarbowym i wymiarem

sprawiedliwości w swoim kraju i ostatecznie popełnił samobójstwo. Przyznam, że w dość tragikomiczny sposób.

Guzmán próbował udać zaskoczenie, a potem rozczarowanie.

– Dużo pan wie na jego temat, mimo że pan ledwo go skojarzył.

– Pański Reynaud odświeżył mi pamięć... Niech pan posłucha, Magnus Olsen był bogatym kolekcjonerem i płacił każdą cenę – jak wszyscy ekscentryczni milionerzy – ale w rzeczywistości był amatorem. Poza tym nie będzie już mógł z panem ubić interesu. Natomiast ja mógłbym określić prawdziwą wartość tego materiału i złożyć panu poważną ofertę.

Skonsternowany Guzmán udał, że się zastanawia. Oczywiście film nie istniał, więc musiał wymyślić coś na poczekaniu.

– Ma pan rację. Przyniosę go panu i może się dogadamy. Naprawdę potrzebuję pieniędzy.

Facet, który jest w posiadaniu bezcennego przedmiotu, skłonny sprzedać go takiemu amatorowi jak ten pieprzony Szwed, a oprócz tego nieopatrznie przyznaje, że pilnie potrzebuje pieniędzy – taki uśmiech losu przerósł najśmielsze oczekiwania Berenguera, a perspektywa zyskowej transakcji spowodowała, że spojrzał na Guzmána z większą życzliwością.

– Proszę przyjść, kiedy będzie panu pasowało – powiedział antykwariusz, odprowadzając go do drzwi. – Tacy starzy samotnicy jak ja też w końcu muszą przyznać się sami przed sobą, że potrzebują towarzystwa, kiedy nie są już w stanie wypełnić samotności hałasami, które słyszą w głowie... Tak, starość oznacza ciszę. Jest ciszą, która ma niewiele wspólnego ze spokojem, a wiele z pustką. Zaczynamy doceniać rzeczy, które właśnie się kończą: inteligentne towarzystwo, spacer, porządne poranne wypróżnienie, piosenkę, którą słyszeliśmy tysiąc razy, nie zwracając na nią uwagi...

Guzmán skinął głową. Był już jedną nogą na ulicy, kiedy przypomniał sobie o pewnym szczególe, więc się odwrócił.

– Jeszcze jedno pytanie, panie Dámaso. Czy zna pan Iana Mackenziego? Może przyszedł tu kiedyś z Olsenem.

– Kto to jest?

– Walińczyk, reżyser filmowy. Może widział pan jakiś z jego filmów, chociaż obawiam się, że nie zagrał w nich Juanito Valderrama – odpowiedział powoli, obserwując uważnie antykwariusza.

Z zadowoleniem zauważył, jak pod jego starą maską obojętności napięły się mięśnie. Bosch mu powtarzał: niech poczują, jak ostrze wbija im się w ciało, zanim jeszcze pokażesz im nóż, niech domyślą się horroru, który zaraz nastąpi,

niech się ciebie boją, zanim kiwniesz palcem.

– Nie wiem. Nie, na pewno nie – odparł starzec stanowczym tonem, może zbyt pośpiesznie.

Guzmán udał zawód.

– Nieważne, pytałem z ciekawości. Bardzo mi pan pomógł, dziękuję. Wrócę z filmem Reynauda.

Oddalając się ulicą, Guzmán nie musiał odwracać głowy, by wiedzieć, że Dámaso Berenguer obserwuje go z za matowego okna swojego sklepu. Poczł niemal instynktowną radość, jak gończy pies, który natrafił na ślad krwi – jeszcze słaby, niepewny – ale którego nie odstąpi, dopóki nie doprowadzi go do zdobyczy. Wiedział z doświadczenia, że nikt nie pęka po pierwszym razie. Ale starzec popełnił wystarczająco dużo błędów, żeby go podejrzewać. Nie powinien skłamać o Olsenie, a zrobił to i w konsekwencji musiał żałośnie wycofać się z tego kłamstwa, obawiając się, że zyskowny interes – do którego i tak nigdy nie dojdzie – przejdzie mu koło nosa. Guzmán nigdy nie wszedł w posiadanie żadnych starych filmów, poza nagraniem ze swojego pasowania na oficera chilijskiej marynarki wojennej. Dámaso próbował go również oszukać, twierdząc, że nie zna ani nie przypomina sobie Iana Mackenziego. Zdradziła go zaschnięta ślina w kąciiku ust. Jednak instynkt psa tropiciela pobudził w Guzmánie wiarę w istnienie czegoś tak pozornie niewinnego jak prywatny klub miłośników kina.

Wieloletnie doświadczenie nauczyło go, że należy uzbroić się w cierpliwość i obserwować. W La Moneda zwykł siadać na stołku przy drzwiach i uważnie obserwować zatrzymanych, zanim przeszedł do przesłuchiwania. Mógł tak siedzieć godzinami, zrzucając na ziemię masę niedopałków, analizować każdą oznakę słabości, każdą ranę, którą mógłby rozdrapać. Jego koledzy woleli łamać opór przesłuchiwanym siłą, biciem gołymi rękami, pałą, prądem, nożem, sznurami, czymkolwiek. Guzmán nie popierał takich metod, nie był szaleńcem ani sadystą. Miał jasny cel: dostać się do umysłu więźnia i wyciągnąć z niego wszystko, co wiedział. Oczywiście przemoc była konieczna. Czasami po długich torturach nawet śmierć stawała się czymś dopuszczalnym, wręcz pożądanym, jeśli nie dało się już nic więcej wyciągnąć z przesłuchiwanego. Najpierw jednak długo i starannie planował, jak przypuścić atak na duszę ofiary.

Tylko głupcy i ludzie niedorozwinięci umysłowo kłamią bez potrzeby. Antykwariusz tymczasem nie zaliczał się ani do jednych, ani do drugich. W innych okolicznościach wystarczyłoby kilka razy ścisnąć go kleszczami pod pachami, żeby wyśpiewał swoją tajemnicę. Nie żyli jednak w latach osiemdziesiątych w Chile, a Hiszpania oczywiście nie była już tym krajem, który

pamiętał z czasów rządów frankistowskiego premiera Luisa Carrero Blanco, kiedy współpracował z hiszpańską policją w walce przeciw terrorystom.

„Nie ma przypadków, istnieją tylko różne sposoby rozumienia porządku świata; kod, który należy rozszyfrować” – pomyślał.

Chciało mu się pić. Nad Madrytem zapadał zmierzch, a pełne radości i ożywione ulice na każdym rogu proponowały mu coś innego. Szansę zapomnienia, kim jest. Zastanawiał się, co porabia wdowa po Olsenie. Może pije w samotności.

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego ta kobieta przypominała mu Candele.

Przestronna sala pubu była przyjemnym miejscem. Na każdym stoliku stał czarny kamienny wazonik z bukietem starannie ułożonych kwiatów. Ściany pomalowano na nierzeczywiste, zbyt kontrastujące ze sobą kolory. Po jednej stronie znajdował się obłożony lustrami bar z dzwonkiem, który po naciśnięciu wydawał dźwięk kościelnego dzwonu. Kilka metrów dalej przy jednym ze stolików siedziała grupa otępiałych pseudoartystów w mokasynach i kurtkach z przetartej skóry, palących skręty starannie przygotowane w maszynie do papierosów. Rozmawiali o sztuce i polityce, jakby były naczyniami połączonymi. Tymczasem po lokalu kręciły się dziwki, ukrywając przygnębienie pod uśmiechami i pozami. Wyczuwało się ich rosnącą frustrację.

Pozostali klienci pubu też robili wrażenie smutnych i pokonanych. Byli wśród nich mężczyźni w krawatach i tanich garniturach z aktówkami pełnymi bezużytecznych próbek, a także pijący samotnie piwo kierowcy ciężarówek o ociężałym spojrzeniu, którzy umyli głowę w parkingowej toalecie, żeby wyglądać choć trochę bardziej przyzwoicie niż zwykle. W kącie stało pianino z podniesioną klapą i pożółkłymi jak zęby starca klawiszami. Pianista grał na nim składankę pozbawionych wdzięku melodii, popijając w przerwach dzin z wysokiej szklanki. Kiedy wypijał wszystko, unosił szklankę w stronę kelnerki, a ta podchodziła do niego i posłusznie mu ją napełniała. Za kilka lat ten facet będzie martwy. Możliwe, że jego palce wykrzywi artretyzm i nie będzie w stanie już nic zagrać, a tym bardziej unieść w tych bezużytecznych szponach szklankę, żeby przywołać dziewczynę.

Guzmán siedział przy jednym ze stolików i obserwował to wszystko jak unosząca się w wodzie meduza: nieruchome ciało, które reaguje tylko wtedy, gdy ktoś go dotknie.

– Wspominasz jakąś starą piosenkę?

Zapytała leniwie kobieta z namalowanym kredką pieprzykiem. Patrzyła

na świat spod sztucznych rzęs i uśmiechała się z mieszaniną drwiny i wyniosłości, która prawdopodobnie na nic jej się nie przydawała.

– Niezupełnie – odpowiedział Guzmán, wydobywając słowa z dna swojego umysłu.

– Mogę się przysiąc? – Przecież już się przysiadła, więc Guzmán wrzucił ramionami.

„Ludzie powinni uważać na mięsożerne rośliny” – pomyślał. – „To te w jaskrawych kolorach i pozornie najbardziej nieszkodliwe”. Kobieta najwyraźniej o tym nie wiedziała.

Powiedziała mu swoje imię, ale zanim je zapamiętał, zdążył je już zapomnieć.

– Oto i my: *nieunikniona modalność niewidzialnego*.

Stłumionym głosem Guzmán zapytał ją, co to znaczy. Uśmiechnęła się, ukazując niepotrzebnie zęby zbyt krzywe, żeby można się było nimi chwalić.

– Nie wiem. Usłyszałam to w samochodzie w radiu. Spodobało mi się, więc sobie zapisałam. Notuję dziwne słowa albo zdania, które mnie zaciekawia, żeby ich nie zapomnieć. – Nie powiedziała, żeby się ich nauczyć, zrozumieć je albo później użyć. Powiedziała: żeby ich nie zapomnieć.

Guzmán uśmiechnął się, niemal perwersyjnie zainteresowany dziwnymi ludzkimi zachowaniami.

– Świetnie. Opowiedz mi o sobie.

– Nie ma dużo do opowiadania. Kiedy miałam czternaście lat i jeszcze nie doświadczyłam pierwszego pocałunku, rozdziewiczył mnie przyjaciel mojego ojca. Od tego momentu wszystko zaczęło się sypać – zachichotała. Była pijana albo udawała.

Co on robił w wieku czternastu lat? Był zwykłym chłopakiem z krótkimi rzęsami i szerokimi brwiami, który wsiadł na karuzelę w kształcie ośmiornicy w dzielnicowym lunaparku. Ale nie mógł sobie przypomnieć dziewczyny, którą pocałował po raz pierwszy.

Kobieta piła dalej i wyliczała długą listę byłych chłopaków, partnerów, mężów i kochanków, dłuższych i krótszych związków, wszystkie definiując w ten sam sposób: skomplikowane.

– Mężczyźni nie potrafią dać mi tego, czego pragnę.

– A umiesz o to poprosić?

– Chcę, żeby pożerali wzrokiem moje nogi, szyję, cycki. Chcę czuć się pożądana, a nie podziwiana, jakbym była rzeźbą w weneckim ogrodzie. Potrzebuję dotyku silnej ręki, *lubieżnej* (to słowo przeczytała tego dnia rano w reklamie kremu dopochwowego), od którego stanę się wilgotna.

„Na tym świecie każdy znajdzie swoje miejsce” – pomyślał Guzmán. „Ludzie chcą żyć wymyślonym życiem, ale niewielu ma odwagę, żeby to zrobić”. Tej kobiety nie obchodziło, czy jej słuchał, po prostu potrzebowała się wygadać. Zbyt dużo wypła i tak naprawdę on się jej nie podobał. Tak czy inaczej w końcu zaproponuje mu, żeby poszli razem do łóżka, tylko dlatego, by nie być sama.

Kobieta wyjęła trochę koki i rozprowadziła kreskę na lusterku do makijażu. Przepołowiła ją jak glistę i każde z nich z apetytem wciągnęło nosem swojego robala. Wewnątrz ciała, bliżej smutków, kokaina stawała się prawdą. Nagle kobieta pocałowała go. „Piję cyjanek”, pomyślał Guzmán, w ustach czując jej język. Zamknął oczy i napił się trucizny.

Pozwolił zaprowadzić się na piętro. Pokój był ładny. Miał sufit z mansardowym dachem wyłożonym od środka drewnem i grubymi belkami stropowymi z cedru. Na białych ścianach widoczne były nierówności powstające w wyniku pracy konstrukcji, jak tłuszczowe torbiele, które ukazują się na twarzach starych ludzi. Podłoga wyłożona była czerwoną wykładziną, a w lustrach w połączonych ramach odbijał się każdy kąt pokoju.

Guzmán usiadł na szerokim łóżku przykrytym białą szydełkową kapą pachnącą martwą czystością. Smutny mebel, jak wszystko, co u biedaków próbuje konkurować z bogactwem. To nie było łóżko księżniczki, tylko dziwki, chociaż miało ładny baldachim i te lustra na suficie, które pozwalały dokładnie poznać geografię nagiego ciała.

– Wszystko w porządku? – zapytała, podmywając się w bidencie.

Guzmán popatrzył na nią z głębokim smutkiem. „Ze starego zawsze rodzi się nowe”, pomyślał. Powtórzył w głowie ten aksjomat, bezskutecznie próbując w niego uwierzyć. Odwrócił wzrok. Kobieta podeszła do łóżka i uśmiechnęła się. Pod palcami wyczuwała bicie jego serca: *puk, puk, puk*, jak kroki olbrzyma zamkniętego w klatce.

– Mogę uciszyć na chwilę te głosy, które w sobie słyszysz.

– Masz kołek, którym mnie przebijesz?

Docierały do niego odległe dźwięki, jakby był zanurzony w basenie: jęki transwestyty za ścianą, warkot wyjeżdżającej z parkingu ciężarówki, śmiechy innych dziwek na korytarzu. Czasami niemal nabierał pewności, że życie było niczym innym jak ulotną fantazją, która mogła się rozwiać w okamgnieniu.

– Possać ci? – zapytała kobieta.

Guzmán uśmiechnął się okrutnie.

Siedział nieruchomo, patrząc w mrok, przeszywając go wzrokiem, jakby zagłębiał się w gęsty las otoczony mgłą. Przypomniawszy sobie głos Candelii, drobinki

piasku unoszące się w powietrzu w świetle reflektorów samochodu Boscha, dźwięk zapalanego płomienia palnika, ciepłą wilgoć roześmianych ust mężczyzn, którzy go przytrzymywali. Zamknął oczy i poczuł inny rodzaj ciemności, głębszej, pozbawionej odcieni. Poczuł, jak kobieta rozpina mu rozporek i głaszcze go przez spodnie. Zacisnął powieki, przywołując wspomnienie palców baskijskiej nauczycielki muzyki, dotyk ciepłych opuszków na jego wilgotnym napletku, smak języka, który lizał go powoli, od jąder w górę, z przyjemnością odkrywając topografię jego stojącego członka.

Kobieta zatrzymała się. Patrzyła na spaloną skórę, jakby przez przypadek otworzyła drzwi do piekła. Okaleczony penis i pusta moszna były prawdą tak okrutną, że każdy chciałby odwrócić od niej wzrok.

– Dalej. Nie chciałaś mi zrobić laski? Użyj trochę wyobraźni. Kiedyś naprawdę tam był – odezwał się ze zbolałym śmiechem Guzmán.

„Ludziom się wydaje, że ich nieszczęście jest absolutną potwornością. Ale zawsze odwracają wzrok, kiedy odkrywają, że istnieją jeszcze większe koszmary” – pomyślał. – „Ludzka natura jest bardzo krucha”.

Wstał, jednak był za bardzo pijany i naćpany, żeby utrzymać równowagę, potknął się i upadł, pociągając za sobą nocną lampkę, zbijając klosz i lekko raniąc się w rękę. Z trudem dotarł do łazienki. Kapiące z rany krople krwi rozbijały się o podłogę jak purpurowe kapsułki. W zwolnionym tempie.

Na ścianie nad sedesem przyklejona była bordiura z ptaszkiem o niebiesko-żółtych skrzydłach – małymi oczkami wpatrywał się w Guzmána w głębokim milczeniu. Guzmán obrysował palcem ptaka. Podciągnął spodnie i umył ręce, obserwując strużkę krwi, która spłynęła z wodą do odpływu umywalki. Wychodząc z pokoju, widział, że kobieta siedzi na łóżku.

Zamknął ostrożnie drzwi, żeby mogła płakać w spokoju.

Rozdział 11

Pan Who cofnął się o kilka kroków i rozejrzał po piwnicy. Nie lubił tam przebywać, miał wrażenie, że przebiega wąskie i niskie korytarze łodzi podwodnej, a cierpiał na klaustrofobię. W pomieszczeniu stał długi stół zavalony różnymi elementami do składania. Około trzydziestu kobiet – niektóre bardzo młode, prawie dziewczynki, wszystkie Azjatki – siedziało po obu jego stronach i pracowało w milczeniu w świetle grubych świetlówek zawieszonych na cienkich łańcuchach na rurach kanalizacyjnych restauracji znajdującej się nad ich głowami. W niektórych miejscach rury przeciekały i na stole tworzyły się śmierdzące kałuże. Pomieszczenie wypełniał ostry zapach: mieszanka ludzkiego potu, tłuszczu, oleju przemysłowego i kuchennego.

Korytarz przedzielala zasłona z grubych plastikowych wertikali, zniekształcających postacie po drugiej stronie. Sądząc po docierającym stamtąd warkocie maszyn, znajdowała się tam nielegalna tkalnia. Who z trudem powstrzymywał się przed odsunięciem zasłony. Wiedział, że Mei była gdzieś w tym piekielnym labiryncie. Słyszał o strasznych rzeczach, które działy się w takich nielegalnych zakładach i panujących w nich nieludzkich warunkach. Nie chciał jednak o tym myśleć; zastanawianie się, że Mei mogłoby się coś stać, osłabiało go, a musiał być silny za nich oboje. W przeciwnym razie nigdy mu się nie uda jej stamtąd wyciągnąć.

Chang żegnał się na schodach z klientem, ściskając mu dłoń. Who był małym chłopcem, kiedy Chang zaczepił go na ulicy, zaprosił na zaplecze restauracji i poczęstował herbatą i papierosem. Maribel i Teo nigdy by mu na to nie pozwolili. Ale Chang wiedział, jak sprawić, żeby chłopak czuł się ważny, dorosły. „Jesteś jednym z nas” – mówił, głaszcząc go po głowie, a Who wydawało się, że to największy komplement, jaki mógł usłyszeć. Chang opowiadał mu o swojej przeszłości w Dalianie, ważnym nadmorskim mieście w Chinach. Zwykł snuć marzenia, że kiedyś tam wróci i stworzy prawdziwe imperium.

Chang jako pierwszy docenił potencjał androgenicznego wyglądu i cech Who, które mógł wykorzystać w swoim biznesie. Pierwszy zaproponował mu pieniądze w zamian za seks. Pan Who miał wtedy piętnaście lat.

Za pierwszym razem, kiedy Chang spuścił mu się w usta, chłopak z trudem łapiąc powietrze, uciekł do łazienki i z wymiotował. Starzec spojrział na niego

chłodnym wzrokiem, zachowanie Who zupełnie go nie ruszyło, nie był wściekły ani rozbawiony. Kiedy chłopak skończył wymiotować, kazał mu przepłukać usta i zacząć od nowa.

W konsekwencji nowego życia linia dzieląca dobro od zła straciła ostrość, by ostatecznie stać się niewyraźną granicą, ziemią niczyją, po której pan Who wałęsał się, jakby w jego świecie do życia nie było mu potrzebne oddychanie, jedzenie ani picie, jakby własne potrzeby były mu zbędne. Wystarczyło stać nieruchomo i o niczym nie myśleć. Przestał czuć dyskomfort. Chciał dostawać następne zlecenia, żeby zapomnieć o poprzednich. Pracował coraz więcej. Z czasem zniknął wstyd, a potem wstręt, aż w końcu pan Who stał się obojętnym obserwatorem samego siebie. Zniknęło poczucie winy, zasady moralne, skrupuły. Myśli związane ze światem istniejącym poza wynajętymi na godziny pokojami zaczęły powoli słabnąć, aż w końcu stały się lepką i nieprzyjemną papką, którą próbował od siebie odsunąć.

Z upływem lat, kiedy pokonał barierę bólu, stał się zaangażowanym i wspaniałym kochankiem. Czuł całkowitą dominację nad swoimi klientami, czasami stawał się wręcz sadystą, innym razem pocieszycielem. Wszystko zależało od ich oczekiwań. Potrafił domyślić się, czego pragną, opierając się na ciągłej i uważnej obserwacji. Każdy gest, każdy szczegół był tajnym językiem, w którym mężczyźni i kobiety płacący za jego usługi opowiadali mu o swoich marzeniach, o jakich bardzo często nawet sami nie wiedzieli. Dogadzał im pod każdym względem, oddawał się z zuchwałością i był w stanie przebić się przez zbroję, za którą się ukrywali. Dlatego liczył sobie dużo za swoje usługi i był dla Changa kurą znoszącą złote jaja. Z tego samego powodu stary Chińczyk bez wahania zabiłby jego i Mei, gdyby się dowiedział, że chłopak odkłada wszystkie zarobione pieniądze, by uciec.

Tego dnia Chang zaprosił pana Who na obiad. Powiedział, że chce sprawdzić jego postępy w nauce mandaryńskiego. Jednak kiedy tylko znaleźli się w prywatnej sali na ostatnim piętrze budynku – dokładnie tam, gdzie ojciec chłopaka prowadził kiedyś swój mały sklepik numizmatyczny, a matka szkołę baletową – Who zrozumiał, że chodzi o coś innego. Chang wrzucił kilka suchych płatków kwiatów do miseczki z drewna cedrowego i chwilę później po pomieszczeniu rozszedł się roślinny zapach. Zdjął buty, żeby wejść na tatami, delikatnie ujął metalowe pudełko i je otworzył.

– Jest za wcześnie na ćpanie. Poza tym jeszcze przez kilka godzin pracuję.

Chang uśmiechnął się jak szczur, pokazując zęby. Lubił chłopaka, naprawdę go lubił. Zrobił z niego kogoś, kogo dyplomatycznie można byłoby nazwać

„dobrym profesjonalnym towarzyszem”. Who umiał się kontrolować, panował nad wyrazem twarzy i językiem ciała. Nieodpowiedni gest, ulotne spojrzenie, grymas, który pojawia się w nieodpowiedniej chwili, potrafią wyrządzić dużo więcej złego niż kłamstwo. A pan Who, mimo swojego młodego wieku, był doskonałym profesjonalnym kochankiem, najlepszym ze wszystkich. Trudno było przewidzieć czy domyślić się jego myśli i zamiarów. Ale Chang nie mógł oszukać.

– Mamy jeszcze trochę czasu, więc usiądź tutaj ze starym Changiem i pogadajmy jak ojciec z synem albo dziadek z wnukiem – odezwał się, częstując chłopaka skrętem z metalowego pudełka. Chang mówił zawsze cichym głosem i dzięki tej sztuczce zmuszał swojego rozmówcę do maksymalnego skupienia się na jego słowach.

Na ścianie wisiał obraz przedstawiający bujną łąkę ciągnącą się aż do widocznej w oddali rzeki. Chłopi o azjatyckich rysach, w wielkich słomianych kapeluszach w kształcie stożka, pochylali się na polach ryżowych. Z jakiegoś powodu, kiedy ludzie z Zachodu myśleli o Chinach, kojarzyły im się właśnie takie krajobrazy. Pan Who pochodził z terenów przygranicznych leżących między Mongolią i Chinami, a jego miejscowość należała raz do jednego, a raz do drugiego kraju, w zależności od sytuacji politycznej. Jako dziewięciolatek po śmierci rodziców przyjechał do Hiszpanii, ale nie przypominał sobie, żeby widział podobne łąki, a tym bardziej rzeki takie jak ta z obrazu. Pamiętał, że ziemia była wysuszona i jałowa, śmierdziała odchodami dromaderów i w dzień, i w noc smagał ją straszny wiatr, a w odległości tysięcy kilometrów nie było ani jednego wzgórze, które stawiloby mu opór.

Pan Who wyjął z pudełka skręta i go zapalił. Chang z zadowoleniem pokiwał głową, kiedy chłopak zaciągnął się porządnie, zamykając oczy, i zaczął powoli wypuszczać ustami gęsty dym. Starzec zapalił drugiego skręta i oparł się wygodnie o poduszki. Pokój wkrótce wypełniła mieszanka zapachów różanego mydła i cytryny. Chang dotknął ręki Who, a ten wzdrygnął się mimowolnie. Chińczyk uśmiechnął się w duchu, wyczuwając z zadowoleniem jego niepokój.

– Doszły mnie pewne słuchy... Podobno spodobała ci się jedna z moich pracownic.

Panu Who nie drgnęła nawet powieka.

– Twoje pracownice śmierdzą potem. A jeśli chodzi o seks, to nie narzekam na jego brak.

– W takim razie mogę być spokojny. Jesteś urodzonym szczęściarzem i niech tak pozostanie. À propos szczęścia, czy masz jeszcze prezent, który ode mnie dostałeś?

– Zgubiłem go.

– Zgubiłeś.

– Zostawiłem twojego kota szczęścia w metrze. Przepraszam.

Chang poprawił się na poduszkach i zapatrzył w piękną spiralę dymu, którą wypuścił z ust ku górze.

– To znaczy, że możesz sobie pozwolić na to, by gdzieś po drodze zapomnieć o talizmanie szczęścia. Masz, chłopcze, fart. Chociaż ze szczęściem nigdy nic nie wiadomo, raz jest, a raz go nie ma. Powiedz mi, co cię martwi? Dużo pracujesz, więcej niż dawniej, zarabiasz bardzo dużo pieniędzy i szybko się uczysz. Coraz bardziej przypominasz prawdziwego Chińczyka, ale coś cię spina, coś cię niepokoi. Nie oszukasz starego Chang, wiem, że coś cię trapi. Nie masz drogich nałogów. Z tego co wiem, twojej matce niczego nie brakuje, a ty pracujesz i pracujesz z uporem, który cię wyniszcza. Jakbyś chciał przed czymś uciec, przestać myśleć. Nie rozumiem, skąd u ciebie taki pęd do zarabiania pieniędzy?

– Tu nie ma nic do rozumienia. Po prostu tak jest i już.

– Chcesz mi wmówić, że robisz to z miłości do sztuki?

Who pomyślał o Mei, wyobraził ją sobie w piwnicy tego samego budynku i jego ciało przeszył dreszcz czułości i gniewu. Na szczęście udało mu się powstrzymać jęk, spojrzał tylko ze smutkiem i powiedział:

– Lubię to, co robię. Każdy ma jakiś talent. Ja kocham i jednocześnie nienawidzę. Jestem jak alchemik.

Chang spojrzał na niego kpiącym wzrokiem.

– A co ja z tego będę miał? – Rozpiął fartuch i rozłożył nogi, pokazując członek i ogolone jądra. – Myślisz, że twoje życie jest inne, bo jesteś kimś wyjątkowym. Uważasz, że świat jest ci coś winien, bo twoje życie jest niesprawiedliwe, że powinieneś odegrać się, bo na twoich oczach zginął twój ojciec, a matka do końca życia będzie się poruszała na wózku inwalidzkim? Nie mam racji? Nie jesteś wyjątkowy, chłopcze. Nie ma dla ciebie żadnej innej przyszłości niż ta, którą ja ci oferuję. W tym, co robisz, nie ma nic romantycznego, rozumiesz? Tylko upadek. A teraz chcę zobaczyć twoją śliczną pedalską buzię oblaną spermą starca.

Pan Who spojrzał uważnie na cień, którym stał się penis Chang.

– Mam to zrobić teraz?

Chang wybuchł śmiechem, który zabrzmiał jak rozłupywanie orzecha.

– Po to cię tutaj przyprowadziłem.

Kobieta przesuwała palec po falującej klatce piersiowej Who. Od tak dawna nie uprawiała seksu, że czuła się dziwnie, leżąc przy męskim ciele. Uniosła wzrok,

oparła brodę o tors chłopaka i popatrzyła na jego surowy profil.

– O czym myślisz po skończeniu płatnego seksu z nieznajomą?

Who wyslizgnął się z pościeli, z delikatną stanowczością odsuwając od siebie nagie ciało kobiety, i podszedł do okna. Zapadał zmierzch.

– O niczym – powiedział. I kłamał tylko częściowo. – Porozmawiajmy o moim wynagrodzeniu.

Kobieta pogłaskała się po dłoniach. Powinna być przygotowana na tę chwilę. Seks z męską prostytutką był kiedyś jej skrytym marzeniem, ale to, co się wydarzyło w pokoju przed kilkoma minutami, okazało się raczej przygnębiającą i smutną jego namiastką. Nagle obecność tego obcego mężczyzny zdenerwowała ją. Niepotrzebnie pozwoliła się uwieść jego ciału, które było jedynie złudzeniem.

– Oczywiście, już ci płacę.

– Dobrze. Jeśli pozwolisz, pójdę do łazienki wziąć prysznic.

– Jasne, czuj się jak u siebie.

„Raj i piekło połączone są bardzo krótkimi mostami. Stoisz na jednym brzegu, a za chwilę jesteś już na drugim. I nawet nie wiesz, kiedy przeszedłeś przez most” – pomyślał Who, przypominając sobie ukryte groźby Changa, jego podejrzenia co do niego i Mei. Popatrzył na fotel, na którym leżała bielizna i sukienka. Małe koronkowe majtki, biustonosz i pończochy, drogie i seksowne. I wtedy zrozumiał, że dłużej nie może żyć w ten sposób.

Wyszedł z łazienki ubrany i z wilgotnymi włosami. Kobieta spojrzała na niego obojętnie.

– Zaczekaj. Przyniosę ci pieniądze.

Who czekał, patrząc na dyplom oprawiony w ramkę, który wisiał na ścianie.

A więc kobieta była psychiatrą. Z założenia psychiatrzy są przewodnikami oświetlającymi drogę pochodniami, nicią Ariadny, która pozwala ludziom wyjść z ich wewnętrznych labiryntów. Tymczasem ta kobieta nie robiła wrażenia pewnej czegokolwiek. Ludzi nie definiuje to, czym się zajmują. Zawody są tylko maską.

Who zaczął krążyć po mieszkaniu. Było duże, z pewnością nie mógłby sobie na nie pozwolić ktoś zarabiający średnią krajową. Ale panował w nim chłód, pokój wypełniało kilka minimalistycznych mebli w odcieniach szarości i bieli, stal i szkło. Nigdzie nie było prywatnych zdjęć ani obrazów. W ramach wciąż tkwiły profesjonalne fotografie modeli: dzieci ślicznych jak cherubinki, mężczyzn i kobiet o idealnych, sztucznych uśmiechach. Prawdopodobnie wystrój wnętrza lepiej wyrażał osobowość jego klientki niż dyplom na ścianie.

Na szklanym stole leżała otwarta teczka. Od niechcienia rzucił na nią okiem, żeby zabić czas. Nagle coś zwróciło jego uwagę: z pliku dokumentów wystawał

urzędowy formularz z zakreślonymi polami, danymi osobowymi i ocenami. W rogu kartki przypięto zszywaczem zdjęcie w formacie jak do dowodu osobistego. Pan Who pociągnął za koniec kartki i zaczął ją oglądać zaskoczony.

Kiedy Martina wróciła, trzymając starannie złożone banknoty, pokój był pusty. Żigolak poszedł sobie, nie czekając.

Rozejrzała się ze zdziwieniem, nie rozumiejąc, co się mogło stać. Wszystko leżało na swoim miejscu, oprócz teczek z dokumentami, które przeglądała kilka godzin wcześniej i zapomniała schować. Teczka znajdowała się niemal tam, gdzie wcześniej, ale Martina pamiętała, że zostawiła ją otwartą, a teraz była zamknięta.

Otworzyła ją i sprawdziła, czy są wszystkie dokumenty. Okazało się, że brakuje formularza z danymi osobowymi i zdjęciem pacjenta. Eduarda Quintany.

– Źle pan wygląda, Eduardo.

To była prawda. Ogolił się szybko i niedbale, na obu policzkach miał maleńkie zacięcia i w niektórych miejscach siwy zarost odcinał się od jego bladej skóry. Znalazł gdzieś przyzwoicie wyglądającą koszulę, ale nie zauważył, że miała brudny kołnierzyk i urwany guzik. Krawat z grubym i źle zawiązanym węzłem również nie poprawiał jego żalostnego wyglądu. Był już czwartek? Pewnie był. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni wstał z łóżka. Z bólu pękała mu głowa.

Spojrzał na Martinę zbłąkanym wzrokiem. Jedna powieka opadała jej bardziej niż druga. Przekręcił głowę, jakby chciał przyjrzeć się jej pod innym kątem.

– Pani też nie jest dzisiaj świeża jak róża, pani doktor.

Martina zarumieniła się, odruchowo dotknęła włosów i wyprostowała plecy na oparciu fotela.

– Jak na pana działają leki?

„Cierpię na zaparcia, wymiotuję, nie staję mi i przez cały dzień odnoszę wrażenie, jakbym zamiast podniebienia miał w gębie podeszwę buta”. Po co zadaje mu pytania, na które zna odpowiedzi?

– Czuję się dobrze, dziękuję.

– A co z koszmarami?

– Już ich nie mam. Zapewniam panią, że śpię jak suseł.

Martina nie uwierzyła.

Odłożyła ostrożnie długopis na otwarty notatnik i oparła splecione dłonie o blat stołu. Prawie nic nie zanotowała. Tego czwartku nie miała ochoty ani siły walczyć z Eduardem. Pomasowała się po czole i z trudem uśmiechnęła.

– Porozmawiajmy o tym, co się stało. A potem może wypiszę panu receptę.

– Wie pani o wszystkim, ma pani moje akta.

Martina skinęła głową.

– Nie chcę rozmawiać o wypadku, ale o tym, co się wydarzyło na ulicy Montera pięć miesięcy później. Chcę usłyszeć o tym od pana. Niech mi pan opowie o trzynastu latach życia w zamknięciu.

Eduardo marzył, żeby zapomnieć, ale jak można zapomnieć, kiedy wszyscy uparcie zmuszają człowieka do pamiętania?

– Nie ma o czym mówić.

– Zabił pan człowieka. Strzelił pan do niego z zimną krwią. I nie ma o czym mówić?

Eduardo spojrział na nią twardo. Przez chwilę myślała, że wstanie i wyjdzie. Może posunęła się za daleko i go straciła. Ale powoli, jak ruszająca z trudem lokomotywa, z jego ust popłynęły słowa. Mówił niemal szeptem.

– Każdy ma coś do wybaczenia – stwierdził lakonicznie. Czy nie tak właśnie powiedziała Olga w kościele?

– Nie można na wszystko patrzeć w ten sposób, z takim dystansem.

– Wiem tylko, że ciało gnije i się rozkłada, podobnie jak wspomnienia. Elena umarła i moja córka też. A ja powinienem był umrzeć razem z nimi, ale tak się nie stało. I nigdy się nie dowiem dlaczego. Może to wszystko jest tylko kwestią rzucenia monetą, to gra, w której nigdy nie wiadomo, komu się poszczęści.

– Życie jest czymś więcej niż zwykłym przypadkiem. To wynik naszych działań, Eduardo. Nie można zrzucić wszystkiego na łut szczęścia, żeby uchylać się od odpowiedzialności.

– Czy gdybyśmy wiedzieli, że życie jest tylko zbiegiem okoliczności, a po nim nie ma nic, zrezygnowalibyśmy z niego? Nie. Tak czy inaczej czerpalibyśmy z niego garściami do ostatniej chwili. A potem błagalibyśmy o więcej. Zawsze istnieje jakiś powód – nieważne jaki – żeby żyć dalej. To jednak nie poprawia sytuacji, pani doktor. Dochodzi do różnych wydarzeń, których przyczyny nie znamy.

– Czy pan w coś wierzy? Nie zastanawia się pan, czy pański czyn coś zmienił? To musiało odcisnąć na panu jakieś piętno.

Eduardo nie wiedział, w co wierzy. W ludzi? W Boga? W wieczność? Wszyscy w coś wierzą, a przynajmniej tak mówią. Dla niego wiara nie istniała. Nawet nie czuł przywiązania do siebie samego, nie miał nic do stracenia. Życie albo śmierć, ten wybór nie miał dla niego większego znaczenia. Jednak odkąd – przed kilkoma miesiącami – pojawiła się Gloria i możliwość namalowania portretu, zyskał pretekst, żeby jeszcze trochę żyć.

– Czy mogę prosić o szklankę wody? – wolałby wódkę, whisky, truciznę, ale wiedział, że lekarka poda mu wodę.

Martina wstała i podeszła do małej lodówki. Otworzyła ją, nieco zdradzając Eduardowi swoje kulinarne preferencje: jogurty, owoce, samotny pomidor i piwo, które wydało mu się urojeniem, kiedy wróciła z dzbankiem zimnej wody i jednorazowym plastikowym kubkiem.

Lekarka podała mu kubek z udawaną życzliwością. „Robimy postępy”, mówiło jej spojrzenie. Eduardo udał, że jej wierzy. Wypił powoli wodę i oddał jej kubek. Martina ponownie go napełniła, tym razem mniej zręcznie i kilka kropli utworzyło pęcherzyki na lakierowanym blacie stołu. Eduardo ujął kubek w obie dłonie, jakby chciał je od niego ogrzać.

– Fakt, że kogoś zabiłem, nie czyni ze mnie mordercy – stwierdził bez przekonania.

Sam w to nie wierzył, ale nie miał ochoty o tym rozmawiać.

Martina zauważyła cień nieszczerości na jego twarzy.

– Dlaczego w takim razie nadal czuje się pan winny?

Eduardo wbił w nią wzrok pełen chłodnej odrazy i jakby nieobecny, co zaniepokoiło psychiatrę.

– Niech mi pani wypisze receptę i zostawi mnie w spokoju.

Kiedy Eduardo minął cmentarną bramę, ogarnęła go głęboka cisza. Było późno, do zamknięcia cmentarza brakowało około dwudziestu minut, więc dozorca skrzywił się na jego widok z irytacją i ostentacyjnie spojrzął na zegarek. Eduardo go zignorował. Lubił przychodzić tu o zmierzchu, kiedy nie było prawie nikogo, a groby i kolumbaria spowijał mrok. Deszcz pozostawił po sobie zapach mokrego kurzu. Stojąc nieruchomo z zamkniętymi oczami, Eduardo wyłapywał niemal niedosłyszalny dźwięk ocierających się o siebie suchych liści i kapanie wody w trawie, wśród której groby wznosiły się niczym wysokie łądygi. Pod butami czuł wilgotną ziemię. Na niektórych nagrobkach cięte kwiaty więdły w wazonach bez wody, na innych ozdobę stanowiły sztuczne bukiety.

Nie wiedział, co powinien czuć. Lekarka na próżno czekała, że wybuchnie złością, ruszą go wyrzuty sumienia albo przyzna, że zastrzelił tego człowieka, żeby się zemścić. Ale to nie była prawda, a ona nie mogła tego zrozumieć. Pewne było tylko to, że nie czuł nic poza pustką przypominającą spokój. Śmierć nie miała dla niego jasnego sensu, nie chciał o niej myśleć.

Rozejrzał się wokół i przypomniał sobie pogrzeb ojca. Przyszło na niego wielu dorosłych, on, kuzyni, wujowie, rodzeństwo, a obok nich dzieci, które nie przestawały się kopać i szczypać, nawet kiedy grabarze wjechali do góry elektrycznym wyciągiem i otworzyli rodzinną niszę. Na platformie wyciągu leżała

trumna z dwoma wieńcami. Powaga dorosłych kontrastowała w surrealistyczny sposób z bawiącymi się dziećmi i bezskutecznymi próbami zmuszenia ich do zachowania ciszy. Grabarze skuli zgniły cement i zdjęli płytę nagrobną. Jeden z nich wyciągnął ze środka niszy grabiami masę zbutwiałego drewna, które rozpadało się przy najlżejszym dotknięciu. Dyskretnie wrzucili wszystko do torby na przemysłowe odpady, ale przez przypadek wypadła z niej szara kość. To była kość jego matki. Wsunęli w niszę cedrową trumnę ze złotymi zdobieniami i krzyżem, a za nią torbę z wcześniej wyjętymi szczątkami i wstawili z powrotem na miejsce płytę.

To właśnie była śmierć.

Grób, którego szukał, tym razem znajdował się w miarę nowym kolumbarium. Szło się do niego ubitą ścieżką, na jej końcu stał niczym milczący władca na kolumnie z ciemnego granitu dość toporny gipsowy archanioł z szeroko rozpostartymi skrzydłami, ślepym spojrzeniem skierowanym ku niebu i nagimi muskularnymi ramionami wyciągniętymi w stronę grobów jak rolnik obsiewający pole. Nisza była trzecia po lewej, na trzecim z siedmiu poziomów. Ktoś włożył świeży bukiet azalii w pierścień wystający po jednej stronie płyty nagrobnej.

Teodoro López Egea. Motril, 1946 – Madryt, 1991.

To właśnie jemu Eduardo odebrał życie. Teodoro López Egea był kierowcą czarnego samochodu terenowego z numerami rejestracyjnymi, które zapisała Olga. Człowiekiem, który zabił Elenę i nikczemnie uciekł, kiedy Tania wykrwawiała się na śmierć na brzegu strumienia.

Eduardo dotknął zakurzonej krawędzi niszy i popatrzył na swoją rękę. Pamięć potrzebowała tylko lekkiego pchnięcia, żeby zacząć toczyć się w dół: ojciec prowadzi go po opuszczonym kamieniołomie i gipsowy pył brudzi mu buty, wzbija się w powietrze i gryzie go w oczy.

– Złap mocno za chwyt. Czujesz jego metaliczny i specyficzny dotyk? Z czasem się do niego przyzwyczaisz. Teraz skup wzrok na muszce i spokojnie wyceluj.

Eduardo nigdy nie przepadał za rewolwerem Astrą, z którego ojciec nauczył go strzelać. Wydawał mu się przedmiotem delikatnym, ale złowrogim i nieludzkim. Czymś, co zabija, zanim zrobi to śmierć. Kiedy słyhać dźwięk wystrzału, jest już po wszystkim i nikt nic na to nie poradzi. Eduardo wyciągnął rękę i wycelował w cień rzucany przez wspomnienie ojca i syna ćwiczących strzelanie w kamieniołomie, w którym każdemu strzałowi odpowiadało echo. W jaki sposób pozbyć się tej mrocznej i natarczywej części, która tkwi w człowieku i prześladowuje go do znudzenia? Broń – czy trzyma ją dziecko, czy dorosły

mężczyzna – pozostaje bronią. „Wszystkiemu winni są bierni” – szepnął, naciskając wyimaginowany spust. Kurek odskoczył w pustkę jego umysłu. Pamiętał każdy krok, każdą sekundę, wszystko, co czuł, strzelając do Teodora Lópeza Egei z rewolweru Astra, który zaczął szukać swojego celu już wiele lat wcześniej, w ręku chłopca szkolonego przez ojca.

To się wydarzyło zimą, twarze przechodniów były blade od mrozu. Eduardo schował się za kontener na śmieci i wyciągnął broń, chwytając ją dwiema rękami. Nie czuł i nie widział nic oprócz tłumu mijających go przechodniów, którzy nie zwracali na niego uwagi. I jednocześnie wyczuwał dotyk rewolweru schowanego pod ubraniem, ciężar płaszcza nasiąkającego deszczem, swój przyspieszony oddech, bicie serca i dudniący w głowie głos: „zrób to, zrób to, zrób to”.

Pośród falującego morza parasolek dostrzegł Teodora Lópeza Egeę. Spod ogromnego czarnego parasola, po którym spływały strugi deszczu, widać było tylko fragment jego twarzy: wyglądał na odprężonego i zadowolonego. Rozmawiał z ożywieniem z chłopcem, którego prowadził za rękę. Chłopiec okryty był od stóp do głów peleryną, z której wystawał jedynie nos. Z drugiej strony Teodor prowadził pod rękę zgrabną kobietę zasłaniającą się granatową parasolką. Wyglądali na szczęśliwych, wszystko szło po ich myśli, byli razem: ojciec, matka i syn. Rodzina w deszczu w zwykły dzień. Niczego się nie spodziewali, niczego zaskakującego. Tym bardziej śmierci. Ten widok, zamiast uspokoić Eduarda i zmusić go do przemyślenia jeszcze raz szaleństwa, które zamierzał popełnić, zdenerwował go do tego stopnia, że poczuł, jakby się dusił. Czy tak właśnie wyglądały wyrzuty sumienia? Czy chociaż czuli się winni?

Dzieliło ich od niego nie więcej niż dwadzieścia pięć metrów. Przykucnął za kontenerem, żeby zebrać siły, ścisnął oburącz rewolwer, policzył do trzech i wziął głęboki oddech. Kiedy się zbliżyli, szybkim ruchem zagroził im drogę.

Teodoro López Egea spojrział z ogromnym zdumieniem na lufę rewolweru i przez chwilę stał z otwartymi ustami, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Potem otrząsnął się, jakby mówiąc do siebie, że coś mu się tylko przywidziało. Po chwili jego opaloną twarz wykrzywił grymas paniki. Mężczyzna – nie zważając, że ośmiesza się przed rodziną – próbował ukryć się za swoją żoną. „Tchórz” – pomyślał Eduardo. Tchórz, który ucieka, pozwalając umrzeć innym, który chowa się za najbliższą sobie osobą, szlochając „proszę, błagam”. Eduardo uciszył go, wkładając mu brutalnie lufę do ust i wybijając przy tym kilka zębów. Nigdy do nikogo nie strzelał, nie wiedział, co się czuje, kiedy po naciśnięciu spustu – w ciągu nieodwracalnej mikrosekundy – słychać, jak kula wbija się w ciało i nie można tego cofnąć. „To tylko sen” – pomyślał. – „Zrób to i zniknie. Zabij go”.

Strzelił z przeświadczeniem, że to nie dzieje się naprawdę. Dźwięk był zbyt miękki, a błysk porównywalny z zapaloną zapalką. Nie poczuł nawet odrzutu rewolweru. Ale kula, która roztrzaskała mężczyźnie głowę, była prawdziwa. Teodoro upadł na bok, jakby ktoś odciął mu niewidzialne sznurki, na których wisiał jak marionetka.

Wtedy Eduardo popatrzył na chłopca, który krzyczał z szeroko otwartymi oczami. „Zamknij się, zamknij się”. Chciał go uciszyć strzałem. Ale ciało jego matki znalazło się między pociskiem a twarzą małego krzykacza. Pocisk trafił ją w plecy i przez chwilę Eduardo sądził, że nie przeszedł na wylot. Upadając, kobieta pociągnęła za sobą chłopca, jakby w ostatnim odruchu chciała odsunąć go od ulicy. Zatoczyła się, potknęła i upadła twarzą na chodnik. Eduardo ujrzał wąską stróżkę krwi wypływającą z rany postrzałowej na jej plecach.

W ciągu kilku sekund było po wszystkim. Parasole wirowały między ciałami, na które obojętnie padał deszcz, szybko rozmywając krew.

Ktoś z siłą uderzył Eduarda w tył głowy.

Wszystko znieruchomiało. Ostatnią rzeczą, którą zobaczył, było ciało mężczyzny. Leżał, patrząc otwartymi oczami w niebo, nieobecny, z wykrzywionymi nienaturalnie rękoma. W prawej dłoni ścisnął poplamione krwią i zamokłe od deszczu banknoty.

W tym przepełnionym przerażeniem momencie, kiedy Eduardo w końcu zrozumiał znaczenie swojego czynu, jego umysł pogrzebał go pod ciężką warstwą milczenia i zobojętnienia.

Rozdział 12

Graciela uważnie przyglądała się stojącemu przed nią człowiekowi. Mimo blizny zniekształcającej jego twarz musiał być kiedyś przystojnym mężczyzną. Jego surowe oblicze wydawało się pozbawione wszelkiej radości, a jednak od głębokiego spojrzenia świdrujących ją oczu bił na nowo odzyskany spokój, jakby nie pozostało mu nic innego, jak ze stoickim spokojem podziwiać niszczycielskie piękno rozszalałych sił natury.

– To ważne, proszę pani. Inaczej nie nachodziłbym pani. Muszę skontaktować się z Eduardem.

– Proszę zostawić swój numer telefonu. Kiedy wróci, przekażę mu, że pan tu był.

Stali w progu. Ibrahim wypełniał swoim ciałem praktycznie całą futrynę, ale Graciela blokowała mu przejście. Gdyby chciał wejść do pokoju, nie mogłaby go powstrzymać, ale prawdę powiedziawszy, Ibrahim sprawiał wrażenie niezwykle uprzejmego, jakby dobrymi manierami chciał równoważyć groźny wygląd.

W głębi korytarza pojawiła się Sara, w piżamie i boso, z brokatowymi gwiazdkami, które sama sobie namalowała na paznokciach stóp. Miała ciężką noc, o czym świadczyły ciemne cienie pod oczami i potargane włosy. W jednej ręce trzymała chińskiego kota szczęścia – prezent od Eduarda – z którym ostatnio się nie rozstawała. Zdziwiła się na widok Ibrahima, ale nie wystraszyła. Wbiła w niego wzrok, jakby chciała go zahipnotyzować.

Ibrahim uśmiechnął się do niej.

– Ładny kot.

– Ładna blizna. Musiało cię bardzo boleć. Zasłużyłeś na nią? – odpowiedziała Sara.

Graciela chciała się wtrącić, ale Ibrahim dyskretnie powstrzymał ją spojrzeniem.

– Szczerze mówiąc, tak. Bardzo bolało i nadal boli. Wiesz, że blizny są jak podziemne rzeki? Jak lawa płynąca pod wulkanami, które nigdy nie wygasają. A czy na nią zasłużyłem? Powiedzmy, że to już nie ma znaczenia. W każdym razie mam ją i muszę z nią żyć. Co mi powiesz o twoim kocie?

Sara zmrużyła oczy, a potem otworzyła je powoli, nie spuszczając z Ibrahima

wzroku. Podobało jej się, że traktuje ją jak dorosłą, chociaż nie całkiem mu ufała.

– Tak naprawdę nie jest chiński, tylko japoński. Wabi się Maneki. To imię do niego pasuje. W zależności od koloru takie koty przynoszą pieniądze, szczęście albo odstraszały choroby. Ten jest wyjątkowy. Kiedy na mnie patrzy, tutaj – dotknęła palcem swojego czoła – uspokoiło się na jakiś czas.

– Przydałby mi się taki.

– Lubisz koty?

Ibrahim skinął głową. W Meco przez pewien czas opiekował się czarnobrazowym kotkiem, którego karmił mlekiem i pozwalał mu spać w swoich ubraniach. Ale kotek urósł i zaczął odczuwać pociąg do wróbli, które Ibrahim karmił okruchami chleba przez zakratowane okno celi. Pewnego dnia był świadkiem, jak kot urywa jednemu z nich głowę. Musiał się go pozbyć, ale wolał nie opowiadać dziewczynce, jak to zrobił.

– Zrobisz krzywdę Eduardowi?

– A powinienem?

– Nie. On też ma bliźnię, ale nie zasłużył sobie na nią. Tak samo jak mama. – Graciela pobladła jak ściana, czego najwyraźniej Sara nie zauważyła. – Wszyscy mają bliźny, ale nie wszyscy na nie zasługują.

Ibrahim ponownie przytaknął.

– To prawda.

Nieruchoma twarz mężczyzny przekonała do niego Sarę, więc uśmiechnęła się do niego wbrew oczekiwaniom. Na tym polegała moc tej dziewczynki: swoimi nastrojami – kapryśnymi, zmiennymi – zarażała otoczenie.

Graciela podeszła do niej i uspokajająco położyła rękę na jej ramieniu, błagając Ibrahima wzrokiem o wyrozumiałość.

– Kiedy Eduardo wróci, przekażę mu, że pan tu był.

Ibrahim podał jej wizytówkę z numerem telefonu.

– Proszę mu powiedzieć, że pan Arthur chciałby z nim porozmawiać w pilnej sprawie.

Następnie wyciągnął rękę do Sary. Dziewczynka spojrzała na dłoń pełną odcisków i zanim ją uścisnęła, zapytała poważnym tonem:

– Zabiłeś dużo kotów?

Mężczyzna machnął ręką, chcąc zbagatelizować jej pytanie, ale w rzeczywistości Sara mile go zaskoczyła. W przyszłości stanie się wspaniałą wojowniczką.

– Tylko te, które zjadały ptaki. Jeśli twój Maneki nie je wróbli, możesz być o niego spokojna.

– Będę go trzymała z dala od twoich wróbli. A ty nie zrobisz blizn Eduardowi.

Ibrahim wybuchł szczerym śmiechem, chociaż twarz dziewczynki pozostała niewzruszona.

– Zgoda – powiedział w końcu, poważniejąc. – Umowa stoi.

Sara mocno uścisnęła jego dłoń. Właśnie przypieczętowali pakt zawarty między poważnymi i dorosłymi osobami.

Arthur Fernández zajmował wspaniały gabinet z widokiem na aleję Recoletos. Eduardo z zachwytem patrzył na cenny księgozbiór w grubej mahoniowej biblioteczce, w którym wyróżniała się kompletna kolekcja francuskich poetów: od Baudelaire’a, Rimbauda i Verlaine’a po Mallarmégo.

Biznesmen powitał Eduarda na stojąco. Ibrahim krążył po pokoju jak udomowiona pantera. Wydawał się całkowicie nieszkodliwy i zachowywał się usłużnie i przyjaźnie. Eduardo mimowolnie poczuł skurcz w żołądku na wspomnienie manta, które ten człowiek spuścił mu bez mrugnięcia okiem.

– Widzę, że siniaki zniknęły – stwierdził Arthur na powitanie.

– Mogło skończyć się gorzej – przyznał Eduardo.

Ibrahim przechylił głowę. Gdyby był psem lub nietoperzem, zastrzygłby uszami. Tymczasem rzucił tylko Eduardowi krótkie spojrzenie i skinął nieznacznie głową.

Arthur poprosił Eduarda, żeby usiadł. Chociaż pomieszczenie było wystarczająco duże, żeby uniknąć kontaktu, Arthur pochylił się do przodu, naruszając przestrzeń swojego rozmówcy i z pewnością chcąc, żeby Eduardo poczuł dyskomfort.

– Stwierdził pan, że chce pan namalować mój portret. Czy nadal jest pan tym zainteresowany, mimo naszego pierwszego *trudnego* spotkania?

– Oczywiście.

Arthur położył łokcie na udach i oparł brodę o swoje wielkie splecione ręce. Przez dłuższą chwilę Eduardo wytrzymał ze stoickim spokojem jego świdrujący wzrok. Jednocześnie czuł, jak słodkawy zapach wody kolońskiej Ibrahima muska mu kark za każdym razem, kiedy Algierczyk przechodził za jego plecami niczym niewidzialna, choć stale obecna zjawą.

– Chyba się pan ze mną zgodzi, jeśli powiem, że to dość dziwna propozycja. Nie zna mnie pan, nic pan o mnie nie wie. A pański sposób przedstawienia się – przez szpiegowanie mnie po mieście – był dość niekonwencjonalny. Dlatego przypuszczam, że ma pan jakiś mocny argument, żeby mnie do tego przekonać.

Eduardo przygotował sobie odpowiedź, ale z jego ust wyszły słowa inne, niż

planował:

– Maluję portrety osób, od których z nieznanymi mi przyczyn bije blask odróżniający je od reszty ludzi. Ich twarze nie są prawdziwe ani fałszywe, białe ani czarne; są jak amalgamat szarości. Pozwolę sobie powiedzieć, że pańska twarz jest jak ze stali. Światło ześlizguje się po niej, nie przesywając jej, nie ogrzewając ani nie rzeźbiąc jej rysów. Jedynie się od niej odbija. Czytałem o panu trochę w prasie. Jest pan człowiekiem bogatym, znanym. Ale spowodowanie śmierci chłopca i dziewczynki w wypadku w styczniu dwa tysiące pierwszego roku musiało pana zmienić. Chciałbym się dowiedzieć, kim się pan stał po trzech długich latach w więzieniu.

Zapadła cisza. Nawet jeśli komentarz Eduarda zabolął Arthura, absolutnie nie dał tego po sobie poznać. Po kilku sekundach wstał i odszedł na bok z Ibrahimem. Rozmawiali szeptem, po francusku. Potem Ibrahim wyszedł z gabinetu. Arthur z powrotem podszedł do fotela, ale nie usiadł. Pogładził niezgrabnie skórzane oparcie, jakby jego palce nie były przyzwyczajone do delikatności.

– Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy mówili sobie po imieniu... Chcesz poznać mnie za pomocą obrazu? Daj spokój, chyba nie mówisz poważnie. Powinieneś wiedzieć lepiej niż inni, że sztuka nie jest prawdą. „Jest jedynie kłamstwem, które pomaga nam zrozumieć Prawdę. Artysta musi znaleźć sposób, by przekonać innych do swoich kłamstw”. Wiesz, kto wypowiedział te straszne słowa? Jeden z twoich kolegów po fachu.

Eduardo wiedział, że był nim Pablo Picasso. W zasadzie się z nim zgadzał, ale prawda, której on szukał, nie była zwykłą metaforą, obrazem. Krytycznie przyjrzał się profilowi Arthura, nieświadomie już szkicując go w umyśle. Starożytni Grecy uznaliby go bez wątpienia za pięknego mężczyznę, ale jednocześnie wydawało się, że ma w sobie jakąś głębię. Coś, czego nieznaną go człowiek nie był w stanie uchwycić. Był w równej mierze intrygujący, co urzekający.

– To sztuka najbardziej może nas zbliżyć do ludzkiej psychiki. Nie da się jej okłamać.

Arthur uśmiechnął się, jakby nie brał zbyt poważnie jego słów.

– Znam te mrzonki. Też kiedyś je miałem. Piękno i Prawda. Zamknięcie ludzkiej duszy w zdumiewającym zdaniu, mistrzowskim pociągnięciu pędzla, magicznej nucie... Przestałem już wierzyć w zbawczą moc sztuki.

– W takim razie po co mnie wezwałeś? – zapytał Eduardo ochryłym głosem.

Arthur przysiadł na oparciu fotela z założonymi rękami i wbił wzrok w Eduarda, jakby patrzył na małe zwierzątko.

– Oczywiście, ja też cię sprawdziłem i wiem o tobie wszystko: że straciłeś

rodzinę, zabiłeś człowieka, który spowodował wypadek, przez trzynaście lat siedziałeś w więzieniu i kilkakrotnie próbowałeś popełnić samobójstwo... Dlatego moje pytania brzmią: Czy artysta może wystąpić w swoim dziele? Czy chcesz namalować mnie, czy może próbujesz stworzyć autoportret? Co nas ze sobą łączy? Strata? Poczucie winy? Wyrzuty sumienia?

Eduardo poczuł się jak idiota.

– Nie wiem, szczerze mówiąc, nie wiem.

Arthur zamyślił się.

– Dowiedziałem się też, że to nie ty wpadłeś na pomysł, by mnie namalować. Pracujesz dla Glorii A. Tagger, matki chłopca, który zginął w wypadku.

Eduardo poczuł gorąco na karku. Chciał coś powiedzieć, ale Arthur go powstrzymał.

– Wiedziałeś, że Mallarmé miał syna, Anatole'a, który zmarł w wieku ośmiu lat? Poeta napisał setki szkiców i notatek do wiersza żałobnego, którego nigdy nie ukończył. Chciał wskrzesić syna poprzez swój geniusz, przywrócić mu życie. I nawet jemu, takiemu wirtuozowi słowa, nigdy się to nie udało. Nigdy nie zdołał się pozbyć wewnętrznej pustki, po stracie zostało mu tylko to: „wiejący wiatr nicości, [...] i uniesie cię fala”. Nie odważył się nawet napisać, że jego syn nie żyje, ponieważ wtedy musiałby przyznać, że to prawda. „Nie powiem ci o tym, dlatego, że wtedy znikniesz, a ja pozostanę sam, płacząc, ty i ja połączeni ze sobą”. Mogę wyobrazić sobie, jak godzinami siedzi przy płomieniu świecy, trzymając w powietrzu pióro. A potem – jego rozpacz każdej nocy, bezużyteczność słów, które nie potrafią uśmierzyć bólu.

Patrzył na Eduarda, jakby dowiedział się już o nim wszystkiego, co chciał, i nie musiał o nic więcej go pytać.

– Nienawiść, którą ta kobieta do mnie czuje, pomaga jej nie zapomnieć o swoim synu.

– A może nasze straty sprawiły, że jesteśmy do siebie podobni – odważył się powiedzieć Eduardo.

Arthur wybuchł raniącym śmiechem.

– Nie wiesz zbyt wiele o Glorii A. Tagger, prawda?

„Odmówi mi” – pomyślał Eduardo ze strachem.

Ale Arthur rozłożył ręce i zapytał:

– Gdzie mam pozować?

To oznaczało, że się zgadza; umysł Eduarda potrzebował kilku sekund, żeby przyswoić ten fakt.

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem – wymamrotał. – U mnie albo

gdziekolwiek indziej. Na początek wystarczą mi szkice, a potem zobaczymy.

– Możemy zacząć nawet jutro, wczesnym rankiem.

– Dobrze – zgodził się wciąż zaskoczony Eduardo.

Arthur wyciągnął do niego rękę i mocno uściskał jego dłoń.

– Możesz namalować mój portret pod jednym warunkiem: będziesz mi mówił o wszystkim, co robi albo mówi Gloria. *Quid pro quo*.

Spotkanie dobiegło końca.

Ibrahim czekał za drzwiami. Ożywienie malujące się na jego twarzy dowodziło jasno, że słyszał większą część ich rozmowy. zaproponował, że odprowadzi Eduarda do wyjścia.

– Znasz suficką poezję i muzykę? Ocierają się o metafizykę, tworzą logarytmy wyjaśniające naturę ludzkiej duszy za pomocą wersów, liczb i miar... Jednak nawet sufickie utwory nie są w stanie oddać tego głosu autentyczności. Dążą co najwyżej do osiągnięcia harmonii, równowagi... To, co sobie założyłeś, jest niemożliwe do przedstawienia na obrazie, przyjacielu. Ty szukasz mapy wnętrza człowieka.

Eduardo popatrzył z mieszanką fascynacji i przerażenia na blizny Araba. „Dwóch ludzi pełnych blizn”, pomyślał. Chociaż powstały w różny sposób: jego okaleczenia były wynikiem kapitulacji, Ibrahima – śladami po walce.

– Nie uważasz, że brzydota jest bardziej wymowna niż piękno? – zapytał Ibrahim, jakby czytał w jego myślach. – Czasami fascynuje nas coś, do czego żyjemy największą odrazą i nienawiścią, i z czasem zaczynamy akceptować rzeczy, które wydawały nam się nie do zniesienia. Ludzie mają skomplikowaną i zmienną naturę. Ale życie nauczyło mnie jednego: uczucia skrywane najgłębiej nigdy nie umierają, czekają tylko na odpowiednią chwilę, żeby wypłynąć na powierzchnię... Uważaj, malarzu, żebyś ostatecznie nie namalował na obrazie własnego piekła. Pomyśl o tym, kiedy puścisz w ruch swój pędzel.

Poklepał go po ramieniu i odszedł z powrotem w kierunku gabinetu.

Eduardo słyszał, jak roześmiał się tak cicho, jakby szeptał coś przez zaciśnięte zęby.

Mimo że się dogadali, przez następne kilka tygodni Eduardo zrobił w swojej pracy niewielkie postępy.

Arthur nie był zwyczajnym modelem. Nigdy nie było wiadomo, czy zjawi się o umówionej godzinie czy wtedy, kiedy mu będzie pasowało. Czasami w ogóle nie

przychodził i nie zadawał sobie trudu, żeby malarza o tym uprzedzić. Eduardo czekał na niego beczynnym z płótnem i pędzlami gotowymi do malowania. Kiedy Arthur w końcu się zjawiał, z trudem potrafił wysiedzieć nieruchomo na miejscu przez dwadzieścia minut. Nienawidził bezruchu; kiedy czuł się obserwowany, nerwowo gestykulował i przyjmował surowy wyraz twarzy. Im dłużej Eduardo z nim pracował, tym częściej się zastanawiał, czy uda mu się osiągnąć to, czego chciała Gloria.

Rozmyślał nad tym podczas lotu do Barcelony. Gloria omawiała tam ostatnie szczegóły założenia fundacji imienia jej syna i mimo obiekcji Eduarda uparła się, żeby obejrzyć pierwsze szkice. Siedział przy oknie pogrążony w myślach, a jego wzrok dryfował w chmurach i czystym niebie. Stewardesa zamieniła stojącą przed nim pustą szklankę do whisky na pełną.

Eduardo wolał wódkę, ale nie mieli jej na pokładzie. Nie można też było palić ani uciec przed dusznym zapachem perfum faceta siedzącego na sąsiednim miejscu. Chciał jak najszybciej wylądować na lotnisku El Prat i porządnie się upić. Po pijanemu był w stanie zaakceptować ogromny absurd swojego życia, który na trzeźwo był nie do zniesienia, niemal go dusił.

– Jest naprawdę ładna. Jest pan zdolny – odezwał się towarzysz podróży, przyglądając się szkicom przedstawiającym Glorię, które Eduardo robił dla zabicia czasu.

W jego wzroku Eduardo zauważył zazdrość. Zazdrość o urojenie, które jest tak doskonałe i niezmiennie, jak stworzy je nasz umysł.

Eduardo zamknął blok rysunkowy, odwracając wzrok do okna dokładnie w chwili, kiedy pilot ogłaszał rozpoczęcie lądowania na barcelońskim lotnisku. W dole widoczne były spienione grzbiety fal, wąski pas plaży i luksusowe osiedla Gavy z identycznymi domami, ogrodami i basenami. Po prawej stronie rozpościerało się miasto uwięzione między morzem a górami. Z lotu ptaka wydawało się miejscem idealnym. Jak wszystko, na co patrzy się z odległości.

Hotel był skromny, ale czysty. Ciasnotę pokoju z podłogą wyłożoną starą wykładziną rekompensował wspaniały widok, jaki rozciągał się z balkonu na Dzielnicę Gotycką i wąskie uliczki dawnej dzielnicy żydowskiej. Ściśle przylegające do siebie tarasy na dachach budynków tworzyły labirynt anten, rozwieszonych prania, ptaszników i kominów szybów wentylacyjnych. Eduardo miał wystarczająco dużo czasu, żeby rozpakować swoją torbę podróżną i wypić buteleczkę wódki z cytryną z minibaru.

Do spotkania z Glorią pozostało dwadzieścia minut. Kiedy pokazał w recepcji adres restauracji, powiedziano mu, że nie jest daleko. Postanowił więc się przejść.

Spacerowanie po ulicach Barcelony stanowiło wspaniałe doświadczenie, pod warunkiem, że człowiek nie czuł pokusy, żeby się w mieście zakochać. Jak każda kochanka, po bliższym poznaniu zaczynała pokazywać swoje wady.

Gloria dostrzegła, że nadchodzi z przeciwnej strony ulicy, i pomachała mu ręką na powitanie. „Ta kobieta za każdym razem wygląda inaczej” – pomyślał Eduardo z podziwem. Może to zaleta Morza Śródziemnego, jasnego blasku porannego światła albo jej nieformalnego ubioru, ale naprawdę wydawała się dziesięć lat młodsza niż ostatnim razem, kiedy widzieli się w jej domu na przedmieściach Madrytu. Skrywała oczy za ogromnymi ciemnymi okularami przeciwsłonecznymi, jak celebrytka, luźno opadające na ramiona włosy co pewien czas, przy mocniejszym podmuchu wiatru wiejącego od przystani, zakrywały jej twarz jak woalka.

Serdecznie się przywitali, Gloria nawet pogłaskała go odruchowo po policzku, zachęcając tym do zażyłości, której nie potrafił się oprzeć. Przeszli drewnianym pomostem, mijając migoczące maszty żaglówek, skrzynie z ekwipunkiem i wiadra z rybami – równie dobrze mogłoby znajdować się w Monako, Cannes czy Casablance – zajęci rozmową jak starzy przyjaciele, którzy zbyt długo odkładali spotkanie. Eduardo wyczuwał w tym wszystkim jakiś fałsz, zbyt dobrze wyreżyserowane przedstawienie. Jednak nie przeszkadzało mu to; pozwalał porwać się ciepłemu śmiechowi Glorii, morskiej atmosferze i własnym fantazjom. Czy brał udział w jakiejś grze? Jakie to miało znaczenie? Musiał tylko poddać się tej kobiecie i uwierzyć we wszystko, w co chciała, żeby uwierzył.

Dotarli do luksusowej restauracji: było w niej zaledwie kilka pustych stolików. Właściciel powitał ich, gratulując sobie w duchu nieoczekiwanego farta. Rozpoznał Glorię i zapewnił, że jest jej namiętnym wielbicielem; zaprowadził ich z przesadną usłużnością do stolika stojącego przy wielkim oknie z widokiem na molo i falochron. Ściany lokalu zdobiły morskie motywy: stare sieci i rybackie narzędzia. Po chwili w tle zabrzmiała cicha muzyka.

Siedzieli naprzeciwko siebie, mała lampka tylko częściowo oświetlała ich twarze, pozostawiając wszystko inne w mroku i tworząc atmosferę smutku. Przez chwilę rozmawiali o błahostkach: podróżach, planach i codziennych zmartwieniach. Eduardo miał wrażenie, że Gloria unika tematu, który był powodem i celem spotkania, opóźniała – może ze strachu – rozmowę o Arthurze. Jemu też się do tego nie spieszyło, chociaż kiedy usiedli, poczuł wielką chęć pokazania jej swoich pierwszych szkiców i koncepcji. Chciał ją zadowolić, zobaczyć w jej oczach błysk podziwu.

Może Olga miała rację, po co temu zaprzeczać. Zakochiwał się w ułudzie.

Zjedli danie główne i dopiero czekając na kawę – żadne z nich nie zamówiło deseru – Gloria po prostu zapytała:

– Mogę go zobaczyć?

Eduardo rzucił jej krótkie spojrzenie, jakby chciał się upewnić, że go zrozumie.

– To tylko szkice wstępne.

Gloria przyjęła to usprawiedliwienie ze źle ukrywaną niecierpliwością. Eduardo odsunął na bok talerze i wyjąwszy z teczki kilka szkiców, rozłożył je na stole jak talię kart. Można było je potraktować jak zapis upływających tygodni, a nawet minut. Na każdym rysunku ważny był zmieniający się nastrój Arthura, godzina, o której był rysowany, i światło – poranne czy wieczorne – które rozjaśniało modela. W niektórych pozach miał na sobie czarną koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, Eduardo nie pominął nawet takich szczegółów, jak marszczenia na luźno związanym węźle krawata, nitki wystające z obluzowanego guzika czy zagniecenia na papierosie, który Arthur trzymał w ręku. Niemal słyszało się spalający się tytoń i dźwięk wydmuchiwania dymu przedostającego się przez niewidzialne włoski w nosie. Jednakże w rysunkach nic nie było banalne ani niepotrzebne. Każdy detal służył wyrażeniu, zaakcentowaniu niuansów ciała modela.

Na jednym ze szkiców Arthur leżał niedbale na kanapie z udawaną beztroską na twarzy, która zniknęła stopniowo w miarę upływu czasu. Wymuszony, sztuczny grymas ustąpił miejsca metafizyce, której poszukiwał w nim Eduardo. Jakby dzięki powtarzającym się sesjom ciało Arthura kapitulowało, stawało się mniej czujne, by ukazać się takim, jakie było naprawdę. Eduardo miał niezaprzeczalny talent do manipulacji, operowania światłocieniem w taki sposób, by – jak na zdjęciu rentgenowskim – odpowiednio wyeksponować twarz, skórę, oczy, rude włosy, rozchylone usta. Niemal słychać było głos Arthura, słowa wypowiedane w chwili, w której został uchwycony ołówkiem. Surowy szept, bijącą od niego nieufność i dyskomfort, kiedy zrozumiał, że Eduardo zamiast go portretować, zawładnął nim i dokonywał na nim wiwisekcji.

– Muszę przyznać, że to zlecenie całkiem mnie pochłonęło – wyszeptał Eduardo, sam nie mogąc oderwać wzroku od rysunków.

Gloria patrzyła na nie, jakby oglądała krajobraz przygnębiającego pustkowia. Chociaż w jej oczach kiełkowała rosnąca ciekawość.

– Jaki on jest z bliska? – zapytała niemal zawstydzona.

Eduardo zastanowił się i mimowolnie zamachał rękami, jakby chcąc przesunąć myśli i je poukładać.

– Przychodzi do mojej pracowni, siadamy, rozmawiamy, milczymy, potem

mi pozuje, chociaż niezbyt długo. Jest niespokojny i męczy go siedzenie w miejscu. Staram się uchwycić jego naturę, ale chyba jest jeszcze na to za wcześnie. Szczerze mówiąc, moim zdaniem istnieją znikome szanse, żeby naprawdę poznać go poprzez obraz.

– O to właśnie mi chodzi i po to cię zatrudniłam.

Eduardo poruszył się na krześle.

– Nie ma w nim nic całkowicie prawdziwego ani fałszywego. Niepokoi mnie jego spojrzenie. Jest jak nóż, który zeskrobuje zbyt grube warstwy skóry, odrywa martwe tkanki. Ciągłe mnie obserwuje. Dopiero kiedy zauważa, że intensywność jego wzroku w końcu mnie miazdzy, udaje, że zainteresowało go coś innego, ale nawet wtedy słyszę jego pracujący pełną parą umysł.

Gloria podniosła kieliszek do ust i napiła się powoli, jakby chciała zyskać na czasie i przywdziać maskę beznamietności i zdystansowania, za którą się zwykle ukrywała. Była wyraźnie spięta, toczyła ze sobą wewnętrzną walkę, z której prawdopodobnie zwycięsko wyjdzie prawdziwa ona.

– Dlaczego tak nagle zrezygnował ze swojej obiecującej kariery? Mógł zostać wielkim poetą.

Poufały ton, jakim zadała to pytanie, zaskoczył Eduarda. Jakby Gloria poczuła sympatię, troskę – jeśli to w ogóle możliwe – do człowieka, którego teoretycznie powinna nienawidzić.

– Doszło do bardzo nieprzyjemnego zdarzenia z jego promotorem na uniwersytecie. Arthur musiał pospiesznie opuścić Francję.

Gloria sprawiała wrażenie, jakby już o tym wiedziała. Eduardo zaczynał podejrzewać, że znała każdy możliwy szczegół z życia Arthura Fernándeza. Odnosił również nieprzyjemne wrażenie, że o nim też wiedziała więcej, niż przyznała podczas ich pierwszego spotkania.

– Opowiedział ci o tym?

Eduardo przytaknął. Marzenia szybko zmieniają się w koszmary. Wystarczy jeden gest, sekunda, pochopnie podjęta decyzja, by odwrócić bieg czyjegoś życia o sto osiemdziesiąt stopni.

W wieku zaledwie dwudziestu lat Arthur stał się jedną z wielkich nadziei Cocharda, swojego opiekuna i mentora. Odgrywali swego rodzaju przedstawienie, w którym Arthur miał rolę łagodnego dzikusa, a wybitny wykładowca – hojnego ojca intelektualnego i mistrza.

Tego piątkowego popołudnia po korytarzach Sorbony kręciło się niewielu studentów, zbliżał się koniec trymestru. Stary Cochard przyjął swojego wybitnego

studenta w mroku gabinetu znajdującego się w zachodnim skrzydle budynku. Na biurku stała ramka ze zdjęciem wykładowcy ściskającego rękę papieża Piusa XI, z dedykacją Ojca Świętego. Na ścianie za biurkiem wisiał gruby krucyfiks w barokowym stylu.

Wykładowca bezceremonialnie wskazał Arthurowi krzesło. Zazwyczaj zachowywał dystans i był wyniosły w stosunku do swoich studentów, ale do tego młodego *pied-noir* czuł wyjątkową sympatię. Arthur był jak nieoszlifowany diament, nad którym postanowił cierpliwie i czule popracować ku najwyższej chwale literatury Republiki Francuskiej. Cochard mówił nieprzerwanie, oblizując językiem szorstkie, spękane i ciepłe wargi, a w jego oddechu czuć było angielski tytoń. Dużo gestykulował, dotykając – jakby niechcący – ramienia Arthura. Chłopak odsuwał się przezornie, ale wykładowca wciąż to robił, udając, że tego nie zauważa, rozbawiony, z życzliwością i po ojcowsku. Po ojcowsku.

– „Biedna moja łódeczko, rozbijana o skały, odarta z żagli i samotna wśród fal! Dokąd płyniesz, taka zbłąkana? Powiedz, gdzie podążasz? Nie ma już mądrych pragnień i szalonych nadziei”. To Lope de Vega. Twój ojciec był z pochodzenia Hiszpanem. Nigdy ci o nim nie wspomniał?

– Mój ojciec był Francuzem, chociaż urodził się w Hiszpanii. Po hiszpańsku umiał tylko napisać swoje imię – odpowiedział Arthur.

Wykładowca spojrzał na niego w dziwny sposób.

– Poeta może być wszystkim, ale nie może sobie pozwolić na tchórzostwo. Powinno go napędzać doświadczenie tego, co nieznane. Tak bardzo podziwiasz Rimbauda, ale powiedz mi, co by się z nim stało, gdyby nie protekcje Verlaine’a? Sądzisz, że tak trudno było mu się oprzeć swojemu czcigodnemu mentorowi?

Cochard bez uprzedzenia złapał swoimi powykrzywianymi artretyzmem palcami twarz studenta, zbliżył usta do jego kościstego policzka i pocałował z piekącą wilgocią.

– Niech pan tego nie robi, profesorze. Niech pan przestanie.

– Nie lubisz, jak mężczyźni okazują sobie uczucia? – zapytał go wykładowca z ironicznym uśmieszkiem.

Oczy Arthura zaszły mgłą. Myślami wrócił do Algieru, do szarości świtu powoli odsłaniającego jego pokój. Wpatrywał się w chropowaty tynk na ścianie. Docierał do niego głos kuzyna Fabiena, który przyjechał z Europy, żeby zająć się repatriacją rodziny. Kuzyn mówił, że jest bogaty, i wszyscy mu uwierzyli. Cholerny oszust i pedofil, któremu zachciało się tyłka Arthura, kiedy tylko go zobaczył; bladego, nieowłosionego tyłka dziecka, którego matka udawała, że nie słyszy, jak krzyczy, ponieważ kuzyn Fabien był jej nadzieją na powrót do Francji po śmierci męża.

Arthur z krwawiącym odbytem znów słyszał sapanie starego wieprza zapinającego pasek, skrzypienie sprężyn łóżka, pusty jęk otwieranych drzwi i jego chrząknięcie. Zawsze marzył, żeby odgryźć mu penisa, rozłupać głowę, aż mózg rozbryzgnie się po pokoju i będzie spływał po ścianach. Paraliżował go strach. Tak samo jak wzrok matki i dokumenty z pieczętką nowej Republiki w portfelu gwałciciela.

Cochard zbliżył usta do ust Arthura i znów próbował go pocałować z mieszaniną lubieżności i wesołości na twarzy. Arthur zareagował gwałtownie: odepchnął wykładowcę, a ten zachwiał się i opadł na fotel.

– Nie waż się mnie dotykać! – krzyknął wściekle Arthur, grożąc mu zaciśniętą pięścią.

Na twarzy starego mężczyzny pojawiło się zaskoczenie i oburzenie. Może udawał, a może dotarło do niego, że popełnił ogromny błąd, i myślał o druzgoczącym wpływie tego nieobyczajnego czynu na swoją reputację w światku uniwersyteckim. Musiał zareagować szybko, zanim nieprzytomny z wściekłości chłopak opuści jego gabinet i wszystkim rozpowie o tym, co się stało.

– W tym kraju już nigdy nie opublikujesz żadnego ze swoich śmiesznych wierszyków. Jeśli powiesz komukolwiek o tym, co się tutaj wydarzyło, osobiście dopilnuję, żeby odesłano cię do tego afrykańskiego chlewu, z którego nigdy nie powinieneś był wyjechać. Pieprzone algierskie małpy z hiszpańską krwią.

Arthur, który długimi krokami zmierzał w stronę wyjścia, zatrzymał się. Zaciśnął pięści i odwrócił się na pięcie. Przed nim wisiło wielkie lustro w pozłacanej rzeźbionej ramie, w którym odbijał się krucyfiks, szafki, biurko i sam Cochard. Wyglądał śmiesznie: na wpółleżący niezgrabnie w fotelu, z potarganymi siwymi włosami, które opadały mu na twarz, i oczkami pełnymi nienawiści i strachu. Arthur jednak nie widział tego, tylko obrazy ze swojego dzieciństwa: kroki Fabiena, kroki zakonnicy, ból przeszywający mu plecy, kiedy ten wieprz go penetrował, najpierw palcami, a potem swoim brudnym członkiem. Bezsilny i upokorzony musiał – niezauważony przez nikogo – dotrzeć do latryny na podwórzu, żeby zdjąć poplamioną bieliznę i posmarować rany jodyną. Gardził samym sobą za to, że przez te wszystkie noce nie odważył się zabić swojego gwałciciela i poddawał się przerażeniu. „Hołota – pomyślał. – Motłoch, który uzurpuje sobie prawo do zabierania innym wszystkiego, na co ma ochotę, nie pytając o zdanie. Hołota kupcząca ludzkimi nadziejami. Dranie pozbawieni skrupułów i duszy”.

Mógł wtedy odejść, puścić w niepamięć ten incydent, wypluć ślinę, którą starzec zostawił na jego ustach, ale nie zrobił tego. Pocałunek Cocharda zgwałcił

jego usta, palił go jak zniewaga, tak samo jak jego przepełnione urazą i strachem spojrzenie, tak samo jak harde groźby. Bez zastanowienia wziął z półki pierwszą lepszą książkę – *Sezon w piekle* Rimbauda – i uderzył nią mocno w twarz Cocharda. Bił go, dopóki kartki książki się nie rozpadły, a okładka pokryła się plamami krwi.

Jego kariera jako poety skończyła się na zawsze.

– Złamał mu obie kości policzkowe, wybił kilka zębów i oko. Nikt nie uwierzyłby w wersję nędznego studenta wobec argumentów rannego profesora. Władze uniwersytetu nie dopuściłyby, żeby taki skandal wyszedł na jaw. Arthur musiał odejść, i to nie tylko z uniwersytetu. Gdyby policja złapała go we Francji, ława przysięgłych uznałaby go za winnego i skazano by go na najcięższą karę, bez litości ani uwzględniania okoliczności łagodzących.

Gloria poczuła lekkie rozczarowanie. Odległy głos i puste spojrzenie Eduarda sprawiały jej ból, tym większy, od kiedy rozumiała, że w ten sposób bronił się przed popadaniem w sentymentalizm.

– Chyba jest ci go żal.

Eduardo spojrział, zaskoczony lekkością jej komentarza.

– Czasem jakaś historia budzi wiele potworów.

– Ile historii zmieniło Arthura Fernándeza w człowieka, którym jest?

Eduardo odwrócił wzrok, zmieszany.

– Nie rozumiem, co masz na myśli. Nie mogę go nienawidzić, Glorio. Nic mi nie zrobił.

Nie odpowiedziała. Przynajmniej nie słowami. Szyby w oknach zabrzęczały od podmuchu wiatru. Odchyliła do tyłu głowę i pogłaskała się po karku, jakby jej myśli przerwał pocałunek w szyję, złożony przez jakiegoś ducha. Powoli obróciła dłonie Eduarda. Podciągnęła mankiety koszuli i spojrzała na blizny na nadgarstkach. Z pewnością widziała je dziesiątki razy, ale sprawiała wrażenie, jakby po raz pierwszy naprawdę się im przyglądała, jakby wcześniej umknęły jej uwadze. Na jej nieruchomej twarzy nie widać było nawet krzty dezaprobaty czy zrozumienia. Nie obchodziło jej to, że Eduardo stracił złudzenia, dla niej ważne było tylko jego zaangażowanie.

– Byłeś ofiarą, byłeś katem, a teraz jesteś widzem. Naprawdę w to wierzysz?

To się nazywa wyparcie, pomyślał Eduardo. Martina co miesiąc wypisywała mu na to receptę.

Gloria wzruszyła ramionami ze znużeniem, a wręcz – z lekkim znudzeniem. Zaniepokoiło to Eduarda.

– To nie jest człowiek, który zabił mojego syna. Ta twarz jest martwa. Oboje

o tym wiemy – powiedziała.

Eduardo podniósł do ust szklanę z wódką i tonikiem. Nim się napił, wbił wzrok w musujące bąbelki. Na powierzchni drinka pływał owad. O tej porze roku nie było latających mrówek, pomyślał, jakby ignorując jej słowa, i wyciągnął stworzenie palcami. Czasami umysł znajdował dziwne sposoby ucieczki.

– Może powinnaś poszukać kogoś innego. Powiem Oldze, żeby zwróciła ci zaliczkę. Nie mam pewności, czy jestem w stanie podołać temu zadaniu. Prawdę mówiąc, w tej chwili nie jestem niczego pewien.

Gloria zmarszczyła brwi. Przesunęła rękę po stoliku i pogłaskała wybrzuszenia żył na grzbiecie dłoni Eduarda. Poczul prąd, który – ku jego zaskoczeniu – go rozczulił.

– Wiem, że w tym człowieku kryje się potwór. Wiem o tym i chcę zobaczyć, jak z niego wychodzi. Tylko ty możesz to sprawić.

Eduardo pokręcił głową, chcąc raczej wyrazić swój sceptycyzm niż odmowę. Każdy przecież kryje w sobie potwora, prawda? Ten potwór tylko czeka na odpowiednią chwilę, żeby pozbyć się fałszywej skóry, w której się schował. Arthur. Gloria. On sam.

– Powinnaś posłuchać rady, którą Arthur dał ci w liście z więzienia: wymaż go ze swojego życia, zapomnij o nim. Inaczej pozbawi cię w końcu jedynej rzeczy, która pozostała ci po synu: bólu po jego stracie. Wtedy już ci nic nie zostanie. Absolutnie nic.

Gloria odłożyła na stolik serwetkę. Ujęła jeden ze szkiców i długo wpatrywała się w twarz Arthura. Potem powoli przedarła karton na pół.

– Na co nam ból, skoro nie możemy go dzielić z tym, kto ci go zadaje? Nie potrafię wybaczyć, Eduardo. Potrzebuję zrozumieć i nienawidzić.

Ruszyli ulicą w milczeniu i nie patrząc na siebie. Oboje mieli własne powody, żeby iść przez życie, ignorując resztę świata.

Gloria nie mogła nikomu ufać. Była sama i czasami samotność ciążyła jej jak ołowiana kula wciągająca ją w głąb ciemnej studni, w której nie było światła ani tlenu. Glorii pozostawały tylko myśli, niepohamowana i nieskanalizowana wściekłość oraz absurdalne pragnienie, żeby poznać mordercę swojego syna. Poznać go, a potem patrzeć, jak powoli umiera na jej oczach, obserwować jego agonię, każdy ślad cierpienia na jego twarzy. Dopóki będzie podsycala to pragnienie, jej syn wciąż będzie żył, z nim i poprzez niego powiązany. By osiągnąć swój cel, mogła liczyć jedynie na pomoc tego niepewnego i złamanego człowieka.

Eduardo szedł obok, myśląc o niej z rozczarowaniem, które było w stanie rozbić na tysiąc kawałków podziw, którym ją otaczał, i urok, którym emanowała, żeby przyciągnąć go do siebie.

– Odprowadzisz mnie do hotelu? Dzisiaj nie mam ochoty być sama.

Eduardo wstydlawie odwrócił wzrok, kiedy się rozebrała i podeszła do łóżka, w milczeniu zapraszając go, żeby poszedł za nią.

Kochali się. Właściwie to stwierdzenie było eufemizmem. Nagie ciało Glorii rozciągnięte na prześcieradle wyglądało jak blade pociągnięcie pędzlem, rozmyta akwarela w błękitnym odcieniu. Eduardo przyglądał się jej krągłościom, bardziej z potrzeby niż z pożądania. Jej dużym, lekko obwisłym piersiom, matowej skórze, włosom łonowym. Gloria wyciągnęła do niego rękę; nie potrzebowała go dotykać, wystarczyły tylko niewidzialne sznurki jej palców, żeby go do siebie przyciągnąć. Wszystko wypisane jest na skórze, wszystko.

Seks był milczący, chwilami przygnębiający – kiedy Eduardo próbował w nią wejść, ale nie był w stanie osiągnąć erekcji. Przeklął risperdal, zrzucił winę na zbyt dużą ilość alkoholu, chociaż w rzeczywistości problem polegał na tym, że widział twarz Eleny patrzącej na niego z fotela, na którym piętrzyły się ubrania.

Gloria nie myślała o niczym. Szukając sensu w tym wywołującym w niej mdłości ćwiczeniu, które polegało na rytmicznych ruchach w przód i w tył, nie wiedziała nawet, że mogłaby cokolwiek odnaleźć w ciele Eduarda i w jego wiotkim członku. Musiała zebrać się w sobie, popatrzeć na nich z boku, z innej perspektywy, żeby zrozumieć, dlaczego poddawała się temu okrucieństwu. Eduardo nie interesował jej jako mężczyzna. Ian był jedynym mężczyzną, który pociągał ją seksualnie, i odkąd się rozwiedli, nie czuła potrzeby ani konieczności na nowo się z kimś związać. Prawdopodobnie Eduardo – chociaż się w niej zakochał – nigdy nie poprosiłby jej o takie poświęcenie. Zgodziłby się na każdy jej warunek. Takie miałkie dywagacje w niczym jednak nie pomagały. Musiała pokonać odrazę, jaką wywoływało w niej to swego rodzaju prostytuowanie się, jeśli chciała zatrzymać Eduarda przy sobie. Człowieka można lepiej poznać, uprawiając z nim seks, niż żyjąc z nim na co dzień. Kiedy zostają uwolnione zmysły i pragnienia, człowiek staje się mniej ostrożny i popełnia błędy. Staje się plastyczny. Prawda stara jak ludzkość.

Niecałą godzinę później Eduardo siedział na rozestłanym łóżku i patrzył na wiszący na ścianie obraz Hoppera, nie myśląc o niczym konkretnym. Był

zmęczony, nie fizycznie, ale czuł się starty jak osełka do ostrzenia noży, bezużyteczny przedmiot bez konkretnej wartości. Był jak żaglówka z żaglem porwanym w czasie burzy, rzucona na pastwę prądów morskich i wiatrów, które mogły nim ciskać, zmieniać kurs albo go utopić – według własnego widzimisię. Powąchał ręce, pachniały nią, jej pochwą. To, co się wydarzyło, i sposób, w jaki się odbyło, wydało mu się żalosne. Słyszał Glorię teraz w łazience – pewnie mydłem i dużą ilością żelu do kąpeli zmywała z siebie jego zapach. Na tę myśl – przekonany, że się nie myli – poczuł ukłucie bólu. Wiedział, że ta kobieta – nawet jej najmniejsza częśćka – nigdy nie będzie do niego należała.

Otworzył barek i wyszedł na balkon z ostatnią buteleczką alkoholu.

Po chwili poczuł za plecami obecność Glorii. Odwrócił się i popatrzył smutnym wzrokiem na jej mokre ciało owinięte ręcznikiem kąpielowym. Przypomniała mu się Graciela i jej amputowana pierś.

– W restauracji nie powiedziałem ci jeszcze czegoś o Arthurze: wie, że to ty zleciłaś namalowanie portretu. Zgodził się mi pozować tylko pod warunkiem, że opowiem mu wszystko, co o tobie wiem. Właściwie niewiele mogę mu powiedzieć, bo cię nie znam.

Twarz Glorii stwardniała jak gładki, nieprzenikniony kamień.

– Biedny Eduardo, taki ślepy, taki zagubiony... Co ty tak naprawdę wiesz o człowieku, którego zaczynasz podziwiać?

Rozdział 13

Z powrotem w Madrycie.

Eduardo powoli otworzył oczy. Wolalby się nie obudzić, leżeć w łóżku i obserwować cienie, które w miarę jak mijał dzień, przesuwały się po ścianach jego mieszkania. Tymczasem od dziesięciu minut ktoś pukał do drzwi i najwyraźniej nie zamierzał zostawić go w spokoju. Wygramolił się z łóżka, miał mulisty posmak w ustach i zeszywniałe mięśnie. Śmierdział i przez chwilę, wstając i czując zawroty głowy, przeklął łatwość, z jaką potrafił odnaleźć kryjówkę w butelce wódki. Na adapterze trzaskała płyta, której zapomniał zdjąć. *Kind of Blue* Milesa Davisa. Zerknął przez wizjer i zobaczył tylko niebieską koszulę z rozpiętymi guzikami.

– Otwieraj. Wiem, że jesteś za drzwiami. – Rozległ się władczy i wszechobecny głos Ibrahima.

Eduardo potarł skronie; głowa pękała mu z bólu. Nie wiedział nawet, która jest godzina ani jaki dzień tygodnia. Po burczeniu w brzuchu i ogólnym osłabieniu zdał sobie sprawę, że nie pamięta, kiedy jadł cokolwiek po raz ostatni. Nie zdejmując łańcucha, uchylił drzwi na tyle, żeby przez powstałą szparę zobaczyć zniekształconą twarz Araba.

– Czego chcesz? Źle się czuję.

Algierczyk zmarszczył nos.

– Nie dziwi mnie to, sądząc po zapachu. Śmierdzisz, jakbyś się rozkładał. Otwórz drzwi albo wyważę je kopniakiem. Musimy porozmawiać.

Eduardo niechętnie otworzył drzwi i wpuścił Ibrahima. Ten spojrzał na niego surowo, a potem z obrzydzeniem rozejrzał się po zabałaganionym i brudnym mieszkaniu.

– Tu jest więcej metanu niż w elektrowni jądrowej. Jeśli nie otworzymy okna, w każdej chwili może dojść do wybuchu.

Odsłonił zasłony i przekręcił klamkę w oknie. Musiało być już późno: z parku dochodziły głosy dzieci, które wyszły ze szkoły, a światło wpadające do mieszkania miało czerwonawy odcień. Ibrahim podniósł ze stołu otwartą fiolkę z pastylkami i przeczytał etykietę, potem zajrzał do niemal ziejącej pustkami lodówki.

– Po co przyszedłeś? – zapytał Eduardo. Z trudem wymawiał słowa, jakby spuchł mu język po użądleniu osy.

Arab odruchowo przeczesał włosy. Zanim odpowiedział, stanął przy oknie i wyjrzał na ulicę.

– Ani Arthur, ani ja od tygodnia nie wiemy, co się z tobą dzieje – powiedział, kiedy widok za oknem go uspokoił.

To znaczy, że od powrotu z Barcelony upłynęło siedem dni, pomyślał i poczuł odzywające wyrzuty sumienia. Podszedł do zlewu i wypił szklankę wody o posmaku chloru, po czym splunął do zlewu. Rozejrzał się za papierosami, ale nie znalazł ich, więc włożył do ust pognieciony niedopałek i zapalił go, mrużąc oczy. Po kilku dniach pijaństwa miał inne spojrzenie, nienaturalne, jakby należało do kogoś innego.

– Pytałem o ciebie w biurze Olgi, powiedziała mi, że nie widziała cię od kilku dni i że nie odbierasz telefonu, więc przyszedłem tutaj. Graciela martwi się o ciebie, a Sara przez dwie noce czuwała pod twoimi drzwiami jak pies. Nie dało się jej przekonać, że nie zasługujesz na taką wierność. Powinieneś zadbać o tę dziewczynkę. Prawdopodobnie jest jedyną osobą, która cię ceni.

A zatem teraz ten obcy człowiek mówił po imieniu do jego znajomych i próbował się z nimi przyjaźnić, pomyślał Eduardo. Takie wtargnięcie w jego prywatność rozżłościło go. Poczul rodzaj nieokreślonej, dziecinnej i chorobliwej zazdrości.

– Dziękuję za radę. Wezmę ją sobie do serca, biorąc pod uwagę, że ty mi ją dajesz. Na pewno twoje życie towarzyskie jest bardzo bujne – stwierdził z przekąsem.

– Ubieraj się i wychodzimy. Musisz się przewietrzyć, a mnie też przyda się spacer. Ktoś będzie musiał odkazić ten pokój.

Eduardo spełnił polecenie. Nie miał ochoty na kłótnie, a tonem głosu Ibrahim jasno dawał do zrozumienia, że nie popuści.

Wyszli na ulicę i dotarli do placu, na którym miało siedzibę Muzeum Narodowe Centrum Sztuki Królowej Zofii. Ponieważ pogoda była ładna, rolkarze i uliczni aktorzy ze swoimi zapchlonymi psami i niezdarnymi akrobacjami opanowali główne schody prowadzące do muzeum. Ogródki w pobliskich barach szybko zapełniały się turystami. Niebo widoczne za dworcem kolejowym Atocha mieniło się intensywnymi kolorami. Eduardo czuł się jak dziwaczna bańka unosząca się w życiu, które płynęło wokół niego.

Ibrahim kilkoma długimi i zdecydowanymi krokami przemierzył plac i opadł swoim masywnym ciałem na krzesło przy stoliku, który właśnie się zwolnił. Czatuująca na niego sfera Japończyków odsunęła się z przestraczem. Arab zamówił espresso, Eduardo – podwójną wódkę bez lodu. Kelner chciał odejść po przyjęciu

zamówienia, kiedy Ibrahim go zatrzymał:

– Lepiej przynieś kanapkę i zapomnij o wódce. – Kelner pytająco spojrział na Eduarda, a ten z rezygnacją skinął głową. Ibrahim nie pytał, nie sugerował. Należało po prostu podporządkować się jego poleceniom.

– Dlaczego tak mi się przyglądasz? Żal ci mnie? – Eduarda denerwował sposób, w jaki Ibrahim na niego patrzył. Nie byli przyjaciółmi, nie miał prawa się nad nim użalać.

– Lubię cię – odrzekł krótko Ibrahim, rozrywając zniszczonymi zębami torebkę cukru, żeby wsypać go do filizanki, kiedy kelner przyniósł im zamówienie.

Powiedział to mimochodem, bez namysłu, jakby nie znaczyło zbyt wiele. Zabił ludzi, do których czuł większą sympatię. Mieszając głośno łyżeczką w filizance, obserwował plac.

– Zamordowaliśmy kogoś? Jesteś spięty jak tygrys, który szykuje się do skoku – warknął zirytowany Eduardo.

Kanapka z wędliną nadal leżała nietknięta na talerzu. Za każdym razem, kiedy na nią patrzył, zbierało mu się na mdłości.

Ibrahim rzucił mu ukradkowe spojrzenie i po raz pierwszy uśmiechnął się, pokazując zniszczone zęby.

– Nie sądzisz, że to głupie pytanie?

Miał rację.

Eduardo wbił w niego wzrok. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z posepności jego spojrzenia. Pustki, o której mówił... On też ją znał, doświadczył jej, osiadła w jego wnętrzu. Z jego spojrzenia nie biła litość, życzliwość czy nawet cień obłudnej braterskości. Potwierdzało ono tylko znaną im obu rzeczywistość: czasami ludzie się zdradzają i należy zaakceptować, że zdrada leży w ludzkiej naturze. Nic jednak nie boli bardziej niż podłość tych, którym ufamy bezwarunkowo.

– Zabiłeś wielu ludzi?

Ibrahim słuchał go oczami, zaciśniętymi ustami i mocno splecionymi na stole rękami.

– Co to za pytanie?

– Zastanawiałem się tylko, czy czujesz wyrzuty sumienia.

Ibrahim odwrócił wzrok i wyszeptał coś po arabsku. Przypomniał sobie słowa pewnego imama, które jako nastolatek usłyszał, stojąc nad ciemnym i głębokim dołem z ciałem jego ojca zawiniętym w całun. Do tej pory pamiętał gwałtowność i nienawiść fatwy, którą ten świątobliwy człowiek wypowiadał przeciwko Francuzom i ich potomkom, podczas gdy pozostali mężczyźni przytakiwali

mu i szeptali wersety o miłosierdziu i litości ze spuszczoneymi głowami i ukrytą pod ubraniem bronią. Nie byli mordercami, ale patriotami, byli świętymi ludźmi, powtarzał im imam, plując ogniem piekielnej śliny, która dosięgała jeszcze zdrowej twarzy Ibrahima. „Zabijanie nie zmienia nas w morderców” – powtarzał mu duchowny, powstrzymując drżenie wściekłości. „Nie za Algierię, nie za FLN, ale za Boga”. Przypominając sobie te słowa, Ibrahim popatrzył na swoje ręce, już stare. Krew ludzi, których zabił, pokrywała je jak tatuaż, zmieszana z jego własną krwią w niewidzialnym strumieniu, który na zawsze łączył go z jego ofiarami. Jedna śmierć nie różni się niczym od innej, po zapadnięciu nocy wszystkie ciężą tak samo.

– Znam morderców, którzy nigdy nikogo nie tknęli. Żyją wśród nas, mają dzieci, rodzeństwo i rodziców, są z pozoru łagodni, dobrzy, chodzą do pracy, wypełniają skrupulatnie swoje obowiązki, cieszą się szacunkiem i w wielu przypadkach – miłością, a nawet – podziwem. Ale ja potrafię rozpoznać szakala, który czai się w ich spojrzeniach. Wystarczy sprzyjająca okoliczność, czas i miejsce, żeby uwolnili żądze.

– Ja jestem mordercą – powiedział zachrypłym głosem Eduardo.

Ibrahim spojrział na niego ze współczuciem. Biedny pies liżący swoje żałosne rany.

– Ty, przyjacielu, jesteś tylko grabarzem. Zabicie człowieka nie zmienia cię w mordercę.

Zaledwie kilka tygodni wcześniej, w gabinecie Martiny Eduardo użył tego samego argumentu na swoją obronę. Teraz jednak nie był go do końca pewien.

Bezwiednie przesunął talerz z ledwie nadgryzioną kanapką na bok i wbił wzrok w okruchy chleba porozrzucane po stole.

– Co powiesz o Arthurze? Znasz go lepiej ode mnie, jesteś jego przyjacielem. Czy twoim zdaniem on jest mordercą?

Ibrahim zignorował ironię w jego głosie. Była drapnięciem, którego nawet nie poczuł. Jednak musiał przyznać, że siedzący przed nim facet w niemodnej koszuli miał swojego rodzaju godność, której jemu brakowało. Wstał i położył na stoliku dwadzieścia euro.

– Sam go o to zapytaj, przecież musisz namalować jego portret. Wykonaj swoje zadanie, a potem wracaj do swojej nory liżać stare rany. Może uda ci się je wyleczyć.

Eduardo popatrzył na Araba z uwagą. Coś mu w nim nie pasowało, ale nie mógł pojąć co.

– Dziwi mnie, że ktoś taki jak ty jest lojalny w stosunku do człowieka takiego

jak Arthur.

Ibrahim wbił w niego wzrok zabójcy.

– Jestem lojalny tylko wobec siebie.

– Ale go chronisz.

Algierczyk wybuchł niepokojącym chichotem.

– Jesteś bardzo ślepy jak na artystę, przyjacielu. Co chcesz wiedzieć? Pozory mylą, są oszustwem dla prostaków... A teraz uciekaj do swojej dziury, myszko.

Eduardo patrzył, jak Algierczyk się oddala, idąc przez plac, aż w końcu jego koszula i spodnie z tergalu zniknęły w tłumie.

– Podarować ci zakłęcie, przystojniaku? – Do Eduarda podeszła Cyganka ubrana na czarno. W ręku trzymała gałązkę rozmarynu i uśmiechała się sztucznymi zębami.

Były we trzy i podzieliły się stolikami – nacierały na nie jak szwadron w bojowym szyku. Eduardo nie próbował być uprzejmy, obecność Cygank wywoływała w nim niepokój. Wstał niechętnie.

– Mnie nie ochroni żadne zakłęcie – mruknął, odpychając gwałtownie kobietę ze swojej drogi.

– Bo rzucę na ciebie urok, niewdzięczniku! Będiesz nieszczęśliwy przez całe życie, przysięgam na moich zmarłych!

Eduardo nie mógł powstrzymać śmiechu, na dźwięk którego przechodnie odwracali się w jego stronę i patrzyli jak na szaleńca.

Arthur czekał na niego w kawiarni mieszczącej się na początku ulicy Fuencarral. Eduardo przeszedł przez Gran Vía i zobaczył dwie prostytutki, które paląc przy automacie do robienia zdjęć, czekały na klientów. Jedna z nich puściła mu oko, a wtedy sztuczne rzęsy zamknęły się i otworzyły jak smutna kurtyna. Eduardo przyspieszył kroku. Nawet zwykłe przejście dla pieszych może stanowić niewidzialną granicę; człowiek przez nie przechodzi i myśli, że jest bezpieczny w innym, bardziej znośnym świecie.

Dostrzegł Arthura siedzącego z kimś przy stoliku w kącie kawiarni. Eduardo rozpoznał dziennikarza z czasopisma „Allegro”, którego spotkał kilka tygodni wcześniej w garderobie Glorii. Dlaczego rozmawiał z Arthurem? Eduardo miał złe przeczucia.

Arthur słuchał Guzmána skupiony i pogrążony w milczeniu. Wbił wzrok w ścianę, jakby – sądząc po tym, jak nieświadomie napinał mięśnie twarzy – za kotarami ujrzał coś strasznego, czego nie mógł zobaczyć nikt poza nim.

– Jesteś tego absolutnie pewien?

– Całkowicie. To był on, ten malarz. Był z nią w Barcelonie, zjedli kolację w restauracji. Wszedłem tam po ich wyjściu. Na stoliku leżał przedarty na pół rysunek... Domyślasz się chyba, co przedstawiał, kiedy połączyłem obie połówki? To był twój portret. Potem weszli do pokoju Glorii. Nie wiem, co robili przez półtorej godziny, ale mogę się domyślić – stwierdził z mieszaniną ciekawości i obrzydzenia, jakby był świadkiem czegoś nienaturalnego, co nie powinno się wydarzyć. Było oczywiste, że nawet ktoś taki jak Guzmán uważał, że Eduardo nie zasługiwał na uwagę takiej kobiety jak Gloria.

Arthur przecesał palcami włosy i oparł czoło na ręce, próbując zrozumieć ten nieoczekiwany obrót spraw. Eduardo i Gloria? To nie miało żadnego sensu. Nagle spojrzał nieufnie na Guzmána.

– Po co pojechałeś do Barcelony?

Guzmán z tajemniczym uśmiechem pogładził szorstką skórę na swojej ręce. Wyjął kopertę i położył na stoliku.

– Co to jest?

– Z tego co wiem, zimą dziewięćdziesiątego roku wysłałeś Arohę do zamkniętego ośrodka w Genewie. Prawda?

Arthur skinął głową.

– To dokumentacja medyczna syna Glorii A. Tagger. Dziwnym zbiegiem okoliczności chłopak też tam przebywał. Jest więc niemal pewne, że się znali. – Guzmán uważnie obserwował twarz Arthura. – Wiedziałaś o tym?

Arthur szybko przeczytał dokumenty – zaledwie jedną kartkę, ale to mu wystarczyło. Poblądł, a kiedy uniósł wzrok, Guzmán patrzył na niego kpiąco, paląc papierosa i wydmuchując kłęбки dymu w górę. Arthur przypomniał sobie ostrzeżenie Diany: „Guzmán nie jest drzwiami, które można zamknąć, kiedy się je raz otworzy”. Nie był już w stanie powstrzymać machiny, którą sam puścił w ruch, zrozumiał to, widząc w ciemnych oczkach najemnika błysk drapieżcy.

– Nie miałem o tym pojęcia. To musi być zwykły przypadek.

Guzmán wstał i poprawił na sobie marynarkę. Spojrzał w stronę wejścia i uśmiechnął się na widok Eduarda.

– Powiedzmy, że w całej tej historii zaginięcia twojej córki coś mi nie pasuje. Zbuntowana nastolatka, która często ucieka z domu; skrzypaczka, której życie jest jak powieść; ty przypadkiem potracasz jej syna; sklep z antykami, rekin finansowy... Cóż, może istnieją zbiegi okoliczności, ale chyba się ze mną zgodzisz, że kiedy jest ich tak dużo, stają się regułą. Jedne drzwi prowadzą do następnych. Moja praca polega na przejściu przez nie wszystkie.

Eduardo i Guzmán minęli się przy wejściu. Dziennikarz na powitanie

zasalutował malarzowi jak żołnierz.

Na widok Eduarda Arthur zerwał się z kanapy, wziął kurtkę i spojrzał na malarza mętnym wzrokiem, jakby był naćpany.

– Muszę się przejść, bo zaraz się tutaj uduszę. Chodźmy.

– Znam tego człowieka – powiedział Eduardo, kiedy wyszli na ulicę.

Arthur patrzył na niebo, jakby się zastanawiał nad ogromną odległością, jaka dzieliła je od ziemi.

– Niektórych ludzi lepiej nie znać – powiedział krótko.

Arthur szedł pospiesznie w kierunku dzielnicy Malasaña, Eduardo z trudem dotrzymywał mu kroku.

– Gdzie byłeś przez te kilka dni? Myślałem, że mamy razem malować portret.

Eduardo czuł ostry ból w chorym kolanie. Nie mógł iść tak szybko jak Arthur, poza tym domyślał się, że stało się coś poważnego. Oparł się o ścianę budynku i pomasaował nogę.

– Rezygnuję, Arthurze. Prawdę mówiąc, od początku nie podobał mi się ten pomysł.

Arthur zatrzymał się i spojrzał na niego ponuro. To było idealne określenie: kiedy coś go dręczyło, jego spojrzenie stawało się ponure. W ten sposób zaznaczał niewidzialną linię, której nie należało przekraczać.

– Pani Tagger już nie potrzebuje twoich usług?

Czyli o to chodziło. Wiedział.

– Jest twoją kochanką. Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

Eduardo się zawahał. Zaczął rozglądać się po ulicy jak osaczone zwierzę (Ibrahim nazwał go myszą i miał rację).

– Nie jestem jej kochankiem, tylko narzędziem.

W jednej z bocznych uliczek wychodzących na ulicę Espiritu Santo jakiś żebrak wyzywał drugiego, krakał na niego jak kruk i nerwowo nim potrzasał. Bili się o zgniły owoc, który znaleźli w koszu na śmieci. Im głośniej się sprzecali, tym stawali się bardziej agresywni.

Arthur nie spuszczał z nich wzroku.

– Biedna Gloria, zdruzgotana matka... Z pewnością nie było jej trudno uwieść takiego kretyna jak ty. Mogę się założyć, że się w niej zakochałeś. Wszyscy mężczyźni zakochują się w Glorii A. Tagger.

Bijatyka żebraków się rozkręcała. Teraz zaczęli okładać się niezdarnie pięściami. Scena przywodziła na myśl obraz Goi *Bójka na kije*: dwóch obdartusów tłukących się kijami na odludziu grzęźnie po kolana w błocie. Żadnej godności, tylko brutalna siła, zadrapania, ugryzienia i kopniaki z premedytacją wymierzane

w jądra. Zabijali się, dosłownie, o zgniłe jabłko i karton przeterminowanego mleka. Żaden z nich nie miał zamiaru ustąpić, dopóki nie osiągnie celu. Choć cel tej walki – jedzenie – ostatecznie gubił się w jej ferworze. Porozrzucane na ziemi resztki nie miały już żadnego znaczenia. Do ataku pchała ich niepokonana złość, nienawiść tak intensywna i głęboka, że nie byli w stanie wyartykułować jej krzykiem. Chcieli się pozabijać, zabić swoje historie, przeszłość, nękające ich duchy, zamordować teraźniejszość i zamknąć przyszłość. Może mieli nadzieję, że ktoś zareaguje, żeby położyć temu kres i ustanowić jakieś reguły. Ale nikt nie interweniował.

Eduardo patrzył na nich nieobecny wzrokiem.

Arthur i Gloria. Gloria i Arthur. Uważali, że mogą wszystko, bawić się innymi według własnego widzimisię. Wciąż wyrządzać sobie krzywdę, zatruwając swoje nieszczęsne żywoty, jakby ta trucizna była krwią, która przestała płynąć w ich żyłach.

– Straciłeś córkę i nadal jej szukasz. Gloria straciła syna i na swój sposób też próbuje go odnaleźć. A ja czuję się złapany w tę spiralę i rzucony bezwładnie z kąta w kąt. Wystarczy już, nie mogę tak dłużej.

Arthur popatrzył na niego chłodno, bez cienia litości, zrozumienia czy sympatii.

– Czujesz się w tym wszystkim ofiarą, chociaż w rzeczywistości sam też jesteś winny; jak my wszyscy. Co mi powiesz o człowieku, którego zabiłeś? A o jego żonie, która przez ciebie porusza się na wózku inwalidzkim... Myślisz, że ona zapomniała? Że przestała cię nienawidzić z całych sił?

Na ścianie – dokładnie nad manekinem, na którym wisiała tiulowa sukienka i stare twarde baletki z całkiem zdartymi czubkami – widniały cztery zdjęcia przedstawiające sekwencję ruchów wykonywanych do idealnej arabeski. Siedząca na wózku Maribel wyciągała łagodnie prawą rękę, aż oparła ją w linii prostej o ścianę: lekko uniesiony palec wskazujący, kciuk delikatnie wygięty w dół. Następnie przekręcała tułów i powtarzała dokładnie ten sam ruch lewą ręką. Gdy patrzyło się na jej cień, można było odnieść wrażenie, że poruszała w powietrzu skrzydłami. Z przymkniętymi oczami, skupiona na odpowiednim oddechu, wyobrażała sobie, że wózek nie istnieje. Baletnice wykonywały ten podstawowy ruch, stając bokiem i przenosząc ciężar ciała na jedną nogę. Polegał na kilkakrotnym ugięciu kolana w pozycji *demi-plié*, dopóki udo nie przestawało odczuwać naporu ciała, tymczasem drugą nogę należało unieść wyprostowaną do tyłu, na wysokość biodra niczym elegancki ogon. Wyciągnięte ramię i noga

tworzyły długą i piękną linię. To była pozycja najbardziej przypominająca latanie, na jaką mogło się zdobyć bezskrzydłe ludzkie ciało; Maribel setki, tysiące razy doświadczyła tej wolności, tych niemożliwych linii i kształtów, które rzucały wyzwanie grawitacji.

Powoli otworzyła oczy i znów poczuła posępny ciężar pokoju, worek na mocz, rurkę cewnika, szorstki dotyk plastiku, zanik nieruchomych mięśni, które utrzymywały ją tyle lat na nogach. Popatrzyła na zdjęcia: zrobiono je podczas występu jej szkoły baletowej w Barcelonie. Maribel – w czarnym i bardzo obcisłym kostiumie, z gołymi ramionami – stała przed swoimi trzema najzdolniejszymi uczennicami i pokazywała im cztery pozycje. Trudność ćwiczenia polegała na tym, że wykonywały je na nierównym i mokrym piasku plaży, na tle morza. W tych warunkach musiało to być bardzo bolesne, wymagało ogromnej równowagi, koncentracji, siły i samozaparcia. Mimo to zarówno na twarzy Maribel, jak i jej uczennic nie było widać cienia wahania. Na zdjęciu była wysoka, z ciemnymi i prostymi włosami, które opadały jej z elegancją na piersi, ze wzrokiem utkwionym w dal, jakby gdzieś dostrzegała niewidoczną barierkę, której mogłaby się przytrzymać. Biła od niej determinacja.

Maribel pogładziła skórę na nogach. Robiła tak niemal zawsze, kiedy patrzyła na te zdjęcia wiszące na ścianie obok jej dawnej sypialni. Przypominały jej, że już nigdy nie będzie młoda, lekka, eteryczna, piękna i wolna.

Mając sześćdziesiąt lat, nie powinna myśleć o starości. Kobiety w jej wieku dbały o siebie, stosowały kremy i bez wstydu korzystały z dobrodziejstw chirurgii estetycznej, żeby zachować młodość, która wciąż tkwiąc w ich sercach, opuszczała ich ciała. Tymczasem Maribel czuła się jak stuletnia staruszka. Z braku dotlenienia jej skóra zaczęła się marszczyć, kości stały się łamliwe od bezruchu, a mięśnie po prostu zanikały, niemal rozplływały się pod warstwą skóry. Zastanawiała się, co by powiedział jej mąż Teo, gdyby zobaczył ją tak żałośnie zaniedbaną. Długo o nią zabiegał, czego mu nie ułatwiała, bawiąc się z nim w kotka i myszkę, udając obojętność wobec jego uczuć i całkowite oddanie swojej prawdziwej pasji: tańcowi.

Teo był cierpliwym, małomównym mężczyzną, sprawiał wręcz wrażenie chłodnego i niedostępnego. Cechował go jednak upór i skrupulatność, dzięki którym stał się doskonałym numizmatykiem. To pozwoliło mu także otworzyć małą szczelinę w murze nieosiągalności Maribel tak, aby wkrótce stała się wyłomem. Maribel zawsze wyobrażała sobie, że razem się zestarzeją, że zmierzch ich życia będzie przypominał łagodne zbocze góry: on ze swoimi monetami, a ona pogrążona w książkach o technikach tańca, ucząca teorii tego, czego z powodu

zmęczenia i wieku nie mogłaby już pokazać w praktyce.

Czasami, wchodząc do ich sypialni, poddawała się złudzeniom. Obawiała się, że jeśli wedrze się do niej powietrze z zewnątrz, zniknie jego zapach. Nie pozwalała tam wchodzić nawet swojemu synowi. To było jej sanktuarium, jedyne miejsce, gdzie wszystko było wciąż takie jak dawniej, zanim ten drań odebrał jej dwie rzeczy, które kochała najbardziej: zdolność latania i serce mężczyzny jej życia.

Otworzyła szafę, w której wisiały garnitury i koszule Tea. Co jakiś czas zanosila je do pralni, tej co zawsze. Kiedy jego zapach zaczynał się ulatniać z ubrań, Maribel brała flakon z wodą kolońską, której używał, i lekko skrapiała nią kołnierzyki, mankiety i rękawy. Dzięki temu, kiedy otwierała szafę i powoli wciągała w płuca powietrze, czuła, jakby mąż wychodził jej na spotkanie: spokojnie wachała koszule i powietrze, a jej serce z wdzięcznością poddawało się temu tańcowi zmysłów. Chociaż Teo nie należał do eleganckich mężczyzn, zawsze był schludny i zachowywał niemal angielski umiar w ubiorze. Obok szczotek i past do butów w różnych kolorach stał jeden włoski mokasyn.

Zachowała też pudełko z kilkoma zegarkami o małej wartości i niezbyt ładnymi, z gładkimi krawatami, fularami i szalikami. Wszystko było perfekcyjnie poukładane, składane, rozkładane i ponownie składane. Maribel potrafiła poświęcić temu wiele porannych godzin, ale to było bez znaczenia – nie miała nic innego do roboty poza wspomnianiem, składaniem, rozkładaniem i tęsknieniem.

W głębi szafy leżała ciemna plastikowa torba, Maribel bardzo rzadko miała odwagę ją otwierać, chociaż nie była w stanie pozbyć się jej zawartości. W środku znajdowały się rzeczy, w które ubrany był Teo w dniu śmierci. Policja oddała je po sekcji zwłok, a ona nie chciała ich spalić ani wyrzucić do śmieci, jak zrobiła z płaszczem, który miała na sobie tego ranka. Pozostała w nim dziura otoczona czarnym prochem i pojedyncze ślady krwi. W torbie trzymała błękitną koszulę, którą Teo lubił wkładać, kiedy co niedzielę wychodził do centrum numizmatycznego. Miała trochę znoszony kołnierzyk i często się o nią kłócili, ale on nie chciał się jej pozbyć, ponieważ odkąd zdobył kastylijską monetę *áureo* wybitą w 223 roku, za czasów panowania cesarza Aleksandra Sewera, koszula stała się jego talizmanem. W jej tkaninie pozostały – jak blizny – plamy krwi, resztki kości czaszki, włosów i mózgu, który rozprysnął się nagle z ogromną siłą, kiedy uderzyła w niego kula. Maribel zachowała też sztruksową kurtkę z przetarciami na łokciach i ciemne spodnie. W dniu, w którym zabił go ten szaleniec, Teo nie był nawet porządnie ubrany. Ta absurdałna myśl dręczyła ją przez te wszystkie lata. Jak zużyta zębatka, jej umysł zatrzymywał się na niej za każdym razem, kiedy

z jakiegoś powodu postanawiała otworzyć torbę i rozłożyć jej zawartość na łóżku.

– Nic do siebie nie pasowało, ale nie chciałeś mnie słuchać. Ostatnimi czasy byłeś nieobecny i drażliwy na punkcie swoich monet i spraw. Nie pozwalałeś mi już wybierać ubrań.

Prawie czternaście lat później wciąż nie rozumiała, dlaczego na pewne osoby, które uważały się za szczęśliwe, spadało tak okrutne i niespodziewane nieszczęście. Kto decydował o ich losie? Bóg? Przypadek? I czemu właśnie ją to spotkało, a nie kogoś innego? Od zawsze musiała walczyć; rozumiała, że życie jest poświęceniem, zaangażowaniem, wysiłkiem i uporem często skazanym na niepowodzenie. Taniec klasyczny nauczył ją odpowiedniej dyscypliny, ale w zamian dawał nagrodę. A ona nie zdążyła się nią nacieszyć przez kilka lat – „najpiękniejszych”, mówili jej romantyczni i optymistycznie nastawieni przyjaciele, „najbardziej nierzeczywistych”, powtarzali jej ci, którzy nie pozwalali łatwo ponieść się emocjom. Ona i Teo nie zdążyli nawet mieć dziecka, którego tak bardzo oboje pragnęli. Ostatecznie adoptowali chłopca. Maribel pokochała go bezgranicznie, ale w głębi duszy cierpiała, mając pewność, że jej mąż nigdy nie uznał go całkowicie za swojego syna.

– Gdybyś mógł go zobaczyć. Wyrósł na przystojnego chłopca. Jest pracowity, inteligentny i bardzo wrażliwy, ale teraz potrzebuje ojca, który pomógłby mu przejść przez trudny okres dojrzewania.

Maribel nie czuła się na siłach, by walczyć z czymś nieuniknionym: dzieci rosną, stają się świadome siebie – częściowo błędnie – i odchodzą, nawet jeśli nie robią tego dosłownie, to przestają należeć do swoich rodziców. Dzieci są pożyczką, którą prędzej czy później trzeba spłacić życiu. Ostatnio, kiedy Who na nią patrzył, poczuła dziwny niepokój, jakby jej syn na coś czekał, na jakiś znak. Jakby chciał jej coś powiedzieć, ale nie wiedział, jak to zrobić. A kiedy go o to zapytała, znów włożył maskę anioła, którym zawsze był, pocałował ją w czoło i odszedł, przepełniony smutkiem i swoimi demonami.

Nie od razu usłyszała dzwonek. Kiedy w końcu dotarł do niej jego dźwięk, spojrzała zaskoczona na zegarek. Było za wcześnie na powrót syna, poza tym on nigdy nie dzwonił do drzwi. Miał swoje klucze. Może to znów te dwie starsze panie od świadków Jehowy, które przychodziły do niej codziennie z czasopismami i próbowały ją ewangelizować – działanie godne pochwały, ale w przypadku Maribel bezcelowe. Ruszyła korytarzem w stronę drzwi wejściowych, wymyślając na poczekaniu jakąś wymówkę, która by ich nie obraziła, ale pomogła jej jak najszybciej się ich pozbyć.

Tymczasem po otwarciu drzwi nie zobaczyła dwóch pobożnych staruszek ani

swojego syna. Stojący na korytarzu mężczyzna, który patrzył na nią smutnym wzrokiem, był duchem z przeszłości, koszmarem, który śnił jej się każdej nocy od ponad czternastu lat.

– Dzień dobry. Nazywam się Eduardo Quintana.

Wkrótce miała nadejść wiosna. Wyczuwało się ją w nocnej bryzie i w koronach drzew, na których pojawiły się pierwsze pąki, choć jeszcze zbyt słabe, żeby przetrwać późne przymrozki. Mei była takim właśnie pąkiem, który może nie przeżyć kolejnego mrozu, pomyślał Who.

W uliczce na tyłach budynku, w którym mieszkał, prostytutka obsługiwała klienta. To była jedna z dziewczyn Changa. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Nie było im siebie żal, zajmowali się tylko handlem ludzkim cierpieniem; sprawiali, że stawało się bardziej znośne, i szli dalej swoją drogą. Tym właśnie byli – prostytutka i on – pozbawionymi blasku cieniami.

Klient obsesyjnie obmacywał jej pośladki i lizał ją po uchu. Dziewczyna patrzyła na pana Who, jakby chciała powiedzieć: „Daj spokój, nie rób się sentymentalny. Ty masz swoją tragedię, ja swoją, ale to nic nie zmienia. Nie jesteśmy dwójką kochanków”. Niektórzy mówią, że dziwki kochają łatwe pieniądze. „Kretyni, nie mają o niczym pojęcia” – pomyślał Who. Na samą myśl, że Chang planował taki los dla Mei, ogarniało go szaleństwo.

Wszedł do domu i rozebrał się po cichu. W szparze pod drzwiami pokoju Maribel dostrzegł światło. Chciał zapytać, czy czegoś nie potrzebuje, ale zatrzymał się w pół drogi. Usłyszał jej płacz. Matka zawsze płakała w samotności i nigdy po ciemku. Jej smutek był częścią jego dzieciństwa. Who nauczył się też wyczuwać, kiedy lepiej jej nie przeszkadzać. Cofnął się i poszedł na górę do swojego pokoju.

Rzucił kurtkę na niepościelone łóżko. Usiadł przed komputerem i otworzył folder z zeskanowanymi zdjęciami z ich pierwszej i ostatniej podróży we troje, latem 1991 roku: on, Maribel i Teo na Menorce. Chciał zrobić z nich prezentację slajdów z podkładem muzycznym. Maribel spodoba się taka niespodzianka.

To była nieplanowana podróż. Teo nie lubił opuszczać Madrytu, robił co najwyżej czasami krótkie wypadki do Toledo czy Cáceres, ale nigdzie dalej. Tymczasem to on pewnego ranka pojawił się z biletami lotniczymi.

Who przypomniał sobie prom kursujący do zatok na wyspie, do których dotrzeć można było tylko drogą morską. Na zdjęciach ojciec pozował w okularach lekko zasłaniających brwi. Uśmiechał się nieśmiało, podkreślając wąsy jak filmowy amant. Obok stała Maribel, a między nimi przepychał się chłopiec, z powodu

choroby morskiej trochę blady. Morze go przerażało. Opierając się o poręcz tarasu widokowego, obserwował stada mew surfujących po grzywach rozszalałych fal, które przewalały się jedna za drugą z głuchym hukiem.

Musiał być szczęśliwy tego lata, chociaż nie do końca tak je zapamiętał. Pamiętał natomiast, że się kłócili i kiedy wchodził nagle do kuchni, szybko zmieniali wyraz twarzy, jak osoby wyćwiczone w ukrywaniu swoich słabości.

Cztery miesiące później Teo nie żył, a Maribel leżała w szpitalu z uszkodzonym kręgosłupem.

Pan Who błędził powoli wzrokiem po pokoju, dopóki nagle nie zatrzymał go na czymś za komputerem. Za wyłożoną drewnianą boazerią ścianą kryły się jego tajemnice. I ktoś poruszył jedną listwę.

Maribel siedziała na wózku przy łóżku, głaszcząc tiulową sukienkę, ostatnią, którą miała na sobie, zanim roztrzaskano jej kręgi. Spojrzała badawczo na pana Who. Jej szklisty wzrok był dojmująco przezroczystry. Wyprostowała się na oparciu i leniwym ruchem położyła na łóżku formularz osobowy Eduarda, który pan Who ukradł Martinie. Było do niego przypięte zdjęcie zabójcy jego ojca, człowieka, który bez powodu zniszczył im życie.

– Jak mogłeś to ukryć przede mną?

Próbował uspokajającym gestem ująć jej ręce, ale Maribel odsunęła je od niego, jakby był trędowaty. Drżały jej usta i chociaż na twarzy malowało się błaganie, patrzyła bezwzględny i twardym wzrokiem.

– Nie chciałem rozdrapywać twoich ran.

– Od jak dawna to masz?

– Zobaczyłem go po raz pierwszy przypadkiem w parku Retiro. Malował jakąś kobietę. Rozpoznałem go z wycinków z gazet, które zbierasz, ale nie byłem pewien, czy to on, więc wróciłem następnego dnia z nadzieją, że go spotkam i się co do tego upewnię. Siedział na tej samej ławce, jakby czekał na kogoś, kto nie przyszedł. Przychodził tam przez kilka tygodni, a ja go śledziłem. Obserwowałem go i próbowałem sobie wyobrazić, jakim jest człowiekiem. Nie miałem żadnego planu ani celu. Nie zastanawiałem się, co bym zrobił, gdybym mógł z nim porozmawiać. Pewnego dnia podszedłem do niego w metrze. Usiadłem obok i zacząłem mu się z bliska przyglądać. Zobaczyłem blizny na jego nadgarstkach, zmarszczki na skórze i siwe włosy. Poczulem zapach jego ciała i usłyszałem głos. Odezwałem się do niego, a w rzeczywistości sprowokowałem go. Chciałem się przekonać, czy mnie pamięta, czy nas pamięta, ale on nie zareagował. Wiele razy wyobrażałem sobie to spotkanie: co robi, co mi powie. Kiedy nadjeżdżał pociąg,

pomyślałem, żeby go popchnąć, zrzucić na tory i patrzeć, jak miążdżą go koła. Ale pociąg przyjechał, zatrzymał się, a ja nie byłem w stanie tego zrobić. Kilka tygodni później kogoś poznałem i przypadkiem znalazłem tę kartkę w teczce z dokumentami. Tam wszystko jest opisane.

Maribel odchyliła do tyłu głowę, jakby jakaś niewidzialna ręka ciągnęła ją za włosy. Wydała z siebie jęk bólu.

– Dlaczego? – zapytała, patrząc na syna z mieszaniną niedowierzania i zaskoczenia.

Pan Who usiadł w nogach łóżka.

– Bo muszę zrozumieć człowieka, który nas zabił.

Użył liczby mnogiej, ponieważ tak właśnie czuł. Tego dnia nie tylko zmarł Teo, chociaż może to on miał najwięcej szczęścia z ich trojga, ponieważ zginął na miejscu. Oni muszą umierać po trochu każdego dnia. Miał dziewięć lat, kiedy w ich domu ustały zabawy, śmiechy i przestało wchodzić świeże powietrze. Maribel oddaliła się od syna, łagodnie, bez gwałtownych ruchów, podobnie jak oddalała się od wszystkiego, zmieniając swoje życie w ciemność podobną do wiecznego mroku w jej pokoju. Miłość, prawdziwa miłość skończyła się, zanim się zaczęła. Pan Who nauczył się nią opiekować na swój sposób. Uśmiechał się, a jego uśmiech różnił się od uśmiechu Maribel: na jej twarzy malował się jedynie grymas, podczas gdy jego uśmiech wyrażał wiele pragnień. Musiał ją odzyskać, potrzebował jej czułości, poświęcenia, którego prawie nie zaznał. Nigdy jednak ponownie nie udało mu się poczuć bijącego kiedyś od niej ciepła, więc stopniowo pograżył się w jej świecie łagodnych dźwięków i poruszał się po domu na palcach, żeby jej nie przeszkadzać. Who przestał być dzieckiem, nastolatkiem, młodym chłopakiem, stał się cieniem niepełnosprawnej matki.

Maribel ujęła go pod brodę, chcąc, by popatrzył jej w oczy. Who odwrócił głowę, nie podobała mu się prawdziwość jej pytającego spojrzenia.

– On tu był. Dzisiaj rano.

Twarz Who wykrzywił grymas.

Nie spodziewał się tego. Poczul, jak podchodząca z żołądka złość wysusza mu gardło. Wyobraził sobie przez chwilę, jak matka siedzi na wózku, kompletnie bezbronna przed tym człowiekiem.

– Tutaj? – zapytał, jakby robiło jakąś różnicę, gdyby spotkała go w pobliskim supermarkecie albo na rogu ulicy. – I co się stało?

– Nic. Przedstawił się. Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę, aż w końcu zatrzasnęłam przed nim drzwi. Nie zadzwonił po raz drugi, ale wiem, że stał tam jeszcze długo. Słyszałam go. A potem poszedł sobie.

Maribel patrzyła na pokój: łóżko, szafa, witryna z monetami, spokój, obsesyjna myśl, że nic nie uległo zmianie.

– Chcę, żebyś z tym skończył, synu. Nie chcę żyć ze świadomością, że ten człowiek oddycha tym samym powietrzem co my. Nie chcę, żeby znów się do nas zbliżył.

Pan Who wstał.

– To się więcej nie powtórzy. Obiecuję.

Rozdział 14

Na pierwszej stronie gazety leżącej na drewnianym kontuarze wyróżniała się informacja o tragicznym pożarze pobliskiego budynku. Dozorczyńni – kobieta w średnim wieku, która dawno przestała depilować sobie wąsik nad górną wargą – nie zdążyła doczytać do końca artykułu, ponieważ zjawił się Guzmán. Powitała go, stojąc oparta o szcztokę, z pobrudzonym szminką papierosem w ustach.

– Wie pani może, czy sklep z antykami obok jest zamknięty? Dzwoniłem, ale nikt nie otwiera.

– Dámaso zamyka sklep przed piątą. Nie przyjdzie do poniedziałku – odpowiedziała, wypuszczając dym przez szeroko rozstawione zęby.

Guzmán udał rozczarowanie.

– Szkoda, przyniosłem mu coś, co go bardzo interesuje. Nie wie pani może, gdzie on mieszka?

Dozorczyńni popatrzyła na niego podejrzliwie. Instynktownie wyprostowała się i mocniej zacisnęła wargami papierosa. Zaczęła dramatycznym tonem wymieniać swoje obowiązki: mycie klatki schodowej, wyrzucanie śmieci, pilnowanie pracowników gazowni, którzy przyszli zrobić przegląd... Jak ma jeszcze wiedzieć, gdzie mieszkają wszyscy właściciele sklepów z tej samej ulicy? Chociaż nawet gdyby wiedziała, dlaczego miałyby mu powiedzieć? Dozorczyńni mają opinię plotkar, ale ona – i wskazała dobitnie na siebie – nie jest jak te, które przez cały dzień czytają brukowce i plotkarskie gazety. Ona pracuje.

Guzmán uśmiechnął się, a w duchu pomyślał, że z łatwością udusiłby tę kwokę jedną ręką. Chociaż dowiedział się już wszystkiego, co chciał.

– Rozumiem. Wrócę w poniedziałek, kiedy Dámaso znów otworzy sklep.

Z ulgą wyszedł na ulicę. Usiadł w ogródku kawiarni, z którego widać było stróżówkę budynku i sklep z antykami. Wystarczyło tylko zaczekać.

Nie zdążył napić się kawy, kiedy zobaczył, jak dozorczyńni wyszła z bramy i ruszyła w dół ulicy, zostawiając za sobą kłęby papierosowego dymu. Guzmán wrócił do budynku i pchnął drzwi wejściowe. Stróżówka była pusta, na klatce schodowej unosił się słodkawy i duszny zapach tytoniu i słychać było odgłosy jadącej windy. Gdzieś grała muzyka, Guzmán rozpoznał *Contigo en la distancia*, śpiewaną przez Lucha Gatikę.

*No existe un momento del día
En que pueda apartarme de ti.*^[7]

Ten utwór na chwilę pogodził go ze światem.

Kontuar, za którym urzędowała dozorczyńni, był częściowo otwarty. Na blacie zamiast gazety leżała kartka z wykaligrafowanym jakby dziecięcą ręką napisem: „Wracam za pięć minut”. Na straży pozostała oparta o ścianę szczotka. Guzmán wsadził rękę za blat i otworzył od środka zasuwkę. Na korkowej tablicy znajdującej się na ścianie w głębi wisiały zapasowe klucze do wszystkich drzwi w budynku. Dla ułatwienia do każdego dołączono tabliczkę z numerem. Guzmán zdjął ten z napisem „magazyn Dámasa”.

Tylne wejście do sklepu z antykami znajdowało się przy windzie. Wszedł do środka, wymacał ręką włącznik i zapalił świetlówkę. Po prawej stronie znajdowały się drzwi do sklepu. Po lewej schody prowadziły w dół do innych zamkniętych drzwi sutereny. Guzmán postanowił trochę się rozejrzeć.

Magazyn był duży, wszędzie stały obrazy, pudła z książkami, zegary, meble, komody, krzesła, dywany i inne niezidentyfikowane przedmioty.

Przez dłuższy czas Guzmán kręcił się bez celu, nie wiedząc dokładnie, czego ma szukać. Z doświadczenia wiedział, że ludzie kłamią z dwóch powodów: żeby coś ukryć albo żeby coś zmyślić. W przypadku Dámasa było oczywiste, że coś ukrywał. Ale co?

W pomieszczeniu nic nie przykuło jego uwagi. Przedmioty. Tylko nieme przedmioty niedające odpowiedzi na jego pytania. Rozczarowany usiadł na starej skrzyni pomalowanej w kwiaty i powoli rozejrzał się wokół. Czasami należy przestać patrzeć, żeby zobaczyć; nie szukać i pozwolić działać przypadkowi. W jednym kącie stało kilka mebli, które zainteresowały go ze względu na swoje ustawienie. Chociaż na pierwszy rzut oka w magazynie panował bałagan, w rzeczywistości tak nie było. Przedmioty pogrupowano według jakiegoś klucza: epokami, stylem, a może przeznaczeniem.

W jednej części znajdowały się najstarsze meble z epoki napoleońskiej, gdzie indziej kilka bardziej barokowych przedmiotów, naprzeciwko nich rzeczy z lat siedemdziesiątych albo osiemdziesiątych. Wśród rzędów malowideł i wieszaków, luster i obrazów przedstawiających sceny z polowania dostrzegł ogromny marmurowy stół, pod którego nogami marszczył się dywan imitujący skórę tygrysa, jakby ktoś nieuważnie przesunął po nim stół.

Guzmán utorował sobie drogę wśród rupieci i podszedł bliżej. W podłodze pod dywanem zobaczył obrys klapy. Bezskutecznie próbował przesunąć stół,

napierając na niego całym ciałem. Cokolwiek znajdowało się na dole, Dámaso nie mógł dostać się tam bez czyjejś pomocy – stół był zbyt ciężki dla takiego starca. Kiedy Guzmánowi w końcu udało się otworzyć klapę, widząc wszechobecne pajęczyny, które rozciągały się jak guma do żucia, doszedł do wniosku, że nikt tam od dawna nie zaglądał.

Kwadratowy otwór mierzył nie więcej niż półtora metra na półtora. Wewnątrz panowała ciemność i nie było widać nic poza zarysem pierwszych szczebli drabiny przytwierdzonej do jednej ze ścian. Wyglądało to jak wejście do podziemnego schronu. Może znajdowała się tam część magazynu, której Dámaso nie używał od lat.

Schodząc jak ślepiec, przyświecając sobie jedynie zapalniczką, Guzmán natknął się na skrzynkę z przełącznikami. Nacisnął jeden z nich i usłyszał bzyczenie elektryczności.

Zagwizdał z podziwem.

To nie był żaden skład, garaż ani komórka z narzędziami. Ściany pokrywała izolacja z naturalnego włókna, a z sufitu małe ruchome halogeny rzucały miękkie światło. Na środku pomieszczenia stało około trzydziestu czerwonych kinowych foteli z wygodnymi oparciami, a przed nimi ogromny ekran z rzutnikiem i DVD. Guzmán znajdował się w sali projekcyjnej, prywatnym kinie. Starzec więc go okłamał, bo to wyglądało jak klub kinomanów, o którym mówiła wdowa Olsen.

W jednej ze szklanych witryn mieściła się niemal idealna kopia pierwszego projektora wyprodukowanego w fabryce Lumière w 1895 roku. Obok niego stało metalowe pudełko z kilkoma taśmami wyświetlonymi po raz pierwszy w Paryżu w tym samym roku – krótkie, zaledwie kilkuminutowe filmiki: *Oblany ogrodnik*, *Wyjście robotników z fabryki Lumière w Lyonie*. Guzmán ocenił, że musiały być warte fortunę. Może Dámaso był z natury nieufny i wolał utrzymywać takie rzeczy w tajemnicy ze strachu przed kradzieżą. Pewnie spotykała się tu elitarna grupa kolekcjonerów, sybarytów rozkoszujących się w prywatnej atmosferze takimi wspaniałościami. Nic dziwnego, że bogacze płacili niebotyczne sumy, żeby cieszyć się prywatnie dziełami sztuki. Najczęściej działali anonimowo – wysyłali swojego pracownika na aukcje, żeby nie zdradzać swojej tożsamości. Zdarzały się nawet przypadki, mniej lub bardziej rozdmuchiwane przez media, kiedy bardzo wpływowi ludzie dla kaprysu płacili za dzieła skradzione z muzeów lub innych miejsc. Może podniecały ich tego rodzaju fanaberie, pomyślał Guzmán, obchodząc powoli pomieszczenie. Posiadanie czegoś, czego nikt inny nie może mieć. Całkiem możliwe, że tak właśnie było i tym razem.

Nadal jednak coś mu nie pasowało. Ale co? Czuł, że znajdowało się tam,

na widoku, czekało i rzucało mu wyzwanie, żeby połączył elementy układanki.

Bosch zawsze mu radził, żeby miał cierpliwość, kiedy dostawał nową *teczkę*. W DINA tak nazywano sprawy i dochodzenia. Gdy *teczka* trafiała do ich rąk, nie chodziło już o odnajdywanie ukrytej prawdy. Nie potrzebowali dowodów, szukania śladów ani zabawy w policjantów czy detektywów z powieści kryminalnych. Ich czas był cenny. Mieli do wykonania konkretne zadanie: zdobyć zeznania, nazwiska, daty i adresy. Zmusić do przyznania się do winy. Do DINA nigdy nie trafiali ludzie niewinni. Nigdy. Wszyscy byli winni tego, o co się ich oskarżało; chociaż czasami nie były to oficjalne oskarżenia. Nikt nie lądował w podziemiach pałacu La Moneda, żeby czekać na sprawiedliwy proces czy nierealne uniewinnienie. Kto wpadł w ręce Boscha i jego ekipy śledczych (nie lubili słowa kat czy oprawca, bo umniejszały wagę ich pracy), musiał przyznać się do winy. Żeby mogli zamknąć *teczkę* i przesłać ją do archiwum. Ale żeby do tego doprowadzić, trzeba było mieć cierpliwość: równoważyć użycie siły, dozować przerażenie, być miłym albo brutalnym, znaleźć szczelinę słabości w oporze więźnia, szukać jej dzień i noc, tygodniami albo miesiącami (Guzmánowi nikt nie opierał się dłużej niż przez trzy miesiące), dopóki się jej nie znajdzie.

Ta rysa mogła być dziecięcym strachem (on bał się psów, w dzieciństwie na jego oczach stado dzikich psów rozszarpało na strzępy jego brata, kiedy łazili po górach śmieci wysypiska na południe od Santiago), synem, żoną lub mężem, ojcem albo matką. Mogły to być: zraniona duma, próżność, strach przed zdradą i donosem towarzyszy albo poniżenie seksualne czy zaburzenie emocjonalne. Cokolwiek. A kiedy śledczy odkrywali tę słabość, wyczuwali lukę, rzucali się na nią bez litości i przenikali na dno duszy przesłuchiwanego. Wyciągali z niego wszystko, opróżniali go, a potem wrzucali jego ciało do masowego grobu.

– Co tam ukrywasz, stary skurczybyku? Co przede mną chowasz?

Najwyższy czas, żebyś zmienił nastawienie, powiedział do siebie Guzmán. Może Hiszpania to nie Chile za trudnych czasów junty Pinocheta ani nawet nie Hiszpania za czasów, kiedy Antyterrorystyczne Grupy Wyzwolenia połączyły się z ETA. Ale ludzie byli tacy sami i reagowali na te same bodźce, a on nadal miał kontakty, znał osoby, które winne mu były przysługę, które się go bały, i tylko kilka wspominało go z szacunkiem. Może nie był ortodoksyjnym policjantem ani zwyczajnym śledczym. Nie był panem Czystym ani Brudnym Harrym. Nie znosił tego rodzaju stereotypów. Guzmán był zupełnie kimś innym. Kogoś takiego jeszcze tutaj nie widziano. Czuł wściekłość i frustrację, nie mając wszystkiego pod kontrolą. Ale zamierzał temu zaradzić.

W przeciwieństwie do pierwszej wizyty, tym razem Guzmán odniósł wrażenie, że dom Ireny Olsen jest zwyczajny, usytuowany zbyt daleko od morza, a słońce, które pali bieloną elewację, nie jest niczym innym jak zapowiedzią pustkowia, w jakie w końcu zmieni się całe to osiedle. Zniknęli gdzieś blond chłopcy o buziach jak z reklamy IKEA, ucichło histeryczne szczekanie yorka. Wokół panowała cisza.

Guzmán wszedł na teren posesji przez ogród. Wdowa Olsen przeglądała modowe czasopismo, leżąc na kanapie. Zapukał w okno, żeby uprzedzić ją o swojej obecności.

Uniosła głowę i skrzywiła się na jego widok. Niechętnie wstała i otworzyła przesuwne drzwi.

– Czego jeszcze chcesz? – patrzyła na niego, a jej wzrok mówił, że nie powinna była rozmawiać z nim za pierwszym razem.

Guzmán musiał przyznać: miała piękne oczy.

Może Magnus Olsen zakochał się w tych oczach, kto wie. Pewnie poznali się na jednym z tych elitarnych przyjęć w jakiejś ambasadzie, na których ci, których wpuszczono za czerwoną taśmę, czują się wybrańcami. Możliwe, że od lat trenowała to spojrzenie przed lustrem, czekając na odpowiednią chwilę, szansę ucieczki z przedmieść Sztokholmu, gdzie jej uroda wywoływała tylko bezwstydne komentarze ormiańskich i tureckich murarzy, którzy patrzyli na nią jak na dziwadło, diament zagubiony w chlewie.

– Pomyślałem sobie, że powinniśmy dokończyć naszą rozmowę.

Odsunęła się z irytacją, a jej spojrzenie mówiło: „dałam ci palec, a ty chcesz odgryźć całą rękę”.

Wyglądała ślicznie w drogiej markowej koszuli i obcisłych spodniach. Pewnie żeby kupić sobie pierwszą drogą sukienkę, pożyczyła pieniądze. Kto wie, co jeszcze musiała zrobić, żeby kupić sobie nową tożsamość. Ale osiągnęła cel. Na pewno próbowała uciszyć przyspieszone bicie serca, gdy po raz pierwszy wchodziła do jakiejś prywatnej rezydencji z freskami na ścianach i sufitach jak w Wersalu, zalana światłem z kryształowych żyrandoli przydającym blasku jej sztucznej biżuterii. Z pewnością musiała powstrzymać drżenie ręki, kiedy pierwszy raz kelner podał jej kieliszek z szampanem, i wychylała go powoli, jakby robiła to przez całe życie. Na takich przyjęciach luksusowe dziwki polujące na mężczyzn, przy których mogłyby przejść na złotą emeryturę, przebierały się za wyrafinowane damy.

– Nie dasz mi spokoju, prawda?

Patrzyła na Guzmána z głęboką pogardą. Pogardą do siebie samej za całe życie znoszenia upokorzeń. Czowała się jak tresowana małpka z diamentową obrozą

na szyi, za którą zawsze może pociągnąć jej pan, jak trofeum, którym mógł się pochwalić swoim kolegom i wrogom, jak towar na wymianę. „Załóż tę sukienkę z dekoltem, minister lubi patrzeć na cycki”. „Uśmiechnij się do dyrektora banku. Wystarczy, że zrobisz mu laskę na tylnym siedzeniu jego mercedesa. Od tego zależy, czy zgodzi się na nasz wielomilionowy kredyt”.

Te oczy pozbawione złudzeń, które tyle razy w tak wielu miejscach próbowały bezskutecznie wzruszyć Guzmána.

– Co się wydarzyło w dniu, w którym twój mąż odebrał sobie życie?

– Co to za pytanie? – zapytała. Słabość w jej spojrzeniu ustąpiła miejsca przerażeniu.

– Znasz na nie odpowiedź. Mogę za nią zapłacić albo wykonać kilka telefonów, żeby przyjaciele, którzy rozdrapują resztki majątku Magnusa, dowiedzieli się, że ten dom zapisany jest na nazwisko jego żony. Co prawda na rynku nieruchomości jest teraz kiepsko, ale sądzę, że mogliby jeszcze odzyskać kilka milionów euro, jeśli cię stąd eksmitują. Możesz mi wierzyć, że banki nie mają więcej litości niż twój mąż i nie zmiękczy ich serca widok tych dwóch blond aniołków, które biegają po ogrodzie. Czek na kwotę z kilkoma zerami albo nakaz eksmisji, ty wybierasz.

Irena Olsen nie próbowała ukryć obrzydzenia i pogardy, które wywoływał w niej Guzmán. Tymczasem on ze stoickim spokojem wytrzymał jej spojrzenie, aż zrozumiała, że poczucie dumy jest nic niewarte, kiedy nie jest się w położeniu, żeby czegokolwiek wymagać. Przejechała palcem po zmarszczce przecinającej jej czoło i zaczęła grzebać w torebce. Guzmánowi wydało się, że dostrzegł w środku jakiś metalowy przedmiot przypominający pistolet. Być może wdowa Olsen szukała tylko paczki papierosów, ale nie mógł wykluczyć, że otworzyła torebkę, żeby zobaczyć broń, ostrzegając go i dając mu tym do zrozumienia, że potrafi jej użyć. Za bardzo się tym nie przejął; żeby kogoś zastraszyć, nie wystarczy mu grozić. Musi się pojawić realne niebezpieczeństwo.

– Ostatnio prawie się nie widywaliśmy. Wszyscy myślą, że wyjechałam do Sztokholmu, ale ja nie mogę tam wrócić. Mąż użył mnie jako figurantki w kilku swoich biznesach i kiedy tylko postawiłabym stopę na terytorium królestwa Szwecji, zgarnęłaby mnie policja. To był jeden z wielu powodów, z jakich go znienawidziłam. Rzadko razem sypialiśmy i ja spędzałam więcej czasu tutaj niż w naszym mieszkaniu w Madrycie.

– Ale w noc, kiedy popełnił samobójstwo, wszyscy byliście w Madrycie.

– Zadzwoił do mnie dzień wcześniej. Powiedział, że chciałby zobaczyć się ze mną i chłopcami, ale nie podał powodu. Nigdy się nie tłumaczył, oczekiwał tylko, że jego polecenia zostaną wypełnione natychmiast i bez szemrania.

Pojechałam więc z dziećmi do mieszkania przy ulicy Serrano. Już wtedy firma miała kłopoty w Szwecji: kontrole skarbowe, oskarżenia o oszustwa i malwersacje. I przywykłam do tego, że Magnus się postarzał, stał małomówny i drażliwy. Bardzo szybko się wypalał. Człowiek, który zawsze się szczycił, że dzięki swojej inteligencji wyszedł ze slumsów, w przeciągu zaledwie kilku lat potroił swój majątek, teraz patrzył, jak wszystko wymykało mu się z rąk. Nie był w stanie tego znieść. Tego dnia miałam wrażenie, że drzwi otworzył nam i przywitał nas zupełnie inny człowiek. Może nie był już tym samym mężczyzną, którego znałam, ale wciąż był jego słabym odbiciem. Znajdował się w stanie euforii, pewny siebie, patrzył charakterystycznym dla siebie wygłodniałym wzrokiem. Powiedział mi, że znalazł sposób na wyjście z finansowych tarapatów i konfliktu z prawem. „Znalazłem jeszcze jednego asa w rękawie” – stwierdził. Obiecał, że wszystko znów będzie jak dawniej, tylko nigdy nie będziemy mogli wrócić do Szwecji. Zaczniemy życie od nowa tutaj, potem w Tarragonie, a później przeniesiemy się do Malagi, Murcji... Znów stworzy imperium z niczego. Uwierzyłam mu – przyznała z ironią. – Nie miałam innego wyjścia, jak mu uwierzyć.

– Czy powiedział ci, czym był ten *as*?

Irena popatrzyła na niego, jakby nagle znalazła się w polu ognia między wrogimi obozami. Nie miała się gdzie ukryć.

– Nie powiedział. Nigdy mi o niczym nie mówił, a ja nie potrzebowałam ani nie chciałam wiedzieć o jego przekrętach.

Odpowiedź była równie oczywista, co przygnębająca. Guzmán jednak nie przyjechał do niej, żeby zadawać pytania, które nie miały odpowiedzi. Macał tylko teren. W rzeczywistości chciał rozstrzygnąć innego rodzaju wątpliwość.

– Kiedy twój mąż się powiesił, co było pierwszą rzeczą, którą zobaczyłaś? – Guzmán nie spuszczał z niej wzroku, zastanawiając się, na ile będzie z nim szczerą.

Wdowa Olsen prawdopodobnie się tego domyślając, uśmiechnęła się przebiegle.

– Ciało zwisające z poprzecznej belki w salonie i kałużę odchodów na podłodze. Po nogawkach nadal ściekało mu gównem. Nie wiem dlaczego, ale był boso. Nie zdjął z siebie nic oprócz butów i skarpetek. No i paska, na którym się powiesił.

Guzmán zamyślił się na chwilę. Wiele by dał, żeby zobaczyć zwłoki Olsena, zanim zjawiała się policja i lekarz sądowy. Zwykli ludzie wyobrażają sobie, że popełnienie samobójstwa jest łatwe, ale się mylą. Gdyby tak było, wiele osób, zamiast kasować bilet, dużo wcześniej wyskakiwałoby z pociągu życia. Szczególnie powieszenie się wygląda na proste, to jednak nieprawda. Kiedy

samobójcy uda się złamać sobie kark, wszystko idzie jak z płotka: szybko, niemal bezboleśnie, słycać zaledwie chrzęst, którego do końca nie jest się świadomym. Ale jeśli źle się obliczy ciężar, zaczepienie, odległość od ziemi... Jeśli popełni się jakiś błąd, człowiek dusi się i kona przez kilka minut.

Guzmán widział więźnia, który powiesił się w celi. Użył do tego prześcieradła, ale źle zawiązał pętlę i przez kilka minut kopał nogami i machał rękami w powietrzu, wisząc parę centymetrów nad ziemią. Guzmán patrzył na niego, unikając rozpaczliwych prób mężczyzny przytrzymania się go i spojrzenia, którym błagał o pomoc, jakiej on nie chciał mu udzielić. Mógł go podnieść za kolana – więzień był lekki – ale taka interwencja tylko pogorszyłaby sytuację. Ten człowiek postanowił zakończyć życie, a Guzmán nie miał prawa mu w tym przeszkodzić. Po pewnym czasie, kiedy minąłby moment przerażenia, a oni wróciliby do tortur i przesłuchań, których nie byłby w stanie dłużej wytrzymać, więzień wypomniałby mu to. Samobójca musiał tylko przewyciężyć strach, chwilę największego lęku przed śmiercią. A potem dać się jej owoładnąć. Guzmán uważał, że nie powinien zmieniać przeznaczenia.

– Ile ważył twój mąż? Sto, sto dziesięć kilogramów? Pasek musiał być naprawdę solidny, żeby utrzymać taki ciężar. Poza tym musiał być dobrze przytwierdzony do belki. Domyślam się, że jak szalony kopał nogami w powietrzu, kiedy poczuł, że się dusi.

– Co sugerujesz?

– Że być może to nie było samobójstwo.

– Tak stwierdziła policja. Powinieneś przeczytać policyjny raport, zanim zaczniesz robić takie spekulacje.

– Przeczytałem. Od chwili, w której znalazłaś Magnusa martwego, do telefonu na pogotowie minęło ponad pół godziny. Jest tam również napisane, że mieszkanie było posprzątane, bez oznak kradzieży czy walki. Tymczasem kobieta, która trzy razy w tygodniu sprzątała mieszkanie twojego męża, zeznała, że rzeczy w szufladach i ubrania w szafach leżały i wisiały zupełnie inaczej niż zazwyczaj.

Irena odwróciła wzrok. „Takie piękne, a takie martwe oczy. Szkoda” – pomyślał Guzmán. Przez sekundę przypomniało mu się spojrzenie Candeli, kiedy po raz pierwszy zapytała go, czy ją zabije.

– To ja posprzątałam mieszkanie, zanim zadzwoniłam na policję.

Wspomnienie Candeli zniknęło.

– Dlaczego?

– Mój mąż ukrywał pokaźny majątek w gotówce i biżuterii, który prędzej czy później wylądowałby w jego dziwkarskim haremie. Lubił dziewczynki –

im młodsze, tym lepsze – i trzymał kasę na spełnianie swoich zachcianek. Nie zamierzałam dopuścić, żeby po przeszukaniu domu prawnicy oddali wszystko wierzycielom, więc zaczęłam przetrząsać szafy, aż w końcu znalazłam pieniądze. Dużo pieniędzy, wystarczająco dużo, żeby zacząć od nowa gdzie indziej. Nie wiem, wszystko potoczyło się bardzo szybko, a w głowie kołatały mi się tysiące myśli: że ukrywam dowody, zostawiam wszędzie odciski i że jeśli złapią mnie z forszą, każą mi ją oddać, a w najgorszym razie – stanę się podejrzaną albo współniczką w morderstwie.

– Pamiętasz coś jeszcze?

Zawahała się i popatrzyła na niego nieufnie.

– Wcześniej powiedziałeś, że jesteś skłonny zapłacić za moje odpowiedzi. Ten czek... O jakiej kwocie mówimy?

Guzmán rozejrzał się wokół z rezygnacją.

– Sądzę, że wystarczy na kilka warstw farby i brakujące wyposażenie. Drożej kosztowałoby cię honorarium adwokata specjalizującego się w prawie karnym, ale może zdecyduję się, żeby nie powiadamiać policji o tym, że złożyłaś fałszywe zeznania i przywłaszczyłaś sobie dobra zajęte sądowym nakazem. – Guzmán nie wiedział, jak po szwedzku mówiło się „skurwysyn”, ale domyślał się, że to właśnie wdowa Olsen syknęła przez zęby.

– Kiedy przeszukiwałam mieszkanie, zadzwonił telefon. Nie odebrałam i włączyła się automatyczna sekretarka. Odezwał się męski głos, brzmiał bardzo staro. I facet wydawał się wkurzony. Wspomniał o jakimś nagraniu i żądał, żeby Magnus mu je przyniósł.

Oczy Guzmána rozbłysły, jakby na ich ciemnej i gładkiej powierzchni odbił się płomień ognia. Domyślił się, czyj to był głos.

– Policyjny raport tego też nie wspomina. Nie uznałaś tego za ważną informację?

– Powiedziałam już, że nie chciałam i nadal nie chcę nic wiedzieć o interesach, które prowadził Magnus. Skasowałam nagranie. Czy to ci wystarczy?

– Jeszcze jedna, ostatnia rzecz. Podczas naszego pierwszego spotkania wspomniałem ci, że pracuję dla niejakiego Arthura Fernándeza. Powiedziałaś, że nigdy o nim nie słyszałaś, i prawie ci uwierzyłem. Przyznam, że dobrze umiesz kryć emocje, i przypuszczam, że masz w tym doświadczenie. Ale mnie okłamałaś. Zdradziło cię zwykłe mrugnięcie. No wiesz, mrugnęłaś tak, jakbyś otworzyła okno i zaskoczył cię nagły powiew wiatru.

Irena Olsen wstała energicznym ruchem i spojrzała na Guzmána jak ktoś, kto sam podejmuje decyzje i ponosi konsekwencje swoich błędów.

– Nie mam pojęcia kim, do cholery, jesteś ani czego chcesz, ale nasza rozmowa dobiegła końca. Zapłać mi, jeśli chcesz, za to, co ci powiedziałam, albo na mnie donieś. Prawdę mówiąc, jest mi już wszystko jedno. Chcę, żebyś stąd wyszedł i nigdy nie wracał.

Guzmán okiem eksperta ocenił determinację kobiety. W myślach ujrzał Candelę w pokoju przesłuchań. Zobaczył ją po raz pierwszy, kiedy stała przed nim z rękami związanymi na plecach i patrzyła mu prosto w oczy. „Możesz połamać mi kręgosłup, jeśli chcesz. Ale nie wyrwiesz ze mnie tego, co mam w swoim wnętrzu”. Wtedy Guzmán jeszcze o tym nie wiedział, ale był to początek jego jedynej w życiu porażki i jedyne zwycięstwa. Nigdy nie udało mu się jej odebrać niczego, co w sobie ukrywała: woli życia i nadziei.

Przed odejściem podał wdowie czek, na którym wpisał kwotę o wiele większą od tej, jaka by wystarczyła, żeby poczuła wdzięczność. Tak czy inaczej koszty pokrywał Arthur, a hojność za cudze pieniądze sprawiała, że Guzmán czuł się wyjątkowo dobrze.

– Dlaczego aż tyle? – zapytała zaskoczona.

Guzmán popatrzył na nią z pewnym uznaniem. Czuł słabość do ludzi, którzy potrafią przetrwać. Do niej też – po co miałby zaprzeczać.

– Mam nadzieję, że za te pieniądze wyruszysz w długą podróż na drugi koniec świata. Może uda ci się zacząć życie od nowa i nikt nie będzie cię już nigdy traktował jak swoją maskotkę.

Cztery dni później Guzmán odniósł wrażenie, że świat zewnętrzny trzymał się od niego w bezpiecznej odległości, która zmieniała się w zależności od prędkości, z jaką się przemieszczał. Pomyślał, że jest małym elementem większej całości i ktoś skądś obserwował również jego nikłe życie. Rzeczywistość wyglądała jak niekończąca się zabawa w otwieranie matryoszek.

Przystanął, żeby posłuchać ulicznego grajka, który grał na gitarze klasycznej. Chłopak wyglądał jak obdartus, ale grał nadzwyczaj dobrze. W pokrowcu od gitary leżało kilka monet i nagranych domowym sposobem płyt CD. Mógłby stać się sławnym muzykiem zarabiającym miliony na koncertach w najważniejszych salach koncertowych świata, tymczasem ludzie po prostu mijali go w pośpiechu, nie zatrzymując się, żeby go posłuchać.

– Sztuka już nie zmieni dusz prostaków, bo prostytutki stali się głusi i ślepi i nie mają już dusz do stracenia – mruknął Guzmán, wrzucając kilka monet do pokrowca. To nie były jego słowa. Tak powiedziała Candela.

W oddali widać było wapienno-granitowy pałac de Oriente. Turyści robili sobie

zdjęcia przed ogrodzeniem otaczającym dziedziniec w czasie, gdy strażnicy królewscy dokonywali uroczystej zmiany warty. Za gmachem rozciągały się ogrody zimowe Campo del Moro, z których roztaczał się wspaniały widok na rezydencję i rzekę Manzanares. W otoczonych drzewami alejkach wyczuwało się nadchodzącą wiosnę, a tego ranka słońce jeszcze nie grzało zbyt mocno. Królewskie pawie na trawnikach rozkładały swoje ogony jak wielobarwne tęcze, nic sobie nie robiąc ze spacerowiczów. Niektórzy ludzie zatrzymywali się i robili im zdjęcia. Ale nie Dámaso, który nie marnował też czasu na karmienie gołębi pluskających się w fontannie de las Conchas, chociaż trzymał w ręku torebkę okruchów, którą kupił w kiosku przy wschodnim wejściu do parku. Guzmán śledził go z pewnej odległości. Gdyby antykwariusz nie odwracał się co chwilę, wyglądałby na osobę, którą pozornie był: starszego emeryta zabijającego czas i nudę w niedzielny ranek, spacerującego z melancholijnym wyrazem twarzy. Nawet ubranie pasowało do jego niegroźnego wyglądu: jasna, zapięta pod szyję koszula, dzianinowy kardigan, szare, zbyt wysoko podciągnięte spodnie, ściągnięte w pasie paskiem, buty na gumowych podszewkach, zwisające na łańcuszku okulary. Miał siwe, rzadkie, ale zadbane włosy, proste bokobrody i porządnie ogoloną brodę. Wyglądał jak sędziwy staruszek, może trochę mrukliwy, samotny, ale w każdym razie nieszkodliwy.

Widząc, jak wchodzi do publicznej toalety w pobliżu Groty Juana de Villanuevy, łatwo można było sobie wyobrazić, że ma kłopoty z prostatą i cztery, pięć, sześć razy na godzinę odwiedza WC, żeby z irytacją wysikać kilka kropli o czerwonym odcieniu. Ktoś o dobrym sercu poradziłby mu, żeby ograniczył palenie. Dámaso oddychał z trudem, wspinając się po stopniach budynku toalet, jakby jego płuca były dziurawymi miechami, z których uciekało powietrze. Prawdopodobnie ludzie, którzy mijali go na schodach i przepuszczali z uprzejmym uśmiechem (w niedzielne poranki wyczuwało się powszechną życzliwość), sądzili, że idący za nim przyszczaty nastolatek w okularach ze śmiesznymi oprawkami, który nie ma więcej niż piętnaście lat, jest jego wnukiem. Nikt nie wpadł na pomysł, żeby ich ze sobą porównać i odkryć bez trudu, że było to niemożliwe. Chłopak miał za ciemną karnację, zbyt kręcone włosy, a kształt jego nosa diametralnie różnił się od nosa Dámasa. Ludzie jednak nie myślą o takich rzeczach, mijając nieznanymi. Nie wyobrażają sobie ich życia, nie zadają żadnych pytań. Po co mieliby to robić?

Tymczasem Guzmán miał wiele pytań – pojawiały się jedno za drugim – i nigdy nie zostawiał ich bez odpowiedzi. Zasadniczo nie interesowali go ludzie, tylko osoba, której te pytania dotyczyły.

Bez trudu dowiedział się kilku szczegółów o antykwariuszu. Ludzie są nieostrożni, jeśli chodzi o przeszłość, szczególnie jeśli czują się bezpieczni. Wystarczyło kilka telefonów do starych przyjaciół, których znał z czasów, kiedy Hiszpania była zupełnie innym krajem niż obecnie. Jego dawni znajomi z hiszpańskiej policji, którzy bez żadnych skrupułów kontaktowali się z nim i prosili go o pomoc pod koniec lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, podczas walk z członkami ETA zbiegłymi do Chile, teraz go unikali. Dawali mu stanowczo do zrozumienia, że nie chcą mieć z nim nic wspólnego. Byli teraz komisarzami, szefami, zastępcami, mieli więcej do stracenia i mniejszą ochotę na stratę tego, co osiągnęli. Żeby ukryć strach, zasłaniaли się głównianymi rzeczami: rodzinami, karierą, wyrzutami sumienia: „To, co robiliśmy wtedy, nie było w porządku”. Żaden z tych drani, którzy odkładali słuchawkę, nie stracił więcej od niego, mimo to Guzmán okazał im wyrozumiałość i zyczliwość.

Nie chciał im przeszkadzać, nie pojawił się z przeszłości, żeby przekłuć bańkę gówna, w którym się taplali. Chciał tylko trochę informacji o facecie, w którym coś mu nie pasowało. „Na co ci to?” – pytali podejrzliwie. „Lepiej, żebyś nie wiedział i dalej odgrywał swoją farsę, stary”. To prywatne śledztwo. Teraz pracuje na własny rachunek. Większość ze znajomych wiedziała, że został wyrzucony z DINA przez sprawę tej nauczycielki muzyki. Może nawet domyślali się, że z policji za dyktatury Pinocheta nie odchodziło się tak po prostu ze zwykłym poklepaniem po plecach. Nie chcieli znać szczegółów i odwracali wzrok z przerażeniem na widok jego zniekształconej ręki. „Gdybyś widział, co mam w spodniach” – myślał Guzmán.

Tak czy inaczej udało mu się zebrać wystarczającą ilość informacji o pozornie zawnym emerycie, który szedł właśnie w stronę wyjścia z królewskich ogrodów, a za którym, w niewielkiej odległości, podążał nastolatek.

Gdyby ludzie byli lepszymi obserwatorami, zastanawialiby się, dlaczego Dámaso kupił torebkę z karmą dla gołębi, a teraz wyrzuca ją do kosza, żeby te skrzydlate szczury mogły się pobić o okruszki. Może ktoś zwróciłby uwagę na jego rękę, którą objął chłopca w pasie, sięgając palcami zbyt blisko jego pośladków. Guzmán nie wiedział, czy starzec jest żonaty czy owdowiały, czy ma dzieci albo wnuki, ani czy zamierza zamieszkać w górskiej chatce, kiedy sklep z antykami przestanie przynosić mu dochody. Wiedział jednak, że Dámaso Berenguer zajmował się wieloma innymi rzeczami poza handlem antykami, że w którymś momencie życia był spekulantem, fałszerzem, prał brudne pieniądze dla bardzo bogatych ludzi, a do tego jest pedofilem.

Ze względu na to ostatnie miał małe kłopoty z prawem w połowie lat

dziewięćdziesiątych. Klienci baru zaskoczyli go w toalecie z młodym chłopcem, który – podobnie jak ten, który teraz wsiadał z nim do zaparkowanego niedaleko bramy seata – wyglądał na jego wnuka. Tamten chłopiec stał ze spuszczoneymi spodniami, a Dámaso dosłownie wgrzyzał mu się w pośladki. Gdyby policjanci nie wyciągnęli go stamtąd, torując sobie drogę pałkami, klienci rozdarliby go na strzępy. Kara sześciu miesięcy pozbawienia wolności ostatecznie została zmieniona na grzywnę.

Jadąc za samochodem Dámasa w kierunku strefy przemysłowej na przedmieściach Madrytu, Guzmán myślał o gwiazdach nad pustynią Atacama, miękkiej skórze – trochę gorzkiej od potu i braku higieny – Candelii, ich rozmowach na barłogu rzuconym na ziemię w celi, w której miał ją przesłuchiwać, a nie się w niej zakochać. „Masz dzieci?” „Nie. Po co? Nie chcę patrzeć, jak cierpią na tym gównianym świecie”. Guzmán często powtarzał słowo „gówno” i z biegiem lat zauważył, że to gówno do niego przywarło, do ust, do podeszew butów.

Kiedy samochód Dámasa skręcił bez włączania kierunkowskazów w kierunku strefy przemysłowej Las Cárdenas, Guzmán rozmyślał o Boschu i jego ludziach: mimo potworności, które wyrządzili mu tamtej nocy, jego szef nie chciał go zabić. A powinien to zrobić. Wtedy wciąż by żył i nie zostawił po sobie w Santiago wdowy i trzech półsierot. Byłby świadkiem przywrócenia demokracji w Chile i starań hiszpańskiego sędziego Garzóna, który uparcie polował na Pinocheta – dyktatora uciekającego przez pół świata, udającego zgrzybiatego i schorowanego staruszka. „Nigdy nie wolno zostawiać niedokończonych spraw” – powtarzał mu Bosch. I miał rację. Zdał sobie z tego sprawę w noc, kiedy Guzmán pojawił się pod jego domem i odstrzelił mu głowę ze strzelby.

Samochód Dámasa – niebieski seat z naklejką na tylnej szybie „Przyjedź do Cuenki” – zaparkował pod halą przemysłową. Za ogrodzeniem pies szarpiący się na łańcuchu przykutym do betonowego kloca szczekał, pokazując ostre żółte zęby. Starzec i chłopak wysiedli z auta i weszli na posesję. Pies zaczął szczekać jeszcze głośniej i gwałtownie szarpać łańcuch, próbując ich bezskutecznie dosięgnąć. Psy przerażały Guzmána. Dosłownie paraliżowało go na ich widok. Musiał zebrać w sobie całą odwagę, żeby przetrwać swój strach. Po kilku minutach wysiadł z samochodu i przeskoczył przez ogrodzenie, ponieważ Dámaso zamknął za sobą furtkę na klucz. Chociaż pies – mimo wielkiego wysiłku – nie mógł go dosięgnąć, Guzmán dotarł do wejścia, trzymając się jak najbliżej ściany budynku.

Hala była pusta. Kiedyś pewnie służyła za magazyn – w kącie nadal leżało kilka palet z miedzianym drutem nawiniętym na szpule. Przy jednej ze ścian stał wielki

baner z napisem NA SPRZEDAŻ i numerem telefonu jakiegoś biura nieruchomości. Pod sufitem przez całą długość hali przechodził ruchomy dźwig. Pośrodku hali z łańcucha o grubych ogniwach zwisał ogromny hak. Wszędzie był kurz i brud. Po prawej stronie małe schodki prowadziły na półpiętro, na którym znajdował się barak z prefabrykatów, prawdopodobnie kiedyś mieściły się tam biura przedsiębiorstwa. Przez matowe szyby mignęła postać Dámasa i jego towarzysza.

Wchodząc po metalowych stopniach i ignorując hałas, który przy tym robił, Guzmán domyślał się, jaki czeka go widok. Wyobrażnia jest niczym przewidywanie przyszłości, tej dalekiej i tej bliskiej. Nie obchodziła go scena, której miał być za chwilę świadkiem. Ani to, co się potem wydarzy. Wiedział doskonale, co będzie. To on wymyślał przyszłość.

Dotarł do drzwi ze sklejki: opadały na zawiasach i były w złym stanie. Zauważył pęknięcia i wgniecenie, jakby ktoś wyładował na nich złość, uderzając w nie pięścią, co z pewnością musiało bardzo zboleć. Może to był pracownik dawnej fabryki, któremu z dnia na dzień bezceremonialnie wręczono wymówienie. A może ktoś, kogo kiedyś przyprowadził tam Dámaso.

Starzec i chłopak stali, przywierając do siebie ciałami, jakby chcieli, żeby to, co robili, pozostało między nimi, chociaż zanim Guzmán wtargnął do pomieszczenia, byli sami i nie musieli przed nikim się ukrywać ani niczego wstydzić. Chyba że siebie samych.

Spojrzeli na niego jednocześnie z zaskoczeniem, ich wzrok wydał mu się w równej mierze komiczny co tragiczny. Chłopak był przerażony, odsunął się od antykwariusza na kilka centymetrów, odsłaniając smętnie stojący penis Dámasa, który trzymał w prawej ręce. Trzymał go jeszcze przez ułamek sekundy, jakby się obawiał, że spadnie w przepaść. Tymczasem starzec zrobił nieokreślony ruch, jakby chciał zapiąć rozporek. Z tylnej kieszeni jego spodni wystawał róg chusteczki. Pewnie miał zamiar się nią wytrzeć, kiedy skończą.

– Wynoś się, chłopcze – nakazał Guzmán.

Ten wahał się przez chwilę, szukał w spojrzeniu Dámasa jakiegoś wsparcia, powodu, dla którego mógłby odmówić. Ale antykwariusz był biały jak ściana i patrzył w podłogę. W końcu chłopak – uważając, żeby nie dotknąć Guzmána, który blokował swoim ciałem niemal całe wejście – wyszedł z pomieszczenia i pospiesznie zbiegł po schodach.

Dámaso nie stawiał oporu, nawet nie starał się usprawiedliwić. O nic nie zapytał, niczego nie wyjaśniał ani nie komentował. Mimo to Guzmán wyciągnął z kieszeni składaną pałkę, rozłożył ją ze świstem i uderzył starca w szyję. Trafił w tętnicę między dolną szczęką a obojczykiem. Uderzenie było tak silne, że

Dámaso runął na ziemię jak worek ziemniaków i stracił przytomność. Guzmán nie musiał go bić – przynajmniej nie na początku – ale nie czuł z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Według jego skali wartości przypominającej kręte schody, na które wchodził lub z których schodził, w zależności od tego jak mu pasowało, tego, co zobaczył, nie należało traktować z pobłażaniem.

Otworzył na chwilę oczy, ale oślepiiony światłem, ponownie je zamknął. Czuł zapach mokrego ubrania, na oparciu krzesła wisiała skórzana kurtka; do jego uszu dobiegł dźwięk kapiących z parasola kropli i bębnienie gdzieś wysoko nad głową. Pewnie padał deszcz. Usłyszał blisko twarzy głos Guzmána i poczuł jego oddech, pachnący gumą owocową, chyba truskawkową.

– Jak się czujesz?

Dámaso próbował się podnieść z krzesła, ale nie pozwolił mu na to ból szyi.

– Spokojnie, nie ruszaj się albo zrobisz sobie krzywdę – szepnął Guzmán, kładąc mu rękę na klatce piersiowej.

Starzec dotknął swojej twarzy. Miał tylko kilka siniaków, a na łuku brwiowym małe rozcięcie. Najgorszy był szum w głowie i silna sztywność szyi. Serce biło mu jak szalone.

– Jesteś ogłuszony uderzeniem – wytłumaczył Guzmán.

Podszedł do niego od tyłu i po przyjacielsku poklepał go po ramieniu swoją spaloną ręką z amputowanym małym palcem. Sprawiał wrażenie, jakby poczuł prawdziwą ulgę, że antykwariuszowi nie stało się nic poważnego. Patrzył szczerze i uśmiechał się szeroko jak dziecko na widok świątecznej choinki. Mimo to w sposobie, w jaki nadymał pierś i jak oddychał, kryło się coś posępnego.

Znajdowali się w podziemnym magazynie, w którym Dámaso ukrył swoją niewielką filmotekę. Serce mu się ścisnęło, kiedy zdał sobie sprawę, że Guzmán bez żadnej ostrożności grzebał w taśmach i błonach filmowych. Ten głupiec nawet nie zdawał sobie sprawy z wartości przedmiotów, które sponiewierał. Bez sensu było pytać, co tam robili i jak znalazł to miejsce. A mimo to Dámaso skomentował:

– Nie masz prawa tego robić. Moje życie to moja sprawa. Jeśli chcesz donieść na mnie na policję, to proszę bardzo. Ale tego nie możesz robić – powtórzył.

Guzmán skinął głową. To prawda, nie miał prawa robić *tego* (jeszcze niczego nie zrobił). To jednak nie zmieniało sytuacji; raczej wyjaśniało ją. Prawo do robienia lub nierobienia czegoś; sprawiedliwość, niesprawiedliwość; legalność, nielegalność... Słowa, abstrakcyjne pojęcia, które w tej chwili na niewiele się przydawały. Wziął krzesło, postawił je naprzeciwko starca i usiadłszy, położył łokcie na oparciu. Trwał tak w milczeniu przez dłuższą chwilę, uważnie

obserwując antykwariusza. Chciał wywołać w nim niepokój związany z oczekiwaniem. „Co się teraz stanie?”.

– Niezły kram sobie tu na dole zrobiłeś. To lepsza kryjówka niż schron przeciwiatomowy. I wszystko tylko po to, żeby w gronie kumpli oglądać filmy z Charliem Chaplinem? Naprawdę trudno mi w to uwierzyć. Tym bardziej że znam twoją przeszłość.

– To nie twoja sprawa. Nie ma w tym nic nielegalnego.

– Naprawdę? W takim razie dlaczego mnie okłamałeś?

Dámaso przełknął ślinę. Gdyby ten facet był policjantem, można byłoby mieć nadzieję, że sprawa skończy się dobrze. Ale Guzmán nie był psem i to starca przerażało.

– Bywają tu ludzie, którzy chcą zachować swoją anonimowość. Nie wiem, kim jesteś ani czego chcesz, ale popełniłeś poważny błąd. Będziesz miał duże kłopoty.

Dámaso próbował mówić stanowczym tonem, ale głos mu drżał. Fasada oporu rozsypała się całkowicie, kiedy Guzmán wyciągnął do niego rękę – ten kawałek spalonego mięsa i pomarszczonej skóry – i zdjął mu z nosa okulary. Bez szkieł powiększających oczy Dámasa nie wydawały się większe od oczek myszy.

– Nie stawiaj się, stary. Chcę tylko pogadać. Postarajmy się zachowywać w sposób cywilizowany.

– Czego chcesz? Pieniądzy? Jesteś szantażystą? To masz pecha, bo nie mam ani jednego euro.

– Nie bądź idiotą. Nie przyszedłem, żeby rozmawiać o twoich chorych zboczeniach. Jest mi obojętne, kogo rzniesz w tyłek. Mam kilka pytań, na które oczekuję odpowiedzi, to wszystko. Proste jak drut, jeśli zaczniesz współpracować i przestaniesz się stawiać. Nie lubię patrzeć na niepotrzebne cierpienie. Chyba się starzeję i mięknę.

– Co to za pytania?

– Pierwsze: w dniu, w którym Magnus Olsen popełnił samobójstwo, ktoś do niego dzwonił i nagrał się na automatyczną sekretarkę. To byłeś ty?

– Powiedziałem ci już, że słabo go znałem. To nie ja dzwoniłem.

Guzmán napiął ramiona. Zanim Dámaso zdążył zareagować, poczuł na ustach pięść, która rozwalila mu wargę. Zachwiał się na krześle, ale Guzmán nie pozwolił mu z niego spaść – wyciągnął rękę w odpowiedniej chwili, żeby go przytrzymać. Co dziwne, nie zrobił tego z przemocą, ale ostrożnie, jakby antykwariusz był słabym staruszką, który potknął się na ulicy i dobra dusza przyszła mu z pomocą. Efekt był niepokojący.

– Nie ułatwiasz mi pracy, Dámaso. W ten sposób wejdziemy w ślepią uliczkę.

Nie przejmuj się tym, co sądzisz, że wiem, i nie próbuj ważyć słów ani się zastanawiać, jakiej oczekuję odpowiedzi. To często popełniany błąd. Uwierz mi, mam w tym doświadczenie. Skup się na tym, co wiesz, i gadaj. Uwolnij się dobrowolnie od tego ciężaru albo będę zmuszony go z ciebie wyrwać. Czy to ty nagrałeś się na automatyczną sekretarkę?

Dámaso powoli skinął głową.

– Tak jest o wiele lepiej... A teraz opowiedz mi o nagraniu, którego żądałeś od Olsena. Przypominając sobie chłopaka, który niedawno trzymał cię za kutasa, domyślałam się, że nie chodziło ci o film z Haroldem Lloydem. Mam rację?

Starzec nie spuszczał z oka pięści Guzmána. Czuł smak krwi, która spływała mu po dziąsłach, między zębami i go dławiała.

– Kolekcjonuję *specyficzne* filmy. Produkcje zamawiane przez klientów. Unikaty nie do zdobycia. Powtarzam, nic nielegalnego. Ale to, co ty robisz, jest poważnym przestępstwem. Magnus Olsen był członkiem klubu, pożyczyłem mu bardzo stary film i długo zwlekał z jego oddaniem, więc się o niego upomniałem. To wszystko.

– Kłamiesz.

– Przysięgam, że mówię prawdę.

Nie można było zaprzeczyć, że antykwariusz nie dostał szansy. Zgodnie z zasadami, których Guzmán nauczył się od Boscha, przesłuchiwany musi mieć możliwość zachować się jak tchórz, zdradzić samego siebie, swoją rodzinę, przyjaciół, flagę, hymn i ojczyznę, swoje ideały. Trzeba dać mu szansę, by mógł poddać się dyskretnie, bez świadków, i pokazać mu, że postępuje prawidłowo, że ból jest niepotrzebną i bezużyteczną męką, kiedy wszystko i tak jest z góry stracone.

Jeśli zmarnuje tę szansę, należało go tłuc tak długo, aż zmieni się w miękką papkę.

Guzmán wstał i podszedł do metalowej szafy z przesuwanymi drzwiami. Na kilku półkach stały taśmy filmowe ustawione w porządku alfabetycznym i według dat. Lubił kino, szczególnie amerykańskie z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Nie był zbyt wymagający: Kevin Costner, Tom Cruise, Michael Douglas. Zwykło się mówić, że to komercyjne śmieci, ale on lubił chodzić do kina i jeść popcorn. Kiedyś powiedział o tym Candeli – byli w celi, a on pocałował jej poranione usta, które goiły się po pierwszych przesłuchaniach. Ona się nie poddała. On tak.

Roześmiała się, kiedy przyznał, że podobał mu się *Wodny świat* i *Top Gun*. Uśmiechała się szeroko, ukazując niewielką diastemę. Zawsze wyobrażał sobie, że tak śmiała się bohaterka *Gry w klasy*, chociaż nie wiedział dlaczego. Candela

śmiała się bezgłośnie, żeby nie usłyszeli jej więzienni strażnicy i nie zabrali jej tej radości, tych kilku kropli szczęścia. Guzmán poczuł się lekko zraniony, że kpi z jego filmowych gustów, ale nie przestał się uśmiechać. Ani myśleć, że śmiała się jak bohaterka powieści Cortáзара.

– Na przykład takie? – zapytał Dámasa, wskazując jedną z kopii filmu *Oskarżam!* Guzmán nie wiedział, że ta taśma była bezcenna i oprócz filmu z 1919 roku zawierała fragmenty odrzucone przez francuskiego reżysera Abla Gance’a. Ale widząc przerażenie na twarzy Dámasa, który nie miał odwagi wstać, tylko poruszył się na krześle i wyciągnął rękę, wiedział, że trafił w dziesiątkę.

– Uważaj, proszę. To bardzo delikatny materiał.

„Delikatne są dzieci, wzruszenia i chmury. Życie jest kruchą równowagą, którą łatwo naruszyć, książki się pali, słowa płoną” – pomyślał Guzmán. Otworzył wieczko i podarł taśmę na strzępy. To samo zrobił z *Kołem udręki* i *Napoleonem*, również wyreżyserowanymi przez Gance’a. Bez cienia żalu w minutę zniszczył filmy, które wzniosły na wyżyny francuską kinematografię dźwiękową.

W przypiływie odwagi, rozpacz i głupoty (która jest podstawą odwagi) Dámaso podskoczył z krzesła i próbował powstrzymać go prośbami i płaczem. Człowiek, który bez cienia skruchy pozbawiał dzieci niewinności, teraz płakał, jakby był świadkiem końca świata, niezrozumiałej tragedii.

– Błagam, proszę, przestań. Powodujesz nieodwracalne straty – jęczał, próbując odebrać Guzmánowi kolejną szpulę.

Guzmán spojrział na niego z pogardą. Jego wzrok otoczył starca jak mgła górskie szczyty.

Dziadek Boscha był Włochem, zagorzałym faszystą, chociaż bardziej sympatyzującym z Hitlerem niż z Mussolinim, którego zawsze uważał za zbyt włoskiego. Ten starzec o niewinnym wyglądzie opowiedział wnukowi pewnego razu, że jego szef w Waffen SS płakał, słuchając Wagnera, podczas gdy jego ludzie szczuli psy na Żydów tłoczących się z przerażeniem na stacji, z której transportowano ich do obozów koncentracyjnych. Dziadek Boscha opowiadał o tym ze łzami wzruszenia w oczach.

Guzmán odepchnął Dámasa silnym kopniakiem w żołądek, ten zaczął łapać ustami powietrze jak zdychająca ryba.

– Mogę to robić i zrobię. Spalę to miejsce z tobą w środku, jeśli nadal będziesz marnował mój czas i nadużywał mojej cierpliwości.

Dámaso splunął krwią, oddychał z trudem.

– Który film miał ci oddać Olsen? Odpowiedz. Nie martw się, nie osądzam cię. Pytam ze zwykłej ciekawości. Nie obchodzą mnie twoje pobudki. Każdy z nas

czymś się kieruje.

W tej właśnie chwili Guzmán zastanowił się, czy nie wyrwać mu szczypcami języka. Nie zrobił tego jednak ani nie przestał się uśmiechać. Ten drań niemy na nic by mu się nie przydał.

– Masz tutaj niezłą kolekcję, stary. Mogę się założyć, że zbierałeś ją przez pół życia. Ale widzisz, jak łatwo może ulotnić się wysiłek tak wielu lat.

Dámaso zamknął oczy. Słysząc było jego rżący oddech. Leżał skulony na boku, w pozycji embrionalnej, z ust spływała mu krew i ślina, tworząc na podłodze małą kałużę. W pewnej chwili na tyle spodni zaczęła rozlewać się brązowa plama. Zrobił pod siebie. Wyciągnął rękę i wskazał w stronę foteli.

– Z tyłu, za fałszywą ścianką – wydusił z siebie.

Na pierwszy rzut oka za ekranem znajdowała się niska ścianka, ale kiedy Guzmán jej dotknął, okazało się, że to była zwykła kartonowo-gipsowa płyta. Po prawej stronie, jakieś pół metra od podłogi, widać było szczelinę. Guzmán lekko popchnął płytę i jego oczom ukazały się drzwiczki sejfu. Skrytka była zamknięta na dwa zamki i cyfrowy kod.

– Co tu chowasz? Szczepy eboli?

Starzec wyciągnął klucz z kieszeni, drugi był schowany pod listwą z kontaktami. Włożył je i przekręcił w zamkach równocześnie. Potem wpisał kod składający się z trzech liter i czterech cyfr i otworzył sejf.

– Nie wiesz, co robisz – mruknął, ocierając usta grzbietem dłoni.

Guzmán odsunął go bezceremonialnie na bok i zbliżył się do skrytki. Nigdy nie bał się przekraczać otwartych drzwi ani nie przejmował się tym, co znajdzie po drugiej stronie. Najgorsze już w życiu przeżył.

W środku stało kilkadziesiąt czarnych pudełek wyglądających jak książki. Na grzbiecie każdego widniała naklejka z datą i dwiema literami oddzielonymi kropką. Guzmán domyślił się, że napisał je Dámaso i stanowiły czyjeś inicjały. Otworzył kilka pudełek, wszystkie zawierały nagrane płyty CD z tymi samymi inicjałami i datą jak na pudełku.

– Co to jest?

– Filmy pornograficzne, bardzo mocne.

Guzmán zrozumiał.

– Założę się, że grają w nich członkowie klubu miłośników kina i dam sobie uciąć rękę, tę zdrową, że pojawiają się w kompromitujących pozach. Co tam jest? Pornografia dziecięca? Zoofilia? Sado?

Sprzedawca antyków spojrzał na niego przygnębionym wzrokiem, ale nie odpowiedział. Guzmán pokiwał głową z udawanym zachwytem. „Człowiek

wymyślił już wszystko – pomyślał – nawet perwersje, które kiedy się powtarzają, też powszednieją. Bogaci nie potrafią zdobyć się na oryginalność, nawet kiedy chcą zachowywać się jak prawdziwi degeneraci. Wyobrażam ich sobie tutaj: siedzą w fotelach jeden obok drugiego, gapią się w ekran, palą cygara i masturbują się wzajemnie, wśród chichotów i wulgarnych komentarzy”. Czy tak właśnie było? A może, wręcz przeciwnie, patrzyli na to wszystko jak intelektualiści, którzy oceniają ujęcia, światło i grę aktorów?

– Domyślałam się, że płacili ci majątek za oglądanie twoich filmów. To musieli być bogaci ludzie.

Dámaso rzucił mu groźne spojrzenie.

– Nie tylko oglądali filmy. Niektórzy dużo zapłacili, żeby w nich wystąpić. Ludzie, których nie jesteś w stanie nawet podejrzewać i którzy zrobią wszystko, żeby zachować anonimowość.

Guzmán patrzył na starca spokojnie i był w stanie zrozumieć, że niektórzy czuli strach przed jego płonącym, pustym spojrzeniem. On nie czuł żadnej presji. Przemoc była jego środowiskiem naturalnym, w którym żył i z którego się utrzymywał. Dámaso ani jego wpływowi przyjaciele nie byli w stanie zrobić mu ani zabrać niczego, czego by już wcześniej mu nie zrobiono czy odebrano.

– Tak właśnie się stało z Magnusem Olsenem? Wy go zabiliście?

– Nie wiem, o czym mówisz.

Guzmán westchnął ciężko. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

Powoli zdjął pasek – skórzany pasek z dużą klamrą. Rozciągnął go szybkim ruchem, po czym okręcił wokół ręki i strzelił jak z bicia. Zanim starzec zrozumiał jego zamiary, Guzmán przyskoczył do niego i zacisnął pasek mocno na jego szyi.

– To straszne uczucie, kiedy zaczyna brakować powietrza – szepnął mu do ucha, przyciągając jego kark do swojego ramienia i dusząc go z siłą. Starzec charczał i bezskutecznie próbował uwolnić się z uścisku. – Płuca bardzo się poszerzają, szukając jakiegokolwiek szczeliny, bańki powietrza, żeby móc nadal pompować tlen. Możesz umrzeć w każdej chwili, ale twój mózg nadal będzie funkcjonował. Wystarczy rozluźnić uścisk i wpuścić odrobinę powietrza, żebyś mógł dać mi odpowiedź. Sądzę, że to się właśnie przydarzyło Olsenowi, tylko że sprawca źle obliczył swoją siłę i go udusił. Potem dość nieudolnie upozorował samobójstwo, w które uwierzyła policja. Oni wierzą we wszystko, co wydaje się wiarygodne.

Guzmán rozluźnił ucisk. Antykwariusz zaczął kaszleć i łapczywie brać powietrze do płuc. Oczy mu łzawiły i pluł bez przerwy.

– Bandziory, których na niego nasłałeś, były tak niekompetentne, że nie

skasowały wiadomości na automatycznej sekretarce.

Dámaso pomasaował szyję. Jej pomarszczona i zwiotczała skóra nabrała różowej barwy, która wkrótce zmieni się w fioletową. Oczy wychodziły mu z orbit jak rozjechanej przez ciężarówkę żabie. Wciąż jednak milczał. A może miał zamkniętą głośnieć. Guzmán z rezygnacją pokręcił głową. Wyjął nóż sprężynowy i go otworzył. Cienkie, wąskie jak sztylet ostrze celowało w twarz starca niczym wygrażający palec.

– Nie dasz rady, stary. Nie wytrzymasz nawet dwóch minut tego, co chcę ci zrobić. I w sumie po co? W końcu powiesz mi to, co chcę wiedzieć, i umrzesz tu sam jak pies, we własnym gównie.

Dámaso zasłonił rękami twarz.

– Dzięki Olsenowi zarobiliśmy mnóstwo pieniędzy. On też się obłowił, nie wspominając o ogromnych korzyściach dla jego interesów. Miał dostęp do sejfu i listy klientów z prawdziwymi danymi, bo z oczywistych powodów w filmach zawsze występują pod pseudonimami. Zauważyliśmy, że nas okradał, kiedy było już za późno. Zrobił kopie nagrań i wszystkich szantażował. Niektórzy mu zapłacili, inni pomogli mu w jego matactwach, ale posunął się za daleko. Źle ocenił swoje ostatnie posunięcie. Próbowałem przemówić mu do rozumu, kiedy pojąłem, co zamierza zrobić, i dlatego do niego zadzwoniłem. Ale było za późno. Nie wiem ani nie chcę wiedzieć, co się dokładnie wydarzyło, ale jednego jestem pewien: ja go nie zabiłem ani nie zlecił tego żaden członek klubu. Większość z nich nawet nie wiedziała o tej sytuacji. Gdyby ktokolwiek zaczął coś podejrzewać, znalazłbym się w niebezpieczeństwie, rozumiesz?

Guzmán uważnie obejrzał sejf.

– Które nagrania skopiował?

– Co najmniej kilkadziesiąt. Nie wiem dokładnie które. Po jego śmierci klub został rozwiązany, a wszystkie materiały – zniszczone.

Guzmán uniósł jedną brew z niedowierzaniem i wskazał na płyty w sejfie.

– To są najważniejsze i najbardziej kompromitujące filmy. Nigdy ich nie użyłem, ale ludzie, którzy się na nich pojawiają, muszą wierzyć, że jestem do tego zdolny. W innym wypadku już dawno bym nie żył. To moja gwarancja na spokojną emeryturę.

– Czy ostatnia płyta, którą ukradł Olsen... pochodziła z tej ekskluzywnej kolekcji?

Dámaso zbladł jeszcze bardziej, o ile to było możliwe.

Pod jego powiekami pojawiły się niebieskie żyłki wyglądające jak korzenie poszukujące odpowiedniego podłoża. Guzmán ledwo dosłyszał niepewne

potwierdzenie z ust antykwariusza.

– Kogo pogrążyła? Założę się, że gdzieś ukryłeś kopię.

Po raz pierwszy Dámaso odzyskał kontrolę nad sytuacją. Wydał z siebie cichy chichot, który zamienił się po chwili w suchy, złośliwy i okrutny śmiech.

– Nie masz pojęcia, czego szukasz, prawda? Dotarłeś tutaj dzięki intuicji, ale teraz czujesz się jak ślepiec, który zgubił laskę.

Guzmán doskoczył do niego, złapał go jedną ręką za szyję, a drugą silnie uderzył w twarz dwa, trzy razy, aż usłyszał chrzęst pękającej przegrody nosowej.

Kiedy go puścił, starzec już się nie śmiał.

– Wyśpiewasz wszystko temu ślepcowi. Będziesz moim przewodnikiem, a kiedy z tobą skończę, może pozwolę, żeby twoje parszywe serce biło ci w piersi.

Guzmán wyszedł z magazynu obłany potem. Wytarł chusteczką plamy krwi na koszuli i wziął głęboki oddech. Intuicja podpowiadała mu, żeby złapał taksówkę i nie zahaczając o hotel, pojechał prosto na lotnisko, żeby zapomnieć o pieniądzach, które obiecała mu Diana, a Arthur miał zapłacić. Mógł polecieć do Santiago, Buenos Aires, Limy albo gdziekolwiek indziej, żeby ukryć się na kilka miesięcy.

On jednak słuchał swojej intuicji tylko wtedy, kiedy służyła jego celom. Od dziecka nienawidził zostawiać niedokończone krzyżówki i nierozwiązane zagadki. Ale najbardziej wkurzało go, że ktoś – w szkole czy na podwórku – mógłby wziąć go za głupka i nabijać się z niego i nie ponieść za to żadnych konsekwencji.

Zatrzymał taksówkę, ale nie kazał kierowcy jechać na lotnisko.

Rozdział 15

Dyrektor banku powitał Arthura z denerwującą służalczością, jakby ignorował fakt, że nie widział swojego klienta przez trzy lata, albo udawał, że nie zna powodu tej nieobecności. Arthur poprosił o dostęp do swojej skrytki i pozostawienie go samego.

Przechowywał tam rzeczy, z którymi nie chciał być kojarzony: fałszywe paszporty różnych państw, których bez dokładnych badań nikt nie był w stanie odróżnić od prawdziwych, dolary, euro i juany, po których nie było śladu w księgach rachunkowych, dokumenty dotyczące kont bankowych w rajach podatkowych, informacje pochodzące ze szpiegostwa przemysłowego, przedsiębiorstw córek, plany podatkowe, które Diana przygotowywała dla niego od lat i które były tak zagmatwane i skomplikowane, że żaden inspektor skarbowy nie mógłby sam ich rozpracować. W skrytce leżał też samopowtarzalny pistolet HK z dwoma pełnymi magazynkami, na który nie miał pozwolenia.

Z dna skrzynki wyjął kopertę, a z niej płytę CD. Kiedy ważył ją w ręku, drżały mu palce, jakby była ciężka jak kowadło i z trudem mógł ją utrzymać.

Po powrocie do swojego biura usiadł przed monitorem komputera.

W ciemnościach kształty i obrazy zaczęły odbijać się na jego skupionej twarzy. Na początku widać było ścianę z cegły. W jej dolnej części, blisko podłogi, znajdował się okrągły ślad po sadzy i resztki czegoś, co musiało się niedawno spalić – może kilka połamanych krzeseł, szafka czy poczerńałe i dymiące drzwi. Trudno było dostrzec wszystkie szczegóły, nagranie było złej jakości, kamera za szybko się poruszała, nie zatrzymując się wystarczająco długo na poszczególnych ujęciach. Na ścianie odbijał się cień kamerzysty, słychać było oddech i głucho pukanie, jakby nad jego głową padał deszcz. W pomieszczeniu musiało strasznie śmierdzieć, ponieważ na ekranie mignęła ręka operatora unosząca chusteczkę do twarzy. Na podłodze wały się strzykawki i poczerńiała łyżeczka.

Po prawej stronie ekranu pojawił się facet z zakrytą twarzą. Miał pomarszczoną skórę i siwe owłosienie na gołym torsie. Powłócząc nogami, podszedł do magnetofonu i go włączył.

– Taką lubisz muzykę? – Odezwał się gardłowy głos z trudno rozpoznawalnym akcentem.

*Who can say where the road goes,
Where the day flows?
Only time...
and who can say in your love grows, as your heart chose?
Only time...^[8]*

Kamera w tym czasie obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Ten, kto reżyserował tę ponurą choreografię, trzymał się na uboczu, w cieniu, i palił iskrzącego się w ciemnościach papierosa. Ręką pokazywał kamerzyście, gdzie ma mierzyć obiektywem. Nikt nic nie mówił. Słysząc było tylko muzykę, deszcz i szumy, kiedy kamerzysta dotknął niechcący ręką mikrofonu.

Kamera złapała jeden kadr.

Arthur zatrzymał obraz.

To była ona. Jego córka. Aroha. Uśmiechała się do kamery i kiwała ręką, jakby kręcili rodzinny film.

Arthur pochylił się do przodu i chociaż wbił mocno stopy w podłogę, miał wrażenie, że jego gabinet się zdematerializował. Spojrzał na twarz swojej dziewczynki, jej nieidealny profil na ziarnistym, nieostrym, słabo oświetlonym obrazie. Kilka miesięcy wcześniej wróciła z kliniki w Genewie i wydawało się, że wszystko szło w dobrym kierunku. Podciągnęła się w nauce, zaczęła prowadzić uporządkowane życie: lekcje w liceum francuskim, konne wycieczki, znajomi z tej samej dzielnicy. Typowa, spokojna egzystencja bogatej dziewczyny.

Arthur znalazł każdy pieg na jej policzkach i skrzydełkach nosa, które rozszerzała, kiedy się śmiała.

Znów puścił nagranie.

Teraz się nie śmiała.

Obiektyw powiększył jej twarz. Aroha była wychudzona i miała brudne włosy. Bliskość kamery przeszkadzała jej, próbowała osłonić się ręką, ale to nie wystarczało, więc zaczęła czołgać się jak dziecko, zmieszana, powolnymi, niezdarnymi i drętowymi ruchami. Przez otwarty rozporek w spodniach widać było trójkąt majtek, a spod koszulki z krótkimi rękawami wystawały ramiączka czarnego biustonosza. Zgubiła but, a może go zdjęła i teraz nie mogła go znaleźć.

– Daj spokój, przestań z tym głównym. – Jej głos brzmiał miękko, jak guma do żucia, której nie można odkleić od podeszwy, tylko ciągnie się i ciągnie, staje się włóknista, splątana, cienka.

Była naćpana. Może wkuła się w pachwinę, stąd rozpięte spodnie, a może w podeszwę stopy, stąd nie ma buta. Każde najbardziej nieprawdopodobne miejsce było dobre, żeby tylko rodzice nie znaleźli śladu. Ojcowie od pewnego wieku szanują prywatność swoich córek. Jeśli przypadkiem otworzą drzwi i zobaczą córkę w bieliźnie, odwracają się zawstydzeni, bąkając przeprosiny. Matki są inne. Matki wiedzą. I milczą.

– Powiedz coś do kamery – odezwał się kamerzysta.

– Co mam powiedzieć?

– Powiedz, że spóźnisz się na lekcję jazdy konnej – powiedział ktoś, wychodząc powoli ze swojego ciemnego kąta i stając obok niej. Twarz też miał zakrytą kominiarką.

– Wystarczy tych głupot. Chcę wrócić do domu – powiedziała przestraszonym głosem Aroha, wlokąc się w stronę brudnego kąta.

– Jeszcze nie. Najpierw trochę się zabawimy. Tak samo jak ostatnim razem.

Aroha była ruchomym celem. Kamera śledziła ją, kiedy pełzła po podłodze i oparła się plecami o ścianę. Zmiana ujęcia – gwałtownym i mimowolnym ruchem kamerzysty – po czym obraz zniknął.

Gdy znów się pojawił, widać było Arohę z rękami i nogami przywiązanymi kawałkami skręconego drutu do starej ramy łóżka. Jej nagie ciało skręcone było na bok, ale nie stawiała żadnego oporu ani nie walczyła, żeby uwolnić się z więzów. Wydawała się znużona. Jej ramiona i nogi błyszczały w sztucznym świetle lampy kamery jak polakierowane, nierealne, jak u porcelanowej lalki. Facet o owłosionym torsie klęczał przy niej na wysokości jej głowy i z zaskakującą czułością głaskał jej spocone włosy. Arthur mógłby przysiąc, że mężczyźnie zadrżała ręka, kiedy dotknął jej policzka. Ale może to trzęsły się ręce kamerzysty. Mężczyzna rzucał ukradkowe spojrzenia do kamery, jakby czekając na rozkaz.

– Zrób to – rozległ się głos drugiego zamaskowanego człowieka, stojącego poza obiektywem.

Facet położył się na Arosze i zaczął udawać, że odbywa z nią stosunek. Początkowo dziewczyna wydawała się po prostu niezadowolona. Patrzyła do kamery mętym wzrokiem, bełkocząc coś niezrozumiale. Stopniowo jednak zdenerwowanie i dyskomfort ustępowały zrezygnowanej akceptacji. Było oczywiste, że Aroha nie przechodziła przez to po raz pierwszy i na pewno nie z własnej woli.

Ale tym razem sprawy zaszły za daleko.

Mężczyzna w kominiarce odepchnął starszego.

– Nie tak. Pokażę ci, jak to się robi.

Rozpiął rozporek w swoich markowych dzinsach z dziurami i pochylił się między nogami dziewczyny. Prawą ręką – o długich i delikatnych palcach – uderzył ją z całej siły w policzek.

Na widok znieruchomiałej na chwilę twarzy córki Arthur poczuł suchość w gardle, jakby połknął ogromną ważkę, która trzepotała skrzydełkami uwięziona w jego tchawicy.

– Trzeba użyć siły. Jeśli chcesz, żeby wyglądało realistycznie, to musisz to zrobić naprawdę.

W przebłysku przytomności Aroha zrozumiała, co się miało za chwilę stać. Potrząsnęła energicznie głową, z zimną, bierną, zrezygnowaną i narkotyczną rozpaczą.

– Co robisz? Przestań, przestań. Robisz mi krzywdę.

Nie przestał. Zamiast tego wziął kij podobny do policyjnej pałki. Aroha otworzyła szeroko usta i czując, jak wkłada jej go do pochwy, zawyla ze wszystkich sił.

– Zamknij oczy – wyszeptał Arthur łamiącym się głosem, z oczami pełnymi łez.

To był absurd: wszystko, co widział, już się wydarzyło. Jednak za każdym razem, kiedy włączał nagranie, czuł, jakby działo się jeszcze raz, a on chciał, żeby Aroha zamknęła oczy, żeby wszystko zostało zapomniane. Nawet to straszne cierpienie.

Muzyka z magnetofonu zagłuszała krzyki jego córki, a w obiektywie kamery widać było już tylko plecy mężczyzny.

*Who can say where the road goes
where the day flows?
Only time...
And who can say if your love grows
as your heart chose?
Only time.*

Arthur wyłączył komputer, ale źrenice wciąż miał utkwione w monitor. Z jego spojrzenia bił gorączkowy obłęd i przerażenie. Otworzył lekko usta, gotowe do krzyku, ale głos ugrzązł mu w gardle. Po policzku spłynęły mu dwie duże, idealnie okrągłe łzy. Minęło trochę czasu, zanim zauważył cień odbijający się w monitorze komputera. Ekran był wyłączony, więc ten, kto się w nim odbijał, musiał stać z tyłu. Arthur powoli odwrócił głowę i zobaczył rysującą się pod światłem lampy sylwetkę Guzmána. Nie zapytał, jak długo tam stoi.

Było oczywiste, że zbyt długo.

Patrzyli na siebie przez kilka sekund. Guzmán podszedł do okna, rozciągał się z niego widok na Madryt. Daleko w dole ludzie przypominali roboty, nie potrafiące samodzielnie zdecydować, gdzie iść ani co robić. Ciemne linie ulic kontrastowały z chmurami w odcieniach od bordowego przez pomarańczowy do żółtego, w których ginęły dachy wieżowców.

Postać Arthura, wciąż siedzącego za biurkiem, odbijała się w wielkich szybach razem z postacią Guzmána. Nigdy nie będą bliżej siebie niż w tym momencie, pomyślał Guzmán, ale nie mógł powiedzieć, że tego nie żałuje. Dwa cienie zmieszane w odbiciu na szybie.

– Miałem w DINA szkoleniowca od przesłuchań. Profesjonalny facet, który mnie polubił, nie wiadomo dlaczego, bo sympatie w naszej branży należą do rzadkości. Twierdził, że istnieje forma inteligencji, która wydaje się udawaną ignorancją. Trzeba się wyzerować, mówił nam, nie brać niczego za pewnik, wymazać z umysłu wszystko, co się wie, żeby dotrzeć do tego, czego się chce dowiedzieć. W przeciwnym razie uprzedzenia stają się pułapkami oddalającymi nas od oczywistości. Gdyby mnie teraz zobaczył, w momencie, w którym ty i ja się znajdujemy, dałby mi porządny opieprz za głupotę. I miałby rację.

Spojrzał z ukosa na Arthura – był załamany. Guzmán wyobrażał sobie, jak druzgoczące wrażenie wywarł na nim widok gwałconej córki. Zastanawiał się, ile razy widział nagranie i dlaczego torturował się w ten sposób.

– Nie sądzisz, że powinienem wiedzieć o tym filmie?

Arthur z lekko rozchyłonymi ustami wpatrywał się w dal błyszczącym wzrokiem. Guzmán podszedł do porcelanowych figurek przedstawiających grupę muzykantów i przejechał ręką po ich kształtach.

– To był Olsen, prawda? Próbował cię szantażować. I to ty go zabiłeś.

Arthur spojrzał na niego z nienawiścią i stwierdził z sarkazmem:

– Jak na takiego bystrzaka, nie masz o niczym pieprzonego pojęcia.

Magnus Olsen był w życiu Arthura nikim aż do tego zwykłego deszczowego dnia w dwutysięcznym roku. Poznali się, kiedy północnoamerykańska filia firmy Arthura zwróciła się o finansowanie do konsorcjum reprezentowanego przez Olsena. Miał spojrzenie wystraszonego psa i pocił się, jakby bał się, że ktoś złapie go na kłamstwie. Był człowiekiem nieoczekiwanie zwyczajnym, poza złotym zegarkiem i bardzo ładną żoną niczym się nie wyróżniał.

Przez całe spotkanie Olsen wyglądał, jakby za chwilę miał się udusić. Arthur nie zapomni jego krawata niedbale opadającego na rozpiętą od góry koszulę ani śmierzącego whisky oddechu. W pewnym momencie Olsen odciągnął Arthura

na bok. Z trudem mówił po hiszpańsku, przeciągając każdą sylabę, zanim ją wybełkotał. Najpierw zapytał uprzejmie o Arohę. Pytanie nie spodobało się Arthurowi, chociaż go nie zaskoczyło. Częste zniknięcia córki i jej problemy były tematem plotek, i to nie tylko w brukowcach, ale również w kręgach biznesowych. Arthur pomyślał, że Olsen próbuje mu się podlizać, zyskać jego zaufanie na poczet przyszłych wspólnych interesów, więc próbował go spławić kilkoma w miarę uprzejmymi słowami.

– Słyszałem, że twoja córka tydzień temu zniknęła z domu.

– Zajął się tym policja.

– Miejmy nadzieję, że to tylko kolejna z jej eskapad.

Dwa dni później Olsen zadzwonił do jego biura. Wydawał się bardzo zdenerwowany i nalegał na spotkanie w jakimś dyskretnym miejscu w Madrycie. Arthur próbował się wykręcić, ale Olsen przerwał mu ostro. Powiedział, że ma dla niego bardzo ważną i wiarygodną wiadomość o miejscu pobytu Arohy. Zanim się rozłączył, ostrzegł go, żeby pod żadnym pozorem nie powiadamiał policji.

Arthur nie powiedział o niczym Andrei, nie chciał jej martwić. Jego żona faszerowała się pigułkami, warowała przy telefonie i prawie nie wstawiała z łóżka. Poza tym miał dosyć fałszywych sygnałów od ludzi chcących wyciągnąć od niego pieniądze za wskazówki, które ostatecznie okazywały się fałszywe.

Powiedział o tym Dianie, z którą w tym czasie spotykał się potajemnie w apartamencie w dzielnicy Salamanca.

– Powinieneś pójść na policję – stwierdziła. – Znam Olsena i na pewno będzie próbował cię wciągnąć w jakieś szemrane interesy.

Arthur jednak jej nie posłuchał.

Umówili się na obrzeżach Madrytu, na szosie do Estremadury. Olsen czekał w samochodzie zaparkowanym za stacją benzynową i chociaż zasłaniał go rząd TIR-ów, sprawiał wrażenie niepewnego. Zanim otworzył drzwi, żeby Arthur mógł wsiąść do środka, rozejrzał się wokół nerwowo, sprawdzając, czy ktoś ich nie obserwuje. Miał chyba paranoję, początki nerwicy i widać było, że nie spał dużo.

– No dobra, co chciałeś mi powiedzieć?

Olsen zaczął opowiadać makabryczną historię o długach, groźbie więzienia i wierzycielach, którzy zmienili jego życie w koszmar. Arthur częściowo znał sprawę, czytał o niej w branżowej prasie, która przez wiele tygodni filtrowała prawdziwe lub zmyślane informacje, reakcję żony i dzieci Olsena na skandal w firmie oraz wszelkiego rodzaju szczegóły na temat jego prywatnego życia, które najwyraźniej było o wiele bardziej skomplikowane, niż się wydawało. Setki inwestorów zaufały Magnusowi Olsenowi, inwestując setki tysięcy w jego firmę,

powierając mu swoje rodzinne majątki i oddając w jego ręce przyszłość swoją i swoich rodzin. A on ich zawiódł. Rynek się załamał i doprowadził do bankructwa wielu ludzi.

Arthura to raczej nie interesowało. Przez dziesięć minut słuchał narzekań Olsena, jego rozmaitych usprawiedliwień i absurdalnych planów, jak postawić ponownie na nogi swoje interesy. Kiedy powiedział, że potrzebuje pieniędzy, Arthur zrozumiał, że spotkanie było tylko stratą czasu. Ten oszust próbował jego też opleść swoją pajęczą siecią.

– Jeśli masz kłopoty z finansowaniem, powinieneś porozmawiać z Dianą albo moją sekretarką, Ruedą. Umów się na oficjalne spotkanie i nie marnuj mojego czasu.

Zaczął wsiadać z samochodu, ale Olsen chwycił go mocno za ramię.

– Wiem, gdzie jest twoja córka – powiedział zrozpaczonym głosem, patrząc wzrokiem szaleńca.

Arthur spojrzał na niego zaskoczony. Olsen potarł ręką o rękę, jakby nagle zaczęły go swędzieć. Twarz mu poczerwieniała i mimo że w samochodzie nie było gorąco, na kołnierzyku koszuli i pod pachami pojawiły mu się mokre plamy potu.

– Twoja córka jest w poważnym niebezpieczeństwie, Arthurze. Mogę ci pomóc, wiem, gdzie ona jest, ale być może jutro przeniosą ją w inne miejsce.

Arthur zacisnął zęby, złapał Olsena za brudne kłapy marynarki i potrząsnął nim mocno, żądając odpowiedzi.

– O czym ty mówisz?

Olsen zdawał sobie sprawę, że spotykając się z Arthurem, wystawia siebie i swoją rodzinę na poważne niebezpieczeństwo, ale potrzebował pieniędzy, dużo pieniędzy – powtórzył.

– Zadzwoń do mnie jutro i przygotuj pieniądze. Prześlę ci hasło i numer konta. Kiedy otrzymam potwierdzenie przelewu, dostaniesz e-mailem współrzędne z kawiarenki internetowej w miejscu, gdzie znajduje się twoja córka. Potem już nigdy mnie nie zobaczysz.

To był klasyczny szantaż. Nagle Arthur zrozumiał to i przestał nim potrząsać.

– Odbiło ci?

– Obawiam się, że nie, Arthurze.

Arthur poczuł, że wzrok zachodzi mu mgłą i ognista kula z żołądka podchodzi mu do gardła. Wściekły, uderzył z całych sił Olsena w twarz.

– Ty skurwysynu! Mów natychmiast, gdzie jest moja córka albo zatłukę cię na śmierć.

Olsen próbował uniknąć ciosów Arthura. Otworzył drzwi samochodu i wychylił

się z niego górną połową ciała. Miał rozciętą dolną wargę i koszulę poplamioną krwią.

– Przestań, przestań natychmiast, jeśli chcesz zobaczyć córkę – warknął.

W przeblysku jasności Arthur powstrzymał swoją wściekłość. Chociaż najchętniej rozerwałby Olsena na strzępy, zrozumiał, że przynajmniej chwilowo ten sukinsyn trzyma go w szachu. Przestał się z nim szamotać i próbował odzyskać spokój.

– Pójdę na policję.

Olsen poprawił na sobie ubranie. Otworzył schowek i wyjął z niego paczkę chusteczek.

– Nie zrobisz tego. Ludzie, którzy mają twoją córkę, dowiedzą się o tym natychmiast i pozbędą się jej bez śladu. Nigdy jej wtedy nie odnajdziesz, uwierz mi. Wiem, o czym mówię – stwierdził, krzywiąc się i chusteczką tamując spływającą z wargi krew.

– Porwali ją? Co zrobiliście mojej dziewczynce? – Głos Arthura przybrał błagalny ton, ale to nie zmiękczyło Olsena. Wręcz przeciwnie: uśmiechnął się zadowolony z takiego przejawu słabości.

– Pamiętaj, jutro. A teraz wysiadaj – powiedział.

Włączył silnik i odjechał.

Po powrocie do domu Arthur wielokrotnie rozważał wszystkie możliwe opcje. Kusilo go, żeby skontaktować się z policją, ale natychmiast odrzucił tę myśl. To był pierwszy od wielu tygodni wiarygodny trop. Nie mógł tego zaprzepaścić. Z bankowego depozytu wyjął część kwoty, której zażądał Olsen, i schował za pasek pistolet HK, na który nie miał pozwolenia. W ten czy inny sposób zamierzał wyciągnąć z szantażysty potrzebne informacje. Nie zawahałby się, nawet jeśli miałyby obedrzeć go ze skóry albo podziurawić kulami.

Następnego ranka Arthur czekał przy telefonie, ale Olsen nie zadzwonił. Dopiero po wielu godzinach, o zmroku, zrozumiał, że Magnus się już nie odezwie. Postanowił pojechać do niego do domu. Będąc już w drodze, usłyszał w radiu informację: Magnus Olsen popełnił samobójstwo. Jego żona i dzieci znalazły go powieszzonego w salonie.

Arthur zjechał na pobocze i uderzył pięściami w kierownicę, przeklinając. Właśnie stracił jedyną szansę na odnalezienie Arohy.

– Dwa tygodnie później dostałem kopertę. Niczym się nie wyróżniała, nie miała znaczka ani danych nadawcy, tylko moje imię i nazwisko napisane dużymi literami. Wewnątrz znajdowała się płyta CD w przezroczystej plastikowej okładce.

I liścik.

Arthur pokazał Guzmánowi ręcznie napisaną notatkę.

Nagranie wykonał Magnus Olsen, to on stoi za kamerą. Jeśli ktoś wiedział, gdzie przebywała pańska córka, to tylko on i dwie pozostałe osoby, które pojawiają się na filmie. Przykro mi, że nie mogę bardziej panu pomóc. Mam nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

– Nie zabiłem Magnusa Olsena i to nie on przesłał mi płytę, ale ktoś, kto chciał zachować anonimowość. Przez ostatnie cztery lata bezskutecznie próbuję go odnaleźć. Trzyletnia odsiadka trochę utrudniła sprawę. Dlatego Diana cię zatrudniła.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym na początku?

Arthur na ułamek sekundy zacisnął pięści i usta. Szybko jednak na jego twarz powrócił smutek.

– Po obejrzeniu nagrania zrozumiałem, że śmierć Olsena ostatecznie zamknęła przede mną szansę pójścia tym śladem. Natychmiast stałbym się podejrzanym. Poza tym Andrea dowiedziałyby się, co zrobili Arosze, a to by ją zabiło. Właśnie dlatego przez te wszystkie lata milczałem o istnieniu płyty.

Guzmán pokręcił głową i bez pytania nalał sobie whisky.

– To nie był jedyny powód, prawda? Jest jeszcze jeden, o wiele ważniejszy.

Zrozumiał to, oglądając film. Dámaso opierał się ze wszystkich sił, żeby nie powiedzieć mu, gdzie ukrył kopię. Ze wszystkich sił, które w końcu się wyczerpały. Początkowo Guzmán pomyślał, że upór starca wynika z faktu, że to on na nagraniu udawał, że gwałci małą dziewczynę. Ale po zobaczeniu wszystkich scen doszedł do wniosku, że antykwariusz próbował zataić coś innego.

– Kiedy mnie zatrudniłeś, wiedziałeś już, kim są ci trzej faceci z nagrania.

Spojrzał na Arthura, który wciąż siedział przy biurku, bardzo spokojny i milczący, ze wzrokiem wbitym w ścianę. Ruda grzywka opadała mu beładnie na czoło, oddychał bardzo powoli, jak umierający człowiek szykujący się do odejścia.

Poznanie tożsamości mężczyzn zajęło mu kilka tygodni. Oglądał to straszne nagranie na okrągło, szukając jakichś wskazówek, czegokolwiek, co dałoby mu informację o miejscu i ludziach, którzy występowali na filmie z jego córką. Z czasem doszedł do wniosku, że sceny były wyreżyserowane z sensem i zamiarem artystycznym i nie było w nich nagłej brutalności czy chaosu, jak

wydawało mu się na początku. Wciąż uważał nagranie za odrażające, chociaż musiał przyznać, że nie miało nic wspólnego ze zwykłą pedofilską pornografią ani tym bardziej pełnym krwawych szczegółów tak zwanym filmem ostatniego tchnienia. Tu krył się głębszy sens, nagranie było swoistym testamentem, oświadczeniem woli, okropną wizją świata kogoś, kto mimo że zmuszony został do pozostania twórcą anonimowym, poszukiwał pewnego rodzaju uznania. To była robota specjalisty, kogoś, kto znał się na kręceniu filmów.

Arthur obejrzał nagranie dziesiątki razy, zanim w końcu to odkrył: w pewnej chwili, kiedy błagania Arohy przybierają na sile, dziewczyna patrzy jednemu z zakapturzonych mężczyzn prosto w oczy i mówi coś do niego szeptem. Znała go. Ufała mu.

Arthur przewijał do znudzenia ten fragment, żeby wreszcie odszyfrować jej słowa: „Chcę wrócić do mamy, Ianie. Proszę. Chcę wrócić do mamy”.

– Szybko odkryłem, że Aroha w ośrodku w Genewie poznała niejakiego Iana. Jego ojcem był reżyser filmowy Ian Mackenzie, a matką bardzo sławna skrzypaczka.

Arthur ustalił, gdzie mieszkali, i udał się do ich domu znajdującego się na jednym z luksusowych osiedli na przedmieściach Madrytu. Ochrona nie wpuściła go na teren osiedla, ale zamiast tego zjawiała się kobieta o męskich rysach i przedstawiła się jako gospodyni. Poinformowała Arthura, że pani wyjechała z Hiszpanii w europejską trasę koncertową z budapeszteńską orkiestrą i wróci za kilka miesięcy, może za rok.

Poczuł rozczarowanie, ale nie miał zamiaru się poddawać. Nie był na tyle nierozważny, żeby zapytać o chłopaka. Przez kilka następnych dni udało mu się zebrać o nim wiele informacji: gdzie studiował przez pierwszy rok filmoznawstwo, z kim się spotykał, w jakich miejscach bywał, kiedy i z kim.

Pewnego popołudnia Arthur pojechał za Ianem aż do zalesionych terenów pod miastem. Było to zaśmiecone i brudne miejsce, do którego w weekendy zjeżdżały się całe rodziny z okolicznych przedmieść, taszcząc ze sobą kosze piknikowe, plastikowe pudełka, składane krzesła, talie kart i koce, żeby odsypiać na nich w sosnowym lasku po zjedzeniu świńskiego ryja, ucha czy policzka. Późnym popołudniem, kiedy nad oświetlonymi w oddali wieżowcami KIO zapadał zmrok, rodziny ustępowały miejsca w zagajniku senegalskim prostytutkom, młodocianym żigolakom z Afryki Północnej i Rumunii, drobnym dilerom i innym markotnym przegranym. Po zapadnięciu nocy długi rząd samochodów z zapalonymi reflektorami przejeżdżał przez ten targ nędzy w poszukiwaniu spełnienia swoich zachcianek.

Ian w tym środowisku poruszał się jak ryba w wodzie. Zatrzymywał się i opuszczał szybę, żeby pogadać z jakąś starą prostytutką, to znów kupował narkotyki od dilera, z którym witał się przyjacielskim uściskiem. Pewnego razu Arthur zobaczył, jak chłopak wychodzi z gęstych krzaków, wciągając spodnie. Na jego twarzy widoczne były zadrapania i niewymowne zadowolenie. Pogwizdując, wszedł do swojego samochodu, zapalił papierosa i przez chwilę siedział rozwalony w fotelu, słuchając muzyki.

Kiedy odjechał, Arthur wysiadł z auta i podszedł w stronę zarośli. Zobaczył tam dziewczynę, w rzeczywistości trzynasto-, czternastoletnią dziewczynkę, trochę młodszą od Arohy. Siedziała na ziemi, obejmując podrapanymi ramionami podciągnięte pod brodę nogi. Twarz ukryła w kolanach i płakała jak dziecko, którym w rzeczywistości była. W beżowej koszulce z dekoltem i obcisłych skórzanych spodniach wyglądała jak przebrana za dorosłą. To wrażenie potęgował zbyt mocny makijaż – teraz rozmazany przez łzy – leżący obok niej wypchany biustonosz i buty, z których jeden miał złamany obcas.

Arthur zapytał, co się stało. Dziewczyna uniosła głowę i spojrzała na niego. Jej twarz wyglądała groteskowo: odklejony pasek sztucznych rzęs wisiał w kącie jej prawego oka, podczas gdy lewa powieka zniknęła pod purpurową opuchlizną, która powiększała się z minuty na minutę.

Dziewczynka wytarła przedramieniem lejące jej z nosa smarki, pociągnęła nosem i powiedziała, że nic jej nie jest. Arthur był innego zdania, chciał wezwać policję i pogotowie. Ona kategorycznie odmówiła. Ian był jej chłopakiem. Co prawda kazał jej przyjeżdżać w to miejsce i robić te wszystkie dziwne rzeczy z nieznanymi, podczas gdy on nagrywał ich z ukrycia, ale starała się go zadowolić, ponieważ go kochała.

– Kochasz go? Jak możesz tak mówić? Ile masz lat? Czternaście? Piętnaście?

Czy to właśnie zrobił z jego córką? Czy ten złodziej dziecięcej niewinności wmówił jej, że ją kocha?

– Pozwól, żebym przynajmniej odwiózł cię do domu. Twoi rodzice na pewno się o ciebie niepokoją.

Dziewczyna straciła trochę swojej dotychczasowej pewności siebie, jakby toczyła wewnętrzną walkę: z jednej strony chciała znów stać się dziewczynką, która tuli się do rodziców, a z drugiej wolała zatracić się w mackach niszczycielskiego potwora. W końcu zrobiła zniecierpliwioną minę jak Aroha, kiedy próbowała ugryźć lukrowane jabłko podczas festynu San Isidro.

– Jeśli chcesz, zrobię ci laskę i zapomnisz, że mnie widziałeś.

Arthur zapamiętał na zawsze wściekły wzrok dziewczynki, kiedy – krzyczącą

i wrywającą mu się – odstawił na najbliższy komisariat policji.

Uznał, że to wystarczy.

Następnego dnia od rana lało jak z cebra. Arthur siedział w barze przy oknie, przez które widać było rozmytą przez deszcz ulicę i znajdujący się po skosie sklep z ubraniami. Wciąż nie mógł zapomnieć sceny z poprzedniego wieczoru: dziewczynki z odklejonymi rzęsami, jej wychudzonej twarzy i nienawistnego spojrzenia. Jej widok mieszał mu się z obrazami z nagrania z Arohą. Pękała mu głowa i czuł tak ogromny ucisk w piersiach, że z trudem oddychał.

Na widok wychodzącego ze sklepu z ubraniami Iana położył na stoliku banknot i wyszedł z baru. Chłopak, niczego nie podejrzewając, szedł w jego stronę. Żeby nie zmoknąć, założył na głowę kaptur wojskowej bluzy, a przez ramię miał przewieszoną skórzaną torbę. Niczym nie różnił się od zwykłego nastolatka.

Ale ten drań o wyglądzie beztroskiego rekruta miał jego córkę.

– Wiem, kim jesteś – odezwał się Arthur, zagradzając mu drogę i zatrzymując go ręką.

Ian popatrzył na niego zdziwiony – nie z zaskoczeniem, wahaniem czy strachem – tylko ze zdziwieniem, jakby ręka na jego piersi była robakiem, owadem, który przypadkiem spadł z dachu na jego bluzę.

– Jestem ojcem Arohy. Widziałem cię na filmie. Mów, gdzie ona jest.

Z bliska spojrzenie chłopaka wydawało się wodniste, zmieszane i niepewne, trudne do określenia.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Na twarzy nie drgnął mu ani jeden mięsień. Tylko krótko mrugnął powiekami, żeby pozbyć się kropli deszczu, które spadały mu na brwi i rzęsy.

Arthur wziął głęboki oddech. „Oddychaj, oddychaj. Opanuj się albo stracisz wszystko”.

Jeśli Ian kiedykolwiek miał serce, teraz było martwe albo skamieniałe. Odwrócił wzrok w stronę ulicy, a potem znów popatrzył na mężczyznę.

– Nie znam żadnej Arohy.

Arthur dłużej nie potrafił kontrolować gniewu: złapał chłopaka za szyję i pchnął na zasuniętą żaluzję sklepu. Wskutek uderzenia zalała ich masa wody, która zebrała się w markizie.

– Zabiję cię, sukinsynu, jeśli nie powiesz mi, gdzie ona jest.

Ian pozostał niewzruszony, patrzył mu prosto w oczy. Nagle Arthur poczuł na karku zimny dotyk lufy małego rewolweru i usłyszał w pobliżu ucha, jak Ian odciągnął kurek.

– Puść mnie – powiedział chłopak spokojnym tonem.

Arthur złagodził uścisk na jego szyi, ale nie zdjął z niej ręki. Ian, wciąż w niego celując, odsunął się do tyłu. Pokręcił głową jak bokser i schował broń do kieszeni bluzy.

– Myślałeś, że mnie zaskoczysz? Śledzisz mnie od wielu dni. Wypytywałeś o mnie i moich starych. Nawet odstawiłeś jedną z moich dziewczyn na policję. Wisi mi to, bo znów uciekła z domu i przybiegła do mnie jak one wszystkie... jak twoja córka.

– Zabiję cię, draniu. Przysięgam.

Ian wybuchł śmiechem. Jego śmiech był tak niewinny, czysty, jak dziecka kąpanego w święconej wodzie.

– Może jest już martwa i pogrzebana. W takim przypadku nigdy nie znajdziesz jej ciała i nie będziesz musiał jej opłakiwać. A może jednak żyje i się zastanawia, czy lepiej było jej z wami, czy woli to, co ja jej oferuję. Będziesz musiał z tym żyć.

– Zedrę ci ten uśmiech z twarzy. Wiem, jak to zrobić, żeby trwało długo i bolało.

– Być może – stwierdził Ian. Spojrzał na Arthura tym swoim zimnym, odległym wzrokiem, jakby odbijała się w nim zamarznięta rzeka. Potem odszedł jakby nigdy nic, jakby po prostu zderzył się tylko z innym przechodniem.

Arthur został pośrodku chodnika, mókł na deszczu i patrzył na jego oddalające się plecy w bluzie w maskujących kolorach, przeciętej skórzanym paskiem torby przyklejonej do ciała. Widział, jak chłopak wmieszał się w tłum i stał się jednym z przechodniów, anonimowym, bez historii, która by kogokolwiek interesowała. Kiedy się ocknął, Iana już nie było.

Arthur przemókł do suchej nitki, krople deszczu uderzały o jego rude włosy, które przybrały teraz odcień błota, spływały mu po głowie i rozbijały się o ziemię na tysiąc cząsteczek. Niektórzy przechodnie patrzyli na niego, jakby zwariował.

Ruszył bardzo powoli przed siebie, jakby wstrzyknięto mu paraliżującą truciznę, ale jeszcze był w stanie utrzymać się na drętwiejących nogach. Jakby szedł w lepkiem śnie. Wsiadł do samochodu i przez kilka minut patrzył, jak deszcz puka o przednią zaporowaną szybę. Pod fotelem trzymał pozłacaną piersiówkę – prezent od swoich pracowników na czterdzieste urodziny. Od czternastu lat nie tknął nawet kropli alkoholu. Nie podejrzewał, że kiedykolwiek będzie jej potrzebował. Ale teraz leżała pod fotelem, nabita jak pistolet i gotowa do użycia przy najbliższej nadarzającej się okazji.

Wziął długi łyk, po którym stracił oddech i poczuł palenie w gardle. Zakaszłał i wypluł część alkoholu na ubranie.

Chciał umrzeć. Chociaż nie, niedokładnie to czuł. W tej chwili, gdy siedział w tym wygodnym fotelu, po prostu brakowało mu sił, by żyć. Zastanawiał się, co powinien zrobić, co powie Andrei, policji. Dlaczego jego życie tak po prostu się popieprzyło? Był tchórzem – taka była prawda. Tchórzem, który nie był w stanie wziąć na siebie odpowiedzialności za swoje czyny. Zawsze tak było: decydował, co ma robić, kogo kochać, jak żyć i z kim. Spieprzył swoją karierę poety, małżeństwo i stracił córkę. Aroha nienawidziła go, nienawidziła go za całą krzywdę, jaką wyrządził jej i Andrei.

Była zbyt inteligentna, zbyt wrażliwa, żeby nie zdać sobie sprawy z tego, jakiego rodzaju człowiekiem był jej ojciec. Tchórzem. I nie mogła tego znieść; stąd te ucieczki z domu i opuszczenie się w nauce: żeby go ukarać, żeby poczuł odrobinę bólu, który zadawał innym. Dostał porządną nauczkę, szepnął do siebie i wybuchł nerwowym szlochem. Chciał jej o tym powiedzieć, posadzić ją przed sobą i prosić o wybaczenie. „Wybacz mi, córeczko. Wróć do domu”.

Na niebie huknął głośny grzmot. Arthur przekręcił w stacyjce kluczyk, automatycznie uruchamiając wycieraczki. W tym momencie, dokładnie w tej chwili, przez szparę na zaparowanej szybie zobaczył Iana po przeciwnej stronie ulicy. Z głową ukrytą pod kapturem czekał na zielone światło przy salonie ślubnym. Gdyby szyba była dłużej zaparowana, gdyby Arthur nie uruchomił w tej chwili wycieraczek, nie zobaczyłby go. Ale Ian tam stał, prosto przed nim. Kusząc los.

Zamroczyło go, był pijany, a przynajmniej tak powiedział Dianie, dzwoniąc do niej kilka godzin później z komisariatu policji. „Nic nie mów, dopóki nie przyjedzie adwokat. Ja się wszystkim zajmę”.

Diana zawsze wszystkim się zajmowała. Zrobiła to przed czternastoma laty i za każdym razem, kiedy miał jakiś problem związany z alkoholem. Zbierała gówno, które po sobie zostawiał.

Guzmán obszedł biurko. Zatrzymał się przed biblioteczką z książkami o prawie handlowym i przyglądał się im z założonymi z tyłu rękami. Próbował zyskać na czasie i przygotowywał sobie w głowie pytania.

– Dobrze to rozegrałeś. Nieumyślne spowodowanie śmierci pod wpływem alkoholu. Spryciara z tej Diany. Cztery, pięć lat zamiast piętnastu, nieźle. Popełniłeś jednak wielką głupotę: pozwoliłeś, żeby pokonał cię egoizm, twoje wędzące ego zranione obojętnością tego gnojka, i przez to zamknąłeś jedyne drzwi, które prowadziły do twojej córki.

– Nie jedyne. Został jeszcze trzeci mężczyzna, ten w kominiarce i z gołym

torse.

– Dámaso, oczywiście. Opowiedział mi o klubie kinomanów, do którego należeli on i Olsen. Magnus zaprosił sir Iana Mackenziego, sławnego reżysera filmowego, na kilka interesujących pogawędek. Ten przychodził na nie często ze swoim młodym i dobrze zapowiadającym się synem. Kilka miesięcy przed zniknięciem Arohy Ian Mackenzie przestał przychodzić na spotkania klubu. Wyjechał do Australii, gdzie kręcił swój nowy film. W tym czasie Olsen regularnie bywał w jego domu. Przed wyjazdem ojciec chłopaka spotkał się potajemnie z Dámasem. Wyjaśnił mu, że Ianowi w dzieciństwie zdiagnozowano jakąś chorobę psychiczną. Nie powiedział dokładnie, o jakie zaburzenia chodziło, jedynie wspominał z troską, że od trzynastego roku życia chłopak brał leki neuroleptyczne i wiele razy był hospitalizowany – zawsze z największą dyskrecją – w szwajcarskich i brytyjskich klinikach psychiatrycznych. Chłopak, zazwyczaj obojętny na otaczający go świat, okazywał niezwykle entuzjasm w stosunku do wszystkiego, co miało związek z kinem. Miał na tym punkcie obsesję, co według ojca dobrze na niego wpływało, zajmowało jego umysł i trzymało na dystans od niepokojąco ciemnych obszarów.

Reżyser poprosił więc starca, żeby wprowadził jego syna do najbardziej elitarnego grona członków klubu i przypilnował, żeby chłopak nie stracił swoich zainteresowań. Dámaso spełnił jego prośbę.

Guzmán zamyślił się, pukając palcem wskazującym w usta.

– Czy to nie paradoksalne? Ojciec, chcąc ratować syna, wsadził go nieświadomie prosto w paszczę lwa. Ktokolwiek tam na górze pisze scenariusz naszego życia, musi mieć bardzo pokręcone poczucie humoru.

Po kilku miesiącach Ian wiedział już, co robili Olsen i stary antykwariusz. Szybko odkrył, że klub kinomanów był w rzeczywistości przykrywką dla czegoś znacznie bardziej poważnego. Nie zagroził im jednak donosem na policję ani nie kazał zamknąć interesu... Zamiast tego zażądał, żeby pozwolili mu w nim uczestniczyć! Chciał *eksperymentować*, właśnie takiego użył słowa. Niedługo potem przyprowadził Arohę.

– Wydawali się ze sobą bardzo blisko, rozumiesz, co mam na myśli. Początkowo starzec i Olsen nie zwrócili na nią uwagi, dziewczyna taka sama jak wszystkie. Ian był przystojny i zwykł przyprowadzać na ich plan filmowy nastoletnie kurewki, które robiły wszystko, co im kazał, żeby go tylko zadowolić, młodych narkomanów i dzieciaki ulicy. Ale Aroha była wyjątkowa: dobrze wychowana, mądra, chociaż trochę zblazowana. Od razu rzuciło się w oczy, że była zakochana w Ianie. Jak i to, że zaczynała niebezpiecznie igrać ze światem

narkotyków. Dámaso ignorował ją, dopóki w gazecie nie zobaczył jej zdjęcia i nie dowiedział się, czyją jest córką oraz że zaginęła. Wystraszył się i natychmiast zadzwonił do Olsena. Stanowiła dla nich poważny kłopot, który musieli w jakiś sposób rozwiązać.

Guzmán przestał opowiadać i wbił swój kamienny wzrok w Arthura. Ten popatrzył na niego pytająco.

– Co zrobili z moją córką?

– Dámaso nie wie. Wierz mi, że gdyby wiedział, powiedziałby mi o tym. Ale zaczynam domyślać się, kto ci wysłał płytę. Chyba będziesz musiał trochę mocniej pociągnąć za kilka sznurków.

– Przestań pieprzyć! Chcę wiedzieć, gdzie jest Aroha! Co z nią zrobili?!

Guzmán wyciągnął przed siebie rękę i przyjrzał się jej jak zwierzątku – małemu, brzydkiemu pieskowi, którego z czasem człowiek pokocha. Wydawał się ignorować słowa Arthura.

– Spójrz i przyjrzyj się dokładnie: to kiedyś była ręka, zdrowa ręka. Teraz jest tylko sklejonymi fałdami mięsa, bezużytecznym kawałkiem skóry, naskórka, zanikłych końcówek nerwowych i zniszczonych stawów. – Arthur popatrzył na bezkształtną masę bez zainteresowania, a Guzmán mówił dalej. – Istnieją niezawodne protezy i implanty zrobione z nowoczesnych tworzyw idealnie zastępujące brakujące części ciała. Ale operacja jest bardzo skomplikowana i kosztowna. Dlatego wiesz, co musiałbym zrobić, żeby odzyskać rękę i namiastkę kutasa, którego mógłbym dotykać tą sztuczną ręką? Musiałbym zapłacić za produkt gorszej jakości i to mnie wkurza. Wnerwia mnie, że nie mogę mieć tak idealnej ręki jak twoja i minimalnie przyzwoitego penisa, rozumiesz? Jesteście szczęściarzami, wy, którzy uśmiechacie się do świata tym nieskazitelnym użębieniem... Ale w rzeczywistości to wszystko: luksus, obrazy, idealne zęby, nie są niczym innym jak tylko przebraniem. W jednej chwili masz wszystko, a zaraz potem wszystko tracisz i cykl może powtarzać się tak długo, jak bogowie będą mieli kaprys.

– Dlaczego, do cholery, nie powiesz wreszcie, co masz do powiedzenia?

– Mówię, ale mnie nie słuchasz. Pojawienie się tego nagrania całkowicie zmienia sytuację. Gdyby policja znalazła je u ciebie, miałaby dowód, że zamordowałeś Iana. – Guzmán mówił spokojnie, wpatrując się zmrużonymi oczami w Arthura, który z trudem ukrywał drżenie ze zdenerwowania i strachu. – Jeśli będziesz ze mną szczery, może dojdziemy do porozumienia. Tylko ty i ja, nikt więcej nie musi o tym wiedzieć.

– Czego chcesz? Więcej pieniędzy? Przyrowadź moją córkę, a dam

ci wszystko, czego chcesz... Wszystko.

Guzmán uśmiechnął się.

– Oczywiście, że mi dasz, Arthurze. Oczywiście.

Rozdział 16

Nie powinno ich tam być, to było niebezpieczne i wiedzieli o tym. Jednak potrzeba przebywania razem wzięła górę nad ostrożnością. Światło brudnej żarówki zwisającej z nieotynkowanej ściany podkreślało nędzę uliczki niczym ołówek, którym ktoś naszkicował przeciekające rury, tłuste kałuże i ciemne kąty na tyłach restauracji Changa.

Mei patrzyła zagubionym wzrokiem. Nikt nie był w stanie go wytrzymać.

– Nigdy nie przypuszczałam, że to tak będzie wyglądało – wyszeptwała.

– Co masz na myśli? – zapytał Who, głaszcząc kosmyk jej włosów, który wysunął się spod chustki na głowie.

Mei pracowała w nielegalnym zakładzie Changa, w którym pakowano gotowe dania. Stary Chińczyk nie płacił za pracowników składek ubezpieczeniowych, nie wypłacał im wynagrodzenia, kazał im spać na porozkładanych obok maszyn pakujących materacach, i zmuszał Mei do zakładania na jej piękne ciemne włosy ochronnej siateczki. Świat jest pełen paradoksów!

– Wszystko – odpowiedziała, przyglądając się swoim dłoniom, zniszczonym przez kontakt z plastikiem i konserwantami.

Uniosła migdałowe oczy i uśmiechnęła się nieśmiało małymi ustami. Kiedy pan Who po raz pierwszy zobaczył te usta – o wąskich i mało mięsistych wargach – pomyślał, że zostały stworzone do śpiewania smutnych piosenek. Do Hiszpanii przyплыnęła ukryta w kontenerze na jednym z frachtowców. Podczas podróży pocieszała dziesiątki równie przerażonych co ona ludzi, którzy podróżowali z własnej woli czy pod przymusem, opowiadając im o pięknym kraju z czystym powietrzem i zawsze uśmiechającymi się mieszkańcami. Jej opowieść uśmierzyła wiele lęków i wszyscy – włącznie z Mei – potrzebowali w nią uwierzyć.

Tymczasem na miejscu bramy rajy nie stanęły dla niej otworem.

Mimo to Mei uważała, że nie ma prawa narzekać. Pracowała dwadzieścia godzin na dobę, jadła posiłki i załatwiała swoje naturalne potrzeby w nielegalnym zakładzie. Nie byłaby jednak w stanie nigdy spłacić długu, który zaciągnęła u Changa i ludzi, którzy ściągnęli ją do Europy. Nie chciała martwić Who, chociaż prawdopodobnie wkrótce miała zostać przeniesiona do innego miasta. Podśluchiwała, jak Chang i jego wspólnicy mówili o jakiejś miejscowości na andaluzyjskim wybrzeżu, gdzie otwierali burdele. Najmłodsze i najładniejsze

dziewczyny już tam zabrali i chociaż nikt nie mówił otwarcie, co to były za miejsca, wszyscy się tego domyślali.

I tak nie chciała się skarżyć na swój los. Matka zwykła powtarzać, że najstarsza z rodzeństwa Mei była najsilniejsza, i tylko jej mogła zaufać. „Nawet jeśli wszystko się zawali – mówiła – ty przetrwasz i będziesz filarem podtrzymującym nasz dom”. Dziewczyna urodziła się pod znakiem *Ma*, Konia. Z natury optymistyczna i radosna, od dziecka dzielnie stawiała czoła problemom, zyskując dzięki temu ogólne uznanie. Chociaż straciła dawny entuzjazm i silne pragnienie podróży, przeżywania przygód, poznawania nowych ludzi i mierzenia się z wyzwaniami, wciąż potrafiła dodawać otuchy współtowarzyszom niedoli w zakładzie. Musiała być silna, kiedy inni okazywali się słabi. W jej rodzinnych stronach popularne było powiedzenie, że: „Chory zawsze zdrowieje, chyba że opuści go szczęście”. Mei wierzyła w szczęście zawsze i w każdych okolicznościach. Szczęście, które każdy sam sobie wypracowywał. Poza tym miała jego, pana Who. On był jej szczęściem.

Być może starzy ludzie mieli rację, mówiąc, że miłość zaczyna się od oczu i kończy na przyzwyczajeniu, ale ona nie chciała w to wierzyć. Starzy ludzie, którzy przeżyli już wiele porażek, stają się twardzi i nieczuli, a Mei nigdy nie miała dosyć patrzenia na tę twarz, którą miała teraz kilka centymetrów przed sobą. Zanim pan Who pojawił się w jej życiu, nie myślała o przyszłości. Liczył się tylko następny krok, kolejne zamówienie, upływająca godzina. Tymczasem po roku znajomości polubiła słuchanie zapewnień chłopaka, że wyciągnie ją z tej klatki, że odkłada pieniądze, za które kupi im nowe paszporty, by mogli wrócić do Chin – razem – zacząć wszystko od nowa, założyć rodzinę, może otworzyć jakiś biznes. Who miał plan – zawsze robił jakieś plany – i łatwo było uwierzyć w jego słowa. Nawet jeśli były to tylko marzenia, były szczerze.

Who bardzo się zaangażował. Prosił codziennie, żeby śpiewała mu piosenki, opowiadała o swoim kraju i rodzinie. Chciał się dopasować, zbliżyć do wszystkiego, czym ona była i czym on chciał się stać. Mei spełniała jego prośby, nie wspominając o sprzeczności, którą w tym widziała: Who wymyślił sobie w Chinach ten sam raj, o którym ona marzyła, uciekając do Hiszpanii, a o którym teraz już wiedziała, że nigdy nie istniał. Ale jego marzenia trzymały ich razem, coraz bardziej ich do siebie zbliżały, a Mei potrzebowała odrobiny nadziei. Kłamstwo nie zawsze oznacza, że człowiek mija się z prawdą, tylko trzyma się tej części rzeczywistości, dzięki której nie pogrąża się całkowicie w rozpacz. Tak więc Mei podtrzymywała chińskie fantazje Who, a w zamian za to wierzyła, że ten niesamowicie przystojny, łagodny, ubierający się trochę zbyt dziwnie

i wrażliwy jak dziecko chłopak jest w stanie wyrwać ją ze szponów Changa.

Tej nocy Mei postanowiła zrobić kolejny krok na drodze do spełnienia swoich szalonych marzeń. Po południu stary Chang wpadł do piwnicy i kazał się wszystkim ukryć. Zdarzało się to co jakiś czas. Policja robiła obławy w poszukiwaniu nielegalnych pracowników. Chang na pewno kogoś przekupywał, ponieważ zawsze wiedział o planowanej akcji z dużym wyprzedzeniem, więc z pięćdziesięciu nielegalnych pracowników w zakładzie zostawało tylko kilka, które posiadały odpowiednie dokumenty. Po kilku godzinach wszystko wracało do normalności.

Jednak tego wieczora funkcjonariusze policji najwyraźniej poważnie podeszli do swojego zadania: zakład został dokładnie przeszukany, znaleziono kubły z odchodami, zwinięte materace pod stołami i porzucone w pośpiechu resztki jedzenia. Changa zabrano na przesłuchanie i chociaż prawdopodobnie za kilka godzin jego prawnicy wyciągną go z komisariatu, dla Mei oznaczało to kilka godzin wolności, które chciała spędzić z Who.

– Moglibyśmy skorzystać z tej szansy i uciec – stwierdził pan Who, chociaż niepokój w jego głosie zdradzał, że chłopak sam w to nie wierzył. Jeszcze nie.

Mei położyła palec na jego ustach. Na zdartym z jednej strony paznokciu popękał lakier. Szorstkiego dotyku i zapachu nie dało się zmyć ze skóry wodą. Ale panu Who wystarczyło, że to był jej palec i że przesuwiała nim po jego ustach delikatnym ruchem, jakby miała w ręku maleńką jedwabną wstążkę podobną do tych, którymi jego matka zawiązywała baletki.

– Zakazane marzenia sprawiają ból. – Uśmiechnęła się.

Who ujął jej palec i ścisnął w ręku. Mei nie wiedziała o nim wielu rzeczy – tylko tyle, ile uznał za konieczne. Tak było lepiej. Nie chciał wystawiać jej na niebezpieczeństwo, a przede wszystkim wystraszyć tym, czym się zajmował i co planował zrobić.

– Chang nie wróci na noc, przynajmniej dzisiaj. Mamy chociaż to – dodała Mei, przytulając mocno swoje drobne ciało do jego torsu. Obejmując ją, Who poczuł pod szeroką sukienką i fartuchem, którego nie zdjęła, jej żebra i maleńkie, wyrywające się jej z piersi serce. Jakby klatka piersiowa Who była murem, a jej serce taranem, który próbował go przebić.

– Chcę, żeby to się stało dzisiaj, teraz, z tobą – odezwała się niemal szeptem, głosem stłumionym przez jego koszulę.

Mei nigdy nie kochała się z mężczyzną, a nikt nie widział jej nagiej. Nawet w zakładzie, w którym intymność nie istniała, dziewczyna starała się myć i załatwiać swoje potrzeby ze wstydlivością będącą jej ostatnim ratunkiem przed

zezwierżeniem, do którego pchało ją mieszkanie w zamknięciu z tyloma osobami. Słyszała jednak, co powiedział Chang, i wiedziała, że wkrótce nadejdzie jej kolej. Wywiozą ją i oddadzą jakiemuś nieznanemu mężczyźnie. A może sam Chang i jego ludzie najpierw ją zgwałcą, zmuszą do wzięcia narkotyków, będą bili i torturowali. Zabiorą jej godność – ostatnią rzecz, którą posiada – i zamienią ją w ludzki wrak. Chciała więc pozwolić sobie na ostatni akt wolności, przekonać się, co się czuje, kiedy ktoś kocha delikatnie, spokojnie i z namiętnością.

Nie przypuszczała, że to może być tak piękne. Żyły na jej szyi napinały się, kiedy otwierała usta w niemym krzyku. Pan Who nie mógł oderwać wzroku od jej przymkniętych oczu, kiedy wchodził w nią z czułością, która do tej pory leżała głęboko ukryta i dawno zapomniana w jego duszy. Mei była jego lustrem, w którym mógł się bez strachu zanurzyć i potem spadać głębiej, coraz głębiej w jej spojrzenie, możliwe wybawienie, akt sprawiedliwości. Nagle czuł się zagubiony i niezgrabny, nie mógł opanować drżenia rąk. On, profesjonalny żigolak, specjalista od perwersji, przekonywał się, że życie nie polega tylko na tym, co już się przeszło; że wszystko można zacząć od nowa, narodzić się ponownie za każdym razem, kiedy staje się przed nieznanym terytorium. A Mei była jego Nowym Światem.

Dziewczyna zauważyła szklisty wzrok Who. Nie miała doświadczenia, ale czując najwyższą rozkosz, która również zbliżała ją do przepaści płaczu, domyśliła się, że był to język miłości, i dotknęła jego powiek, chcąc dać mu ukojenie, powiedzieć, że jest przy nim. To było tak realne, że wręcz niemożliwe.

Orgazm wywołał w nich obojgu dziwne zmieszanie. Później jeszcze długo leżeli nieruchomo, wciąż wtuleni w siebie, ze splecionymi nogami, jakby nie chcieli zerwać łączącej ich niewidzialnej nici. Milczeli. Who głaskał zaczerwienioną mozaikę, która pojawiła się na delikatnej skórze Mei, mimo że starał się ją dotykać i całować z wielką delikatnością. Tymczasem ona przyglądała się jego wytatuowanemu ciału.

– Serce bije ci jak oszalałe. Gdzieś ci się spieszy? – zapytała z pięknym uśmiechem pozbawionym poczucia winy czy lęku.

Chciała pójść ścieżką zwierzeń, która pojawia się po fizycznym zbliżeniu, poczuć przyjemność z powiedzenia i usłyszenia tajemnic, które pozostaną tylko między kochankami, z wszystkiego, czego w innych okolicznościach Mei nie odważyłaby się okazać.

Pan Who spochmurniał. Leżał obok niej i chciał pozostać z nią możliwie jak najdłużej, ale hałas dochodzący z ulicy, głosy w jego głowie ciągnęły go już

za włosy do innej rzeczywistości, z dała od tego pokoju. Mocno przytulił Mei, a ona objęła nogami jego uda i wtuliła się w niego z całych sił. Czuła kielkujące w nim wahanie, niemal słyszała jego myśli, które nie zapowiadały niczego dobrego.

– O co chodzi? – zapytała niepewnie. Słyszała, że niektórzy mężczyźni po stosunku odsuwają się od kochanki. Nie chciała, żeby Who okazał się jednym z nich.

Pan Who szukał odpowiednich słów, żeby wyrazić swoje uczucia.

– Co byś pomyślała, gdyby się okazało, że naprawdę nie jestem tym, za kogo się podaję? – zapytał poważnym tonem.

Mei oparła się na łokciu i popatrzyła na niego uważnie.

– Pomyślałabym, że zwariowałam, bo to oznaczałoby, że to, co się wydarzyło i co czułam, nie miało miejsca. Jeśli nie jesteś tym człowiekiem, który przy mnie leży, musisz być duchem. W takim razie oszalałam i mam zwidy.

Who wciąż nie potrafił się przyzwyczaić do prostoty, z jaką Mei wyciągała wnioski i naiwnie przyjmowała je za oczywistość.

– Mam na myśli, że jestem równocześnie kilkoma osobami. One tkwią we mnie i nie chciałabyś ich wszystkich poznać.

– Otwórzmy drzwi, które chcemy otworzyć, i wpuśćmy przez nie stopniowo światło – odpowiedziała pojedynczym tonem.

– Czy ty masz powiedzenie na każdy temat? – zapytał Who lekko poirytowany.

– Nie, nie na każdy, chociaż wydaje mi się, że powinnam mieć. – Nie była głupia, wiedziała o czym mówił Who, ale nie chciała tego słuchać.

Prawie go nie znała, widywali się ukradkiem od czasu do czasu, mówiąc sobie pospiesznie rzeczy, które powinno mówić się ze spokojem. Tej nocy po raz pierwszy mogli spędzić ze sobą kilka godzin bez przerwy, przytulając się do siebie w łóżku. Mei zdawała sobie sprawę, że nie była pierwszą kobietą, z którą spał Who, mimo powściągliwości jego ruchów. Zachowywał się jak doświadczony tancerz, który pozbył się swojej dotychczasowej wiedzy – zapomniał podstawowe kroki i stara się ich nauczyć razem z nią. Nie chciał wprowadzić jej w zakłopotanie czy wystraszyć. Teraz jednak robił to swoimi pytaniami i słowami.

– Co byś zrobiła, gdybyś mogła przenieść swój ból na kogoś innego? – zapytał.

Są pytania, które rzuca się jak przynętę. Ale nie tym razem.

Mei zadrżała. Nie chciała wiedzieć, co kryje się za tymi wszystkimi drzwiami, które przed nią otwierał. Dopóki nie zyska pewności, że to zniesie albo przynajmniej zrozumie.

– Nie bardzo wiem, co masz na myśli – zamyśliła się. – Nie ma dowodów na to,

że naprawiłoby to wyrządzoną krzywdę, uśmierzyłoby pierwotny ból. Przeniesienie go na kogoś innego po prostu cię od tego bólu oddala, ale go nie stłumi.

Pan Who zrozumiał, że nie powinien dalej brnąć w ten temat. Mei prosiła go o to. Nie potrzebował jej zrozumienia, chciał po prostu być z nią szczerzy i zdjąć z siebie ten wielki ciężar. To nie było sprawiedliwe.

– Nie wiem, dlaczego powiedziałem ci to wszystko, przepraszam – powiedział, wzdychając.

– Oczywiście, że wiesz, ale to teraz nie ma znaczenia – stwierdziła i przymknęła na chwilę oczy. Miała krótkie rzęsy, które nadawały jej spojrzeniu melancholii. Usiadła na łóżku i zaczęła się ubierać. – Muszę wrócić do zakładu, bo ludzie Changa zaczną coś podejrzewać. A do ciebie ktoś dzwoni.

Pan Who wyjął telefon komórkowy z kieszeni płaszcza. Na ekranie wyświetlił się numer klientki. Wiedział, czego chce. Odrzucił połączenie.

– To nic ważnego.

Mei pogłaskała go po policzku. Znów ją okłamywał, czuł jednak, że te kłamstwa były jak kokon, który plótł wokół niej, żeby ją chronić. Dopóki kłamstwa nie można zobaczyć na twarzy kłamcy, istnieje dla niego szansa, ponieważ nie stał się jeszcze hipokrytą. A twarz Who była przejrzysta jak twarz dziecka.

– Zostawmy oszustwa oszustom, dobrze?

Pan Who chciał coś powiedzieć, ale Mei zamknęła mu usta pocałunkiem.

– Nie wiem, co cię dręczy, ale wiem, że nie da się postępować naprzód, oglądając się za siebie.

Po powrocie do domu pan Who musiał nieuchronnie zmierzyć się z udręczonym wzrokiem swojej matki. Odkąd powiedział jej, że spotkał Eduarda i że zamierza go zabić, nie rozmawiali o tym, jakby uznali temat za zamknięty. Lecz w porze kolacji Maribel podjechała wózkem do stołu i przyglądała się, jak Who kroi kotleta, nakłada na talerz sałatkę i polewa ją odrobiną winegretu. Nic nie mówiła, jej milczenie jednak zagłuszało dźwięk sztućców. Wyczekiwanie i stanowczość w jej spojrzeniu każdego wieczoru ustępowały miejsca rozczarowaniu, kiedy Who wkładał naczynia do zlewu i całował ją na dobranoc. „Kiedy to zrobisz?” – pytała, nie poruszywszy żadnym mięśniem twarzy.

Jej syn wracał jednak każdego wieczoru z pustymi rękami. I czystymi.

– Jest kobieta i dziewczynka. Kochają go. Tworzą rodzinę.

Siedzieli w kuchni po kolacji. Na plastikowym obrusie pozostały okruchy chleba i mokry ślad po szklance. Who powiedział to bez zastanowienia, tak

po prostu, zbierając okruchy i wycierając obrus szmatką. Nie chcąc patrzeć na matkę, odwrócił wzrok w kierunku telewizora, w którym właśnie leciała reklama płynu do mycia naczyń. Czysty jak łąka. Skóra Mei była czysta jak łąka. Podobnie jak jej spojrzenie. Najchętniej ukryłby się w nim, żeby uniknąć konfrontacji ze spojrzeniem swojej *macochy*.

Kiedy nieświadomie chciał odciąć się od Maribel, nie myślał o niej jak o swojej matce. Przynajmniej w tym wypadku pranie mózgu, które robił mu Chang, przynosiło rezultaty. Kiedy Teo go bił (co prawda nie robił tego często, ale kilka razy uderzył go w twarz, co chłopaka zabolalo bardziej niż wyzwisko czy kara), też w myślach nazywał go *ojczymem*. Jak kogoś, kto staje się dla niego jak narośl, odstający kawałek skóry pod paznokciem, który przeszkadza i boli, dopóki się go nie usunie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

To nie było pytanie. To był atak. „Miej odwagę powiedzieć, co myślisz. Przyznaj się, że się wahasz, że nie wiesz, co zrobić. Powiedz, patrząc mi w oczy, że nie pomścisz śmierci *mojego* męża”.

Who spojrzał na Maribel. Zwracanie się do niej po imieniu również go oddalało od jej pochylonego do przodu ciała, w wyczekującej pozie, z łokciami opartymi na metalowych oparciach wózka. Jakby chciała wstać, doskoczyć do niego. Spokojnie strzepywał ze ścierki okruchy chleba. W telewizji leciała reklama dezodorantu. Naturalnego. Jedyną naturalną rzeczą jest skóra. Kiedy człowiek się poci, martwi czy umiera.

– Minęło czternaście lat, ludzie się zmieniają.

Nie powiedział jej, że zakochał się w nielegalnej robotnicy.

Nie powiedział, że boi się wylądować w więzieniu, że jest młody, ma przed sobą przyszłość, z dala od tego domu, w którym on też stał się kaleką. Nie powiedział też Maribel, że ją kocha i będzie zawsze kochał, gdziekolwiek się znajdzie, tak, jak nigdy nie zdążył pokochać Tea. Że pewnego dnia zostanie babcią, a on będzie pisał do niej pocztówki i przysyłał zdjęcia swojego nowego domu, nowego biznesu, jej wnuków, w których żyłach będzie płynąć chińska krew. Że nauczy ich piosenek, które mu śpiewała, kiedy był mały, że nie pozwoli im palić papierosów, nawet chińskiego tytoniu. Że nigdy nie będą musieli ponizac się, żeby mieć jedzenie.

To nie miało sensu, zrozumiał to w tym momencie. Jego słowa, argumenty, odbiłyby się o kamienne spojrzenie Maribel. Nie chciał powiedzieć jej tego wszystkiego, by nie otworzyć rany, która nigdy się nie zablizniła, żeby nie słyszeć ani nie widzieć, że jego matki nie obchodziło szczęście jej syna (co dziwne, Who nigdy siebie nie nazwał *pasierbem*). Tylko jej własny ból. I że ten ból był

nienasycony i wymagał poświęcenia wszystkiego, pozbawiając Who wszelkich nadziei.

Wytrzepał ściereczkę nad zlewem, ale tym razem Maribel nie zarzuciła mu, że w ten sposób zatyka odpływ i do tego służy kubeł na śmieci. Kiedy się odwrócił, matki nie było już w kuchni. Słyszał, jak wjeżdża do pokoju Tea, ale po chwili dźwięk jadących po parkiecie kół wózka inwalidzkiego znów przybrał na sile. Maribel z impetem objechała stół i zatrzymała się centymetr przed synem. Na jej kolanach leżało prostokątne aluminiowe pudełko w kolorze oliwkowym. Położyła je na marmurowym blacie.

– Otwórz – kazała.

Nie musiał tego robić. Wiedział, co jest w środku. Słyszał tę historię setki, tysiące razy. Mimo to Maribel powtórzyła ją, otwierając pudełko za niego. Mówiła ze ściśniętym głosem z powodu emocji równie intensywne jak bolesnych.

– Teodora od dziecka fascynowały monety, znaczki pocztowe i banknoty. Mawiał, że pieniądze brudzą się, przechodząc z rąk do rąk, ale że kiedy wreszcie opuszczają niszczący je obieg, stają się pięknym przedmiotem symbolizującym ludzkie dążenie na przestrzeni dziejów do kwantyfikacji rzeczy, nadawania im konkretnej formy i zniesienia dowolności ich wymiany. Taki banknot czy monety jak te, które tu widzisz, częściowo tłumaczą nasz pęd do rozwoju cywilizacji. Teo lubił sobie wyobrażać ich zapach, kiedy właśnie wyszły z mennicy czy drukarni, w ilu były kieszeniach, w jakich miejscach i jakie rzeczy za nie sprzedano lub kupiono, ile żywotów poprawiły albo zniszczyły oraz ile nieszczęść i radości przyniosły. Posiadał jedną z największych kolekcji numizmatycznych w kraju. Gromadził ją przez całe życie, brakowało mu dokładnie tych kilku egzemplarzy. Dostał na ich punkcie obsesji. Zdobyć ich stało się jego marzeniem i pasją. Człowiek pozbawiony marzeń i pasji staje się pusty i nie ma znaczenia, czy zbiera znaczki czy puszki po piwie. Człowiek owładnięty obsesją nie spocznie, dopóki nie osiągnie swojego celu, bez względu na to, jak absurdalny może się on wydawać innym ludziom. Teo wiele lat szukał monet, które leżały w tym pudełku. Wydał tak dużo pieniędzy, że prawie doprowadził nas do ruiny, i zużył niemal tyle samo chorej energii. Gdybyś mógł zobaczyć jego twarz tego ranka, kiedy w końcu je zdobył: był najszcześliwszym, przepelnionym energią i dumą człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałam. Unosił się w powietrzu nad nami wszystkimi. Przypuszczam, że w tej właśnie chwili najbardziej go kochałam... I właśnie wtedy człowiek, który zjawiał się, jak gdyby nigdy nic, kilka tygodni temu u nas w domu, ten, o którym mówisz, że miał prawo się zmienić, odebrał mi go. Czułam, jak krew Tea pryska mi na twarz! Widziałam, jak monety wyleciały

mu z ręk!... I nie mogłam nic zrobić. A mimo to udało mi się zasłonić cię od strzału, który by cię zabił i na zawsze złamał mi życie. Zginęłam, żeby cię uratować. Jesteś mi to winien. Jesteś mi winien życie tego mordercy.

– Nawet kosztem zrujnowania mojego życia?

Maribel nie odpowiedziała. Popatrzyła na niego uważnie i rana, której Who nie chciał otworzyć, zaczęła krwawić.

Czasami Sara nienawidziła swojej matki. Czasami nienawidziła wszystkich. Z wyjątkiem Eduarda. Jego nie dotyczyło to mało konkretne uczucie, które – jeśli dobrze się zastanowić – może nie było dokładnie nienawiścią, ale raczej wzrastającym dyskomfortem, kiedy przebywała w towarzystwie innych osób, pewnego rodzaju niepokojem, który zawsze wyczuwała pod skórą jak wodę spływającą rurą, gdy naciskała przycisk w toalecie. Niekiedy ten delikatny szum dyskomfortu rósł w jej głowie, zagłuszając wszystkie jej myśli. Nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje ani co ten mechanizm uruchamiało. W każdym razie to się wciąż pojawiało, a ona nie była w stanie tego powstrzymać. Dlatego w takich momentach starała się zachować spokój. Miała teraz sojusznika – kota szczęścia. Mocno go przytulała, mówiła do niego i śpiewała mu piosenki, udając, że nie słyszy natrętnego bzyczenia much uwieczonych w jej uchu.

Aby wytłumaczyć swój stan, szukała porównań, a lekarka chwaliła ją za to, ponieważ obrazy, które wymyślała, aby wytłumaczyć swoje uczucia, pomagały innym lepiej je zrozumieć. To uczucie w uchu było... „Jak wtedy, kiedy łapiesz muchę w odwrócony do góry dnem słoik i słyszysz jak obija się o szkło?” – zasugerował jej Eduardo, kiedy próbowała wyjaśnić mu, że nie kopnęła go w chorą nogę przez złośliwość, tylko dlatego, że słyszała to w głowie. I dokładnie tak było. Dlatego Eduardo był inny niż wszyscy. Był taki jak ona.

Zanim wybiegła z domu, widziała, jak jej matka siedzi przy oknie z wysoko uniesioną głową i sztywnymi ramionami. Palila w swojej sypialni, a dym zniekształcał jej rysy, malując je na nowo i nadając jej twarzy wyraz smutku. W takiej pozycji Graciela siadała zawsze, kiedy coś ją trapiło. A jeśli palila przy łóżku, znaczyło to, że wkrótce zacznie płakać, potem będzie pić i płacz przemieni się w gęstą, lepłą i ognistą lawę. Kiedy Sara widziała matkę w takim stanie, pomruk złości stawał się w jej głowie coraz głośniejszy, a muchy zaczynały latać zbyt blisko jej uszu. Wtedy miała nieodparte pragnienie, żeby uciec z domu, ukryć się pod ławką na ulicy, dopóki hałas nie ustanie. Klęczała na ziemi skulona, tuląc w ramionach swojego kota i zakrywając głowę rękami. Nie uciekała, żeby ukarać matkę ani ze złośliwości. „Nie, oczywiście, że nie. Po prostu coś zmusza cię

do biegu i krzyku, bo w innym wypadku pęknieś w środku”. Tak, Eduardo ją rozumiał. Wyznał jej, że wiele lat wcześniej czasami sam miał taką potrzebę.

Czuła się już lepiej. Naprawdę. Nie potrzebowała dłużej ukrywać się pod ławką, ziemia była brudna, zasypana niedopałkami i łupinami z pestek słonecznika, które wlażyły jej w skarpetki i kłuły ją w łydki. Mogła wrócić do domu, znała drogę, odeszła tylko kilka skrzyżowań. Otrzebie się z kurzu, przygładzi włosy i wróci spokojnie. Nie chciała znów wylądować w szpitalu. Nie, teraz już czuła się dobrze, to było tylko małe ostrzeżenie, żeby mama nie wybuchła płaczem. Kiedy była smutna, nienawidziła jej trochę bardziej, ale nie chciała jej nienawidzić. Również z tego powodu Sara lubiła Eduarda: kiedy się pojawiał, jej matka przypominała kwiat, malowała policzki różem i śmiała się nerwowo, gdy puderniczka spadła jej na podłogę. Eduardo rozpraszał smutki, swoje i innych, zabierając je ze sobą. Dlatego zawsze chodził lekko przygarbiony, jakby dźwigał na plecach ciężki konopny worek wypełniony bólami innych.

– Nie uciekałam ze złości – powiedziała do kota, który machał plastikową łapką w górę i w dół, jakby grał w jojo. Ale kota nie mogła okłamywać, więc z lekkim wstydem zasłoniła mu ręką oczy.

Czasami człowiek ucieka, żeby nikt go nie znalazł. Sara jednak lubiła myśleć, że jej matka i Eduardo w tym konkretnym momencie jej szukali. Razem. Pozwoli im jeszcze trochę siebie poszukać, a potem da się znaleźć.

– Ładny kot.

Głos nie miał twarzy, tylko nogi. A raczej parę butów na grubych podeszwach i ze złotymi ćwiekami, która zatrzymała się przed jej twarzą. Sara spojrzała przez szpary w deskach ławki. Patrzyły na nią oczy, nad którymi widziała niebo. Piękne, w odcieniach różu i pomarańczy.

– Widzę cię. Twojego kota też.

Pchana ciekawością wystawiła głowę, jak myszka, która bada wzrokiem teren przed wyjściem z norki.

– To nie jest zwykły kot. Wabi się Maneki.

– Tak mi się właśnie wydawało. – Teraz nieznajomy ukucnął, a oczy i głos zyskały twarz.

Ta twarz spodobała się Sarze. Niektóre twarze jej się podobały, a inne nie. Ta należała do tych pierwszych. Spojrzała niespokojnie na paczkę, którą nieznajomy trzymał pod pachą. Lubiła paczki. Są w nich rzeczy, które nie każdy może zobaczyć.

– Powinnaś stamtąd wyjść. Po ziemi pełzają robaki, a motyle latają. I przestało padać, więc nie zmoczysz sobie skrzydełek.

Sara się uśmiechnęła. Skąd on wiedział, że ukrywała niewidzialne skrzydła, które mógł zniszczyć deszcz? Złapała rękę, którą do niej wyciągnął, i wyszła spod ławki.

– Tak jest dużo lepiej. Mam na imię Who. Wydaje mi się, że twój kot i ja już się znamy.

– Jak to możliwe? Nigdy nie pozwalałam mu wychodzić samemu.

– Wiesz, że koty chodzą własnymi ścieżkami. Może kiedy śpisz, wyskakuje przez okno i patroluje okolice. Pewnie spotkaliśmy się którejs nocy na ulicy.

Niemożliwe, żeby Maneki uciekał nocą, ponieważ Sara klękała na łóżku i uważnie go obserwowała. Wydawała mu w myślach różne polecenia (koty mają olbrzymie zdolności telepatyczne). Maneki czasami je wykonywał – poruszał łapką albo mrugał niedostrzegalnie. Innym razem nie poruszał się (w ten sposób objawiała się niezależność jego charakteru). Sara nie mówiła o tym mamie, ponieważ ta uznałaby, że córka zmyśla. Ale Eduardo jej wierzył, chociaż radził jej, żeby nie opowiadała o tym wokół. „Nie wszyscy są gotowi na pewne rzeczy. Ludzie wierzą tylko w to, w co chcą wierzyć. Właśnie to w końcu staje się dla nich *rzeczywistością* i *prawdą*”. Sara zrozumiała, co miał na myśli: jeśli będzie opowiadała, że jej zabawkowy kot ożywa, kiedy prosi go o to bez słów, albo że sama ma niewidzialne skrzydła, które musi chronić przed deszczem, czy o tym, że przezroczyste muchy bzyczą jej w uszach, ludzie będą patrzyli na nią ze zdziwieniem i uznają ją za głupią, szaloną albo jeszcze gorzej. Mogliby jej zarzucić, że nie żyje w *rzeczywistości* i nie akceptuje *prawdy*.

– Dlaczego chowasz się pod ławką? Nie lepiej za drzewem albo w jakiejś bramie?

Sara otaksowała Who wzrokiem. Był jak jasna plama ubrana w bardzo ciemną plamę, miał potargane włosy i paznokcie pomalowane czarnym lakierem. Jego głos zabrzmiał infantylnie, jakby dziecko żyjące w jego wnętrzu nie zdążyło urosnąć wraz z ciałem. Z Sarą było podobnie: jej umysł rozwijał się zbyt szybko, a ciało nie mogło za nim nadążyć, więc nie była trzynastoletnią dziewczynką, chociaż taką przypominała. Z tej przyczyny trudno jej było zazwyczaj przebić się do świata dorosłych, którzy za bardzo kierowali się pozorami. I to był kolejny powód, z jakiego tak bardzo lubiła Eduarda: on dostrzegał, co było do dostrzeżenia, i traktował ją poważnie.

– Inaczej mogą mnie nie znaleźć. A ja chcę, żeby mnie znaleźli.

– Dużo czasu im to zajmie tym razem? Bo niedługo zrobi się ciemno.

Sara wzruszyła ramionami.

– Ty mnie znalazłeś.

– Ale ja cię nie szukałem. Nie ciebie konkretnie... To musi być znak.

Ostatnie popołudniowe promienie po deszczu oświetliły twarz Sary. Przysłoniła ręką oczy, żeby lepiej widzieć chłopaka. W tej chwili pomyślała o pustym mosiężnym wazonie, który matka postawiła na komodzie w przedpokoju. Sara uważała, że jest brzydki i pewnie taki był. Wazon bez kwiatów. Nie miała pojęcia, dlaczego nagle sobie o nim przypomniała. To się czasami zdarzało: myślała o rzeczach bez sensu, bez żadnego wyraźnego powodu, po prostu jakiś obraz opanowywał jej umysł i nie potrafiła myśleć o niczym innym. Nie wiedziała też, dlaczego wspomnienie brzydkiego wazonu bez kwiatów nagle ją zasmuciło. Niekiedy tak po prostu ogarniał ją smutek. Mogła iść ulicą, trzymając za rękę matkę, podśpiewując piosenkę, którą usłyszała w radiu, i nagle na widok twarzy jakiejś starszej osoby albo kobiety z cieniem wąsika nad ustami, psa z pogryzionym uchem czy wyblakłej markizy w lodziarni piosenka znikwała, kryjąc się gdzieś w jej wnętrzu, i Sara stawała się milcząca i bardzo smutna.

Gdy patrzyła na pana Who, a właściwie obserwowała, jak przekłada z ręki do ręki paczkę, przyszedł jej na myśl wazon, dom i jej muzyka gdzieś się ulotniły. Wazon bez kwiatów. Miedziany wazon.

– Zrobisz coś dla mnie? – zapytał pan Who. – Czy mogłabyś oddać tę paczkę Eduardowi? Powiedz, że jest od Teodora Lópeza Egei.

Sara wzięła paczkę. Spodobało jej się, że ma do wypełnienia misję.

– A teraz lepiej wracaj do domu. Chyba kot ci to mówi.

Sara spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Ty też słyszysz Manekiego?

Pan Who się uśmiechnął.

– Mówiłem ci przecież, że znamy się z widzenia.

Rozdział 17

Martina przekreślała mijające dni czerwoną kreską i zaznaczała przyszłe wydarzenia różnokolorowymi kółkami (na zielono odwiedziny, na żółto wolne, na niebiesko ostatnie dni każdego miesiąca). Dlaczego Eduardo był w niebieskim kółku, nie w zielonym, jak inni? Zieleń oznacza nadzieję. Niebieski jest kolorem nostalgii, nieba, rzeczy niemożliwych. Zegarek na nadgarstku Martiny odliczał sekundy i minuty. Dziesiąta czterdzieści pięć, dziesiąta czterdzieści sześć, dziesiąta czterdzieści siedem... A on wciąż milczał.

Powiedział coś o dziesiątej czterdzieści cztery. Wiedział o tym, ponieważ mówiąc, nie spuszczał wzroku z tego kwadratowego, małego, złotego damskiego zegarka. Przesunął powoli wzrokiem od zegarka po jasnym meszku przedramienia lekarki i zatrzymał się na małym znamieniu, trochę większym od piega, wielkości ziarnka soczewicy. Wyobraził sobie, że miała ich na ciele więcej. Ciało nakrapiane ziarenkami soczewicy, które lekarka musiała smarować kremem z filtrem przeciwsłonecznym przed wyjściem na plażę.

Martina zapisała w swoim kołonotatniku jedno zdanie: „Zabiłem ich. Chociaż tylko on nie żyje”. Dla zaakcentowania podkreśliła je dwiema grubymi kreskami, które pozostawiły ślad po drugiej stronie kartki.

– Poszedłem do niej do domu – dodał o dziesiątej czterdzieści osiem, jakby to zdanie było niekompletne i wymagało dokończenia.

Poza nimi dwojgiem, poza gabinetem i kalendarzem, poza zegarkiem i zapisanym w notesie zdaniem świat był o wiele jaśniejszy, prostszy i bardziej znośny. Ostatni front wiosennych burz oddalał się w kształcie krzywej wyrysowanej na mapie Europy w kierunku oceanu, który pochłaniał wszystko. Świeciło piękne słońce, jeszcze nie nadszedł upał, który przykleja ubranie do ciała. Było wciąż za wcześnie na niekończące się karawany uciekających z Madrytu emigrantów, którzy taszczyli walizki i nadzieję na odkrycie jakiegoś finansowego raj. W maju miasto było przytulne i pozwalało się lubić. Może lekarka myślała o swoim apartamencie nad morzem, o malarzach, którym zleciła odmalować ściany i usunąć rdzę na balustradach. Może, skreślając na czerwono dni, w głowie robiła plany, żeby też uciec. To tłumaczyłoby dysonans, który Eduardo zauważył między wyrazem jej twarzy – skupionym, jakby to zapisane zdanie było nierozwiązywalnym zadaniem z algebry – a rozmarzonym i nieobecnym

spojrzeniem jej lśniących oczu.

Po co poszedł do Maribel? Nie wiedział. Naprawdę nie wiedział. Przez niemal czternaście lat nie czuł potrzeby, żeby to zrobić, pomijając kilka nocy, podczas których koszmary stały się tak intensywne, że wydawały się wiadomościami z zakodowanym poczuciem winy w niezrozumiałym dla niego języku. Kiedy czujemy jakiś impuls, próbujemy go sobie racjonalnie wytłumaczyć. W rzeczywistości miał pustkę w głowie, kiedy dotarł do bramy jej domu, wszedł schodami na górę i nacisnął dzwonek u drzwi. Niczego nie oczekiwał. Wiedział tylko, że musi to zrobić. Być tam.

Martina zapisała coś drobnym pismem na marginesie kartki nad podkreślonym zdaniem. Eduardo ze swojego miejsca nie był w stanie tego przeczytać. Siedział z założonymi na piersi rękami, jakby chronił się przed samotnością. „Nie rób tak” – zwykł karcić Tanię, kiedy przyjmowała taką defensywną postawę. Jakby zaciskając ręce pod pachami, zamykała pancerz, o który odbijały się jego słowa i upadały u jej stóp. Nieważne, jak głośno na nią krzyczał, dopóki stała z założonymi rękami, nie było na nią siły.

– Jakie wrażenie zrobiła na panu Maribel po tylu latach?

W chwilę po naciśnięciu dzwonnka Eduardo miał ochotę stamtąd uciec, a kiedy drzwi się otworzyły, zapragnął stać się niewidzialny, zniknąć, ale wiedział, że to niemożliwe. W progu ujrzał kobietę siedzącą na wózku inwalidzkim z nogami owiniętymi kocem w szkocką kratę, ubraną w kimono ze sztucznego jedwabiu. Jej niemal całkiem siwe włosy związane były w bardzo ścisły kok.

Czy pamiętała go? Nie tylko pamiętała, ona o nim nie zapomniała.

– Zrobił pan ogromny postęp, Eduardo. Przebaczenie goi rany. Nie może pan jednak oczekiwać, że to się stanie tak szybko, jakby sobie pan tego życzył. Potrzebujecie czasu – stwierdziła Martina.

Wydało mu się, że słucha zamkniętej w klasztorze zakonnicy, której jedyny kontakt ze światem umożliwiało obrotowe okienko, takie, przez jakie wydaje leki, recepty i bezużyteczne rady. Brakowało tylko jeszcze, żeby zrobiła znak krzyża. W liturgii lekarki odpowiednikiem błogosławieństwa było comiesięczne wypisanie recepty na neuroleptyki.

Eduardo spojrzał na palce Martiny, w których trzymała brzegi kartki, i pomalowane na kremowo paznokcie. Zrobiłem postęp. W którą stronę? Czyje przebaczenie?

– Ma pan do mnie jakieś pytania?

Istnieją światy nie do pogodzenia, które funkcjonują odwrócone do siebie plecami. Wyciągnął rękę po recepty.

- Żadnych, pani doktor.
- Dobrze, w takim razie do zobaczenia w czerwcu.
- „Być może” – pomyślał Eduardo.

Postanowił się przejść. Szkoda było w taki ładny dzień ukrywać się w metrze. Nie był w wesołym nastroju, ale kupił „jakikolwiek” kwiaty, ignorując porady kwiaciarki. Takie stwierdzenie oburzyło dziewczynę; poprawiła sekator, który wystawał jej ze skórzanego fartucha, zdjęła z jednej ręki zieloną rękawiczkę i wskazała na jeden z pęków, które właśnie spryskiwała wodą na ladzie: margerytki, róże, werbeny... Eduardo pokiwał głową, jakby wszystkie mu się podobały. Chciał tylko rozweselić trochę pusty miedziany wazon, który napawał smutkiem Sarę. Wybrał białe i liliowe margerytki. Barwione na niebiesko były droższe. Idąc ulicą tego słonecznego ranka, wyglądałby jak zakochany, gdyby nie trzymał bukietu w tak apatyczny sposób, jakby prowadził na smyczy pudła, który zawzięcie obwąchuje każdą obsikaną latarnię. Można było pomyśleć, że dostał kosza. Może dlatego niektórzy przechodnie, zwłaszcza kobiety, spoglądali na niego z pewnym politowaniem.

Na rogu ulicy León tłum ludzi blokował przejście. Słychać było syreny straży pożarnej, a nad pobliskimi budynkami unosił się gęsty dym. Wiatr roznosił popiół i smród spalonego drewna i plastiku. Eduardowi udało się przepchnąć wśród gapiów i zobaczyć samochody policyjne i karetki zaparkowane na chodniku naprzeciwko sklepu z antykami. Jeden strażak wyważał drewniane drzwi kilofem, a drugi tłukł szybę okna wystawowego. Funkcjonariusze policji odsuwali gapiów, a ratownicy z pogotowia rozciągali płócienny parawan, żeby zasłonić miejsce zdarzenia i zapewnić lekarzom spokojne warunki do pracy.

Zza zasłony docierały ponaglące głosy. Eduardo przez szparę dostrzegł wystającą z noszy stopę. Była częścią pokrytego oparzeniami ciała bez twarzy, z którego uciekało życie. Przez kilkanaście minut lekarz i pielęgniarz próbowali reanimować poszkodowanego, wykonując mu rytmiczny i energiczny masaż serca. Ktoś przyniósł maskę i pompę tlenową. Ze swojego miejsca Eduardo nie widział, czy poparzony człowiek reaguje, ale domyślał się, że od masażu miał już połamanych kilka żeber. Dwóch pielęgniarzy i dwóch strażaków z twarzami i kaskami pokrytymi sadzą przeniosło nosze do najbliższej stojącej karetki. Policja utworzyła szpaler i ambulans z wyciem syreny odjechał ulicą pod prąd.

Strażacy zaczęli polewać sklep z antykami pianą. Z sąsiedniego budynku mieszkalnego policjanci wyprowadzili mieszkańców i pozostawili ich w bezpiecznej strefie. Kilka osób protestowało (niektórzy ludzie protestują nawet

wtedy, kiedy ktoś chce ich chronić), inni płakali. Nieśli ze sobą klatkę z papużką, kota, rozwścieczonego psa, którego uszy drażnił dźwięk syren. Policjanci przepytывali świadków i zapisywali coś w swoich notesach. Pożar zniszczył większość lokalu. Podobno zaczął się w piwnicy. Płomienie z zachłannością pochłoneły w jednej chwili masy starych ubrań, meble i obrazy. Odratowano zaledwie kilka przedmiotów. Strażacy wynosili je teraz powoli drzwiami i zniszczonymi oknami: rzeźbę z brązu przedstawiającą Marka Aureliusza z poczerniałą twarzą, barokowy osmolony krucyfiks, łyżki, talerze, szklanki, fotel w stylu Ludwika XIV. Na zewnątrz ta krzątająca przypominała rabowanie domu w burzliwych czasach rewolucji francuskiej.

Po kwadransie ogień zaczął słabnąć i gapie stracili zainteresowanie. Pozostali tylko najbardziej wytrwali, którzy czerpali skrywaną przyjemność z cudzego nieszczęścia. Tłum ciekawskich powoli się rozchodził, a kiedy strażacy skończyli swoją pracę, zostanie tylko czarna plama na elewacji i policyjna taśma ostrzegawcza. Miasto widziało już niejedno.

Eduardo ruszył dalej. Ubranie nasiąkło mu zapachem dymu, a margerytki wydały się smutniejsze i zmarniałe.

Wtedy zauważył Ibrahima.

Algierczyk stał wśród niewielu osób, które nadal gapiły się za policyjną taśmą. Jego głowa wystawała nad inne. Beznamiętnie przyglądał się scenie. Odwrócił wzrok i zobaczył Eduarda. Wymienili spojrzenia. Eduardo chciał go pozdrowić, ale zatrzymał w połowie drogi rękę. Ibrahim, jakby go nie widząc, cofnął się i odszedł w drugą stronę.

O pożarze informowały wszystkie stacje radiowe. Graciela siedziała w sieni i słuchała radia, przeglądając babskie gazety nieobecny wzrokiem i trzymając w ręku do połowy wypalony papieros. Z żalem donoszono o śmierci siedemdziesięciodwuletniego Dámasa Berenguera, który prowadził sklep z antykami od ponad czterdziestu lat; według świadków nie miał rodziny. Dámaso zmarł w drodze do szpitala w wyniku rozległych poparzeń i zaccadzenia, czekano jednak na wyniki sekcji zwłok.

– Pożar wybuchł niedaleko stąd. Przyniosłem na ubraniu zapach spalenizny – odezwał się Eduardo na powitanie, kładąc kwiaty na kontuarze stróżówki, obok paczki owiniętej w szary papier. – To do twojego pustego wazonu. Sarze chyba się spodobają.

Graciela rzuciła obojętne spojrzenie na kwiaty i popatrzyła na Eduarda. Palila z udawanym spokojem, chociaż mocno ścisnęła filtr papierosa i zaciągając się, od razu wypuszczała dym nosem.

– Wiesz, że płacę za pieprzenie? A przynajmniej raz to zrobiłam.

Siła tego retorycznego pytania zaskoczyła Eduarda, jakby ktoś zniechęca uderzył go między oczy.

– Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, że powinienem o tym wiedzieć.

Graciela ze złością zgmiotła papierosa w popielniczkę.

– Oczywiście, zapomniałam, że ty niczego ode mnie nie potrzebujesz. Ani od mojej córki. W rzeczywistości masz wszystkich w nosie.

Jej wrogość był nieoczekiwana. Graciela podniosła z blatu paczkę i zważyła ją w rękach.

– Ale to cię zainteresuje. Okazuje się, że facet, któremu płacę, żeby rznął mnie w tyłek, jest twoim znajomym. Wie, gdzie mieszkasz, jak się nazywasz i oczywiście, co moja córka i ja do ciebie czujemy. Wątpię, żeby wiedział, co ty czujesz do nas, chociaż to logiczne, bo nawet ty tego nie wiesz.

Eduardo nie odpowiedział. Zaschło mu w ustach. Wbił wzrok w dekolt beżowej koszuli z długim rękawem i guzikami z kości słoniowej, którą dozorczyńni miała na sobie. W rytm jej przyspieszonego oddechu unosiły się i opadały jej piersi. Jedna pierś. A pośrodku bujał się medalik.

Eduardo popatrzył na margerytki. Sara miała rację: widok pustych wazonów wywołuje smutek.

Odwrócił się z powrotem do Gracieli i spojrzał na nie bez wstydu ani poczucia winy. „Przebaczenie pomaga” – powiedziała Martina. Ale co mogła wiedzieć ta zakonnica ukryta za swoim obrotowym okienkiem. Czuł tylko głęboki smutek, nie wiedząc nawet, co go wywołało. Myślał o Sarze, Gracieli i ludziach, którzy – podobnie jak one – tworzyli sobie w głowach bohaterów, w których chcieli wierzyć; bohaterów, którzy wyciągali do nich rękę, by podtrzymać ich przed kolejnym upadkiem. Może istnieli tacy bohaterowie, ale on do nich nie należał. Nie chciał nim być.

– Próbowałem wytłumaczyć ci to wiele razy, Gracielo. Nie jestem człowiekiem, za jakiego mnie masz. Wymyśliłaś mnie sobie jako towarzysza dla siebie, jako ojca dla Sary. Ale taki człowiek istnieje tylko w twojej głowie.

– Nie mam na imię Graciela!!!... – Krzyk odbił się echem, zagłuszając radio. Kobieta zamilkła na chwilę, jakby zaskoczona własnymi słowami, ale po chwili przyszła do siebie. – Nie mów mi, co wymyślam, co czuję, co sądzę. Jesteś taki ślepy... .

Spojrzeni na siebie w milczeniu. Usta jej drżały, a łzy w oczach zmieniały jej tęczęwki w świecące lustro, w których odbijała się rozmyta, niewyraźna postać Eduarda.

– Nie chcę ciebie ani Sary wystawiać na niebezpieczeństwo. Spakuję się i zapłacę ci czynsz za ten miesiąc. Jutro mnie tu nie będzie.

Graciela potrząsnęła głową, ale tym razem bez złości. Jakby burza oddaliła się z pomrukiem w stronę gór, pozostawiając za sobą smutek po kapiącym krajobrazie bez słońca.

– Nadal nic nie rozumiesz, prawda? – Podała mu paczkę, którą od dłuższej chwili trzymała w ręku. – Ten facet poprosił Sarę, żeby ci to przekazała od Teodora Lópeza Egei.

Eduardo spojrział ze zdziwieniem na paczkę, jakby się zastanawiał, jak ją otworzyć. Kiedy uniósł wzrok, Graciela spoglądała w kierunku uchylonych drzwi swojego mieszkania, w których stała Sara. Dziewczynka na jednej stopie miała różową skarpetkę w niebieskie słoniki. Widać było tylko połowę jej twarzy i połowę kota szczęścia; reszta pozostawała ukryta za drzwiami. Jedno oko Sary utkwione było w Eduardzie i patrzyło na niego jakoś inaczej. Usłyszane słowa zmieniają percepcję tego, na co się patrzy. Ani Graciela, ani Eduardo nie wiedzieli, ile Sara usłyszała.

– Wracaj do środka, kochanie – poprosiła Graciela, stanowczym gestem pokazując jej mieszkanie, jakby chciała zatrzymać jej ciało przed ucieczką tak rozpaczliwie, jak uciska się wnętrzości rannego, który nadepnął na minę, żeby się nie wykrwawił.

Zanim znikła w drzwiach za dziewczynką, odwróciła się do Eduarda i powiedziała:

– Załatw to, cokolwiek to jest.

Eduardo skinął głową. Chciał jej przypomnieć, żeby włożyła kwiaty do wazonu. To złagodziłoby trochę smutek Sary.

W paczce było kilka bardzo starych stupezetowych banknotów z podobizną Goi oraz jeden banknot tysiącpesetowy z podobizną Luisa Vivesa. Eduardo doliczył się też kilkunastu dwudziestopięciopesetówek z wizerunkiem Flóreza Estrady. W sumie około tysiąca trzystu peset w banknotach emitowanych w latach 1944–1947. Na pierwszy rzut oka były to zwykłe, stare banknoty, które wyszły z obiegu i być może przedstawiały jakąś wartość kolekcjonerską. Kiedy obejrzał kilka z nich pod światło, zauważył małe wyschnięte plamki. W paczce znalazł też samoprzylepną karteczkę, na której ktoś zapisał adres i godzinę. Eduardo otworzył lodówkę, znalazł w niej tylko butelkę z resztkami wina. Wlał je do szklanki i wypił duszkiem. Powtórzył tę czynność, dopóki ręce nie przestały mu drżeć.

„Kara nie ma sensu, jeśli nie rozumiesz, za co jesteś karany”. Przez trzynaście długich lat odsiadki różni psychiatrzy i funkcjonariusze, którzy go przesłuchiwali, starali się, by to zrozumiał. Do tego samego celu dążyła Martina, twierdząc, że chce mu tylko pomóc w *reintegracji*. To było dziwne słowo oznaczające, że w pewnym momencie stał się częścią mechanizmu, w którym tkwią wszyscy ludzie, i że zanim na jego oczach zginęły Elena i Tania, był małym trybikiem działającej bez zbyt wielu tarć maszynerii. Wraz ze śmiercią jego rodziny trybik się popsuł i spowodował ciąg awarii – kolejne śmierci i więcej cierpienia, równie bezużytecznego bólu, jak jego ból. Nie zaufał wymiarowi sprawiedliwości i to było niewybaczalne. Nawet bardziej niż zabójstwo Tea oraz tragedia Maribel i ich syna, którzy w sumie byli takimi samymi nic nieznaczącymi trybikami maszynerii jak on. „Nie możemy pozwolić, żeby każdy wymierzał sam swoją mikrosprawiedliwość. Doprowadziłoby to do chaosu, a istnienie całej maszynerii straciłoby sens” – ostrzegła go Martina.

Szaleniec zabija bez powodu lub pchany swoimi niezrozumiałymi dla innych pobudkami. Eduardo nie był jednym z psychopatów, z którymi miał do czynienia przez trzynaście lat w więzieniu w Huesce. On działał pod wpływem *implozji*. Kolejne słowo, które lekarka uwielbiała zapisywać w swoim notatniku. Twierdziła, że jego można było uleczyć, naprawić i z powrotem zainstalować w maszynie jak nową część zamienną. Wystarczyło pochylić głowę, zapomnieć o przeszłości i przyjąć przebaczenie.

Ale lekarka się myliła.

O siódmej rano park Retiro był wyludniony. Ochroniarz, który otworzył bramę, rozciągnął zdrętwiałe mięśnie jak wielki lew po drzemce. Z ciekawością popatrzył na pana Who, jego otumaniony snem w niewygodnej budce strażniczej umysł nie był w stanie odróżnić, czy stoi przed nim mężczyzna czy kobieta. Pan Who niespiesznie ruszył w kierunku Palacio de Cristal, mijając po drodze pierwszych biegaczy w sportowych strojach. Później pojawią się właściciele psów z nieodłącznymi torebkami na psie kupy, sprzedawcy z kiosków, kierowcy samochodów dostawczych i konny patrol policji.

Sztuczny staw przypominał walijskie jezioro. Nad jego zielonkawą powierzchnią unosiła się lekka mgła.

Eduardo siedział na jednej z ławek w południowym krańcu parku. Patrzył pustym wzrokiem. Odruchowo pocierał nadgarstki, najpierw jeden, potem drugi, jakby właśnie zdjęto z nich kajdanki. Who obserwował go przez dłuższą chwilę z mieszaniną rozczarowania i nienawiści. Tak długo czekał na tę chwilę,

przygotował się do niej tak sumiennie, a teraz wydawało mu się, że ten przygnębiony człowiek w kremowym płaszczu nie spełniał jego oczekiwań. Czuł też złość do siebie, za to, że wcale nie nienawidził Eduarda tak bardzo, jak ten na to zasługiwał. Who przez całe życie nienawidził cień, a teraz odnosił wrażenie, że ów cień nie należy do tego człowieka.

Eduardo usłyszał dźwięk kroków od prawej strony i odwrócił się. Na widok Who skóra na szyi pod jego podwójnym podbródkiem poczerwieniała. Nie wiedział, czy powinien wstać, więc przesunął tylko pośladki na krawędź ławki i położył zgięte ramię na oparciu. „A więc to ty” – powiedziało jego spojrzenie. Nie był zaskoczony. „Nie przypomina chłopaka ani dziewczyny, jakby był przedzielony jakąś niewidzialną linią” – kiedy Graciela opisała Who, Eduardo niemal natychmiast przypomniał sobie spotkanie sprzed kilku miesięcy na stacji metra przy parku Retiro z chłopakiem, który zapomniał chińskiego kota. Powróciło do niego niepokojące uczucie, że już gdzieś go widział, że to spotkanie nie było przypadkowe.

– Urosłeś. – To była jedyna rzecz, jaka przysłała mu do głowy.

Zdanie było głupie, biorąc pod uwagę okoliczności. Jakby łączyło ich dalekie pokrewieństwo: wuj spotyka bratanka po czternastu latach i odkrywa, że ze smarkacza stał się mężczyzną.

Who usiadł obok niego. Tego ranka miał na sobie czarny cienki trencz z podniesionym kołnierzem. Włożył ręce do kieszeni i schował brodę między uniesione ramiona. Wbił wzrok w powoli rozpraszającą się mgłę nad stawem. Wśród jej kłębow na powierzchni wody widać było w niektórych miejscach bańki powietrza i kółka robione przez ryby.

– Zastanawiałem się, czy przyjdiesz – przyznał Who, spoglądając na Eduarda ukradkiem – ale coś mi mówiło, że się zjawisz. W rzeczywistości czuję się, jakbym cię znał, odkąd skończyłem dziewięć lat. Śniesz mi się każdej nocy.

Nie wyglądał na niebezpiecznego. Był raczej smutny i zmęczony odległym bólem, który jego ciało nosiło w sobie jak nieuleczalną chorobę i z którym nauczył się żyć.

Eduardo wyjął z kieszeni starannie złożone w plik banknoty, które Who przekazał mu przez Sarę, i położył je na ławce.

– Nie musiałeś straszyć Gracieli i Sary. Odwiedziłem twoją matkę i wiedziałem, że prędzej czy później się pojawisz. W każdym razie jestem tu i godzę się na wszystko. Nie mam już siły dłużej dźwigać tego ciężaru.

Who na próżno próbował ocenić szczerść jego słów. Czy Eduardo wiedział, że Who przyszedł, by go zabić? Że w jednej z kieszeni ukrywa mały rewolwer,

którego zamierza użyć? Na pewno się tego domyślał, ale nie okazywał strachu. Chyba nie dlatego, że miał nadzieję, iż przekona chłopaka, by tego nie robił. W głębi duszy miał nadzieję, że to zrobi.

– Nie chcę cię skrzywdzić. Nie jestem takim człowiekiem. Nie jestem taki jak ty. – Chłopak wstał i wbił wzrok w jezioro. Potrząsnął głową i spojrzał na Eduarda. – Czy miałeś kiedyś wrażenie, że jesteś drzewem bez korzeni? Ja się tak właśnie czuję, odkąd pamiętam.

Eduardo odwrócił wzrok, kiedy w oczach Who odbiły się promienie słońca. Żał, który w nich dostrzegł, obijał się jak uwięziona w szklanej kuli ćma. Popatrzył na wodorosty wijące się jak serpentyny przy brzegu w pobliżu cyprysu, na którego pniu wyciął kiedyś imię swoje i Eleny. Chciał powiedzieć chłopakowi, że go rozumie: człowiek jest nikim, jeśli nigdzie nie zapaści korzeni. Jego ziemią była jego rodzina, a bez niej Eduardo był jak spróchniały wewnątrz pień, który czeka, aż jakaś burza złamie go na pół.

Zrozumiał, co Who zamierzał zrobić. Domyślił się tego, kiedy chłopak włożył rękę do kieszeni krótkiego płaszcza i gdy ujrzał drewniany uchwyt, na którym chłopak zaciskał dłoń. „Zrób to – pomyślał – skończmy z tym wreszcie”. Ale instynktownie skulił się w sobie. Nikt nie chce umierać, nawet ci, którzy tego pragną.

– Przejdźmy się – odezwał się Who.

To nie był rozkaz, ale zaakceptowanie czegoś, co obaj uznali za nieuniknione.

Eduardo skinął głową. Wstał i spojrzał na wybrzuszenie w kieszeni Who. W pobliżu nie było nikogo, kilka osób uprawiało jogging na ubitej alejce w oddali. Nikt nie przyjdzie mu z pomocą.

– Strzelisz mi w plecy?

Who nie odpowiedział. Na jego ustach pojawił się słaby uśmiech, który nie pasował do jego nastroju. Jakby wargi przyzwyczyły się układać w ten grymas niezależnie od okoliczności. Kiedy powiew wiatru potargał jego czarne włosy, zakryły uśmiech jak chmura. Ruchem podbródka Who dał Eduardowi do zrozumienia, żeby zaczął iść.

Eduardo zrobił jeden, dwa kroki i – co ciekawe – nie poczuł bólu w kolanie. Nic go nie bolało. Patrzył w ziemię, na swoje buty ze zdartymi czubkami, mrówki biegające wokół mrowiska, suchy liść, który bezładnie unosił się w powietrzu, na psią kupę.

– Obserwowałem cię przez wiele miesięcy. Nie wyglądasz na psychopatę ani wariata... Więc dlaczego to zrobiłeś?

– Twój ojciec spowodował wypadek, w którym zginęła moja rodzina. Pozwolił

umrzeć mojej córce, która teraz byłaby niewiele od ciebie starsza. Zostawił ją wykrwawiającą się nad brzegiem strumienia.

Kroki Who umilkły na zwirowej ścieżce, więc Eduardo odwrócił głowę do tyłu. Chłopak stał nieruchomo z wyrazem zaskoczenia, całkowitej bezradności na twarzy i przez chwilę, we mgle przeżytych i wymyślonych wspomnień, Eduardo widział tego samego przerażonego chłopca w czapce i szaliku, którego chciał zabić. Wtedy zrozumiał, że chłopak o niczym nie wie. Nikt mu o niczym nie powiedział.

– Kłamiesz. Teo nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego.

Eduardo odwrócił się do niego całym ciałem. Zrobiło mu się żal tej samotnej duszy, tak samo zabłąkanej jak on. Opuszczonej i zranionej na skutek czegoś, co nie powinno się wydarzyć, a jednak się wydarzyło.

– Kłamiesz – powtórzył Who, a jego głos zabrzmiał jak krzyk pośród burzy.

Eduardo nie kłamał.

– Kiedy Olga podała mi numery rejestracyjne samochodu twojego ojca i go opisała, wpadłem w obłąd, czułem tylko wściekłość i niekontrolowaną złość. Nie staram się usprawiedliwić ani sprawić, że twoja matka i ty mi wybaczycie. Chcę tylko, żebyś zrozumiał.

Słowa Eduarda odbiły się od nieruchomej postaci Who, jakby mówił do słupa soli, do człowieka, którego dusza ulotniła się, pozostawiając po sobie skorupę ciała i ubrania. Nie można wymagać od kogoś, by zrozumiał coś niezrozumiałego i żeby zmierzył się z ciężarem tego niezrozumienia.

– Kiedy doszło do wypadku?

– Wczesnym rankiem szesnastego sierpnia dziewięćdziesiątego pierwszego roku na szosie z Toledo. Wracaliśmy z wakacji. Elena i Tania spały, kiedy samochód terenowy twojego ojca uderzył w nas i wypadliśmy z drogi.

Who spojrział w dal, jakby jego umysł przebijał się przez zasłony przeszłości. Szukał w pamięci chłopca, który dostał na promie choroby morskiej i który tego lata na wyspie wymykał się popołudniami z domu, wdrapywał na spalone słońcem wzgórze i z jego szczytu, wśród śpiewu cykad, patrzył na odległe i niebieskie morze. W tym czasie Teo i Maribel przeżywali swoją drugą podróż poślubną w domu za opuszczonymi żaluzjami, a czarny pies obszczekiwał motyle.

Maribel zachowała wszystkie pamiątki z tamtych niespodziewanych wakacji: karty pokładowe na lot z Madrytu, bilety na prom i do Muzeum Historii Morskiej, w którym spędzili miłe popołudnie. Zdjęcia, korale z kulek pomalowanych na jaskrawe kolory, które Teo kupił dla niej na straganie od niemieckiego hipisa. W ustach wciąż czuła smak malinowych lodów w kubeczku, pamiętała ranę, którą

Who zrobił sobie, spadając z sosny, kiedy próbował ścigać się z wiewiórką.

Who był pewien, że ta podróż zaproponowana nagle przez Tea zamknęła kilka ran między jego adopcyjnymi rodzicami. Dowodem na to były ich zduszone jęki dochodzące zza drzwi sypialni, w której unosił się zapach terpentyny i polnych kwiatów.

– Szesnastego sierpnia dziewięćdziesiątego pierwszego roku nie było nas w Madrycie. Dotarliśmy na wyspę dwunastego sierpnia i zostaliśmy tam do dwudziestego drugiego. Sześć dni po wypadku.

Nad ich głowami przeleciało stado szaro-białych gołębi. Gonili wróbla, który trzymał w dziobie kawałek chleba. W końcu wróbel upuścił swój łup i gołębie zostawiły go w spokoju, chociaż głodnego. Takie jest życie, wydawały się mówić jego matowe oczka, kiedy przyglądał się z kępy wiciokrzewu, jak gołębie biły się o porzucony przez niego chleb.

Who rozluźnił dłoń, w której czuł zimny rewolwer, i wyjął ją z kieszeni.

– To niemożliwe, Olga powiedziała, że... Opisała samochód ze szczegółami i podała mi numery rejestracyjne – wybełkotał Eduardo, patrząc na Who szeroko otwartymi oczami, jakby chłopak był oszustem, magikiem, który zaskoczył go sztuczką, a on dał się na nią złapać.

Ręka Who znów zamknęła się w pięść i nieoczekiwanie uderzyła w policzek Eduarda. Ten się potknął i upadł na ziemię, bardziej z powodu szoku niż pod wpływem siły uderzenia. Who nie pozwolił mu wstać. Kiedy Eduardo podparł się na łokciu, żeby się podnieść, chłopak kopnął go mocno w zębra.

– Po co wymyślasz tę historię?! Nie wystarczy ci, że spieprzyłeś mi życie? Teraz chcesz ze mnie zakpić, wmawiając mi, że zabiłeś mojego ojca i posłałeś moją matkę na wózek inwalidzki tylko dlatego, że ktoś naopowiadał ci bzdur? Nawet tego dokładnie nie sprawdziłeś?

Ręka wróciła do uchwytu broni. Who już nie ukrywał rewolweru. Eduardo patrzył kątem oka na końcówkę lufy, którą chłopak w niego wycelował, jakby miał oczy z metalu i lufa przyciągała je jak magnes.

Zacisnął powieki i zęby. Usłyszał szcęk odciąganego kurka i poczuł, jak lufa szuka odpowiedniego miejsca na jego czole – jak palec, który próbuje przebić się przez jego pobladłą ze strachu skórę w poszukiwaniu newralgicznego punktu jego myśli. Dlaczego Olga skłamała? A może to Who kłamał? Dlaczego wtedy jej uwierzył, a teraz wierzy jemu?

Wszystkie pytania przerwał głuchy szcęk naciskanego spustu. Jeden, dwa, trzy razy – to samo puste kliknięcie obracającego się bębena. Nie było wybuchu ani palącego i nagłego bólu, zapachu prochu, niczego, co powinno nastąpić

w chwili, kiedy kula uderza w głowę.

Eduardo drżąc, otworzył oczy. Who przyglądał mu się uważnie. Świdrował go wrzącym z bólu i rozpaczy wzrokiem. Z oczu spływały mu łzy jak strumienie lawy i raniły policzki jak kwas.

Na ziemi leżały kule z opróżnionego wcześniej bębenka.

Rozdział 18

Arthur patrzył mętnym wzrokiem. Pod światło jego źrenice przybierały zielonkawy odcień. Olga przejechała palcem wokół nich i poczuła pod farbą chłód rzeki o dnie wyściełanym omszałymi kamieniami. Przestraszona odsunęła rękę. Ale oczy z portretu nadal na nią patrzyły. Eduardo wykonał świetną robotę. W ciągu zaledwie czterech miesięcy uzyskał efekt, którego oczekiwała Gloria: przeświecił wnętrze zabójcy jej syna. Nikomu nie udałooby się tego dokonać w tak krótkim czasie. Mimo to, kiedy przed trzema dniami wręczył Oldze portret, nie wyglądał na szczęśliwego ani zadowolonego z rezultatu.

– Skończyłem, ale obraz jest niekompletny, niedokończony – przyznał z rezygnacją w głosie.

Teraz, obserwując wściekle spojrzenie Arthura, złość bijącą z jego wnętrza, Oldze wydało się, że zrozumiała, co Eduardo miał na myśli. W pewnym momencie w ciągu tych kilkunastu tygodni pozowania model zmienił swój stosunek do malarza, przez co rezultat pracy wydał się Eduardowi sprzeczny z oczekiwanym, rozczarowujący. Kiedy Arthur dowiedział się, że obraz zamówiła Gloria, jego nastawienie uległo zmianie i stało się swego rodzaju niemym oskarżeniem widocznym w rysach jego twarzy. Ale nie tylko Arthur się zmienił. Również Eduardo wydał się Oldze inny, bardziej przygnębiony i oziębiały niż zwykle, jakby w to zlecenie włożył ostatnie siły, które mu pozostały, a i tak poniósł porażkę. Nie miało znaczenia, jak wiele szkiców wykonał, skoro nie był w stanie osiągnąć zamierzonego celu: namalować obrazu, który wcześniej powstał w jego głowie.

Eduardo poprosił, żeby to ona zaniosiła portret Glorii. Nie chciał się z nią spotkać. Pragnął raz na zawsze zapomnieć o zleceniu, Arthurze i wszystkim innym. Niemal wybiegł z mieszkania swojej marszandki, nie zabrawszy czeku, a kiedy mu o nim przypomniała, spojrzął na niego jak na jakiś brudny kawałek papieru. Olga przez chwilę obawiała się, że go podrze, ale Eduardo złożył go na pół i skwapliwie włożył do kieszeni.

– Nie namaluję już więcej żadnego obrazu, Olgo. Rzucam to. Graciela i Sara wyjeżdżają z Madrytu. Rodzice Gracieli mają domek w jednej z miejscowości na Costa Brava, więc zaproponowała mi, żebym się tam z nimi wybrał. Być może skorzystam z zaproszenia.

To było przed trzema dniami. Portret nadal znajdował się w pracowni Olgi. Wciąż nie miała odwagi wyjąć go z ramy, zapakować i wysłać Glorii. I chociaż wymyślała różne wymówki, żeby tego nie zrobić, w rzeczywistości się bała. Czuła wzrastający, niejasny strach. Nie wiedziała, co się wydarzy, ale była pewna, że ten obraz był kluczem, który mógł otworzyć wiele drzwi dzięki niej zamkniętych przez czternaście lat. Zastanawiała się, czy nie lepiej go zniszczyć, i nie namyślając się długo, musnęła końcówkami nożyczek mięsiste i wyraźnie zarysowane usta Arthura. Jednak coś w malowidle ją przed tym powstrzymało, jakby niewidzialne palce ścisnęły jej nadgarstek. „Nie waż się tego robić” – zdawała się mówić kanciasta twarz Arthura namalowana w pastelowych odcieniach. Nie odważyła się.

„To wszystko jest absurdalne” – powiedziała do siebie, siedząc rano w jedwabnym szlafroku przed sztalugami i popijając kawę. To tylko niepokojący obraz. Arthur jej nie znał, chociaż jego wzrok śledził ją po całym mieszkaniu, a Gloria była tylko dziwną klientką, która z pewnością dostała pomieszania zmysłów po śmierci syna, rozwodzie i porzuceniu swej profesji wybitnego muzyka. Jeśli chodzi o Eduarda, niczego nie podejrzewał – zauważyłaby, gdyby było inaczej. Znała go dobrze, o wiele lepiej niż sądził. Może ten niedorzeczny pomysł, żeby wyjechać z dozorczynią i jej chorą córką, wyszedłby wszystkim na zdrowie. Ostatnio w obecności Eduarda Olga odczuwała nieracjonalny impuls, żeby wyznać mu prawdę. Prawdę. Na dźwięk tego słowa przechyliła głowę i pomacała brzuch przez gładką tkaninę szlafroka, jakby było ono wytatuowane w maleńkiej bliźnie widocznej kilka centymetrów nad wżgórką łonowym. Prawdą było, że nie mogła mieć dzieci, że była samotna, czuła się brudna i winna i że bez względu na to, jak bardzo dbała o Eduarda i podejmowała niewykonalną próbę wynagrodzenia mu krzywd, nie mogła cofnąć tego, co się stało.

Miała zaledwie szesnaście lat. Ten fakt powinien być wystarczającym usprawiedliwieniem. Dojrzewanie jest czyścem, z którego nie zawsze wychodzi się bez szwanku, a na kolejnym etapie życia trzeba pospiesznie podjąć decyzje, na które dziewczyna w tym wieku nie jest przygotowana. Gdziekolwiek trafi, do piekła czy do nieba. W jej przypadku moneta spadła po stronie ciemności: zakochała się w nieodpowiednim mężczyźnie, na zawsze zmieniając swój los. Kiedy teraz zastanawiała się, czy ponownie by tak postąpiła, negatywna odpowiedź spędzała jej sen z powiek, ponieważ oznaczała, że zniszczyła życie sobie i Eduardowi z powodu czegoś, co tak naprawdę nie było tego warte.

Po poznaniu tego mężczyzny i zejściu z nim w ciążę nie stała się kobietą, którą stać się chciała. Olga, która piła gorzką kawę i paliła papierosa, siedząc na kanapie

z podciągniętymi kolanami przed portretem Arthura, była tylko szybko rozpadającą się maską. Czasami wracała nocą do domu pijana, po przespaniu się z jakimś nieznanym facetem poznanym w dyskotecie. Patrzyła na siebie w lustrze i widziała startą szminkę, potargane włosy i spływający po policzkach tusz do rzęs. W lustrzanym odbiciu szukała swojego spojrzenia, a widziała tylko ciemność. To była prawda. To była ona. Wyznanie Eduardowi, co zrobiła, niczego nie zmieni.

– Powinnaś spalić ten portret. Sam powinienem był to zrobić.

Wystraszona Olga obejrzała się za siebie. Eduardo stał w drzwiach, trzymając w ręku klucze do mieszkania.

– Nie słyszałam, jak wchodziłeś – powiedziała, ale na jej twarzy malowało się pytanie „co tutaj robisz?”.

Eduardo zadzwonił kluczami. Olga zapomniała, że dorobiła mu dawno temu komplet, ale dotychczas nigdy go nie użył. Obszedł kanapę, nie spuszczać wzroku z obrazu, i podszedł do niego.

– Miałem próżną nadzieję, że cię nie zastanę i nie będę musiał przez to przechodzić – powiedział spokojnie, jakby zwracając się do portretu Arthura.

Ale mówił do niej, chociaż na nią nie patrzył. Olga widziała tylko jego kark z głęboką zmarszczką nad kołnierzykiem.

– O co ci chodzi? – zapytała.

Poczuła skrępowanie i nagły chłód na nagich stopach. Pięknych stopach z pomalowanymi paznokciami.

Eduardo wzruszył ramionami, jakby z rozczarowaniem. Zmarszczka na karku wykrzywiła się w kpiącym uśmiechu, kiedy skręcił szyję i spojrzał na Olę. Do tej chwili nie zauważyła krwawej opuchlizny na jego prawym oku i obrzękniętej dolnej wargi.

– Co ci się stało? – zapytała, podrywając się z kanapy. Chciała dotknąć jego twarzy, ale Eduardo odsunął się od niej, robiąc krok w bok.

Nie te rany go bolały.

– Chcę ci coś pokazać, więc lepiej się ubierz. To niedaleko, przejedziemy się.

Na końcu tego zdania Eduardo postawił wielokropek – nie miał zamiaru zdradzać więcej szczegółów.

– Skąd ta tajemniczość?

Popatrzył na nią z kamienną twarzą, dużo bardziej martwą niż zazwyczaj, z lekko rozchyłonymi ustami, przez które widać było dziąsła i spękany język.

– Ubieraj się, Olgo. – To nie była prośba.

Po wyjeździe z Madrytu Eduardo skręcił na drogę do Barcelony. Olga od czasu do czasu patrzyła przez okno, uciekając myślami z zamkniętej kabiny samochodu. Mówiła o rzeczach nieistotnych z nerwowością podkreślającą jej skrepowanie wobec milczenia Eduarda.

– Gdzie jedziemy?

Eduardo powiedział, że wkrótce sama zobaczy, i żeby stłumić jej ewentualne protesty, podgłośnił radio. W wiadomościach wciąż wspomniano o pożarze na ulicy León. Najwyraźniej na podstawie nowych poszlak policja podejrzewała, że nie był wzniesiony przypadkiem, ale dla ukrycia zabójstwa antykwariusza, na którego ciele lekarz sądowy znalazł ślady brutalnych tortur, jakim go poddano przed spaleniem. Policja przesłuchiwała świadków, a wśród nich dozorczynię sąsiedniego budynku. Kobieta twierdziła, że jest w posiadaniu wiarygodnych informacji na temat domniemanego sprawcy. Słyszając to, Eduardo przypomniał sobie spojrzenie Ibrahima, który na jego widok zachował się dziwnie.

– Mogę przełączyć na coś innego? – zapytała Olga *pro forma*, równocześnie wybierając stację z przebojami z lat osiemdziesiątych. Zespół Los Secretos śpiewał *Ulicę zapomnienia*:

*Por la calle del Olvido vagan tu sombra y la mía,
cada una en una acera, por las cosas de la vida.*^[9]

Eduardo zacisnął ręce na kierownicy.

– Wyłącz to, proszę.

– Dlaczego?

To była ulubiona piosenka Eleny. Ciągle ją nuciła.

– Wyłącz ją.

Olga zgasiła radio i popatrzyła na niego wyraźnie zdenerwowana.

– Co się dzieje, Eduardo? Jesteś bardzo dziwny.

Eduardo spojrział we wsteczne lusterko, a potem przed siebie. Oddalali się od aglomeracji miejskiej.

– Trochę cierpliwości – mruknął jakby do siebie.

Ruch na drodze coraz bardziej malał i Eduardo nieświadomie jechał zbyt szybko, jakby chciał jak najprędzej doprowadzić sprawę do końca. Pola rozpościerające się po obu stronach drogi nadawały krajobrazowi bardziej ludzki i spokojny wyraz. Droga zmieniła się z dwupasmówki w jednopasmową wąską szosę; pobocze porastały chwasty, ostrzegając, że przy najmniejszej nieuwadze człowieka zasiedlą przestrzeń, która z natury do nich należy. Bezchmurne, czyste niebo odbijało promienie słoneczne jak metal. Eduardo musiał opuścić osłonę

przeciwsłoneczną, a Olga założyła duże ciemne okulary. Między nimi słyhać było tylko szum powietrza wpadającego przez otwarte do połowy okna i dźwięk opon toczących się po coraz bardziej dziurawym asfalcie. W pewnej chwili w powietrzu zaczął unosić się silny zapach wyprawionych skór i barwników, a w oddali pojawiło się niewielkie miasteczko z kilkoma halami przemysłowymi na obrzeżach.

Olga wyprostowała się sztywno w fotelu.

Eduardo skręcił w zjazd i ruszył boczną drogą. Kiedy po kilku metrach równoległe do drogi pojawiła się jasna wstążka strumienia, zatrzymał samochód na zakręcie prowadzącym w prawo. Dokładnie w miejscu, w którym czternaście lat wcześniej jego samochód spadł do strumienia. Wyłączył silnik i położył ręce na udach. Odruchowo pogłaskał prawe kolano, jakby powrót na miejsce wypadku otworzył zabliznioną ranę.

Słyhać było spokojny szum strumienia, wiatr kołysał szuwarami i dzikimi kwiatami porastającymi brzeg. Po niebie krążyły czarne plamki ptaków – może to były jaskółki albo jerzyki, nie potrafił dostrzec z takiej odległości. W oddali metaliczny połysk samolotu przecinał jak meteoryt przestrzeń, zostawiając za sobą biały ślad.

– Dlaczego mnie tu przywiozłeś? – zapytała bardzo zdenerwowana Olga.

Eduardo jednak wydawał się spokojny.

– Gdzie to było? Gdzie widziałaś samochód tego faceta? Którędy zszedł?

– Nie pamiętam dokładnie. Minęło czternaście lat.

Eduardo spojrzał na nią chłodno. On tymczasem pamiętał dosłownie każdy szczegół wypadku, nie mógł ich zapomnieć i w miarę upływu czasu stawały się coraz bardziej wyraźne.

– Kiedy poprosiłaś, żebym namalował ten portret, zadałaś mi pytanie, na które nie miałem odpowiedzi. Zapytałaś, dlaczego nie poszedłem na policję tego dnia, kiedy do mnie przyszłaś, dlaczego nie poinformowałem ich o kierowcy, który – według twoich słów – zabił Elenę i Tanię. Teraz mam odpowiedź. Chociaż ty znałaś ją już wtedy, czternaście lat temu.

Olga poczuła dreszcz. Eduardo wiedział.

– Okłamałaś mnie. Nigdy wcześniej tu nie byłaś, prawda? Nie widziałaś wypadku, nie było żadnego samochodu ani mężczyzny, ani rejestracji. Wszystko zmyśliłaś. Wiedziałaś, że zabiję tego człowieka i mnie wykorzystasz. Byłem twoim egzekutorem... Od wczoraj nie przestaję zadawać sobie pytania dlaczego. Dlaczego zrobiłaś coś takiego?

Olga zdjęła okulary i ostrożnie je złożyła. Przypomniła sobie srebrny krzyżyk,

który jej matka nosiła zawsze na łańcuszku na szyi, i to, jak się bujał, kiedy się pochylała, żeby wziąć ją na ręce i przenieść na drugą stronę strumienia.

– Doskonale znam to miejsce, co do tego cię nie okłamałam. Po drugiej stronie strumienia, za tymi trzcinami jest ścieżka prowadząca do wiejskiej chałupy. Kiedy byłam mała, nazywaliśmy ją domem smutków, bo mieszkał w niej samotny i zgorzkniały człowiek, którego żona porzuciła dla sprzedawcy odkurzaczy z Zamory. Dzieci są okrutne, chodziliśmy tam tą ścieżką i rzucaliśmy w okna kamieniami, dopóki ten człowiek nie wyszedł z domu. Wtedy krzyczeliśmy, że jest rogaczem i tego rodzaju okropności. Staliśmy w bezpiecznej odległości, gotowi do ucieczki, gdyby zaczął nas gonić. Ale nigdy tego nie zrobił, nigdy nie udało nam się go sprowokować. Pewnego dnia zjawiała się policja, żeby zdjąć go ze sznura. Powiesił się na figowcu. – Wskazała trzymanymi w ręku okularami na wschód. – Dawniej tam stała stodoła i stajnia. Kiedy wychodziłam ze szkoły, moja mama zanosila mnie tam na rękach, żeby nakarmić kozy i kury. Szczególnie upodobałam sobie jedną brązową kaczkę. Wykluła się z jajka na moich oczach i jadła mi z ręki. Pewnego dnia jakieś dzieciaki ze szkoły bawiły się w Indian i kowboi w pobliżu stodoły. Ci, którzy udawali Indian, zrobili sobie trzcinowe strzały z bardzo ostrymi grotami ze zgniecionych kapsli po coca-coli. Jeden z Indian strzelił w moją kaczkę. Pochowałam ją osobiście niedaleko tych kamieni... Te tereny to moje dzieciństwo. Tutaj myślałam, że zawsze będę szczęśliwa, i właśnie tutaj zrozumiałam, że to możliwe.

Pasek światła przebijał się przez okno samochodu i dzielił twarz Olgi na pół: jedna połowa błyszczała, jakby była z wosku, a druga rozmazana, nikła w cieniu.

– Wiedziałam, że proponowanie ci namalowania tego portretu było błędem... Wiedziałam o tym, a i tak nie zrobiłam nic, żeby temu zapobiec – dodała, machając okularami w pobliżu swoich ust.

Tego wieczoru – dzień przed wypadkiem Eduarda – myślała, że umrze. Panował duszący i lepki upał, nie mogła zasnąć nawet przy otwartym oknie. Poza tym znów miała krwotok, trzeci w ciągu dwóch tygodni od aborcji. Krwotok był zbyt mocnym określeniem tych kilku kropli krwi, które przesiąkły przez majtki, plamiąc materac. Jednak oznaczały, że coś było nie tak, w jej ciele działo się coś strasznego. Bolał ją brzuch i miała gorączkę. Straciła apetyt i nie została na kolacji, żeby matka nie nabrała podejrzeń. Chociaż i tak się czegoś domyślała.

Tego wieczoru pokłóciły się o jakiś drobiazg – bzdurna sprzeczka o to, kto będzie oglądał telewizję. Każda chciała patrzeć na coś innego i matka zamknęła temat, wyłączając telewizor tak gwałtownym ruchem, że niemal zrzuciła go z komody. Matka uważała, że Olga jest rozkapryszona, rozpuszczona

i niewdzięczna. Wykrzyczała to z zaciśniętymi pięściami i oczami wychodzącymi z orbit. Nagle, jakby nie mogąc dłużej powstrzymać złości, uderzyła córkę w twarz.

– Spojrzała na mnie z niesamowitą nienawiścią. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, bo patrzyłam na nią równie zmaconym wzrokiem. Też jej nienawidziłam. Nienawidziłam jej za to, że przyprowadziła do domu Tea, że nie zauważyła uwodzicielskiej gry, którą prowadził pod jej nosem, żeby mnie w sobie rozkochać. Nienawidziłam mojej matki za jej przyzwolenie, za to, że nie przeszkodziła mi, swojej rozpieszczonej córce, bawić się w grę, która mnie przerastała i przez którą wpadłam w jego sidła. Byłam o nią zazdrosna, chorobliwie zazdrosna, i potajemnie oskarżałam ją o to, że on mnie porzucił, że zniknął z naszego życia, pozostawiając we mnie pustkę. Nienawidziłam jej i oskarżałam ją szczególnie o to, że przez nią moje jajniki zamieniły się w pustynię, na której już nigdy nic nie wykiełkuje. To się stało na jej oczach, a ona nie ruszyła nawet palcem! Aby nie stracić Tea, udawała ślepa i głucha, poniżała się i wołała dzielić go ze mną, a mnie z nim. A w końcu straciła nas oboje. Kiedy więc uderzyła mnie w twarz, cała nienawiść, którą do mnie czuła, zmieniła się w odrazę, którą ja poczułam do niej. Oddałam jej, nazwałam ją suką, złą matką, szmata... Życzyłam jej śmierci i tego, by natychmiast trafił ją szlag.

– Zabiłem mężczyznę, który cię uwiódł i z którym zaszłaś w ciążę.

Olga skinęła głową. Nie próbowała wycierać wielkich łez, które spływały jej z oczu wzdłuż dolnej powieki i mieszając się z tuszem do rzęs, spadały na nos i usta. Pospiesznie wyjęła z torebki papierosa i zapalniczkę. Z trudem go zapaliła i włożyła do ust.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo jej nienawidziłam za każdym razem, kiedy czułam ból w brzuchu i przypomiinałam sobie piwnicę, w której zrobiono mi zabieg. Kiedy słyszałam, jak matka płacze z tęsknoty za nim, i widziałam, jak wpatruje się w ich wspólne zdjęcie, dostawałam mdłości.

Przypomiinała sobie nagi tors Tea i kępkę kręconych włosów rosnących kilka centymetrów pod pępkiem. To było podczas ich pierwszego wspólnego weekendu, kiedy ją rozdziewczył. W myślach widziała, jak po seksie siedzi już w spodniach, ale z wciąż rozpiętym paskiem i rozporkiem. Olga nie mogła zrozumieć, dlaczego kiedy wrócił z łazienki po wzięciu szybkiego prysznica, jego spojrzenie, które godzinę wcześniej przepełniało szczęście, stało się mętne i płochliwe. Pamięta, że poczuła się głupio, widząc, jak unika jej wzroku, i zastanawiała się, czy zrobiła coś złe, czy nie zachowała się w sposób, jakiego oczekiwano po dorosłej kobiecie i doświadczonej kochance, jaką była jej matka.

Wciąż pamięta, jak upokorzona się poczuła, kiedy uklękła przed nim i chciała wziąć do ust jego członek, a on powstrzymał ją gestem nazbyt sugerującym odrazę. W tamtej chwili zrozumiała, że nigdy nie będzie szczęśliwa. Dotarło to do niej z absolutną pewnością i miała ochotę się rozpłakać, ubrać i uciec daleko od tamtego miejsca. Zatrzymał ją, przeprosił i powiedział, że był zdenerwowany. Podawał tysiące powodów, chociaż wystarczyłby jeden, ponieważ Olga chciała mu wierzyć, pragnęła uciszyć wewnętrzny głos, który ją ostrzegał.

Chwilami kłamstwo przybierało pozory prawdy. Tamtej nocy tańczyli nago na brzegu morza: szum fal, księżyc, butelka wina zakopana do połowy w piasku, świece, które co jakiś czas gasły, wywołując ich śmiech. Romantyzm był tanią, łatwą do uszycia sukienką, a ona lubiła ją wkładać. Teo był małowówny i nigdy nie rozmawiali o możliwej wspólnej przyszłości, ale Olga akceptowała to z niecierpliwością.

Dopóki nie pojawiła się Maribel, jego żona. Wtedy straciła wiarę.

– Nigdy nie zapomnę tej sceny: wypełniająca mieszkanie radość, nasza radość, dwojga nagich ludzi baraszkujących w łóżku, ogromne szczęście, które wtedy czułam, szukając odpowiedniej chwili, żeby powiedzieć mu o ciąży. I wtedy do sypialni weszła ona. Była ubrana w piękną, białą zwiewną sukienkę na ramiączkach, pod którą w świetle wpadającym przez okno rysował się kształt jej nóg i bioder. W uszach miała złote kolczyki w kształcie pąków kwiatów, a na falującym dekolcie taki sam naszyjnik. W ręku trzymała brązową torbę podróżną, z której przez otwarty zamek wystawała książka, nie pamiętam jaka. Stała nieruchomo, niewzruszona, w swoich butach na obcasie. Nie odezwała się, dopóki nie zauważyliśmy jej obecności. Pierwszy zobaczył ją Teo, ja siedziałam na nim, laskocząc go i myśląc: „Teraz mu o tym powiesz, a on cię bardzo mocno przytuli”.

Ta naiwność wciąż Olę bolała. Winiła się za nią. Na widok żony Teo zrzucił ją z siebie gwałtownie, jak zrzuca się pościel, kiedy człowiek gdzieś się spieszy. Nagle wyparowało całe szczęście zassane spojrzeniem tej kobiety będącej czarną dziurą we wszechświecie. Ich wszechświecie. Olga patrzyła z bólem, jak błaga niemal na kolanach, bełkocze przeprosiny wtulony w nogi rysujące się pod tą ładną sukienką na ramiączkach (teraz Olga przypomniła sobie, że dwa ramiączka zapięte były na guziki z masy perłowej), ignorując ją, jakby jej tam nie było, jakby nigdy nie istniała, jakby żałował, że żyje. Jakby ją przeklinał.

Olga skuliła się w rogu łóżka i zasłoniła wciąż pachnącym seksem prześcieradłem. Nie było jednak sposobu, żeby uchronić się przed wzrokiem kobiety o tym kształtnym ciele, tak silnym i pięknym, że Olga czuła się przy niej nikim. „Jesteś tylko kurewką, przy której poczuł się młodszy – mówiło spojrzenie

Maribel. – Jesteś jedynie plamą, zniewagą, za którą będzie błagał o przebaczenie. Chociaż nigdy mu nie wybaczę, dam się przekonać, ponieważ go kocham, jest moim mężem, a ja jestem jego żoną. Ponieważ ty jesteś nikim, jesteś nikim. Ciebie nie ma”.

Maribel kazała Teowi pozbierać swoje ubranie. Nie zamierzała spędzić ani chwili dłużej w tym pokoju. Posłuchał jej jak posłuszny piesek, zawstydzony i jednocześnie gorliwy. Ubrał się, niezgrabnymi ruchami odszukawszy koszulę wśród pogniecionej pościeli i bielizny Olgi, a kiedy ona chciała coś powiedzieć, pokazać, że tam jest, zabił ją wzrokiem.

„Jestem w ciąży” – powiedziała najpierw szeptem, z trudem wydobywając z siebie słowa. Brakowało jej powietrza. Teo jej nie słuchał, ubierając się i pospiesznie nierówno zapinając koszulę. Wtedy Olga wykrzyczała to z siebie, a w rzeczywistości zawyła: „Jestem w ciąży!”. Tym razem nie mogli jej zignorować. Ani Teo, który nie wiedział, na czym skupić rozbiegany wzrok, ani Maribel, która wydała z siebie jęk, jednocześnie wypuszczając z rąk torbę podróżną. Książka upadła na ziemię okładką do góry. Zapadło martwe milczenie.

Pierwsza oprzytomniała Maribel. Z elegancją zginając kolana, schyliła się po książkę, podniosła ją delikatnie i otrzepała kurz z okładki – niewidzialny i irytujący kurz nanoszony przez wiatr z plaży. Wyprostowała się z taką samą gracją, wyciągnęła dół spódnicy i wygładziła na niej nieistniejącą zmarszczkę. „Zaczekam na zewnątrz” – zwróciła się obojętnym tonem do przygnębionego Tea, który wpatrywał się w trzymany w ręku but, nie wiedząc, na którą stopę go założyć.

„Zaczekam na zewnątrz” oznaczało czekanie po drugiej stronie tej chwili, umyślne opóźnienie wskazówek zegara o kilka minut, żeby nie musieć przeżywać powtórnie tego, co się właśnie wydarzyło, nie w ten sposób. Tymi dwoma słowami dawała Oldze do zrozumienia, że „to się nie wydarzyło”. „To nie ma nic wspólnego z naszym życiem. Nie ponosimy za to odpowiedzialności. Jesteś tylko napaloną kurewką, idiotką, która odpowiednio się nie zabezpieczyła, i teraz będziesz musiała zmierzyć się z tym sama. My jesteśmy *poza tym*”.

– Nie zobaczyłam już Tea nigdy więcej. Przestał odbierać moje telefony i pewnego dnia usłyszałam wiadomość, że numer, pod który dzwonię, nie istnieje. Nie wiedziałam, gdzie mieszka – nigdy mi tego nie powiedział – ale pamiętałam numery rejestracyjne jego samochodu. Sam się przekonałeś, jak łatwo można uzyskać informacje o kimś w bazie danych drogówki. Więc zaczęłam jak szalona kręcić się w okolicy jego domu. Widziałam, jak pracuje w swoim sklepie numizmatycznym, który znajdował się piętro pod szkołą tańca prowadzoną przez

jego żonę. Całymi popołudniami z chodnika naprzeciwko obserwowałam, jak Maribel w swoim czarnym kostiumie ćwiczy z uczennicami, które karnie wypełniają jej polecenia. Przypominała samicę łabędzia z piskletami: zwiewna i elegancka.

Zastanawiałam się, jak to możliwe, że żyją dalej razem i udają, że ja nie istnieję. Wyobrażałam sobie, jak kłócą się wieczorami i obrzucają obelgami z mojego powodu, z powodu naszego nienarodzonego dziecka, które nigdy nie przyjdzie na świat. Marzyłam, że Maribel nie wpuszcza Tea do swojego łóżka, każe mu spać jak psu na ziemi i rzuca mu resztki jedzenia. Wyobrażałam sobie Tea udręczonego karą i poczuciem winy. Może dzięki temu zastanawiał się przynajmniej, co się ze mną stało, i za mną tęsknił.

Te fantazje nie przyniosły mi spokoju, ale przynajmniej dawały pocieszenie. Jak alkohol, który pociesza, jednocześnie nas zabijając. Myśli o nieszczęściu pomagały mi czuć się trochę mniej nieszczęśliwą. Ale nie mogłam pozwolić sobie nawet na to. Dzień w dzień widziałam, jak wychodzą z budynku, a między nimi idzie adoptowany chłopiec, który nie był *synem* Tea, którego on *nie* chciał. Mimo to dziecko, które oboje trzymali za ręce, było ogniwem, które ponownie ich połączyło.

Eduardo długo milczał i siedział nieruchomo, jakby opuścił swoje ciało i gdzieś sobie poszedł. Patrzył nadal na strumień, od czasu do czasu mrugając powiekami, żeby zatamować łzy.

– I postanowiłaś się na nich zemścić. – Jego głos zabrzmiał, jakby dochodził zza pustej ściany.

Olga pokręciła głową. To nie było takie proste i jednocześnie nie było skomplikowane. Zemsta wymagała wysiłku i planowania, które w tym czasie było ponad jej siły. Okazja nadarzyła się przez przypadek.

– Pewnego dnia zobaczyłam cię na pogotowiu. Przyjechałam do szpitala, ponieważ krwotok i ból mnie przerażały. Czekałam na swoją kolej sama, bo matka nie chciała przyjechać ze mną. Leżąc na noszach, usłyszałam, jak pielęgniarka opowiada o tym, co ci się stało: że twoja żona i córka nie żyją i być może ty, jeśli stracisz chęci do życia, nie wyzdrowiejesz. Spędziłam straszną noc na korytarzu, ale z jakiegoś powodu nie mogłam przestać myśleć o tobie i twojej rodzinie. Rozumiałam, dlaczego nie chciałeś jeść i przyjmować leków. Byłeś tak samo nieszczęśliwy jak ja, tragedia spotkała cię równie nagle jak mnie. Uznałam, że twoja nienawiść do sprawcy wypadku musi być równie duża jak ta, którą ja kumulowałam przeciwko światu, a szczególnie przeciwko Teowi i jego żonie. Jakbyśmy oboje zostali pozbawieni naszych praw. Rano zostałam wypisana

do domu i wychodząc ze szpitala, przeszłam obok twojego pokoju. Drzwi były uchylone; nie odważyłam się wejść, ale zerknęłam do środka. Leżałeś na łóżku z podpiętą kropłówką i patrzyłeś z zapuchniętą twarzą zwróconą w stronę okna. Obok, na niewygodnym krześle siedział twój ojciec i mówił do ciebie, ale ty go nie słuchałeś. Byłeś przybity i chociaż zabrzmiało to strasznie, to mnie pocieszyło, sprawiło, że poczułam się mniej samotna... W kiosku z kwiatami w holu szpitala kupiłam bukiet i poprosiłam, żeby ci go dostarczono.

Przerwała, żeby nabrać powietrza i poukładać myśli. Eduardo jej nie ponaglał.

– Wiele miesięcy później musiałam pójść na policję, żeby załatwić jakieś dokumenty. Byłam w Madrycie, więc pojechałam na komisariat na Puerta del Sol. Nie myślałam o tobie często, ale też nie zapominałam. Złe wspomnienia znikwały, w miarę jak ustępował ból fizyczny. Uczyłam się, jak radzić sobie z życiem, kłótniami, oskarżającym i upartym milczeniem matki, zaczęłam się nawet spotykać z chłopakiem z sąsiedniej miejscowości. Przestałam chodzić pod dom Tea i uznałam, że z czasem ta historia stanie się częścią przeszłości, którą zamknę głęboko w sobie. Czekając na komisariacie w kolejce, zabijałam czas czytaniem pobieżnie ogłoszeń zawieszonych na korkowej tablicy. Były na niej zdjęcia zaginionych osób, poszukiwanych przestępców i tego typu rzeczy. Nagle zatrzymałam się na konkretnym ogłoszeniu: policja prosiła o pomoc w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci dwóch osób, przez *zaniechanie* (zapamiętałam to słowo, bo nie znałam jego znaczenia). Chodziło o śmierć twojej żony i córki. Podawano ogólny opis samochodu, którym jechał sprawca wypadku, kilka możliwych liter z numeru rejestracyjnego i że to był samochód terenowy. Kiedy funkcjonariusz wyszedł do mnie, zapytał, czy dobrze się czuję, bo pewnie byłam blada jak ściana. Biłam się z myślami, chciałam mu coś odpowiedzieć, ale słowa ugrzęzły mi w gardle.

Do momentu, w którym Olga ujrzała ogłoszenie, łudziła się, że do odbudowania życia wystarczy jej tylko siła woli. Zacznie wszystko od nowa, wróci na studia do Madrytu, zakocha się w kimś, komu nie będzie przeszkadzało, że nie może mieć dzieci. Jednak nie zawsze wystarczy wola, żeby zmienić przeznaczenie. Wyszła z komisariatu wciąż wstrząśnięta tym niespodziewanym potknięciem na jej drodze zapominania. Zastanawiała się, czy życie wysyła jej znaki, których nie potrafi zauważyć i zinterpretować. Odpowiedź twierdząca pojawiła się w formie powitania: „Jak się masz, Olgo?”.

– Nie od razu go rozpoznałam, jego opaloną i okrągłą twarz. Przytył i zapuścił brodę. Była źle przystrzyżona i przyprószona siwizną. Ale to był on, Teo. W prawej ręce niósł torbę z paczkami – zbliżało się Boże Narodzenie – a w lewej ścisnął dłoń

syna, ładnego chłopczyka, któremu nie zdołałam dokładnie się przyjrzeć, ponieważ miał twarz zakrytą wełnianą czapką i szalikiem. Chłopiec patrzył w okno wystawowe, nie zwracając na mnie uwagi, a Teo się uśmiechał. – „Co za niespodziewane spotkanie. Świetnie wyglądasz”.

„Tak, dziękuję” – wyszeptała zachrypniętym głosem.

Poczuła, że się dusi i zemdleje, jeśli szybko nie weźmie się w garść. Teo przyglądał się jej lekko kpiącym wzrokiem. Przez cały czas był uśmiechnięty, a ona zastanawiała się dlaczego. Zaczął mówić, nie pozwalając jej dojść do słowa, jakby nie chciał, żeby zepsuła mu wcześniej przemyślany scenariusz. Opowiedział jej, że miał się dobrze, *umiarkowanie* – podkreślił z fałszywym smutkiem. Potem podniósł rękę, w której trzymał torbę ze świątecznymi prezentami, i odsunął Oldze z twarzy kosmyk włosów. Wszystko było w porządku, ale tęsknił za nią. „Rozumiesz, co mam na myśli?”.

Olga nie rozumiała; prawdę mówiąc, nie chciała zrozumieć. I jakby wciąż była tą głupiutką i naiwną dziewczyną sprzed kilku miesięcy, Teo wyszeptał jej do ucha, że mogliby znów zacząć się spotykać, by się *zabawić*. Chociaż, podkreślił z lekkim wyrzutem, musieliby zachować większą dyskrecję i zabezpieczyć się, żeby uniknąć *wpadek*.

Popatrzyła na niego tak, jak się patrzy na dwugłowego potwora z jedną straszną głową, a drugą groteskową. „Ty skurwysynu”. To była jej odpowiedź. Teo zareagował na nią głupią miną dziecka, któremu w ostatniej chwili zabrano zabawkę, choć uważał ją już za swoją.

– Nie spałam przez całą noc, przeżywając to spotkanie od nowa, jego słowa, spojrzenie, dotyk palców na moich włosach i zapach jego oddechu na moim policzku. Kilka razy zwymiotowałam, wyplakałam wszystko, czego nie mogłam powiedzieć, przeklinałam go, wyzywałam, aż stopniowo w mojej głowie zaczęła kiełkować myśl, żeby go skrzywdzić, wyrządzić mu tak wielki ból, jaki sama czułam, tak samo poniżający i ostateczny. Wiedziałam, że Teo ma ciemny samochód terenowy i przynajmniej jedna z liter numeru rejestracyjnego pasuje do tych z samochodu z wypadku, w którym zginęła twoja rodzina. Nie zaplanowałam tego z premedytacją, ten pomysł przyszedł mi do głowy nagle, jak to się zdarza, kiedy człowieka od dawna dręczy nierozwiązany problem i w pewnej chwili elementy układanki zaczynają do siebie pasować, tak po prostu... Następnego ranka poszłam do twojego mieszkania.

Olga omiotła wzrokiem strumień, wysuszoną łąkę na zboczu i szuwary na przeciwległym brzegu.

– Nie wiedziałam, że go zabijesz.

Eduardo popatrzył na nią niezwykle twardym wzrokiem. Zaczął się pocić, jakby pod wpływem wewnętrznej walki wydalał z siebie ciepło, które spalało go od środka.

– Naprawdę? A myślałaś, że co zrobię?

– Nic nie myślałam. Nawet nie zastanawiałam się, czy śmierć Tea jest rozwiązaniem. Chciałam tylko spieprzyć mu wszystko, pokazać światu, jaką jest świnią, zniszczyć farsę, jaką było jego życie. Nie myślałam, jakie konsekwencje to pociągnie dla ciebie.

Eduardo spojrział na boczne drzwi od strony pasażera obite brudną brązową tapicerką. Olga opierała rękę o brzeg okna. Ta szczupła dłoń kiedyś w więzieniu chciała dotknąć jego krocza. Siedzieli w sali, w której zezwalano więźniom i ich odwiedzającym na bezpośredni kontakt, bez ściany z podwójnej szyby brudnej od śladów rąk, które próbowały dosięgnąć się przez ten przezroczysty mur. Siedzieli przy stole. Olga zsunęła dłoń do rozporoka spodni Eduarda i kiedy położyła ją na jego członku, poczuł, jakby przysiadł na nim lekki motyl. „Mogę cię pocieszyć, jeśli chcesz. Przynajmniej tyle jestem ci winna”. A on pozwolił się pocieszyć. I tej nocy płakał tak długo, aż zabrakło mu łez.

– Nie pomyślałaś o konsekwencjach. Zawsze są jakieś konsekwencje, nieważne, czy bierzemy je pod uwagę.

Spojrział w lewo, koncentrując wzrok na jakimś miejscu między brzegiem strumienia a sosnowym lasem. Olga popatrzyła w tę samą stronę. Zbliżał się do nich jakiś chłopak. W nocnych koszmarach Eduarda był on wpólnagim mężczyzną uciekającym z lasu przed rozwścieczonymi psami. Tamtego ranka nie słyhać było szczekania, a on przed nikim nie uciekał. Szedł pewnie w kierunku samochodu.

– Kto to jest?

Eduardo popatrzył na Olgę niemal z politowaniem. Przeszłość, przyszłość... Kto to wie? Nie potrafił jej znienawidzić za to, co zrobiła, ale nie był też w stanie jej wybaczyć. Martina się myliła. Przebaczenie nie było drogą dla niego.

– To syn Tea.

Olga spojrzała na niego ze strachem.

– Co on tutaj robi?

„Zamyka krąg” – pomyślał Eduardo.

– Nie możesz mnie z nim zostawić!

Mógł.

Pan Who zatrzymał się przed otwartymi drzwiami samochodu i wyciągnął Olgę na zewnątrz. Marszandka, chwytając się futryny i krzycząc do Eduarda,

wyglądała jak popsuta marionetka.

Eduardo włączył silnik i powoli ruszył, zmuszając się, żeby nie spojrzeć w lusterko.

Rozdział 19

Arthur wszedł do kawiarni znajdującej się naprzeciwko budynku Sądu Krajowego. Była dziesiąta rano i przy barze siedziało mnóstwo sędziów, adwokatów, prokuratorów i policjantów w cywilu. Urzędników, którzy wymierzali ludziom sprawiedliwość, ale tak samo jak zwykli śmiertelnicy pili kawę, jedli przekąski i czytali gazety sportowe. Niektórzy korzystali też z publicznej toalety i zapominali zapiąć rozporek albo włożyć dół bluzki w spódnice. Oni również plamili sobie marynarki, nie przesypiali nocy, opowiadali sprośne dowcipy i wybuchali mało dostojnym śmiechem. Arthur znał niektóre twarze, pamiętał niektóre nazwiska, witał się niezbyt silnym uściskiem dłoni, pomachał komuś z daleka, pokazując, że go rozpoznaje, ale nie czuł się w tym miejscu zbyt komfortowo. Nie podobali mu się ci ludzie.

Ibrahim szedł za nim i jego mało przyjazny wygląd – mimo że złagodził go, wkładając całkiem przyzwoity granatowy garnitur – zwrócił uwagę osób siedzących najbliżej wejścia. Odpowiedział na ich spojrzenia wyzywającym uśmiechem, który naprężył bliznę na jego twarzy.

Przy jednym ze stolików tyłem do wejścia siedział Ordóñez.

– Dzień dobry, dyrektorze – przywitał się Arthur.

Ordóñez uniósł wzrok znad gazety, którą czytał. Z braku innych ciekawszych wiadomości prasa nadal drążyła temat zabójstwa przez podpalenie na ulicy León. Artykuł, który czytał Ordóñez, zajmował dwie strony i opatrzony był tytułem przypominającym tytuł powieści, której akcja dzieje się na Dzikim Zachodzie: *Śladem zabójcy* Marciala Lafuentego Estefanii. Do tekstu dołączono zdjęcie podejrzanego. Arthur nawet nie mrugnął okiem, rozpoznawszy Guzmána. To było zdjęcie paszportowe – dość stare – a pod nim lista pseudonimów i skrót życiorysu: były agent DINA, a potem najemnik. Ibrahim również zdążył zobaczyć artykuł, zanim dyrektor zamknął gazetę i poprosił, żeby się przysiedli. Wymienił krótkie spojrzenie z Arthurem, ale nic nie powiedział.

– Czy ma pan zamiar znów wsadzić mnie do więzienia, dyrektorze? – zapytał Arthur, siadając.

Ibrahim usiadł naprzeciwko Ordóñeza, żeby widzieć wejście do kawiarni i mieć za plecami ścianę. „Więzienne nawyki” – pomyślał dyrektor.

– Skąd to pytanie? Wpadł pan w jakieś kłopoty? – Chciał zabrzmieć dowcipnie,

więc wzmocnił pytanie uśmiechem włoskiego biznesmena.

Był nienagannie ubrany w szyty na miarę jasny garnitur oraz pasującą do niego koszulę i krawat w paski. Nie przypominał dyrektora więzienia, ale wysoko postawionego menadżera jakiegoś międzynarodowego koncernu.

– Domyślam się, że niezbyt często zaprasza pan swoich byłych więźniów na śniadanie – odpowiedział Arthur równie uprzejmym tonem, ale dając do zrozumienia, że dzieli ich przepaść. Może w murach więzienia Ordóñez był bogiem, ale na zewnątrz języczek u wagi przechylał się w inną stronę.

Ordóñez poprawił spięte spinkami mankiety koszuli wystające spod rękawów marynarki i odchrząknął. Rozejrzał się ukradkiem wkoło, zastanawiając się, co sobie myśleli inni bywalcy kawiarni, widząc go w towarzystwie Arthura, a zwłaszcza – Ibrahima.

– Za dwadzieścia minut mam spotkanie w gabinecie sędziego Gutiérreza – powiedział to, jakby prywatne spotkanie z jakimś sędzią Gutiérrezem miało wzbudzić powszechną zazdrość, ale ani Arthur, ani Ibrahim nie zareagowali w sposób, jakiego się spodziewał. Przygładził więc nażelowane i zaczesane do tyłu włosy i ciągnął dalej: – Pomyślałem, że moglibyśmy chwilę pogadać.

– Zamieniam się w słuch.

– Ormianin uciekł wczoraj podczas transportu do innego więzienia. Zabił jednego funkcjonariusza Guardia Civil, a drugiego zranił. Do tej pory udało nam się utrzymać tę informację w tajemnicy, ale prasa wkrótce się o tym dowie. Chciałem, żebyście wiedzieli o tym ode mnie. Przysiągł cię dopaść, Arthurze. – Przechylił głowę i przez kilka sekund obserwował Ibrahima, który nigdy nie sprawiał mu kłopotów w więzieniu, ale należał do tego rodzaju więźniów, przy których każdy strażnik robi się nerwowy. – I nie sądzę, że wystarczy ci Ibrahim, by go powstrzymać.

Arthur wysłuchał go ze spokojem. Ibrahim, jakby to go nie dotyczyło.

– Dziękuję za ten gest, dyrektorze. Domyślam się jednak, że nie po to mnie pan wezwał. – Arthur wzruszył ramionami. – Nie uważam się za świętoszka, więc dziwi mnie pańska troska.

Ordóñez przyjrzał się bacznie jego twarzy i zrozumiał, że Arthur się nie bał. Był tylko zmęczony ciągłym napięciem, jak żołnierz, który czeka w okopach podczas bombardowania i ostrzału na zbawczy i dramatyczny rozkaz, żeby rzucić się na wroga.

– Rzeczywiście jest coś więcej. Widziałem nagrania z wypadku, w którym zabiłeś chłopaka i córkę Ormianina. Pewnie o tym nie wiesz, ale na elewacji sklepu odzieżowego jest zainstalowana kamera. Policja wykorzystuje ją, żeby karać

pieszych za przechodzenie na czerwonym świetle albo kierowców, którzy nie zatrzymują się przed pasami. Dziwne, że podczas twojego procesu przemilczano istnienie nagrania, które mogłyby rzucić światło na niektóre niejasne kwestie. Co prawda obiektyw kamery skierowany jest tylko na przejście dla pieszych...

– Nie wiem, do czego pan zmierza. To był wypadek, odsiedziałem swoje, a resztę kary mi umorzono. Teraz pan zaczął prowadzić śledztwo? Może pomylił się pan z powołaniem?

Ordóñez zignorował ten komentarz. Wyjął spod stolika aktówkę i otworzył ją na kolanach.

– To są sekwencje zarejestrowane przez kamerę dokładnie przed wypadkiem i po nim – powiedział, kładąc na blacie kilka dość rozmazanych wydruków.

Na zdjęciach nie było widać nic, co na pozór nie zostało udowodnione podczas procesu. Przedstawiały Iana i Rebekę stojących wśród innych osób, które czekały przed pasami na czerwonym świetle. Następnie widać było przednią maskę samochodu Arthura, spanikowanych ludzi, dziewczynkę upadającą po prawej stronie ulicy i chłopaka, którego samochód pcha na elewację budynku.

– Przyjrzyj się uważnie tym trzem ujęciom – wskazał Ordóñez, odsuwając pozostałe zdjęcia. – Tutaj Ian patrzy przed siebie, a obok niego – chociaż mało widoczna w tłumie – jest Rebeca. Na następnym ujęciu Ian odwraca głowę do dziewczynki i coś do niej mówi. Ona robi gwałtowny ruch, jakby chciała się czegoś pozbyć. Przyjrzyj się dobrze. Ian trzyma ją mocno za ramię, a dziewczynka próbuje mu się wyrwać. Na trzecim zdjęciu – dokładnie przed pojawieniem się twojego samochodu – Rebeca próbuje uciec, cofa się, a Ian łapie ją za włosy. Podejrzewam, że chłopak i dziewczynka się znali. Nie znaleźli się tam razem przypadkiem i oczywiście, jeśli uwierzymy w to, co widać na ujęciach, dziewczynka była tam wbrew swojej woli.

– A co to ma ze mną wspólnego?

– Udało mi się dowiedzieć, że tego ranka Rebeca jak co dzień przyszła do szkoły. Matka odprowadziła ją, nie zostawiając żadnych szczególnych informacji nauczycielowi, ale przed południem pojawił się ktoś, kto ją zabrał. Według woźnego był to ktoś z rodziny, chociaż ten fakt nie został nigdzie odnotowany. Kiedy natomiast poinformowano matkę o śmierci córki, stwierdziła, że to niemożliwe, ponieważ dziewczynka o tej porze jest w szkole, daleko od miejsca wypadku. Rebeci nigdy nie powinno tam być. Możemy domyślać się – to tylko przypuszczenie – że tą niezidentyfikowaną osobą, która podszyła się pod krewnego dziewczynki, w rzeczywistości był Ian. A jeśli tak było, dlaczego zabrał ją ze szkoły? Co chciał jej zrobić?

Arthur przyjął minę pokerzysty.

– Nadal nie wiem, jaki to ma związek ze mną.

– Coś mi tu nie pasuje, zbyt dużo zbiegów okoliczności. Znam szczegóły zaginięcia twojej córki, Arthurze i mam przeczucie, że istnieje związek pomiędzy nim, śmiercią Iana i tymi zdjęciami. Sędzia Gutiérrez jest moim dobrym znajomym, opowiem mu o moich podejrzeniach i poproszę, żeby pociągnął za odpowiednie sznurki i wznowił śledztwo. Tu chodzi o coś poważnego, bardzo poważnego, jestem o tym przekonany. Jeśli się nie mylę, dzięki temu można udowodnić, że nie zabiłeś Iana przypadkowo, ale że to było zabójstwo z premedytacją. Wtedy umorzeniem kary będziesz mógł się podetrzeć. Uprzedzam cię o tym, bo może masz coś do powiedzenia. Jeśli znasz jakieś szczegóły z przeszłości Iana, teraz nadszedł moment, żeby mi o tym powiedzieć.

Stalowy zegarek Ordóñeza błyszczał w świetle żyrandoli.

– Minęło dwadzieścia minut, dyrektorze. Jeśli nie chce pan być nieuprzejmy dla swojego przyjaciela sędziego, lepiej niech się pan pośpieszy.

Ordóñez popatrzył na zegarek i zmarszczył brwi.

– Zostawiam ci zdjęcia, mam kopie. Może kiedy Ormianin cię odnajdzie, będziesz bardziej skory do rozmowy ze mną. – Wstał i spojrzał z ciekawością na Ibrahima. – A jeśli chodzi o ciebie, nie mam pojęcia, jaką w tym wszystkim odgrywasz rolę, ale skoro jesteś w to wmieszany, na twoim miejscu zacząłbym rozglądać się za inną robotą, jeśli nie chcesz pobrudzić się odpryskami gówna.

Po odejściu Ordoñeza Arthur wziął do rąk fotografie i dokładnie na spokojnie je obejrzał. Wyraz obojętności na jego twarzy zastąpił ponury cień.

– Co się dzieje? – zapytał Ibrahim. Nie denerwował się, chciał tylko wiedzieć, czego się złapać. Nie miał zamiaru wracać za kratki, zwłaszcza teraz. – Co oznacza to wszystko, o czym powiedział Ordóñez?

Arthur ocknął się z długiego zamyślenia, ale jego wzrok nadal błędził.

– To są tylko jego spekulacje – stwierdził bez przekonania. – Nienawidzi mnie. Jestem jak ryba, która wyślizgnęła mu się z rąk. Jest przekonany o mojej winie i o tym, że powinienem ją odpokutować.

Ibrahim popatrzył na jedno ze zdjęć, które Arthur trzymał w rękach.

– Celowo zabiłeś tego chłopaka?

Arthur długo nie odpowiadał, nie musiał robić tego słowami, wystarczyło jego szkliste, śliskie i niemal przezroczyście spojrzenie.

Ibrahim nabrał powietrza i powoli wypuścił je przez nos.

– Przez cały czas mnie okłamywałeś. Tysiąc razy zapewniałeś, że to był nieszczęśliwy wypadek.

– Nie mogłem powiedzieć o tym nikomu... Gdybyś wiedział, co ten drań zrobił mojej Arosze...

Ibrahim podrapał bliznę na twarzy. Czasami go swędziała, jakby rana ponownie miała się otworzyć. Tak było właśnie w tej chwili. „Kto raz zdradzi, zrobi to ponownie i tyle razy, ile będzie musiał. Zdrajcy nie mają honoru, zasad ani szacunku. Dlatego trzeba ich niszczyć jak nowotwór, który grozi przerzutami. Przynoszą ze sobą strach, słabość, kłamstwo”. Tak napisał jego ojciec, zanim został zamordowany, a jego starszy brat czytał mu co wieczór ten sam list, te same słowa, oświetlając je pod kołdrą latarką. „Nie możemy przyjaźnić się z kimś, kto z natury uważa nas za gorszych od siebie. Pies nie jest najlepszym przyjacielem człowieka, ale jego najlepszym i najwierniejszym niewolnikiem. W ten sposób myślą o nas Europejczycy i tego właśnie od nas oczekują: nie przyjaźni, nie współpracy, nie lojalności, jedynie posłuszeństwa i wdzięczności służącego za okruchy, które nam rzucają. Dlatego walczymy z nimi na śmierć i życie”.

– Czy to wszystko ma coś wspólnego z pożarem w sklepie z antykami? Widziałem zdjęcie w gazecie. Facet, którego podejrzewają, to ten sam, któremu zleciłeś odnalezienie Arohy.

– Guzmán nie zabił tego starca.

– W takim razie kto? Dlaczego zawsze jesteś we wszystko zamieszany?

Arthur potrząsnął z rozdrażnieniem głową. Jego rude włosy w słońcu przypominały płomień.

Ibrahim zamknął oczy. Stał na placu na przedmieściach Algieru. Tłum gapiów tłoczył się i zasłaniał widowisko, z którego dochodziły dzikie krzyki. Był początek 1963 roku. Przepychając się łokciami i prześlizgując między nogami i krocami śmierdzącymi potem i wyschniętym moczem, Ibrahim dotarł do pierwszego rzędu. Bito trzech wpólnagich mężczyzn przywiązanych do słupów. To byli żołnierze z oddziałów pomocniczych wojska francuskiego, Algierczycy walczący w służbie Francji. A Francja uciekła z podkulonym ogonem, pozostawiając ich na pastwę losu, podobnie jak tysiące innych mężczyzn, których masakrowano w całym kraju.

Ci nieszczęśnicy nie skarżyli się już na swój los. W pewnym momencie już nie ma sensu się uskarżać ani błagać o litość. Mieli dosłownie zdartą na plecach skórę, odchodzącą przy każdym uderzeniu od ciała jak pergamin. Ktoś z tłumu wyciągnął maczetę i wyciął na gołym ciele jednego z nich słowo „sługusy”. Ludzie oklaskiwali ten popis pomysłowości, artysta uniósł w górę ręce, żeby pozdrowić wszystkich ostrzem, gdy tymczasem krew spływała mu po ramionach. Ibrahim się nie śmiał. Ścisnęło go w żołądku i zwymiotował ku uciesze i kpinom gapiów. Ale

oni nie rozumieli, że źle zszytą, jeszcze świeżą ranę, która przecinała mu twarz, ktoś mu zrobił taką samą maczetą. Maczetą spadochroniarza, który miał zabijać swoich braci.

Kiedy Ibrahim otworzył oczy, Arthur wciąż był obok niego. „To mogłeś być ty, twój ojciec, brat albo matka. Mężczyźni o płomiennych włosach i modrych oczach, którzy nie zdążyli uciec na czas. Ty mogłeś być męczennikiem, a ja tym, który ciął cię maczetą twojego ojca”.

– Powiedz mi przynajmniej jedną rzecz. Powiedz, że było warto.

Arthur złapał go mocno za przedramię. Ibrahim znów poczuł mdłości, jak tamten chłopiec, ale je opanował.

– Posłuchaj, jestem bliżej znalezienia Arohy, niż byłem przez ostatnie cztery lata. Chcę odzyskać córkę i zrobię wszystko, żeby ją odnaleźć, *wszystko*. Ty martw się, jak ochronić Andreę. Nie chcę, żeby temu degeneratowi Ormianinowi nawet przez myśl przeszło się do niej zbliżyć. Resztę zostaw mnie. Wszystko wkrótce się skończy.

Wkrótce się skończy. Tak powiedział Ibrahim tego dnia, na początku 1963 roku bitemu mężczyźnie, obok którego stał. Podszedł do niego i wyszeptał mu to do ucha. Ale on nie mógł już go usłyszeć, ponieważ był martwy.

Ibrahim odwiedzał Andreę od kilku miesięcy. Przywykła do jego obecności. Nie musiał już wymyślać pretekstów, udawać, że to Arthur prosił go, by do niej przyjechał, dotrzymywał jej towarzystwa i dawał nadzieję na odnalezienie jej córki.

O zmierzchu chodzili na długie spacerunki po lasach w pobliżu kliniki. Widywano ich razem siedzących przy ogrodzeniu, rozmawiających z ożywieniem w cieniu wysokich dębów albo po prostu spacerujących w milczeniu po pożółkłej łące. Spacerunki stały się wkrótce zwyczajem i Andrea wyczekiwała ich z ukrywaną niecierpliwością. Pojawienie się Ibrahima niechcący naruszyło jej ospałą i obojętną egzystencję. W ten sposób każde z nich dawało sobie szansę odkrywania się na nowo i wymyślania się na nowo według swojego upodobania.

Ibrahim opowiadał jej o poezji i filozofii sufickiej, o muzyce, która sprawiła, że jego ojciec stał się wirtuozem. Tłumaczył, jak taki człowiek jak on – który musiał zębami i pazurami mierzyć się z życiem – mógł chwilami poczuć się bliski całkowitej nieśmiertelności.

Andrea słuchała go z uwagą, chociaż czasem zapadała w głębokie zamyślenie. Kiedy Ibrahim próbował sprowadzać rozmowę na jej przeszłość, rzucała mu spojrzenie jak barierę, zamek nie do otwarcia. Lecz stopniowo dystans jej uśmiechu stawał się coraz mniej wyraźny i mur jej oporu zaczął się sypać.

Tego ranka wdali się w swego rodzaju dialektyczne rozważania; rozmawiali w szalonym tempie po francusku najeżonym arabskimi słowami. Kiedy wyzywali się na takie pojedynki, odkrywali, że mają podobne poczucie humoru i są jednakowo błyskotliwi. Musieli być szybcy w słowie i myśli, wśród wybuchów śmiechu jedno wypowiadało zdanie albo tyradę, a drugie odpowiadało z identyczną szybkością. Pielęgniarka czasami przyjmowała rolę arbitra, chociaż nie znała zasad ich gry i uśmiechała się tępo, przenosząc wzrok raz na nią, raz na niego.

– Co do siebie mówicie? – zapytała Ibrahima.

– Nic, czego ktoś już nie powiedział. To dziecięca zabawa, do której zachęcali nas nauczyciele podczas lekcji przed meczetem, żeby ćwiczyć się w dialektyce. Rzucamy sobie wiersze. Andrea wykorzystuje Rimbauda, a ja odpowiadam jakimś wierszem berberyjskich Kabyłów. Ona wspomina Verlaine'a, a ja uderzam w nią Nouarą. Podstawia mi nogę Baudelaire'em, więc zadaję jej cios Faridem Ferraguim. To nas bawi.

Ibrahim przyniósł Andrei upominek: małą skórzaną torebkę. W środku była książeczka oprawiona w krowią skórę z tekstami ponad pięćdziesięciu kabylskich wierszy.

– Mój ojciec napisał je w młodości. Był wspaniałym poetą, podobnie jak kilku innych ludzi żyjących w rozpacz.

Jeśli oczekiwał jakiegoś ciepłego gestu czy wyrazu entuzjazmu, to spotkało go rozczarowanie. Andrea patrzyła nieśmiało na tomik wierszy.

– Niemal zapomniałam, jak się czyta po kabylsku, i prawie już nie pamiętam klasycznego arabskiego.

Ibrahim uśmiechnął się szeroko, pokazując swoje fatalne uzębienie.

– W ten sposób odkurzysz w pamięci stare piosenki z dzieciństwa. Poezja pozwala zachować spokój i jednocześnie daje nam nadzieję, że pewnego dnia obudzi się w nas dziecko, które kiedyś żyło w naszym ciele.

Andrea popatrzyła na Ibrahima ze zdumieniem. Wzruszyła ją prostota jego słów, spokój w spojrzeniu, tak innym i niepasującym do jego krzepkiego ciała i zniekształconej twarzy. Blizna Ibrahima przyciągała jej wzrok jak magnes, ale Andrea nie miała odwagi zapytać, jak i kiedy mu ją zrobiono.

– Moja córka nigdy nie chciała się nauczyć języka, w którym jej ojciec i matka zakochali się w sobie. Nie chciała słyszeć o Algierii, przeszłości, historii. Czasami wyobrażam sobie, że kiedy znów będę ją tuliła w ramionach, poprosi mnie, żebym nauczyła ją starych kabylskich piosenek, żebym opowiedziała jej o wąskich uliczkach i zapachach naszego miasta. Wtedy otwieram oczy, budzę się tutaj

i wiem, że nie będę mogła jej niczego nauczyć, bo sama wszystko zapomniałam.

Ibrahim musnął palcami jej włosy. Jego ręka nie była przyzwyczajona do czułości.

– Dzieci zawsze zbyt późno uczą się tego, czego chcą je nauczyć ich matki. Aroha do ciebie wróci, a ty przypomnisz sobie każdą chwilę z dzieciństwa i przeżyjesz ją ponownie dla niej.

Trudno było w to nie wierzyć. Słuchając Ibrahima, Andrea z dnia na dzień odzyskiwała nadzieję, że odzyska córkę. Optymizm Ibrahima sprawiał, że powoli odżywała. Nie był to postęp stały ani łatwy, szczególnie nocami, kiedy on odchodził. Wówczas wszystko wypełniała ciemność, a Andrea zapadała w milczenie, stawała się ponura i smutna. W takich chwilach ciemności i rozpacz próbowała oszukiwać samą siebie, wmawiając sobie, że tęskni tylko za odrobiną spokoju, pewności. Nie chciała wierzyć, że córka nie żyje. Fakt, że od czterech lat nie odnaleziono jej ciała, doprowadzał ją do bram obłądu, ale jeszcze ich nie przekroczyła. Nadal wbijała paznokcie w nadproże po stronie rozsądku, tylko dlatego, że właśnie sama tragedia, sama niewiedza utrzymywały w niej nikłe przeświadczenie, że gdzieś tam Aroha nadal żyje.

– Obiecuję ci, że żywą lub martwą, ale ją znajdziemy – zapewniał ją Ibrahim.

A ona ścisnęła jego rękę i mówiła, że mu wierzy. Wierzyła mu całą wiarą matki, która opłakuje swoją córkę.

– Życie jest niesprawiedliwe jak uliczny oszust: podaje ci wszystko na wyciągnięcie ręki, wmawia, że szczęście nie jest wyolbrzymionym oczekiwaniem, i kiedy poddajesz się ufnie jego grze, zabiera ci wszystko jednym machnięciem ręki. I chociaż nie masz już nic, nie pozwala ci wstać od stołu, zmuszając cię, żebyś grał kolejne rozdanie, chociaż z góry wiesz, że go nie wygrasz.

Ibrahim poczuł zmieszanie, spuścił oczy, nie potrafiąc wytrzymać spojrzenia Andrei.

– Moje życie też nie potoczyło się tak, jak bym tego chciał – wyznał jej w przyływie szczerości, chociaż kobieta nie mogła zrozumieć aluzji.

– Kim byłeś, zanim stałeś się tym, kim jesteś teraz?

„Zanim stałeś się tą blizną” – pytała go spojrzeniem.

Popatrzył na nią czule.

„Tą blizną jesteś ty” – pomyślał.

Przeszedł długą i bolesną drogę, żeby dojść do miejsca, którego się nie spodziewał. Ale wiedział, że to było właśnie to miejsce, w którym powinien być. Przy niej.

– Muszę zadać ci jedno pytanie, Andreo. Od twojej odpowiedzi będzie zależało wiele rzeczy.

Andrea spojrzała na niego z niepokojem. I strachem.

– Czy wciąż kochasz Arthura?

Znieruchomiała. Potem zamrugła, jakby wpadł jej do oka jakiś pyłek, i odsunęła się od Ibrahima.

– To nie ma znaczenia.

– Oczywiście, że ma. Co może być ważniejszego?

Skrzydółka nosa Andrei zadrżała, kiedy wypuszczała powietrze.

Przez pewien czas Arthur był dla niej tak ważny, że pogarda, którą ją hojnie obdarzał, była dla niej nie do zniesienia. Tolerowała jednak jego zdrady, zmiany nastrojów i nocne lęki jako zapłatę za możliwość cieszenia się jego pieszczotami i słowami, którymi wciąż potrafił w nieskończenie piękny sposób opisywać świat. Kiedy Arthur ją obejmował, Andrea wyczuwała w tym rozpacz, jakby była jedynym pewnikiem w jego życiu. Dzięki temu czuła się szczęśliwa, jedyna i wyjątkowa. Ale już od bardzo dawna przestała się tak czuć.

Ich małżeństwo zmierzało nieubłaganie w kierunku komfortowego bezpieczeństwa, poczekalni śmierci jakiegokolwiek namiętności. Nagle zdała sobie sprawę, że kiedy się kochali – coraz rzadziej i w sposób machinalny – Arthur zachowywał się w stosunku do niej jak nieznajomy, który przyszedł z wizytą. Jego wzrok stał się obcy, a komplementy i magiczne słowa przestały brzmieć prawdziwie, straciły swoją tautologiczną moc (a przecież na tym właśnie polega prawdziwa miłość: na maksimum mistycyzmu) i stały się wyuczonymi formułkami. Brzmiał jak ksiądz, który recytuje mszę z pamięci.

W tamtym okresie, na krótko przed narodzinami Arohy, Andrea odkryła, że zakochał się w innej kobiecie. Miała na imię Diana i była szefową filii jego przedsiębiorstwa w Chicago. Wcześniej i później sypiał z innymi kobietami, ale ta piękna, ambitna i świadoma swoich atutów Afroamerykanka różniła się od nich. Ona zmieniła Arthura na zawsze, obdarła go z marzeń poety i stworzyła mężczyznę przepelnionego ludzkimi pragnieniami – samochody, pieniądze, akcje, wpływy i gra o władzę. Andrei pozostały resztki, karykatura człowieka, który starał się utrzymywać ją w przekonaniu, że się nie zmienił. Ciało bez duszy.

Pewnego wieczoru Arthur wrócił do domu bardzo zdenerwowany. Andrea czekała na niego do późna, ponieważ chciała powiedzieć mu coś ważnego, ale on wchodząc, nawet jej nie zauważył. Miał na sobie mokre ubranie i ubłocone buty. Poszedł prosto do garażu i wrócił po kilku minutach, taszcząc duży worek

na śmieci. Obecność Andrei w salonie zaskoczyła go.

– Jak długo tu siedzisz i mnie szpiegujesz? – zapytał rozdrażniony.

Andrea spojrzała na niego ze złością. Szpieguje go? Zwariował? Czekala na niego całą noc, z początku ze spokojem, potem ze smutkiem i w końcu, w miarę jak upływały kolejne godziny, z wściekłością. A teraz on sprawiał, że czuła się jak obcy we własnym domu.

– Musimy porozmawiać – odezwała się, przesuwając wzrok na worek, który trzymał w ręku. W drugiej dłoni miał kluczyki do samochodu. – Znów gdzieś jedziesz?

– Nie mam teraz czasu, Andreo – odpowiedział.

Pił i może wziął coś mocniejszego. Miał rozszerzone źrenice i ciągle oblizywał językiem wargi. Śmierdział burdelem. Ten zapach głęboko zranił Andreę, podobnie jak mętne spojrzenie, którym ją obrzucił, kiedy powiedziała:

– Aroha nie mogła zasnąć przez kolkę. Musimy zawieźć ją do szpitala.

– Co ja na to poradzę? Ona ma cztery miesiące. Na miłość boską, to normalne, że ma kolki.

W tym momencie coś się wydarzyło, gwałtowne zderzenie ich osobowości i nagły wybuch awantury. Andrea zaczęła na niego krzyczeć i wymyślać mu jak obłąkana. Nagromadzone wyrzuty popłynęły z jej ust jak strumień, mieszała śmieszne pretensje z głębokimi ranami z ogromną zjadliwością.

– Nie wytrzymam dłużej. Zabieram Arohę i odchodzę.

Arthur spojrzał na nią z nienawiścią do samego siebie, do niej, do wszystkiego. Nigdy go takiego nie widziała. Z pokoju na piętrze dotarł do nich płacz dziecka.

– Rób, co chcesz – krzyknął.

Wyszedł, trzaskając drzwiami, a Andrea została na środku salonu, wpatrując się w kawałki zbitego wazonu, który zrzucił na odchodne.

Arthur wrócił o świcie. Słyszała, jak wszedł do sypialni, rozebrał się i powiesił ubranie na wieszaku. Usiadł po swojej stronie łóżka i westchnął. Patrzył na nią, czuła na sobie jego wzrok, ale udawała, że śpi. Pozwoliła, by przysunął ją do siebie od tyłu i przytulił. Zgodziła się, żeby płakał z brodą opartą na jej ramieniu i żeby łzy spływały po niej i wsiąkały w nocną koszulę. Usłyszała, jak błagał, aby mu wybaczyła, miał straszny dzień, obiecywał, że się zmieni, i będzie jak dawniej.

Słyszała go i przyjęła jego przeprosiny. Lecz w głębi duszy tamtej nocy czternaście lat temu Andrea przestała kochać Arthura.

Przyjęcie trwało w najlepsze. Kelnerzy krążyli jak cyrkowcy między grupkami gości, balansując tacami wypełnionymi przekąskami z szynki, łososia i sera.

Na hotelowym tarasie znajdowały się dwa bary: jeden przy basenie, a drugi – w pobliżu balustrady, z której roztaczał się widok na stare miasto Madrytu. Minister kultury przemawiał w namiocie ustawionym na środku tarasu. Nikt go nie słuchał, ale najwyraźniej mu to nie przeszkadzało. Uśmiechał się do kamer jak przeciętny drugoplanowy aktor.

Arthur uniósł wzrok. Eduardo pojawił się po jego prawej stronie. Wyglądał żałośnie.

– Co tutaj robisz?

Eduardo zachichotał jak pijak, który potrafi panować nad poziomem swojego upojenia. Ku przerażeniu stojących w pobliżu osób wypił jednym haustem kieliszek wina (trzysta euro za butelkę) i zaatakował kelnera, żeby wziąć następny.

– W recepcji spotkałem Ibrahima. Powiedziałem mu, że muszę pilnie z tobą porozmawiać, i odprowadził mnie do windy. Jego blizna działa jak VIP-owska przepustka. Stewardesa nie wiedziała, jak mu odmówić, i wpuściła mnie.

– Nie powinieneś tu być. Tym bardziej w tym stanie.

Eduardo rozejrzał się dookoła z rozbawieniem.

– Dlaczego? Jestem oficjalnym portrecistą króla. A to jest twój dwór, nieprawdaż? Sędziowie, politycy, przedsiębiorcy, pisarze, aktorzy, adwokaci... Mogę się założyć, że wszyscy są ci winni jakąś przysługę. Może się ciebie boją, ale na pewno tobą gardzą. Nie jesteś jednym z nich, ale możesz ich kupić. Należą do ciebie. Przecież to całkiem normalne, że pokazujesz swoim sługom i lokajom katalog błaznów, którzy cię bawią?

Eduardo mówił na tyle głośno, żeby mimowolnie zwrócić uwagę otaczających ich ludzi. Arthur obrzucił go wściekłym spojrzeniem, dyskretnie złapał go za łokieć i pociągnął w kąt tarasu.

W świetle zmierzchu dachówki starych budynków dzielnicy Austrias błyszcząły, jakby były mokre od deszczu. Na tarasie zapalono lampiony wiszące jak na tanim ludowym festynie na niewidzialnych kablach. Z oddali dochodził dźwięk dzwonów z klasztoru Klarysek. Jeśli się zamknęło oczy, można było sobie wyobrazić, że jest się w jakiejś małej wiosce w La Manczy. Po skończonym wystąpieniu ministra z głośników w namiocie popłynęły utwory Schuberta. Kontrast wydawał się niemal komiczny.

– Oszalałeś? Po co ta scena?

Jak u utalentowanego mima z twarzy Eduarda znikł wyraz bezczelnego pijaka. Zbliżył się do Arthura, jakby był krótkowidzem i zapomniał założyć okulary. Spędził tak wiele godzin, próbując rozszyfrować jego twarz, znał ją jak własne odbicie. Mimo to dopiero w tej chwili zrozumiał sens słów, które Gloria

wypowiedziała, kiedy pokazał jej swoje pierwsze szkice w Barcelonie: nie potrafił uchwycić istoty, prawdziwej natury Arthura.

– Gdybym miał ponownie cię namalować, byłbyś kimś zupełnie innym.

Arthur wytrzymał jego wzrok, niewzruszony i świadomy dziesiątek spojrzeń skierowanych w ich stronę, nawet jeśli były dyskretne. Ale pod wyćwiczoną maską ukrywał pulsującą złość i pogardę, które sączyły mu się z kącików ust.

– Czego jeszcze chcesz? Masz już ten portret. Możesz zanieść go Glorii i pokazać, jakim jestem potworem. Powiedz jej to, co chce usłyszeć.

Eduardo wziął kolejny kieliszek i opróżnił jednym haustem.

Arthur był obłudnikiem tak samo jak Gloria, Olga, on sam, złapany we wspomnienia, w których nie potrafił już odróżnić prawdy od fałszu. Żył w oszustwie, napełniali się nieobecnością, żeby ukryć pustkę. Tak samo jak te kobiety, które zakładając na siebie drogą biżuterię, ukrywają swoją przeciętność, dramatycznie oczywistą, gdy paznokciem małego palca grzebią między zębami. Jak ten uśmiechający się wysoki urzędnik, który po wyłączeniu kamer dotknął ukradkiem piersi kelnerki. Jak fałszywe śmiechy i spojrzenia zawsze poszukujące kogoś ważniejszego, komu można by się przypodobać. Jedno wielkie kłamstwo pełne rys, których nikt nie chciał zauważyć. Bo tymi rysami byli oni sami. Oni wszyscy.

– Właśnie się dowiedziałem, po czternastu latach, że zabiłem niewinnego człowieka. Zabiłem niewłaściwą osobę. – Słowa ciążyły Eduardowi jak kamienie, które musiał z siebie wyrzucić. – Jestem cholernym gównem, kiepskim żartem.

Człowiek zamieszkujący ciało Arthura w tym momencie je opuścił. Odszedł daleko, w miejsce, w którym wzrok Eduarda nie mógł go dosięgnąć.

– Nikt nie jest niewinny, Eduardo. Sądziłem, że już to zrozumiałeś.

Eduardo przeciągał sylaby.

– Masz rację, ale to mnie prowadzi do strasznego wniosku: zabójca mojej rodziny jest na wolności i się ze mnie śmieje.

Arthur przeszył go wzrokiem jak nożem, czystym cięciem.

– Jakie to ma teraz znaczenie? Zabiłbyś go? Zemściłbyś się? Popełniłeś już w życiu wystarczająco dużo głupstw.

Eduardo odwrócił wzrok. Prawdopodobnie Arthur miał rację.

– Ale gdybym chociaż wiedział, że jego życie nie było lepsze od mojego...

Arthur popatrzył na niego z politowaniem, jakby mówił: „Nie ma sensu odkrywać prawdy, skoro nie możemy nic z tym zrobić”.

Mały podmiejski hotelik zniknął. Krajobraz zmienił się nie do poznania. Patrząc

na niego, Arthur zdał sobie sprawę z o wiele głębszych i bardziej osobistych zmian, które zaszły w jego życiu. Nie był w tym miejscu od czternastu lat i wysiadając z samochodu, doświadczył tej nieuniknionej przemiany, z którą mierzymy się na ostatnim etapie naszego życia.

Z trudem rozpoznał ruiny budynku porośnięte tak wysokimi chaszczami, że zasłoniły dawny kamienny mur otaczający nieruchomość. Część dwuspadowego dachu zawaliła się, jakby uderzył w niego pocisk z haubicy, a piękne dachówki w mauretańskim stylu straciły pierwotny blask i ukryły się pod warstwą mchu. Większość okien zamurowano ceglami, a część parteru służyła za atelier graficiarzom. W jednym kącie stała zardzewiała tablica z ogłoszeniem, że nieruchomość jest na sprzedaż. Wyblakłe numery telefonów do agencji nieruchomości były nieczytelne. Główna droga, z której docierał irytujący i ciągły szum przejeżdżających tirów, przebiegała teraz na tyłach ruin hotelu. Wybudowano też stację benzynową ze sklepem.

To miejsce było kiedyś rajem Arthura. Przez lata w każdy weekend stanowiło dla niego odskocznnię od codziennej rutyny. Dyskretne podmuchy wiejskiego powietrza, dopiero co ścięte kwiaty w wazonie, wielkie małżeńskie łóżko z oparciem z ciemnego drewna, kosze świeżych owoców, przytulna jadalnia, w której kilka par, często tych samych i skrywających podobne tajemnice, pozdrawiało się w milczeniu z emanującą rezygnacją radością i obdarzało się porozumiewawczymi spojrzeniami, na wpół z poczuciem winy i na wpół z podnieceniem dzieląc ze sobą tajność tych spotkań.

– Mogę się założyć, że w Chicago nie ma takich miejsc jak to – mówił Dianie, trzymając ją pewnie za rękę.

Spacerowali osłonięci żywopłotem przyciętym w niezwykle kształty zwierząt i kwiatów, napawając się ciszą przerywaną tylko przez ptaki ukryte w gniazdach, które trudno było dostrzec wśród najwyższych gałęzi drzew. Diana, w dżinsach i koszulce na ramiączkach, bez żadnych ozdób ani butów na wysokim obcasie, tylko w tenisówkach, pozwalała się mamie temu urojeniu, uśmiechała się do niego i obejmowała go bez strachu, opierała swoją hebanową głowę na jego piersi i całowała go w szyję, pozostawiając na skórze ciepły wilgotny ślad.

Spotykali się tam w każdy weekend. Czterdzieści osiem godzin skradzionych Andrei dzięki misternie tkanym alibi, które zrobiły z Arthura, przynajmniej w jego wyobrażeniach, eksperta od kłamstw. Te dwie doby wystarczały mu dla utrzymania pozorów, że był kimś innym i wyjątkowym, pozbawionym pęknięć codziennej zwyczajności.

Jednak czas, który wynajdują dla siebie i ofiarowują sobie zakochani, w końcu

przestaje im wystarczać. Idealna fikcja domagała się więcej: czasu, dni, intensywności. W pewnym momencie zapragnęli czegoś innego niż tylko potajemne spotkania. Zawsze jedno z kochanków skłonne jest utracić raj, zjeść zakazany owoc, licząc na coś, co będzie nieidealne, ale jednak bardziej prawdziwe. W ich przypadku to Diana chciała więcej. Żądała od Arthura, żeby przestali się ukrywać, chciała cieszyć się codziennymi sprawami zwykłej pary, znosić trudy wspólnego życia, robić wszystko to, co w końcu zmienia się w walkę o narzucenie swoich zasad, o panowanie nad drugą osobą. Pragnęła na własnej skórze poczuć powolną porażkę codziennego życia we dwoje. Dianie nie wystarczało już mdłe złudzenie, które Arthur dla niej stworzył.

– Chcę cię widzieć, kiedy jesteś chory, słaby i niepewny. Przekonać się, jak wyglądasz nieobecny, wściekły, rozkojarzony, poznać twój egoizm, twoją dziecięcą stronę, zobaczyć, jak płaczesz. Chcę być wtedy przy tobie. Nie chcę już kochać wyobrażenia, ale człowieka z krwi i kości.

O to się właśnie pokłócili podczas swojej ostatniej schadzki w hotelu. Przed czternastoma laty. Problemy zaczęły się już po południu, kiedy w cieniu spiczastych liści palmy Diana gorzko się żaliła i nazywała się „dziwką” po hiszpańsku (zazwyczaj rozmawiali po angielsku, żeby bardziej odciąć się od rzeczywistości). Upał był jak gęsta czekolada. Bez morskiej bryzy wydawał się ciężki jak wyschnięte otoczaki. Przywodził na myśl wstęgi wyschniętych strumieni, spękaną ziemię, brzęczenie dużych much leniwie krążących nad kępami kwiatów.

To Arthur popełnił błąd. Nie powinien dać się omamić złudnej bliskości, którą tworzył sobie w umyśle. Najpierw kochali się na stojąco, oparci o drewniane drzwi szafy, które na ich spoconych ciałach zostawiły ślady nierówności i sęków, a później leżeli nadzy na zimnych płytach posadzki. Kiedy Diana zapytała go, o czym myśli, powinien odpowiedzieć coś w stylu: „Myślę o tobie, jest wspaniale, czuję się jak w niebie”. Dać jej odpowiedź, której oczekiwała zgodnie z ich weekendowym scenariuszem.

On tymczasem zrobił coś o wiele gorszego: powiedział prawdę.

– Myślałem o pokoju w hoteliku na ulicy Al-Mansur w algierskim porcie. Był tam taki sam wentylator jak ten, chociaż mieszał inne powietrze: bardziej słone, niemal płynne, lepiące się do skóry zapachem wodorostów, oliwy i smaru do cum. Światło też miało inną barwę. Promienie słońca ślizgały się po meblach jak ręka olbrzyma, który liczy swoje skarby. Przez okna słychać było szum morza, trąbienie ciężarówek na rampach załadunkowych, krzyki ładowaczy, dziecięcy śmiech (powinnaś usłyszeć śmiech algierskiego dziecka, który nie przypomina żadnej

innej melodii na świecie). Myślałem, że w tamtym pokoju moje serce też było mocno, ponieważ byłem młodszy, bardziej porywczy, naiwny. Myślałem o Andrei, która przytulała się do mnie. Byliśmy spoceni jak słodkie cukierki, które zaraz się rozpuszczają... Myślałem o drodze, którą przebyłem z tamtego pokoju do tego.

Myślał też, żeby zakończyć romans z Dianą – ze wszystkimi Dianami w swoim życiu – zerwać z weekendową odskocznią, wrócić do domu i przytulić Andreę.

Myślał, że w drodze powrotnej zatrzyma się i kupi dla niej kwiaty. I jakiś drobiazg dla Arohy, może lampkę w misie.

Dziecko pojawiło się między nimi jak mur wznoszący się stopniowo, kamień po kamieniu. Pomyślał tak, kiedy po raz pierwszy ujrzał Arohę na sali porodowej, podczas gdy lekarz zawiązywał jej pępowinę. Z niezrozumiałych powodów Arthur poczuł dreszcz przypominający bardziej strach niż radość. Zastanawiał się, czym był ten kawałek czerwonego ciała, które krzyczało na całe gardło, jakby świat już do niego należał, i które rościło sobie do niego prawo z taką gorliwością. Czym – nie znalazł innego określenia – był ten kawałek życia mieszczący się w rękach w silikonowych rękawiczkach, które ujęły go tak, jak się nabiera wody w dłoń. „Jest twoja” – powiedział lekarz, podając mu ją jak ofiarę, jak podarunek. I ta świadomość go przeraziła.

Od razu przyszedł mu na myśl ojciec, porucznik oddziału spadochroniarzy, w swoim galowym mundurze, medalach, wysoki, silny, z wytatuowanym na szyi mottem jednostki jak nieusuwalnym znakiem swoich priorytetów: „Ojczyzna przede wszystkim”. Tak było? Czy on był taki sam jak jego ojciec, czy tylko przypominał go z wyglądu?

Nie mógł się oprzeć temu szkodliwemu i choremu skojarzeniu. Za każdym razem kiedy widział, że to nie jego usta brały zaróżowiony sutek Andrei, ale tego dziecka, czuł się jak intruz. Bał się dotknąć tej małej dziewczynki, która patrzyła na niego jeszcze niewidzącymi oczkami, szukała jego głosu jak niewidomy o błędnym spojrzeniu i marszczyła swój maleńki nosek, kiedy podchodził do kołyski, rozpoznając jego zapach. Jakby nie chciał jej ubrudzić, jakby nie chciał przyznać się, że odkąd pojawiła się na świecie, w każdej minucie toczył wewnętrzną walkę między egoizmem a czujnością i nie potrafił podjąć ostatecznej decyzji.

O tym właśnie rozmyślał wpatrzony w wolno obracające się skrzydła wentylatora, podczas gdy Diana głaskała go po piersi. W końcu jej powiedział.

– Koniec z nami.

Nic jednak tak naprawdę nigdy się nie kończy. Przynajmniej nie wtedy, kiedy tego chcemy, ani w sposób, w jaki się spodziewamy. Nauczyło go tego życie:

doświadczenia z francuskim kuzynem, kolejne w gabinecie Cocharda i długa droga, którą przebył, by dotrzeć tam, gdzie teraz się znajdował, i królować nad ogromną górą trucizny. Ale tamtego poranka o świcie nie chciał słuchać tego złośliwego, bolesnego i kpiącego głosu. Tamtego ranka, ubierając się w nagłym pośpiechu – jakby rozpoczęło się odliczanie czasu, który przyznała mu Andrea, żeby mógł ją odzyskać, zanim na zawsze ją straci – poczuł, że jest w stanie pokonać ograniczenia, które wyznaczył mu los.

Droga zwężała się i na pewnym odcinku ujrzał drogowskazy ostrzegające o robotach drogowych i słupki odgradzające jedno pasmo. W prawo odchodziła boczna droga, przecinała wyludnione miasteczko i biegła przez kilkaset metrów wzdłuż niewidocznego poniżej nasypu strumienia, który było słychać. Arthur zjechał w ten skrót, nie zredukowawszy prędkości ani nie zatrzymawszy się przed ledwie widocznym w krzakach znakiem „Stop”.

I wtedy uderzył w samochód jadący przed nim w tym samym kierunku.

Siłą rozpędu wylądował na kierownicy, ale pas bezpieczeństwa uratował go przed wypadnięciem przez przednią szybę. Na kilka sekund stracił przytomność, a kiedy ją odzyskał, próbował sobie przypomnieć, co się stało. Gdyby nie zobaczył drugiego samochodu, który spadł ze zbocza i leżał przewrócony kołami do góry, pomyślałby, że wszystko mu się przyśniło. Przerażony wysiadł i czując zawroty głowy, ruszył chwiejnym krokiem na pobocze.

Po prawej stronie strumień zwężał się i na brzegu leżało ciało z nogami unoszącymi się na wodzie. Arthur rzucił się biegiem w dół zbocza, potknął się, upadł i szybko podniósł. Podbiegł do ciała: dziewczynka jeszcze oddychała, chociaż umierała tak szybko, jak wypływała z niej krew, uszami, ustami i nosem.

– Nie ruszaj się. Wezwę pomoc – powiedział, jakby to połamane ciało gdzieś się wybierało.

Dobiegł do samochodu i złapał telefon. Nie było zasięgu. „Myśl, Arthurze, myśl”. Nie mógł jednak zatrzymać natłoku myśli ani krzyków w głowie. Wszystkie mówiły do niego naraz, jedna chciała przekrzyczeć drugą. Przypomniał sobie roboty drogowe przed zjazdem. Tam pewnie byli jacyś robotnicy, będą wiedzieli, co zrobić, wezwą karetkę. Włączył silnik i ruszył. Droga była zbyt wąska, żeby zawrócić, więc postanowił jechać dalej, gdzie mógłby to zrobić. Człowiek zawsze myśli, że z każdego miejsca będzie mógł się wycofać.

Pięćdziesiąt metrów dalej droga wystarczająco się rozszerzała. Arthur zatrzymał samochód. „Co zrobisz? Oni nie żyją” – mówiły do niego oczy w lusterku. „Zabiłeś ich, ale to był wypadek. Właśnie chcesz wszystko spieprzyć?”.

Wiele kilometrów dalej Arthur wszedł do baru przy stacji benzynowej. Barman ledwo zwrócił na niego uwagę, kiedy zdenerwowanym głosem poprosił o telefon.

Nie zadzwonił na policję. Nawet nie przyszło mu to do głowy. Wybrał numer Diany i opowiedział jej o wszystkim, dławiąc się łzami. Nie, nikt go nie widział. Tak, był niemal pewien, że nie żyli. Nie zostawił po sobie śladów.

– W takim razie to się nie wydarzyło – powiedziała chłodno Diana.

Poczuł ulgę. Nie wydarzyło się. Wszystko można cofnąć, wystarczy coś wymazać. To właśnie chciał usłyszeć. W to potrzebował uwierzyć. Diana zajmie się wszystkim. Zawsze to robiła. I tym razem też.

Rozdział 20

Ormianin leżał w łóżku i przez kilka sekund nie myślał o niczym. Lubił tę cichą porę, kiedy nowy dzień obiecywał nowe chwile; momenty, które ostatecznie będą takie same jak zawsze – wiedział o tym – ale kiedy otwierał oczy i widział czerwoną granicę horyzontu, wydawały mu się nierozwiązanymi tajemnicami. Westchnął głęboko, napawając się ulotnym uczuciem spokoju i czystości ciszy. Marihuana przyćmiła jego umysł, kiedy zaczął pogwizdywać refren *Highway Star* Deep Purple:

Nobody gonna take my head I got speed inside my brain^[10].

Nie miał pojęcia, dlaczego obudził się, mając w głowie właśnie tę piosenkę, chociaż zawsze rano coś sobie podśpiewywał. Miał to w zwyczaju od lat.

Na podłodze leżała zużyta prezerwatywa i popielniczka pełna niedopalków w kałuży rozlanego piwa. W nogach łóżka wały się spodnie, fałszywy paszport Bośni i Hercegowiny oraz sportowa torba z ubraniem na zmianę i kilkoma tysiącami euro ukrytymi w podwójnym dnie. Za kilka dni stanie się historią, zamierzał definitywnie zniknąć za rozmytymi granicami byłej Jugosławii, ziemi obiecanej dla takich ludzi jak on. To nie było takie straszne, oczywiście że nie, odkąd pamięta, siedział w poprawczakach i więzieniach, to było jego środowisko naturalne: zapach środka dezynfekującego, ściany cel pokryte grubą warstwą farby, mało życzliwi strażnicy i strach przed innymi więźniami ukryty pod maską odwagi.

Czuł się już stary i zmęczony. Młodzi więźniowie przestrzegali nowych kodeksów – pozbawionych lojalności i szacunku – i przy najmniejszej okazji próbowali go zdetronizować. Nie był już wszechwładny i prędzej czy później musiałby im ustąpić. Ale nie zamierzał tego robić. Kto raz stał się cesarzem, nie mógł zadowolić się pozycją drugorzędnego królika. Ucieczka i zabicie eskortującego go policjanta oznaczały koniec więziennej legendy Ormianina. Legendy, która powinna pozostać do końca bez skazy. Nigdy nie wróci do hiszpańskiego więzienia, nigdy.

– To się musi skończyć – stwierdziła kobieta.

Leżała obok niego, też paliła skręta i trzymała rękę na brzuchu mniej gładkim

niż we wspomnieniach Ormianina. Nie przypominał sobie też kurzych łapek ani maleńkich pęknięć na górnej wardze. Jej oczy miały kolor jesiennej trawy. Nie była ładna, ale to jej nie przeszkadzało, aby uznać ją za ponętą. Miała na imię Azucena i nosiła na palcu obrączkę z białego złota z wygrawerowanym prawdziwym imieniem Ormianina, którego nikomu nie wyjawiał. A ci, którzy je znali, nie mieli odwagi wymawiać go w jego obecności.

– Skończy się wkrótce. Za kilka dni kumple, którzy przerzucają dziwki i niewolników przez granice, zabiorą mnie do Sarajewa. Winni mi są kilka przysług. A stamtąd, kto wie? Do Turcji, Iranu, Afganistanu. Dla takich ludzi jak ja jest tam wiele możliwości. Najpierw jednak zajmą się skurwielem, który zabił naszą córkę.

– Nie ma znaczenia, gdzie wyjedziesz ani co zrobisz, Eladio. To nam nie zwróci Rebeki, a ty nigdy nie przestaniesz uciekać, nigdy. Straciłeś przez to wiele lat i mnie też w ten sposób stracisz: uciekając przed własnym życiem.

Ormianin poczuł, że tonie. Nie chciał zastanawiać się nad teraźniejszością, tak samo jak nie chciał dotykać palców kobiety równie samotnej jak on, które szukały jego ręki.

Azucena była pracownicą społeczną. Poznali się w więzieniu rok przed narodzinami Rebeki. Była jedyną osobą, która okazała mu jakiekolwiek uczucia. Nauczyła go czytać i pisać. I urodziła mu córkę, Rebeke, którą widywał tylko raz na rok, w dzień jej urodzin, ponieważ nie chciał, żeby żona przyprowadzała ją na widzenia. To nie było miejsce dla tak małej dziewczynki, która w przyszłości powinna zostać księżniczką. Nie chciał, żeby kiedy dorośnie, pamiętała swojego ojca za kratkami, ale zawsze nosił przy sobie jej zdjęcie, i pokazywał je wszystkim, kiedy był w dobrym nastroju.

Wymieniał je co jakiś czas, w miarę jak dziewczynka rosła. Przeczytał poradniki z zakresu pedagogiki dziecięcej i przekonywał wszystkich, którzy chcieli go słuchać, że jest dobrym ojcem i dba o jej edukację. W swoim umyśle stworzył fikcję normalnej rodziny, w której zaszczepiał w swojej córce swoją życiową maksymę: „Sama z nikim nie zadzieraj, ale jeśli ktoś cię będzie szukał, niech cię znajdzie”. On utoruje jej drogę, odsuwając na bok niebezpieczeństwa, będzie ją chronił i jednocześnie uczył, jak pokazywać zęby i kąsać w razie konieczności. Marzył, żeby zobaczyć ją kiedyś na uniwersytecie, na który on nigdy nie mógł pójść, jak zostaje znaną adwokatką. Żartował nawet, że w przyszłości jego córka założy togę sędziego i wespnie się na najwyższe poziomy wymiaru sprawiedliwości. Może zostanie sędzią. Dlaczego nie? Okłamywanie się jest sposobem na przeżycie rozczarowania. I przez sześć lat, które żyła jego córka,

stanowczo trzymał się tej fikcji.

Azucena siedziała na łóżku i zapinała biustonosz. Twarz z podkrążonymi oczami zasłaniały jej potargane włosy.

– Powinieneś się oddać w ręce policji. Nadal mam przyjaciół w służbach więziennych. Mogą nam pomóc.

– Nie oddam się, Azuceno. Wybij to sobie z głowy.

– Co zrobisz, kiedy zabijesz tego człowieka? Ilu ludzi musi jeszcze umrzeć, żebyś przestał nienawidzić siebie i wszystkich dookoła?

Kiedy przestało się mieć nadzieję, trzeba ją sobie wymyślić. A jeśli to niemożliwe, można żyć nienawiścią, a z zemsty zrobić niezniszczalną siłę napędową, która pcha do zachowania czujności, sens życia, kiedy nie pozostaje już nic innego. Zabicie Arthura stało się jedynym celem Ormianina.

– Gadaj sobie jak siostra miłosierdzia z nowymi więźniami. Na mnie to już nie działa. Skamieniałem od środka.

Azucena popatrzyła na niego zmęczonym wzrokiem, który mógł oznaczać tylko jedno:

– Nie mogę tak dłużej. Muszę zacząć żyć dalej. Pochowaliśmy ją cztery lata temu. Ale ty nie pozwalasz jej odejść. Łapiesz się nas, żeby nie utonąć, ale ciągniesz mnie za sobą w dół.

Ormianin spojrzał obojętnie na twarz żony. Stracił ją. Nie przejął się tym – zawsze był sam.

– Zrobię to, co muszę, a potem wyjadę na zawsze. Nie martw się. Nie zobaczysz mnie nigdy więcej.

Ibrahimowi nawet nie drgnęła powieka na widok Ormianina stojącego kilka centymetrów za jego plecami. Odkąd Ordóñez ich ostrzegł, jego pojawienie się było tylko kwestią czasu. Przyszedł pod eskortą olbrzyma, na oko trzydziestolatka. Z podłużnym pasmem kręconych ciemnych włosów na ogolonej głowie wyglądał jak okrutny Mohikanin. Patrzył dużymi, ruchliwymi i szklistymi oczami, źrenice miał rozszerzone jak ciągle powiększające się czarne dziury. Przed chwilą wciągnął kreskę koki. Niemal nie mrugał, jakby ktoś przyszył mu powieki do szerokich i gęstych brwi. Każdy centymetr na skórze jego ramion pokrywały tatuaże.

– Czy możemy wreszcie porozmawiać spokojnie? – zapytał Ormianin.

Ibrahim popatrzył na olbrzyma i rozważył swoje opcje: trudno byłoby mu go powalić, w zamian nie obrywając. Nie miał zbyt dużego wyboru. Kiedy włożył rękę do kieszeni spodni, olbrzym warknął jak wściekły pies. Ibrahim wyciągnął kilka

monet i położył je na blacie baru, przy którym pił piwo. Pokazał otwarte dłonie na znak pokoju i Ormianin pociągnął swojego psa za smycz, żeby go uspokoić.

– Wyjdźmy stąd.

Goryl ustawił się po prawej stronie Ormianina. Rozglądał się dookoła i obserwował Ibrahima.

– Człowiek najbardziej tęskni za przyziemnymi rzeczami, kiedy je traci, prawda? Zapomniałem już, jak to jest spacerować po centrum Madrytu.

– Jak ci się udało uciec z więzienia?

Ormianin podniósł koszulę i pokazał brzydką ranę zadaną nożem na wysokości wątroby. Była świeżo opatrzona i szwy jeszcze się nie zabiły. Miał dużo szczęścia.

– Kiedy się samookaleczysz, te dranie zwracają na ciebie uwagę. Nie mogą ci pozwolić się wykrwawić, to niezgodne z prawem. Więc im głębsza rana, tym bardziej troszczą się o ciebie. Wiesz, że średniowieczni mistycy okaleczali się, żeby zwrócić na siebie uwagę Boga? Krwawienie dobrze robi, oczyszcza. Sprovokowałem bójkę, pozwoliłem się zranić i musieli przewieźć mnie do szpitala. Humala i jego kumple załatwili resztę. Byli mi winni kilka przysług – uśmiechnął się, wskazując na olbrzyma.

– Czego chcesz? – zapytał Ibrahim.

– Zacząć od nowa. Rozumiesz? Posłuchaj, człowiek sam z siebie nie postanawia stać się skurczybykiem czy bezdusznym bydlakiem, po prostu tak się dzieje, a ty na to pozwalasz.

Ormianin pochylił się i wbił w Ibrahima swoje wielkie oczy, które zajmowały mu całą twarz, jakby oczekując, że coś zrobi albo powie. Ale Ibrahim nie wiedział ani co zrobić, ani co powiedzieć.

– Czasami dużo mówię, co jest dziwne, bo z zasady nie mam zbyt wiele do powiedzenia, ale milczenie mnie wkurza, wiesz?

Ibrahim zgodził się z nim po raz pierwszy. Nigdy nie czuł się komfortowo, gdy mówił zbyt dużo.

– W takim razie przestań owijać w bawełnę i przejdź do konkretów.

Ormianin wymierzył w niego palcem wskazującym i uśmiechnął się porozumiewawczo, ukazując szeroko osadzone, małe i ostre zęby.

– Słyszałem, że twój szef zatrudnił zakapiora, profesjonalistę, który wypytuje o jego córkę. Z tego co wiem, facet jest szybki i bezpośredni. Wzrusza mnie jego zaangażowanie, ale nie powstrzyma od wyrwania Arthurowi flaków. Zabił moją córkę. Może sobie wynająć do ochrony całą armię, i tak jest już martwy. Nic i nikt mnie nie powstrzyma. Chcę, żebyś o tym wiedział.

Ibrahim ze spokojem uniósł wzrok i skupił go na zmarszczkach swojego rozmówcy. Stary wojownik – jak każdy śmiertelnik – zaczął wędnać i nie chciał się przyznać, że jego czas minął. Algierczyk przypomniał sobie zdjęcia Iana i Rebeki, które pokazał im Ordóñez.

– Po co mi o tym mówisz? Śmierć twojej córki była przypadkowa. Arthur był pijany, nieświadomy tego, co robi, i wierz mi, że jeśli czegokolwiek żałuje z tego, co się stało tamtego dnia, to właśnie śmierci dziewczynki.

– Nie obchodzi mnie to – stwierdził dobitnie Ormianin. – Dla mnie nie ma znaczenia, czy był pijany czy trzeźwy. Nie jestem jednym z tych maniaków, którzy chodzą i straszą słowami. Ja działam. – I przyłożył rękę do skroni, jakby chciał strzelić sobie w łeb. – Wiem, kim jestem i co robię, chociaż nie twierdzę, że to jest dobre. Mówię tylko, jak jest. Ale ty?

– Co ze mną?

– Lubię cię, Ibrahimie. Szczerze mówiąc, podziwiam cię. Od lat spotykamy się w wielu więzieniach i nigdy nie widziałem, żebyś kiedykolwiek złamał swoje zasady. Ludzie się ciebie boją, ale przede wszystkim cię szanują. Ja też. Znam twoją przeszłość, te plotki o twojej współpracy z fundamentalistami. A mimo to jesteś facetem bez skrupułów. – Ormianin wyciągnął rękę, jakby chcąc dotknąć poszarpanej blizny na twarzy Ibrahima, ale spojrzenie Araba powstrzymało go na czas. – Dlatego nie rozumiem, po co chronisz Arthura.

– Nie wiem, co sądzisz, że wiesz, ale mówisz o dawnych czasach. Poza tym to nie twoja sprawa.

Ormianin uważał, że ma pewien talent: widzi to, co inni ukrywają. Dzięki temu łatwo było ludźmi manipulować. Dawał im to, czego potrzebowali, a w zamian brał to, co chciał. *Uczciwi* ludzie posługiwali się takimi facetami jak on, żeby zaspokajać swoje zachcianki, poszukując odrobiny niebezpieczeństwa w odrażających i nudnych egzystencjach. Wszystkie te damulki widywane w sklepach na ulicy Serrano, jeżdżące wypasionymi furami ze swoimi łysymi, postarzałymi, brzuchatymi i śpiącymi na forsie mężami, potrzebowały w swoich tyłkach kutasa, kreski koki, nielegalnych walk, hazardu albo orgii. Perwersja była dla tych ludzi akceptowalna jako zabawa, odrobina bólu, kilka kropli krwi, jakieś przekleństwo wyszeptane do ucha, ale jeśli pokazywało się im prawdziwą brutalność, ze strachu srali w gacie. Ibrahim nie był taki jak Ormianin ani jak ci ludzie. Ormianina niepokoiło, że nie wiedział, kim jest Ibrahim, jak go złapać ani nie znał jego słabości. Dlaczego nie wzbudzał w Algierczyku strachu, jak w innych?

– Masz rację, z pewnością istnieją powody, dla których chronisz tego drania.

Mam nadzieję, że są dość ważne, bo dopadnę Arthura i wszystkich, którzy staną mi na drodze, a nie chciałbym, żebyś był jednym z nich. Wręcz przeciwnie, miałem nadzieję cię przekonać, żebyś mi pomógł. Chciałbym, żebyś wystawił mi Arthura. Dlatego właśnie rozmawiamy i to jest jedyny powód, dla którego mój wytatuowany przyjaciel nie je na surowo twojej wątroby. – Spojrzał swoimi dużymi i wodnistymi oczami na Ibrahima. Przypominał rekina gotującego się do ataku. – Żona Arthura przebywa w klinice pod Madrytem. Wiem, że ją odwiedzasz. Nie wiem dlaczego, ale podejrzewam, że ta kobieta znaczy dla ciebie więcej, niż powinna.

Na twarz Ibrahima padł cień. Ormianin niemal słyszał zgrzyt zaciskających się zębów.

– Jeśli zbliżysz się do Andrei, połamię ci wszystkie kości.

– Wyluzuj się, nie chcę jej skrzywdzić. Ale wiem, co zrobię, jeśli mnie do tego zmusisz. Nie będziesz jej zawsze chronił. Andrea. Tak ma na imię? Ją obchodzi tylko, gdzie jest jej córka, Aroha. Może ten facet zatrudniony przez Arthura jest dobry; słyszałem o nim straszne rzeczy, ale wierz mi, że nie uda mu się jej odnaleźć. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś o zaginionych ładnych dziewczynkach, mam kilku dobrych znajomych, którzy mogliby ci pomóc. Wymiana informacji, tylko o tyle cię proszę. To albo on. – Wskazał na Humalę, wytatuowanego olbrzyma patrzącego na niego lodowato, z psim uśmiechem. – Przemyśl to sobie, Ibrahimie. Moja propozycja nie będzie długo aktualna. Trochę mi się spieszy, żeby zakończyć tę sprawę i zniknąć.

Ojciec nauczył Ibrahima, że *tasawwuf* jest niewidzialną nicią łączącą ludzi z Bogiem i tłumaczącą jego związek ze Stworzeniem. Podobnie jak nuty wydobywające się z jego *ney*, kiedy czuł się zagubiony. Nie było to coś, co mógł wyrazić słowami, ale kiedy czuł się rozdarty i smutny, grał na flecie trzciniowym i przypominał sobie, jak Mustafa al-Alawi mówił, że „w człowieku znajduje się wyjątkowy kawałek ciała: kiedy on jest zdrowy, człowiek też jest zdrowy, a kiedy się psuje, całe ciało też zaczyna się rozkładać. Tym kawałkiem ciała jest serce”. Ojciec powtarzał, że ma serce wojownika-mistyka, dlatego – mając świadomość swojej natury – cierpiał. Ibrahim słyszał w głowie jego słowa pomieszane z dźwiękami *ney* i widział, jak porusza swoim wysuszonym, jakby zbudowanym z powietrza ciałem. „Modlę się za ciebie” – mówił, szukając wzrokiem drogi, której nikt nie mógł ujrzeć. – „Modlę się za ciemną i jasną stroną twojego serca. Żebyś zwyciężył w tej walce, ponieważ każdy człowiek musi znaleźć swoje przeznaczenie i nie błąkać się bez celu przez życie”.

Ibrahim pomyślał o grobie ojca: małym kamiennym kopcu porośniętym polnymi kwiatami, które gorące powietrze sirocco chłostało na szczycie wzgórza, pod ołowianymi chmurami zbliżającymi niebo do ziemi. Chmury zbliżały niebo i ziemię poza kontekstem historycznym, poza czasem. Tęsknił za takim ponadczasowym bezruchem; czymś tak prostym jak źdźbło trawy, które ulatywało z dłoni, wirując w powietrzu jak pijana ważka.

Wspomnienie Algierii towarzyszyło mu wszędzie. Obraz obolałego i splamionego krwią kraju. Widział pierwszego człowieka, którego zabił, strzelając mu w plecy przed pomnikiem Męczenników, wybuch bomby na ulicy Hady Omar, w pobliżu pałacyku w stylu osmańskim, w którym Francuzi urządzili ratusz, strzelaninę do turystów przed muzeum Bardo, torturowanie kapusiów na terenie hipodromu, podczas gdy kątem oka obserwował, jak biegły konie, które obstawiał. I za każdym razem kiedy brał udział w zamachu albo popełniał przestępstwo, czuł, jak jego serce gnije. Nie mógł jednak pozbyć się warstwy nienawiści, która je uśmiercała. Słowa i myśli nie wystarczyły, by je uzdrowić.

W każdym atakowanym mężczyźnie czy kobiecie widział zdrową twarz rudego Luisa Fernándeza, widział swoją matkę trzymaną przez jego zbirów i czuł, jak pod cienkim ostrzem maczety otwierało mu się ciało. Wtedy zaćmiewało mu umysł i stawał się człowiekiem, jakim spodziewano się, że się stanie: mordercą, degeneratem, fanatycznym reakcjonistą... Tylko w ten sposób rozumiał sens zabijania swoich ofiar: sądzili, że wiedzieli, kto ich zabijał i dlaczego.

Od tamtej pory życie straciły tysiące ludzi, nigdzie nie powiewały już flagi, nie wzruszały go hymny, nie szukał Boga. Po ludziach ani po sobie samym już niczego nie oczekiwał, a wspomnienie nauk ojca było tylko suchym kurzem na jego rękach i smutkiem w lustrzanym odbiciu. Twarzą, która wciąż go prześladowała.

Tylko dźwięki *ney* dawały mu ukojenie.

Kiedy wyjął go ze skórzanego futerału i pokazał Andrej, flet nie zrobił na niej żadnego wrażenia: pusta w środku trzciniowa łodyga z kilkoma dziurkami na górze i jedną u dołu. Skromny instrument, którego pasterze używali od wieków. Ibrahim zachęcił Andreę, żeby spróbowała na nim zagrać. Pokazał, jak położyć palce, i wyjaśnił, że każda zasłaniana dziurka zmieniała dźwięk na wyższy ton. Należało dmuchać nieco na skos, wkładając końcówkę instrumentu między zęby, i nakierowywać powietrze językiem.

Andrea spróbowała kilka razy, ale nie udało jej się wydobyć z fletu żadnego dźwięku. Instrument, uparty jak osioł, kiedy nie poznaje swojego jeźdźca, odmawiał współpracy.

Ibrahim się uśmiechnął. Granie na *ney* wydawało się proste, ale do opanowania

techniki potrzebne było całe życie. On potrafił zagrać trzy oktawy, wydobywając z fletu poważne i głębokie tony, które pojawiały się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, kiedy brał go do rąk.

Andrei ścisnęło się serce na dźwięk lamentu, który wydawał się dochodzić nie z instrumentu, ale z grającego. W miarę jak nuty łączyły się ze sobą, okrywały Ibrahima purpurowym płaszczem melodii, jakby był wędrownym aniołem podążającym w nieznanne. Dźwięki fletu uspokajały go i prowadziły do oazy harmonii, gdzie znikало wszelkie zmęczenie i smutek. Nawet ostre krawędzie blizny wydawały się łagodnieć. Andrea zdała sobie sprawę, że Ibrahim *mówił* do niej.

Opowiadał jej o rzeczach, których nie dało się wyrazić słowami, a ona go rozumiała. Mówił o długiej podróży, podczas której raj i piekło mieszały się ze sobą, gdzie wspomnienia i pragnienia zlewały się w jedno. Nie patrząc na nią i nie dotykając jej, skupiony na dźwięku, a nie na swoich palcach, Ibrahim brał ją w ramiona i niósł na łąkę, z której w oddali widać było morze piasku Sahary – tańczące na wietrze i zmieniające barwę wydmy rozpościerające się od Morza Śródziemnego aż po Czerwone, tak jałowy i wysuszony skrawek kontynentu jak blizna na jego twarzy. Tak piękny.

Opowiedział jej o miłości, jaką może czuć mężczyzna.

– Przestań, proszę – odezwała się błagalnie Andrea, ściskając rękami brzuch, jakby za chwilę miała urodzić kielkujące w niej wspomnienia, które kopały i próbowały zwrócić na siebie jej uwagę.

Ibrahim jednak nie przestał grać. Nie mógł tego zrobić, ponieważ to nie była jego muzyka, nie wydobywała się z jego płuc ani nie grała jej *ney*. Tą muzyką był *samâa*: język czasu, pamięci, dźwięk zrozumienia i akceptacji. Nie mógł zatrzymać nici tkanej przez powietrze, mógł jedynie podążać za nią, być pomostem między ich zagubionymi w czasie duszami, tańczyć jak derwisze, kręcić się w nieskończoność wokół własnej osi, stworzyć spiralę, dzięki której z powrotem staliby się ludźmi, jakimi naprawdę byli, pozbyliby się krępujących ich więzi. Nuty stawały się krzykiem, krzykiem z ich ran. Andrea słyszała, jak Ibrahim woła, błaga, przeklina i modli się, słyszała, jak go torturowano, i chociaż zakryła uszy rękami, krzyki bólu zaczęły słabnąć dopiero wraz z cichnącą muzyką, która oddalała się jak krakanie migrujących ptaków i stawała delikatnym i płynnym dźwiękiem.

Kiedy Ibrahim skończył grać, ponieważ powietrze w jego płucach nie miało już nic do powiedzenia, poczuł wyczerpanie. Stracili poczucie czasu. Zmierzchało i pokój Andrei robił wrażenie coraz ciaśniejszego w miarę, jak przez okno wdzierał się do niego mrok. W oddali widać było kształty gór i pobliski las. Powoli

zapalały się gwiazdy. Długi kosmyk włosów opadł Ibrahimowi między brwi i musnął go w nos, kropelki potu spływały po pomarszczonym czole i drżała mu dolna warga. Nie miał odwagi spojrzeć na Andreę, która siedziała naprzeciwko niego na brzegu łóżka z rękami opartymi na kolanach. Na kilka sekund poczuł w głowie pustkę, którą powinien zapełnić. Wziął głęboki oddech, napawając się ulotną chwilą spokoju, czystości i ciszy. Wiedział, że kiedy otworzy oczy, będzie musiał popatrzeć na Andreę, i z góry znał pytania, które zobaczy w jej źrenicach.

Andrea wstała i podeszła niczym bosonoga zjawą do okna. Palce jej rąk drżały w rytm poruszającej się firanki.

– Kim ty jesteś? Dlaczego pojawiłeś się w moim życiu? – zapytała, patrząc w horyzont. Jej horyzontem był Ibrahim.

Algierczyk zauważył zdjęcie Arohy nad oparciem łóżka.

Była jeszcze dzieckiem, które nie miało pojęcia, jaki los czekał ją za trzy, cztery czy pięć lat. Patrzyła z beczelną niewinnością kogoś, kto nie czuje strachu, ponieważ żyje w niewiedzy. „Mogłem być twoim ojcem” – pomyślał i ta myśl zalała pozostałe jak tłusta plama.

Kiedy Andrea wyjechała z Algieru, przez kilka lat wciąż przychodził na małą działkę w pobliżu Annaby, siadał na kamieniach i robił plany, jak będzie wyglądał dom, który tam dla nich zbuduje, ile będą mieli dzieci i tym podobne rzeczy, stanowiące szkielet idealnej przyszłości. Czuł się tak pewny siebie, że nawet nie przeszło mu przez głowę, że mogłoby stać się inaczej. Już jako dziecko różnił się od innych.

Mieszkańcy Annaby byli z natury ponurzy, pesymistyczni, zmęczeni pracą i codziennym trudem. On się od nich różnił. Tam, gdzie inni widzieli cierpienie i pot, on dostrzegał wysiłek dla osiągnięcia lepszego życia. Z dużym wyprzedzeniem przewidywał, co zasieje, jak zaorze pole, gdzie kupi bydło, gdzie wybuduje kurnik, a nawet przeglądał czasopisma, w których reklamowano wielkie importowane z Ameryki traktory – gdyby miał jeden z nich, jego gospodarstwo stałoby się bardziej wydajne. W tamtym czasie wyobrażał sobie jak, pewny siebie i silny, pracuje od świtu do zmierzchu z przekonaniem, że każde wyimaginowane uderzenie motyką zbliża go coraz bardziej do spełnienia swojego marzenia. Przysiągł sobie, że nigdy nie podda się losowi, nie pogodzi się z przeznaczeniem, że stracił Andreę na zawsze.

Ale czas upływał, działka została sprzedana jakimś biznesmenom, którzy wybudowali tam tanie mieszkania, a Ibrahim zapomniał o swoich przysięgach, a może pogrzebał je pod warstwą cegieł i cementu.

– Znam człowieka, który może nam pomóc odnaleźć twoją córkę. To nie Guzmán.

Te słowa rozpały żar w spojrzeniu Andrei, chociaż ona w tej samej chwili poczuła chłód na całym ciele.

– Co to za człowiek?

Ibrahim opowiedział jej o Ormianie – jakiego rodzaju był człowiekiem – i o jego sześcioletniej córce, która zginęła w wypadku.

– Żąda za to bardzo wysokiej ceny...

– Nie mam pieniędzy, ale jeśli porozmawiasz z Arthurem, zapłaci każde pieniądze.

Ibrahim wyprowadził ją z błędu:

– On nie chce pieniędzy. Chce, żebym wystawił mu Arthura.

Chłód, który Andrea w sobie czuła, zamienił się w lód.

– Zrób to. – Jej głos zabrzmiał obco, jakby powiedziała to inna kobieta.

Ibrahim popatrzył na nią zaskoczony, chociaż jego zdziwienie było tylko częściowe. Dlaczego obarczał ją ciężarem podjęcia decyzji, którą sam już wcześniej podjął? Czego oczekiwał? Potwierdzenia, że dobrze robi? Chciał zrzucić na nią część odpowiedzialności, żeby wzmocnić ich relacje? Czasami miłość sprawia, że kochający staje się egoistą, a kochany obiektem najbardziej skrywanych podłości.

Andrea nie patrzyła na niego. Mechanizm jej umysłu się zablokował, jakby słowa Ibrahima były kijem wsadzonym w zębatki trybików.

– Naprawdę tego chcesz? – zapytał. Musiał mieć pewność, że rozumiała, o co go prosi. Nie chciał robić tego dla siebie, ale dla niej i ze względu na nią.

Andrea objęła się rękami za szyję, jakby chcąc zatkać otwory, przez które uciekał jej rozsądek.

– Chcę odzyskać moją córkę.

Rozdział 21

Brama nie była zamknięta, a na podjeździe stała wynajęta furgonetka z otwartymi tylnymi drzwiami. Dwóch robotników wynosiło z domu pudła. Irena Olsen pilnowała operacji z założonymi rękami i pokazywała im, jak wszystko poukładać. Chciała jak najszybciej skończyć. W zaparkowanym obok furgonetki samochodzie siedziały dzieci, a między nimi wystawała głowa ich yorka.

– Więc wyjeżdżasz.

Zaskoczona kobieta odwróciła się na dźwięk głosu. Na widok Guzmána opartego ramieniem o pień suchej sosny poczuła ogromne rozczarowanie.

– Znowu ty? – zapytała z niepokojem. – Mieliśmy układ. Obiecałeś, że dasz mi spokój.

Guzmán rozejrzał się dookoła i zatrzymał na chwilę wzrok na wyładowanym walizkami samochodzie, z dziećmi i psem na tylnym siedzeniu.

– Sytuacja uległa małej zmianie.

Wdowa dotknęła swojej szyi, jakby chciała sprawdzić puls. Sprawiała wrażenie zmęczonej. Schudła od ich ostatniego spotkania i była niedbale ubrana, a nawet niechlujnie uczesana. Wyglądała zwyczajnie, jakby chciała się ukryć pod tym przebraniem, żeby nie rzucić się w oczy. Gdyby ktoś teraz powiedział, że jej uroda wzbudzała zazdrość wszystkich pięknych ludzi na przyjęciach i koktajlach, można byłoby uznać to za żart.

Odeszła od furgonetki, żeby tragarze jej nie słyszeli.

– Powiedziałam ci już wszystko, co wiem. Dlaczego nie chcesz zostawić mnie w spokoju?

Guzmán zapalił papierosa zapalką. Nikt już nie używał zapalek, ale on lubił pocierać nimi o pasek siarki na pudełku i patrzeć na ich niebieskopomarańczowy płomień. Mógłby przysiąc, że papierosy miały lepszy smak, kiedy tak je zapalał. Pomachał ręką i rzucił zapalkę na ziemię.

– Okazuje się, że nie powiedziałas mi wszystkiego, i dlatego tutaj jestem. Wydaje mi się, że musimy jeszcze o czymś porozmawiać.

Irena rozejrzała się na boki jak osaczone zwierzę. Prawdopodobnie doszła do wniosku, że nie ma wyboru, więc z rezygnacją zaproponowała, żeby weszli do domu. Nie chciała niepokoić dzieci. Guzmán ruszył za nią uważnie obserwowany przez jednego z robotników, któremu wydało się, że widział już

gdzieś tę twarz, chociaż nie pamiętał gdzie.

W salonie prawie nie było mebli. Przy jednej ze ścian leżały pudła, koce i taczka. Na podłodze pozostały jaśniejsze ślady w miejscu, gdzie wcześniej stał stół, fotele i jakiś inny mebel. Opuszczane w pośpiechu domy wyglądają, jakby przeszła przez nie burza, wydarzyła się w nich jakaś katastrofa.

Wdowa Olsen włożyła ręce do kieszeni obcisłych dżinsów i stanęła przed Guzmánem z zaciśniętymi ustami.

– Czytam gazety i oglądam wiadomości. Jeśli ktoś cię rozpozna i zobaczy, że ze mną rozmawiasz, będę miała kłopoty, a mam już ich wystarczająco dużo.

Guzmán też czytał gazety i słuchał radia. Wiedział, że podejrzewano go o wzniesienie pożaru w sklepie z antykami Dámasa. Musiał pospiesznie opuścić Madryt i od tamtej pory nie pozostawał w jednym miejscu dłużej niż jedną, dwie noce. Mimo to nie wyglądał na zdenerwowanego ani zmartwionego, przewidywał, że coś takiego może się wydarzyć. Zastawili na niego pułapkę. Mógł za tym stać Arthur, kumple z policji – skontaktował się z nimi, żeby poprosić o pomoc, i może zobaczyli w nim zagrożenie z przeszłości – a nawet każdy, kto miał cokolwiek wspólnego z klubem prowadzonym przez antykwariusza. Dámaso ostrzegał go, że jeśli poruszy gniazda os, osy się wkurzą, i najwyraźniej niektóre z nich miały bardzo, bardzo duże wpływy.

Zdarzyło mu się to nie po raz pierwszy. Sam w przeszłości kierował akcjami zniesławienia ludzi, których należało usunąć: opozycjonistów reżimu, przedsiębiorców, których interesy kolidowały z ambicjami któregoś z członków wojskowej junty. Spreparowanie aktu oskarżenia było proste: fałszywe dowody, pozostawienie odpowiednich wskazówek, puszczanie nieprawdziwych informacji do prasy i stworzenie podatnego gruntu dla opinii publicznej, sprzyjającej polowaniom na domniemanego winnego. Więzienia i cmentarze były pełne niewinnych ludzi, którzy na takich nie wyglądali. Techniki tak stare i oklepane, że aż nudne.

– Nie zabiłem Dámasa. Zrobiłbym to, gdyby to było konieczne, ale nie było. Trochę go przycisnąłem i wyśpiewał mi wszystko, co chciałem. – Nie obchodziło go, czy Irena mu uwierzyła. Umiał sobie radzić w takich sytuacjach, ale nienawidził zostawiać po sobie niezakończonych spraw. – Ktoś chce zważyć na mnie winę, dlatego zmuszony jestem do szybszego działania. Najpierw jednak załatwmy sprawę, dla której tu wróciłem.

– Nie mam już z tym nic wspólnego. Chcę tylko wyjechać z dziećmi i zapomnieć o całym tym gównie.

Guzmán uśmiechnął się i spojrzał na nią ze szczerym zaciekawieniem.

„Naprawdę istnieją ludzie, którzy uważają, że mogą popełniać różne uczynki, kiedy tylko im się podoba, nie ponosić za nie konsekwencji i wyjść z tego z czystym sumieniem” – pomyślał.

– Kilka dni przed śmiercią twojego męża Arthur Fernández dostał nagranie, na którym Olsen, Ian i Dámaso torturowali jego córkę. Do płyty dołączono wyjaśnienie, jakby nadawca chciał zdjąć z siebie ciężar odpowiedzialności za to, co tam było widać. – Obserwował reakcję kobiety, nieświadomy skurcz żołądka i przyspieszone bicie serca w piersi ukrytej pod koszulką z dekoltem w kształcie litery V. – Powiedziałaś, że nic nie wiesz o żadnym nagraniu, i nie miałaś pojęcia o tym, co robił twój mąż. Kłamałaś. To ty znalazłaś płytę i wysłałaś ją anonimowo Arthurowi.

Wdowa Olsen spojrzała na popękany sufit, którego nie będzie już remontować. Westchnęła ciężko, próbując bezskutecznie zachować spokój. Kiedy opuściła wzrok na Guzmána, wyglądała jak obca osoba: mała, winna, przytłoczona czymś, czego nigdy do końca nie była w stanie zrozumieć: ludzką podłością.

– Nie wiedziałam o tym – wyszeptała z trudem, jakby jakaś zielona mucha biła skrzydełkami o jej podniebienie, żeby się uwolnić z jej ust. Objęła rękami ramiona.

Znalazła nagranie przypadkiem, kiedy w pośpiechu przeszukiwała dom, próbując odgadnąć, gdzie Olsen ukrył pieniądze, biżuterię i papiery wartościowe, które jej się należały – zasłużyła na nie przez lata znoszenia ciężaru tego człowieka, który zwisając z belki pod sufitem, zdawał się nic nie ważyć.

Płyta była ukryta za marmurowym kuchennym blatem. Zauważyła ją przypadkiem, kiedy dotknęła cokołu, a on się poruszył. Wtedy nie miała pojęcia, co było na niej nagrane, ale wystarczył jej fakt, że było to na tyle cenne dla Magnusa, żeby to tam schować, więc wrzuciła płytkę do torebki.

Obejrzała nagranie dopiero dwa dni później. Zwymiotowała kilka razy, nie mogąc uwierzyć, że jej mąż uczestniczył w czymś takim. Miał przecież dzieci, zaledwie kilka lat młodsze od tej dziewczynki. Irena wiedziała, że był zboczony i zdradzał ją z kurewkami dużo od niej młodszymi. Wiedziała o tym, bo na własnym ciele doświadczyła wielu jego perwersji... Ale to nagranie było koszmarne, nawet jak na takiego potwora, jakim był. W pierwszym odruchu chciała pozbyć się płyty – wrzuciła ją do kosza na śmieci, gdzie przeleżała kilka dni. Jednak nie odważyła się opróżnić go do kontenera przed domem. Oczywiście nie chciała też pójść na policję. Doskonale wiedziała, co to oznacza, i w jaki sposób mogłoby ją narazić na niebezpieczeństwo. Nagle śmierć Olsena nabrała innego wymiaru. Ten film był tak kompromitujący dla wielu osób, że Irena łatwo się

domyśliła, że jej mąż nie popełnił samobójstwa. Jeśli zabójcy Magnusa odkryliby, że ma nagranie, jej rodzina mogłaby się znaleźć w niebezpieczeństwie.

Przekonała siebie samą, że powinna myśleć o przyszłości swoich dzieci, miała obowiązek chronić zarówno je, jak i siebie. Ostatecznie jedyną jej winą było sypianie z tym draniem. Nie była odpowiedzialna za te potworności, a poza tym nie mogła zrobić nic, żeby im zapobiec. Wiedziała jednak, że się oszukuje. Każdej nocy sceny z filmu pojawiały się w jej głowie, powtarzały się ze szczegółami, aż nie mogła już wymiotować niczym poza zólcia. Szła do kuchni, wyjmowała z kosza płytę, patrzyła na nią i znów ją wyrzucała... W końcu postanowiła zrobić jedyną rzecz, na jaką pozwalała jej godność, jedyny akt odwagi: wysłała płytę Arthurowi.

Guzmán usiadł na stosie zapakowanych książek, gotowych do załadowania. Śledził wzrokiem chodzącą po salonie wdowę Olsen, która zatrzymywała się, próbując powstrzymać szloch, po czym wracała do swojego monologu najeżonego usprawiedliwieniami, skargami i gestami oburzenia. Lista powodów, żeby nie zrobić tego, co sumienie nam dyktuje, jest tak długa, jak wielki jest ludzki cynizm. Jeśli chciała, żeby Guzmán ją zrozumiał albo ją rozgrzeszył, pomyliła osobę. Nie osądzał jej, ale też nie mógł jej dać wybaczenia, o które błagała go wzrokiem. Nie był księdzem, nie rozmawiał z Bogiem.

Interesowało go coś zupełnie innego. Na nagraniu pojawiały się cztery osoby: Aroha, córka Arthura, uznana wtedy za zaginioną; Dámaso, teraz martwy i o którego zabójstwo go posądzano; Magnus Olsen, któremu najprawdopodobniej ktoś pomógł się powiesić, pozorując samobójstwo – podejrzanych o to było tylu, ile potencjalnych ofiar jego szantażu – i na koniec pozostał Ian. Wszyscy trzej mężczyźni nie żyli, według oficjalnych wersji zginęli przypadkiem lub z własnej woli. Guzmán przeczuwał, że sprawca tych śmierci stanowił klucz prowadzący do Arohy. Dlatego od razu odrzucił Arthura. Przecież nie mógł wrabiać go w pożar sklepu z antykami, skoro Guzmán był jego ostatnią deską ratunku, żeby odnaleźć córkę.

Kilka lat przed śmiercią Bosch cierpiał na ostrą jaskrę, z powodu której widział tylko cienie i jaśniejsze światło. Nosił okulary w rogowych oprawkach ze szklami jak denka od butelek, ale kiedy chciał się czemuś uważnie przyjrzeć, unosił je na wysokość krzaczastych brwi, a jego małe ospałe oczka skupiały się na obiekcie jak zoom aparatu fotograficznego. Twierdził, że widzi lepiej bez zbędnych wynalazków.

Teraz Guzmán odniósł podobne wrażenie: nagle ujrzał jasno prawdę, bez oszustw i kłamstw.

– Zadam ci jeszcze tylko jedno pytanie: czy skopiowałaś to nagranie? Wysłałaś

je do kogoś innego?

Kobieta przestała krążyć po pokoju, przygryzła wargę i wbiła wzrok w okno. Tragarze kończyli pakowanie, a dzieci niecierpliwiły się w aucie. Spojrzała na Guzmána i powoli, z wielkim wysiłkiem skinęła głową.

Pół godziny później Guzmán odprowadził Irenę Olsen do samochodu. Wszystko było spakowane, a mężczyźni czekali w furgonetce z włączonym silnikiem. Kierowca spojrzał na Guzmána podejrzliwie, a potem powiedział coś swojemu koledze. Guzmán zauważył to, ale ich zignorował. Jego twarz stała się zbyt rozpoznawalna. Wdowa Olsen usiadła za kierownicą i kazała dzieciom się uspokoić. Zdenerwowany pies szczekał, wychylając łeb przez okno. Spojrzeli na siebie, nie mając już nic więcej sobie do powiedzenia. Irena skinęła głową, włączyła silnik i ruszyła powoli, a za nią furgonetka firmy przeprowadzkowej.

Guzmán został sam na podjeździe przed domem. Wiatr poruszał tablicę agencji, na której było napisane, że nieruchomość jest na sprzedaż. Dziecięce zabawki, trójkołowy rowerek, przebita piłka i kosz do rzucania z podartą siatką tworzyły nastrój porzucenia. Guzmán założył okulary przeciwsłoneczne i patrzył, jak Irena się oddalała, zabierając ze sobą dzieci i tych niewiele rzeczy, które jej zostały. Życzył jej szczęścia, naprawdę jej go życzył. Tam, gdzie się udawała, będzie go potrzebowała.

Niespiesznie ruszył do swojego samochodu i przez kilka minut siedział w nim, układając w głowie myśli. „Wszystko ma sens” – pomyślał. Logiczny sens, który – chociaż nie było w tym sympatii dla rodzaju ludzkiego – potwierdzało jego gorzkie doświadczenie.

– Dobroć jest oszustwem – stwierdził, spluwając przez okno.

Otworzył schowek i wyjął z niego telefon komórkowy. Wybrał numer Arthura i czekał, aż odbierze. Włączyła się automatyczna sekretarka. Guzmán uśmiechnął się cynicznie. Arthur też związał żagle. Guzmán zostawał sam, osaczony, ale miał to gdzieś. Psy stają się bardziej drapieżne, kiedy zapędza się je w kozi róg. A on należał do najgorszych: był ulicznym kundlem.

– To ja – nagrał się na sekretarkę. – Już wiem, kto ma twoją córkę. Oddzwoń do mnie. Najwyższy czas zawrzeć umowę.

Dwa dni później Guzmán palił papierosa argentyńskiej marki (zostało mu ich niewiele, ale miał zamiar wyjechać, zanim się skończą; samolot do Santiago z międzylądowaniem w Buenos Aires odlatywał za niecałą dobę). Na biurku Arthura leżała najnowsza gazeta otwarta na stronie z wydarzeniami.

Na drodze z Alicante do Walencji doszło do wypadku: samochód z nieznanymi

przyczyn wyleciał z drogi i się zapalił. Znalaziono zwęglone zwłoki kobiety, która go prowadziła, ale nadal nie udało się ustalić jej tożsamości. Policja znalazła kilka metrów dalej, za ochronną barierką, dwóch małych chłopców i psa. Dzieci były w szoku, chociaż najwyraźniej nie odniosły żadnych obrażeń. Policja wszczęła śledztwo w sprawie bardzo dziwnych okoliczności wypadku. Guzmán wiedział, że prędzej czy później ślady doprowadzą śledczych do niego. Wyobraził sobie, że znajdą odciski palców albo jakąś inną poszlakę, która będzie na rękę temu – kimkolwiek jest – kto chce zrobić go w zabójstwa Dámasa i wdowy Olsen. Pętla wokół jego szyi zaciskała się nieubłaganie.

– Masz jaja, żeby przychodzić do mojego biura – zbeształ go Arthur, pokazując wiadomość w gazecie. Tego ranka nie ogolił się i źle wyglądał, jakby spędził noc w biurze. Pod oczami widać było opuchnięte worki, na niezapiętym kołnierzyku koszuli wisiał luźno zawiązany krawat.

Guzmán się uśmiechnął. Jeśli czegoś mu brakowało, to właśnie jaj.

– Nie zostanę długo. Tyle tylko, żeby skończyć to, co mam zrobić, i odebrać moje honorarium. Ktoś bardzo się stara, żeby zrobić mnie w morderstwa: najpierw Dámasa, a teraz wdowy Olsen. Ktoś, kto jednak ma wystarczające skrupuły, żeby uratować psa i dzieci.

– Czemu tak na mnie patrzysz? – warknął Arthur. – Nie miałem żadnego powodu, żeby skrzywdzić tę kobietę.

Guzmán pokiwał głową.

– To prawda... W rzeczywistości powinieneś być jej wdzięczny.

– Nie widzę powodu.

Guzmán przysunął do siebie popielniczkę z zielonego szkła i zgasił w niej papierosa, wypuszczając ostatni dym nosem.

– Żona Magnusa Olsena była tą anonimową osobą, która przysłała ci nagranie z Arohą. – Pozwolił, żeby zaskoczenie głęboko uderzyło w Arthura, i uważnie obserwował jego reakcję. Wydał mu się szczerze zdziwiony. – Nie miała pojęcia, co robi jej mąż, ale się dowiedziała; znalazła płytę po jego samobójstwie. Kiedy zobaczyła nagranie, zrozumiała, że ludzie zamieszani w tego rodzaju rzeczy są bardzo wpływowi, wielu z nich zajmowało ważne stanowiska, i zrobią wszystko, żeby zachować twarz. Dlatego nie odważyła się pójść na policję. – Wskazał leżącą na biurku gazetę. – Bała się o życie swoje i swoich dzieci. Najwyraźniej miała rację, przynajmniej częściowo. Mimo to nie zamiotła całkiem tej sprawy pod dywan, jakby postąpił każdy na jej miejscu. To była przyzwoita dziewczyna, rozumiesz? Nie była taka jak ty i ja. Za każdym razem kiedy oglądała nagranie, przypominała sobie, że jest matką i jej dzieci też są narażone na niebezpieczeństwo. Z tego

powodu wysłała ci płytę. Miała nadzieję, że będziesz w stanie powstrzymać to szaleństwo. A ty tego nie zrobiłeś, wręcz przeciwnie, sam dałeś się zassać temu wciągającemu wirowi.

Arthur wziął gazetę i popatrzył na zdjęcie obok wiadomości: przewrócony samochód, taśma policyjna i koc termiczny okrywający zwłoki kobiety.

– To jakieś szaleństwo – wyszeptał.

– Masz rację, ale nie tylko ty dałeś się w nie wciągnąć. Żona Olsena wysłała kopię nagrania, też anonimowo, jeszcze komuś.

Arthur uniósł wzrok i spojrzał z lękiem na Guzmána.

– Przypuszczam, że ktoś inny wykończył najpierw Dámasa, a potem panią Olsen. Im bliżej twojej córki jestem, tym on bardziej depta mi po piętach. Chce się mnie pozbyć i zatrzaskać wszystkie drzwi, które mogą doprowadzić mnie do Arohy. I najwyraźniej posiada odpowiednie środki... Ten człowiek jako jedyny może nam powiedzieć, gdzie ona jest.

– Kto to jest? Komu jeszcze Irena Olsen wysłała nagranie?

Guzmán rozłożył ręce, jakby to było dla niego oczywiste.

– To *ona*. Gloria A. Tagger. Magnus Olsen był przyjacielem rodziny, odkąd pomógł im odzyskać *El Española*, cenne skrzypce Taggerów. Bywał u nich w domu, wyjeżdżali razem w weekendy, wiedział o chorobie i trudnym charakterze ich syna. Kiedy żona Olsena zobaczyła po raz pierwszy nagranie, natychmiast rozpoznała na nim Iana, i postarała się, żeby płyta trafiła do rąk jego matki.

Guzmán upewnił się, że Arthur go słucha.

– Zanim zabiłeś jej syna, pozorując wypadek, Gloria już wiedziała, w co był wmieszany. Nie wiem, czy coś z tym zrobiła czy miała zamiar zrobić ani czy wiedziała, że Aroha jest twoją córką. Jeśli tak, to w którym momencie się o tym dowiedziała? Nie sądzisz, że powinieneś ją o to zapytać? Mam wrażenie, że ta historia przypomina zaplecione w warkocze włókna esparto: im bardziej nasiąkają wodą, tym bardziej twardnieją i się skręcają.

W głównej hali dworca Atocha panował ciągły ruch. Przez szklany sufit wpadało światło i oblewało kaskadami pomarańczowych promieni czubki drzew w urządzonym na środku tropikalnym ogrodzie. Killkoro dzieci mieszało kijkami zielonkawą wodę sadzawki dla żółwi, żeby zmusić je do wypłynięcia na powierzchnię. Gadów było tak dużo, że dzieciaki nie potrafiły ich zliczyć. Metaliczne głosy z megafonów informujące o przyjeździe lub odjeździe pociągów mieszały się płynnie z odgłosem kroków na kamiennych płytach, rozmowami i dzwonekami telefonów. Uliczni artyści spacerujący między kioskami z prasą

i stolikami kawiarnianych ogródków grali niezbyt wdzięcznie na akordeonie i gitarze.

Gloria musiałaby być ślepa, żeby nie zauważyć Arthura, który czekał na nią u podnóża ruchomych schodów prowadzących na drugie piętro. Zatrzymała się, rozpoznała go w tłumie, a potem cofnęła się, żeby się ukryć między pasażerami wysiadającymi z pociągu. Wyglądała jak słabe zwierzę, które panicznie szuka kryjówki. Lecz ludzki strumień popchnął ją do przodu. Kiedy zrozumiała, że nie ma drogi ucieczki, ruszyła w jego kierunku pewnym krokiem i z podniesioną głową, prowokując go, by zastąpił jej drogę.

Arthur obserwował ją wzrokiem kipiącym od gniewu. Wokół nich przechodzili ludzie, zasłaniając im widok na siebie nawzajem. Nieruchoma postać Arthura zniknęła wśród pasażerów wychodzących z peronu, żeby znów po chwili wyłonić się z tłumy.

To Guzmán ją zatrzymał. Złapał ją mocno pod łokieć i przyciągnął do siebie. Stali pośrodku przejścia, przeszkadzając przechodniom.

– Musimy porozmawiać, pani Tagger.

Gloria poznała go, chociaż przez kilka minut nie mogła sobie przypomnieć, skąd go zna. To dziennikarz, który robił z nią wywiad po pożegnalnej gali. Rzuciła przenikliwe spojrzenie – najpierw na Arthura, potem na Guzmána, zastanawiając się, co ich łączy.

– Puść mnie – rozkazała.

Guzmán posłuchał, uśmiechając się ledwo dostrzegalnie. Lubił charakterne kobiety.

– Niech pani nie robi przedstawienia. Nie ma takiej potrzeby. – Odprowadził ją do Arthura.

Arthur odezwał się pierwszy.

– Wiem o wszystkim. Odkrył to Guzmán.

Gloria zatrzęsała się z wściekłości.

– Co wiesz? Że Eduardo namalował portret na moje zlecenie? Nic mnie już to nie obchodzi.

Arthur pokręcił głową. Eduardo i jego przeklęty obraz interesował go tyle, co ptasia kupa na chodniku. Nie obchodziło go też, w jakim szalonym celu Gloria kazała mu go namalować. Mogła go spalić, pociąć albo powiesić sobie w domu i do końca życia pluć na niego codziennie, jeśli tego właśnie chciała.

– Gdzie jest moja córka, Glorio?

Gloria A. Tagger spojrzała na niego jak na wariata. Popatrzyła na Guzmána, jakby chcąc się upewnić, czy Arthur naprawdę oszalał, ale ten obserwował ją

beznamiętnie, zachęcając wzrokiem, żeby odpowiedziała na pytanie.

– Dlaczego mnie o to pytasz? Skąd mam to wiedzieć? Może jest w piekle i czeka, żeby otworzyć ci do niego bramę.

Oczy Arthura rozbłysły ze złości. Miał ochotę ją uderzyć i bić do nieprzytomności. Odezwał się Guzmán:

– Wiem, że żona Magnusa Olsena przesłała pani nagranie kilka miesięcy przed śmiercią Iana. Niedługo po tym, jak Olsen się powiesił w salonie swojego domu.

– Co to za głupoty? Znałam Olsenów, ale nigdy nie przyjaźniłam się z żoną i nigdy nie przysłała mi żadnego nagrania.

– Sama mi o tym powiedziała – upierał się Guzmán, nie tracąc cierpliwości.

– W takim razie kłamie.

– Powiedziała prawdę.

– Skąd ta pewność?

– Ponieważ nie żyje. Zamordowano ją za to, że mi o tym powiedziała.

Gloria zamilkła, jakby śmierć była niezbitym dowodem prawdy. Nigdy nie otrzymała tego nagrania.

Widząc wyraz jej twarzy, Guzmán zaczął się wahać. Był przekonany, że żona Olsena powiedziała mu prawdę, ale przypuszczał też, że Gloria nie kłamała.

– Na tym nagraniu widać Iana z córką Arthura – dodał, ignorując obecność rozsierzonego przyjaciela.

Gloria otworzyła ze zdziwienia usta.

– To śmieszne. Mój syn i twoja córka? – stwierdziła, patrząc na Arthura, jakby chcieli jej wmówić, że Ziemia nie jest okrągła. – Co to za absurdalny żart?

Arthur wbił w nią świdrujący wzrok – albo świetnie kłamie, albo Guzmán się myli.

– Wiesz doskonale, że się znali. Przebywali razem w klinice w Genewie. To nie jest żaden żart. Ja też dostałem kopię tego nagrania. Przez ostatnie kilka lat widziałem je dziesiątki razy. Mogę opisać ci wszystko, co twój syn zrobił Arosze: każdy szczegół, dźwięk i scenę.

Gloria zamachała rękami jak wachlarzem i odwróciła twarz. Nie mogła zrozumieć, o co im chodzi; nie chciała zrozumieć. To niemożliwe. Arthur chwycił ją za ramię – mięśnie miała jak z waty – i zbliżył twarz do jej twarzy. Kipiąca w nim złość mieszała się z bólem i niezrozumieniem.

– Przez trzydzieści pięć minut i piętnaście sekund twój syn torturował moją córkę, włożył jej do pochwy pręt i instruował Olsena i Dámasa, jaki powinni zadawać jej ból, żeby nadać scenie większy *dramatyzm*.

Gloria patrzyła w jego szeroko otwarte błyszczące oczy, które ją oskarżały,

niczego nie rozumiejąc. Jej umysł nie był w stanie przyswoić takiej potworności.

– Kłamiesz!!! Najpierw zabijasz mojego syna, a teraz chcesz omamić mnie tymi kłamstwami – krzyknęła, wyrывая się gwałtownie z uścisku Arthura.

Krzyk Glorii zaniepokoił ludzi mijających ich w drodze do ruchomych schodów. Kilka osób spojrzało na nią z przestrawieniem. Szaleństwo wzbudza tak duży strach, że wciąż uważa się je za zaraźliwe, jak trąd. A w tym momencie Gloria wyglądała, jakby potrzebowała kaftana bezpieczeństwa. Wykrzywiła twarz, kąciki ust jej opadły i oddychała z trudem jak astmatyk, machając rękami i próbując odsunąć od siebie jakieś odrażające stworzenie, które tylko ona widziała.

Gniew Arthura rozpuszczał się jak kostka cukru, pozostawiając po sobie ślad wątpliwości i niezrozumienia. Reakcja Glorii zrobiła na nim duże wrażenie, podobnie jak wyraz zaskoczenia na twarzy Guzmána, który patrzył na skrzypaczkę ze zmarszczonym czołem, jak naukowiec badający laboratoryjną myszkę i ze zdziwieniem stwierdzający, że wynik eksperymentu różni się od oczekiwanego. Ale Arthur oglądał taśmę, a potem osobiście rozmawiał z Ianem. Przypomniawszy sobie jego chłodną i cyniczną reakcję, pewność siebie, przeświadczenie, że jest bezpieczny i nic mu się nie może stać. Nie, niemożliwe, że nie wiedziała, jakiego potwora urodziła.

– Rozmawiałem z nim. Przed wypadkiem – powiedział cicho, niemal szeptem. To niemożliwe, myślał, kręcąc głową. – Chciałem tylko, żeby mi powiedział, gdzie jest Aroha, co z nią zrobił. Tylko o tym myślałem. Ale on spojrzawszy na mnie jak na szaleńca, gorzej, jak na błazna. Tak, bawiło go moje cierpienie, moja niemoc i wściekłość.

Gloria nie chciała go słuchać, ale Arthur mówił dalej:

– To nie był wypadek, rozumiesz? Zobaczyłem go, kiedy stał w tłumie przy przejściu dla pieszych. Uśmiechał się i wyglądał na dobrego chłopaka, kogoś, kto ma przed sobą całe życie. Całe życie, żeby nadal krzywdzić innych ze swoją twarzą anioła. Nacisnąłem pedał gazu i ruszyłem bez namysłu na tego drania. I zabiłem go. Ale on jest jak owad, którego deptasz raz i dwa, a on dalej poruszając odwłokiem, śmieje się z twoich wysiłków.

Pociąg do Saragossy odjeżdżał z peronu drugiego. Pociąg z Barcelony wjeżdżał na piąty. Nawilżacze w tropikalnym ogrodzie rozpryskiwały wodną mgiełkę, a żółwie w sadzawce próbowały uciec przed prześladowającymi je dziećmi. Rumuńscy grajkowie odeszli ze swoją muzyką gdzie indziej. A na środku schodów trzy osoby – kobieta i dwóch mężczyzn – stały uwięzione w bańce milczenia, nieświadome niczego poza swoim cierpieniem.

– Zabiję cię za to! Przysięgam na Boga, że nie spocznę, dopóki nie zobaczę twojego trupa – wycodziła przez zęby Gloria, patrząc na wykrzywioną twarz Arthura.

Guzmán przyglądał się im z boku, nie pozwalając ponieść się emocjom, jakie pchały Arthura i Glorię do ciągłej walki, której nie mogło wygrać żadne z nich. Nie na tym polegała jego rola. Musiał się dowiedzieć, kto zabił Olsena, Dámasa, a przede wszystkim wdowę Olsen. To było dziwne, ale chociaż ta kobieta tak bardzo różniła się od niego, należała do innego świata, to jednak chwilami przypominała mu Candelę. Może dlatego, że zobaczył w niej tę samą wręcz absurdalną wolę życia, jaką miała nauczycielka muzyki. A może dostrzegł w jej brązowych oczach takie same jak w oczach Candelii zielone plamki, przypominające rozszerzający się wszechświat. A może po prostu uważał, że przynajmniej ktoś zasługiwał na lepszy los niż ten, który spotkał je obie.

Jego licznik odmierzał minuty. Guzmán wiedział, że najrozsądniej byłoby odebrać zapłatę i odejść. Wystawiał się na duże ryzyko, jego zdjęcie było we wszystkich gazetach i rosła liczba świadków, którzy mogliby powiązać go z domniemanymi zabójstwami. Stał się idealnym kozłem ofiarnym i wielu ludzi, którym się nie spodobało, że zapukał do ich drzwi, z przyjemnością złożyłoby go na ołtarzu. Tymczasem on wciąż stał na największym i najbardziej zatłoczonym dworcu w Hiszpanii, wystawiając się na spojrzenia każdego, kto był chociaż trochę ciekawski i spostrzegawczy. Patrol policyjny mógł się zjawić w każdej chwili, a biorąc pod uwagę kryminalną przeszłość Guzmána, nikt nie uwierzyłby w jego niewinność. Ale on wciąż tam stał, gotów dotrzeć do człowieka, który układa tę misterną grę, i schwytać go w jego własną pajęczynę.

Możliwe, że się starzał. Prawdopodobnie jego cynizm nie tworzył już dość grubej warstwy, żeby trzymać go w bezpiecznej odległości od radości i nieszczęść innych ludzi. „Kiedyś w końcu nadchodzi moment, kiedy ma się poczucie winy, wyrzuty sumienia, nawet dla nas – powtarzał mu Bosch. – Wtedy trzeba dać sobie spokój i przez resztę życia zmagać się z koszmarami”. Może dla Guzmána nadeszła właśnie ta chwila.

– Pozostało jeszcze jedno do wyjaśnienia. Jeśli żona Olsena wysłała pani nagranie, a ono nigdy do pani nie dotarło, w takim razie kto je dostał?

Rozdział 22

Gospodyni Dolores krzątała się po kuchni. Przygotowywała na drugie śniadanie jajka sadzone na bekonie. Mruczała do siebie coś, czego Eduardo nie mógł zrozumieć. Była w złym humorze, jakby to śniadanie wypadło nieoczekiwanie, zmuszając ją do zmiany codziennej rutyny.

– Pani nie ma w domu – powiedziała, posypując żółtka jaj solą.

Eduardo obserwował ją, siedząc na krześle, z tubą na rysunki między kolanami. Skoro Glorii nie ma, dlaczego gospościa zadzwoniła do niego i poprosiła, żeby przyjechał?

– Ktoś chce się z panem spotkać – stwierdziła, uprzedzając jego pytanie i wycierając ręce kuchenną ściereczką. Postawiła drugie śniadanie na tacy i upewniła się, czy wszystko jest tak jak trzeba. – Czeka na pana w ogrodzie. Zaprowadzę pana.

Promienie słoneczne padały ukośnie na altankę z kutego żelaza za domem. Ogród był zaniedbany, nikt nie narzucał dyscypliny kwiatowym rabatkom, rosły wśród nich dzikie maki i chwasty. Przy okrągłym metalowym stole, z którego oblażyła farba, siedział barczysty mężczyzna w koszuli z podwiniętymi rękawami i z grymasem niezadowolenia na twarzy przyglądał się opadłym liściom i owadom niszczącym różany krzak pnący się po pergoli. Na dźwięk kroków Eduarda i gospościa odwrócił w ich stronę głowę i wyraz niesmaku zmienił się w uprzejme zaciekawienie. Z młodzieńczą energią – niepasującą do jego wyglądu dojrzałego i stonowanego mężczyzny – zeskoczył z dwóch schodków altanki i odebrał od gospościa tacę.

– Przynajmniej niektóre rzeczy się nie zmieniły. Twoje śniadania są wspaniałe – powiedział ze szczerym uśmiechem.

Gospościa zaczerwieniła się nieśmiało. To były tylko dwa jajka sadzone z plasterkami bekonu i przekrojonym na pół pomidorem, na którego wierzchu błyszczała cienka strużka oliwy. Co za świństwa musiało się jadać w tej Australii?!

– To jest Eduardo, proszę pana. Portrecista, którego chciał pan poznać.

– Dolores, czy pani nigdy nie przestanie się tak do mnie zwracać? Czy tak trudno mówić do mnie po prostu Ian? Wtedy nie czułbym się jak członek angielskiej rodziny królewskiej za każdym razem, kiedy o coś panią proszę. – Następnie odezwał się do Eduarda i wyciągnął do niego rękę na powitanie,

jednocześnie w drugiej balansując tacą z drugim śniadaniem. – W końcu się poznajemy. Jestem Ian Mackenzie.

Eduardo domyślił się tego. Dzieci zawsze noszą w sobie nieusuwalny ślad rodziców, po którym można ich wszędzie rozpoznać. Gdyby Ian junior dożył wieku swojego ojca – czterdziestu, czterdziestu pięciu lat? – prawdopodobnie miałby też tę dość arystokratyczną powierzchowność z odrobiną beztroskiej radości, co dawało dość dziwną mieszankę angielskiego dżentelmena i zmęczonego kalifornijskiego aktora.

Usiedli w pociętym w kratkę cieniu altany. Ian splótł ręce nad tacą i oparł łokcie o stół. Przez chwilę Eduardo myślał, że zacznie odmawiać modlitwę, ale nie zrobił tego.

– A więc to ty jesteś tym malarzem, którego zatrudniła Gloria... Szalona historia, mogę się założyć, że nigdy nie dostałeś podobnego zlecenia. Nie wiem, co ona sobie myślała, kiedy do ciebie zadzwoniła, ani co chciała przez to osiągnąć. Szczerze przyznam, że nigdy nie wiem, co ona dokładnie myśli. Gloria jest wyjątkową kobietą. Przypuszczam, że już to zauważyłeś.

Eduarda zirytował brak skrępowania, z jakim Ian mówił o Glorii. Znali się od pięciu minut, a on opowiadał o niej bez ogródek. A może denerwowała go bezczelność, z jaką reżyser przywłaszczał sobie przestrzeń, spoufalanie się z gosposią i jego fałszywe pochwały – nawet nie tknął śniadania i nie obchodziło go, że na żółtkach sadzonych jajek siadały muchy. Eduarda wkurzała jego opalona twarz, sztuczny uśmiech, pewność siebie. Ze złością wyobraził go sobie w łóżku z Glorią: jego owłosione palce dotykające tej samej skóry, której on dotykał ten jedyny raz, kiedy poczuł się jak żebrak. Tak, był zazdrosny. I wiedział, że to nie miało sensu.

– Sądziłem, że jesteście rozwiedzeni – odezwał się z pozorną naturalnością, odganiając tłustą muchę krążącą nad tacą.

– Och tak, rozwiedliśmy się. Co jednak nie znaczy, że nie osiągnęliśmy pewnego stopnia porozumienia. Mieszkam w Australii. Przeniosłem się tam na stałe krótko po śmierci Iana, ale lubię tu od czasu do czasu przyjechać, żeby odpocząć. W końcu to ja kupiłem ten dom. Jestem jego częścią, a on moją. – Powiedział to niepewnym tonem, rozglądając się po pustym ogrodzie, zarośniętym trawą i chorymi kwiatami. Jeśli to kiedyś było jego marzenie, w końcu zmieniło się w jego żalosaną karykaturę.

Znów popatrzył na Eduarda.

– Mogliśmy być tutaj bardzo szczęśliwi, we troje. Czasami wydaje mi się, że nam się to udało. Nigdy jednak życie nie pokrywa się z oczekiwaniami, to nie jest

film: nie da się wybrać odpowiedniego ujęcia, pokierować aktorami ani kontrolować światła czy dźwięku. Nie można uciąć i przykleić taśmy, żeby wyszło tak, jak miało się to w głowie.

Ian usiadł bokiem na krześle i założył nogę na nogę. Wyjął torebkę tytoniu i nie otworzywszy jej, położył na stole. Przez chwilę gniótł ją w palcach.

– Spałeś z nią? – zapytał prosto z mostu. Mógł zapytać, czy Eduarda boli ząb z takim samym wyrazem twarzy. – Domyślam się, że tak. Kiedy Gloria na coś się uprze, trudno się jej oprzeć.

Eduardo poczuł, jak pieką go uszy. Kaszlnął nieśmiało, skrępowany i podenerwowany sarkastycznym spojrzeniem Iana.

– Dlaczego jej o to nie zapytasz?

– Bo by mi nie powiedziała. Prawdę mówiąc, odpowiedź mnie nie interesuje.

– W takim razie po co pytasz?

– Bo odkąd się poznaliśmy, masz mi ochotę o tym powiedzieć. Przypuszczam, że nie mówiła o mnie zbyt dobrze, a fakt, że się z nią przespałeś, powoduje, że traktujesz mnie jak intruza. Gloria w tym też jest dobra: w sprawianiu, że ludzie wierzą w to, w co ona chce, żeby uwierzyli. Jest uroczą manipulatką. W każdym razie była nią, dopóki nie umarł Ian.

Mówił o byłej żonie jak o kimś odległym, o kim jednak trudno mu było zapomnieć. Jak o przeznaczeniu, z którego Eduardo został wyłączony. Ian dawał mu to wyraźnie do zrozumienia.

– Chciałbym zobaczyć portret tego faceta, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jestem go ciekaw.

Eduardo nie odmówił. Odkręcił tubę i odsunął tacę z wystygłym śniadaniem, żeby rozłożyć na blacie portret Arthura.

Zabrał go tego samego ranka z mieszkania Olgi. Zastanawiał się, co się z nią stało. Próbował wymusić na panu Who obietnicę, że nie zrobi jej krzywdy, ale chłopak skinął tylko niejednoznacznie głową, co można było interpretować w różny sposób. Oddał ją w jego ręce, nie przejmując się jej losem, ale nie mógł pozbyć się słodko-gorzkiego poczucia winy.

Ian przez kilka minut oglądał portret, pochylony jak marszałek polny nad wojenną mapą. Uważnie przebiegał wzrokiem z góry do dołu i z prawa na lewo. Oczy mu się świeciły. Eduardo nie wiedział jednak, czy z podziwu, jaki wzbudził w nim jego talent, czy raczej targały nim różne uczucia na widok człowieka, który zabił mu syna i zrujnował małżeństwo.

Kiedy skończył, cmoknął z lekkim rozczarowaniem.

– Zwyczajny człowiek, który wpada do twojego życia jak kula ognia i całkowicie

je niszczy.

– Zapewniam cię, że Arthur nie jest zwykłym człowiekiem, pod żadnym względem.

Ian rozłożył ręce.

– Może karmiłem się fantazjami. Nawet będąc daleko, każdego dnia wyobrażałem sobie tego człowieka i próbowałem dowiedzieć się, co myślał. Czy czuł się tak, jak ja mogę się czuć. – Przerwał i podszedł do pergoli. Popatrzył na mszyce wspinające się po różanej łodydze. – Albo jak ty możesz się czuć. Chyba trudno byłoby przez wiele godzin malować człowieka, który zabił twoją rodzinę.

Eduardo zaczął ostrożnie zwijać portret. Nagle się zatrzymał.

– Co za bzdury wygadujesz?

– Nie wiedziałeś?

– Czego?

Ian przeciągnął palcem wskazującym po liściu różanego krzewu, brudząc opuszek lepłą substancją. Startł ją kciukiem – teraz dwa palce miał poplamione. Pomyślał, że trzeba porządnie przyciąć ten krzew, ale i tak wątpił, że da się go uratować – owady narobiły zbyt dużo szkód. Sensowniej było wyrwać go z korzeniami i posadzić nowy. Szkoda, że z ludźmi sprawa nie jest taka prosta. Podszedł do przeciekającego kranu i umył rękę. Potem powąchał palce.

– Arthur Fernández zabił twoją żonę i córkę. Nie po raz pierwszy zamieszany był w wypadek ze skutkiem śmiertelnym. Właśnie dlatego Gloria cię zatrudniła. Jak by to ująć? Arthur jest mostem łączącym nasze brzegi.

Eduardo poczuł, że głowa mu zaraz wybuchnie.

– Wymyśliłeś to sobie.

– Absolutnie nie. Ten obraz stanowi naczynie łączące nasze nieszczęście z twoim. Gloria wiedziała o tym od początku. Zanim cię zatrudniła, zebrała o tobie dokładne informacje.

Policja prawdopodobnie mogła wszcząć postępowanie przeciwko Arthurowi Fernándezowi. Po wypadku funkcjonariusz, który go odwiedził w szpitalu, zadał sobie wiele trudu, mimo jego ospałej rezygnacji. Ten policjant został wydalony ze służby kilka miesięcy później z powodu niezbyt jasnej sprawy: oskarżono go o dokonanie przestępstwa, ale nigdy się nie przyznał. Wcześniej jednak znalazł kilka dowodów wskazujących na winę Arthura. Szczegóły same w sobie sprawiające wrażenie nieistotnych tworzyły układankę, która dla tego policjanta – spędzającego wiele godzin w czasie wolnym od pracy na prowadzeniu śledztwa – miała sens: rachunki z małego hoteliku przy szosie do Toledo w noc

poprzedzającą wypadek, kwit ze stacji benzynowej na odludziu, której właściciel zapamiętał zdenerwowanego mężczyznę rozmawiającego przez telefon. Opis pasował do Arthura...

Wkrótce potem Eduardo zabił Teodora na jednej z madryckich ulic. W tym samym czasie ten anonimowy i wytrwały policjant został oskarżony i odsunięty od śledztwa. Policja znalazła w mieszkaniu Eduarda kartkę z zapisanymi numerami rejestracyjnymi samochodu Tea i sprawdziła, że wyciągnął jego dane z archiwum drogówki. Auto Tea pasowało do marki i modelu samochodu terenowego, którego kierowca uciekł z miejsca wypadku. Nawet pewien biegły stwierdził na podstawie badanych śladów, że zderzak niedawno został naprawiony. Dla nowych śledczych sprawa była od początku jasna: chociaż Eduardo nigdy nie wyznał powodów, dla których zaatakował Tea i jego rodzinę, uznali, że zastrzelony przez niego mężczyzna spowodował wypadek i że Eduardo samodzielnie wymierzył sprawiedliwość.

Sprawa zamknięta. Na zawsze zapomniano o Arthurze Fernándezie. I o Eduardzie Quirodze. Na drogach pełno było skurczybyków, którzy powodowali wypadki i uciekali z miejsca zdarzenia. Czasami udało się ich złapać, innym razem – nie. Kary nakładane za nieumyślne spowodowanie śmierci i nieudzielenie pomocy na dłuższą metę nie rekompensowały wysiłków policjantów. Ale zabójstwo w samym środku dnia w centrum Madrytu wywołało społeczne przerażenie. Państwo prawa nie mogło ani nie powinno tego akceptować, więc Eduarda zamknięto na trzynaście lat w więzieniu i wyrzucono klucz.

Dla Glorii jednak to nie był koniec. Kilka miesięcy po śmierci Iana zaczęła zbierać informacje o Arthurze. Nie chodziło jej tylko o zdobycie dowodów jego winy. Policja złapała go na gorącym uczynku i nie mógł utrzymywać, że jest niewinny. To było coś o wiele więcej: chciała dowiedzieć się wszystkiego o jego przeszłości i rodzinie. Absolutnie wszystkiego. To stało się jej obsesją. Przez ostatnie cztery lata wydała dużą część majątku na detektywów, którzy często bez skrupułów oszukiwali ją i wyciągali od niej pieniądze. Po drodze zniszczyła swoje małżeństwo. Ian próbował ją przekonać, że to, co robi, jest bezsensownym szaleństwem, ale nie słuchała go. Nie słuchała nikogo. Pozbyła się nawet ważnej części swojej przeszłości: za sprzedaż skrzypiec Ministerstwu Kultury skrywała się potrzeba zdobycia środków finansowych.

W końcu pewnego dnia w jej domu pojawił się niski, przedwcześnie zestarzały i schorowany facet. Trzymał pod pachą brudną teczkę zapiętą na gumkę, z której wystawały kartki i zdjęcia. Palił jak smok i mówił tak cichym głosem, że ledwie było go słychać. Obsesyjnie bał się, że wszędzie go szpiegowano, i nie mógł ustać

w miejscu. Cierpiał na nerwicę, miał tik w prawej powiece. Mówił momentami bez ładu i składu, ale kiedy skupiał się na zawartości teczki, którą chronił jak Gollum pierścień, robił to w niesamowity sposób. Ten zniszczony człowieczek to był policjant, który początkowo zajmował się sprawą Eduarda. Podobnie jak Gloria, chociaż z innych powodów, miał obsesję na punkcie Arthura Fernándeza.

Dla policji może ta sprawa była rozwiązana i bardziej niż przedawniona, ale nie dla niego. Czuł się ofiarą spisku, na skutek którego został odsunięty od sprawy Eduarda. Przysięgał Glorii, że prowadzenie śledztwa kosztowało go wydalenie z policji i sześć lat więzienia w Guadalajarze, co zostało uknute przeciwko niemu po tym, jak nie posłuchał powtarzających się rozkazów, żeby „się nie wpierdalał” – zacytował dosłownie. Wielokrotnie odwoływał się od wyroku, ale został zignorowany. Dowody przeciwko niemu były przekonujące, więc nie miał innego wyjścia, jak pogрузić się w otchłani anonimowej rozpacz, w jaką wpadają nieszczęśnicy zmiążdżeni machiną władzy. Bezpowrotnie. Po wyjściu z więzienia prowadził nędzne życie jako prywatny detektyw od siedmiu boleści. W ten sposób dowiedział się, że Gloria wypytywała o przeszłość Arthura Fernándeza.

Nie kryjąc wzruszenia, pokazał jej owoc wielu lat swojej pracy. Przez cały ten czas nie przestał szukać poszlak i dowodów przeciwko człowiekowi, który teraz był tysiąc razy bogatszy i bardziej wpływowy niż przed czternastu laty, podczas gdy on był tysiąc razy bardziej nikim.

– Giganci padają pod naporem maleńkich wirusów. Lubię myśleć, że jestem jak źle wyleczony katar, który ostatecznie przemienia się w śmiertelne zapalenie płuc – chichotał jak szaleniec.

Pokazał Glorii faktury, wystawione przez kogoś z amerykańskiego oddziału przedsiębiorstwa Arthura na nazwiska krewnych drugiego i trzeciego stopnia policjantów, którzy w ten czy inny sposób brali udział w śledztwie. Odkrył również, że kilka miesięcy po zamknięciu Eduarda w więzieniu samochód Arthura – czarna terenówka – został naprawiony w blacharni w Pau, małej miejscowości we francuskiej części Kraju Basków. Naprawa polegała na wyklepaniu dolnej części pojazdu po silnym frontalnym uderzeniu i zmianie całej karoserii po prawej stronie. Potem auto polakierowano na inny kolor i sprzedano jako samochód firmowy. Ów człowieczek przedstawił Glorii dowody na to, że dokumenty, na podstawie których pojazd został wywieziony za granicę, były sfalszowane.

– Eduardo popełnił błąd – powiedział, drapiąc się po głowie, jakby miał wszy (może miał). – Zabił niewłaściwego człowieka. Ten Arthur jest prawdziwym skurwielem.

Gloria sprawdziła wszystko, co ten człowiek jej powiedział. Nawet była w miejscu, w którym podobno Arthur spędził z kimś noc poprzedzającą wypadek, ale hotel już nie istniał. Odnalazła natomiast stację benzynową i rozmawiała z właścicielem kawiarni, który potwierdził słowa byłego policjanta. Tego dnia o świcie mężczyzna bardzo podobny do Arthura tam był i rozmawiał z kimś przez telefon.

Po powrocie do Madrytu próbowała skontaktować się z byłym policjantem, ale on jakby zapadł się pod ziemię. Chociaż nigdy się tego nie dowiedziała, facet nazywał się Alberto Antequera, miał czterdzieści sześć lat i pochodził z Villafranca de los Barros, w prowincji Badajoz. W chwili, kiedy wyrzucono go z policji i skazano na sześć lat więzienia, obchodził dwudziestolecie służby i miał nieskazitelne akta. Miał dwoje dzieci: ośmioletniego Alberta i pięcioletnią Fátimę. Jego żona, Rosa, wytrzymała odsiadkę męża, ale nie jego psychiczny upadek. W końcu zostawiła go i wystąpiła do sądu o zakaz zbliżania się do nich. Już nigdy więcej ich nie zobaczył.

W szemranym środowisku, w którym się obracał, odkąd wyszedł z więzienia, zdobył przywilej Świętego Wita, z powodu drżących rąk. Niektórzy go szanowali, zlecali mu małe dorywcze prace w dowód pamięci o starych czasach, ale większość ludzi gardziła nim albo go ignorowała. Dwa tygodnie po skontaktowaniu się z Glorią został odnaleziony zadźgany nożem na moście Vallecas. Miesiąc później zatrzymano domniemych zabójców: dwóch nastolatków po czubek głowy zajaranych, którzy chcieli ukraść mu zegarek.

Dzięki temu mężczyźnie, którego prywatnego życia Gloria nigdy nie poznała, dowiedziała się o istnieniu niejakiego Eduarda Quirogi.

Udało jej się z nim skontaktować przez jego marszandkę Olgę. Wcześniej dowiedziała się, że właśnie wyszedł z więzienia i zarabia na życie, malując hurtowo obrazy dla centrów handlowych, że mieszka w dzielnicy Lavapiés i co rano włączy się po parku El Retiro w okolicach Palacio de Cristal. Śledziła go przez wiele dni, obserwowała, jak rysuje w swoim szkicowniku i pije bez umiaru w pobliskich barach. Chciała się upewnić, czy jest tak samo jak ona zniszczonym człowiekiem, że kiedy zaproponuje mu zlecenie, on się zgodzi. I może w skrytości ducha miała nadzieję odnaleźć w nim bratnią duszę, zebrać odwagę ich obojga, żeby zrobić to samo, co Eduardo zrobił czternaście lat wcześniej. Tym razem jednak zabić właściwego człowieka: człowieka, który spieprzył im życie.

Ian popatrzył na Eduarda z politowaniem.

– Wiedziałeś o tym, musiałeś to w jakimś sensie wiedzieć. Nic w życiu nie

dzieje się przypadkiem, ale czasami wolimy udawać, że o czymś nie wiemy.

Eduardo przypomniał sobie wszystkie spotkania z Glorią. Coś wewnątrz mówiło mu, że prowadziła z nim grę, że był dla niej tylko pionkiem na pierwszej linii ataku, który ma otworzyć wyłom w obronie nieprzyjaciela, a potem ponieść ofiarę. Ian miał rację: przez cały czas o tym wiedział, ale wypierał to z siebie, łapiąc się kurczowo Glorii, żeby móc jeszcze przez chwilę oddychać. Tylko jeszcze trochę.

Ian zatrzymał film. Nie dotykając ekranu, pogłaskał twarz swojego syna – sześć-, może siedmioletniego chłopca o głębokim spojrzeniu, nieco smutnym i wystraszonym. Jego piegowata twarz miała trochę naiwny wyraz, chociaż nadal zbyt poważny jak na dziecinną fryzurę z przedziałkiem po boku i grzywką przyczesaną do czoła. Jakby myślał, że nigdy nic mu się nie stanie, że zawsze będzie przy nim ojciec, by go chronić.

Film nagrano podczas jednego ze świąt Bożego Narodzenia, które spędzali u dziadków w Walii. W pobliżu domu Mackenziech przepływała rzeczka. Latem wysychała, odsłaniając dno usłane kamieniami, śmieciami i zgniłymi gałęziami drzew. Tylko wiosną i najwyżej przez pierwsze dwa tygodnie maja można było w niej złowić coś innego niż zdechłego szczura. A mimo to Ian junior uwielbiał to miejsce. Ojciec pamiętał go, jak od najmłodszych lat – chociaż już robił wrażenie zmęczonego życiem człowieka – spacerował otoczoną akacjami alejką, jakby szukał zaułków przeszłości, której jeszcze nie przeżył.

Pod wieczór pogoda zazwyczaj nagle się zmieniała. W Walii bez przerwy padała mżawka – zasłona wody tak samo brudna i szara jak niebo, które ją wypluwało – pchana podmuchami wiatru, które targały praniem rozwieszonym przy domu. To byłaby idealna kraina dla melancholii. Idealne środowisko naturalne dla muzyków. Ale Ian junior nie chciał zostać muzykiem. Właściwie lubił tylko spacerować po moście nad rzeką ze wzrokiem wbitym w czubki butów, pogrążony w myślach, które przenosiły go bardzo daleko od miejsca, w którym się znajdował. Czasami ze zdziwieniem unosił wzrok, kiedy nogi same doprowadzały go przed elewację domu dziadków, porośniętą wspaniałą dziką winoroślą – gąszczem drżących czerwonych liści, po których spływały kropelki deszczu.

Ian uwielbiał pana Mathew, swojego dziadka, chociaż diametralnie różnili się charakterami. Starcowi zupełnie nie przeszkadzało, że jego wnuk był po matce w połowie Żydem. Sam był dziwnym olbrzymem, który chełpił się – bezpodstawnie i zależnie od ilości wypitego przez siebie alkoholu – że w jego żyłach płynie krew normańska, arabska czy jakakolwiek inna. Był zabawny i szczerzy do bólu, jak jego syn, i chociaż lubił swojego wnuka i synową, uważał ich

za zbyt ponurych. Powtarzał często swoje życiowe motto, żeby żyć pełnią życia, a nie się nad nim zastanawiać.

W młodości grał na harfie i był członkiem orkiestry, która występowała na festynach w sezonie świąt patronów wiosek porozrzucanych w dolinie. W Pembroke poznał Mery, która po pięćdziesięciu latach wciąż była jego żoną – kobietą silną jak fundamenty romańskiego kościoła. Na nagraniu widać było, jak opiera się o balustradę balkonu, ubrana w szlafrok i w rannych pantoflach, pali elegancko papierosa, zbyt nowoczesna i pewna siebie jak na czasy i miejsce, w którym żyła, wpatrzona w pola rozpościerające się na drugim brzegu rzeki, gdzie wśród zaoranych brzd majaczyły pochylone sylwetki wieśniaków.

Ian junior, oprócz tego samego głębokiego i niepokojącego spojrzenia, odziedziczył po babce gen melancholii. Mery wciąż słuchała tego samego utworu: nokturnu Chopina na skrzypce i fortepian, którego Mathew nie znosił. Skarżył się, że przy takiej smutnej, dramatycznej melodii człowiek wyobraża sobie, że wydarzy się jakieś nieszczęście.

Ale serce jego wnuka biło mocniej, kiedy podbiegając do frontowych drzwi domu, dotykał drewna i wiedział, że za chwilę staną otworem, a w progu pojawi się babcia przesiąknięta zapachem mąki i świeżych warzyw i swoim głosem infantylnej myszki zapyta go karcącym tonem: „Dlaczego włóczysz się nad rzeką w taki mróz? Nie wiesz, głuptasie, że roi się tam od zmarłych, którzy szukają ciała, w które mogliby wejść?”. A potem sadzała chłopca na kolanach i nuciła mu do ucha zawsze tę samą melodię i opowiadała mroczne historie o *animes*, legendarnych leśnych istotach, czarownicach i żebrakach. Siedzieli w świetle dogasających w kominku płomieni, w które chłopiec wpatrywał się zachwyconym wzrokiem.

Stary dom dziadków nie istniał już od dawna. Zabrał go czas, a wraz z nim postać Mery. Pewnego wieczoru znaleziono ją martwą na zamarznętej rzece. Padał śnieg, leżała na plecach w koszuli nocnej, boso, z rozłożonymi ramionami i otwartymi oczami, wpatrując się w niebo. Na zawsze pozostało tajemnicą, jak się tam znalazła, co robiła o świcie nad rzeką i dlaczego na jej twarzy malowało się przerażenie, a jej źrenice i usta zastygły w niemym cierpieniu. Mathew stracił całą swoją radość, utopił ją w brandy i nie pozwolił nikomu dotknąć w domu nawet jednego gwoździa, by pozostał w takim stanie, w jakim był, kiedy Mery jeszcze żyła. Rok później stary Mackenzie zmarł na marskość wątroby.

Ruiny domu pachniały wilgocią i smutkiem. Ale rzeka wciąż płynęła, czekając każdego ranka na Iana. Przez wiele lat. Mniej więcej w tym czasie zaczęły się kłopoty. Ich powodem zawsze był Ian junior. Tematem zacieklej kłótni rodziców stał się jego ciężki charakter. Gloria zgadzała się z mężem, że ich syn był

niespokojnym chłopcem, ale Ian senior przesadzał. Gloria potrafiła kontrolować wahania nastroju syna, rozumiała jego pokrętną, introwertyczną i niezwykle wrażliwą naturę. Nie mógł być inny, mając matkę skrzypaczkę i ojca reżysera, którzy spędzali więcej czasu w samolocie niż na ziemi. Chłopak na swój sposób karał ich za ciągłą nieobecność. To wszystko. Oczywiście chciałyby, żeby kontynuował naukę gry na skrzypcach, ale chłopca muzyka nie pociągała; nie aż tak, żeby chciał całkowicie się jej poświęcić. Ku rozczarowaniu ojca nie interesował go również świat filmu.

Reżyser przypomniał sobie, kiedy ostatni raz byli razem w domu nad rzeką. Tego popołudnia syn biegał na brzeg ze starą kamerą, nagrywając wszystko, co mu się spodobało. Czasami kierował obiektyw na ojca i prosił, żeby ten coś powiedział. Ian patrzył na niego, stojąc bokiem do kamery z papierosem w ustach.

– Wyłącz to, trochę szacunku. Tutaj zmarła twoja babcia. Zabrały ją duchy umarłych.

Wieczorem Gloria i Ian zobaczyli syna z okna sypialni: szedł całkiem nagi w kierunku rzeki w świetle rozgwieżdżonego nieba przy minusowej temperaturze. Śnieg padał do późna i chłopak zostawiał za sobą głębokie ślady odcisnięte w białym puchu. Ian senior rzucił się biegiem po schodach w dół. Znalazł syna leżącego w korycie rzeki, do połowy ciała zanurzonego w zimnej wodzie. Lodowa powłoka trzaskała, pokrywając się siatką pęknięć jak pomarszczona twarz starca. Ian senior przyskoczył do syna, obawiając się, że lód za chwilę się pod nim załamie, i siłą wyciągnął go na powierzchnię.

– Oszalałeś? Co chcesz zrobić? Utopić się?

Wtedy Ian popatrzył na ojca nieprzytomnym, niewidzącym wzrokiem.

– Chcę tylko patrzeć. Patrzeć, dopóki nie zobaczę – wypowiedział te słowa ze wzrokiem utkwionym w dno rzeki odbijające się w jego źrenicach. Tym samym zimnym, nieruchomym wzrokiem, jakim patrzyła jego babcia.

Gloria i Ian odwiedzili walijski dom dopiero dwa lata po śmierci syna. Zamierzali się rozwieść. Ostatnim wspomnieniem Iana z tego miejsca był widok ojca, który zgasił papierosa na barierce mostka, a potem ruszył po mokrych deskach, ukrywając swoje bezbronne ciało w smutku, jak w najlepszej zbroi. Strzępy mgły wypełzały spomiędzy trzciny i dębów, ślizgając się po mulistej powierzchni rzeki i okrywając dolną część filarów mostu. Nad rusztowaniem rysował się dom, którego górna część odbijała blask dnia.

– Obiecuj mi, że zawsze będziesz o nią dbał. Że będziesz jej bronił przed nią samą i prześladowającymi ją duchami.

Ian nie skończył jeszcze wtedy trzydziestu lat, a mężczyzna, który do niego mówił – ze swoimi gęstymi siwymi brwiami i idealnie przyciętą brodą – go onieśmielał. Ian wziął ślub kilka dni wcześniej i jeszcze nie przyzwyczyił się do obrączki. Nie planował, że tak młodo się ożeni, a już spodziewali się dziecka.

Pił zbyt zimną kawę z mężczyzną, który był teraz jego teściem. Po raz pierwszy rozmawiali w cztery oczy. W rzeczywistości w ogóle rozmawiali po raz pierwszy. I Ian czuł ciężar jego głębokiego i pytającego spojrzenia.

Obiecał mu to, chociaż nie zrozumiał, co teść miał na myśli.

Teraz przypominał sobie jego słowa i je rozumiał. Teraz już tak.

Ożenił się z przekonaniem, że wie o Glorii wszystko, co powinien wiedzieć: że ją kocha, że ona ma równie niezależną naturę jak on, jest namiętna i czuła, że nigdy nie przywyknie do klimatu Walii oraz że nigdy nie dogada się z jego ojcem (co do matki miał wątpliwości), ale mimo to zgodzi się spędzać jakiś czas w domu nad rzeką i robić dobrą minę do złej gry, kiedy jej pijany teść zacznie bredzić o swoim pochodzeniu i opowiadać rodzinne historie.

Ian ożenił się z nią, wierząc, że dziecko, na które czekali, połączy ich w jedność, staną się nierozzerwalnym kawałkiem stali. Cokolwiek się wydarzy. Wiedział, że nigdy nie będzie w jego życiu innej kobiety, skończyły się flirty z aktorkami poszukującymi roli, pijaństwo z kumplami z planu, majtki na lodówce, nieopróżniony kubek na śmieci, wymięte koszule i mecze piłki nożnej. Zrezygnował ze wszystkiego, co stanowiło sens jego życia, zanim ją poznał, a teraz wydawało się śmieszne. Był o tym przekonany. Szczęśliwy.

To wszystko jednak nie wystarczało, żeby pozostać razem do końca życia. Ian nie znał jeszcze wtedy historii Taggerów, nie widział zdjęcia pradziadka Ulrycha w pruskim mundurze, nie wiedział o poczuciu winy odziedziczonym po żydowskim kryptonaziscie, który zawsze krążył wokół stołu podczas rodzinnych kolacji. Ian nie rozumiał, dlaczego Gloria się uparła, żeby postawić w sypialni fotografię człowieka tak znienawidzonego przez jej rodzinę. Czasami zaskakiwał ją, kiedy wpatrywała się w zdjęcie nieobecny wzrokiem, głaszcząc je, jakby było portretem kochanka, za którym tęskniła. Innym razem wściekała się w głębi duszy, kiedy ktoś mówił, że jej syn był żywą kopią jej pradziadka.

Ale to była prawda. Nawet jeśli się upierała, że Ian junior wrodził się w rodzinę Mackenziech, jakby to miało uchronić go przed niebezpieczeństwem. Chłopak w rzeczywistości był wykapanym Taggerem. Nie chciała tego dostrzegać, a Ian nie zmuszał jej do tego. Ale pamiętał o obietnicy danej teściowi.

Za wszelką cenę będzie chronić Glorię. Nawet przed nią samą.

Rozdział 23

Wyczuwając, że jakaś ciemna postać właśnie weszła do pokoju, Ian zatrzymał nagranie.

– Co tutaj robisz?

Poczuł, jak głos Glorii rozbija się o jego kark. Nie była zdziwiona jego widokiem ani zadowolona z niego. Wstał z fotela i na powitanie uniósł szklankę z whisky.

– Miałem do załatwienia kilka spraw i postanowiłem wpaść, żeby sprawdzić, co u ciebie słychać. Co w tym dziwnego? Przecież to wciąż jest mój dom. – „A ty nadal jesteś niespełnioną obietnicą”, pomyślał. – Wspominałem dawne czasy, kiedy odzyskaliśmy *El Española*. Szkoda, że twój ojciec nie dożył tej chwili. – Temu komentarzowi towarzyszył słodko-gorzki uśmiech, który ukrył, biorąc łyk alkoholu. – Wracam jutro rano do Sydney – dodał, jakby to miało ją uspokoić i ostrzec, żeby nie zmarnowali kilku godzin, które mieli ze sobą spędzić, na kłótnie i wyrzuty. Ale diabeł, którego wszyscy Walińczycy w sobie noszą, wymyślił inny scenariusz. – Chociaż wygląda na to, że dajesz sobie radę i za mną nie tęsknisz. – Wskazał szklanką portret, oprawiony już w ramę i oparty na stojaku przy oknie. – Poznałem dzisiaj twój malarza. Najwyraźniej jego usługi oprócz malowania obejmują też dodatki specjalne. Uważaj, bo biedak się w tobie zakochał. To jak wpuścić sobie do łóżka skorpiona. Trzeba umieć się z nim obchodzić, żeby podczas pocałunku nie ukłuł cię swoim kolcem z jadem.

Gloria stanęła między Ianem a portretem Arthura. Spojrzała na jednego, a potem na drugiego, jakby byli swoim lustrzanym odbiciem.

– Chcę je zobaczyć – odezwała się zgaszonym głosem.

– Co masz na myśli? – zapytał Ian obojętnie.

Dolores była obsesyjnie dokładna i skrupulatna, co zmieniło się w zaletę. Rodzice powtarzali jej, że bogaty zawsze podejrzewa służącego o podkradanie pieniędzy i jedzenia, niestaranne wypełnianie swoich obowiązków i niechęć do wykonywania poleceń. Aby utrzymać pracę w bogatym domu (co było najwyższą aspiracją, eldoradem, o którym marzyły osoby pokroju Dolores), należy zawsze mieć wiarygodne alibi, którym można odeprzeć oskarżenia pracodawców. Kiedy rano Gloria zapytała Dolores o paczkę, którą przysłano przed czterema laty, najlogiczniej byłoby powiedzieć, że nie pamięta, i nikt nie mógłby mieć jej tego

za złe. Mimo to gospodyni poszła do swojego pokoiku na poddaszu i wśród różnych papierów, które trzymała w pudełku po butach, znalazła potwierdzenie odbioru. Wróciła do Glorii i wręczyła jej papier pewnym ruchem. W prawym dolnym rogu widniał podpis pana Iana. „Jeśli ją zgubił, ja nie mam z tym nic wspólnego” – mówiło do niej spojrzenie profesjonalnej służącej.

– Nagranie, które przysłała żona Magnusa Olsena. Możemy zawołać Dolores, ona potwierdzi, że odebrałaś przesyłkę.

Ian Mackenzie nie potrzebował żadnego potwierdzenia. Doskonale pamiętał dzień i godzinę. Gospośia wręczyła mu kopertę bez nadawcy. Był w domu sam, Gloria z synem pojechali do Madrytu, a on poprawiał scenariusz. Odkąd królowa brytyjska odznaczyła go medalem za jego twórczość, jego sława jako reżysera wzrosła proporcjonalnie do liczby zdesperowanych karierowiczów, którzy przysyłali mu swoje wycieczki w nadziei, że im pomoże. W normalnych okolicznościach nagranie wylądowałoby na stosie płyt, dokumentów i scenariuszy, które regularnie przysyłano mu pocztą. Tego ranka jednak Ian nie mógł skupić się na pracy. Wciąż rozmyślał o śmierci Olsena. Media podawały oficjalną wersję zdarzenia potwierdzoną przez policję: Magnus popełnił samobójstwo, nie wytrzymując napięć związanych z bankructwem i kłopotami z wymiarem sprawiedliwości. W sprawie nie prowadzono śledztwa, ale to nie uspokoiło Iana.

Za kilka dni wracał do Australii, gdzie miał nakręcić ostatnie zdjęcia, które wymagały od niego ogromnego wysiłku umysłowego, ale nie potrafił się skupić. Nie mógł spać, coraz częściej i gwałtowniej kłócili się z Glorią, zawsze o to samo: o ich syna Iana. Chciał jak najszybciej wrócić na plan filmowy, stanąć za kamerą, wsiąść do autobusu i przejechać australijskie pustkowia. Przynajmniej tam mógł udawać, że jego życie jest takie samo jak zawsze.

Ze szklanką whisky w ręku podszedł do telewizora i włożył płytę do odtwarzacza DVD. „Oderwę na dziesięć minut myśli, a potem wrócę do pracy”.

Nie był przygotowany na to, co zobaczy. Potem było już za późno.

Właściwie nigdy nie przepadał za Magnusem Olsenem. Prawdopodobnie jednym z powodów był oziębły, niemal wielkopański sposób, w jaki traktował swoją żonę. Traktował ją jak swoją własność, ale naprawdę jej nie szanował. Ta kobieta była zbyt wykwintnym kąskiem dla jego rekiniego pyska. Traktował ją jak drogą dziwkę, bez skrępowania łapał ją za pośladki w obecności innych osób

i obejmował jak kufel piwa. Ianowi było jej żal, chociaż czuł też do niej pożądanie, które kilka razy musiał uspokoić w samotności, zamykając się w łazience.

Tak czy inaczej Olsen był dla niego jak drzwi, do których pukali tacy ludzie jak on, żeby sfinansować swoje filmy. Ian nie wiedział o Magnusie zbyt wiele. Facet nie ukrywał, że jest bogaty, a poza tym szczęśliwym trafem był miłośnikiem kina i trzeba było przyznać, że posiadał na ten temat wiedzę tak szeroką, że aż zdumiała Iana. Olsen podziwiał Iana nie tylko z racji swoich zainteresowań, ale dlatego, że szczerze doceniał jego reżyserski dorobek, co z pewnością przekonało Iana do przewyciężenia powściągliwości, jaką zachowywał w stosunku do tego rodzaju ludzi. Olsen włożył sporo wysiłku w odzyskanie skrzypiec Taggerów, co rozwiało początkowe wątpliwości reżysera i ostatecznie otworzyło Szwedowi drzwi do jego domu. Ian zgodził się kilka razy wziąć udział w spotkaniach klubu prowadzonego przez Dámasa, skontaktował też antykwariusza z innymi reżyserami, aktorami i ludźmi ze światka filmowego. To była bardzo elitarna grupa, ludzie z wielkimi wpływami i wystarczająco dużymi pieniędzmi, żeby nie musiał odkładać do szuflady żadnego ze swoich przyszłych projektów ze względu na brak środków finansowych czy biurokratyczne przeszkody. Takie znajomości oznaczały dla niego czek *in blanco*.

Świadomość tego była odurzająca.

Poza tym jego syn też lubił chodzić na nocne spotkania klubu. Ian obserwował go podczas projekcji filmu Harolda Lloyda i widział, jak pochłaniał oczami każdy szczegół. Pytał o rzeczy zaskakujące jak na adepta, które wprawiały w osłupienie pozostałych członków. Rzucał bystre komentarze i po raz pierwszy wydawało się, że porzucił to swoje wieczne milczenie i pozę ponuraka, która towarzyszyła mu od urodzenia. Wydawał się innym chłopcem, szczęśliwszym, bardziej skupionym.

Od wczesnego dzieciństwa stało się oczywiste, że Ian nie był ani nie będzie taki jak inne dzieci. Emanowało z niego coś nieokreślonego, co czasami przejawiało się okrucieństwem. Jak wtedy, gdy przywiązał szczeniaka drutem kolczastym do słupa i patrzył godzinami, jak zwierzątko próbowało się uwolnić, boleśnie raniąc szyję. Jednocześnie Ian poddawał analizie to, co widziały jego bystre oczy, z naturalnością zaskakującą dla kogoś tak młodego. Na przykład pewnego dnia przyglądając się wyschniętemu drzewu, odwrócił się do ojca i stwierdził, że wszystko rodzi się, by następnie umrzeć, i nie ma w tym żadnego dramatu. Miał wtedy siedem lat.

Ian i Gloria prowadzili brudną i sekretną wojnę o odpowiednie ukierunkowanie sprzeczności, z którymi ich syn się zmagał. Szarpiąc się ze sobą, nieświadomie przelewali na niego swoje lęki i nadzieje. Ian junior stał się ich

polem bitwy. Mackenzie miał nadzieję, że pójdzie jego śladem i w branży filmowej znajdzie sposób na uzewnętrznienie tego, co go dręczy. Najwięksi geniusze często ocierali się o szaleństwo, a jego syn miał ogromny potencjał, ale musiałby zapanować nad swoim charakterem. Gloria zawierzała wszystko muzyce. Narzucała synowi dyscyplinę w nauce gry na skrzypcach i fortepianie, zapewniała, że muzyka tworzy w mózgu nowe przestrzenie, połączenia nerwowe, które jej syn powinien wypełnić harmonią i porządkiem.

Kiedy Ian rezygnował z ćwiczeń z matką, żeby pójść z Magnusem na seans niemych filmów w klubie Dámasa, Mackenzie uśmiechał się, zadowolony z małego zwycięstwa nad swoją żoną.

– Było już za późno, kiedy zauważyłem, co się dzieje – przyznał. Przetarł rękami twarz, jakby była mokra. – Kiedy Olsen zadzwonił do mnie (pamiętam tę rozmowę, jakbym był naćpany), nie chciałem mu wierzyć. Mój mózg nie był w stanie tego przyswoić. Siedziałem w pokoju hotelowym z telefonem w ręku i myślałem, że robi sobie ze mnie żarty. Ale to nie był żart. Ten skurwiel powiedział mi, co Ian robił w klubie, i o strasznych rzeczach, w których brał udział.

„Wierz mi, że nikt go do tego nie zmusza. On to ma w sobie”. Olsen dzwonił do niego do Sydney z oddalonego o tysiące kilometrów Madrytu, by powiedzieć mu, że jego syn jest geniuszem. Zepsutym i zwyrodniałym geniuszem. „Mam dowody. Więc lepiej przyjeźdź. Musimy o tym porozmawiać i dojść do porozumienia. Wolałbym nie postępować w ten sposób, szczerze cię podziwiam, Ianie. Ale moje życie się popieprzyło i potrzebuję płynności finansowej”.

– Szantażował mnie. Zagroził, że wyśle ci dowody. Myślałem, że oszaleję; nie mogłem myśleć ani zareagować. Wsiadłem w pierwszy samolot, w którym znalazło się wolne miejsce, i zjawiłem się u niego w domu.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? – Nie próbowała dodać mu otuchy ani nie twierdziła, że razem mogli zmierzyć się z każdym problemem: pójść na policję, zamknąć syna w zakładzie, w razie konieczności. Nie. Robiła mu wyrzuty, że jej w to nie włączył, że przemilczał to przez te wszystkie lata. W jej głosie wibrowała całkowita pogarda, pozbawiona innych emocji.

„Obiecuj mi”.

Obiecał mu. Że będzie chronił Glorię przed wszystkim i wszystkimi. Również przed nią samą. I jego teść spojrział na niego okiem, którego źrenica zachodziła mgłą, zaczynał ślepnąć. Nadal jednak był w stanie dostrzec to, co Ian Mackenzie, mąż jego córki, nosi w sobie, do czego jest zdolny. Ian przypomniał sobie smutny

i tragiczny uśmiech swojego teścia. Tego starego człowieka, który dźwigał ciężar historii Żydów i wojen, zesłania i skrzypiec, ukrytych grobów. Uśmiech ukazujący krzywe zęby (nigdy nie chciał założyć sztucznej szczęki ani implantów), pociemniałe od kamienia, zniszczone przeżuwaniem tak wielu lat.

Nic więcej sobie nie powiedzieli. Nigdy nie wrócili do tego tematu.

Kiedy Ian – wykończony brakiem snu, z rozczochranymi włosami i wielkimi fioletowymi workami pod oczami – wysiadł z samolotu na lotnisku w Madrycie, wiedział już, co zrobi.

Magnus Olsen nie spodziewał się go tak szybko. Była siódma rano, zza drzwi słyhać było włączony telewizor. Wiadomości. Na świecie działy się różne rzeczy, z których żadna Iana nie obchodziła. Olsen otworzył drzwi w rozpiętej koszuli i pasku: miał owłosiony brzuch z pępkiem przypominającym pająka zwiniętego w gnieździe z kręconych czarnych włosów i małe spiczaste sutki na opadających piersiach, jak u prosiaka. Był zaskoczony, chociaż nie przestraszony. Jego oczy zdawały się mówić: „Po co ten pośpiech? Nic wielkiego się nie stało”.

Ian wiedział, jak rozwiązać sprawę. Nie uderzył go, chociaż by się powstrzymał, napiął tak mocno mięśnie szyi, że złapał go skurcz. Patrzył na stojącą przed nim kupę mięsa i w myślach oceniał jej wagę: „Sto dziesięć, sto dwadzieścia kilogramów. Bezkształtna masa tłuszczu”. Tłusta kula tocząca się, by zmiążyć jego szczęście. Magnus zaprosił go do środka i ruszył boso w głąb mieszkania, zostawiając za sobą na parkiecie małe ślady. Na stole stała filiżanka świeżo zaparzonej kawy, talerz z nadgryzionymi tostami, a w pełnej popielniczce dymił papieros. Telewizja w tle, ubrania porozrzucane na kanapie, zapach perfum taniej dziwki. Z jedyne go okna widać było budynek naprzeciwko. Przez środek sufitu biegła gruba belka, mogłaby utrzymać duży ciężar...

– Wiem, że uważasz mnie za drania – w głosie Olsena zabrzmiały szacunek i skrucha, ale wzrok miał mętny, chciwy. – Musisz zrozumieć, że nie chcę zaszkodzić ani tobie, ani twojej rodzinie. Po prostu moje sprawy bardzo się pokomplikowały i potrzebuję pieniędzy. – Poruszył grubymi rękami (tymi samymi, którymi bezceremonialnie ścisnął pośladki swojej żony), jakby głaskał niewidzialny balon. Mówił, tłumaczył się, udawał, że jest na skraju wyczerpania nerwowego.

Ian go nie słuchał, nie potrzebował tego preludium.

– Zapłacę ci, ale najpierw chcę zobaczyć nagranie – przerwał mu.

Magnus spojrział na niego z wyrazem twarzy człowieka przyzwyczajonego do życia w nieufności i kłamstwie: miał twarz pokerzysty, a dobry pokerzysta nigdy nie pokazuje swoich asów, dopóki nie nadejdzie odpowiednia chwila.

– Oczywiście, ale nie mam go teraz przy sobie. Nie jestem kretynem, dobrze je ukryłem. Nie martw się, dostaniesz kopię, kiedy mi zapłacisz. Taka jest standardowa procedura.

Oznaczało to, że wcześniej szantażował innych – wyrobił sobie „standardową procedurę”. Rozbudzać słabości w ludziach, a potem ich wykorzystać. Ian zmienił strategię: zagroził, że pójdzie na policję. Olsen roześmiał się ironicznie. Obaj wiedzieli, że tego nie zrobi.

Magnus Olsen był mieczem Damoklesa wiszącym nad Ianem: reżyser mógł mu zapłacić, chociaż nie miał gwarancji ani czy dostanie nagranie, ani czy Olsen nie zrobił więcej kopii, którymi zamierzał szantażować go w przyszłości, by wyciągnąć od niego więcej pieniędzy. Zrozumiał, że musi pozbyć się tego pasożyta.

Wszystko odbyło się szybko i gwałtownie. Po cichu. I właśnie ta cisza pogłębiła uczucie nierealności, kiedy Ian rzucił się na Olsena znienacka i powalił go na podłogę kopnięciem w splot słoneczny. Magnus zatoczył się jak ogłuszony niedźwiedź. Bez zastanowienia i kierowany instynktem Mackenzie wyciągnął ze szlufek jego spodni pasek i owinał mu go wokół szyi. Olsen machał rękami w powietrzu i uderzał na oślep, trafiał jednak tylko w ramiona napastnika. Szamotał się i kopał w próżnię z wybałuszonymi oczami. Tymczasem Ian dusił go z chłodną determinacją, której nigdy by się po sobie nie spodziewał.

Zbyt łatwo jest kogoś zabić. Przez długi czas to odkrycie nie dawało mu spokoju. Nocą, po powrocie do Australii, przeżywał na nowo tę scenę – sekwencję wcześniej obmyślonych ruchów wykonanych z nienaganną precyzją. Widział, jak w oczach Olsena zaskoczenie ustępuje miejsca wściekłości, potem strachowi, a na koniec błaganiu. Czuł nacisk paska w palcach, chrzęst skóry zaciskającej się na tchawicy Magnusa, słyszał szuranie butów na drewnianej podłodze i szmer powietrza uciekającego z jego płuc.

– Nie znalazłem nagrania. Myślę, że nie zamierzał mi go dać. Na szukanie nie miałem czasu. Podciągnąłem go do góry, zawiązałem na belce drugi koniec paska i zostawiłem go wiszącego w powietrzu.

Gloria patrzyła oszołomiona i ogłupiała na mężczyznę, który kiedyś był jej mężem, ojcem jej syna, i nie poznawała go. Nie mogła sobie wyobrazić, że zrobił coś takiego. Był zbyt przystojny, zbyt wesoły. Był geniuszem. Nie mordercą. Jego ręce, oczy i ciało miały tworzyć rzeczy, obrazy, a nie je niszczyć.

– Kiedy odebrałem przesyłkę z płytą, ty i ja już za bardzo się od siebie oddaliliśmy. Nie mogłem ci o tym opowiedzieć, bo byś tego nie zrozumiała – stwierdził łamiącym się głosem.

Gloria zamknęła oczy i potarła je palcami, jakby chciała je sobie wbić do środka oczodołów, żeby oślepnąć. Rozejrzała się za krzesłem i usiadła. Drżała na całym ciele. Uniosła głowę i natknęła się wzrokiem na nieruchomą twarz Arthura. Poczowała nieskończone rozgoryczenie. Tak bardzo nienawidziła tego człowieka! Tak bardzo w tej chwili wszystkich nienawidziła!

Wreszcie zrozumiała kilka rzeczy. Kiedy Ian wrócił z Australii wiele tygodni po śmierci Olsena, wydawał się nieobecny i drażliwy, i chociaż zrzucał to na zmęczenie po nakręceniu filmu i problemy finansowe, Gloria myślała (naiwnie), że jej mąż wdał się w jakiś romans. Tymczasem on przechodził głęboki kryzys sumienia. Gloria z bólem przypominała sobie ten straszny wieczór, najgorszy ze wszystkich do tej pory, kiedy ćwiczyła i przeglądała partyturę, a Dolores siedziała w fotelu i robiła na drutach rzeczy, które później rozdawała znajomym w prezencie, a oni nigdy ich nie zakładali.

Z gabinetu na piętrze dotarł do nich krzyk: Ian był wściekły, złorzeczył i rzucał po angielsku przekleństwa, które odbijały się echem po całym domu. W tle słychać było głos jego syna, który też krzyczał, chociaż zagłuszany przez ojca. Kłócili się.

– Zobaczą, co się dzieje – powiedziała Dolores, ze zdziwieniem unosząc głowę i przechylając ją, jakby w ten sposób mogła lepiej słyszeć.

Gloria już wstała.

– Nie, ja pójdę.

Weszła po schodach i stanęła w progu gabinetu jak sparaliżowana. Jej mąż zapędził syna w róg między biurkiem a kanapą, miał uniesione ręce i nie bardzo było wiadomo, czy próbował go objąć czy udusić. Jednak po grymasie na twarzy chłopaka i wściekłym wzrokiem ojca można było się domyślić jego zamiarów.

Ian junior miał rozciętą wargę i niewielki siniak na policzku. Kilka purpurowych kropli poplamiało mu kołnierzyk koszuli. Nawet ich nie zauważyli, ale przyciągnęły uwagę Glorii. Skoczyła między nich z pytającym wzrokiem, ale żaden z nich nie chciał udzielić jej odpowiedzi. Syn uwolnił się z rąk Iana i skierował do wyjścia. Zatrzymawszy się w progu, rzucił im obojgu spojrzenie przepełnione głęboką nienawiścią.

– To przez was taki się stałem. Szkoda, że nie zdechliście!

Gloria chciała do niego podejść, ale powstrzymał ją, grożąc:

– Nie dotykaj mnie, żydowska dziwko. Nigdy nie wrócę do tego domu. Dopóki on jest tutaj, możesz o mnie zapomnieć.

Te nieoczekiwane słowa uderzyły ją w żołądek. Słowa, które najbardziej bołą, ranią i zabijają, ponieważ zostają wypowiedziane przez najukochańszą osobę. Największą zdradą, najgorszym rodzajem śmierci dla matki jest pogarda jej syna.

Niezrozumiała pogarda.

Ian z hukiem zatrzasnął za sobą drzwi, ale jego słowa wciąż miażdżyły Glorię. Wpatrywała się w swoje stopy, zastanawiając się, po co tam są i utrzymują jej ciało. Powoli uniosła wzrok na męża, który stał po drugiej stronie pokoju odwrócony do niej szerokimi plecami o silnych ramionach i dużych bicepsach. Na tyle silnych, żeby powiesić na belce studwudziestokilowego wieprza. Wystarczająco silnych, żeby udźwignąć ciszę po tym, co przed chwilą zrobił. Oparł czoło o rękę na ścianie, jakby był zamknięty i próbował siłą utorować sobie wyjście.

– Co zrobiłeś mojemu synowi?

Odrócił się powoli. Nie popatrzył jej w oczy. W tej chwili nie byłby w stanie utrzymać pozorów, stłamsić tragedii, której nie dało się już powstrzymać.

– Męska kłótnia. Wiesz, jaki on jest, przejdzie mu.

Może jemu. Ale ona nigdy tego nie zapomni.

– Uderzyłeś go?

Ian przełknął ślinę, jakby połykał suche okruszki chleba. Gorzkiego chleba.

Nigdy wcześniej nie podniósł ręki na syna. Nigdy też wcześniej nikogo nie zabił. Zawsze nadchodzi ten pierwszy raz, potem jest już z górki.

– On potrzebuje pomocy, Glorio. Z naszym synem dzieje się coś niedobrego.

Nie słuchała go.

– Rozciąłeś mu wargę?

Ian poczuł, że ogarnia go rozpacz. Ruszył w jej stronę, chcąc coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili słowa cofnęły się i zaczęły tańczyć w jego wnętrzu.

– Zrobiłem to, co powinienem. – Skrzydełka jego nosa unosiły się w przerywanym rytmie oddechu. Nie wiedział, czy płakać, czy krzyczeć. Potrząsnął głową z rezygnacją. – Nie rozumiesz, musimy gdzieś go wywieźć. Zabrać go stąd.

Mógł powiedzieć, że zabrać go z jego życia, z jego chorego umysłu i zgniętego serca.

– Wynoś się z tego domu – odpowiedziała Gloria.

Ślepa. Była ślepa. Gdyby jej wtedy powiedział, znalazłaby sposób, żeby naprawić sprawę, wiedziałaby, jak postąpić. Ian żyłby, a tego portretu przyprawiającego ją o mdłości nie byłoby tutaj.

Nie obchodziło jej, co jej syn zrobił.

– Chcę je obejrzeć. – Jej ciało nadal tam stało, ale ona odeszła gdzie indziej, gdzieś, gdzie dało się zatrzymać, żeby nie zwariować. – Muszę zobaczyć to nagranie, żeby uwierzyć.

– Nie musisz widzieć prawdy, żeby ją rozpoznać – powiedział Ian. – Zniszczyłem płytę.

Kłamał, ale nigdy nie pozwoliłby, żeby zobaczyła, do czego był zdolny człowiek, którego wydała na świat. Nigdy.

– Istnieje jeszcze jedna kopia, a może jest ich więcej.

Ian odwrócił wzrok w stronę głosu dochodzącego z progu. Gloria lekko się skuliła, ale nie wyglądała na zaskoczoną.

Wiedziała, że tam jest.

Guzmán podsłuchiwał pod drzwiami. Pozwolił Glorii porozmawiać z mężem. Przed przesłuchaniem więźnia pozwalano mu na spotkanie sam na sam z jednym z krewnych, licząc na to, że dobrowolnie przyzna się bez konieczności przechodzenia przez mękę. To niemal nigdy nie dawało rezultatu, ale Guzmán czuł się lepiej, wiedząc, że spróbował. Potem...

– Domyślam się, że wiesz, kim jestem...

Ian rozpoznał go od razu, chociaż nigdy ze sobą nie rozmawiali ani się nie widzieli z tak bliska. Przez cztery miesiące Ian był cieniem tego płatnego mordercy, pojawiającym się, żeby zatrzeć wszelkie ślady tego, co ten odkrył. Guzmán podszedł do portretu Arthura. Miał wrażenie, że w jego wzroku dostrzegł wewnętrzny niepokój, jak na portretach średniowiecznych mistyków, kiedy nie wiadomo było, gdzie się kończy ekstaza, a zaczyna szaleństwo – albo odwrotnie.

– ...i wiesz, po co przyszedłem.

Ian skinął głową. Chociaż sprawy nie powinny się potoczyć w ten sposób. Po zabiciu Olsena sądził, że kontrolował sytuację. Pewnego ranka zadzwonił do niego niezwykle uprzejmy człowiek, prosząc o spotkanie. Umówili się w restauracji na dachu jednego z luksusowych hoteli w centrum Madrytu, w samo południe. Na spotkaniu pojawił się mężczyzna w średnim wieku, przystojny i elegancki. Miał na sobie włoski garnitur, a spinki na mankietach koszuli pasowały do szpilki przy krawacie. Delikatnie wydepilowane brwi tworzyły idealne łuki nad jego brązowymi oczami, z których biła żywa inteligencja. Nie przedstawił się, ale na początku rozmowy wyjaśnił, że działa jako pośrednik grupy osób, które z oczywistych powodów nie mogą publicznie ujawnić swojej tożsamości. „Z oczywistych powodów” – powtórzył. Wyglądali na dwóch kulturalnych i porządnym biznesmenów, którzy piją kawę i omawiają warunki transakcji handlowej. Ten elegancki mężczyzna (pachniał duszącymi perfumami i poprosił Iana, żeby przy nim nie palił) stwierdził – przedzierając torebeczkę z cukrem i wsypując mniej niż połowę jej zawartości do filiżanki – że wie o sytuacji, w którą reżyser został zamieszany. Wie także, że Olsen nie popełnił

samobójstwa. „Wiemy, że pan go zabił. Ale to nie powinno pana martwić. Ten człowiek stał się męczącym problemem dla niektórych z reprezentowanych przeze mnie osób. Prędzej czy później ktoś musiałby rozwiązać ten problem i w pewnym sensie powinniśmy być panu wdzięczni”.

Zadbają o to, by nie miał kłopotów z policją. I o to, żeby jego syn też ich nie miał. Oczywiście działalność klubu została zawieszona (nie powiedział – zakończona). W zamian za to proszą, żeby zapomniał o tym, co wiedział. *Quid pro quo* – powiedział mężczyzna z uśmiechem akademickiego wykładowcy. „Proszę wrócić do Australii, kontynuować swoją pracę, która z tego, co słyszałem, jest nadzwyczajna. Może pan liczyć na wpływowych wielbicieli, którzy zapewnią panu w przyszłości niezbędne finansowanie”. Lepiej było nie zastanawiać się nad alternatywą takiego układu. „Z oczywistych powodów” – dodał po raz trzeci. Nie musiał wyjaśniać Ianowi, że to, co jednego dnia było samobójstwem, następnego dnia mogło przyjąć znamiona morderstwa. Mogły pojawić się dowody dokonania gwałtu obciążające jego syna, a chłopak nie przeżyłby w więzieniu. „Nowe pokolenie nie jest takie jak nasze”. Nie wspominając, co oznaczałoby to dla Glorii – nie tyle dla jej kariery, ile psychiki – gdyby coś takiego wyszło na jaw. „Powieм panu w zaufaniu, że bogaczy wyjątkowo denerwują sytuacje, kiedy muszą się tłumaczyć. Ponoszą odpowiedzialność za swoje czyny tak samo jak pozostali śmiertelnicy, ale nie są skłonni się poniżać... Z oczywistych powodów”.

– To nie powinno się być wydarzyć w ten sposób. *Oni* powiedzieli, że wszystkim się zajmą.

– Ale wtedy pojawił się Arthur i wprowadził do gry zmienną, której nikt z was nie spodziewał się. Oczekiwaliście, że ojciec będzie siedział z założonymi rękami, kiedy zniknęła jego córka?

Gloria kiwała się lekko na krześle, ściskając w rękach zmiętą chusteczkę. Wyglądała, jakby miała ochotę wymiotować. Wykrzywiła usta i patrzyła nieobecny wzrokiem.

– Arthur dostał kopię tego nagrania i zobaczył, co Ian zrobił jego córce... To nie był wypadek. Potrafił go z premedytacją... A ty o tym wiedziałeś – zwróciła się do byłego męża. Teraz wreszcie to zrozumiała, ale nie chciała rozumieć, że ból jej męża, kiedy przekazała mu przez telefon wiadomość o śmierci ich syna, był o wiele bardziej rozdzierający niż jej cierpienie. Ponieważ mieszało się z nim milczenie, poczucie winy i wyrzuty sumienia.

– To twoja wina.

Ian się nie bronił. To on wprowadził syna do paszczy lwa. Był ślepy, nie zrozumiał, że otwierał przed nim na oścież wrota zgubnego losu. Nie miało sensu

wmawianie sobie, że jego syn miał chorą naturę i że prędzej czy później klątwa Taggerów znajdzie podatną glebę, na której będzie mogła wykiełkować.

– Zabiłeś Dámasa, a potem żonę Olsena. Myślałeś, że ja zostanę obarczony za to winą... Ale uratowałeś dzieci. To ci się chwali, chociaż było błędem. Dzieci mówią, mają doskonałą pamięć, podobają im się policyjne mundury, czują się ważne. Myślę, że wkrótce dwóch funkcjonariuszy złoży ci wizytę.

Ian nie odpowiedział. Podszedł do Glorii i kucnął przy niej, szukając jej wzroku.

– Nie powiedziałem ci, że wróciłem, ponieważ nie chciałem cię w to wszystko wciągać. Pragnąłem, żebyś była bezpieczna. Kiedy jednak powiedziałaś mi przez telefon, że zatrudniłaś Eduarda – faceta, o którym wspomniał ci ten były policjant – żeby namalował Arthura, poczułem bezsilność. Byłem jak w potrzasku, który zaciskał się aż do chwili, w której się znaleźliśmy. Próbowałem cię przekonać, żebyś się od tego odsunęła, ale jesteś uparta. Zawsze robisz wszystko po swojemu. I wtedy zrozumiałem, że raz na zawsze muszę z tym skończyć. Nie wystarczyło już pozbycie się Olsena. Więcej osób wiedziało, co zrobił Ian. Ludzie, którzy mogli wracać w nieskończoność i grozić nam nagraniem, szantażować nas. Nie mogłem jednak pozwolić, żeby zniszczyli obraz naszego syna, który sobie stworzyłaś – był wszystkim, co ci pozostało i czego się uchwyciłaś. Nie dopuściłbym, żeby ci go zabrano. To prawda, zabiłem tych ludzi. Ale oni i tak byli już martwi, były na nich wyroki, chociaż o tym nie wiedzieli. W żadnym wypadku nie uszliby z życiem, nie po tym, jak Arthur włożył kij w mrowisko.

Gloria odwróciła od niego wzrok z obrzydzeniem. Nie mogła znieść obecności Iana, jego dotyku, jego bólu. Nie rozumiał tego. Było jej wszystko jedno, co zrobił ich syn. Był jej dzieckiem, postąpiłaby tak samo jak mąż: kłamałaby, zdradziła, zabiła, ale nie żeby chronić wspomnienie czy myśl o nim. Zrobiłaby to, żeby uratować mu życie. Wbiła wzrok w portret Arthura i nagle wstała i podeszła do biurka, na którym stał kubek z długopisami. Wzięła do rąk nożyczki i zanim Ian czy Guzmán zdążyli zareagować, rzuciła się na obraz i zaczęła dziurawić go, wyjąc jak zwierzę.

Mężczyźni patrzyli na nią nieruchomi. W końcu wyczerpana upuściła nożyczki i wyszła z gabinetu.

– Nigdy ci tego nie wybaczę – powiedziała na odchodne, patrząc na Iana Mackenziego.

Guzmán podniósł z podłogi nożyczki. Miały ostre czubki. Spojrzał obojętnie na strzępy obrazu, wśród których widoczna była połowa oka Arthura.

– Naprawdę żal mi cię, Ianie. Przez swoją zaciętość, żeby zachować wszystko

za wszelką cenę, straciłeś wszystko.

Ian popatrzał na niego z wściekłością. Mógł się rzucić na Guzmána i może udałoby mu się wyrwać mu z rąk nożyczki, ale nie miał szans, żeby go pokonać. Najemnik, jakby czytając w jego myślach, spojrział na niego z wyrzutem i pokazał pistolet, który miał przypięty do paska.

– Nie powinieneś zabijać żony Olsena. W niczym nie zawiniła, chciała tylko wam pomóc i zapomnieć, zacząć żyć swoim życiem.

– Nie da się normalnie żyć dalej, kiedy się wpakowało w coś takiego.

Twarz Guzmána stężała. Podszedł do drzwi gabinetu i przekręcił klucz w zamku.

– Zgadza się. I to prowadzi nas do *clou* tej rozmowy. Chcę jak najszybciej ją skończyć. Spieszę się na samolot, więc darujemy sobie standardową procedurę.

Bez uprzedzenia wyjął pistolet i strzelił Ianowi z bliska w kolano.

– Gdzie jest córka Arthura? Co z nią zrobiłeś? Mam w magazynku dwanaście kul. Zużyję je, jedną po drugiej, dopóki mi nie odpowiesz. Przestrzelę ci rękę, łokieć, stopę, ramię... Zaczynaj liczyć.

Tego dnia Dolores wróciła późnym popołudniem – wtorki miała wolne od pracy. Autobus, którym dojechała do strzeżonego osiedla, był niemal pusty. „Niedługo zlikwidują linię” – powiedziała do kierowcy. „Bogaci mają w nosie transport publiczny. Jest zbyt demokratyczny, zbyt ludzki”. Co ona pocznie, jeśli zlikwidują jedyny autobus, który podwoził ją w pobliże domu? „Musi pani się wzbogacić” – odpowiedział kierowca z sarkazmem.

Później powie policjantom, że zaraz po wejściu do domu zdziwił ją widok klucza tkwiącego od zewnątrz w drzwiach gabinetu pana Iana. Zawsze tkwił po drugiej stronie. Zapukała, ale nie odważyła się wejść.

Drugą niespodzianką, z której powodu zemdłała i nabiła sobie guza na czole, uderzywszy głową o muszlę klozetową, był widok kałuży wody wypływającej spod drzwi sypialni pani Tagger. Kiedy je otworzyła, ujrzała nagą Glorię z głową i połową ciała w wannie. Później Dolores się tłumaczyła, dlaczego tak późno zadzwoniła na numer alarmowy: „Zemdlałam na co najmniej piętnaście minut i ocknęłam się tylko dlatego, że poczułam na twarzy zimną wodę, która wylewała się z wanny”.

Gloria obmyśliła sobie teatralną śmierć: utopiła się w wannie wypełnionej ciepłą wodą z dodatkiem soli kąpielowej. Wcześniej włączyła nokturn Chopina, składając hołd ukochanej babci swojego syna. Obok wanny stała otwarta butelka dobrego wina i niedopałek skręta. Starannie złożyła ubranie. Na wypadek, gdyby

rozmyśliła się w ostatniej chwili, wcześniej połknęła całą paczkę silnego środka nasennego. Nie walczyła, po prostu odeszła spokojnie w kąpiel.

Rozdział 24

Usytuowana przy stromej i wąskiej uliczce knajpka Chez Farida z podniesioną markizą i oznaczona tylko niewielką tabliczką przy drzwiach była namiastką Algierii w dzielnicy Tirso de Molina. Lokal urządzone w typowo arabskim stylu, klienci siadali przy niskich stolikach na ławach z poduszkami w jaskrawych kolorach. Od czasu do czasu właścicielka restauracji pozwalała algierskim artystom pokazywać swoje prace albo wystawiać je na odrapanych ścianach w ceglany kolorze. Ibrahim wpadał tam co jakiś czas, żeby złagodzić nostalgię smakiem domowych dań *machwi*, oszczędnymi porcjami pieczeni, ziemniaczanymi krostkami i deserami z miodem. Tego dnia około południa w restauracji nie było zbyt wielu klientów. Kelnerka uśmiechnęła się do niego przyjaźnie i wskazała stolik w pobliżu wejścia do kuchni, z której dochodził głos kucharki krzątającej się przy akompaniamencie wesolej, niezbyt głośnej muzyki *chaabi*. W powietrzu unosił się zapach mięty i przypraw. Brakowało tylko morskiej bryzy, ale kiedy Ibrahim – siedząc w swoim kącie – zamknął oczy, mógł sobie wyobrazić, że znów jest w domu.

Arthur pojawił się dziesięć minut później. On też lubił tradycyjną algierską kuchnię i przytulną atmosferę restauracji. Spotykali się tam od czasu do czasu, a po skończonym obiedzie jeszcze długo siedzieli i rozmawiali. Tego dnia jednak Arthur nie był w humorze i się spieszył. Opadając ciężko na ławę, podziękował za kartę dań i zamówił piwo z beczki.

– Co jest takie pilne?

Ibrahim wystukiwał palcami rytm muzyki dobiegającej z kuchni o nakryty obrusem blat stolika i przyglądał się czarno-białym fotografiom na ścianach. Patrzyli z nich wieśniacy, ludzie, których życie nie potraktowało łagodnie. W ich spojrzeniach – jednych nieśmiałych, a innych bezpośrednich – malował się ból i oskarżenie. Zdjęcia starych wieśniaków z potarganymi włosami, kobiet z cieniem wąsów nad pomarszczonym uśmiechem, szczęśliwych szczerbatych dzieci, które skaczą w bieliźnie ze skały do morza. Kadry zatrzymane w czasie przez anonimowego artystę, który chciał je sprzedać z fałszywym przekonaniem, że ukazanie cierpienia może kogoś zainteresować. Te twarze kontrastowały z twarzami niewielu klientów lokalu: młodych Algierczyków, którzy palili jasny tytoń, ubrani w koszulki Real Madrytu i luźne dżinsy, par dzielących się

szaszłykiem z baraniny czy rozwyrzonych dzieci pijących coca-colę. Rzeczywistość zawsze ma dwie twarze, pomyślał Ibrahim. A nostalgia była tą mniej jasną.

– Gdzie został pochowany twój ojciec? – zapytał nagle Arthura.

Ten spojrział na niego z ukosa, unosząc jedną brew.

– W masowym grobie na cmentarzu w małym miasteczku pod Malagą, tam, gdzie go zabito. Moja matka nie miała pieniędzy na ekshumację, a potem ja też nie chciałem tego robić. Po co?

– Odwiedzasz go czasami?

– Nie. Dlaczego pytasz?

Ibrahim wskazał jedno ze zdjęć wiszące po prawej stronie od ich stolika. To była dziwna fotografia: odcienie szarości tworzyły niezwykle napięcie scenerii, w której na szczycie otoczonego niskimi chmurami wzgórza rysowały się sylwetka berberyjskiego pasterza, ubranego w wytartą dżelabę, i psa. Obaj odwróceni byli tyłem i patrzyli na otwierającą się przed nimi pustynię.

– To wzgórze Dżebel Adjdir. Tam jest pochowany mój ojciec. Chociaż tego nie widać, za pustynią rozciąga się morze. Lubię wyobrażać sobie, że mój ojciec patrzy w jego stronę i obserwuje mnie, gdziekolwiek się znajdę.

Arthur spojrział na zdjęcie z obojętnością. Ibrahim nie zwykł w jego towarzystwie okazywać nostalgii.

– Wiesz, że mój ojciec był członkiem Frontu Wyzwolenia Narodowego? Brał bardzo aktywny udział w naszej wojnie o niepodległość. Przez wiele lat musieliśmy utrzymywać w tajemnicy, gdzie był pochowany; władze nie lubiły męczenników i nie chciały, żeby grób stał się miejscem pielgrzymek. Ekshumowano by ciało i kazano wrzucić do masowego grobu. Ale tego, czego nie udało się zrobić władzom, dokonał czas. Dziś nikt już nie chce pamiętać tamtych czasów i ich bohaterów. Nie ma pielgrzymów, kwiatów i nikt już nie zostawia pod kamieniami karteczek z obietnicami czy prośbami. Dawni bohaterowie tylko uwydatniają mierność obecnych.

Spojrział na Arthura nieobecny wzrokiem, jakby już nie siedział przy stoliku.

– Wyjeżdżam z Madrytu. Chcę spędzić ostatnie lata życia w Algierze.

Arthur popatrzył na niego zdziwiony.

– Nie możesz wyjechać, to jeden z warunków twojego warunkowego zwolnienia. Jeśli opuścisz Hiszpanię i przestaniesz stawiać się co piętnaście dni w sądzie, staniesz się zbiegiem.

– Nie zamierzam wracać.

– Nie masz paszportu, zatrzymają cię na granicy.

Ibrahim się uśmiechnął. Papiery, mury. Wynalazki, które nie są w stanie powstrzymać wiatru. W restauracji panował coraz większy ruch – ludzie wchodzili i wychodzili, dźwigając ciężar swojego życia. Nie wiedzieli tego, ale byli wolni.

– Dam sobie radę.

Arthura zaskoczył tajemniczy błysk, który zauważył w oczach Ibrahima.

– I co będziesz robił? Wrócisz do handlowania bronią, do narkotyków i bójek? Nie jesteś już młody, trzeba być silnym, żeby tam przeżyć.

Ibrahim skinął głową, jednocześnie dotykając blizny na swojej twarzy. Nie był już tym samym człowiekiem. Rany się zablizniają. Z upływem czasu, dzięki cierpliwości i sile woli.

– Chciałem powiedzieć ci jeszcze o czymś: zaproponowałem Andrei, żeby pojechała ze mną.

Arthur wybuchł nerwowym śmiechem.

– Co ty pieprzysz?

Ibrahim wziął głęboki oddech i wyznał mu wszystko:

– Kocham Andreę, odkąd byliśmy dziećmi, zanim ty ją poznałeś. To jedyny powód, dla którego utrzymałeś się przy życiu przez te wszystkie lata w więzieniu.

Był zwykłym chłopakiem z przedmieść – brudnym, chorowitym i obdartym – którego dni upływały między strachem a pragnieniem bycia tym, kim był: dwunastolatkiem z zaropiałymi oczami, upojonym pasją życia. Już wtedy grał na *ney* i twierdził, że zna tajemnice *sukrum*, świętego tańca derwiszy. Mówił, patrzył, śmiał się i całował bez żadnych kompleksów każdą dziewczynę, która mu na to pozwoliła. Szczególnie podobała mu się ta nieśmiała i niepozorna dziewczyna z Bab el Oued. Chodzili na plażę kąpać się nago. To właśnie wśród morskich fal po raz pierwszy ich ciała zbliżyły się do siebie. Początkowo była to zabawa w podtapianie, ale wkrótce zmieniła się ona w o wiele bardziej czułe, choć niezgrabne pieszczoty. To właśnie na plaży ukryli się pod jedną z łodzi i Ibrahim ją pocałował – sądził, że ma w tym doświadczenie – ona jednak splunęła jak facet i powiedziała mu, że nie życzy sobie, by wkładał jej do ust język. Niedługo później zaczęli jeździć pociągiem na wycieczki do Hydry, oglądali zachody słońca przy fontannach, w których chłodzili się w upale i zmywali ze skóry sól morską, spędzali wieczory na tarasie widokowym, z którego roztaczała się panorama wybrzeża, a potem wracali do Algieru z mokrą bielizną w plastikowej torbie – dziewczyna zawstydzona, a on triumfujący, ponieważ udało mu się skraść jej pocałunek z języczkiem.

– Zakochałem się w młodszej córce właściciela księgarni Paríś. Mam zamiar ożenić się z nią i wyjechać do Francji.

– Tej świni? To kolaborant, policyjny kapuś i informator Organizacji Tajnej Armii. To kat! – krzyknął jego brat z wściekłością.

Jakie znaczenie miało słowo *kat* dla dwunastolatka? Jak głęboko w jego młodym umyśle tkwiło pojęcie śmierci? Tak, jego ojciec nie żył, a on przyzwyczyił się do nocnych strzelanin, do późnych powrotów starszego brata w ubraniu poplamionym krwią, która nie zawsze należała do niego. Ibrahim żył otoczony przemocą i mógł wykrzykiwać jak inni antyeuropejskie slogany powtarzane jak mantra przez walczących przywódców; znał na pamięć hymn nowej Algierii napisany przez Mufdiego Zakariję: „Jesteśmy żołnierzami rewolucji prawdy”. I co? On tylko czekał od piątku do piątku, żeby pobiec na plażę i kąpać się nago z Andream. Widział w oczach brata i w bolesnym milczeniu matki wyrzut, że był złym muzułmaninem, złym synem, złym bratem i złym patriotą. „Do diabła z tym światem szaleńców” – myślał. Był szczęśliwy.

– Wszystko mi jedno, zamierzam z nią wyjechać i...

Pierwsze uderzenie w twarz rozcięło mu dolną wargę. Drugie wycelowane było prosto w nos.

– Jesteś *zdrajcą* swojej rodziny i ojczyzny! – wycodził brat przez zęby, grożąc wciąż zaciśniętą pięścią, którą go uderzył.

Ibrahim popatrzył na krople krwi, które spadały mu na dłoń, a potem na brata z wielką wściekłością. To on czuł się oszukany i zdradzony przez własną rodzinę.

– Idź do swojego pokoju, Ibrahimie – zdołała wydusić z siebie drżącym głosem matka.

Skuliła się w sobie, jakby chciała stać się niewidzialna.

– Ale...

– Idź do swojego pokoju!!!

Był rozżalony i nie rozumiał. Jak mogli tak się wściekać tylko dlatego, że chciał być szczęśliwy? Dzieciństwo Ibrahima upływało powoli, wśród stłumionych hałasów ulicy i przejeżdżających samochodów, których bał się jego starszy brat, jeśli zbyt długo stały przy drzwiach domu. „Wyjrzyj, Ibrahimie i zobacz, kto to” – szeptał do niego, zawsze gotowy do ucieczki tylnymi podwórkami; bliskie mu były wszechogarniające napięcie i strach, odkąd terroryści z Organizacji Tajnej Armii zabili ich ojca. Teraz to jego starszy brat przejął pałeczkę opozycjonisty. A kiedy on zginie, to Ibrahim powinien kontynuować walkę. Tymczasem wszyscy bez przerwy słuchali przemówień Budiafa czy Bena Belli, bohaterów bitwy o Algier, w której walczył ojciec przeciwko spadochroniarzom generała Jacques’a Massu.

Ale Ibrahim nie chciał być narodowym męczennikiem jak ojciec i brat. Chciał być z Andream.

Nagle dało się słyszeć odgłos opon jadących po ubitej drodze: z ciemnego samochodu z wyłączonymi reflektorami wysiadło trzech mężczyzn. Ciemne auta pojawiające się nocą z wyłączonymi światłami zawsze oznaczały to samo. Nagle zgasły też światła w oknach sąsiednich mieszkań.

Przyjechali po nich. Ibrahim pobiegł ostrzec matkę i brata. Dotarł jednak niemal w tym samym momencie, kiedy drzwi wejściowe – lichey kawał sklejk – rozlatywały się w drobny mak. W ułamku sekundy jego brat wyskoczył przez małe okienko wychodzące na tylne podwórko, nie zdążywszy włożyć koszuli. Gdy skakał, jeden sandał spadł mu z nogi. Matka podniosła but i stanęła twarzą w twarz z trzema mężczyznami, ściskając go tak samo jak w chwilach, kiedy Ibrahim miał dostać porządne cięgi za coś, co ją wyprowadziło z równowagi, co zdarzało się dość często. Tylko że tym razem jeden z mężczyzn z łatwością wyrwał jej but z ręki i kopnął ją w żołądek. Upadła na podłogę z cichym jękiem.

Pozostali dwaj intruzi byli zbyt korpulentni, żeby precyzyjnie się przez okienko, więc stracili dużo cennego czasu, zanim dostali się na tylne podwórko. Trzeci mężczyzna został z Ibrahimem i matką. Był przystojny, wysoki, o oliwkowej karnacji, jaką dają długie pobyty na pustyni. Rudy. Z boku swojej szerokiej szyi zapaśnika miał wytatuowane skrzydła przebite sztyletem i zdanie: „Ojczyzna przede wszystkim”. Kiedy ruszył w stronę matki – wciąż leżącej na podłodze – Ibrahim zagroził mu drogę z dzikim krzykiem. Mężczyzna z początku nie zauważył jego obecności, dlatego spojrzał na niego z zaskoczeniem, które po chwili zmieniło się w głębokie niezadowolenie. Jego ogromna, zrogowaciała i owłosiona ręka dosłownie zamknęła się na twarzy chłopaka z potworną siłą i Ibrahim poczuł, jak jego stopy odrywają się od ziemi, a potem jak szmaciana kukła uderza całym ciałem o ścianę. Jeden, dwa, trzy razy. Aż stracił przytomność.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał zakrwawioną koszulkę. Matka miała podbite oko i podartą sukienkę. Wstydliwie zasłaniała ciemne i wysuszone piersi, chociaż na twarzy wciąż malowała się charakterystyczna dla niej duma. Uśmiechała się lekko i patrzyła na syna z miłością. Mówiła mu wzrokiem, żeby był silny. Wszystko mija, nawet to, co okropne.

Mężczyźni, którzy ruszyli w pogoń za bratem, wrócili spoceni i rozczarowani. Jeden z nich trzymał w ręku rewolwer. Powiedział, że strzelił, ale nie był pewny, czy trafił. Brat Ibrahima doskonale znał labirynt okolicznych uliczek i małych placyków – nie dał się złapać, był sprytny i szybki. Ibrahim ucieszył się, wiedząc, że ci dranie go nie dorwali. Byli zdenerwowani i wściekli.

Nie pomyślał, że to pogarszało sytuację jego i matki.

Mężczyzna z tatuażem na szyi zrobił krok w jego stronę.

– Co cię tak bawi? – zapytał. Złapał chłopaka za szyję i potrząsnął nim, jakby chciał mu urwać głowę. Potem ujął go pod brodę i spojrzał na niego z ironią. Ibrahim gwałtownie odwrócił głowę i wyszarpnął się z jego lodowatego uścisku, ale rudzielec złapał go jeszcze mocniej, zmuszając go, żeby utworzył usta i pokazał jeszcze wtedy piękne zęby. – Gdzie jest twój brat, ślicznotko? Na pewno brnie gdzieś w gównie, chowając się jak szczur, którym jest w rzeczywistości. Jeśli zaczniesz głośno krzyczeć, jeśli zmuszę cię do tego, sądzisz, że wyjdzie ze swojej kryjówki, czy pozwoli ci cierpieć? A jak potem zabiorę się za twoją matkę? Co ty na to? Jeśli ją kochasz, poproś ją, żeby mi się oddała.

Ibrahim nie odpowiedział, nie pozwalała mu na to ściskająca mu dłoń ręką. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, z całej siły wbił zęby w tę ogromną owłosioną dłoń, która śmierdziała prochem, tytoniem i pastą do czyszczenia wojskowych butów. Zagryzał ją mocno, dopóki nie poczuł w ustach krwi.

Rudzielec zawył z bólu i drugą pięścią uderzył Ibrahima w twarz, ale chłopak go nie puścił, jak pies gończy, który dorwał swoją ofiarę. Wtedy mężczyzna wyjął z pochwy przypiętej do łydki maczetę. Był to duży wojskowy nóż z szerokim ząbkowanym ostrzem i zakrzywionym końcem. W rękojeści tkwiła stalowa kula z kompasem. Ibrahim poczuł uderzenie, jakby dostał średniowieczną maczugę, która wybiła mu zęby. Rozwścieczony mężczyzna z tatuażem wyprostował się, trzymając za bolącą rękę. Drugi kopnął chłopaka wojskowym butem śmierdzącym psim gównem. Rudzielec przygniół Ibrahima do ziemi kolanem, a jego kompan przytrzymał mu ręce. Trzeci mężczyzna tymczasem uderzeniami powstrzymywał szarpiącą się matkę.

Tej nocy zabito w nim dziecko, którym był: dwóch nieznanomych przytrzymało go na podłodze, podczas gdy ostrze maczety przecinało mięśnie jego twarzy i rwało skórę wśród krzyków i strumieni krwi zalewających jego rozszerzone źrenice, wpatrzone tępo w niewyraźną postać matki. Już nie krzyczała, patrzyła tylko na niego z nieskończoną miłością, zapominając o sobie, jakby chciała wciągnąć cały ból swojego syna, nie tylko ten, który czuł w tej chwili, ale także ten, który miał jeszcze nadejść.

Okaleczone dzieci stają się niepełnymi ludźmi, nie są w stanie naprawdę czuć, zdolne tylko do udawania miłości, namiętności czy radości. Ulotne chwile szczęścia zawsze wiszą na włosku. Nigdy nie wiadomo, co ponownie otworzy ich rany: nocny kszmar, przypadkowe spojrzenie, wspomnienie.

Ibrahim spojrzął na Arthura.

– Dlatego powinno się niszczyć złodziei dzieciństwa, ponieważ dopuszczają się najgorszego czynu przeciwko ludzkiej istocie: okradają ją z nadziei i niszczą duszę. To właśnie zrobił ze mną twój ojciec, porucznik Luis Fernández.

Arthur patrzył na Ibrahima z otwartymi ustami i kamienną twarzą. Mierzył go zdziwionym i przerażonym wzrokiem.

– To nie może być prawda – odezwał się łamiącym się głosem.

Ibrahim wskazał na swoją bliznę.

– Tutaj masz dowód.

Arthur potrząsnął głową i przełknął ślinę.

– To się nie trzyma kupy, nie ma sensu.

Było w tym tyle samo sensu, co w przeznaczeniu, które jest pewnego rodzaju sprawiedliwością.

– Pamiętasz, kiedy po raz pierwszy zobaczyliśmy się w więzieniu? Poczułem, jakbym ujrzał twojego ojca. Jesteś jego wierną kopią. A kiedy opowiedziałeś mi swoją historię, byłem pewien, że jesteś synem porucznika, który zniszczył mi życie. W tamtej chwili miałem ochotę cię zabić, ale wtedy wyjąłeś zdjęcie z podróży poślubnej i przykleiłeś nad łóżkiem. Uśmiechnąłeś się i powiedziałeś mi, jak ma na imię twoja żona. Zrozumiałem wówczas, że Allah jest mądry i że każda droga, jakkolwiek długa by była, zawsze dokądś prowadzi. Dzięki tobie odnalazłem Andreeę.

Ibrahim wstał i zmierzył Arthura chłodnym wzrokiem.

– Na zewnątrz czeka Ormianin. To ja go zawiadomiłem, że tu przyjdiesz.

Arthur przekręcił się skulonym i napiętym ciałem: Ormianin stał w drzwiach, oparty plecami o futrynę, a za nim można było dostrzec wygoloną głowę olbrzyma z tatuażem na szyi. Arthur odwrócił się z wściekłością do Ibrahima.

– Nie możesz karać mnie za coś, czego nie zrobiłem. Nie jestem moim ojcem. Nie byłbym zdolny do tego, co ci zrobił.

– Oczywiście, że byłbyś zdolny. Wszyscy jesteśmy jak nasi ojcowie. Kiedy na ciebie patrzę, widzę jego i burzy się we mnie krew. Masz takie samo spojrzenie, grymas na twarzy. Nie uciekniesz przed tym.

Arthur wstał.

– Nie masz prawa mnie osądzać!

Ibrahim złapał go za ramię.

– Możesz próbować uciekać, ale jeśli to zrobisz, Andrea nigdy się nie dowie, co naprawdę stało się z Arohą. Ormianin zna ludzi z przestępczego świata związanego z handlem ludźmi. Nikt nie znika bez śladu, którego nie mogliby

namierzyć. Zawarłem z nim umowę: twoje życie w zamian za informację, gdzie jest wasza córka.

Arthur zmarszczył brwi. Był blady. Spojrzał z nienawiścią na Ibrahima.

– Kim ty jesteś, żeby handlować moim życiem? Guzmán znajdzie Arohę, nie potrzebuję do tego Ormianina.

Ibrahim nie tracił panowania nad sobą, puścił ramię Arthura i rozłożył ręce, pokazując, że nie ma zamiaru stawać mu na drodze. „Sam musisz podjąć decyzję: wyjść drzwiami frontowymi czy uciec przez zaplecze”.

Arthur znów spojrzał przerażonym wzrokiem na drzwi. Ormianin zbliżał się do niego niespiesznie, z rękami w kieszeniach.

– Ty albo Aroha – powtórzył Ibrahim.

Arthur wybrał tylne wyjście. Strach pchnął go w stronę kuchni. Rosły zbir Ormianina ruszył jego śladem. Słychać było dźwięk tłukących się naczyń i krzyki kucharki zaskoczonych nagłą gonitwą.

– Dlaczego go uprzedziłeś? Nie tak się umawialiśmy – zapytał Ormianin Ibrahima z mieszaniną złości i rozbawienia w głosie. Klienci lokalu rzucali mu wylęknione spojrzenia. Nie był jednym z nich, wyróżniał się w tym miejscu jak czarna plama na białej koszuli.

Ibrahim popatrzył na zdjęcie pasterza i psa.

– Każdy ma prawo pokazać swoją prawdziwą naturę. Teraz Arthur już wie, kim naprawdę jest. W każdym razie daleko nie ucieknie, doskonale wiem, gdzie go znaleźć.

Ormianin spojrzał na niego ze zdziwieniem, w którym złość mieszała się z podziwem.

– A więc to prawda: masz swoje zasady. – Powiedział to takim tonem, jakby Ibrahim był zadżumiony i znosił swoją chorobę z godnością. Wyjął z kieszeni karteczkę i mu ją podał: zapisany był na niej adres i współrzędne geograficzne. – Tam znajdziesz dziewczynę.

Ibrahim spojrzał na kartkę.

– Żywą?

Ormianin wykrzywił twarz w grymasie, który nie oznaczał niczego konkretnego.

– Może. Pewnych pytań nie należy zadawać zbyt nachalnie. Żeby zdobyć ten adres, musiałem obiecać wystarczająco dużo przysług. W pewne sprawy nawet ty i ja nie powinniśmy się mieszać. Powinieneś zniknąć jak najszybciej, Ibrahimie. Radzę ci, żebyś wrócił do swojego rodzinnego miasta i zapomniał o przeszłości.

Ibrahim schował kartkę. Jedyne rady, jakich w życiu posłuchał, pochodziły

od człowieka, który leżał pochowany na opustoszałym wzgórzu obok jego ojca.

– Powiem ci, dokąd uciekł Arthur.

Aroha od dziecka była śpiochem. Rano nie chciało jej się wstać, leżała długo w łóżku, ziewając i przewracając się z boku na bok, a kiedy matka spuściła z niej oko, znów zasypiała, jakby nie obchodziło jej nic, co się dzieje poza jej pokojem. Zdenerwowana Andrea, mając dość wołania córki, prosiła Arthura, żeby wyciągnął ją z łóżka. On wchodził do pokoju, nie zapalając światła, głaskał dziewczynkę po głowie i całował w czoło, i szeptał do niej łagodnie, dopóki powoli nie wyciągnął jej z głębokiego snu. Tylko dzięki cierpliwości Arthura Aroha w końcu wstawała bez marudzenia i codziennie nie spóźniała się na lekcje. Wołała też, kiedy ojciec odwoził ją do szkoły, i nie miała nic przeciwko temu, żeby odprowadzał ją za rękę do wejścia do budynku, gdzie – jedząc pestki słonecznika i śmiejąc wkoło łuskami – czekały na nią koleżanki. Niczym stado wróbli w szkolnych mundurkach (czerwona koszulka polo z wyhaftowanym godłem szkoły, spódniczka w kratkę i szare podkolanówki), przyglądały się jedna przez drugą, jak Arthur podawał córce plecak i tulił jej drobne ciało w swoich niedźwiedzich ramionach, z których wystawała tylko jej głowa.

– Moje koleżanki mówią, że jesteś super. – „Super” wypowiedziane z truskawkowym cukierkiem w ustach i aparatem ortodontycznym zmieniającym jej uśmiech w komiczną, metaliczną torturę.

Głos córki docierał do niego z bardzo daleka: „Jesteś najlepszym tatą na świecie”. „Na świecie?”. „Na świecie i we wszechświecie”. „Tak brzmi o wiele lepiej”. Tak, kiedy była mała, on był jej bohaterem.

Jednak w pewnym momencie przestała potrzebować, żeby budził ją co rano. Wstawała sama, zanim zadzwonił budzik czy zawołała ją Andrea. Niewielkie zmiany, jak wtedy, kiedy Arthur ją prosił, żeby usiedli i porozmawiali, a ona się wykręcała, wymyślając na poczekaniu jakąś wymówkę, i zamykała się w jego gabinecie, żeby porozmawiać przez telefon i zwierzyć się jakiemuś nieznanemu – komu? – ze swoich sekretów, do których ojciec nie miał dostępu. „Jakoś to przeżyję. Dzieci dorastają i oddalają się od rodziców” – przekonywał sam siebie Arthur. Nie powinien był jednak zaakceptować bez walki tego zwiększającego się dystansu. Powinien był zwrócić uwagę na alarmujące sygnały, których ostatniego lata było coraz więcej: „Potrzebuję pieniędzy”. A on dawał jej je w zamian za chwilę rozmowy, pośpieszny uśmiech czy buziaka. Kupował jej miłość, która stopniowo słabła, chociaż coraz więcej go kosztowała. „Jak tam w szkole?”. „Dobrze”. „Jaką teraz czytasz książkę?”. „Taką. Dasz mi pieniądze?”. Jeśli za bardzo ją wypytywał,

denerwowała się, więc przestał pytać. „Przynajmniej zdaj do następnej klasy”. „Dobrze, nie marudź. Dasz mi te pieniądze czy nie?”. „Na co ci tyle?”. Na wyjazd z koleżankami do Walencji, weekend w siodle, nowy odtwarzacz MP3. A on jej dawał te pieniądze.

Stopniowo, kiedy stała się nastolatką, zaczęły się prawdziwe kłopoty: ucieczki z domu, doprowadzenia na komisariat, nieodpowiedni i dużo starsi od niej faceci, ciągły bunt, konfrontacje, awantury, trzaskanie drzwiami i pierwsze sygnały, że zaczęła zabawę z narkotykami. Bezcelowe wizyty u psychologa, wydalenia ze szkół.

Nagle Arthur ją stracił, nie wiedząc kiedy. To nie była już jego córeczka, nie miał na nią żadnego wpływu. W jej wzroku zaczął dostrzegać wyrzuty i oskarżenia. Dziewczyna odkrywała, jakim człowiekiem jest jej ojciec, dowiadywała się o jego zdradach czy długich nieobecnościach w domu, które próbował wynagrodzić prezentami.

Nie było go w domu w dniu, w którym Aroha zniknęła. Nie widział, jak umyła zęby (już bez aparatu ortodontycznego), uczesała się i wyszła, żeby nigdy nie wrócić. W tamtym momencie w pokoju hotelowym patrzył na odbicie w lustrze innej kobiety, na jej nagie, błyszczące ciało i zachęcający uśmiech. Podczas gdy jego córka podążała w kierunku swojej zguby, on pieprzył się z kochanką, której nigdy nie pokochałby tak mocno, jak kochał Andreę i Arohę. Ta myśl wciąż go dręczyła. W takim razie dlaczego to robił? Dlaczego świadomie niszczył sobie życie krok po kroku? Nigdy nie znalazł na to odpowiedzi. Może był nią ten wewnętrzny głos, który oskarżał go o oszustwo zawsze, kiedy zbliżał się do szczęścia. Może nie zasługiwał na bycie szczęśliwym.

„Jeszcze nie jest za późno” – powiedział do siebie, mrużąc w słońcu oczy. Wsiadł z samochodu przekonany, że Andrea wciąż go kocha. Nie mógł uwierzyć, że to, co powiedział Ibrahim, jest prawdą. Nie mogła go zdradzić w ten sposób. Musiał zobaczyć się z nią po raz ostatni, spojrzeć jej w oczy, żeby zrozumiała, jak bardzo ciążyła mu przeszłość. Mogliby się zmienić, ludzie się zmieniają. Guzmán znalazł wreszcie miejsce pobytu Arohy, Ormianin nie był im do niczego potrzebny. Wyjadą we troje, zaczną wszystko od nowa, tym razem naprawdę.

Otumaniony i z błędnym wzrokiem przeszedł przez parking kliniki, nie zauważywszy dwóch postaci, które pojawiły się między samochodami, dopóki nie było za późno.

Ormianin stanął mu na drodze, a jego olbrzymi ochroniarz zaszedł go od tyłu. Arthur chciał się cofnąć, ale zdał sobie sprawę, że miał odciętą drogę ucieczki.

– Nie musisz tego robić – wyjąkał, nie spuszczać wzroku ze zbira, który krążył jak wilk w klatce za jego plecami. – Mogę ci zapłacić każdą kwotę, jeśli pozwolisz nam odjechać. Podaj swoją cenę.

W oczach Ormianina dostrzegł błysk przypominający płomień pochodni w głębi jaskini.

– Ile warte jest życie twojej córki? Ile zapłaciłeś żeby ją odzyskać?

Olbrzym rzucił się na Arthura, wykorzystując chwilę jego nieuwagi. Ten jednak uchylił się przed jego pięścią i przeleciała ze świstem obok jego ucha. Arthur odruchowo uderzył zbira z całych sił łokciem i złamał mu nos. Mięśniak otrząsnął się ogłuszony i uniósłszy ręce do twarzy, zawył jak bestia, ale trzymał się dalej na nogach. Arthur próbował wykorzystać swoją przewagę, żeby go powalić na ziemię, jednak olbrzym uchylił się z wściekłością, złapał go jedną ręką za tchawicę i unieruchomił. Uniósł drugą pięść, żeby wymierzyć mu ostateczny cios.

– Nie tutaj! – powstrzymał go Ormianin. Olbrzym, drżąc z wściekłości, zatrzymał rękę. Zawahał się przez ułamek sekundy, ale w końcu parsknął i opuścił ramię. – Do samochodu.

Arthur nie wiedział, co to za miejsce – prawdopodobnie gdzieś w górach, daleko od Madrytu. Wokół widać było tylko sosnowe lasy i wijącą się boczną drogę, która znikła za wzgórzem. Zmierzchało, pierwsze gwiazdy kołysały się na rozmytej linii ciemniejszego horyzontu. Ciepły podmuch wiatru chwiały wysoką trawą, w której stał. Zdjęli mu buty i skarpetki i przywiązali go do skały. Ostre krawędzie cięły mu wewnętrzną część ramion. Próbował się odsunąć, żeby złagodzić napór ciała. Ormianin siedział na suchym pniu, miał w ustach łydę żyta, z przymkniętymi oczami wsłuchiwał się w melodię, którą słyszał w głowie, i podśpiewywał ją cicho, ledwo dostrzegalnie kołysząc ciałem. Kilka metrów dalej olbrzym łukiem obsikiwał krzaki. Nos spuchł mu jak ziemniak, a na twarzy miał ślady zaschłej krwi.

Ormianin szeroko otworzył oczy i wypluł z ust łydę.

– Kiedy byłem mały, ludzie przyjeżdżali tutaj spędzić dzień z dala od miejskiego zgiełku. Ojciec upychał w swoim fiacie sześćset składane krzesła i stół kempingowy, matka kupowała świński ryj i ogon i robiliśmy tu fantastyczne pikniki. W tamtych czasach nikt nie przejmował się pożarami, można było rozpalać ogniska bez pytania o zgodę. Życie było prostsze. Po jedzeniu rodzice rozkładali w cieniu koc, robili sobie sjęstę, a ja ruszałem na poszukiwania. Ten pień był kiedyś olbrzymią, piękną sosną. Podobno można odczytać wiek drzewa

po liczbie słoików. To było bardzo stare. Pamiętam, jak pewnego dnia próbowałem wspiąć się po nim jak najwyżej, ale spadłem i rozbiłem sobie głowę. Rodzice nawet tego nie zauważyli, dopóki nie obudzili się i nie zobaczyli śladów krwi. Zawieźli mnie na pogotowie, gdzie założono mi pięć szwów, ale przez całą drogę do domu ojciec lał mnie po twarzy za to, że zepsułem mu dzień na łonie natury, a matka tylko płakała.

Zachichotał, jakby to wspomnienie wydało mu się tragicznie zabawne, i spojrzał na Arthura z zaciekawieniem.

– Założę się, że ty nigdy nie wspiąłeś się na żadne drzewo.

Powoli mrok spowijał krajobraz zasłoną z cieni. Wszystko pozostało na swoim miejscu, a jednocześnie znikało. Ormianin westchnął, wpatrując się w krwawy horyzont.

– Często wyobrażałem sobie, że jestem zwykłym człowiekiem, że moja córka wdrapuje się na to drzewo, ale ja nie śpię, tylko pilnuję jej na dole z rozpostartymi ramionami, gotowy ją złapać, gdyby spadała. Kiedy człowiek pół życia spędzi w więzieniu, rzeczy, które sobie wyobraża, że zrobi po wyjściu na wolność, brzmią śmiesznie. A potem okazuje się, że już nikt nie rozpala ognisk, bo to zabronione, drzewo ścięto dawno temu, a w to zaśmiecone prezerwatywami, puszkami i petami miejsce zjeżdżają teraz dziwki i ćpuni, żeby spędzić tu swój dzień na łonie natury... Okazuje się, że nie mam już córki, o którą mógłbym się martwić, jeśli spadnie z drzewa i zrobi sobie krzywdę.

Popatrzył na Arthura ze smutkiem i zamilkł na chwilę, sprawdzając, jaki efekt wywarły na nim jego słowa.

– Kiedy kielich goryczy się przepełni, serce przestaje cierpieć, bo już nie czuje bólu. Skończyłem z zadreczaniem się myślami o tym, czego nigdy nie było i nie będzie. Puściłem w niepamięć pytania, na które nikt nie może mi odpowiedzieć, ponieważ nie ma na nie odpowiedzi i nie istnieje Bóg, który mógłby mnie pocieszyć. Jediną rzeczą, dzięki której znajdowałem ukojenie przez cztery ostatnie lata, była pewność, że pewnego dnia znajdziemy się tutaj, ty i ja, dokładnie tak jak teraz i że opowiem ci o tym wszystkim, zanim cię zabiję.

Dał znak zbirowi, a ten poszedł do samochodu i wyjął z bagażnika sportową torbę, z której wystawał łuk piły i trzonek siekiery.

Ormianin wstał i zaczął podwijać rękawy koszuli. Z ponurym wyrazem twarzy pokazał Arthurowi ostry nóż survivalowy. Przysięgł sobie zemstę i musiał słowa dotrzymać. Musiał dbać o swoją reputację, ponieważ życie ludzi jego pokroju całkowicie zależało od szacunku, który krwawo sobie wywalczyli. Dlatego śmierć Arthura powinna stać się legendą. Recydywiści będą przez lata opowiadać sobie

o niej na spacerach, więzienni strażnicy poczują strach, dowiadując się szczegółów, a nowi więźniowie zaraz po przekroczeniu więziennej bramy będą poznawać historię Ormianina.

– Obiorę cię ze skóry jak pomarańczę taką samą maczetą, jaką twój ojciec pociął twarz Ibrahima, potem mój przyjaciel pokroi cię na kawałki i porzucam twoje resztki na przestrzeni kilku kilometrów wokół tych gór, żeby dzikie zwierzęta miały co jeść. Zostawię sobie tylko twoje serce. Pokażę je twojej żonie, zanim wykluję jej oczy i też ją zabiję. Co prawda obiecałem Ibrahimowi, że nie zrobię jej krzywdy, ale obaj wiemy, że nie mogę tej obietnicy spełnić. Ani z ciebie, ani z czegokolwiek, co w życiu stworzyłeś, nic nie zostanie, Arthurze. Jakbyście ty i twoja rodzina nigdy nie istnieli. Najważniejsze jednak, że umrzesz, nie wiedząc, co się stało z twoją córką. Z niepewnością, czy twoje wysiłki, krzywdy, które wyrządziłeś, i cierpienia, jakie spowodowałeś, miały jakikolwiek sens.

Rozdział 25

Ostatnie dni maja odchodziły, pozostawiając po sobie zapach burzy. Żaby obserwowały ją swoimi rozbieganymi oczami z sadzawki przed domem. Olga postawiła na ziemi walizkę, nie mogąc się zdecydować, żeby pchnąć drzwi. Powrót uważała za porażkę. Kamienny front domu powitał ją ponuro, a wyrastające z samotnej donicy chwasty patrzyły na nią z ironią. Sądziła, że uda jej się przezwyciężyć przeznaczenie, oddalić się od tego miejsca, zmienić swój los i uciec. Ale znów tam była – a sądząc po kolorowej walizce na kółkach – planowała zostać.

Otworzyła drzwi i weszła do cichego wnętrza, które rozpoznała z bólem. Niemal nic się nie zmieniło: te same meble, chociaż inaczej ustawione, obrazy na ścianach, ten sam kurz i cisza. W głębi domu słychać było telewizor. Miał wysoko nastawioną głośność, jakby ktoś chciał dźwiękiem wypełnić duszącą ciszę.

Jej matka była przed owalnym lustrem. Szczotkowała długie siwe włosy, siedząc na wiklinowym krześle. Kosmyki opadały jej na nagie ramiona. Była naga od pasa w górę: miała bladą skórę usianą ciemnymi plamkami, a wyschnięte, pomarszczone i opadające piersi poruszały się jak wahadła w rytmie ruchów jej ramion.

– Cześć, mammo.

Stara kobieta znieruchomiała ze szczotką w ręku i spojrzała na Olę przez lustro. Jej bezbarwne matowe oczy rozbłysły na chwilę, po czym opuściła powieki i energicznie powróciła do przerwanej czynności. Jakby nie upłynęło czternaście lat. Olga podeszła, wyjęła jej z ręki szczotkę i zaczęła ją czesać jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką i matka uczyła ją, jak rozczesywać włosy, nie szarpiąc ich. Popatrzyła na jej odbicie w lustrze. Były do siebie zbyt podobne, żeby oczekiwać, że będą miały inne życie. Były połączone niewidzialną nicią. Olga należała do tego mroku, zapachu, smutku, gdzie muchy latały nad misą z nadgniłymi owocami, a kochankowie jej matki przyglądali się jej z galerii zdjęć na komodzie. Kolekcji porażek i złudzeń, ucieczek i obietnic, których nikt nie dotrzymywał. A wśród nich w kącie znajdowało się również zdjęcie Tea.

– Nie możesz tutaj zostać. Nie jesteś mile widziana w tym domu.

Olga nie miała siły, żeby postawić się matce i opowiedzieć jej całą prawdę. Prawda była żalem, który odwracał się przeciwko niej. Matka oskarżała ją

o zniszczenie jej szansy na bycie szczęśliwą z jedynym mężczyzną, który ją kochał. Oszukiwała się, Teo kochał tylko siebie.

W telewizji mówiono o Arthurze. Martwi zakwitali w łanach zboża jak maki. Jak czerwone plamy. Sędzia śledczy otworzył postępowanie mające na celu zbadanie związków śmierci Glorii i jej męża ze śmiercią Arthura. Śledztwo zostało utajnione, ale dziennikarze spodziewali się wielkiego skandalu z elementami jak z powieści kryminalnej: prostytutką, nieletnich, narkotykami, filmami pornograficznymi i morderstwami.

– Potrzebuję tylko przez kilka dni pozbierać myśli. Potem wyjadę i już mnie nigdy więcej nie zobaczysz.

Weszła do swojego dawnego pokoju na piętrze. Na łóżku nie było pościeli ani poduszek, biurko pokrywał kurz, a kiedy otworzyła szufladę, okazało się, że w jej szkolnych zeszytach zagnieździła się mysz. W powietrzu unosiły się pajęczyny. Nikt tam nie wchodził od jej wyjazdu. Otworzyła walizkę i wbiła wzrok w leżącą wśród ubrań teczkę. Who pozwolił jej odejść, ale Eduardo nie chciał jej widzieć ani z nią rozmawiać, odkąd dowiedział się o samobójstwie Glorii. Nie przyjął też pozostałej części pieniędzy, która należała mu się za wykonane zlecenie.

Olga przypięła pinezkami do ściany jego rysunki, po czym usiadła na brzegu łóżka i przyglądała się im: tworzyły niezwykłą sekwencję, w której kreski nabierały siły i zwartości, żeby stać się czymś trwałym, jakby z każdym szkicem malarz obierał cebulę z kolejnej warstwy, żeby dotrzeć do serca warzywa. I wtedy, w samym środku, zatrzymał się. Jakby nie był w stanie posunąć się dalej. Teraz ta swoista sekcja zwłok nabierała dla Olgi sensu. W telewizji pokazano zdjęcia zwłok Arthura obdartego ze skóry i okrutnie okaleczonego. Ale najbardziej uderzyło ją to, że sprawcy włożyli dużo wysiłku, żeby zniekształcić jego twarz, jakby zamierzali go wymazać, zniszczyć ślad jego przeżyć i emocji, które można było odczytać ze szkiców Eduarda. Bez ponurego wzroku, wąskich ust i lekko skrzywionego nosa Arthur był nikim.

Matka Olgi weszła do jej pokoju bez pukania – drzwi nie były zamknięte na klucz – i spojrzała ze zdziwieniem na rozwieszzone na ścianie rysunki. Zrobiła zniesmaczoną minę, nie podobały się jej, nic jej nie mówiły, a może nie spodobało jej się to, że tam były. Popatrzyła na córkę siedzącą na brzegu łóżka ze złączonymi kolanami i zaciśniętymi na udach rękami jak u uczennicy. Obok niej leżała nierozpakowana walizka.

Może matka poczuła lekkie ukłucie wyrzutów sumienia, smutek i miłość. Ale jeśli nawet tak się stało, te uczucia były ukryte zbyt głęboko, żeby przebić się na powierzchnię.

– W jakie kłopoty się wpakowałaś? – zapytała podejrzliwie. Chciała powiedzieć: „W jakie kłopoty mnie wpakowałaś”.

Olga uniosła głowę i spojrzała na nią smutnym wzrokiem. Czasami chce się kogoś kochać, ale nie potrafi się do niego dotrzeć. Piętrzy się tyle nieporozumień, że gubi się drogę i nie ma możliwości, by wejść na nią z powrotem.

– Na dole czeka na ciebie dwóch policjantów.

Olga wzięła głęboki oddech i skinęła głową. Czasami trzeba przyjąć rzeczy takimi, jakimi są, wiedząc, że nie ma się innego wyjścia. Wszystko pozostałe to brednie i wymysły. Ta pewność spowodowała, że poczuła ulgę, jakiej nie czuła od bardzo dawna. Zaniechanie walki z niemożliwym uwolniło ją. Zeszła po schodach, nie czując na barkach ciężaru, i przywitała się z policjantami.

Chcieli zadać jej kilka pytań w sprawie śmierci Glorii i zabójstwa jej męża. Znaleźli pocięty na strzępy portret Arthura i wiedzieli, że ona była pośrednikiem między zleceniodawczynią a Eduardem. Nie była o nic podejrzana – podkreślił jeden z policjantów – wiedzieli, że jest niewinna.

Olga uśmiechnęła się smutno. Niewinna. Nieskażona winą, czysta jak noworodek. Uniosła wzrok i zobaczyła u stóp schodów swoją matkę w nocnej koszuli, czarnych skarpetkach i z mokrymi włosami. Stała z założonymi rękami w łagodnym cieniu, w milczeniu patrząc na córkę. W milczeniu naładowanym wyrzutami i pogardą. Nieodwoalnym.

Kiedy Who zaprowadził Olgę do opuszczonego domu, myślała, że ją zabije. Nie zrobił tego. Jednak zostawił ją tam, zamknąwszy drzwi na kłódkę, na dwie doby. Sądziła, że pozwoli jej umrzeć z głodu i pragnienia. A może, pomyślała, chciał, żeby przez te dwa dni dostała pomieszania zmysłów.

Godzinami siedziała w jednym miejscu – wbijając łokcie w podciągnięte kolana i wpatrując się w drzwi, wyczulona na każdy dźwięk i nawet najmniejszą zmianę odcienia światła widocznego w szparze pod drzwiami. Z czasem zaczęła przypominać sobie rzeczy, o których dawno zapomniała; chwile w zasadzie niezbyt ważne nagle pojawiały się w jej głowie w naturalny sposób. Uśmiechała się, nawet wybuchwała śmiechem, by za moment pogрузić się w niespodziewanej rozpacz albo płaczu pełnym spokoju i tęsknoty. Jakby ciemność i brak możliwości ruchu zmuszały ją do tego, by bardziej wyteżęła wzrok i oszczędzała siły. Przed jej oczami pojawiła się wyraźna postać Tea – jakby siedział naprzeciwko niej. Jego zjawa obwiniła ją wzrokiem za to, co mu zrobiła. Doprowadzało ją to do wściekłości, ponieważ duch, który bawił się swoimi okularami w metalowych oprawkach, oskarżał ją, ale sam nie czuł się winny.

Rankiem trzeciego dnia Olga usłyszała odgłos zatrzymującego się w pobliżu samochodu. Oszołomiona i ogłupiała na czworakach dopęzła do drzwi i przyłożyła oko do szpary.

Dostrzegła siedzącą w aucie kobietę, która opuściła trochę zakurzoną szybę i popatrzyła skośnymi brązowymi oczami w jej stronę, jakby wiedziała, że Olga tam jest i ją śledzi. Marszandka odsunęła się przestraszona intensywnością tego spojrzenia. Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi samochodu i chrzęst kroków na zakurzonej ziemi, a potem otwieranej zardzewiałej kłódki, która razem z łańcuchem z metalicznym brzękiem upadła na ziemię. Kiedy drzwi się otworzyły, światło dzienne zalało wnętrze pomieszczenia, oślepiając Olę.

Przez kilka sekund nic nie widziała.

– Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy. Mam na imię Mei. – Wyciągnęła do niej rękę kobieta.

Olga doszła za nią chwiejnym krokiem do auta, zasłaniając oczy ręką przed słońcem.

Mei odkręciła butelkę z wodą i podała ją Oldze z mieszaniną współczucia i ciekawości. Olga zaczęła pić jak spragniony wielbłąd. Woda spływała jej strużkami po szyi, rozmazując brud, który zebrał się na jej skórze przez dwa dni i dwie noce leżenia na ziemi w tej norze.

– Powoli. – Głos kobiety był piękny i emanował spokojem.

Olga posłuchała, a potem wzięła od nieznajomej kanapkę i zjadła ją, odrywając po kawałku i z trudem przełykając. W rzeczywistości nie była głodna, miała ściśnięty żołądek. Przeżuwając szynkę, obserwowała Mei. Kobieta skoncentrowała wzrok na drodze i tylko czasami rzucała Oldze przelotne spojrzenie. Wjechały na drogę prowadzącą do Madrytu.

– Co teraz ze mną zrobisz? – zapytała Olga, patrząc, jak Mei marszczy czoło, zatopiona w myślach, do których ona nie miała dostępu.

– Nic – odpowiedziała. – Spokojnie, najgorsze już minęło.

Olga spojrzała na obcą rękę, która ją uspokajała. Uwierzyła jej.

– Odpocznij trochę – powiedziała Mei.

Olga próbowała zamknąć oczy, ale nie mogła. Serce waliło jej jak oszalałe. Kiedy dotarły na przedmieścia Madrytu, uspokoiła się trochę, choć nie wiedziała dlaczego. W końcu zdała sobie sprawę, że rozpoznaje okolice: kobieta wiozła ją do domu.

Kiedy Mei zatrzymała samochód przed bramą budynku, w którym mieszkała marszandka, i poprosiła Olę, żeby wysiadła, ta się zawahała. Kobieta, która przez całą podróż przypatrywała jej się z dziwną czułością, teraz pożegnała ją

z szerokim uśmiechem na twarzy:

– Powodzenia. Musisz pozbierać resztki swojego życia i stworzyć z nich coś nowego.

Olga popatrzyła na nią, nic nie rozumiejąc.

– Gdzie jest pan Who?

Kobieta pogłaskała ją czule po policzku.

– Teraz już nikt nie może go skrzywdzić.

Samochód ruszył i odjechał w dół ulicy, po chwili pochłonął go uliczny ruch Madrytu.

Olga nie widziała, jak Mei się rozplakała.

Trzy godziny wcześniej Mei czuła się jak martwa. Stojący wokół niej mężczyźni ignorowali ją, palili, podawali sobie papierosa, żeby od niego odpalić następny. Na brudnym szklanym blacie stołu oprócz przepełnionej niedopalkami popielniczki wały się puszki piwa, resztki kokainy i kawałki pizzy. Chang trzymał Mei mocno za ramię, uniemożliwiając jej wstanie z krzesła.

– No dalej, spróbuj – zachęcał, wskazując na biały proszek na stole. Ale Mei odmawiała. Próbowала też nie dać mu się obmacywać, ale kiedy starzec chwycił ją mocno za pierś wolną ręką, myślała, że ją jej urwie.

– Dziewica? – zapytał jeden z mężczyzn.

Chang wybuchł śmiechem.

– Czy jesteś dziewczyną, Mei? Została ci jeszcze jakaś nietknięta dziurka?

Mężczyźni patrzyli na nią pożądliwie. Kupili ją, jak kupuje się bydło. Nie mogła zrobić nic, żeby oprzeć się ich brudnym ustom i niecierpliwym rękoma. Wykorzystają ją tak samo, jak robili to z innymi pracownicami Changa, a potem wywozą do burdelu w innym mieście i zmuszą do prostytucji aż do wyczerpania. A kiedy już do niczego nie będzie się nadawała, wyląduje chora na ulicy i będzie grzebać w śmieciach, żeby przeżyć.

Nie mogła do tego dopuścić. Wiedziała, że przy pierwszej nadarzącej się okazji odbierze sobie życie. Perspektywa śmierci wywoływała w niej mieszaninę strachu i rozpacz. Niedawno skończyła dwadzieścia lat i w końcu odnalazła w życiu sens swojej podróży. Zakochała się w jedynym mężczyźnie, który był dla niej przeznaczony. Wszystko jednak miało się zakończyć, zanim naprawdę się rozpoczęło, a to wydawało jej się okrucieństwem. Dlaczego go poznała, skoro nie mogła nacieszyć się jego towarzystwem? Dlaczego na świecie istnieli tacy ludzie jak Chang? Jakich okropności musiał doświadczyć w życiu, że stał się takim nieczułym potworem?

Zaciągnęli ją do sofy, położyli i kazali jej się rozebrać. Ponieważ nie zrobiła tego z własnej woli, zaczęli ją bić i zdarli z niej ubranie. Próbowwała zasłonić piersi i łono przed ich spojrzeniami, ale one dźgały ją jak noże wśród wybuchów śmiechu. Mei odnosiła wrażenie, że świat kręcił się dalej, a ona została uwięziona w tej chwili, bez możliwości ucieczki. Próbowwała ukryć się we wspomnieniach, tych niewielu momentach, w których naprawdę była szczęśliwa i wolna. Pomyślała o spojrzeniu Who, jego uśmiechu i obietnicach. Przypomniała sobie pewne popołudnie, kiedy pojechali na wieś: jego twarz zanurzoną w promieniach słońca i zapach trawy w lekkim deszczu, który przykleił mu ubranie do ciała i grzywkę do czoła. Przypomniała sobie, jak Who ujął z uwielbieniem jej twarz w dłonie. I zamknęła oczy.

Pierwszą rzeczą, jaką Who poczuł po wejściu, był smród. Facet pilnujący drzwi uśmiechnął się do niego z zazdrością. „Skurczybyki, mają tam niezłą zabawę. Masz szczęście, że Chang czuje do ciebie taką słabość”. Who zerwałby mu najchętniej z twarzy ten uśmiech wyszkolonego psa. Szkoda, że tego nie zrobił.

W pokoju śmierdziało potem. Kilku mężczyzn odwróconych do wejścia plecami, otaczało półkolem kanapę. Zza tego muru ludzkich ciał Who dostrzegł fragment bladego kobiecego ciała i różowy sutek. Ścisnęło go w żołądku.

– Ach, wreszcie zjawił się nasz *idealny kochanek*. – Chang był naćpany, podobnie jak pozostali mężczyźni.

Miał czerwoną twarz i rozszerzone źrenice. Na jego nagim torsie widoczny był wyblakły smok przebijający swoimi pazurami węża. Tatuaż zajmował całą klatkę piersiową i część brzucha. Rozporek w spodniach Chang miał rozpięty.

– Podejdz tu, mój wychowanku, no chodź – zachęcał go, śmiejąc się, klepiąc chłopaka po plecach i popychając go w stronę kanapy. – Chcemy przedstawienia na żywo, pokaż nam, jak należy się kochać. Tak przecież nazywasz to, co robisz ze swoimi klientami. Panowie, musicie wiedzieć, że mój chłopak nigdy się nie pieprzy! On tworzy sztukę swoim uprzywilejowanym kutasem.

Na widok Mei Who poczuł, że umiera tysiąc razy, jego ciało się rozpada, a umysł eksploduje. Jej ciało wyglądało jak odludne miejsce, łąka pięknych kwiatów, które ktoś bezlitośnie podeptał. Zawstydzona odwróciła twarz do skórzanego oparcia kanapy. Była jak martwa.

– Co zrobiłeś? – wyszeptał Who, patrząc z nienawiścią na Changa i nie mogąc powstrzymać drżenia ręki, kiedy dotknął podrapanego ramienia Mei.

Na twarzy starca ukazał się uśmiech zepsutego satyra.

– Jeszcze nic, dałem jej dopiero kilka klapsów i trochę ją rozgrzałem. Czekaliśmy na ciebie. – Spojrzał złośliwie na chłopaka. – Naprawdę sądziłeś, że możesz mnie oszukać? Wiem o wszystkim, chłopcze. Wiem, że oszczędzasz pieniądze, żeby kupić dwa paszporty i jeden z nich miał być dla tej dziwki. Wiem też, że pieprzyłeś się z nią za moimi plecami. To jeszcze mogłem tolerować, ale nie fakt, że zakochałeś się w niej i chciałeś mnie zostawić. Nie możesz ode mnie odejść, dopóki ja tak nie zdecyduję, jesteś moją inwestycją, kurą znoszącą złote jaja. A teraz dam ci nauczkę, którą wspomnisz następnym razem, kiedy coś podobnego przyjdzie ci do głowy. Zerzniesz tę sukę w naszej obecności, a potem wyślę ją do burdelu, w którym odechce się jej nawet oddychać.

Who poczuł, jakby budynkiem wstrząsnęło tak, że sufit się zapadał, a pod jego stopami otwierała się ziemia. Kiedy usłyszał słowa Changa i zobaczył, jak zawstydzona Mei próbuje się przed nim zasłonić, w głowie zakołatała mu tylko jedna myśl: oderwać Changowi głowę od tułowia.

Czuł na całym ciele uderzenia mężczyzn, którzy próbowali go oddzielić od starca, ale nie odczuwał bólu, jakby walili w worek mokrego piasku. Trzymał głowę Changa mocno i zaciskając zęby z niekontrolowaną siłą, nie miał zamiaru jej puścić. Chciał wykluć mu oczy, patrzeć, jak wybuchają, zdeptać je jak jaja jadowitego węża. Nagle poczuł w boku ułknięcie i zobaczył twarz ochroniarza. Nie uśmiechał się już uprzejmie i z zazdrością, ale trzymał w dłoni sztylet, którego na szczęście nie wbił po rękojęść. To jednak wystarczyło, żeby chłopak w jednej chwili puścił Changa. Starzec padł na kolana, kaszląc, czerwony jak pomidor. Who rzucił się na faceta ze sztyletem, nie zastanawiając się nad niebezpieczeństwem. Nie istniało nic i nikt, tylko jego żądza zniszczenia wszystkiego, co napotka na swojej drodze. Nikt za żadne pieniądze nie jest w stanie zwalczyć tej samobójczej determinacji, nic nie przewycięży rozpacz. Who wyrwał mężczyźnie sztylet z ręki i wbił mu go w ramię, napierając całym ciałem na rękojęść. Ochroniarz zawył, a jego ręka opadła bezwładnie. Who wyrwał ostrze, odwrócił się do pozostałych mężczyzn, czekając na ich atak. Nie poruszyli się jednak. W tej chwili zwycięstwo zbyt dużo by ich kosztowało. Jeśli chciał sukę, niech sobie ją zabierze. Nie uciekną daleko, jeszcze będzie czas na wyrównanie rachunków. Mężczyźni, jeden po drugim, wyszli z pokoju. Ostatni zabrali rannego. Who wiedział, że za pięć minut ludzie Changa, którzy są w restauracji, wejdą na górę. Rzucił dzikie spojrzenie na starca, który wciąż leżał na podłodze, opierając ciało na łokciu i wymiotując śliną i alkoholem. Nie zastanawiając się, chłopak wbił mu sztylet w kark z całą wściekłością za wszystkie doznane upokorzenia, kłamstwa i rozczarowania przeżyte w ciągu tych kilku lat, podczas

których niemal uwierzył, że Chang mógłby stać się jego podziwianym i prawdziwym ojcem. Bezlitośnie.

Ściągnął z kanapy koc i okrył nim sparaliżowaną strachem Mei, która patrzyła na niego, jakby go nie rozpoznawała. Who nie tracił czasu na tłumaczenia.

– Schodami przeciwpożarowymi – rzucił do niej.

Pobiegł przodem i otworzył okno.

Udało im się odjechać na tyle daleko od Madrytu, żeby poczuć się bezpiecznie. Rana Who nie wyglądała najlepiej, należało ją opatrzyć. Ale nie mógł o tym myśleć, nie mógł myśleć o niczym. Zatrzymał samochód na poboczu, trzęsły mu się ręce, jakby wyszedł z transu ze zszarganymi nerwami. Z boku rozpościerało się pole, zielone kłosa rosły zwrócone w stronę słońca, a wystające tu i ówdzie maki dodawały koloru tej monotonii. Wirujące zraszacze ze świstem rozpryskiwały wodę, skropiły nawet karoserię samochodu. W oddali czekał pies i widać było sylwetkę człowieka pochylonego nad rowem. Dalej było już tylko niebo. Człowiek przechodzi płynnie z jednego momentu w drugi bez zatrzymania się.

– Zrobili ci krzywdę? – zapytał Mei.

Zaprzeczyła krótkim ruchem głowy, przysuwając się do niego i unosząc koszulę, żeby obejrzeć ranę. To nic poważnego, stwierdziła, jakby знаła się na ranach. Rzeczywiście, znała się. W jej wzroku odbijał się smutek i uczucie poniżenia. Najbardziej bolało ją to, że nie potrafiła zrozumieć ludzkiej podłości.

– Musimy poszukać lekarza, który cię opatrzy.

Zdążą, pomyślał Who, otwierając schowek i pokazując dziewczynie dwa nowiusieńkie paszporty i bilety na samolot.

– Pekin?

Spojrzał na nią, jakby nie rozumiał jej zdziwienia. A gdzie indziej? Popatrzyła na swoje zdjęcie w fałszywym paszporcie, na fałszywe nazwisko. Wydało jej się, że na fotografii był ktoś inny. Dziewczyna, która przez wiele miesięcy tkwiła zamknięta w nielegalnym zakładzie, ta, którą niemal sprzedano jak kozę, ta, w której pierś Chang wbił swoje paznokcie, ona też była już kimś innym. Mei czuła, że żadna z tych dziewczyn nie była nią, to wszystko nie były jej doświadczenia, nie udało się im jej pograżyć i całkowicie jej zniszczyć. Wyciągnęła rękę i splótła palce z palcami Who. Poszłaby za nim gdziekolwiek, bo wiedziała, że nic innego jej nie pozostało. Bo tylko tego pragnęła.

Wtedy zaczął mówić. Powoli, pozwalając, by słowa popłynęły same. Opowiedział jej o wszystkim, całkowicie się przed nią otwierając. Kim był, skąd pochodził, czym się zajmował i czego by pragnął. Opowiedział jej o Maribel i Teo,

Eduardzie i Oldze. Wyznał, że zamknął Olgę w opuszczonym domu, ponieważ nie wiedział, co powinien z nią zrobić i miał nadzieję, że los zdecyduje o tym za niego. Mówił tak dużo, że kiedy skończył, poczuł, jakby przeżuł piasek ze wszystkich pustyni na świecie. Miał wyschnięty język i spękane wargi. Przez cały ten czas nie spojrzał na Mei ani razu. Wpatrywał się w zboże, maki i mężczyznę, który poruszał się w oddali jak zjawą.

Zapadła długa cisza. Konieczna.

Po pewnym czasie Mei ujęła go pod brodę i zachęciła, żeby na nią spojrzał. Szukała w oczach Who tego, czego jeszcze nie powiedział, tego, co nie musiało być powiedziane, ale co ona musiała zrozumieć. I to, co w nich zobaczyła, wystarczyło jej.

– Musimy po nią wrócić.

Who stwierdził, że powrót byłby niebezpieczny, na pewno już ich szukano, powinni natychmiast uciekać. Z pewnością ktoś znajdzie Olgę, usłyszy jej krzyki. Dom stał niezbyt daleko od drogi. Nie mogli ryzykować.

Mei pogłaskała go po policzku.

– Musimy ją uwolnić, a dalej niech zdecyduje życie.

Pan Who przekręcił kluczyk w stacyjce. Przejechali zaledwie dwieście metrów.

Pierwszy strzał roztrzaskał na kawałeczki tylną szybę. Następne rozległy się jak wybuch petard. Samochód nagle skręcił i wjechał w latarnię.

– Biegnij! – polecił Who Mei.

Sam również wysiadł z samochodu z nożem w rękę i ruszył biegiem w odwrotną stronę niż ona. Próbował odwrócić od niej uwagę napastników. Rozległy się krzyki i kolejne strzały. Kiedy Mei spojrzała, zobaczyła pana Who walczącego z ludźmi Changa. Jeden z nich strzelił mu w plecy z bliska. Ciało chłopaka wyskoczyło do przodu.

Jakby chciał wzbić się do lotu.

Poprzedniej nocy jeszcze nie zdecydował, co zrobić z Olgą. Wpatrywał się w klucz od kłódki i nie potrafił znaleźć rozwiązania. Jego myśli stały w sprzeczności z uczuciami. Nadal zastanawiał się, dlaczego pozwolił żyć Eduardowi, i do głowy przychodziła mu tylko jedna odpowiedź: nie chciał go zabić. Mimo wszystko nie chciał też skrzywdzić Olgi. Kobieta opowiedziała mu ze szczegółami swoją historię z Teo, opowiedziała o aborcji i o tym, że nie mogła mieć dzieci. Rozumiał nienawiść, jaką w sobie zebrała, i w głębi serca poczuł wzrastającą pogardę w stosunku do Tea. Z drugiej jednak strony wydawało mu się, że Olga go okłamywała, że mężczyzna, którego pamiętał, jego ojciec, nie mógłby zrobić

czegoś takiego. Who musiał odzyskać spokój.

Opowiedział o wszystkim Maribel. Chciał, żeby mu powiedziała, co zrobić, i by potwierdziła, że Olga wszystko sobie wymyśliła, a przynajmniej by udowodniła, że o niczym nie wiedziała. Tymczasem ku jego zaskoczeniu Maribel zachowywała się tak, jakby nic z tego, co jej powiedział, nie wywarło na niej żadnego wrażenia.

Z przerażeniem odkrył, że matka o wszystkim wiedziała, i było jej to obojętne.

– Nie rozumiesz tego, miłość jest ponad wszystkim.

Who odebrało mowę, a jego wzrok szukał miejsca, w którym mógłby się ukryć przed pogardą matki, przed uczuciem kompletnej bezsilności wzrastającym w jego wnętrzu.

– Olga była jeszcze dzieckiem. Zakochała się w kochanku swojej matki! Teo sypiał z obiema. Uwiódł córkę, bo była prawie o trzydzieści lat młodsza od matki, a kiedy zaszła w ciążę, porzucił ją i swoje dziecko. W tym samym czasie bawił się z nami w szczęśliwą rodzinę. Nie rozumiem tego – stwierdził Who, kręcąc pękającą z bólu głową. – Nie rozumiem, jak możesz mu coś takiego wybaczyć. Pojechał po mnie do Chin, bo nie mogłaś mieć dzieci, ale dla niego zawsze byłem maskotką, dzięki której cię uszczęśliwił. A potem mógł mieć biologiczne dziecko, ale je odrzucił jak niewygodne ścierwo. A ty żądasz ode mnie, żebym poświęcił swoje życie, by go pomścić? Naprawdę nie obchodzi cię, że coś może się ze mną stać?

Maribel była wściekła. Ze złością uderzała w wózek inwalidzki. Pokazała mu worek na mocz.

– To oni mi to zrobili, rozumiesz? Oni, Eduardo i ta dziwka. Skazali mnie na zawsze na pieprzony cewnik. Zabili człowieka, którego kochałam, a kula, która uszkodziła mi kręgosłup, zabiłaby cię, gdybym cię nie zasłoniła. – Spojrzała na niego nieprzytomnie, niemal w obłędzie i pokręciła głową z głęboką pogardą. – Szkoda, że to zrobiłam. Szkoda, że nie trafiła w cię.

Who milczał przez dłuższą chwilę, po czym odpowiedział:

– Odchodzę, Maribel. Dłużej tutaj nie wytrzymam. Nie zabiję Eduarda ani Olgi. W rzeczywistości oni są takimi samymi ofiarami jak ja i ty.

Maribel krzyczała i go przeklinała, ale Who jej nie słuchał. Jej głos stawał się coraz bardziej odległy, kiedy wychodził z domu.

Ostatnią rzeczą, którą usłyszał z jej ust, było słowo „tchórz”.

Rozdział 26

Guzmán przetarł oczy opuszkami palców. W nocy długo nie mógł zasnąć. Zostawił poranną gazetę na fotelu obok i popatrzył na swoje ręce. Wciąż miał wilgotną ziemię za paznokciami, nie udało mu się doczyścić ich wodą z mydłem. Uniósł wzrok i popatrzył na płytę lotniska przez ogromne szklane szyby terminalu – właśnie podłączano rękaw do jego samolotu. Na elektronicznym monitorze pojawiła się informacja o odlocie, ale on się nie spieszył. Zaczeka na siedząco, aż wsiądą najpierw rodziny z dziećmi, a potem osoby z wykupionym pierwszeństwem wejścia na pokład. Pasażerów nie było dużo, około trzydziestu osób. Mimo wysiłków Kolumba Ameryka nadal pozostawała dalekim lądem. Pomyślał, że za kilka minut będzie po wszystkim, nie było sensu się denerwować i zepsuć coś w ostatnim momencie. Ważne rzeczy można schrzanić błahostką: wystarczy zdenerwować się przy odprawie bagażu, odpowiedzieć na pozornie prowokacyjne spojrzenie celnika przy bramce wykrywającej metale, zbyt intensywnie myśleć. Trzeba zachować spokój, nawet jeśli właśnie zabiło się człowieka i jest się podejrzanym o inne zabójstwa. Żadnych uśmiechów do stewardes czy tłumaczenia się z bagażu. Zmęczony po nieprzespanej nocy biznesmen dźwigający na swoich barkach dużą odpowiedzialność – tak właśnie wyglądał. Obraz psuły jedynie brudne paznokcie.

Włożył ręce do kieszeni i zamknął oczy, zastanawiając się, co w tej chwili porabia Algierczyk z blizną na twarzy. Czy dotrzymał danego słowa, czy może zapomniał o nim, kiedy tylko się go pozbył. Intuicja podpowiadała mu, że facet był godny zaufania. Był dziwnym rodzajem człowieka z zasadami, którego od czasu do czasu można spotkać w społecznym szambie. Oczywiście, to były jego zasady.

Po tym, jak strzelił Ianowi w głowę, Guzmán długo wpatrywał się w gęstą plamę rozlewającą się wokół reżysera. Z profilu i z otwartymi oczami Mackenzie przypominał roślinożercę zmuszonego przez drapieżniki do picia własnej krwi. Guzmán nie wiedział, co tam jeszcze robił – zobaczył już i usłyszał wszystko, co chciał. Ale wciąż w zamyśleniu przyglądał się powiększającej się plamie i zastanawiał, dlaczego zabił tego człowieka, mimo że nie musiał tego robić. Nie miał poczucia winy, był tylko zaskoczony swoją reakcją. „Tracisz nad sobą

kontrolę. A wszystko przez kobietę, której nie znasz i która w innej sytuacji nie zwróciłaby na ciebie uwagi” – wypominał mu Bosch pewnego wieczoru, na krótko przed wydarzeniem na pustyni Atacama, kiedy Guzmán wyznał mu, że czuje się pokonany uczuciem do Candeli. Prawdopodobnie jego mentor miał rację wtedy i miałby teraz: Candela nie kochała go, tylko się go bała i trzymała nadziei, że uczucie może wyciągnąć ją z podziemi DINA. W innych okolicznościach żona Olsena patrzyłaby na niego z pogardą, ale nie miała wyboru, musiała mu zaufać. „Nic ci się nie stanie” – obiecał jej Guzmán, a ona mu uwierzyła, bo nie miała innego wyjścia. A teraz nie żyła. Obie były martwe.

Zapamiętał ostatnie słowa Iana Mackenziego, po czym wyszedł z gabinetu i zamknąwszy drzwi od zewnątrz, pozostawił klucz w zamku. W połowie schodów zauważył Glorię, która siedziała na stopniu oparta głową o ścianę. Objęta ramionami, kiwała się, chowając zaciśnięte pięści w swetrze. Sądząc po wyrazie jej twarzy, straciła zmysły, była nieprzytomna.

– Chcę zobaczyć zwłoki Arthura, zapłacę ci dwa, trzy razy tyle, ile on ci zapłacił – odezwała się ledwo zrozumiałym szeptem.

– To już nie będzie możliwe. Wykonałem swoje zlecenie.

Uniosła głowę i spojrzała z dołu – miała zaczerwieniony nos i oczy. Na pewno słyszała strzały i krzyki umierającego męża. Przez cały czas była za drzwiami i oprócz tego, że podrapała sobie do krwi dłonie, nie zrobiła niczego, żeby zapobiec temu, co się stało.

– Dam ci wszystko, czego chcesz. Nie wiesz, co znaczy stracić dziecko. Nie obchodzi mnie, co zrobił ani jaki był. To był mój syn.

Guzmán pokręcił głową. Usiadł obok niej i popatrzył na nią może nie z szacunkiem, ale z czymś bliskim zrozumienia.

– Powinnaś była mnie zatrudnić, a nie tego ciotowatego malarza. Teraz masz dwa trupy: jednego w swojej głowie, drugiego w pokoju, i ten nieudany obraz. Moim zdaniem masz przerąbane, i to bardzo. Trudno ci będzie się z tego podnieść.

Odgarnął z jej spoconej i bladej twarzy kosmyk włosów i pocałował ją w czoło.

– Już jest za późno, Glorio.

Zadzwoił do Arthura, żeby podać mu adres miejsca, w którym mieli się spotkać za godzinę, ale ten nie odebrał telefonu. Guzmán zostawił mu wiadomość i wyobraził sobie jego minę, słowa, które powie, niecierpliwe gesty, chociaż gotów był na wszystko. W tej chwili Guzmán chciał jak najszybciej odnaleźć Arohę i w końcu ujrzeć ją na własne oczy.

Znajdowała się niezbyt daleko. Po około dwudziestu minutach jazdy samochodem z Madrytu w kierunku Badajoz było się na miejscu. Przez cały czas tam była, o rzut kamieniem, na wyciągnięcie ręki. Mimo to w odległości niemożliwej do pokonania.

– Kiedy wsadziłem ją do bagażnika, jeszcze oddychała. Była mocno naćpana i miała brzydkie rany, ale żyła – powiedział mu Ian.

Po prawej stronie, na parkingu starych kamperów stał barak z prefabrykatów. Wokół widać było stare i zardzewiałe samochody, przyczepy z wyblakłymi rejestracjami i karoserią, pęknięte opony. Pod podwoziami drzemały koty, a w wysokiej trawie już prawie nie widać było tablicy z napisem TEREN NA SPRZEDAŻ. Parking otaczał dziurawy i miejscami zapadnięty metalowy płot. Po lewej stronie ciągnęła się łąka porośnięta ostami i cementowe boisko do koszykówki ze startymi oznaczeniami. Został tylko jeden metalowy pałąk przymocowany do pękniętego drewnianego panelu, który służył za stanowisko obserwacyjne szczygłom. Trochę dalej widać było na wpół zawalony dach budynku bez okien ani drzwi, w którym kiedyś znajdowała się szatnia.

Droga krajowa przebiegała niecałe sto metrów dalej. Samochody przejeżdżały obok z dużą prędkością, nie zatrzymując się – przez cztery lata, dniem i nocą, i nikt nawet nie przypuszczał, co kryło w sobie to miejsce. Guzmán wysiadł z samochodu, oparł się o maskę i zapalił ostatniego papierosa swojej ulubionej marki. Wyrzucił na ziemię pustą paczkę i próbował odnaleźć wzrokiem miejsce, w którym Ian Mackenzie wypuścił z bagażnika Arohę.

– Nie miałem zamiaru robić jej krzywdy, chciałem tylko zabrać ją z miejsca, gdzie przetrzymywał ją i dawał jej narkotyki Ian. Tam śmierdziało i było gorzej niż gdziekolwiek indziej. Nie chciałem, żeby policja znalazła ją w takich warunkach, to by oznaczało dla mojego syna koniec.

Guzmán miał bujną wyobraźnię, a w kwestii śmierdzących miejsc uważał się za eksperta. Powinien zabrać Iana na wycieczkę po podziemiach DINA albo do piwnic Generalnej Dyrekcji Policji w Hiszpanii kilka lat temu.

Próbował sobie wyobrazić ciąg wydarzeń: prawdopodobnie była noc. Przed czterema laty w tym miejscu panował większy ruch podczas dnia. Komis kamperów jeszcze nie splajtował, a na tereny sportowe na pewno przyjeżdżała mikrobusem młodzież z pobliskiej miejscowości, żeby pograć w koszykówkę. Ian, zanim otworzył bagażnik, musiał się upewnić, że wokół nikogo nie ma. Aroha pewnie była odurzona narkotykami, ale nie na tyle, by nie zauważyć, że coś jest nie tak. Z pewnością krzyczała i kopała, próbując uciec obcemu mężczyźnie.

Wtedy Ian Mackenzie uderzył ją łopata w głowę.

– Chciałem tylko ją ogłuszyć, żeby zamknęła się i nie ściągała na nas uwagi. – Kłamał. Od pierwszej chwili po głowie kołatała mu się myśl, żeby ją zabić i zakopać ciało gdzieś, gdzie nikt go nie odnajdzie. Jedynym celem Iana było zatarcie wszystkich śladów, które mogłyby połączyć jego rodzinę z klubem miłośników kina. Tylko dlatego wywiózł Arohę na odludzie: żeby ją zabić.

Guzmán spojrział na zegarek, Arthur się spóźniał. Może to i lepiej. Ruszył w stronę baraku, uważając, żeby nie wdepnąć w psie kupy, zużyte prezerwatywy i wyschnięte ludzkie odchody, brudne poźółkłe kartki starych gazet, strzykawki i truchło kota z pustymi oczodołami, gładką czaszką i ostrymi zębami. Zęby są ostatnią rzeczą, którą tracą zwłoki; są zbyt twarde dla robaków. Stado gołębi poderwało się z łopotem do lotu, zostawiając warstwę piór na zawalonym dachu baraku. W środku można było dostrzec leżący w kącie stary materac, opakowania po soku i wózek z supermarketu wypełniony kradzionym złomem. Na ziemi wały się resztki jedzenia, ale nie widać było nikogo. Może ten, kto tam mieszkał, schował się, słysząc Guzmána, a może wracał tutaj tylko na noc.

Guzmán usłyszał nagle za plecami dźwięk silnika; odwrócił się, myśląc, że w końcu przyjechał Arthur, ale samochód, który zaparkował obok jego auta, należał do kogoś innego. Przez kilka sekund kierowca siedział w środku, nie wyłączając silnika. Obserwował Guzmána.

Ibrahim wyjął kluczyk ze stacyjki i popatrzył podejrzliwie na postać zbliżającą się do baraku.

– Zostań tutaj – powiedział do Andrei i otworzył drzwi.

– Kto to jest? – zapytała, wzdychając, co zabrzmiało jak stłumiony jęk.

– Guzmán. Facet, którego wynajął twój mąż, żeby odnalazł Arohę.

Andrea przygryzła wargę.

– To znaczy, że to prawda... Ona tutaj jest.

Ibrahim oddychał z trudem. Napiął wszystkie mięśnie. Wciąż miał nikłą nadzieję, że tak nie jest. To było ostatnie miejsce, w którym dziewczynę widziano. Żyła, zapewnił Ormianin. To oznaczało, że nikt nie widział jej martwej.

– Nie wiem, zaraz wracam.

Nie powiedział jeszcze Andrei, że policja znalazła w górach brutalnie okaleczone ciało jej męża. Nie wiedział, jak jej o tym powiedzieć. Czym innym była akceptacja myśli o potencjalnej śmierci, przyjęcie jej jak coś odległego, a czym innym ujrzanie realnych i konkretnych konsekwencji podjętej przez siebie decyzji. Nie powiedział też Andrei, że zataił przed Ormianinem informację, która być może mogła uratować Arthurowi życie: nie wspomniał o zdjęciach, które Ordóñez pokazał im w kawiarni przed spotkaniem ze swoim przyjacielem sędzią.

Fotografie były dowodem na to, że Ian porwał dziewczynkę, i gdyby Arthur ich nie potrafił, prawdopodobnie czekałby ją los Arohy. Chociaż mogłoby się to wydawać paradoksalne, przypuszczalnie ta niespodziewana śmierć zaoszczędziła córce Ormianina wiele cierpienia. Ibrahim wiedział, że to był rodzaj ułudy, ale umysł Ormianina był jak labirynt, w którym ginęła logika i zdrowy rozsądek. Ten szczegół może spowodowałby, że byłby trochę bardziej litościwy. Ibrahim nie wiedział, czy Arthur mu o tym powiedział, wziął go na litość, kiedy Ormianin obdzierał go ze skóry. W każdym razie, nawet jeśli to zrobił, na nic mu się to nie zdało.

Ibrahim skierował się powoli w stronę Guzmána, zdając sobie sprawę, że idzie po polu minowym. Może najemnik już wiedział, co się stało z Arthurem, prawdopodobnie nie obeszło go to, ale Ibrahim nie wiedział, jak bardzo był wobec niego lojalny i jak mógł zareagować. Widział go zaledwie dwa razy, ale umiał rozpoznać naprawdę niebezpiecznych ludzi, a Guzmán do nich należał. Dlatego zbliżał się do niego ostrożnie, gotów do walki. Wcześniej padał deszcz, więc czuł ciężar błota przyklejającego się do butów. Nie idź dalej, mówiły mu nogi, ale do przodu pchała go siła woli.

Czerwona i nieogolona twarz Guzmána zwracała uwagę. Nie dziwiłaby, gdyby był turystą mającym znosić ciężar podróży i siedzącym na samym końcu samolotu, ale nie w pierwszej klasie, tuż przy drzwiach wejściowych do kabiny.

– Czy dobrze się pan czuje? – Stewardesa była śliczna, wyglądała jak modelka, która skończyła karierę przed czasem. Nie miała nic wspólnego z dziewczynami z tanich linii lotniczych.

„Nie możesz mi dać tego, czego potrzebuję” – pomyślał Guzmán z uśmiechem, którym starał się od niej uwolnić.

– Wszystko w porządku, dziękuję. Loty mnie trochę stresują.

– Proszę się nie denerwować. Wystartujemy za kilka minut i przekona się pan, że lot będzie bardzo spokojny. – Kiedy pociesza cię ładna dziewczyna, jesteś w stanie uwierzyć w jej kłamstwa.

Wyjrzał przez okno. Pracownicy lotniska wkładali na taśmę luku bagażowego ostatnie walizki. Słychać było dźwięk rozgrzewających się silników. Dzień był piękny, bezchmurny. Guzmán zastanawiał się, gdzie wyjedzie Ibrahim, co zrobi on i Andrea, kiedy lekarz sądowy potwierdzi, że znalezione zwłoki należą (co za słowo) do Arohy. Popatrzył na swoje paznokcie. Dotykał jej: pożąłką kość wystającą z rozłożonych resztek ciastowatej masy ubrania. Po raz pierwszy w życiu z zalem dotykał ludzkiej kości.

Patrzył na zbliżającego się Ibrahima, który mimo swojej wątej postury wyglądał na silnego. „Stary wojownik – pomyślał Guzmán. – Pan samego siebie”. Próbował sobie przypomnieć, ile razy widział go, jak krążył w pobliżu Arthura niczym dyskretny cień. Dwa, może trzy razy. Zamienili ze sobą kilka słów, pozdrowień pełnych wzajemnej nieufności. Dwa psy, które obwąchują się z najeżoną sierścią, wolą trzymać się od siebie na dystans, obsikując płot każdy po swojej stronie.

– Przysłał cię Arthur?

Ibrahim zatrzymał się w odległości kilku metrów. Z bliska wzbudzał większy strach, pomyślał Guzmán. Zastanowił się, ile czasu zajęłoby mu złamanie kogoś takiego w swojej sali przesłuchań. „To twardy typ” – powiedziałby Bosch. Facet z tych, którzy bez wydania z siebie jednego jęku zaciskają zęby, kiedy prąd sypie iskry na ich jądrach, którzy patrzą ci prosto w oczy i obnażają cię, mówiąc wzrokiem: „mnie nie oszukasz”.

– Arthur nie przyjdzie. Ani teraz, ani nigdy. Nie żyje.

Guzmán przyjął ten cios jak zawodowy bokser – niemal niewidoczny ruch powieki i zaciśnięte zęby. Wiadomość zaskoczyła go tylko częściowo, chociaż teraz to już nie miało żadnego znaczenia. W samochodzie leżały pieniądze – wystarczająco dużo, żeby nie brać już nigdy tych gównianych zleceń.

– Nie powinno cię tu być – stwierdził Algierczyk, jakby chcąc mu dać do zrozumienia, że to była tylko ich sprawa – jego i kobiety, która ignorując jego radę, wysiadła z samochodu i obserwowała ich przy otwartych drzwiach.

Guzmán rzucił na nią okiem.

– To jego żona? Powiedziałaś jej, że dziewczyna jest tu pochowana?

Ibrahim odchylił do tyłu głowę, a na jego twarzy pojawił się niepokój.

– Nie wiadomo, czy nie żyje.

Guzmán wrzucił ramionami. Popatrzył na bliznę Ibrahima: źle założone szwy zniekształciły mu twarz. Pewnie przez wiele miesięcy, dopóki rana się nie zagoiła, miał trudności z mówieniem i jedzeniem stałych pokarmów.

– Nie wiadomo, czy istnieje Bóg, nie wiadomo, czy mój nowy implant w kutasie zadziała, ale obaj wiemy, że pod naszymi stopami żyją miliony robaków, które zjadły tę dziewczynę. Pytanie jest następujące: czy warto wypisywać akt zgonu? Czy musimy ją odkopać i na własne oczy zobaczyć to, co już wiemy? A może byłoby lepiej, żebyś wrócił do samochodu i powiedział matce, że nic nie znalazłeś, że jej córki tu nie ma, i dał jej dzięki temu odrobinę nadziei, że dziewczyna może być gdzieś indziej.

Ibrahim popatrzył na zawalony barak, a potem opuścił wzrok na swoje stopy, jakby wyobrażając sobie milion robaków, które wiły się kilka centymetrów pod

ziemią.

– To już nie twoja sprawa. Dostałeś pieniądze i ściga cię policja. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze tu jesteś, powinieneś zniknąć.

Guzmán też tego nie rozumiał. Zapadał zmrok, a wczesnym rankiem jego samolot wystartuje z nim albo bez niego. Najrozsądniej byłoby przeczekać w jakimś motelu, potem pojechać na lotnisko i wsiąść do tego samolotu, nie zwracając na siebie uwagi. Nadal jednak tam był, szukając nie wiadomo czego.

– Nie lubię zostawiać niedokończonych spraw – powiedział, chociaż tak nie myślał, a Ibrahim nie oczekiwał takiej odpowiedzi.

Arab spojrział na niego, nie rozumiejąc i szukając w twarzy najemnika jakiegoś ukrytego celu, bojąc się pułapki. Znał takich facetów jak Guzmán – byli wszędzie i zawsze. Mówili wszystkimi językami. Wszyscy kaci byli do siebie podobni, gotowi pociąć maczetą twarz małemu chłopcu. Ale nie przypuszczał, że mogliby ryzykować własne życie, żeby znaleźć zakopane gdzieś ciało jakiejś dziewczyny.

– Mam w samochodzie łopatę. Pójdę po nią – powiedział Guzmán, czytając Ibrahimowi w myślach. – Zakończmy to wreszcie.

Kiedy samolot wreszcie wjechał na pas startowy, Guzmánowi przyszło do głowy, że czas ma różne wymiary. Siedział na pokładzie w wygodnym fotelu z zapiętym pasem i patrzył, jak powoli mijają budynki lotniska: hangary, wieżę kontrolną, a także inne samoloty ustawione w rzędzie jak auta pod centrum handlowym. Jednocześnie w miarę, jak dół robił się coraz głębszy, wciąż widział coraz więcej wyrzucanej na bok mokrej ziemi. Część jego myśli nadal szukała na niebie nad pustynią Atacama gwiazd, podczas gdy jego jądra rozpuszczały się w płomieniu palnika. Siedział na kamieniu przed kałużą na nieutwardzonej drodze i obserwował, jak spada latawiec, zastanawiał się, dlaczego nigdy nie udawało mu się wypuścić go nad tarasy z antenami i suszącym się praniem w Santiago de Chile. Całował w usta kobietę o imieniu Candela. Żył i był martwy. I to wszystko działo się tutaj, teraz, jednocześnie.

– Kto ci zrobił to na twarzy?

Kopali na zmianę, teraz była kolej Ibrahima. Algierczyk zdjął koszulę i pot z jego ciała mieszał się z błotem. Kopał w skupieniu.

– Życie – odpowiedział, nie wypuszczając łopaty.

Andrea stała kilka kroków za nimi. Nie udało się jej przekonać, żeby została w samochodzie. Chciała tam być i zobaczyć to na własne oczy. Ibrahim spojrział

na nią spod oka. Na jego spoconej twarzy Guzmán dostrzegł dawne spojrzenie, które kiedyś też nie było mu obce.

– Życie – szepnął, powtarzając po Ibrahimie, i pogładził spaloną skórę na rękę. Życie, które nosiło imię kobiety. – Teraz moja kolej – powiedział, wskakując do dołu.

W powietrzu nie można niczego planować, wszystko ulega zawieszeniu. Widok nakładających się na siebie warstw chmur o różnej gęstości pomagał zrozumieć, że wszystko jest możliwe i nic nie jest ważne. Guzmán czuł, że gdy leci w chmurach, ważne sprawy tracą znaczenie. Daleko od lądu, wilgotnej ziemi i wijących się robaków przepołowionych ostrzem łopaty, na wysokości dziesięciu tysięcy metrów istniały nikłe szanse znalezienia kości udowej.

Śliczna stewardesa właśnie poinformowała, że osiągnęli maksymalną wysokość i prędkość. Guzmán wolałby jednak, żeby wzbili się jeszcze wyżej i z większą prędkością.

Łopata uderzyła w coś twardego i mocno osadzonego w ziemi. Guzmán ukląkł i ostrożnie zaczął grzebać palcami, jakby był saperem albo paleontologiem, który za chwilę odkryje bardzo starą skamieniałość. Po odgarnięciu kilku warstw ziemi jego ręce natknęły się na twardą poślódką kość. Znał się na anatomii, której podstawy poznał w pracy. Kość udowa jest najdłuższą i najbardziej wytrzymałą w ludzkim ciele. U kobiet jest bardziej wygięta niż u mężczyzn, by lepiej dopasować się do kobiecej miednicy.

Ibrahim zszedł do dołu i też zaczął kopać rękami. Stopniowo ich oczom ukazały się zwłoki i ubrania Arohy Fernández. Guzmán przypomniał sobie zdechłego kota, którego widział kilka metrów dalej. Klatka piersiowa tylko z kilkoma żebrami, kość śródrečna, piszczel, czaszka, od której odpadła dolna szczeka – stajemy się niczym, kiedy znikną organy, dzięki którym funkcjonujemy. Nie ma myśli, emocji, pozostaje tylko przerażająca skorupa, milczący świadek czegoś, co było, ale już tego nie ma. Guzmána zawsze dziwiła ludzka potrzeba, żeby czcić zmarłych: kości, groby, cmentarze, religie. Miał właśnie przed sobą dowód na jedyną prawdę, którą przeczytał w Biblii: jesteśmy prochem i w proch się obracamy. Może z tego właśnie powodu nigdy nie chodził na cmentarze: zmarłych tam nie było.

– Lepiej niczego nie ruszajmy. Powinniśmy wezwać lekarza sądowego, żeby potwierdził oficjalnie jej tożsamość – powiedział Ibrahim, wycierając z twarzy pot wymieszany z brudem.

Guzmán popatrzył na ciemne doły czaszki, gdzie wcześniej były oczy, a gdzie

teraz widniały tylko grudki ziemi. Jakie oficjalne potwierdzenie? Kto to mógł być jak nie Aroha? W każdym razie w tej chwili jego zadanie dobiegło końca. Znalazł ją.

– O co chodzi? – zapytał, patrząc na stado ptaków (czy to były jaskółki?), które w świetle zmierzchu w szalonym tańcu polowały na owady.

Ibrahim wzruszył ramionami, patrząc na resztki ubrania Arohy.

– Policja będzie pytała, w jaki sposób odnaleźliśmy zwłoki. Będą zadawać pytania i prędzej czy później pojawi się twoje nazwisko. Powinieneś już iść. Wymyślę jakąś historię, żeby dać ci kilka godzin, ale w końcu będą chcieli cię dopaść.

Andrea podeszła do krawędzi dołu, spojrzała w otchłań i ta otchłań patrzyła na nią – nawiązały niemy dialog. Obaj mężczyźni wyprostowali się i pozwolili, aby patrzyła w milczeniu na szczątki swojej córki.

Wyobraziła sobie kości Arohy, już czyste, umyte, bez resztek ziemi ani ubrania, ułożone w szkielet na metalowym i lśniącym stole w kostnicy. Puzzle metodycznie poskładane jak układanka przez lekarzy sądowych: tutaj łękotka, tam kostka palca. Ubranie włożą do torebki na dowody wraz z biżuterią, którą miała na sobie, kiedy ją zakopywano: złote kolczyki z perełkami, koraliki z oliwinu i srebrny pierścionek. Na koniec oddadzą wszystko Andrei, żeby zachowała po córce pamiątki albo pochowała razem z resztkami, które próby węglowe i testy DNA zidentyfikują w dziewięćdziesięciu sześciu procentach jako Arohę Fernández. W raporcie lekarz sądowy nie napisze, że to była Aroha, kości nie były nią, ale do niej należały. Miała je od urodzenia, rosły pod jej skórą rok po roku i powinny rosnąć jeszcze przez kilka lat. Szkielet jest czymś, co do nas należy, to oczywiste. I nawet robaki, które rodzą się w naszym wnętrzu z naszego gnijącego ciała, nie są w stanie nam go zabrać. Kości pozostają jako dowód naszej walki przez setki, tysiące lat.

Dziewięćdziesiąt sześć procent szans. To dużo, ale nie oznacza pewności. Jakby nauka chciała pozostawić niewielkie miejsce ułudzie. Jeśli chce pani wierzyć, to proszę wierzyć, nic nam do tego – mówił raport.

„Zbyt wielu zabitych” – pomyślał Guzmán. Myślał o swoim życiu, kiedy samolot wylądował na lotnisku w Buenos Aires. Zza zasłony usłyszał oklaski. Już przylecieliśmy cali i zdrowi. Ogólna ulga. Biznesmen siedzący obok niego też klaskał jak dziecko, chociaż stwierdził, że chętnie zamieszkałby *tam na górze*. W chwili euforii mówi się dużo niepotrzebnych rzeczy, ale potem chce się wrócić do przeciętności. Bezpieczniej jest stąpać nogami po ziemi, być jednym z wielu.

Padał deszcz i personel naziemny krzątał się na płycie lotniska w odblaskowych kurtkach. Niebieskie i żółte światła naprowadzające migały zniekształcone ulewą. Na zewnątrz musiało być zimno.

Śliczna stewardesa z przypiętym na bok toczkiem poprawiła fryzurę, makijaż i chusteczkę na szyi. Była gotowa do żegnania pasażerów, świeża jak róża. Podeszła do niego z uspokajającym uśmiechem jak z reklamy, chociaż drżały jej kąciki ust. Nie byłaby dobrą aktorką.

– Przepraszam pana. Okazuje się, że w pana dokumentach jest pewna nieścisłość.

Poprosiła, żeby zaczekał, aż pokład opuszczą wszyscy pasażerowie. Panowie ze służb rządowych chcieliby zadać mu kilka pytań, nic poważnego, męcząca, ale obowiązkowa procedura.

Guzmán uśmiechnął się głównie po to, żeby uspokoić biedną dziewczynę. Nie powinni jej kazać robić takich rzeczy: przekazywać złych wiadomości, uspokajać pasażerów przed katastrofą samolotu, a do tego zmuszać, by ich nogi i uśmiechy emanowały nielogiczną odwagą z ulotki reklamowej.

– Rozumiem.

Panowie ze służb rządowych byli agentami policji federalnej. Pokazali mu nakaz zatrzymania wystawiony przez Interpol. Nie potrzebował oglądać ich legitymacji, a mimo to poprosił o nie. „Demokracja jest wspaniałym wynalazkiem” – pomyślał z kpiną. – „Nawet tacy faceci jak on mieli prawo żądać od policjantów, żeby się wylegitymowali. W czasach junty wojskowej na pewno zamiast pokazania mu dokumentów rozkwasiłoby mu gębę”.

– Dziękujemy za wybranie naszych linii i mamy nadzieję wkrótce znów ujrzeć pana na naszym pokładzie – powiedziała stewardesa, kiedy mijał ją prowadzony przez dwóch policjantów, skuty w kajdanki.

Świat był jednym żartem i najlepiej było się z tym pogodzić.

Kiedy czekali na zewnątrz terminala na samochód policyjny, jeden z agentów zapalił papierosa. Ulubionej marki Guzmána.

– Przepraszam, czy mógłby mnie pan jednym poczęstować?

Epilog

Świeża poranna gazeta z datą dwunastego czerwca dwa tysiące piątego roku leżała na stole. Martina postawiła na niej filiżankę z niedopitą herbatką ziołową (pachniała rumiankiem). Sędzia wreszcie wyciągnął grubą artylerię, mówiono o tym we wszystkich mediach. Kolejno poleciały głowy biznesmenów, bankierów, kilku szefów policji i co najmniej jednego znanego sportowca. Szykowały się jeszcze bardziej spektakularne zatrzymania. „Sprawa klubu miłośników kina”, jak ją nazywały brukowce, miała potencjał na stanie się głównym newsem letniego sezonu ogórkowego.

Martina miała podkrążone oczy, schudła, chociaż nie straciła błysku w oczach. Tym razem nie otworzyła swojego notatnika, położyła go przed sobą i zakryła obiema rękami, żeby nie ulec pokusie, by go otworzyć.

– Jestem ci winna przeprosiny.

Eduardo spojrział na nią w milczeniu. Może spodziewała się, że nie pozwoli jej mówić dalej.

– Who ukradł mi formularz z twoimi danymi. Przez długi czas nie zauważyłam tego, ale kiedy to odkryłam, było za późno, żeby cię uprzedzić. Nie potrafiłam przewyciężyć wstydu. Czeka mnie postępowanie dyscyplinarne, ale nie to jest najgorsze. Najgorsze jest to, że teraz wszyscy wiedzą, że sypiam z żigolakami.

– Nie powinno to obchodzić nikogo oprócz ciebie – stwierdził Eduardo.

Naprawdę tak myślał. Nikt nie ma prawa osądzać sposobu, w jaki ludzie radzą sobie z samotnością.

– Co teraz zamierzasz zrobić? – zapytała lekarka.

Eduardo nie wiedział. Czuł pustkę większą niż zazwyczaj. Czuł się najmniej istotnym elementem historii, w której różni ludzie posłużyli się jego cierpieniem, żeby zaleczyć własne rany. Kiedy huragan się uspokoi, nastanie cisza, a on wciąż będzie siedział w swoim mieszkaniu na łóżku, słuchał płyt ojca i patrzył przez okno na plac zabaw naprzeciwko, zastanawiając się, czym wypełnić mijające godziny pustki.

– Może znów zacznę malować. Rzeczy, które mnie zaintrygują, twarze obcych ludzi, uczucia unoszące się w powietrzu... A może zamknę się w domu. Naprawdę nie wiem.

– A co z propozycją dozorczyńni? Jeśli dobrze pamiętam, zaproponowała, żebyś

wyjechał z Madrytu z nią i jej córką... Może gdzie indziej byłoby ci łatwiej zacząć wszystko od nowa.

Eduardo dostrzegł, jak palce lekarki zbliżyły się do jego dłoni, aby ją dotknąć w geście pocieszenia. Odsunął ją i założył ręce, wykluczając taką możliwość.

– To już niemożliwe. – W rzeczywistości nigdy nie było.

Eduardo uniósł wzrok. Wczoraj było dzisiaj. Dziesiąta trzydzieści pięć. Jego nadzieje odjechały przed godziną i trzydziestoma pięcioma minutami. Czas przesywał mu umysł i wyparowywał porami w skórze. Słyszał, jak wyszły z mieszkania, postawiły walizki, zamknęły drzwi na klucz. Sara szczebiotała, podniecona myślą o podróży. Graciela milczała. Prawdopodobnie patrzyła na drzwi mieszkania Eduarda, mając nadzieję, że ujrzy go z plecakiem na ramieniu i pewnym uśmiechem na twarzy. Ale on nie miał nawet odwagi, żeby wyjść i się z nimi pożegnać. Stał przy drzwiach i patrzył przez wizjer, jak schodziły po schodach, dopóki nie zapadła cisza.

– Czy mogę zapalić?

Martina nie miała nic przeciwko temu. Otworzyła szufladę w biurku i z papierośnicy wyjęła dwa papierosy. Podała mu jeden i zapaliła swój, patrząc na iskry.

– Wypiszę ci zaświadczenie. Nie ma sensu, żebyś dalej przychodził co miesiąc.

Nagle Eduardo poczuł nieodpartą potrzebę, żeby wciąż przy niej siedzieć. Martina była jedyną realną rzeczą, jaka mu została – ona i płyty po ojcu. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że poza jej gabinetem nikt go już nie potrzebował.

– Wciąż miewam nocne koszmary, chociaż rzadziej.

Martina przygładziła włosy i strząsnęła popiół do popielniczki pełnej spinaczy.

– To dobrze – stwierdziła, patrząc na krajobraz za oknem.

„Nie jesteś już moim problemem” – chciała powiedzieć.

– Co to oznacza twoim zdaniem?

– Słucham?

– Że nie mam już nocnych koszmarów. Może twoja teoria o wybaczeniu działa. Może Who uwolnił mnie od tego nieświadomego ciężaru, nie sądzisz?

Nie. Oczywiście, że tak nie myślała.

– Możliwe. W każdym razie to już koniec. – Martina powoli odwróciła głowę i spojrzała na ścienny zegar. Potem rozejrzała się dookoła, jakby kogoś szukała. Coś ją dręczyło.

– Masz następnego pacjenta?

Martina westchnęła z ulgą.

– Właśnie. Przepraszam, ale mam napięty grafik.

– Rozumiem.

Pożegnali się niemrawym i odpychającym uściśnięciem rąk. „Po tak długim czasie spędzonym razem” – pomyślał głupio Eduardo.

Tak właśnie kończy się wszystko.

„Ostatnio za dużo pijesz”.

Słyszał głos Eleny. Właśnie pokazywał kelnerowi palcem na szklance, ile glencadamu ma wlać.

– Wystarczy.

– Więcej niż wystarczy – stwierdził kelner uszczypliwie.

Wziął pierwszy łyk, czując na twarzy miłe ciepło słońca świecącego nad dachami budynków. Odstawił szklankę na stolik w barowym ogródku. Wokół słychać było krzyki bawiących się dzieci, krążyli uliczni sprzedawcy balonów i słodczy, a na środku placu mimowicie niemymi gestami przyciągali uwagę grupy turystów. Piękny czerwcowy dzień. Spojrzał na dwa puste krzesła przy swoim stoliku. Zobaczył Tanię, która z obrażoną miną grzebie plastikowym widelcem we frytkach albo dmuchając w słomkę, puszcza bąbelki w coca-coli. Pewnie myślała o tysiącu spraw nastolatek, których on nie rozumiał. Na drugim krześle Elena odchyłała do tyłu głowę i zamykała oczy ukryte pod ciemnymi okularami. Uwielbiała się opalać, odprężało ją to i uszczęśliwiała. Może po powrocie do domu napiją się drinka i będą się kochać. Lato, kolory, żywotność, ciepło były według niej bardzo podniecające.

Na tym polegało szczęście: na małych chwilach, które decydowały o wielkich rzeczach. Piwo, plac.

W kieszeni zadzwonił telefon. Olga. Na automatycznej sekretarce zostawiła wiadomość: „Nie wybacysz mi?”.

Skasował wiadomość. Chciał schować telefon, ale się rozmyślił: skasował numer Olgi. Na zawsze. Najlepsze wybaczenie, jedyne, na jakie było go stać, polegało na zapomnieniu.

Musiał się przejść. Wstał i przez chwilę wydawało się, że kolano ugnie się pod ciężarem jego ciała, a on upadnie. Obsługujący go kelner patrzył na niego z progu baru. Eduardo uśmiechnął się do niego. Pijacy najpierw się uśmiechają, a potem stają się kłopotem. Ale on nie był pijany, tylko okaleczony. I chciał zapomnieć. Przeszedł przez plac, nie zwracając uwagi na klucie w kolanie. Poczul, jak kropla potu spłynęła mu po plecach aż do kości ogonowej. Zaczynał być zbyt świadomy swojego ciała. Musiał znaleźć aptekę i zrealizować recepty, które miał w kieszeni.

Uliczny malarz wystawiał w rzędzie swoje obrazy. Nie były złe ani dobre, pomyślał Eduardo, przechodząc obok niego.

– Namalować ci portret, przyjacielu?

Nie chciał żadnego portretu. Wcisnął jednak mężczyźnie do ręki ostatni, pomięty i brudny banknot, jaki mu został. Facet miał dzisiaj szczęście.

– Trzeba uważać na skrzyżowaniu dróg, bo łatwo się zgubić.

Malarz w berecie podrapał się w czoło końcem pędzla.

– Co ma pan na myśli?

Eduardo wzruszył ramionami.

– Życie może potoczyć się różnie i...

Nie znajdował słów, by dokończyć zdanie. Miał je na końcu języka, ale nagle zniknęły, a jego umysł wypełniła wibracja, która zagłuszyła wszystko oprócz silnego, ostrego bólu, który przeszył mu plecy. Trwał zaledwie ułamek sekundy, chociaż Eduardowi się wydawało, jakby nagle otwarto się drzwi i wszystko działo się jednocześnie: przerażony wzrok malarza, przeciętne obrazy, odgłosy miasta, kroki ludzi, trąbienie samochodów, łopot skrzydeł gołębi.

A potem te drzwi się zamknęły równie szybko i przestał czuć cokolwiek poza intensywnym chłodem.

W zupełnie innym miejscu Sara patrzyła na zachód słońca. Spokojne fale zatapiały jej białe stopy w piasku i odpływały. Kilka metrów dalej Graciela spacerowała nad brzegiem morza przytulona do mężczyzny. Sara lubiła go, nie zadawał głupich pytań, był miły dla matki i ładnie pachniał.

– Co o tym sądzisz? – zapytała swojego plastikowego kota.

Kot trzymał ją za rękę swoją sztywną łapą. W jego zabawkowych oczach odbijała się mała wysepka – niewielka skała – na której swoje gniazda wily mewy.

– To samo co ty – odpowiedział kot, nie poruszając wąsami.

– On nie jest taki jak Eduardo.

– Zgadza się – przytaknął kot.

Dziewczynka znalazła patyk wśród resztek wyrzucanych na brzeg przez morze. Jego końcem napisała na piasku kilka dużych liter, jakby miała nadzieję, że ktoś zobaczy je z nieba: „E-D-U-A-R-D-O”.

– Myślisz, że go zobaczy?

Kot nie wzruszył ramionami. Był tylko niemą zabawką.

– Kto wie.

Jedna mocniejsza fala wyciągnęła swój spieniony jęzor i zlizwała nim litery.

Sara posmutniała.

– To tylko imię – uspokoił ją kot.

Położyła go na ziemi. Odeszła kilka kroków i znów napisała to samo, ale tym razem większymi i mocniej wrytymi w piasku literami.

– Ty tego nie zrozumiesz, jesteś tylko gadającą zabawką.

A kot uśmiechnął się, nie poruszając wąsami. Sara miała rację: nie rozumiał ludzi.

KONIEC

-
- [1] Fr. Czarna Stopa – przydomek niemuzułmańskich obywateli francuskich z Algierii, a także Francuzów pochodzących z innych francuskich protektoratów: Maroka i Tunezji, repatriant (przyp. tłum.).
- [2] Tłum. Józef Waczków, *Literatura na świecie* 3/1991, s. 365 (przyp. tłum.).
- [3] Ściany mojego życia są gładkie/Trzymam się ich, ale się ześlizguję/Powoli ku mojemu przeznaczeniu./Umrzeć z miłości.
Podczas gdy świat mnie ocenia/Widzę dla siebie tylko jedno schronienie/Każde rozwiązanie skazało mnie na to, by/Umrzeć z miłości.
Umrzeć z miłości/Chętnie zagłębić się w nocy/Zapłacić za miłość swoim życiem/Grzeszyć przeciw ciału, ale nie przeciwko duszy.
Zostawmy świat z jego problemami/Nienawistnych ludzi samym sobie/Z ich małostkowymi ideami.
Skoro nasza miłość nie ma przyszłości/Lepiej jest zamknąć książkę/Niż ją spalić, lepiej niż spalić/Umrzeć z miłości (przyp. tłum.).
- [4] A teraz słońce wszędzie, świecąc tak jasno,/Jak gdyby w nocy nie wydarzyło się żadne nieszczęście!/Nieszczęście dotknęło tylko mnie,/A słońce – ono świeci dla wszystkich! (przyp. tłum.).
- [5] DINA, Dirección de Inteligencia Nacional – Narodowa Dyrekcja Wywiadu, chilijska tajna policja polityczna istniejąca do 1977 r. (przyp. tłum.).
- [6] *Koran*, rozdział 18, Grota Al-Kahf, sura 18:50, tłum. Józef Bielawski, PIW, Warszawa 1986 (przyp. tłum.).
- [7] *Nie mogę rozstać się z tobą o żadnej porze dnia* (przyp. tłum.).
- [8] Kto wie, dokąd zmierza droga/Dokąd płynie czas/Tylko czas./I kto wie, czy miłość, którą wybrało Twe serce, rośnie/Tylko czas (przyp. tłum.).
- [9] Ulicą Zapomnienia wałęsają się nasze cienie, każdy po innej stronie chodnika, po innych życiowych sprawach (przyp. tłum.).
- [10] Nikt nie zabierze mi głowy, bo mam w umyśle prędkość (przyp. tłum.).